

NA PROWINCYI

ELIZA ORZESZKOWA

PISMA

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE ZE WSTĘPEM
AURELEGO DROGOSZEWSKIEGO

TOM XI

NA PROWINCYI

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

ELIZA ORZESZKOWA

NA PROWINCYI



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

884-3



KOMPUTER

821.1621-311.2

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW.

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

□□ Druk W. L. ANCYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

1913

CZEŚĆ I.

»Ci, którzy dowodzą, że bez pracy i trudu dojść do czegokolwiek można, podają ludziom truciznę.

(Benjamin Franklin).

I.

Niedaleko brzegów Niemna, w żyznej i leśnej okolicy, położone były obszerne dobra hrabiny X. Bogata pani oddawna mieszkała za granicą, lub w wielkich miastach krajowych, a majątki swe oddawała w dzierżawę zamożnej sąsiedniej szlachcie.

W jednym z majątków tych, Adam polu, mieszkał dzierżawca, pan Jerzy Snopiński.

Obszerny dwór adampolski, z domem nie okazałym, ale wygodnym, z mocno postawionemi i starannie utrzymywanemi budowlami, widniał zdaleka pomiędzy wieńcem gęsto sadzonych topoli włoskich.

Wysoki parkan z desek, gładko wyheblowanych i porządnie spojonych, obejmował dziedziniec i ogrody, przedzielając je od rozległych łąnów, które roztaczały się daleko, aż pod stopy lasu, tworzącego wązki i ciemny zarys między sklepieniem nieba, a krańcem gładkiej i szerokiej równiny.

Jednego z ciepłych i słonecznych dni kwietnia, około południa, drogą pomiędzy polami, wiodącą do dworu, toczyła się

zwolna parą koni zaprzężona bryczka. Na niej siedział niemłody mężczyzna, z mocno szpakowatymi włosami i wąsami, z pogodnym spojrzeniem szarych oczu, ocienionych gęstą siwiejącą brwią, postaci krzepkiej i dobrze zbudowanej, lubo nieco pochylonej przez wiek, a może i przeniesione trudy życia. Owinięty był szarym sukiennym płaszczem, a na głowie miał czapkę, oszytą siwym barankiem.

Wkoło pola zieleniły się gęsto wschodzącym zbożem; pogodne, choć blade jeszcze słońce wiosenne gdzieniegdzie rzucało złotawe po zagonach smugi, a jakby zwabione blaskiem i ciepłem jego, skowronki wlatywały z pomiędzy niskiej, lecz bujnej runi i, wznosząc się prostopadłym lotem, śpiewały srebrzyste piosenki.

W dali, pod lasem, szarzało kilkanaście pługów, orzących ziemię pod wiosenny zasiew, a od strony dworu, ukazującego się z pomiędzy niezupełnie jeszcze okrytych liśćmi drzew, dochodziły tłumione przestrzenią głosy i rozmowy krzątających się zapewne koło dworskiego gospodarstwa ludzi.

Podróżny z zajęciem rozglądał się po okolicy. Zmęczone długą snadą drogą konie postępowaly zwolna; powożący chłopak, z zaspaną fizyonomią, ani myślał o ich popędzaniu; bryczka toczyła się powoli białą, ubitą drogą, między dwoma rzędami starych wierzb i jarzębin.

W dali na polu ukazał się człowiek, szybkim i rażnym krokiem idący wąską wśród zagonów miedzą i zręcznie przeskakujący rowy, dla ścieku wody wykopane gdzieniegdzie. Dażył ku drodze i po chwili, przeskoczywszy ostatni rów między polem a drogą, znalazł się tuż koło bryczki.

Był to smukły i piękny młodzieniec w szarym myśliwskim ubraniu, w długim myśliwskim obuwiu, ze strzelbą na ramieniu, w małej czworokątnej czapeczce z czarnym barankiem.

Ujrawszy nadchodzącego, podróżny jadący bryczką zawołał na furmana:

— Stój, Jakóbku!

Konie stanęły, a niemłody mężczyzna uchylił nieco czapki i, wskazując ręką dwór o kilka staj położony, zapytał z grzecznością:

— Panie łaskawy, wszak to jest majątek hrabiny X., Adampol?

— Tak, panie — odpowiedział młodzieniec z lekkim ukłonem.

— A w tym dworze mieszka pan Snopiński?

— Tak, panie.

— Bóg zapłać — rzekł podróżny i, skłoniwszy się młodzieńcowi, zawołał na furmana:

— Ruszaj, Jakóbku, a żywo!

Bryczka oddaliła się, a młody myśliwy popatrzył za nią przez chwilę i rzekł do siebie:

— Kogoż to Pan Bóg prowadzi do nas? zdaje mi się, że kiedyś widział już tego pana... kto by to był? To ciekawe, słowo daję... At! niech sobie tam zresztą ojciec przyjmuje gości, ja pójdę jeszcze postrzelać trochę. Oj, gdyby to gdzie kota nadybać, to bym palnął z fuzyjki! Szkoda, że nie wziąłem z sobą chartów.

Tak do siebie mówiąc, zdjął strzelbę z ramienia, obejrzał nabój, pogwizdując, i poszedł dalej brzegiem drogi. Zaledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy na jednej z wierzb, ponad drogą stojących, z głośnem krakaniem usiadła wrona.

Młodzieniec spojrzał w górę, uśmiechnął się i wziął fuzyę do oka.

Wrona, nie przewidując grożącego jej niebezpieczeństwa, przechyliła się na gałęzi, podniosła dziób i wciąż krakała, jakby rozmawiając sobie z promykiem słońca, który igrał na jej czarnych piórach i zaglądał do otwartego dzioba.

Nagle rozległ się strzał i wrona nieżywa spadła z gałęzi. Młodzieniec poskoczył, podniósł ją, umocował przy torbie myśliwskiej i poszedł dalej, gwiżdżąc jakiegoś marsza tryumfalnego, niby zwycięzca, obciążony zdobytymi trofeami.

Tymczasem bryczka z podróżnym wjeżdżała na obszerny dziedziniec adampolski. Tuż przed bramą zerwało się z przed koni stado gęsi i, z wielkim krzykiem wzleciawszy nad ziemią, osiadło nieopodal obok niemniej liczного stada indyków. Przewodnik ostatnich, olbrzymi indor, spojrzał na wrzaskliwe sąsiadki, rozpuścił ogon i zabełkotał z pogardą. Jednocześnie z za domu wyskoczyły dwa psy kudłate i poczęły ujadać zawzięcie, podskakując ku bryczce.

Na te wszystkie odgłosy, które z towarzyszeniem turkotu kół napełniły dziedziniec, przez jedno z otwartych okien domu wyjrzała naprzód głowa kobieca i wnet się schowała; jakby wywołana przez nią, ukazała się w innym oknie głowa męska i także natychmiast zniknęła.

Po chwili dopiero otworzyły się drzwi domu i na ganek wyszedł mężczyzna lat przeszło pięćdziesięciu, średniego wzro-

stu, otyły, z potężną łysiną wśród posiwiałych włosów, z twarzą rumianą i pocziwą, ale nacechowaną szczególnem jakimś zafrasowaniem.

Znać było, że tylko co włożył czarny surdut, który miał na sobie, bo jeszcze poprawiał i ociagał poły, co chwila niosąc też rękę do krawata, którego węzeł, z pośpiechem zawiązany, już się był prawie rozwiązał. Każdyby się domyślił, że dzierżawca Adampola robił umyślną a pośpieszną toaletę »in gratiam« przybywającego gościa.

Gdy bryczka stanęła przed gankiem, podróżny rzeżko z niej wyskoczył i gospodarz domu postąpił na jego spotkanie. Spojrzeli na siebie i głośny wykrzyknik wyrwał się z ust obudwóch.

— Andrzej! — zawołał dzierżawca, a w głosie jego była prawdziwa i serdeczna radość.

— Jerzy! — odpowiedział przybyły.

I, rzuciwszy się sobie w objęcia, poczęli całować się głośno a długo.

— Kopę lat, kopę lat! — wołał w przestankach całowania pan Jerzy. — Skądże Pan Bóg prowadzi? jakim szczęśliwym dla nas trafem zawitałeś w nasze strony?

— A dawno, dawno nie widziałem cię już, koleżko! z dziecięć już latek pono — odpowiedział pan Andrzej, uwalniając się wkońcu od energicznych całusów dzierżawcy. — No, ale widzisz, góra z górą nie zejdzie się, a człowiek z człowiekiem to i niespodziewanie zejść się może.

— Ależ, że niespodzianie to niespodzianie! pójdźcie do chaty! żona przecie nie wie, kto to do nas zawitał!

I wzięwszy pod ramię gościa, jak widać, wielce mu miłego, poprowadził go dzierżawca adampolski we wnętrze domu. Z ganku obejrzał się raz jeszcze i zawołał do parobka, stojącego nieopodal i z otwartymi ustami przypatrującego się pańskim powitaniom:

— Konie wziąć do stajni i dać im obroku! Furmana zaprowadzić do kuchni i niech mu tam obiad dadzą!

W godzinę niespełna po tem serdecznem powitanu w obszernym pokoju, który urządzeniem swoim przypominał izbę szlachecką, ale okazywał zarazem i pretensję do salonu, siedzieli oboje państwo Snopińscy i gość ich, pan Andrzej.

Przed nimi stały na stole różne wiejskie przekąski i wódeczki, a z odsuniętych talerzy i opróżnionych kieliszków znać było, że funkcyja gastronomiczna ukończona już została.

Gość i gospodarz siedzieli obok siebie. Obaj jednego wieku i patrzący wzajem na siebie z serdeczną przychylnością, różnili się jednak wielce między sobą nie tylko przez to, że p. Andrzej był słusznego wzrostu, barczysty, muskularny, ale nie otyły, a pan Jerzy niski i niepospolitej tuszy; nie tylko także przez to, że ostatni miał łysinę, a pierwszy jej nie miał, ale główną i uderzającą między nimi różnicę stanowiły cechy ich fizjonomii.

Czoło pana Jerzego było gęsto pomarszczone, ale zmarszczki jego układały się wszerek, jak zwykle u ludzi, zaprzątniętych głównie i jedynie troskami materyalnemi, ciąglem wywalczaniem powszedniego bytu; zmarszczki zaś pana Andrzeja, tak liczne i głębokie, rysowały się na czole jego podłużnie, a najgłębsza z nich była między brwiami, jak to bywa u ludzi, pochłoniętych pracą umysłową i dręczonych często ciężkiem rozmyśleniem o szerokich sprawach ogólnych.

W oczach gospodarza domu był wyraz dobrodusznej pocziwości, z za której wyglądał frasunek, niby z nałogu już w nich osiadły; spojrzenie gościa było pogodne i życzliwe, ale, gdy przestawał mówić i zamyślać się, można w niem było dostrzedz odcień smutku.

Niekiedy szare i ogniste, mimo wieku, oczy jego odbiegały najbliższych przedmiotów i zdawały się patrzeć gdzieś daleko, obejmować jakieś szerokie przestrzenie i widnokreśli, a wtedy właśnie bywały najsmutniejsze.

Przyjrzawszy się pilnie obudwom rówieśnikom, łatwo było odgadnąć, że pan Jerzy był człowiekiem, któremu całe życie przeszło wśród pracy na kawałek chleba, bez innej myśli, jak myśl o zasiewach, zbiorach i młóceniu, bez innych cierpień, jak nieurodzaj lub gradobicie, bez innych radości, jak niegdyś za młodu wesele z ukochaną Anusią, potem u rodziny syna, a potem jeszcze lata, w których zboże dawało dziesięć kóp z morga.

Pan Andrzej zaś musiał być niezawodnie jednym z ludzi, którym królestwo ducha we władanie oddane zostało, których myśl rada w tem królestwie mieszka.

Naprzeciw dwóch mężczyzn siedziała pani Snopińska, czterdziestoletnia kobieta, chuda, blada, z twarzą nic nie znaczącą i olbrzymim pękiem kluczy przy pasie.

Na niej więcej jeszcze, niż na jej mężu, znać było gospodarowanie całego życia, nie okraszone ani jedną szczyptą poezyi, nie ogrzane ani jednym promieniem szerszej, ogólniejszej myśli.

Sery, masło i mąka wypiętnowały na twarzy pani Snopińskiej prozaiczną i oschłą cechę, a postać jej, przybrana w czarny wełniany wążki szlafroczek i w biały czepeczek, który nie zupełnie zakrywał rudawe, gładko uczesane włosy, wyglądała tak, jakby wnet miała zmienić się w długi, zardzewiały i zgrzytający w zamku klucz od spiżarni.

— No, kochani państwo — odezwał się pan Andrzej — teraz, gdyście mię podróżnego nakarmili już i napoili, czas mi powiedzieć, w jakim celu przybyłem do was i skąd mi się wzięło na odbycie tak dalekiej podróży.

— To prawda — przerwał pan Jerzy. — Choć z duszy i z serca rad jestem cię widzieć, toć jednak oddziwować się nie mogę, skąd się tu wzięłeś. Jak z nieba spadłeś, dalipan, boć to mil chyba z pięćdziesiąt do twego majątku, w którym mieszkasz?

— Blizko tego, ale co to znaczy dla takiego zucha, jak ja? — mówił, uśmiechając się, pan Andrzej. — Wszakże tą samą bryczką, którą tu przyjechałem, tymi samymi dwoma końmi i z tym samym furmanem, Jakóbkiem, przed dwoma laty odbyłem podróż do Warszawy, ba! aż za Warszawę, bo pod same Karpaty.

Oboje gospodarstwo zawołali z podziwem:

— Czyż być może?!

— Ot, choć krewniacy mi jesteście, nie wiecie jeszcze o moich dziwactwach. A właśnie z powodu tej mojej ciągłej po świecie wędrówki niektórzy zowią mię dziwakiem i mają może słuszną, jeśli dziwactwem godzi się nazwać takie zamiłowanie czegoś bez granic, że dla miłości, jaką człowiek w sercu czuje, gotów największe ponieść trudy. Otóż ja, kochani państwo Jerzostwo, mam w sercu miłość taką dla nauki i natury. Jerzy zresztą pamiętać to musi od szkolnych jeszcze czasów...

— O tak, tak — powiedział Snopiński — pamiętam, że w szkole ja byłem zawsze hultajem, a ty najlepszym z uczniów.

— Ale miałeś zarazem złote serce i dlatego, nie licząc już związków pokrewnych, polubiłem cię tak, że stosunków naszych nie zerwał ani czas, ani różnica usposobień. Otóż, lubiąc nad wszystko książki w dzieciństwie i pierwszej młodości, w wieku dojrzałym zacząłem je sam pisać.

— Wiem, wiem o tem — zawołał pan Jerzy — i zawsze

szczyłem się z tego, że krewny mój kolega pisze tak uczone książki, że ja i zrozumieć ich nawet nie mogę!

Zaśmiał się pan Andrzej z tego naiwnego wyznania dzierżawcy i mówił dalej:

— Wiesz pewnie i o tem, Jerzy, że specyalne studia, jakim się oddaję, mają za przedmiot nauki przyrodnicze: kocham naturę, szukam jej wszędzie, jeżdżę po świecie dla zbadania jej różnych objawów, a potem piszę, com widział i czegom się w wycieczkach moich nauczył. Te to były cele, które zawiodły mię między Karpaty i nad Wisłę; w tych celach pojedę może w roku przyszłym dalej jeszcze; w tym także celem przyjechałem tutaj.

Postanowiłem zbadać wszechstronnie florę krajową i dlatego zwiedzam kraj nie koleją żelazną, ani pocztą, ale swymi powolnymi konikami, aby móżdżek jechać swolna, zatrzymać się, gdzie zechcę, i na każdym miejscu być panem swego czasu.

Gdy przeszłej zimy postanowiłem zwiedzić tutejsze strony, miałem naprzód zamiar zainstalować się na kilka letnich miesięcy w waszem mieście gubernialnem, ale przypomniałem sobie, że mieszkacie tutaj, kochani państwo Jerzostwo, i umyśliłem założyć u was kwaterę, tem bardziej, że dla natury moich badań korzystniejszym będzie, jeśli zamieszkać na wsi.

Nie będę ciągłym waszym gościem, bo mam odbyć mnóstwo wycieczek w różne strony waszej prowincyi, ale jeśli pozwolicie, będę stąd wychodził i tutaj powracał; co więcej, będę tu znosił wszystkie swe zdobycze, »alias« pęki ziela różnego rodzaju, albo też rysowane przeze mnie portrety drzew i kwiatów. Gdyby to jednak nie było wam zupełnie miłe i dogodne...

Nie dał mu skończyć pan Jerzy, bo pochwycił go w ramiona i zawołał:

— A! niech ci Bóg zapłaci za twoją myśl pocziw! Bądź pewny, że rad ci jestem z całej duszy, a choć nie znajdziesz u nas zbytku ni przepychu, toć jednak czem chata bogata, tem ci serdecznie rada. Będę miał przynajmniej sposobność odwiedzania ci, choć w części, tego, coś uczynił dla nas...

— Nie wspominaj o tem, Jerzy! — zawołał pan Andrzej.

— Gdybym nawet chciał, zapomnieć nie mogę — odparł żywo Jerzy.

Wszak pamiętasz, Anusiu — dodał, zwracając się do żony — jak to tam na onej dzierżawie, którąśmy pod Kownem trzymali,

grad wybił zboże, było wypadło na zarazę, stogi siana spłonęły na łąkach, a dziedzic nie miał względu na nasze nieszczęścia i chciał nas za nieopłacone pieniądze do sądu skarżyć; wtedy, Andrzej, gdyby nie twoja pomoc, poszlibyśmy byli z torbami...

Przy tych słowach łza zaćmiła pocziwe, lecz zawsze zasfrasowane oczy pana Jerzego, a nawet fizyonomia jego żony rozświetliła się jakby iskierką rozrzewnienia.

— Pamiętam dobrze tę wielką biedę naszą i pomoc pana Andrzeja — rzekła — to też bądź pan pewny, że z całego serca radzi jesteśmy, iż pan u nas czas jakiś przepędzisz, a tembardziej, jeśli to panu ma pomódz do napisania książki.

Widać było, że pani Jerzowa czuła się dumną z posiadania w domu swoim gościa, który książki pisze, a jeszcze, jak rzekł jej mąż — tak uczone, że onaby ich nawet zrozumieć nie potrafiła.

Po kilku jeszcze oświadczeniach i przypomnieniach dawnych czasów, z których pokazywało się widocznie, że pan Andrzej niejednokrotnie bywał w przeszłości dobroczyńcą państwa Snopińskich, pan Jerzy zapytał:

— Powiedzże mi, Andrzej, jak tam u ciebie idzie gospodarstwo, kiedy tak ciągle jeździsz po świecie?

Uśmiechnął się pan Andrzej. Pomyślał pewno, że co u kogo w głowie, to i w mowie.

— W majątku gospodaruje średni syn mój — odpowiedział. — Wiecie o tem, że najstarszy jest inżynierem, najmłodszy jeszcze w akademii kształci się na doktora, a z trzeciego zrobiłem rolnika. Skończył on szkołę agronomiczną i od dwóch lat zwałem na niego cały ciężar gospodarstwa i przywiązanych do majątku interesów, a sam bez przeszkody oddaję się nauce i ulubionym po kraju wędrówkom.

— Szczęśliwy jesteś, Andrzej, że masz syna, który cię w pracy wyręcza, przynajmniej na starość odpocząć możesz! — rzekł pan Jerzy z westchnieniem, a wyraz frasunku, który był normalną cechą jego fizyonomii, zwiększył się przy tych słowach.

— O, tak! — rzekł pan Andrzej — mam prawdziwą pociechę z synów. Wychowałem ich tak, aby oprócz majątku, jaki otrzymają po mnie, każdy z nich posiadał zawód, którymby i ogółowi był pożyteczny i sobie byt niezależny własną pracą zapewnił.

Szybko jednak ocknął się z myśli swych pan Andrzej i, jakby sobie coś nagle przypomniał, zawołał:

— A gdzie jest twój jedynak, Jerzy? Widziałem go, kiedy miał lat ośm, czy dziesięć, i pamiętam, że ładne i roztropne to było dziecko. Gdzież jest teraz? czego się uczy? na co go kierujesz?

— A zaraz go zobaczysz — odpowiedział pan Jerzy — poszedł zrana ze strzelbą, ale pewnie zaraz nadejdzie.

— Jakto? więc jest w domu? — zapytał pan Andrzej. — Czyżby był na wakacjach? Ależ to nie wakacyjna pora...

— Gdzie tam na wakacjach! — rzekł pan Jerzy, a frasunek zwiększył się w jego oczach. — Już cztery lata skończyło się, jak wrócił ze szkół do domu.

— Tak wcześniej skończył szkoły? to czemuż nie oddaliście go do jakiego wyższego zakładu naukowego, snadź ma ogromne zdolności!

— Gdzie tam skończył szkoły! Przeszedł cztery klasy, a że nie chciało mu się uczyć, więc i wziąłem do domu.

— I cóż on tu robi u was, tak młodo osiadłszy w domu? — zapytał pan Andrzej.

Frasunek zwiększył się na twarzy pana Jerzego.

— Pomaga mi gospodarować — rzekł zcich, ale wyraz jego oczu, smutny i zakłopotany, zadawał fałsz słowom.

— Hm! — rzekł pan Andrzej i zamyślił się.

— Proszę pana — ozwała się pani Snopińska — chłopiec ma rodziców i kawałek chleba, pocóż mu było cudze kąty po jakichś tam szkołach wycierać?

Pan Andrzej ze zdziwieniem na nią spojrział.

— Zapewne — odrzekł — sami najlepiej wiecie, jak kierować losem waszego syna; mnie się jednak widzi, szanowna pani Jerzowa, że kto za młodu tych cudzych kątów, o których pani mówisz, nie wyciera, ten potem na własny kąt zapracować sobie nie potrafi.

Pani Jerzowa brzęknęła kluczami i odpowiedziała:

— Toć już my dość napracowali się przez całe życie na to, aby nasze dziecko miało własny kąt i kawałek chleba bez pracy.

— Bez pracy... bez pracy... — powtórzył jakby do siebie pan Andrzej, a oczy jego znowu utkwily w przestrzeni i stały się smutne.

Pan Jerzy westchnął.

— At — rzekł — już też i ja wolałbym, aby chłopiec zajął

się czemkolwiek, zamiast strzelać do wron po polach od śniadania do obiadu, a potem spać od obiadu do kolacyi. Ale cóż robić, kochany Andrzeju? u nas, harujących na kawałek chleba, jak chłopiec czytać, pisać, a rachować umie, to i chwała Bogu, a zresztą byle była ochota do pracy... byle była ochota...

— A czy będzie on miał tę ochotę, jeśli zaprawi się z młodu do bezczynności? — zagadnął pan Andrzej.

Oczy pana Jerzego bardzo zafrasowały się, ale pani Jerzowa rezolutnie brzęknęła kluczami i rzekła, kiwając głową:

— Et, byle pocziwie żył a Pana Boga umiał chwalić, to na co mu tam szczególniejsze mądrości i rozumy? Ot, przynajmniej mamy pociechę, że dziecko jest przy nas, między ludźmi żyje i świata się uczy. A chwała Bogu nie powstydić się za niego rodzicom! Pan Andrzej sam zobaczy. Jest czego posłuchać, kiedy mówi, i znaleźć się między ludźmi tak pięknie potrafi, że i hrabiątko jakie może się przed nim schować. To też łapią go tu w sąsiedztwie, na rękach noszą...

— Zresztą — przerwał żonie mowę dzierżawca — widzisz, Andrzeju, syn mój będzie miał jaki taki fundusz, niewielki wprawdzie, ale zawsze to coś znaczy. Ja żadnego nie miałem po rodzicach, którzy sami całe życie chodzili po posesjach i wszystko, co kiedy mieli, na starość stracili. Jak żeniłem się z Anusią, trzymałem pięć chat w dzierżawie, a mieszkalem w kurnej nieledwie chałupie. A ot, przy pomocy Bożej, wyłazło się z biedy i uciułało trochę grosza dla jedynaka. Jemu więc łatwiej pójdzie, bo będzie miał za co ręce zaczepić, a ja nic nie miałem...

— Aleś miał ochotę i przyzwyczajenie do pracy — przerwał pan Andrzej.

— To, to prawda — potwierdził pan Jerzy.

— A musiał mieć ochotę do pracy! — zawołała pani Jerzowa — bo jakby jej nie miał, toby umarł z głodu. A nasze dziecko nie umrze z głodu i bez pracy, to niech sobie za młodu świata użyje, zamiast ślęczeć nad książkami, albo harować przy gospodarce, jak parobek.

Pan Andrzej nic już tym razem nie odpowiedział, ale zamyslił się i spuścił głowę na piersi, a pan Jerzy, spojrzawszy w okno, zawołał:

— Ot i Oleś powraca!

Spojrzał i pan Andrzej i zobaczył idącego przez dziedziniec tego samego młodzieńca, którego był spotkał na drodze, zbliżając się do Adampola.

— A! — rzekł — tośmy się już widzieli z panem Aleksan-

drem; spotkałem go, jadąc tutaj, i rozmawiałem nawet z nim trochę; ale któżby w nim poznał teraz tego małego Olesia, którego przed dziewięciu laty widziałem!

— Wyrósł chłopiec, jak dąb — rzekł pan Jerzy, a żona jego uśmiechała się z widocznym zadowoleniem.

— Już to, proszę pana — rzekła do gościa — choć jestem matką Olesia, ale śmiało powiedzieć mogę, że w całej okolicy niema piękniejszego kawalera. To też panienki szaleją za nim; gdyby chciał, mógłby choć dziś z każdą ożenić się! — dodała ciszej i z figlarnym wyrazem, który dziwnie odbił się na jej chudej i oschłej twarzy.

— Ożenić się? tak młodo? — zawołał ze zdziwieniem pan Andrzej. — Toć myślę, że ma zaledwie lat dwadzieścia.

— Dwudziesty pierwszy kończy, ale i cóż to szkodzi, że młody? wszak przysłowie mówi: że kto rano wstał i wcześniej ożenił się, ten nigdy nie żałował.

— Przepraszam was, kochana pani Jerzowa — rzekł pan Andrzej z uśmiechem — ale po starej znajomości ośmielę się powiedzieć, że przysłowie w drugiej swej części głupstwo mówi.

— Dlaczego? — zawołała gospodyni domu.

— Bo człowiek, nim się ożeni... — zaczął pan Andrzej, ale przerwał mu pan Jerzy.

— Już to, co do żeniaczki — rzekł — i ja jestem za tem, aby Oleś jak najprędzej ożenił się. Jak przybędzie familia, to próżnować odechce się i niestatkki z głowy wylecą.

— A jak nie wylecą? — spytał pan Andrzej, a pani Jerzowa nierada, że mąż powiedzeniem swoim dał do zrozumienia o jakichś niestatkach syna, szepnęła z niezadowoleniem:

— Niestatkki! niestatkki! jakie tam niestatkki! niema żadnych niestatków!

W tej chwili otworzyły się drzwi pokoju, w którym rozmawiano, i wszedł syn gospodarza.

Urodziwy to był chłopak w całym znaczeniu tego wyrazu. Smukły i kształtny, czoło miał białe, gładkie, foremne, oczy błękitne jak niezabudki, włosy niepospolitej piękności, złociste, kędzierzawe. Policzki jego, opalone nieco od wiosennego wiatru, pokryte były pierwszym puchem młodzieńczym, a nad ponso-wami ustami porastał drobny, jasny wąsik. Gdy patrzył, iskry zdawały się sypać z jego wzroku; gdy uśmiechał się, pokazywał

zęby białe i równe, jakichby nie jedna pozazdrościć mu mogła kobieta.

Pięknej twarzy tej nie brakło nawet wyrazu pewnego sprytu i rozgarnienia, a także tryskała z niej niezmierna pełnia młodzieńczego życia, które zdawało się szukać sobie ujścia na zewnątrz i wybuchało każdym spojrzaniem oczu, każdym ruchem fizjonomii.

Gdy wszedł do pokoju, w myśliwskim ubraniu, bez torby tylko i bez fuzyi, pan Jerzy zwrócił się do gościa i, wskazując młodzieńca, rzekł:

— Mój syn, kochany Andrzeju — a potem dodał — Olesiu, oto pan Andrzej Orlicki, o którym nieraz od nas słyszałeś, krewny nasz i dobroczyńca.

Z wyrazu twarzy młodego człowieka można było domyślić się, że ostatni wyraz niemiłe na nim sprawił wrażenie. Śpiesznie jednak postąpił, podał rękę panu Andrzejowi i uklonił się zręcznie i z elegancją, tchnącą jednak troszkę prowincyalnością.

Potem wziął krzesło i, rezerwując sobie miejsce, obok gościa, usiadł i ozwał się swobodnie:

— Wszak to pana dobrodzieja właśnie miałem przyjemność spotkać przed dwiema godzinami na drodze do Adam-pola?

— Ależ bo długo byłeś dziś na polowaniu, Olutku — rzekła pani Jerzowa.

— Ho, ho, moja mamo! — zawołał młody człowiek — co to dla mnie znaczy? gdyby mi się jeść nie zachciało i gdybym nie pośpieszał, aby powitać pana dobrodzieja, choć go znać nie miałem honoru — dodał z eleganckim znowu i przesadzonym ukłonem — jeszczebym godzin ze dwie popolował. A co w domu robić?

I zwracając się do pana Andrzeja, zawołał:

— Ach, nie przedstawiś sobie pan dobrodziej, jakie tu u nas życie nudne! gdyby nie fuzyjka, koń wierzchowy i...

— No, a cóż tam zabił dzisiaj? — przerwał pan Jerzy, w którego oczach frasunek rósł ciągle od wejścia syna. — Czy będzie przynajmniej z tego twego polowania pieczone na kolację?

— Gdzie tam! — odparł Aleksander — teraz zwierzyny na lekarstwo nie znaleźć! Trzy wrony zabiłem i po wszystkim. Ale gdyby też papo widział, jak to było zabawne. Idę sobie drogą, wtem widzę: wrona siada na wierzbie; ja fuzyę do oka, a ona

dziób do góry podniosła i kracze, jak gdyby kogo z pod obłoków wołała. Ja paf! ona bęc! nie tchnęła, ale tak na miejscu i upadła nieżywa. Tak aż trzy zgładziłem dziś ze świata.

— I panu to zabijanie nieszkodliwych ptaków przyjemność sprawia? — spytał pan Andrzej, którego zmarszczka między brwiami głębszą się stała.

— Cóż robić, panie dobrodzieju? — rezerwując sobie miejsce, odparł Aleksander — trzeba jakkolwiek czas zabijać. W sąsiedztwo nie zawsze można pojechać, w domu papa gospodaruje, mama gospodaruje, a mnie, panie dobrodzieju, co robić? chyba umrzeć z nudy!

Frasunek w oczach pana Jerzego wzrastał się coraz więcej w czasie mowy syna; pani Snopińska wyszła, wywołana do jakiejś gospodarskiej sprawy, a pan Andrzej, po chwili milczenia, odezwał się żartobliwie:

— Uważam, panie Aleksandrze, że panu bardzo często wraca na usta wyraz: nuda.

Aleksander obu rękoma uczynił giest rozpaczliwy i odrzekł:

— A, pan dobrodziej przybywasz zapewne z wielkiego świata i nie wiesz, jakie to u nas życie na prowincyi! Człowiek np. wstaje zrana, zje śniadanie i obejrzy się wkoło siebie. Cóż widzi?

Papa w stodole, mama w spiżarni, parobki młocą, kury kwokczą, gęsi gęgają i koguty pieją. Wszystko to, razem wzięte, przyzna panu dobrodziej, nie jest wcale zabawne. Więc człowiek chodzi z założonemi rękoma z kąta w kąt, z dziedzińca do ogrodu, z ogrodu na dziedziniec i czeka obiadu, jak zbawienia duszy, nie dlatego, żeby się jeść chciało, ale dlatego, że to zawsze jakaś rozrywka, urozmaicenie czasu, który wlecz się, jak wóz naładowany po błocie.

Przychodzi obiad, a po obiedzie, panie dobrodzieju, znów to samo, co i przed obiadem; człowiek czeka kolacyi, a po kolacyi to jeszcze gorzej: papa idzie spać, mama idzie spać, czeladź idzie spać i następuje brzęczenie i kąsanie komarów. Ot, jakie to nasze życie! a zimą to jeszcze gorzej... Ale poco to panu dobrodziejowi mówić? pan sam pojmiesz, co to jest, kiedy młody człowiek tak zagrzebie się na wsi.

Westchnął ciężko i potrząsł głową dla odrzucenia z czoła opadających włosów.

Pan Andrzej przypatrywał mu się bacznie i nieznaczny wyraz ironii przebiegł po jego ustach.

— Hm — rzekł — więc dla rozweselenia tego życia, które pan w niepowabnych malujesz barwach, nic innego pan znaleźć nie możesz, jak polowanie na wrony?

W głosie pana Andrzeja drżał dźwięk smutku i sztyderstwa, dosłyszał go snadź Aleksander, bo spuścił oczy i rzekł ciszej:

— Cóż robić?

Pan Jerzy milczał, w czasie rozmowy syna westchnął parę razy i, splótszy dłonie, dwoma wielkimi palcami rąk kręcił młynka z zafrasowaniem.

We drzwiach ukazała się pani Snopińska i zaprosiła na obiad.

Przy stole dzierżawca i gość jego rozmawiali o dawnych czasach, starych swych z sobą stosunkach i wspólnych znajomych.

Jerzy stał się rozmowniejszym, zagrzany snadź starym miodem, podanym do obiadu, i obecnością człowieka, którego widocznie serdecznie lubił; zato pan Andrzej coraz mniej mówił, spoglądał często na Aleksandra, a potem zamyślał się i oczy jego stawały się smutne.

Do stołu zasiadła także młoda panienka, jakaś sierota, przez miłosierdzie trzymana w domu państwa Snopińskich. Nazywano ją Antosią, pani Snopińska posyłała ją wciąż z kluczami; nie brzydka była, ale blada i mizerna, ubogo ubrana, a oczy trzymała ciągle spuszczone wpół ze smutkiem, wpół z pokorą. Siedzący obok niej Aleksander pochylał się często ku niej i prawil jej coś półgłosem.

Widać było, że z niej żartował, bo śmiał się ciągle, a żarty te nie musiały być miłe, bo Antosia rumieniła się co chwila po uszy, coraz smutniej spuszczała oczy, a gdy raz, zawołana przez panią Snopińską, podniosła je z nad talerza, były w nich łzy.

Młoda, rumiana i przystojna dziewczyna, ubrana wpół po wiejsku, przynosiła półmiski i odmieniała talerze.

Aleksander zerkał na nią często, parę razy uśmiechnął się i mruknął do niej oczyma na znak jakiegoś porozumienia.

Zresztą mieszał się często do rozmowy rodziców z gościem, wypowiadał zdania swoje śmiało, mówił głośno a śmiał się jeszcze głośnie.

Wtedy dopiero spostrzedz można było, że wraz z wrodzo-

nym sprytem i ciągłymi wybuchami wezbranego życia, twarz młodzieńca nacechowana była rażącą w tak młodym wieku śmiałością i pewnością siebie.

Graniczyło to niekiedy z rubaszością, bo rozpieierał się na krześle, z pretensyjnym gościem gładził mały wąsik, jadł za dwóch, pił za czterech; zaraz u wstępu obiadu wychylił dwa kieliszki starki, a potem dolewał sobie miodu co chwila.

Pan Andrzej patrzył na to wszystko i zamyślał się coraz bardziej.

— Kogoż tu macie w sąsiedztwie? — spytał pana Jerzego, gdy służąca podawała ostatnią potrawę.

— Najprzyjemniejsze są dwa domy — odrzekł wnet Aleksander, nie dopuszczając ojca do odpowiedzi i odwracając się od Antosi, zarumienionej po uszy od konceptu, który snadź tylko co jej powiedział. — O, są tu dwa domy bardzo przyjemne — mówił dalej. — W jednym z nich mieszkają państwo Siankowscy z dwiema córkami. Śliczne dziewczęta, słowo daję! Panna Ludwika — blondynka, a panna Józefa brunetka. Na ostatniem zebraaniu, które było u nich w czasie świąt wielkanocnych, panna Józefa cały wieczór tylko ze mną tańczyła, dała mi nawet na pamiątkę tego wieczoru gałązkę mirtową...

Pani Snopińska nachyliła się do gościa i szepnęła:

— Mówiłam panu, że panienki głowy za nim tracą! — a zwracając się do syna, dodała głośno:

— A pokaż-że nam, Olutku, tę gałązkę; czy masz ją przy sobie?

— A jakże, moja mamo! spoczywa na mojem sercu! — zażartował Aleksander i, wyjąwszy z kieszeni kamizelki malutki elegancki pugilares, wydobył zeń uschlą gałązkę i podniósł ją w dwóch palcach z miną tryumfującą.

— A co? — szepnęła gospodyni domu do gościa i zachotała po cichu.

— Drugie przyjemne sąsiedztwo nasze to majątek Piaseczna — mówił znowu Aleksander. — Mieszka w nim pani Karliczowa, wdówka, no, już nie pierwszej młodości, ale cudo ko bietka, słowo daję! wesola, żywa i bardzo grzeczna, choć bogata. A oczki jakie ma! och! o! w tych oczach wiele jest sekrecików, tylko dobrze przypatrzeć się trzeba. O jednym z nich ja wiem; bardzo miły sekrecik, słowo daję.

I uśmiechnął się ze znaczącą miną.

— To tylko pewna — ozwał się żartobliwie pan Andrzej —

że, gdybym był kobietą, nigdybym panu nie dał żadnej pamiątki, ani powierzył żadnego sekretu.

— A to dlaczego, panie dobrodziejku? — zawołał Aleksander.

— Bo pamiątki pan pokazujesz, a o posiadaniu tajemnicy głośno opowiadasz. To trochę kompromituje damy.

Aleksander spuścił oczy i zarumienił się mocno; w tej samej chwili wstano od stołu.

W pół godziny po obiedzie pan Andrzej rzekł do gospodarza domu:

— No, kochany przyjacielu, ponieważ dość długo mam tu u was pozostać, przeznaczyłem mi zapewne osobny kąt jaki. Zaprowadź-że mnie do niego, bo chcę odpocząć po długiej podróży i list napisać do syna.

Pan Jerzy poprowadził gościa przez kilka pokoiów, ze szlachecką przybranych prostotą, a nawet po części gospodarskimi zarzuconych gratami, aż weszli na wązki kurytarz z obu stron którego było po parę drzwi.

— Wybrałem dla ciebie, Andrzej — rzekł gospodarz — najustronniejszy pokój, bo choć nigdy nie zajmowałem się pracą książkową, wiem jednak, że wymaga ona cichości i odosobnienia.

Do wszelkiego gospodarskiego ruchu stąd najdalej, bo z jednej strony korytarza są składy, a z drugiej pokój twój i Olesia. Ale, ale — dodał nagle — muszę też zobaczyć, czy chłopek jest u siebie i powiedzieć mu, aby się cicho sprawował, bo będzie miał ciebie za sąsiada.

— O, proszę cię, Jerzy, nie krępuj dla mnie swego syna! — zawołał pan Andrzej, ale gospodarz już otworzył drzwi pokoju Aleksandra.

W pokoju tym było kilka drewnianych stołków, pod ścianą stała tokarnia, dalej leżały różne przyrządy robót stolarskich, gdzieindziej kilka rozpoczętych koszyków z farbowanej łozy, pod oknem stał stolik, a na nim okrągłe lustro i dwie wypróżnione butelki od wódki czy piwa.

Między oknami, naprzeciw drzwi od korytarza, stało łóżko, a na niem leżał Aleksander, z twarzą zwróconą do sufitu. Oczy miał zamknięte i spał tak mocno, że słysząc było nawet lekkie chrapanie.

Pan Jerzy spojrział, machnął ręką z niezadowolaniem i drzwi zatrzęsnał. Potem wprowadził gościa do przeznaczonego mu mieszkania.

— Powiedz mi, Jerzy — zapytał po chwili pan Andrzej — co znaczą w pokoju twego syna te wszystkie tokarskie, stolarskie i koszykarskie przyrządy, które tam widziałem?

Snopiński znowu machnął ręką i odpowiedział:

— Et, kleci on tam coś czasem, toczy, hebluje albo splata; ale to, Boże odpuść, zdarza się raz w rok, około święta Wielkiejnocy.

— Czy ma zdolności do rzemiosł?

— I jakie! — rzekł pan Jerzy. — Jeżeli weźmie się do czego, to istne cacko robi, tylko że... at!...

Nie dokończył i oczy jego zafrasowały się mocno.

— To dziwna! — rzekł pan Andrzej — a do nauki zdolności nie miał?

— Gdzie tam! i do nauk miał zdolności, on do wszystkiego zdolności ma, tylko... ot, żał się Boże o tem mówić!

Jeszcze raz machnął ręką, westchnął i, z bardzo zafrasowaniem oczyma, pożegnawszy gościa, wyszedł.

Pan Andrzej szerokimi krokami przechadzał się po pokoju. Smutny był i jakby trochę gniewny.

Pocierał ręką czoło i mówił niekiedy do siebie:

— I cóż? zrana do wron strzela, po obiedzie śpi, na nudy narzeka, kobietom ubliża i nic więcej! A zdolności są... ale cóż po nich?

Westchnął i pokiwał głową smutnie.

II.

Szlachcie zagrodowy.

O trzy wiorsty od Adampola, tuż obok kopców granicznych, odznaczających grunta hrabiny X., dzierżawione przez pana Snopińskiego, zielenił się śliczny gaj brzozowy i dębowy, mający rozległości kilkanaście najwięcej morgów. Gaj ten miał tę szczególność, że z obu stron swoich tworzył dwa półkola, jakby wielkie altany, otwarte na szeroko rozciągające się pola i łąki.

W każdej z tych altan, utworzonych przez naturę czy może rękę ludzką, stał dworek szlachecki z szarym domem o sześciu



czystych oknach od frontu, z owocowym ogrodem, kilku gospodarskimi budowlami i dziedzińcem, otoczonym porządnym płotem z ostrokołów.

Dwa te dworki, rozdzielone z sobą całą przestrzenią kilkunasto morgowego gaju, były tak podobne do siebie, jakby je jedna stawiała ręka.

Cała różnica między nimi zachodziła w tem, że jeden z nich zwrócony był na północ, drugi na południe, i że w jednym z nich, wyraźnie w tym, który ku południowi był zwrócony, budowle gospodarskie były nieco większe i ogród rozleglejszy, co oznaczało większą rozległość należącego doń folwarku. Gdyby poeta jaki, z myślą do zachwyty łatwą, został nagle przeniesiony w to miejsce, uradowałby się niezawodnie wielkimi, choć skromnymi pięknościami natury, które w niem panowały, mianowicie o wczesnej wiosennej porze roku.

Poważna, uroczysta cisza zalegała ledwie rozzielenione pola, a przerywało ją tylko brzęczenie owadów, które w licznych rojach unosiły się nad łąkami i kąpały różnobarwne skrzydła w potokach słonecznych promieni.

Niekiedy z pomiędzy zagonów zrywał się skowronek i, nucąc srebrną piosenkę, wznosił się prostopadłe w górę, aż rozpułnął się pod niebem w ledwie dostrzegalny punkcik szary.

Niekiedy także na wysokiej kępie, sterczącej wśród łąki, albo na spróchniałym pniu dawno zrabanej wierzby stanął pstrakaty bocian i zaklekotał donośnie, a klekotaniu jego odpowiadał, od strony któregoś z dworków, cichszy, bo stłumiony przestrzenią, klekot bocianicy.

Pod zieloną ścianą gaju, białe, żółte i szafirowe motyle, jak skrzydlate obłoczki, podnosiły się z pomiędzy trawy, osiadały na młodziuchnych listkach brzoźowych albo na gałęziach dębiny, po chwili zrywały się z listków i gałęzi, unosiły się wysoko aż do szczytów drzew i spuszczały się znowu ku ziemi, łącząc się, rozdzielaając, goniąc i opadając znowu w trawę.

Ale w gaju dopiero, w samej głębi jego, wrzało najgęstsze, najbardziej rozbudzone i rozmaite życie natury.

Roje ptactwa szczebiotały tam na wyścigi, dzieciół wystukiwał sobie robaczki w konarze starego dębu, kukułka figlarnie odzywała się z zarośli, wiewiórki skakały po drzewach, puszystymi kitami wstrząsając gałęzie, u dołu zielony mech drżał, poruszany odbywającą się wśród niego robotą mrówek.

Pomiędzy tem wszystkim słońce, przeciskając się przez

gąszcz leśny, rzucało gdzieindziej szerokie smugi jasności, gdzieindziej migotało wązkimi niemi lub oderwanymi iskrami światła, jeszcze gdzieindziej zostawiało w półcieniu całe przestrzenie, osłonięte grubymi pniami i rozłożystymi gałęziami, pokryte różowym wrzosem i zapełnione szelestem uściełających gniazda ptaków, brzęczeniem szukających pokarmu owadów i fruwaniami różnobarwnych motyli.

A z góry, poprzez szczyty drzew, zaglądały błękitne i białe kawałki obłoków, jakby ciekawe spojrzeć w tę głęb' cieniistą, w której ruszały się miliony drobnych, śpiewających i kochających się na wyścigi istot, w której z pomiędzy trawy wykwiatał blady nieśmiertelnik żółty, podnosiły się dzwonki liliowe, albo wśród mchu ponsowały lśniące grona żórawin.

Tą cichą, a jednak gwarną, prostą, bezdennie głęboką siełanką przyrody otoczone były dwa dworki szlacheckie, stojące w dwóch wklęsłościach gaju.

Patrząc na nie, jak niskie, szare ale czyste stały tam między trzema ścianami zieleni i jedną stroną, niby wielkim oknem, patrzyły na równinę pól i łąk, trzeba było pomyśleć, że mieszkający ich, wykołysani urokiem wiejskiej i nieprzeznaczonej sztuką natury, musieli koniecznie w sercach swych wyhodować również prostą a wdzięczną poezję, również skromną w swych objawach, a pełną życia głębię uczuć.

Obok tej poetycznej, znać jeszcze było wkoło obu dworków wysoko podniesioną praktyczną i realną stronę życia. Otaczające je grunta uprawione były wzorowo i z niezmierną starannością; nigdzie w okolicy nie dawały się widzieć zagony tak równo i pulchno zorane, rowy tak we właściwych wykopane miejscach, łąki tak oznaczone i oczyszczone z zarośli.

Na łąkach tych pasły się trzody bydła i owiec, nieliczne wprawdzie, ale pięknej rasy i wybornie utrzymane; a wiejskie wyrostki, co je pasły, nie miały wychudzonych i zaspanych twarzy, a na sobie brudnej lub obdartej odzieży, ale w czystym i całem ubraniu, z rumianymi policzkami i wesołym wzrokiem biegały po łąkach, goniąc się i swawoląc.

Nie jeden z nich siadał na kępie i otwierał elementarzyk z malowanymi obrazkami albo książkę do nabożeństwa i, spoglądając często na powierzone sobie stada, czytał półgłosem lub nucił pobożną piosenkę.

W ustroni tej, wszędzie, gdzie spojrzeć mogło oko ludzkie, widać było jakąś rękę umiejętną i opatrzną, która rządziła wszystkim.

Od szarych, jednostajnych domów dwóch dworków, od twarzy ludzkich, które przesuwaly się w ich pobliżu, aż do ostatniego zagona gruntu, do ostatniej zrównanej kępy na łące, wszystko tam tchnęło ładem, wdziękiem, starannością.

Jak przy pierwszym spojrzeniu na tameczną naturę można było przypuścić, że dworki te posiadają serca poetyczne i głębokich uczuć pełne, tak, przyjrawszy się panującemu tam porządkowi, trzeba było pomyśleć, że, oprócz serc pocziwych, musi tam być i umysł jakiś jasny a wytrwały, który pojął wysokie zadanie człowieka: udoskonalania wszystkiego, z czem się styka, i, choćby z drobnej otaczającej go sfery, wyciągania wszelkich możebnych korzyści dla siebie i świata.

Pewnego kwietniowego ranka z jednego z dworków tych, tego właśnie, który frontowymi oknami patrzył na północ, parę godzin przed południem wyszedł młody jeszcze mężczyzna. Zwyczajem pilnych gospodarzy starannie zamknął za sobą wrota dziedzińca i poszedł drogą, wiodącą ku polom, obsadzoną młodem topolkami.

Potem zwrócił się na miedzę, biegnącą wzdłuż gaju, między zagonami bujnie wschodzącego żyta.

Szedł zwolna, z rękoma w tył założonemi, w szarem ubraniu z prostego sukna, w gospodarskim obuwiu i okrągłym słomianym kapeluszu; średniego wzrostu i szerokich ramion, twarzy ogorzalej, ozdobionej ciemnym bujnym wąsem, z ubrania i powierzchowności wyglądał na zamożnego szlachcica zagrodowego.

Zaledwie uszedł na miedzy kilkadziesiąt kroków, gdy nagle, tuż prawie z pod stóp jego, zerwał się z zagonu skowronek, uniósł się parę łokci nad ziemię i zaśpiewał. Mężczyzna, jakby lekając się krokami swymi spłoszyć ptaszka, stanął i patrzył. Skowronek śpiewał ciągle i prostopadłym lotem wzlatywał coraz wyżej, mężczyzna ścigał go wzrokiem.

Wkońcu ptaszyna wzniosła się bardzo wysoko i zniknęła prawie pod obłokami, tylko śpiew jej srebrzysty i donośny dochodził z dali do pól, pogrążonych w cichości, a człowiek, straciwszy ją z oczu, spuścił głowę i nie szedł dalej, ale stał z założonemi na piersi rękoma, pogrążony w zamyśleniu.

Czyżby w zamyślenie to wprowadził go widok i śpiew drobnego ptaszka?

Ktoby jednak wnosil z prostego ubrania i niemniej prostej powierzchowności jego, przypuściłby raczej, że szlachcic, hrecz-

kosiej, myśli o tem, ile z każdego morga będzie miał tego żyta, wśród którego stoi.

Ale dlaczegoż zadumał się on wtedy dopiero, gdy z pod stóp jego wleciała wiosenna ptaszyna i z pod obłoków słała mu wdzięczną piosenkę swoją?

Zamyślenie to było skutkiem głębokiego pocucia natury, nie przytępionego nawet codziennem z nią obcowaniem? Albo może odbiła się w niem rzewna poetyczność serca, okrytego szarem i grubem odzieniem?

Bądź co bądź, to pełne zachwyty przypatrywanie się lotowi skowronka i to zapadnięcie w zadumę niepozornie wyglądającego mężczyzny widział człowiek, który w tej samej chwili wychylił się z za skraju lasu, stanął także i bacznie przypatrywał się stojącemu wśród pola szlachcicowi.

Był on czarno ubrany i trzymał pod ramieniem dużą tekę, jaką noszą z sobą podróżujący uczeni lub artyści. Teka ta, okrągły popielaty kapelusz, całe ubranie, zastosowane do pieszych wycieczek, i posiwiące włosy, wyglądające z pod kapelusza, nadawały mu w istocie postać poważnego turysty.

Postąpił kilka kroków. Szelest, jaki uczynił, obudził z zamyślenia człowieka w szarym surducie; podniósł on głowę i obaj spojrzeli na siebie: szlachcic z lekkim zdziwieniem, turysta uprzejmie i życzliwie. Obaj machinalnie prawie podnieśli ręce do kapeluszy i skłonili się sobie wzajemnie.

— Przepraszam pana — odezwał się nadchodzący — czy nie możesz mi pan powiedzieć, jak daleko znajduję się od Adampola?

— O dobre trzy wiorsty, które nawet czterema nazwać-by można — odpowiedział szlachcic.

— A! — zawołał turysta z rodzajem zakłopotania — nie spodziewałem się odejść tak daleko, ale przypadkiem zbłądziłem!

— Pan pewno pierwszy raz jesteś w tych stronach? — spytał szlachcic.

— Tak — powiedział przybyły — przyjechałem w te strony w celu odbycia kilku wycieczek naukowych i »locum standi« mam w Adampolu.

Gdy to mówił turysta, szlachcic powtórnie uchylił nieco kapelusza.

— A! — rzekł — dziękuję przypadkowi, który w ustroni tej dał mi poznać człowieka, podróżującego w tak szlachetnym i pożytecznym celu.

Słowa te i dźwięk, jakim były wypowiedziane, odbijały od prostaczey postaci szlachcica nie mniej dziwnie, niż uprzednia poetyczna zaduma, w którą go wprowadził widok i śpiew skowronka. To też mężczyzna z teką spojrział nań z zajęciem i odrzekł:

— Uważałem przed chwilą, że i pan lubujesz się naturą, którą ja z naukowego badam stanowiska. Z taką przyjemnością zdawałeś się pan słuchać pieśni skowronka i patrzeć na lot jego!

Szlachcic nie zmieszał się bynajmniej tem spostrzeżeniem przybyłego, uśmiechnął się tylko i odpowiedział z prostotą:

— Tak, panie, kocham naturę we wszystkich jej przejawach, bo ona jest towarzyszką moją od lat dziecięcych aż dotąd. Ona była świadkiem wszystkich prac i pociech mego życia, a także i cierpień, których podobno żadnemu nie braknie człowiekowi. Każda pora roku sprowadza mi mnóstwo przypomnień, każdy kawałek pola, ptak, roślina, drzewo niemal każde, są mi znajome niby rodzeństwo, z którym się wzrastało pod jednym dachem. Pan zapewne uczysz się poznawać naturę, a może i innych znajomości tej nauczasz; ja czuję ją i kocham.

Im więcej szlachcic mówił, tem bardziej zwiększało się zdziwienie turysty. Przypatrywał mu się coraz uważniej.

— Pan zapewne jesteś właścicielem jednego z tych folwarków, które się tu pod gajem znajdują? — spytał po chwili.

— Tak, panie, oto mój dom — odparł szlachcic, wskazując dworek, o kilkaset kroków odległy, i szybko dodał:

— Ale, jeżeli pan dziś opuściłeś Adampol, musiało to być chyba bardzo rano, a ponieważ błdziłeś, musisz być porządnie zmęczony. Może pan przyjmiesz u mnie gościnność, choć na godzin parę, dla wytchnienia i posiłku?

— Z przyjemnością przyjmuję uprzejme zaproszenie pana — grzecznie i z wyraźnem zadowoleniem odrzekł turysta — tem bardziej, że, badając roślinność stron tutejszych, rad też będę poznać ich mieszkańców.

Szlachcic skłonił się lekko i już usunął się dla zostawienia gościowi swemu pierwszeństwa na wąskiej miedzy, gdy ten wyrzekł żywo:

— Ale ponieważ miły dla mnie traf sprowadził nas tu razem i będę gościem pańskim, trzeba przecież, abyśmy wiedzieli wzajem, jak się nazywamy. Jestem Andrzej Orlicki.

— A! — ze zdziwieniem i radością zawołał szlachcic — więc pan jesteś tym znanym powszechnie i tak pożytecznie pra-

cującym przyrodnikiem naszym, którego prace i nam prostakom pomagają znać i miłować naturę! Serdecznie, bardzo serdecznie witam pana na progu mojej zagrody. Nazywam się Bolesław Topolski.

To mówiąc, jakby przez głębokie uszanowanie dla nauki i pracy człowieka, którego miał przed sobą, zdjął całkiem kapelusz i wyciągnął rękę ku swemu nowemu znajomemu.

W tej chwili dopiero, gdy przez zdjęcie kapelusza odsłoniła się górna część twarzy zagrodowego szlachcica, pan Andrzej mógł przyjrzeć się głównym cechom jego fizjonomii. Była to twarz, która, na pierwszy rzut oka, nie odznaczała się niczem, ogorzała i pospolitych rysów.

Gdy nic nie mówił i oczy miał spuszczone, niktby ani chwili nie myślał przypatrywać mu się i tysiące osób mogłyby przejść koło niego, nie spojrzawszy nań inaczej, jak mimochodem. Ale gdy podniósł wzrok, zwracał na siebie bezwzględnie uwagę każdego, kto nań patrzył, bo miał takie spojrzenie, jakie rzadko spotkać można u ludzi jego stanu.

W dużych, szarych oczach jego była niepospolita głębia dobroci i myślącego spokoju, z za których wypływała chwilami nieokreślona jakaś rzewność, niby odbłask tajonej a może i nieświadomej siebie poezji serca.

Czoło miał dość wysokie i bielsze od reszty twarzy, włosy ciemne, krótko przystryżone, usta bardzo zwyczajne, trochę nawet za wypukłe i nie zupełnie kształtne, gdy milczał, ale gdy mówił lub uśmiechał się, nabierały one wyrazu tej samej dobroci, jaką miały oczy, i układały się w pewne zagięcia, znamionujące moc i męskość charakteru.

Miał też niezwykajny uścisk ręki, ciepły, silny i jakby nieco drżący. Kiedy w uścisk ten ujął rękę czyją, zdawało się, że mu w dłoń przechodziły tętna żywo uderzającego serca.

Wszakże oprócz spojrzenia, wyrazu ust i uścisku ręki, wszystko w powierzchowności jego było pospolite i bynajmniej nie zajmujące.

Nigdyby powierzchownością swoją nie mógł zwrócić na siebie oczu pięknej kobiety, a wszyscy, którzy go mijali, nie widzieli w nim najczęściej nic, prócz pocziwego może prostaka. Ale niekiedy, nagle, jakby promień przesunął się po jego twarzy i postaci, w oczach błyskała myśl, w uścisku dłoni drgało serce i każdy, kto go miał za prostego pocziwca, dojrawszy promień ten, odstępował ze zdziwieniem i mówił sobie:

— Nie spodziewałem się!

Ten promień duchowy, przenikający niekiedy na zewnątrz przez oczy, uśmiech i uścisk ręki Bolesława Topolskiego, nie mógł ująć uwagi pana Andrzeja. Musiał także powiedzieć sobie: »nie spodziewałem się!«, bo z niezmiernym zajęciem przypatrywał się swemu towarzyszowi, gdy, zszedłszy z wązkiej miedzy, szli obok siebie drogą, ku dworcowi wiodącą.

— Jakaż wzorową uprawę pól widzę tutaj — rzekł pan Andrzej, puszczając spojrzenia po długich, wązkich, wypukłych i jakby ręką ludzką usypanych zagonach. — Czy wiesz pan, że rzadko w kraju naszym zdarzało mi się napotykać tak umiejętnie i starannie urządzone gospodarstwo. To istny holenderski ogród!

— W istocie — odpowiedział Bolesław — robię wszystko, co mogę i umiem, aby niewielki kawałek gruntu, jaki posiadam, podnieść do najwyższej możebnie wartości. Czynię to i dla własnej korzyści, i z przekonania, że każde pojedyncze wysilenie, jakkolwiek odosobnione, każda praca, jakkolwiek w małym zamkniętym obrębie, skoro tylko umiejętna jest i wytrwała, może choćby drobne ziarno dorzucić do ogólnego pożytku.

— Dawnoż pan mieszkaś tutaj? — spytał pan Andrzej, którego zajęcie wzrastało.

— Urodziłem się w tej zagrodzie — odrzekł Bolesław — a w dziedzictwie otrzymałem ją po ojcu przed ośmiu laty.

— A więc musiałeś pan już otrzymać po ojcu folwark ten w tak pięknym stanie?

— Niezupełnie. Ojciec mój rzadko i dopiero przy końcu życia swego w nim mieszkał, bo całą młodość i część dojrzałego wieku spędził na wojaczce, która go prowadziła po odległych krajach. Był we Włoszech, w Hiszpanii, na San Domingo i w Algierze, a gdy wrócił do ojczystej zagrody, przywiózł z sobą bogaty w doświadczenie i wiadomości umysł, ale ciało osłabione ciężkimi trudami, jakie ponosił, i niezdolne już do pracy fizycznej, wymagającej ruchu i energii.

Matka moja, święta domowemi cnotami, umarła wkrótce po jego powrocie; ja miałem wtedy lat piętnaście. Folwark nasz w niezmiernie opłakanym naówczas był stanie; znać w nim było wieloletnią nieobecność gospodarza. Ojciec mój w części tylko mógł temu zaradzić i tego tylko dokazał, że małą majątność naszą od zupełnej uchronił ruiny, ale podnieść jej i udoskonalić sterane nie dozwoliło mu zdrowie. Natomiast zajął się mną z całym zapalem duszy, nie ostudzonej długim tułaczem życiem,

z całą miłością ojca, który pragnie w syna swego przelać samego siebie.

Uczył mię, a nauczyć mógł wiele, bo sam z otwartymi oczyma ducha po świecie wędrował; najbardziej jednak, najusilniej zaprawiał mię do pracy, do pracy rąk i myśli, ciała i ducha, bo, jak powiadał, obie są również cenne i pożyteczne i obie powinny być ciągłymi towarzyszami życia prawdziwie uczciwego człowieka.

Wpływał on na mnie niezmiernie mocą swej nieograniczonej dla mnie miłości i urokiem męskiej, jędrnej poezji, której pełne było jego rycerskie serce, a która z wolna zdawała się sączyć i przelewać w moje.

Mając lat dwadzieścia, czynnie już zająłem się gospodarstwem. Zrazu była to praca ciężka, mozolna, taka, która wymaga uczestnictwa własnych rąk, budzi przed wschodem słońca i za ledwie parę godzin wieczornych zostawia do porachowania się z własnymi myślami.

Ale rażno mi było i ochoczo pracować pod ojcowskim okiem, z myślą, że mu na stare lata dam opiekę młodego ramienia i byt wygodny zapewnię.

Zdarzały się różne przeciwności, nieurodzaje, upadki bydła; ale wszystko to przetrzymało się jakoś i naprawiło, dzięki Bogu, i miałem tę najwyższą pociechę, że ojciec mój ostatnie lata swoje przeżył w nowozbudowanym i wygodnym, choć małym, dworcu, który stanął na miejscu starego, nawpół rozwalonego, i że te ściany, w których prawdopodobnie życie całe przepędzę, słyszały jego dziękczynne i gorące błogosławieństwa, jakie przed zgonem na moją głowę zlewał.

Przestał na chwilę mówić Bolesław i twarz jego pokryła się szybko stłumionem wzruszeniem. Jakby chcąc pokryć wzruszenie to, uśmiechnął się wesoło, spojrzał na pana Andrzeja głębokiem, dobrem spojrzeniem i rzekł:

— Ale uważam, że wpadłem na tor opowiadania panu swojej biografii. Daruj pan! to nie zajmujące. Przypominam sobie, że słyszałem, jak ktoś, który tu u nas w okolicy za bardzo uczynego uchodził, utrzymywał, że nic nudniejszego nie zna, niż wszelkie biografie.

Pan Andrzej serdecznie na niego popatrzył.

— Od kilku chwil za ledwie znam pana — rzekł — ale wybaczyć mojej otwartości, gdy powiem, że wzbudziłeś we mnie takie zajęcie, iż radbym, choćby przemocą, wdrzeć się w najdrobniejsze szczegóły twego życia.

Sklonił głowę z podzięką Bolesław.

— Pragnąłbym, — odpowiedział — aby to pana zajęcie się mną obdarowało mię z czasem jego szacunkiem i życzliwością. Co do szczegółów mego życia, są one bardzo zwykłe i powszednie.

Folwark mój jest niewielki; jest to raczej zagroda szlachecka, niż folwark. Prowadzę w nim czteropolową gospodarkę, bo taka najlepiej przypada do natury gruntów. Na każdą zmianę mam po włóce ziemi, półtorej włóki łąki i tyleż prawie lasu; oto całe moje bogactwo.

Miałem przywiązane do ziemi tej trzy rodziny poddanych chłopów, ale ich uwolniłem zaraz po śmierci ojca, wskutek ostatniej woli jego, która się i z moją zgadzała. Odtąd zaprowadziłem gospodarstwo parobczane i przekonałem się, że takie, gdy tylko jest umiejętnie prowadzone, daleko więcej przynosi korzyści gospodarzowi, niż praca przymusowa.

Dziś osiągam z Topolina dochód taki, jaki gdzieindziej mają z majątków cztery albo i sześć razy większych od mego. Latem i jesienią pracuję bardzo nad rolą, zimą i wiosną mniej mam do czynienia z gospodarstwem, to też zamykam się w mojej szarej kochanej chacie i staram się nie zatracić tego, co mi z dziedziny wiedzy pozostawił mój ojciec, a może, przy pomocy Bożej, i dorobić się przybytku moralnego dobra, tak, jak już dorobiłem się przybytku chleba powszedniego.

Kończąc to mówić, Bolesław wraz z swym towarzyszem znalazł się na ganku swego domu i uprzejmym gościem wskazał wejście gościowi.

Z widnej, czysto wybielonej i wymiecionej sieni pan Andrzej wszedł do jasnego, o dwóch oknach, wychodzących na dziedziniec, pokoju.

Podłoga w nim była z prostych desek, niemalowana, ale gładko ułożona i czysto wymyta; pod ścianą, między oknami stała kanapa z żółtego jesionu, przed nią stół okrągły, pokryty serwetą pięknej i delikatnej roboty kobiecej.

U okien były firanki z gładkiego białego muslinu, pod ścianami stały wypłatane żółte krzesła, na ścianach wisiało kilka niewielkich portretów znakomitych w dziejach ojczystych ludzi, w prostych drewnianych ramach, malowanych czerwono z czarnymi kantami.

Przez otwarte drzwi do drugiego pokoju widać było łóżko, ozdobione dużym, nieco spłowiałym dywanem, stół z przyrzadami do pisania i z kilku rachunkowymi i prawnymi księgami,

kilka półek przy ścianie, napełnionych książkami różnych formatów, a nad książkami zawieszony na haku pęk wielkich kluczy, od śpichrzów snadź i stodoły.

Skromne było to szlacheckie mieszkanko, czyste, jasne i nieco surowe. Żadnych ozdób, nic w nim nie było miękkiego, wszystko tylko ściśle potrzebne, choć dostatnie. Klucze, zawieszane nad książkami, i książki, stojące pod nimi na półkach, zdawały się być symbolami mieszkania i żyjącego w nim człowieka.

Dwie tylko były tam rzeczy, drobne, ale stanowiące sprzecznosc z surowością i pierwotną prostotą całego otoczenia: serweta na stole, wyraźnie kobiecą ręką pleciona z jedwabiu, jak z nitek pajęczych, i doniczka na oknie z pięknie kwitnącym białym narcyzem.

Te dwa przedmioty zdawały się mówić o kobiecie, tchnęły kobiecością, której zresztą śladów nigdzie więcej nie było.

— Przepraszam pana, że opuszczę go na chwilę — rzekł Bolesław do gościa, gdy obaj weszli do mieszkania. — Pan jesteś głodny, a ja nie zapominam o tem, że jestem gospodarzem i że natrętnie prawie pociągnąłem pana do siebie. Rozkażę więc po dać przekąskę, przyspieszyć obiad, i natychmiast służyć będę.

To mówiąc, wyszedł, a pan Andrzej zaczął rozglądać się wkoło. Spojrzał w głąb sąsiedniego pokoju, którego drzwi na oścież były otwarte, a wiedziony ku książkom zamilowaniem uczonego, zbliżył się do nich.

Półki, zawierające księgozbiór Bolesława, dzieliły się na dwie kondygnacye, przegrodzone podłużną deską. Po jednej stronie były grube tomy, na których skromnej czarnej oprawie jaśniały imiona: Śniadeckich, Kołłątaja, Naruszewicza, Skargi, Lelewela i parę innych; po drugiej stały powieści i poezye, nowszych czasów przeważnie, a między nimi parę tomów Kochanowskiego, Krasickiego i Reja z Nagłowic.

Pan Andrzej czytał tytuły książek i przyjemne zdziwienie wzrastało na jego twarzy.

Wypadkiem rzucił spojrzenie na bok i ujrzał na niewielkim stoliku, umieszczonym przy łóżku, parę gazet i ilustracyi polskich; pomiędzy nimi stał lichtarz z niedopaloną świecą i można było odgadnąć, że nie dawniej, niż dnia poprzedniego, Bolesław, przed zamknięciem do snu oczu, pisma te czytał. Leżały one nawet w nieładzie, świadczącym, że pilnie zajmowano się nimi.

Pan Andrzej patrzył i zamyślił się, ale z zamyślonych oczu jego zniknął całkiem smutek, a ukazała się w nich błogość taka, jaką czuje człowiek, który widzi wcielającą się najulubieńszą ideę swoją.

W zamyśleniu zdjął z półki jedną z książek — była to korespondencya Kołłątaja z Czackim.

Przerzucał ją pan Andrzej machinalnie prawie, gdy z pomiędzy kartek wypadł kawałek cienkiego papieru. Podniósł go z podłogi i mimowolnie rzucił nań okiem; kilka wierszy drobnem i wprawnem pismem było na tym papierze. Pan Andrzej sądził, iż są to notaty z poważnego dzieła, w którym się papier znajdował, i przeczytał:

»Widziałem ją dziś, dobrą i piękną, jak anioł. W oczach jej było nieco dobroci, na ustach raj rozkoszy«.

»Kobieta dobra i piękna, to dla mężczyzny źródło, z którego on co chwila czerpie szczęście i siły na surowe i pracowite życie«.

»A taką jest ona«.

»A ona będzie moja!«

Pan Andrzej uśmiechnął się i rzekł do siebie:

— Niepotrzebniem to przeczytał, ale nie spodziewałem się, aby dwaj uczeni mężowie, Kołłątaj i Czacki, byli powiernikami marzeń miłosnych.

Włożył kartkę do książki i książkę postawił na półce. W tej samej chwili ozwał się obok niego wesoły głos Bolesława.

— Uważam, że pana zajęła nieco biblioteczka moja. Połowa jej, ta mianowicie, która składa się przeważnie z dzieł minionych stuleci, dostała mi się po ojcu, drugą sam dokupiłem.

Pan Andrzej podniósł wzrok i po chwili milczenia rzekł gorąco:

— Daj Boże, aby syn pana, jeśli go kiedy mieć będziesz, tak samo snuł dalej pocziwą i rozumną myśl, która ukrywa się pod tą słomianą strzechą, jak prawdziwa perła na dnie niepokornej muszli!

Uśmiechnął się Bolesław i uściśnął rękę swemu gościowi.

— Mało mojej zasługi jest we wszystkim, co pan dobrego lub rozumnego zobaczyć możesz w tej mojej zagrodzie. Od wieków było tutaj pocziwie i rozumnie, a ja ciągnę dalej nić tradycyi ojczystej, przekazanej mi po przodkach, a bezpośrednio otrzymanej w spuściznie po ojcu.

— O, tak! — odparł z przejęciem się pan Andrzej — trzeba być złym i bezrozumnym, aby pocziwej tradycyi rodzinnej nie uszanować i nie uszlachetnić własną pracą.

— Pozwól, szanowny mój gościu — rzekł Bolesław — abym teraz zaprosił cię na prozaiczne pole powszednich potrzeb. Przepraska na nas czeka.

To rzekłszy, wprowadził gościa do pierwszego pokoju. W chwili, gdy tam wchodzili, stary sługa, o włosach i wąsach białych jak śnieg, o czerstwej twarzy i szerokiej szramie na czole, stawał na stole, umieszczonym przed kanapą, tacę pełną wiejskich przysmaków: wędlin, serów i litewskich nalewek. Bolesław zbliżył się do służącego, położył mu rękę na ramieniu i rzekł do pana Andrzeja:

— Przedstawiam panu pocziwego Krzysztofa, starego towarzysza broni mego ojca.

Pan Andrzej przemówił kilka słów przychylnych do starego wojaka, który odpowiedział, kłaniając się z żołnierską i uśmiejając się pod wąsem:

— »Je parle français, *mosie*, j'étais sept ans en France, beau Paris!«

Zaśmieli się gość i gospodarz z tej improwizowanej francuszczyzny i z dobrym apetytem wzięli się do śniadania. W pokoju słońce szerokimi smugami złoćciło posadzkę, migotało po ścianach i opromieniało portrety wielkich mężów.

Na dziedzińcu, naprzeciw jednego z otwartych okien, młody chłopak w siermiędze pał dwa stajenne młode, ale dobrze utrzymane koniki.

Stał on na zrebie i wykonywał różne gimnastyczne sztuki, dla pokazania swej zręczności przed dwiema rumianami dziewczkami, które, o parę kroków od niego, prały bieliznę w wielkiej balii.

Dziewczęta śmiały się do rozpuku, a chichotaniu ich towarzyszyło skrzypienie żórawia u studni i plusk wody, przelewającej się z wiadra do koryta.

Na dziedzińcu wokoło wszystko tchnęło zielenią, świeżością, czynnem życiem, w pokoju panowała cisza i ład, a nieokreślona jasność wewnętrzna, niby promienie silnego i spokojnego ducha, okrywała twarz gospodarza, swobodnie rozmawiającego ze swym gościem.

Pan Andrzej słuchał i patrzył na wszystko uważnie, wkońcu rzekł:

— Prawdziwie zachwycony jestem pańską ustronią. Kto tu

raz zajrzał, może śmiało powiedzieć: »I ja byłem w Arkadyi!« Wiesz pan jednak, co mi na myśl przychodzi? Do uzupełnienia tej cichej poezji i pełni życia, jakie tu panują, braknie jeszcze kobiety, rozumie się kochanej, dobrej i myślącej.

Bolesław nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się i, jakby mimowoli, rzucił spojrzenie na doniczkę z narcyzem, a w oczach jego błysnął wyraz uszczęśliwienia.

Czas upływał szybko, słońce już tylko parę godzin miało do zachodu, a pan Andrzej ani myślał o opuszczeniu szlacheckiej zagrody, która snadź bardzo przypadła mu do serca.

Już było po obiedzie, gość i gospodarz siedzieli na ganku, prowadząc ciągle rozmowę, która nabierała coraz więcej zajęcia i ożywienia.

— Powiedz mi pan — rzekł pan Andrzej — kto mieszka w tym drugim dworku, co tam za gajem stoi, a tak podobny jest do tego, jakby obadwa przez rodzonych braci postawione były?

Na to pytanie pana Andrzeja nagły rumieniec oblał twarz Bolesława i pokrył mu nawet czoło.

Z rumieńcem tym wyglądał on, jak człowiek, który na chwilę zapomniał był o czemś przejmującym nawskroś całą jego istotę, a ktoś mu o tem nagle przypomniał i przypomnienie to, niby dotknięcie iskry elektrycznej, wstrząsnęło całym organizmem. Pohamował się jednak szybko i odrzekł spokojnie:

— W dworku tym, który się nazywa Niemenka, mieszka pani Niemeńska, kobieta w wieku i wdowa, z synowicą swoją, panną Wincentą Niemeńską.

Trzeba było bardzo nieprzenikliwego oka i ucha, aby nie dojrzeć wymownego spuszczenia oczu i nie dosłyszeć szczególnego dźwięku głosu, z jakimi Bolesław wymówił ostatnie imię.

Pan Andrzej nie należał do rzędu nieprzenikliwych, to też uśmiechnął się nieznacznie, z przyjemnością popatrzył na Bolesława i ozwał się:

— Pan zapewne często bywasz w Niemence? tak blizkie sąsiedztwo...

— O! bardzo blizkie — odrzekł Bolesław — tem bliższe, że panna Wincenta jest moją narzeczoną.

Wyrzekł to z uśmiechem, ale głos mu zadrżał, i znowu nagły ponsowy rumieniec pokrył twarz na mgnienie oka.

W tem drżeniu głosu i w tych nagłych ognistych rumienicach, pojawiających się przy wspomnieniu kobiecego imienia

u tego mężczyzny skończonych lat trzydziestu i męskiej powierchowności, odbiła się przedziwna świeżość i dziewiczość serca, ale zarazem trysnęła z nich luna płomienistej, namiętnej natury.

Rozmowa po raz pierwszy przerwała się na chwilę. Bolesław spuścił wzrok i zamyślił się, jakby zapomniał o tem, co się działo koło niego; pan Andrzej patrzył nań z baczną i życziwą uwagą.

— Tak więc — odezwał się — masz pan tylko krok jeden uczynić do ślubnego ołtarza.

— Krok ten jednak dość długo trwać będzie — odpowiedział Bolesław. — Panna Wincenta bardzo młoda jest jeszcze, bo ma dopiero rok siedemnasty; za wolą jej i jej ciotki, a także i wskutek własnej rozważy, postanowiłem czekać rok jeden jeszcze, chociaż rok już także mija od czasu, jak jesteśmy zaręczeni.

— Zapewne odłożyłeś pan termin ślubu swego dla lepszego wzajemnego poznania się z narzeczoną? — spytał pan Andrzej.

— O, tego już nam nie potrzeba — żywo odparł Bolesław. — Ja znam pannę Wincentę od dzieciństwa, a okoliczności tak się składały, że od lat pięciu, t. j. od pory, w której straciła ojca i została zupełną sierotą, bo matki nie miała już oddawna, widywaliśmy się codziennie prawie.

Zwłoka ta została postanowiona skutkiem uwagi, że lepiej jest zawsze, jeśli kobieta przyjmuje na siebie obowiązki żony i gospodyni, a może i mające wkrótce nastąpić trudy macierzyństwa, wtedy, gdy jest już w pełni rozwoju swoich sił moralnych i fizycznych. Zresztą ona tak chciała, a niech mię Bóg broni, abym przeciw jej woli miał przyśpieszać choć o jeden dzień spełnienie najgorętszych życzeń mego serca.

— I panu to oczekiwanie nie wydaje się zbyt trudnem? — spytał pan Andrzej, przypatrując się silnemu rozplamienieniu oczu, jakby elektrycznemu prądowi, który przebiegał po twarzy Bolesława, gdy mówił o narzeczonej.

— Nie — odrzekł Topolski — widujemy się bardzo często, pewny jestem, że posiadam jej serce i że ją posiadać będę, a to mi wystarczy. Zresztą i teraźniejszość daje mi tak wiele żywych radości, że, gdybym był najpierwszym z poetów w świecie, nie wiem, czybym je wszystkie wypowiedzieć był zdolny.

— Sielanka, prawdziwa sielanka! — szepnął do siebie pan Andrzej, a głośno dodał: — Prawdziwie, jak słucham pana, mó-

wiącego o swej narzeczonej, zdaje mi się, że słyszę pieśń, śpiewaną wśród pól i gajów, przy odgłosie fujarki pasterskiej i szmerze strumyka. Jakżebym pragnął widzieć narzeczoną pańską.

— O, nic łatwiejszego! — z żywym zadowoleniem zawołał Bolesław, ujmując za obie ręce swego gościa — to tak blisko, kilkadziesiąt kroków zaledwie, jeśli przez gaj pójdziemy. Jeżeli pan zechcesz, możemy tam pojsć natychmiast. Ja także będę bardzo szczęśliwym, mogąc pokazać ją panu, pochwalić się nią...

Rzekłszy ostatnie słowa z radością i dumą kochającego mężczyzny, Bolesław wstał z ławki i patrzył na swego gościa z niepokojem, jakby obawiał się, aby propozycja jego odrzucona nie została.

— Hm — odparł, namyślając się, pan Andrzej — będzie to trochę oryginalny postępek z mej strony, ale mam nadzieję, że znajome pańskie przebaczą turyście i staremu dziwakowi chęć poznania ich, jaką pan obudziłeś we mnie. Pójdźmy.

Bolesław jednym skokiem wpadł do wnętrza domu i przyniósł gościowi swemu jego kapclusz.

— Jeden jeszcze warunek, kochany mój i uprzejmy gospodarzu — rzekł pan Andrzej. — W Adampolu będą niespokojni o mnie, jeśli przed zachodem słońca nie wrócę; racz-że tam posłać kogo z uwiadomieniem, że się tu znajduję, i z prośbą ode mnie, aby dziś wieczorem przysłano tu moje konie po mnie.

— O, na to ostatnie nie zgadzam się — zawołał Bolesław. — Gońca z zawiadomieniem posłę, ale koni nie trzeba, bo pan moimi odjedziesz, i nie dziś, ale jutro. Chcąc nie chcąc, musisz pan u mnie przenocować, jesteś moim gościem, a po staropolsku, gość to niewolnik, który nie ma prawa wyjechać, kiedy chce, ale kiedy gospodarz domu go wypuści, wymógłszy wprzód obietnicę, że prędko wróci do swego chwilowego więzienia.

— Ha! — rzekł pan Andrzej — niechże i tak będzie. Miło mi i dobrze z panem, więc na cóż mam się wyrwać. Na żadną ekskursję i tak nie wybierałem się jutro.

Uścisnęli się serdecznie, poprostu.

W uściśnieniu tem nie znać było, że jeden z nich był bogatym człowiekiem i sławnym w kraju uczonym, a drugi prostym zagrodowym rolnikiem.

Braterstwo ducha szybko owinęło i połączyło tych dwóch ludzi, tak, jak wonny powój owija i łączy jednymi sploty wspaniałe i cenny modrzew z pospolitym, ale silnym i szlachetnym dębem.

III.

Wincunia.

Dziedzinec w Niemence był, jak w Topolinie, okrągło wykrojony, niewielki, otoczony równym ostrokołem. Z tyłu osłaniało go obszerne półkole gęstego gaju, z przodu otwierała się perspektywa na łąkę, upstrzoną żółtem kwieciami. Gładka murawa zaścierała podwórze, a wśród niej krzyżowało się kilka wązkich, białych udeptanych ścieżek, prowadzących od domu do gospodarskich budowli.

Ganek, na dwóch słupach wsparty, ocieniony był dzikim winogrodem, który już rozzieleniać się poczynął, a niedaleko jednej z bocznych ścian domu, naprzeciw bramy dziedzińca, stała gruba rozłożysta lipa, otoczona dość wysoką kamienną ławką. Nad stodołą wznosiło się gniazdo bocianie, a niedaleko stamtąd była studnia z wysokim żorawiem.

Słońce zachodziło; wielka jego tarcza, staczając się za fioletowe chmury, różową luną rozświecała dworek Niemenki. Okna domu były pootwierane, z nad dachu wyglądały owocowe drzewa ogrodu, pokryte białym kwieciami, na dziedzińcu panował gwar.

Dziwaczny był to gwar, bo złożony z głosów różnego ptactwa, wśród których jednak panowało gruchanie gołębi, a nad gruchaniem tem jeszcze i nad całym gwarem unosił się srebrny głos kobiecy, nucący wesoło jakąś prostą wiejską piosenkę.

Na kamiennej ławce pod lipą stała młodziuchna, siedemnastoletnia dziewczyna. Ubrana była w różową perkalową sukienkę i przepasana białym fartuszkim. Dwa grube warkocze bardzo jasnych włosów otaczały jej głowę, a w nich jaśniało kilka śnieżnych nad czołem wplecionych narcyzów.

Czoło to, białe i gładkie, godne było tej kwiecistej aureoli;

pod niem wilgotnym blaskiem płonęły szafirowe oczy, wielkie, ściągłe, do połowy przysłonięte powieką i ocienione długą ciemną rzęsą. Twarz dziewczyny delikatna była i biała, usta wiśniowe, wilgotne i ukazujące w uśmiechu piękne zęby.

Wogóle dziewczę to, drobnej i kształtnej postaci, więcej było ładne, niż piękne; najładniejszym czynił je wyraz pogody i dziecięcej naiwności w twarzy, a wielka żywość w ruchach i postawie, z której co chwila tryskały objawy nieświadomej jeszcze siebie, ale ognistej natury.

Stała na ławce kamiennej, a gałęzie lipy zielone tylko co rozpuszczonem liściem zewsząd ją obejmowały, spadały jej na głowę i ramiona, dotykały różowej sukienki, muskały białą szyję.

W jednej ręce trzymała końce białego fartuszka, drugą rozsypywała do stóp swych przeróżne ziarna: pszenicy, jęczmienia, grochu, które wszystkie złościły się od promieni słonecznych i potokami spadały na trawę. Na trawie tej dopiero były gonitwy, zamieszanie, wrzawa i walki.

Czubate kury, zielonogłowe kaczory, drobnutkie kaczątka i wspaniałe koguty, a między tem wszystkim największa liczba gołębi białych, szarych, ceglastych i srebrnopiórych zbiegała się za ziarnem, odbierając je sobie wzajem, wydając krzyki, podlatując w górę i znowu opadając na ziemię.

Dziewczyna drobną ręką coraz więcej sypała ziarna tej krzykliwej i różnobarwnej rzeszy, i sama, jak ptaszyna, otwierała usta, śpiewając ochoczo wesołą piosenkę.

Dwa śnieżne gołębie, nasycone już snadź pożywieniem, wzleciały z nad murawy, uniosły się w górę, i jeden z nich usiadł na ramieniu dziewczyny, drugi począł krążyć nad jej głową.

W tej samej chwili, nagle urwała ona piosenkę, spłoniła się szkarłatnym rumieńcem i wypuściła z ręki fartuszek, tak, iż wszystkie ziarna wysypały się w trawę.

Naprzeciw siebie, w bramie dziedzińca, ujrzała stojących i przypatrujących się jej dwóch mężczyzn, z których jeden był jej nieznamy.

Kilka sekund stała na swym kamiennym piedestale, zmieszana, spłoniona, z rękoma opuszczonemi na suknię. Po chwili jednak skinęła głową z determinacją, zeskoczyła z ławki i podbiegła na spotkanie przybywających.

Zestraszone jej nagłym skokiem ptactwo rozsypało się po

murawie w różne strony, tylko kilka gołębi frunęło za nią i krążyło wciąż nad jej głową.

— Dobry wieczór panu — rzekła młoda dziewczyna do Bolesława Topolskiego i podała mu rękę.

Bolesław uściśnął drobne paluszki i rzekł:

— Wiodę do państwa miłego gościa, który niedawno przybył w nasze strony, a dziś wypadkiem wstąpił i w moje progi. Panno Wincento, oto jest pan Andrzej Orlicki.

Na dźwięk tego nazwiska, lekki wykrzyk wydarł się z ust Wincuni, zarumieniła się znowu i, jakby nagle nieśmieleństwem zdjęta, spuściła oczy i zaczęła kręcić w palcach róg swego fartuszka.

— Wszak nie wezmą mi panie za złe tego niespodziewanego najścia na dom ich — uprzejmie rzekł pan Andrzej, z upodobaniem patrząc na uroczą w zmieszaniu swem dziewczynę.

— Za złe! o nie! my znamy pana oddawna! — wymówiła, ośmielając się i zwolna podnosząc na gościa swe szafirowe, połyskliwe oczy.

— Panie Bolesławie — dodała szybko — wszak to pan Orlicki zapewne jest autorem tej przesłicznej książki o ptakach i kwiatach, którą czytaliśmy razem zeszłej zimy.

— Tak — odpowiedział Bolesław — szczęśliwy traf daje nam dziś poznać człowieka, którego szlachetne myśli uwielbiamy już oddawna.

— O, mój Boże! — mówiła Wincunia — ja prawdziwie przełękłam się, usłyszawszy nazwisko pana. Pierwszy raz w życiu widzę kogoś, kto książki pisze, a jeszcze tak piękne i uczone. Jakże pan precudnie opisałeś słowika! — mówiła, coraz ożywiając się i ośmielając, a delikatne jej policzki lekko zaróżowiały — albo jakże pięknie powtórzyłeś pan tę powieść wschodnią o słowiku, który śpiewał dla białej róży póty, aż umarł ze zmęczenia. Jakże to poetyczne!

— Powieść ta o słowiku i róży — odpowiedział pan Andrzej — jakkolwiek wschodnią wyobraźnią wysniona, nie więcej jest poetyczną, jak pani byłaś przed chwilą, stojąc na kamiennej ławce z jednym gołębiem na ramieniu, drugim nad głową.

Wincunia znowu zarumieniła się i odrzekła:

— Te ptaszęta różne, to moje królestwo! gołębie to są moi paziowie, którzy lecą za mną, gdzie się tylko obróć. O! ja bardzo lubię ptaki i kwiaty; z ptaków najlepiej gołębie i słowiki

a z kwiatów te, co są różowe lub białe. Mam jednego gołąbka, który umie nosić kwiaty w dzióbku; w zeszłym roku włożyłam mu w dzióbek gałązkę konwalii, a on ją zaniósł w gaj i podobno aż do Topolina. Nieprawdaż, panie Bolesławie?

I zaśmiała się pusto, srebrzysto, przeciągle. Bolesław nie odpowiedział; wzrokiem tonał w twarzy dziewczęcej, pełnej ruchomej gry naiwności i poezji, bladości i rumieńców, onieśmienia i swobody.

— Pokażesz mi pani tego gołąbka, co tak miłe nosi poselstwa — rzekł z uśmiechem pan Andrzej.

— O, dobrze, dobrze! — odparła Wincunia — ależ, mój Boże! — zawołała żywo — ja tu stoję i rozmawiam z panami, a ciocia nic nie wie o ich przybyciu. Pójdę oznajmię jej, że mamy gości; ona w ogrodzie! — Poskoczyła żwawo i zgrabnie i zniknęła za zasłoną w domu.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie; w rozpromienionych oczach Bolesława było pytanie.

— Uroczę dziecię — rzekł półgłosem pan Andrzej.

— Tak, dziecię jeszcze, ale w niem mój świat! — odpowiedział zcichą Bolesław.

Wnętrze domu, do którego wszedł po chwili pan Andrzej z przewodnikiem swoim, było zupełnie podobne do mieszkania w Topolinie. Więcej w niem tylko było miękkości i kobiecego wdzięku.

Nizkie sofki, obite popielatym perkalem w amarantowe bukiety, stały pod ścianami, firanki z takiegoż perkalu zdobiły okna, a wszędzie, na stołach, komodach i pod oknami, mnóstwo było zieleni i kwiatów.

W niewielkim przyległym pokoju, ostawionym trochę je-sionowych sprzętów, stał staroświecki fortepianik o sześciu ok-tawach, a szklane drzwi, otwarte na ogród, ukazywały zieloną ścianę drzew i kilka klombów pod gankiem.

Przez te drzwi ogrodowe weszła po krótkiej chwili pięć-dziesięcioletnia przeszła pani Niemeńska, w białym czepczku i w okularach, a za nią, zdyszana i zarumieniona od biegu, uka-zała się Wincunia.

Nastąpiły prezentacje i oświadczenia pani Niemeńskiej, że szczególnie jest, widząc u siebie tak czcigodnego i znanego po-wszecznie gościa, co wszystko połączone było ze staroświeckimi i nieco pretensjonalnymi ukłonami gospodyni domu. Poczem usiedli wszyscy i rozmowa potoczyła się żywo, dzięki wielo-mówności pani Niemeńskiej i światowej łatwości obejścia się

pana Andrzeja. Najmniejszy udział w niej brał Bolesław. Stał się on małym, zamyślonym, tylko, gdy wzrok jego spotykał się z oczyma Wincuni, po twarzy mu przebiegały niby iskry i promienie.

— Pan dobrodziej na całe lato zamieszkał w Adampolu? — pytała pani Niemeńska pana Andrzeja.

— Z wyjątkiem kilku wycieczek, które trwać będą po parę tygodni — odpowiedział gość, ale, gdy to mówił, Wincunia ze szczególnem zajęciem spojrzała na niego, jakby uderzyła ją i zainteresowała wiadomość, że on przebywa w Adampolu.

Nikt na to uwagi nie zwrócił, a pani Niemeńska pytała dalej:

— Pan dobrodziej musisz dobrze znać państwa Sno-pińskich?

— Jestem dalekim krewnym Jerzego, a przytem kolegą jego szkolnym.

— Jakże szczęśliwi są państwo Snopińscy, że mają takiego krewnego, jak pan dobrodziej! — zawołała pani Niemeńska. — Ależ bo to prawdziwie godni ludzie! Nie bywamy wprawdzie u siebie i nie znamy się zblizka, ale mają tu w całej okolicy śliczną opinię. Pan Jerzy to gospodarz całą gębą, a i ona po-dobno doskonała gospodyni. Alboż syn ich, ten pan Aleksander! Widujemy go często w kościele; jakież to śliczny i greczny ka-waler! Przeszłej niedzieli Wincuni pod kościołem upadła z rąk książka do nabożeństwa, a on, choć nieznajomy, poskoczył, pod-niósł, uklonił się i oddał. Śliczny kawaler, panie dobrodzieju, greczny kawaler!

Pan Andrzej ani słowa nie odpowiedział na te pochwały młodego Aleksandra, ale Wincunia, przy wzmiance ciotki o pod-niesieniu książki, spuściła oczy i zarumieniła się, przyczem chmurka zamyślenia przemknęła po jej pogodnym czole.

— Już to można powiedzieć — ciągnęła dalej mowna go-spodyni — że w całej okolicy niema dla pańienek lepszej partyi, niż pan Aleksander Snopiński. Powiadają, że ojciec jego to ka-pitalista co się nazywa, a on jest jedynakiem. Przytem jakie miłe ułożenie i jaki śliczny z niego mężczyzna! aż miło pa-trzeć!

Słowa te wprawiały Wincunię w coraz silniejsze wzrusze-nie, objawiające się szybko następującymi po sobie rumieńcami, spuszczeniem oczu i kręceniem w palcach rogu fartuszka. Nagle zerwała się z krzesła i rzekła do ciotki:

— Każę podać herbatę w ogrodzie. Czy dobrze, ciociu?

— Dobrze, moja koteczko — odpowiedziała pani Niemeńska, a Wincunia żywo poskoczyła i wybiegła przez drzwi ogrodowe.

Bolesław prowadził za nią wzrokiem, a gdy zniknęła, jakby nieobecnością jej przywrócony do świata otaczającego, ozwał się, ciągnąc dalej rozpoczętą rozmowę.

— Dziwi mię tylko trochę, że pan Aleksander Snopiński niczem się nie zajmuje. Od dwóch lat, jak osiadł w tych stonach, zawsze można go widzieć chodzącego z fuzyą po polach, albo jeżdżącego po sąsiedztwach.

— I cóż to wszystko szkodzi? — żywo zawołała pani Niemeńska. — Poco też pan Snopiński ma pracować, jak parobek, kiedy ojciec jego bogaty i zostawi mu przyzwoity fundusz. Nawet-by szkoda było, żeby taki młody i śliczny kawaler zagrzebał się w gospodarstwie i wyrzekł się świata.

— Należy tylko obawiać się — rzekł Bolesław — aby bezczynność nie zepsuła charakteru tak młodego człowieka i nie wprowadziła go w jakie nieszczęśliwe nałogi.

— O, co tego to pewno nie będzie! — z zapalem ujęła się gospodyni domu. — W jakież nałogi mógłby wpaść z takim pięknym ułożeniem i taką delikatnością? Zresztą, to kompletnie światowy kawaler, bywa po *wielkich* domach. Powiadają, że pani Karliczowa bardzo go lubi i zaprasza do siebie, a przecież to po hrabinie X. najbogatsza obywatelka w całej okolicy i dom na wielką skalę prowadzi.

— Pani Karliczowa! — powtórzył Bolesław przeciągle i z pewną ironią w głosie.

W tej chwili Wincunia wbiegła z ogrodu i zaprosiła na herbatę.

Ogród w Niemence był niewielki, kwadratowy, z trzech stron otoczony wąską, cienistą aleją z lip, a z czwartej zamknięty domem. Pośrodku było kilka kwadratów z owocowymi drzewami, między niemi krzyżowały się gracowane ścieżki, osadzone krzakami agrestu, porzeczek i malin, a w rogu ogrodu półkole ze starych lip tworzyło dość obszerną i ocienioną altanę. Z pomiędzy drzew alei wyglądał płot z ostrokołów, okalający ogród.

W altanie był stół kamienny, otoczony drewnianymi ławkami, a na nim oczekiwał gości niemenkowskich wiejski podwieczorek, ozdobiony wielkim pachnącym bukietem, postawionym przez Wincunię pośrodku stołu, między półmiskiem pieczonych kurcząt a nalewką, pełną wybornej śmietanki.

Zasiedli wszyscy około kipiącego samowaru; Wincunia nalewała i podawała herbatę. Była ona żywa, jak iskra, oswoiła się łatwo z nieznanym sobie człowiekiem i szczebiotała ciągle, to przekomarzając się dziecinnie z Bolesławem, to opowiadając gościowi o swoich kwiatach, gołębiach, nawet i książkach, które w zimowe i jesienne wieczory czytała razem z narzeczonym.

Podwieczorek był spożyty, godzina cała upłynęła szybko i nieznacznie dla całego towarzystwa, które snadź wzajemnie z siebie zadowolone było; słońce już zaszło i zmrok zapadał powoli.

— Ach, mój Boże! zapomniałam — zawołała nagle Wincunia, uderzając się ręką po czoło.

— O czym pani zapomniała? — spytał Bolesław.

— Zapomniałam polać moje kwiaty!

— Więc pójdźmy, polejmy je teraz, ja pani pomogę.

— A dobrze — zawołało dziewczę, klaskając w dłonie — pójdźmy!

Zerwała się z ławeczki i pobiegła, a za nią pośpieszył Bolesław.

Pani Niemeńska gawędziła z gościem.

— Bo to, widzi pan dobrodzieju — ciągnęła rozpoczętą rozmowę — ojciec Wincuni był moim rodzonym bratem, i trzecia część Niemenki do mnie należy. Nieboszczyk mój, świeć Panie nad jego duszą, był urzędnikiem w G., ale gdy umarł, a ja zostałam się wdową, bezdzietną i samą jedną na świecie, przyjechałam do brata i hodowałam mu dziecko, które już dawno matkę straciło. Za nieboszczyka brata działa się nam nieźle, bo dobry był z niego gospodarz, ale po jego śmierci, wszystko zaczęło rujnować się, i dawno już nie miałybyśmy Niemenki, gdyby nie pan Topolski. Niech jemu Pan Bóg i Najświętsza Panna wyngrodzą!...

— Więc pan Topolski przybył paniom z pomocą, gdy byłycie w kłopotach? — z żywą ciekawością spytał pan Andrzej, widocznie rad, że dowie się o jednym jeszcze pięknym rysie charakteru Bolesława.

— A jakże! — zawołała pani Niemeńska. — Oto, panie dobrodzieju, po śmierci nieboszczyka brata dworek zaczął się walić, bo był stary, bydło na zarazę wypadło, ziemia nie rodziła, bo nie było komu dopilnować jej uprawy. Już nędza stała u nas tuż, tuż pod progiem. Jak tylko on wszystko wziął w swoje ręce, cała gospodarka poszła jak z płatka. Pracował, panie dobrodzieju,

przez trzy lata, aż żał było patrzeć, bo i na swoim, i na naszym, a nie pozwalał nawet nigdy podziękować sobie. Zbudował nam nowy dworek, taki samiuteńki, jak u siebie, inwentarz zaprowadził, łąki potrzebził, długie, które jeszcze nieboszczyk był zaciągnął, to na to, to na owo, pospłacał dochodami Niemenki, które co rok powiększały się, jak cudem jakim, a teraz doprowadził folwark do takiej wartości, jakiej nigdy nawet za nieboszczyka nie miał.

— Czy pan Bolesław miał jakie obowiązki względem rodziny państwa, że tak się dla pań poświęcał? — spytał pan Andrzej, w którego oczach błyszczała najczystsza radość.

— Żadnych, panie dobrodziej, najmniejszych! — odpowiedziała pani Niemeńska. — Ot, poprostu, przychodził do nas dość często, jak to zwyczajnie w bliskim sąsiedztwie bywa, i widział moje kłopoty i to, że sobie rady z gospodarstwem dać nie mogę.

Widział, jak mnie okradali, oszukiwali, jak, słowem, ginęłyśmy bez męskiej opieki. Z początku tylko radził, czasem i gderał, kiedy widział, że, zwyczajnie, panie dobrodziej, jak baba, nie tak urządzam się, jak potrzeba; ale uważając, że wszystko dla tego źle szło i coraz gorzej, powiedział raz do mnie: »Daj pani już pokój gospodarce, ja wszystkiem sam się zajmę i fundusz uratuję!« Tak też zrobił; zawziął się i postawił nas na nogi. Niech jemu za to Aniołowie Stróżowie będą ku pomocy!

— Obywatelska dusza! — szepnęła do siebie pan Andrzej, a pani Niemeńska, raz już rozgadawszy się, ciągnęła dalej:

— A czy pan dobrodziej myśli, że na tem koniec? Gdzie tam! Jak nieboszczyk mój brat umarł, Wincunia miała lat dzieśnięć i niczego jeszcze nie uczyła się, zwyczajnie jak szlacheckie dziecko. Ojciec zawsze mawiał: dla dziewczyny nauk nie potrzeba, będzie jeszcze dość czasu do nauczania jej czytać!

Potem, kiedy ja sama zaczęłam turbować się koło gospodarki, to ani czasu, ani myśli nie miałam uczyć jej czegokolwiek, zresztą, po prawdzie mówiąc, niczego bym i nie mogła nauczyć, bo zwyczajnie, jak prosta szlachcianka, panie dobrodziej, i sama nie mam książkowego rozumu, a co i umiałam kiedy, to dawno już z głowy wyleciało.

Wincunia miała lat dwanaście, a jeszcze nie umiała ani *a* ani *b*. Żał było patrzeć na dziewczynę, że tak hoduje się, na las patrząc, ale cóż ja to mogłam poradzić? O guwernantce ani my-

śleć nie można było, kiedy bieda stała za drzwiami i wkrótce kawałek chleba i dachu nad głową zabraknąć mogło.

Owóż tedy pan Bolesław, jak zaczął u nas gospodarować, tak zaczął i Wincunię uczyć. Bywało, mówi: »panna Wincenta jak dorośnie, będzie miała niezły fundusz, niechże ma i oświatę, i wie, jakie to kobieta ma zadanie w życiu i obowiązki względem społeczeństwa, wśród którego kawał ziemi posiada!«

Uczył ją czytać, pisać, rachować i jeszcze jakichś tam geografii i historii, i nie wiem już czego więcej.

Bywało, ja siedzę, robiąc pończochę i tylko słucham, jak on jej prawi o jakichś królach, wielkich ludziach, narodach, i miastach dalekich, a dziewczyna słucha i połyka naukę, bo sprytne to było dziecko i żywe, gdyby iskra — taką zresztą jest ona i teraz.

Potem zaczął jej przynosić książki różne; czytawali razem, a jak odchodził, to prosił ją, żeby sama czytała, jak jej czasu od domowych robót zostanie.

I tym sposobem, panie dobrodziej, wyedukował dziewczynę, że aż miło. Nie powstydzę się ona teraz przed ludźmi, ma o czem powiedzieć, a o niczem nie słucha, jak o żelaznym wilku. Prawda, że po francusku nie umie, ale to i niepotrzebne. Zato gra na fortepianie, bo pan Bolesław powiedział, że »kobieta i muzyka, to dwie siostry rodzone i powinny z sobą w parze chodzić«, i uprosił metra muzyki z miasteczka, aby jej lekye dawał.

Przez trzy lata przyjeżdżał on regularnie po trzy razy na tydzień, a ja mu za to płaciłam. Ale też nie żał tego, bo dziewczyna skorzystała i gra, aż miło posłuchać, nie wielkie sztuki wprawdzie, bo też to i niepotrzebne, ale kiedy zagra krakowiaka, albo mazura, to aż serce skacze, a jak dumkę ukraińską, to aż się chce zapłakać.

Tak to, tak, panie dobrodziej, postępował z nami pan Bolesław, i to bez żadnych obowiązków, bez żadnego interesu, tylko tak ze szlachetności swojej i poczciwości serca. Niech mu Bóg za to błogosławi!

Długo jeszcze pani Niemeńska mówiła w ten sposób, opowiadając coraz coś nowego o Bolesławie i jego zacnych czynach, a pan Andrzej oparł skroń na rękę, słuchał uważnie, a usta jego poruszały się niekiedy i szeptały zeicha:

— Takich nam trzeba! takich nam trzeba!

Gdy tak gospodyni domu rozmawiała ze swym gościem

przed gankiem, między klombami zupełnie innego rodzaju przedstawiał się obrazek.

Pod rozłożystym krzakiem bzu stała głęboka beczka, pełna wody; obok niej stał Bolesław i od chwili do chwili napełniał wodą blaszaną polewaczkę, którą mu podawała Wincunia.

Dzieweczka podniosła swoją różową sukienkę, aby ją ochronić od rosy wieczornej i polewała nowo posadzone na klombach kwiaty.

Srebrny, kroplisty strumień tryskał z polewaczki, drobna postać Wincuni, owiana mgłą tej ruchomej fontanny, migotała po ścieżkach, a szmerowi wody towarzyszył dźwięk piosenki, którą nuciła z cicha i przerywając sobie, to wykrzyknikiem radości, na widok świeżo rozkwitłej roślinki, to wyciągnięciem do Bolesława ręki z polewaczką, z prośbą o wodę.

Bolesław zanurzał w beczce naczynie i podawał je narzeczonej. Raz, gdy to czynił, rzekła:

— Gdy patrzę, jak pan czerpiesz wodę dla mnie, wydaje mi się, jakobyś był biblijnym Jakóblem, a ja Rachelą, tylko, że to nie studnia, ale beczka.

— I pani owieczek nie pasiesz — dodał z uśmiechem Bolesław.

Roześmiała się głośno, przeciągle.

— Dzięki panu, nie pasę ich! — zawołała ze śmiechem i poskoczyła między klomby.

Bolesław stał, wsparty o krzak bzowy, i ścigał wzrokiem postać dziewczyny; zdawałoby się, że niepodobna mu było oczu od niej oderwać.

Ona nuciła, a on milczał; wkońcu westchnął całą pierś, jak człowiek, którego tak napełnia uczucie jakieś, że mu aż tchu braknie, i wymówił cichym, ledwie dosłyszalnym głosem:

— Moja!

W tym jedynym wyrazie złączyły się odgłosy męskiej radości, dumy i miłości głębokiej, bez granic.

W tej samej chwili Wincunia, zmęczona snadź, wypuściła z rąk polewaczkę, stanęła na środku ścieżki, upuściła ręce na suknię i zawołała:

— Czemuż pan nic nie robisz, panie Bolesławie? Ja pracuję, pracuję, a pan sobie tylko stoisz i patrzysz. Jeszcze dwa klomby trzeba polać. Weź pan tę drugą polewaczkę, co tam stoi pod krzakiem, i pomóż mi choć trochę!

Bolesław stał jeszcze chwilę nieporuszony, ale nagle, za-

miast wziąć wskazaną sobie polewaczkę, zbliżył się szybko do Wincuni, wziął jej obie ręce i okrył je pocałunkami.

— Wincuniu! moja ty droga! moja ukochana! — mówił bardzo cicho, patrząc jej w oczy.

Wincunia spuściła głowę i nie mu nie odpowiadała, a on, trzymając ręce jej w coraz silniejszym uścisku, mówił jej odezwane, niedosłyszane, ciche wyrazy miłości.

Zmrok coraz gęstszy zapadał, kilka wielkich gwiazd ukazało się na ciemnym sklepieniu i z za lipowej alei wschodził jasrawy księżyc w pełni.

— Panie Bolesławie! — wyszeptała wkońcu Wincunia — jaki pan jesteś dobry dla mnie! jam tego nie warta!

I pochyliła głowę nisko, bardzo nisko, a po twarzy jej przemknął smutek, będący w dziwnej sprzeczności ze zwykłym jej weselem.

— Najdroższa moja! — odpowiedział cicho Bolesław — ty jesteś moją gwiazdką jasną, moim gołąbkim, słodkim moim kwiatkiem, radością moich oczu! Ty będziesz szczęściem i pięknnością całego mego życia! Wszak ty mnie kochasz, jedyna? Wincuniu, powiedz, kochasz mnie?

Milczała i wzrok schyliła ku ziemi.

— Wincuniu, powiedz, że mnie kochasz — gwałtowniej, namiętniej jeszcze mówił Bolesław — ja wiem, że tak jest, o wiem! bo inaczej jakżebym żył? ale chcę to z ust twoich usłyszeć. Czemu ty mi nigdy nie mówisz, że kochasz mnie? Jest-że to wstydlivość twoja dziewczęca? Jest-że to nieśmiałość? O, nie wstydz się, nie lękaj! ja już jestem twoim mężem wobec Boga i serca mego, a słyszą nas tylko kwiatki twoje, które nikomu, nikomu nie powtórzą tego, co powiesz, boć ty ich siostra rodzona! Wincuniu, kochasz mnie?

Tuż obok zaszeleściły liście krzaku bzowego i kropla wieczornej rosy z cichym szelestem spadła pomiędzy trawę.

Dziewczyna milczała.

Oczy jej były w ziemię utkwione i usta zamknięte, nie otworzył ich nawet ani razu przyśpieszony oddech wzruszenia, choć ręce jej zamknięte były w gorących dłoniach narzeczonego, a wzrok i słowa jego zdawały się ją osypywać żarem i iskrami.

W alei dały się słyszeć kroki nadchodzących, — pani Nie-meńska z gościem swym zmierzali ku gankowi. Bolesław nie słyszał; ale Wincunia posłyszała to, wyrwała ręce swe z uścisku

narzeczonego i w kilku podskokach była już daleko od niego, pod gankiem.

— Praca pani czy już skończona? — spytał, zbliżając się do niej, pan Andrzej.

— Nie zupełnie — odparło dziewczę — i dziś już skończona nie będzie. A winien temu pan Bolesław, bo pomagać mi wcale nie chciał i nic nie zrobił — dodała żartobliwie.

Pan Andrzej spojrział na Bolesława, który połączył się z towarzystwem, i rzekł z uśmiechem:

— Ja sędzę, że pan Bolesław spełnia najmilejsze dla siebie zajęcie.

— Jakież? — spytała Wincunia.

— Patrzył na panią.

Pan Andrzej czuł się zapewne w prawie powiedzieć to, bo oprócz Bolesława i pani Niemeńska wtajemniczyła go w stosunek, zachodzący między dwojgiem młodych ludzi. Mówiła mu ona o tem w altanie.

— Bo to, uważasz pan dobrodzieju, pan Topolski uczył moją Wincunię, aż się w niej rozkochał. Rok temu oświadczył się o jej rękę. Nie byłoż powodu odmawiać takiemu dobroczyńcy, a porządnemu, rozsądnemu i wcale nie biednemu człowiekowi. Spytałam się Wincuni, co ona o tem myśli. A ona, zwyczajnie jak dziecko, zaśmiała się i odpowiedziała: dobrze! Ja ją znów pytam: ale czy ty jego kochasz? a ona mnie odpowiada: »albo ja sama wiem, moja ciociu? zdaje się, że kocham. Pan Bolesław taki dobry i tyle dla nas uczynił!«

I zaręczyli się. Tylko ona ciągle prosiła, żeby ślub na dwa lata odłożyć, a on pocciwy na wszystko zgadzał się, bo tak pokochał dziewczynę, że zdaje się, gdyby ona tego chciała, poszedłby na koniec świata szukać dla niej ptaka mówiącego, albo śpiewającego drzewa. Rok już minął od ich zaręczyn, jeszcze rok będą czekali, a potem, panie dobrodzieju, wyprawim weselisko. Jak tylko Wincunię oddam mężowi, zaraz wyjadę w Kowieńskie do mojej siostrzenicy, bo to, panie dobrodzieju, ja tę siostrzenicę kocham, jak własną córkę...

I długo jeszcze pani Niemeńska opowiadała swemu gościowi o swojej siostrzenicy i wielu innych rzeczach, i dopiero, gdy zmrok zupełny zapadł i chłód wieczorny dał się poczuć, wyszli z altany.

W godzinę potem pan Andrzej i towarzysz jego opuścili Niemenkę.

Po ich wyjściu pani Niemeńska nie posiadała się z radości,

że tak znakomitego, jak pan Andrzej, gościa miała u siebie, a radość tę objawiała szybkim chodzeniem po pokoju i wychwalaniem nowego znajomego.

Wincunia siedziała na sofie, splecione ręce złożyła na kolanach, i trudno było poznać, czy słuchała słów ciotki, bo oczy jej, z nieokreślonym wyrazem zamyślenia, błądziły po pokoju. Była smutna.

— Co ty, koteczko, nic nie gadasz i siedzisz jak zwierzona? — spytała pani Niemeńska, zatrzymując się przed nią i przypatrując się jej przez okulary.

Wincunia, jakby się ze snu ocknęła, spojrziała na ciotkę zamglonem okiem i odrzekła:

— To nic, cioteczko, zamyśliłam się tak sobie, sama nie wiem o czem.

— Dziś piątek, ciociu — dodała po chwili — pojutrze pojedziemy do kościoła, nie prawdaż?

— Pojedziemy, pojedziemy, koteczko! Ale, co to ty od kilku tygodni tak często mi przypominasz kościół? Dawniej tego nie było. Może odmawiasz jaką nowennę?

Na te słowa ciotki, silny rumieniec wytrysnął na twarz Wincuni. Miała taką minkę, jakby się czegoś przełękała, a bardziej jeszcze zawstydziła.

— O, moja ciociu! — zawołała wzruszonym głosem — cóż to dziwnego, że ja lubię bywać w kościele?

— Ależ ja się temu wcale nie dziwię, i owszem, pochwalam ci to, moja duszeczko, bo kto z Bogiem, Bóg z nim. Myślałam tylko, że zaczęłaś jaką nowennę i chcesz ją odmawiać w kościele.

— Nie, ciociu, żadnej nowenny nie odmawiam — rzekła Wincunia niezwyczajnie smutnym głosem i, powstawszy, podeszła do otwartego okna.

Było to w sypialnym pokoju; na oknie leżała, po rannych snadź jeszcze modlitwach, otwarta książka do nabożeństwa. Wincunia długo na niej wzrok zatrzymała. Pani Niemeńska chodziła wciąż po pokoju i powtarzała pochwalny monolog na cześć pana Andrzeja:

— Śliczny człowiek! miły człowiek i t. d.

— Cioteczko — ozwała się Wincunia, odrywając oczy od książki — jakiego też miłego krewnego ma pan Andrzej Orlicki.

— Któż to taki, koteczko?

— A pan Aleksander Snopiński.

— Prawda, prawda, widać to już ich cała familia taka miła i godna.

— Pamięta cioteczka, jak pan Aleksander grzecznie podał mi książkę do nabożeństwa, gdym ją pod kościołem upuściła?

— A tak, tak, bardzo grzeczny kawaler!

— On bardzo przystojny, cioteczko, nie prawdaż? — rzekła znowu Wincunia ciszej i po pewnym przestanku.

— Kto taki, moje życie? Pan Orlicki?

— Nie, cioteczko; pan Orlicki tylko bardzo miły i rozumny, ale ja mówię o panu Aleksandrze.

— Prawda, prawda, moje dziecko, bardzo przystojny i światowy kawaler!

Mówiąc ostatnie słowa, pani Niemeńska wyszła z pokoju, wywołana przez kogoś z domowych, Wincunia została sama.

Wsparała się na oknie i patrzyła na księżyc, który zwolna płynął po czystem sklepieniu i srebrzystem światłem zalewał dziedziniec.

Twarz dziewczyny blada pod promieniami księżyca wydawała się smutną, we wzniesionych jej oczach błysnęła nawet łza.

Podniosła rękę do czoła i cicho wymówiła:

— Czemu mi smutno?

Spuściła głowę, a łza popłynęła po twarzy.

— Czemu mi smutno? — powtórzyła jeszcze ciszej. — On mnie tak kocha, tak kocha! pocziwy, dobry!... A ja?...

Splotła ręce żałośnie i dodała:

— Myślę o tamtym!...

Głowa jej chyliła się nisko, jak pod ciężarem wstydu, rumieniec wstępował na policzki.

Podniosła znowu twarz i spojrzała na księżyc.

— Nie znam go — wyrzekła cichutko — nie mówiłam z nim nigdy, a myślę o nim... To te promienie księżyca przynoszą mi przed oczy twarz jego... W dzień jestem wesoła... zdaje mi się, że jeszcze dziecko... a wieczorem... płaczę!

Ostatni wyraz wymówiła ze łkaniem, ukryła twarz w obu dłoniach i cicho szlochała.

IV.

Miłość Bolesława.

Dwaj powracający z Niemenki do Topolina mężczyźni szli ścieżką, udeptaną wśród gaju.

Wieczór był bardzo piękny, lubo nieco zimny; ostry wieczerzyk poruszał liśćmi drzew, pomiędzy którymi migotały promienie księżycowe.

U dołu słały się szerokie cienie, w górze błyskały gdzieś gwiazdy, uroczysta cisza panowała w gęstwinach. Ścieżka, którą postępowali dwaj ludzie, cała zalana światłem, wiała się kręto, jak wielki wąż srebrzysty, u stóp leśnych krzewów i młodych brzołek z osrebrzoną korą i drżącymi od wiatru liśćmi.

— Doskonale udeptana ścieżka! widocznie komunikacja między Niemenką i Topolinem częsta być musi — ozwał się żartobliwie pan Andrzej.

Zaśmiał się Bolesław.

— Od pięciu lat, zdaje mi się, że nie było dnia, w którym bym tam nie był; o ile wiem, nikt, prócz mnie, w tem miejscu przez gaj nie przechodzi, ta ścieżka więc jest zupełnie mojem dziełem.

— Przedstawiam sobie, ile ona musi przypominać myśli i uczuć, z jakimi przebywałeś ją tyle razy — rzekł pan Andrzej.

— O! cały świat uczuć i myśli! — odpowiedział Bolesław. — To też znam tu każdą brzołkę i każdy krzak, każdą nie-mal kępinę mchu lub trawy pamiętam. Są to moi znajomi, z którymi, idąc tędy, dzielę się zawsze radością i nadziejami swemi.

— Szczęśliwyś pan, że tylko radością i nadzieją możesz dzielić się z tymi niemymi świadkami życia twego! — zrobił uwagę pan Andrzej.

Umilkli obadwaj i resztę krótkiej swej drogi przebyli, po-grażeni w zamyśleniu. Wśród zamyślenia tego oczy Bolesława błądziły w górze, między szczytami drzew, zawisały na promieniach księżyca i biegły po ich nici ku niebu; wzrok pana Andrzeja był utkwiony w ziemię.

Jakiś biegły pono fizyonomista uważał, że ludzie młodzi, nie znękani bólami życia, ze źródłem świeżej poezji w sercu, często spoglądają w górę; ci zaś, którzy przeżyli znaczną część wędrówki ziemskiej, w których sercu niejedną żal zamieszkał, podniosła się niejedna mogiła, ci, którzy mają czoło zmęczone gorzkimi myślami i oporem przeciwności, często swe oczy zwracają ku ziemi.

Młodość szuka spojrzeniem niebieskiego światła, które, na jej podobieństwo, gorące jest i jasne; starość wpatruje się w cień, przypominający mogiłę.

— Pomimo pięknej pogody, wieczór porządnie jest chłodny — rzekł pan Andrzej, wchodząc na ganek dworku topolińskiego i zacierając ręce od zimna.

— Wiatr lekki, ale ostry — odpowiedział Bolesław i wprowadził gościa do bawialnego pokoju.

Na stole przed kanapą paliła się lampa, przykryta zieloną zasłoną, a na kominku, umieszczonym w rogu pokoju, płonął żywy ogień z suchych drewek.

Stary sługa stał pochylony przed ogniem i poprawiał drzewo, a blask płomienia różową łuną oświecał głowę jego, białym, jak mleko, włosom pokrytą i czoło szeroką szramą ozdobione.

— Pocciwy Krzysztof domyślił się snadź, że przyjdziemy zziębnięci, i rozniecił dla nas ogień — rzekł pan Andrzej wesoło.

Krzysztof uśmiechnął się z zadowoleniem, a Bolesław odpowiedział:

— Ogień na kominie należy do najmilszych moich nawyknień. Jak u prawdziwego Litwina, wieczny płomień Znicza gorzeje w mojej chacie.

— Krzysztofie — dodał, zwracając się do starego sługi — dla lepszego rozgrzania się naszego, przynieś-no nam butelkę tego miodu... co to wiesz...

Sługa kiwnął głową na znak zrozumienia i wyszedł. Po chwili gospodarz i gość siedzieli niedaleko ognia przed stolikiem, na którym stały kieliszki i butelka ciemnego od starości miodu.

— Opowiadała mi pani Niemeńska o wszystkim, coś dla niej uczyniła — mówił pan Andrzej. — Nie gniewaj się za mą otwartość, kochany panie Bolesławie, ale nie mogę wstrzymać się, aby ci nie powiedzieć, że był to prawdziwie obywatelski z twojej strony postępek.

— Był to bardzo prosty postępek, któregoby dopełnił każdy uczciwy człowiek, będący na moim miejscu — z prostotą odpowiedział Bolesław.

Widziałem, że pani Niemeńska rady sobie dać nie mogła z gospodarstwem, że jeszcze lat kilka, a niezawodna ruina i nędza spotkałyby ją i jej synowicę; dopomogłem więc jej radą i czynnym zajęciem się. Zdaje mi się, że niewielu znalazłoby się ludzi, którzyby tego samego nie uczynili dla osieroconych kobiet i blizkich sąsiadek.

— Ale i pannę Wincentę podobno sam wyedukowałeś? — rzekł z uśmiechem pan Andrzej.

Bolesław uśmiechnął się i odpowiedział wesoło:

— O, jeżeli i to można dobrym czynem nazwać, to otrzymałem zań taką nagrodę, że, jeżeli prawa niebieskie zabraniają ludziom odbierania lichwy za monetę pocciwych postępów, będę niezawodnie karany na tamtym świecie, jako lichwiarz. Za to teraz stoję u wrót do raju — co mówię? — jestem już w raju, a czekam tylko, rychło siódme niebo otworzy się dla mnie.

Zaśmiał się, ale w śmiechu jego zadrżała rzewność, rzewność najgłębsza, bo ze szczęścia, pragnień i nadziei zrodzona.

Pan Andrzej przypatrywał się przez chwilę swemu towarzyszowi z życzliwym zajęciem, potem rzekł:

— Im więcej mówię z panem, tem więcej uważam, jak bardzo i serdecznie kochasz swoją narzeczoną.

— Niezmiernie i bez granic — z uczuciem odpowiedział Bolesław — bo pomyśl pan sobie, że znam ją od dzieciństwa, przywykłem do niej, jak do promienia, który wlewa w moje życie wesele, wdzięk i poezję. Mogę w istocie powiedzieć, że po części sam stworzyłem w niej duszę. Gdy osierociała po ojcu, była dzieckiem ładnym, dobrem, pojętnym, ale bardzo zaniebzanym.

Natura dała jej dobroć serca, piękność i tę żywość umysłu, która nieskończonym urokiem bywa w kobiecie nią obdarzonej; ja obudziłem w niej myśl, przez codzienne przebywanie z nią, naukę, ciągle z nią rozmowy, przelałem w nią część samego siebie, pojęcia moje i prawdy, które tkwią w głębi mego własnego ducha.

Zewnętrzna i wewnętrzna jej piękność zarówno wzrastały i rozwijały się pod mem okiem; patrzyłem na nią, jak na cudownie wdzięczny utwór natury, a serce moje radowało się za każdym razem, gdy moje oczy ją ujrzały. I zważ pan tylko, jak

dziwnie układają się na tym świecie sprawy ludzkie, jak dziwne są niekiedy drogi Opatrzności.

Wszak ja, rozpościerając męską opiekę moją nad temi dwiema kobietami, z których jedna była w podeszłych latach, druga dwunastoletniem dzieckiem, żadnych myśli wstecznych, ani egoistycznych celów nie miałem i mieć nie mogłem.

I później długo jeszcze w głowie mojej nie pojawił się żaden plan osobisty, a serce nie doświadczało innego uczucia, prócz zadowolenia, gdy widział, że praca moja przynosi rzeczywiste korzyści tym, dla których ją ponosiłem.

Kochałem Wincunię, jak młodszą siostrę; lubiłem jej wdzięk dziecinny, żywość, pojętność; niekiedy nawet, mianowicie wtedy, gdy ją uczył lub napominał, zdawało mi się prawie, że ona jest moją córką.

I później dopiero, nagle, niespodzianie przyszła chwila, która mi ją ukazała inaczej, niż ją dotąd widziałem, a w sercu mojem posłyszałem głos, który mi mówił: tu szczęście twoje, to jedyna kobieta, którą w życiu swem kochać będziesz! Tak, jedyna, bo przed nią nie kochałem sercem żadnej kobiety, lubo już mam rok trzydziesty drugi, a o tem, abym miał kiedy w przyszłości, oprócz niej, inną jeszcze kochać, i pomyśleć niepodobna.

Umilkł, owładnięty silnem wzruszeniem, a po chwili mówił dalej, patrząc w płomień, jakby w nim widział odtwarzające się obrazy swoich wspomnień.

— Było to przed rokiem przeszło; Wincunia miała wtedy rok szesnasty. Do owego czasu obchodziłem się z nią, jak z młodszą siostrą.

Przy powitaniu i pożegnaniu całowałem ją w czoło, a niekiedy w usta. Zwyczaj ten zaczął istnieć między nami od pory, gdy ona miała lat pięć lub sześć, a ja z ojcem moim odwiedzałem Niemenkę, i trwał już potem ciągle. Dobrze mi było z tą poufałością, bom lubił Wincunię, ale nigdy nie doświadczałem żadnego, by najmniejszego, wzruszenia przy niej, bo patrzyłem na nią, jak na dziecko i jak dziecko całowałem ją i uczyłem.

Pewnego dnia siedziałem z nią w tej samej altanie, w której dziś piliśmy herbatę; ona coś szyła, ja czytałem jej poezye Mickiewicza.

Każdy szczegół tej chwili pozostał głęboko wryty w mej pamięci, pamiętam więc, że miała na sobie białą suknię, chabrowy wieniec na głowie, a długie kosy jej, swobodnie spus-

zczone, spływały na jej ramiona i plecy. Czytałem jakiś piękny ustęp z »Pana Tadeusza« i tak mię on pochłoniął, że zapomniałem o wszystkim, co mię otaczało, nawet o towarzysze mojej, która mię słuchała.

Machinalnie, odwracając kartę książki, podniosłem oczy i spojrzałem na Wincunię i, dziwna rzecz, nie mogłem już od niej wzroku oderwać. Siedziała obok mnie, z robotą i rękoma złożonemi na kolanach, z głową podniesioną i oczyma utkwionemi we mnie.

Promień słońca ozłacał jej wieniec i ślizgał się po białej sukni, oczy jej miały tak głęboki szafir, jaki mieć musi niebo włoskie, tak często opiewane przez poetów, a w źrenicach błyszczały dwie ruchome złotawe iskry.

Szybka, błyskawiczna myśl: »jaka ona piękna!« przeszyła mi mózg, niby rozpalonym drutem, i ścisnęła skronie. Poczucie to było prawie bolesne. Serce uderzyło mi w piersi mocniej, niż zwykle.

Było to jak objawienie jakieś, jak obudzenie się ze snu spokojnego, przez silne magnetyczne wstrząśnienie. Wincunia położyła dłoń na mojej ręce i, widząc, że się w nią niezwykle wpatruję, rzekła: »Czytaj-że pan dalej, to takie piękne!« Przy dotknięciu jej zadrżałem cały, próbowałem czytać — i nie mogłem.

Odrzuciłem książkę i wyszedłem z altany, nie rzekłszy do niej ani słowa. Nie wiem, co wtedy myślała o mnie. Szedłem, jak upojony.

Nie myślałem o niczem i nie zdawałem sobie sprawy z mego stanu, instynktowo tylko czułem, że powstaje we mnie coś nowego, że rodzi się we mnie jakaś nieznana mi dotąd potęga uczucia, a wewnętrzne urodziny te poczuwałem dziwnem przepełnieniem piersi i tysiącem nagłych błyskawic, które mi mózg przeszywały.

Poszedłem do domu, nie pożegnawszy się z nią, ani z jej ciotką.

Sądziły, że nagłe zasłabł, i przysłały dowiedzieć się o mojem zdrowiu. Ale posłaniec ich nie znalazł mię w domu, bo cały dzień chodziłem po gaju, polach, łąkach, bez celu, siląc się odzyskać samego siebie, a nie mogąc.

Nazajutrz, przyszedłszy do Niemenki, chciałem powitać Wincunię zwykłym pocałunkiem, ale gdy ją wziął za rękę i spojrzał w jej oczy, poczułem zawrót głowy, bicie pulsów w skroniach i szybko odwróciłem się od niej. Zacząłem coś mó-

wić, nie pamiętam już co, ale, mówiąc, myślałem sobie: »kocham ją!« W istocie, od owej dopiero chwili zacząłem ją kochać, jak kochanek.

Czemu od owej chwili? dotąd zrozumieć nie mogę, jak bo-
daj nikt nie zrozumie, czym są i skąd pochodzą te nagle błyska-
wice miłości, które niespodzianie i w mgnieniu oka obejmują
człowieka wtedy często, gdy najmniej się ich spodziewa. Czy na-
stroiliła mnie ku temu poezya, którą czytałem pod gołym niebem
i promieniami gorącego słońca? Czy we mnie samym siły serca
wezbrały tak, że musiały już wybuchnąć nagłą dla kobiety mi-
łością?

Nie wiem; dosyć, że od tej pory Wincunia stała się dla
mnie czemś świętem, promieniem, przecudnie pięknem, czemś
takiem, do czego zbliżyć się wszystkimi siłami istoty mojej pra-
gnąłem, a nie śmiałem.

Od tej pory pokochałem ją tak, że gdybym ją stracił...
o! pomyśleć nawet o tem nie mogę, bo na samą tę myśl, w gło-
wie mi się miesza...

— Ależ tego przypuścić nawet nie można — zawołał pan
Andrzej — któraż kobieta, kochana tak, jak ty kochasz, nie pokocha
wzajem? któraż nie oceni tak szlachetnego serca, jak twoje?
chyba taka, która by cię nie była warta...

— Tak — odpowiedział Bolesław — pewien jestem, że ona
mnie kocha, że będzie moją, dziś już jest moją sercem i myślą;
a jednak, czy wiesz pan? trwoga jakaś przejmuję mnie niekiedy.
Obawiam się zbytku własnego szczęścia; zdaje mi się, że ono,
tak wielkie i zupełne, długo trwać nie może.

— Zasłużyłeś na nie — rzekł pan Andrzej.

— O! ono będzie nad wszelkie zasługi moje, jeśli nawet
mam jakie — odpowiedział Bolesław. — Nie wystawisz pan so-
bie, w jak czarownych barwach maluje mi się przyszłość. Do-
bra, myśląc i ukochana kobieta w domu, to błogosławieństwo,
poezya każdego dnia, rozkosz każdej chwili.

Wyobraź sobie pan, ile życia, ruchu, wesołości przybędzie
do mojej ustroni z tą przedziwnie wdzięczną istotą. Dźwięk jej
piosenki, którą ciągle nuci, jak skowronek, napełni moje ściany.
Wracając od pracy, znajdę ją tu zawsze wesołą, dobrą, piękną,
gotową do podzielenia ze mną każdej chwili, do osłodzenia
każdej troski.

Widzisz pan, poetyczne i dziewicze jej tchnienie już ją tu
poprzedza. Ten kwiat w doniczce, tę robotkę kobietą na stole,
ona mi dała; wdzięk niewieści już zaczyna rozlewać się w moim

domu i cieszyć moje oko. Przyznaj pan sam: dla mężczyzny
z poczciwem sercem i choć trochę wykształconą myślą praca
miła i użyteczna za domem, a ukochana kobieta w domu, to raj
ziemski! nie prawdaż?

Umilkł, oczy jego płonęły. Po chwili mówił dalej:

— Marzenia moje, a raczej nadzieje, przybierają niekiedy
szersze rozmiary i unoszą się ponad osobistość moją. Zdaje mi
się, że mężczyzna, choćby był najgorliwszym pracownikiem
i najuczciwszym człowiekiem, jeśli nie poniesie w swem życiu
ciężarów i nie spełni obowiązków ojca rodziny, to nie dokona
jeszcze całkiem zadania obywatela kraju. Nie dość jest działać
wedle sił i możliwości samemu, trzeba jeszcze i innych działania
nauczyć.

A w kogoż łatwiej człowiek przeleje prawdy, jakie sam
w duszy swej nosi, jeśli nie w dzieci swe? Komuż zostawi on
w puściźnie zacność swą, honor, miłość kraju i pracy dla niego,
jeśli nie synom swoim?

Sfera, w której ja działam, maluczką jest, ale chociażby
to drobne zadanie, jakie sam spełniam na ziemi, chciałbym ko-
muś po sobie zostawić. Praca robaków niedostrzegalna jest
i powolna, a jednak podkopuje lub wznosi góry. Synowie moi
zresztą możeby innemi, szerszemi poszli drogami; ale zawsze
takbym potrafił ich wychować, że w każdym zawodzie byłiby
poczciwymi ludźmi i użytecznymi obywatelami kraju.

Oto są marzenia moje o ojcostwie, a do nich łączy się
i panuje nad niemi zawsze taż sama postać kobiety, która dla
mnie nietylko ma być wdziękiem i rozkoszą życia, ale ma mi
dać jeszcze ten cel najwyższy egzystencyi, tę nieskończoną na-
dzieję przelania mojej duszy w inne dusze, pozostawienia po
sobie kogoś, kto będzie myślał, czuł i działał, nie już tak, jak ja
to czynię, ale, jakbym czynić pragnął.

Przestał mówić, a pan Andrzej długo patrzył na niego
i w oczach jego kręciła się łza.

— Przyjacielu mój zacny, bo pozwól, że cię tak nazwę —
ozwał się po chwili — dziękuję ci za tę wielką radość, jaką mi
sprawiasz, pozwalając mi patrzeć w głąb twojej duszy. Jam dawno
już rozstał się z osobistemi troskami i pociechami. Dobro
ogólne — to teraz radość moja, nieszczęście ogólne — to moje
boleści.

Nie dziw więc, że, gdy patrzę na umysły słabe, serca ze-
psute, zdolności zmarnowane, płacząc wewnętrznemi łzami, i nie
dziw też, że, gdy widzę zacność, prawość, pracę wytrwałą, ra-

dość mię ogarnia, a z przed oczu moich, zmęczonych patrzeniem na mnóstwo nieszczęść, usuwa się zasłona, ukrywająca przyszłość, i w dali widzę słońce lepszej doli, które ci pracownicy, ci szlachetni i wytrwali, i ci tylko sami jedni sprowadzić mogą na niebo nasze.

Dlatego-to, choć znam cię od dzisiejszego dopiero poranku, ale zajrzałem już głęboko w twą duszę, kocham cię i w moc siwych włosów moich błogosławię ci! Pozwól, niech cię uściskam!

Powstali oba i uścisnęli się serdecznie.

Wśród uścisku tego pan Andrzej powtórzył kilka razy zcichą a gorąco:

— Takich nam trzeba! takich nam trzeba!

— A teraz — zawołał — wypijmy zdrowie twojej ślicznej narzeczonej!

Podnieśli kieliszki.

— Panie łaskawy — zawołał wesoło Bolesław — ponieważ zyskałem łaskę u ciebie, przyrzecz mi, o co cię będę prosił!

— Co? mów — pytał pan Andrzej.

— Przyjedź na moje wesele!

— Choćby z końca świata! — odparł rozweselony gość i znowu się uścisnęli.

V.

Lew parafialny.

O milę od Niemenki i Topolina, o dziesięć wiorst od Adam-pola, było miasteczko X., często odwiedzane przez okolicznych mieszkańców, z powodu parafialnego kościoła i cotygodniowych targów, i sławne tak zwaną oberżą, nad której wrotami jaśniał na brudno-żółtej tablicy brudno-błękitnymi nakreślony literami napis: »Herbata, kawa, bilard i różne inne tym podobne trunki«.

Kościół parafialny, dość duży, murowany, z obszernym cmentarzem, ogrodzonym ładnymi sztachetami, stał na niewielkim wzgórzu, a z za niego ukazywała się w cieniu drzew owo-

cowych plebania, z małym, czystym domkiem, zielonem podwórkiem i zgrabnem otoczeniem z żywopłotu.

Oberża, w której znajdował się »bilard i różne temu podobne trunki«, obszerna, dwupiętrowa, z szerokim podjazdem, wspartym na murowanych słupach, stała w samym środku miasteczka, na placu, otoczonym niskimi domkami, w których mieszkali rzemieślnicy, po większej części Żydzi, żyło kilka ubogich dewotek i mieściło się kilkanaście małych sklepików z mydłem, świecami, skórą i tasiemkami i tym podobnymi drobiazgami.

W plebanii mieszkał proboszcz, niemłody i zacny człowiek, powszechnie poważany dla swej oświaty i kapłańskiej cnoty.

Właścicielem oberży był Szloma, Żyd rudy, brodaty i pej-saty, sławny w okolicy z zaprowadzenia u siebie bilardu, który dotąd rzadko tam był widywany i chyba tylko w bogatych obywatelskich domach, a obok niego żyła Sara, roztropna i gadatliwa Żydówka.

Zresztą oboje Szlomowie mieli w sąsiedztwie dobrą opinię, a oprócz tego każde z nich posiadało w sercu swem źródło, z którego czerpało dla siebie niepospolitą chlubę: Szloma dumny był z tego, że pierwszy zaprowadził w swej karczmie herbatę, kawę i bilard i, jako człowiek inicjatywy, z góry spoglądał na zacofanych kolegów karczmarzy, którzy dotąd gości swoich przyjmować mogli tylko wódką i obwarzankami.

Szlomowa zaś chlubiła się, że rodem jest z Wilna, a zatem urodziła się i wychowała na wielkim świecie, nie tak, jak jej znajome Żydówki, które nic więcej nie widziały nad miejscinę X., albo wioskę, gdzie ich mężowie gorzałkę szynkuja.

Pewnej pogodnej kwietniowej niedzieli, w miasteczku wielki ruch panował, jak zresztą było tam każdej prawie niedzieli. Chłopi, szlachta i panowie schodzili się i zjeżdżali na nabożeństwo.

O godzinie dziesiątej zrana, a zatem na dobrą godzinę przed rozpoczęciem się nabożeństwa, gromady ludu zebrały się przed kościołem.

U wrót plebanii stało także parę szlacheckich dwukonnych bryczek; snadź właściciele ich, przybywszy wcześniej, poszli odwiedzić przede mszą proboszcza, a może dać mu na jakie egzekwie żałobne, albo na odśpiewanie litanii dla ubłagania u Boga urodzajów.

Ale i przed oberżą stało немало koni, wozów i bry-

czek, a we wnętrzu jej gwar był nielada. W pierwszej szynkowej izbie siedziało na ławach kilkunastu chłopów i dwoje dzieci.

Szlomy chłopak i dziewczyna, rozczochrane wyrostki, częstowali ich gorzałką. Z izby tej było wejście na schody, prowadzące na pierwsze piętro, »alias« na facyatkę drewnianą, dobudowaną przez Szłomę u wierzchu murowanej karczmy, w celu pomieszczenia owego sławnego bilardu.

Facyatka zawierała jedną obszerną izbę, ochrzczoneą przez dumnego ze swej inicjatywy Szłomę nazwiskiem »sali«. Publiczność, korzystająca z improwizacyi, przez wdzięczność dla nowatora, przyjęła to nazwanie i mówiło się zwyczajnie: być na sali, grać w bilard na sali, widzieć się z kim na sali i t. p.

W sali były trzy okna, wychodzące na rynek, podłoga z nierównych desek sklecona i na czerwono pomalowana, ściany niegdyś wybielone, ale już popielate od kurzu i palonych tam cygar.

Pośrodku stał bilard, w czasie nieużywania go powleczoney grubym szarem płótnem; u okien wisiały firanki podobnej białości, jak ściany, a tylko ozdobione festonami z pajęczyny; na oknach stały powyszczerbiane doniczki, z nawpół uschłym geranium i kaktusami.

Wkoło ścian były rzędy kijów bilardowych, kilkanaście krzeseł, spłowiałym perkalem obitych, kanapa czerwono malowana z podartem obiciem, z którego dziur wylaziła i kłuła siadających szorstka pilśń, i parę stolików, mogących służyć tak do gry kartowej, jak i do picia kawy, herbaty i »tym podobnych trunków«.

Taką była sala.

Szloma był z niej dumny, i nietylko Szloma, ale i inni miejscowi Żydzi. Przechodząc koło oberży, podnosili głowę do góry, patrzyli na okna facyatki i, wskazując je palcami, mówili między sobą:

— Siehst du? firanki!

W ową kwietniową niedzielę, o godzinie dziesiątej zrana, na sali znajdowało się kilku młodych ludzi. Dwóch z nich siedziało pod oknem i piło herbatę. Nie wyjechali oni zapewne z domów swych przed śniadaniem, ale picie herbaty u Szłomy było uważane przez uczęszczających na salę za oznakę dobrego tonu, herbata zaś z arakiem oznaczała ton najlepszy.

Dwóch czy trzech innych, pobrawszy się pod rękę, chodzilo wkoło bilardu, rozmawiając i śmiejąc się głośno, w czym

i pijący herbatę dopomagali im gorliwie, tem łatwiej, że pili bardzo powoli, wyraźnie dusząc się napojem, który, mówiąc nawiasem, obrzydliwy bywał na sali.

Wszyscy ci młodzi ludzie wyglądali pół ze szlachecka, pół z pańska. Tużurki ich i paletoty z cienkiego sukna były to za długie, to za krótkie, wyraźnie robione przez miasteczkowego krawca, Żyda Lejbę, o siwych pejsach i czerwonym nosie. Olbrzymie kokardy krawatów pstrzyły się różnymi barwami, a ręce grube, muskularne, opalone, kłóciły się z glansowanymi rękawiczkami różnych kolorów, rzuconymi na bilard lub wyglądającymi z kieszeni.

Nagle na nierównym bruku, który Szloma ku większej swej sławie kazał urządzić pod oberżą, zaturkotały koła szybko nadjeżdżającej najtyczanki i cała młodzież rzuciła się do okien.

— Snopiński przyjechał! — zawołali wszyscy.

Drzwi otworzyły się z wielkim łoskotem i wpadł przez nie Aleksander w eleganckim ubraniu z orzechowego sukna, w zgrabnej czapeczce, ciemnozielonych rękawiczkach i z laseczką o polzłacanej gałce w rękę.

— Jak się masz, Olesiu! cóż tak późno, Olesiu! — wołali poufalsi.

— Jak się ma pan Aleksander! czekamy pana! — mówili mniej widać znajomi.

Aleksander rzucił laseczkę na krzesło i zawołał do Żydką wyrostka, który się za nim w drzwiach ukazał:

— Herbaty, Mowsza!

Żydek poskoczył, a Aleksander zawołał jeszcze za nim:

— Herbaty z arakiem! tylko żeby był »fein« Jamajka, rozumiesz?

Potem zaczął witać się z towarzyszami, którzy wszyscy tak energicznie ściskali mu rękę, że aż na niej pękła zielona rękawiczka, i tak serdecznie ściskali go i całowali, że mu z głowy spadła czapka, której był, wchodząc, nie zdjął.

— A! — zawołał, rzucając się na kanapę — ledwie zdołałem dziś wyrwać się z domu! Przyjechał do nas jakiś pan z Kowieńskiego, krewny nasz, bogaty człowiek, ale dyabło nudny, bo uczony, i papa chciał, żebym dziś jechał z nim do kościoła na jednej bryczce. Ale nie głupim! wykręciłem się, a to naprzód dlatego, że nie mógłbym już być na sali przed nabożeństwem, a potem, że szanowny kuzyn prawilby mi przez całą drogę morały.

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się młodzieź — a jakież to on tobie prawi morały?

— No, naturalnie, że nie mówi wyraźnie do mnie — odpowiedział Aleksander, zapalając papierosa w pół-leżącej postawie — już chwala Bogu nie jestem dziecko, ani student. Ale tak niby ubocznie ciągle mi rozpowiada o swoich synach, jak to oni uniwersytety pokończyli, jak to oni pracują, jak to każdy młody człowiek pracować powinien ku pożytkowi ludzkości i chwale Pana Boga i t. p. i t. d. A ja słucham tego wszystkiego i niby nie rozumiem, że on do mnie pije. Każdy przecież ma swoje zdanie; on swoje a ja swoje!

— A naturalnie! — potwierdziło kilka głosów.

— Siankowski! — zawołał Aleksander, nagle zrywając się z kanapy — widziałem twoje konie przed oberżą! śliczne, słowo daję, kasztanki! Skąd je wzięłeś? a gdzieżeś podział swoje siwki? Pewno uciąłeś handelek i porządnie okpiłeś kogoś, bo miały początki nosaczyny. No, przyznaj się! prawda?

— Jak Boga kocham, za mój miły gotowiusienki grosz kupiłem kasztanki! — tłumaczył się wśród ogólnego śmiechu, wzbudzonego słowami Aleksandra, barczysty i ogorzały młody człowiek, z głosem niepospolicie grubym i w tużurku niepospolicie długim.

— No, a ileś za nie zapłacił?

— Co zapłaciłem, to zapłaciłem; nie powiem!

— Kłamie, słowo daję, kłamie! — zawołał Aleksander. — Już ja jego znam. On na każdy jarmark prowadzi konie i zawsze wsadzi komu nosate, kulawe albo ślepe, a wzamian weźmie dobre. To samo zrobił i z siwymi!

Wszyscy śmieli się, Siankowski się obraził.

— Spytajcie się mego ojca, jeżeli za kasztanki nie zapłaciłem gotowymi pieniędzmi — rzekł z nadąsem.

— »Masz, cyganie, świadki? mam żonę i dziatki!« — drażniącym głosem wymówił ktoś z towarzystwa. I znowu był śmiech ogólny.

— Ale wiecie co? że niema lepszych koników w okolicy, jak u Topolskiego — odezwał się ktoś z boku — widziałem je wczoraj w bryczce: myszate, bystre a zgrabne, jakby cacka!

— U jakiego to Topolskiego? — spytał ktoś, z dalszych stron przybyły.

— A u tego z Topolina.

— Aha! u tego, co to zaręczony z panną Niemeńską.

— Dyabło szczęśliwy z niego człowiek, słowo daję! — za-

wołał Aleksander — najładniejsze ma konie z okolicy, i zaręczony z najładniejszą panną!

— Słuchaj, Kotowicz! — dodał, zwracając się do wysmukłego młodzieńca w obcisłym paletocie — ty w niej kochałeś się? prawda? i dostałeś odkosza? co?

— Gdzie tam — protestował Kotowicz — za wysokie progi na moje nogi. Ja sobie tylko komisarz, choć wprowadzie na wielkim majątku, ale ona ma swój własny folwark. Zresztą już zaręczona z Topolskim od roku.

— Głupstwo! — rzekł Aleksander — zaręczyny pajeżyny.

— Ale jabym tam niczyjej narzeczonej nie chciał — odpowiedział Kotowicz. — Panna Wincenta podobała mi się, co prawda, ale jak dowiedziałem się, że zaręczona, to i dałem pokój. Broń mię Boże, abym miał komu narzeczoną odbijać.

— A jabym odbił, gdyby mi się spodobała — rzekł Aleksander — co to ma jedno do drugiego? A znasz przysłowie: koń zatargowany, panna zaręczona...

— Zawsze to jednak nie godzi się... — przerwał mężczyzna otyły, łysy i zająkliwy.

— Ej! tobie, Rybiński, hreczkę siać i pacierze mówić, a nie o takich rzeczach sąd wydawać — odpowiedział Aleksander, a wszyscy głośno zaśmieli się.

— Niech sobie będzie i tak, lepiej pacierze odmawiać i hreczkę siać, niż baki zbijać po świecie — odciął się Rybiński, a Aleksander zmieszał się trochę i odwrócił od niego.

— Słuchaj, Olesiu, ty w czepku się rodziłeś — rzekł ktoś z towarzystwa — wszak panna Wincenta, choć zaręczona, bardzo mile na ciebie spogląda!

— At! skądże wiecie o tem! — rzekł Aleksander, poprawiając krawat.

— Oho! szydła w worku nie utaisz! alboż to nie widać było, jak spozjrzała na ciebie którejś niedzieli, kiedy to jej książkę pod kościołem podałeś!

— Czy doprawdy? spozjrzała? — pytał Aleksander, muskając wąsiki.

— O! nibyś sam nie widział! niewiniątko! — zawołał Siankowski.

— Słowo daję, nie widziałem — rzekł Aleksander, gładząc ciągle wąsik.

— A pani Karliczowa? czy i o tej nic nie wiesz? — żartobliwie zapytał ktoś inny.

— No, pani Karliczowa, to co innego! — odpowiedział młodzieniec, śmiejąc się znacząco.

— Bodaj to być takim ładnym chłopcem! — zawołał barczysty i ogorzały Siankowski. — Ech, jak Boga kocham, czemu to ja nie mam takiej czupryny i takich kobiecych rąk, jak on!

— Głupstwa gadacie i po wszystkim — rzekł Snopiński z widocznym zadowoleniem. — Ot, pójdźmy lepiej do kościoła!

— Jeszcze nie dzwonili! — odpowiedział ktoś inny.

— To co? popatrzmy, jak damy będą zajeżdżać przed kościół.

Wszyscy młodzieńcy, z Aleksandrem na czele, wyszli z oberży, przeszli przez rynek, rozmawiając i śmiejąc się głośno, ścigani oczyma zachwyconych nimi chłopów i Żydów, stanęli rzędem przed sztachetami, otaczającymi kościół.

Aleksander umieścił się tuż przy wnijściu na cmentarz, wywijał laseczką, rozprawiał z towarzyszami i rzucał spojrzenia i żarciki między grona wiejskich dziewcząt i młodyc, które siedziały nieopodal na ziemi i wszystkie prawie ukradkiem na niego zerkaly.

— Niech cię dyabli, Olesiu! jaki masz ładny paletot! — zawołał jeden z młodzieży. — Kto ci go robił? pewno nie Lejba?

— Sprowadziłem go z Warszawy — odpowiedział Snopiński, muskając wąsik — i czapkę tę także.

I zdjawszy z głowy czapeczkę, w której wnętrzu był w istocie stempel jednej z fabryk warszawskich, pokazał ją obok stojącemu towarzyszowi. Czapka poszła w kurs i wszyscy się nią zachwycali.

— Patrzcie go, tego Olesia! — wołał Siankowski — ubiera się w warszawskie stroje! Ależ to musi tego kosztować. Jakto! papunio tyle pieniędzy tobie daje?

— Mam swoje — odpowiedział Aleksander, wkładając z szykiem zwróconą mu czapeczkę.

— Masz pan swoje? — wyjąkał łysy Rybiński — a zdaje się, że i czasu jeszcze nie miałeś zapracować na własne pieniądze!

Aleksander z góry na niego spojrzał i uśmiechnął się ironicznie.

— Mój panie Rybiński — wyrzekł — tylko hołysze, nie pracując, nie mają pieniędzy, a ja do takich, dzięki Bogu, nie

należę. Ojciec mój trzyma dzierżawę, ot tak sobie, dla zabawki i z przyzwyczajenia, ale, gdyby chciał, mógłby mieć własny majątek.

— A słyszałem, że twój ojciec chce dla ciebie majątek kupić — ozwał się Siankowski.

— A tak — odpowiedział niedbale Aleksander — ale ja nie chcę osiadać w tych stronach, bo tu żadnego porządnego majątku niema do kupienia; same drobiazgi!

— Owszem — zarzucił Kotowicz — słyszałem, że Pszeniczna hrabiny jest do sprzedania. To śliczny majątek: trzydzieści chat, sto dwadzieścia morgów ziemi w każdej zmianie i kawał pięknego sosnowego lasu.

— Co to znaczy? — rzekł Aleksander — jabym chciał coś kompletnie porządnego, z ośmdziesiąt chat przynajmniej, a nade wszystko, żeby dwór był piękny.

— Ależ to gmachu pieniędzy potrzeba, żeby kupić taki majątek! — zawołało kilka głosów.

— A cóż z nimi lepszego zrobić, kiedy są? — z pełnym wyższości uśmiechem rzekł Aleksander. — Już jeżeli gospodarować, to na czemś dobrem; na małym to dla mnie nie warto!

— Patrzcie go, jaki wielki pan! — szepnęła Kotowicz do Rybińskiego.

— A tak — odszepnął Rybiński — tatko, jak był w jego wieku, chodził w siermiędze i podartych butach, i zaczynał od dzierżawek na pięciu chatach, a synalek dowodzi, że na małym gospodarzyć nie warto!

— Ciekawym też, czy jego ojciec w istocie taki bogaty?

— Czyż nie znasz bogactwa dzierżawcy? Jak ma porządne inwentarze i kilka tysięcy rubli gotówki, to i chwala Bogu. Ale zobaczysz, jak to synek pięknie i prędko z dymem puści!

— Spodziewam się! paletoty z Warszawy!

— I czapeczki!

— A i jeździł panicz do Warszawy przeszłego lata; pewnie tam porządną sumkę na bruku zostawił.

— A jakże! ale przywiózł kilka tuzinów rękawiczek, które nam pokazywał, i cukierków dla pani Karliczowej.

— Żal się Boże! ja nie wiem, jak to pani Karliczowej nie wstyd takiego, za pozwoleniem, błazna bałamucić! Toć to bogata obywatelka i nie pierwszej młodości!

— Zachciałeś! ładny chłopiec!

Gdy tak dwaj szlachcice szeptali między sobą, z ukosa spoglądając na dandysującego się pod sztachetami Aleksandra, ktoś zawołał:

— Siankowscy jadą!

Na placu ukazał się staroświecki kocz poczwórny, a w nim siedziała familia Siankowskich, dzierzawiąca także jeden z majątków hrabiny L. i złożona z matki, dwóch córek i ogorzałego ojca.

Gdy powóz zatrzymał się przed wrotami cmentarza, Aleksander poskoczył, otworzył portyerę, a zdejmując czapeczkę i kłaniając się elegancko, pomagał wysiadać paniom. Pocałował matkę w rękę, uściśnął rączki panienek, pytał o zdrowie, wołał, że piękna pogoda, i cały w ukłonach i komplementach, odprowadził damy do połowy cmentarza, potem wrócił na swoje stanowisko.

Wysokie, świeże i nieszpetyne panny Siankowskie uśmiechały się doń bardzo mile, a gdy odszedł, jedna z nich obejrzała się za nim parę razy.

Po przybyciu Siankowskich cała już parafia ruszyła pod kościół. Podjeżdżały różne bryczki, najtyczanki, koczki i karykły, a z nich wysiadali mężczyźni i kobiety różnych strojów i powierchowności.

Aleksander otwierał portyery paniom przyjeżdżającym powozami, kłaniał się tym, które przyjeżdżały w najtyczankach, a na przybywające prostemi bryczkami zaledwie patrzył, chyba wtedy, gdy która z nich była młoda i ładna, zerkał na nią ogniescie, a gdy przeszła, odwracał się do stojących obok towarzyszy i mówił półgłosem:

— Nieszpetna szlachcianeczka!

Ostatnia ze wszystkich powozów, ukazała się na placu ładna, podwójna karetka, w sześć karych koni zaprzężona, ze służbą w liberyi.

— Pani Karliczowa! — ozwało się kilka głosów, i wszystkie oczy zwróciły się na Aleksandra.

Po ustach młodzieńca przebiegał drwiąco zadowolony uśmieszek.

Z pięknej karetki wysiadła kobieta przeszło lat trzydziestu, ale jeszcze bardzo ładna. Miała ona włosy najwyższej czarności, oczy czarne, ogniste, płeć śniadą i niezmiernie długą suknię; na twarzy miała przezrocystą koronkową zasłonę, a na rękę różaniec z agatowych paciorków, z cennym złotym krzyżem. Cała jej powierchowność oznajmiała kobietę światową i z wysokiej

sfery, ale zarazem ognistą, wrażliwą, kapryśną i goniącą ostatkiem młodości, która świetną a burzliwą być musiała. Wysiadając, rzuciła szybkie spojrzenie na Aleksandra, który wraz z liberyowanym lokajem otwierał portyerę, podała mu rękę i zamieniła z sobą kilka słów półgłosem.

Wkońcu pani Karliczowa uśmiechnęła się raz jeszcze, obrzuciła piękną twarz młodzieńca ognistym spojrzeniem i weszła na cmentarz.

Aleksander stanął znowu u furtki, ale zamyślił się nieco, od chwili do chwili uśmiechał się do siebie, jakby go jakieś miłe lub zabawne myśli zajmowały.

— No, pójdźmyż do kościoła; już wszystkie damy przyjechały — ozwał się Siankowski.

— Nie wszystkie jeszcze! — zarzucił Aleksander.

— On jeszcze na kogoś czeka! — zawołał głos jakiś.

— Ja wiem na kogo — odrzekł ktoś inny.

— Na kogoż?

— Na pannę Niemeńską.

— Czy prawda, Olesiu? — spytało kilka głosów.

— Prawda — odpowiedział krótko Aleksander.

— A cóżby na to pani Karliczowa powiedziała? — z przekąsem spytał Kotowicz.

— At — niedbale odpowiedział Aleksander — co to za porównanie! Ta Wincunia Niemeńska śliczna, jak jagódka, świeża, młodziuchna. A pani Karliczowa, no, zapewne, to bardzo miła dama, ale z nią to można tylko tak... »pour faire passer le temps«.

— Patrzcie! i po francusku gada! — szepnęła Rybińska do Kotowicza.

— A pannę Wincentę to niby mógłbyś na seryo pokochać, ty bałamucie jakiś! — zawołał Siankowski.

— Do szaleństwa! — zawołał Aleksander. — Ja już i tak w niej zakochany po uszy, choć jeszcze trzech słów z nią nie mówiłem! nie wierzycie? Słowo daję, że prawda!

— Czekaj-że — zawołał Siankowski — powiem-że to ja siostrze mojej, Józli!

— A gadaj, jeśli chcesz! już mię teraz nikt nie obchodzi, tylko jedna »ona«!

— Kto?

— Wincunia Niemeńska.

Chóralny śmiech zabrzmiał.

— Zapominasz, Olutku, że ona ma narzeczzonego — zawołał ktoś z młodzieży.

— Prędzej zje dyabła, a nie ją weźmie za żonę ten szlachciura! — z nadąsaniem odpowiedział Olutek.

— Biednyż on! — zawołał ktoś żartobliwie — już jak ty zawężmiesz się, Olesiu, to podstawisz jemu stołeczka!

Znowu nastąpił wybuch ogólnego śmiechu. W tej samej chwili z kilku ust wyrwał się okrzyk:

— Otóż i ona!

Zgrabną parokonną bryczką podjechała pod kościół pani Niemeńska z synowicą. Tuż za niemi zaturkotała także sama bryczka, i Bolesław Topolski, wyskoczywszy z niej pośpiesznie, pomagał wysiadać narzeczonej i jej ciotce.

Wincunia znowu miała na sobie różową sukienkę, tylko już nie perkalową, ale strojnieszczą, bo muslinową. Był to snadź ulubiony jej kolor.

Słomkowy okrągły kapelusik, opasany różową wstążką, uzupełniał to proste, niemal dziecinne ubranie. Pani Niemeńska poszła naprzód, a Wincunia postępowała za nią obok narzeczonego, którego twarz jaśniała zwykłą mu pogodą.

Wincunia miała oczy spuszczone, zdawała się wpatrywać w trawę, którą deptały jej drobne nóżki, zgrabnie wysuwające się z pod sukienki. Gdy znalazła się blisko furtki cmentarza, podniosła nagle wzrok i spotkała się z utkwionem w siebie spojrzeniem Aleksandra.

Żywy rumieniec oblał jej twarz, a Aleksander zgrabnym ruchem zdjął czapkę i pozdrowił ją najpiękniejszym swoim uśmiechem i ukłonem.

Wincunia skłoniła lekko głowę i postąpiła ku kościołowi śpiesznym krokiem. Bolesław przemówił coś do niej, nie usłyszała. Zdawała się bardzo zmieszana.

Uderzono w dzwony kościelne i po chwili cisza zupełna zaległa plac i cmentarz, tylko z wnętrza świątyni wypływały poważne akordy organów, albo wybuchał z niej chór mnóstwa głosów, śpiewających pieśni nabożne.

Po nabożeństwie, pobożni wyroili się znowu przed kościołem. Potworzyły się na cmentarzu różne grupy. Ludzie poważani, zażadani właściciele i dzierżawcy, otoczyli wychodzącego z zakrysty proboszcza i rozprawiali z nim o gospodarstwie, urodzajach, wiadomościach gazetowych i t. d.

Niemłode kobiety podchodziły też do siebie z wzajemnymi powitaniem; między niemi była pani Niemeńska, a obok niej stała Wincunia.

Nie przyłączyła się ona do gromadki pańien, wkoło których

na wyścigi zalecała się młodzież, ale milcząca stanęła obok ciotki i trzymała wciąż wzrok spuszczone, jakby lękała się spojrzeć na coś, co się jej ciągle nasuwało przed oczy.

To coś było w postaci pięknego młodzieńca, który nazywał się Aleksander Snopiński. Przeciwnie swemu zwyczajowi, nie złączył się on z młodzieżą, strojącą konkury do kilku pańien, błyszczących zdaleka mnóstwem kwiatów i wstęg na kapeluszach, i nie królował w tej grupie, jak to bywało zawsze, pięknoscą twarzy, elegancją układu i śmiałością słów i spojrzenia; ale jakiś zamyślony, nieswój, krążył wkoło grona niemłodych pańien, między których ciemnymi szatami jaśniała różowa sukienka. Obok niego przeszedł raz Bolesław Topolski.

Aleksander widocznie chciał z nim rozpocząć rozmowę, bo podniósł rękę do czapki i otworzył usta; ale Bolesław, zajęty żywą rozmową z panem Andrzejem, który siedł obok niego, nie spostrzegł intencji młodzieńca i, oddawszy mu tylko ukłon zdaleka, przyłączył się do towarzystwa poważnych ludzi, otaczających proboszcza.

Aleksander z niezadowoleniem zmarszczył brwi.

— Któż mnie jej przedstawi? — szepnął do siebie. — Nie mogę przecie ni z tego ni z owego zagadać do niej.

I znowu zaczął krążyć około grupy kobiet, między którymi była różowa sukienka, idąc z wolna, niby w zamyśleniu, albo zatrzymując się i grzebiąc laseczką w trawie.

— Ha! — rzekł wkońcu — cóż robić? trzeba samemu zaprezentować się!

Postąpił kilka kroków i nieco się zawahał, ale nieśmiałość nie stanowiła głównej cechy jego charakteru, gdyż po chwili podniósł rezolutnie głowę, poprawił czapkę i stanął naprzeciw pani Niemeńskiej, która właśnie przestała na chwilę rozmawiać z sąsiadkami. Ukłonił się zgrabnie i wyrzekł z uprzejmym uśmiechem, który pięknie ozdobił jego rozpromienioną twarz:

— Oddawna pragnę dostąpić zaszczytu zostania pani znajomym, ale ponieważ niema nikogo, kto by mnie przedstawił, przebaczy pani, że, jako wieśniak, odrzuciwszy na bok wszelkie ceremonie, sam to uczynię. Aleksander Snopiński — dodał z głębokim jeszcze ukłonem.

— A na co te ceremonie z nami, łaskawy panie dobrodzieju? — wszak i my wieśniaczki! — zawołała pani Niemeńska, z zadowoleniem przypatrując się przez okulary pięknemu młodzieńcowi. — Bardzo, bardzo mi miło poznać pana! żałuję tylko, że tak późno... Ale pozwól pan — dodała, zwracając się do syno-

wicy — Wincuniu, pan Aleksander Snopiński jest tak grzeczny, że chce zaznajomić się z nami.

Wincunia skłoniła się, podniosła wzrok na twarz młodzieńca, i oczy jej spotkały się znowu ze spojrzeniem Aleksandra, które błyszczało nietajonem uwielbieniem. Patrzyli na siebie parę sekund i oboje nagle wzrok spuścili; ale tym razem Wincunia, zamiast zarumienić się, zbladła trochę, a po czole młodzieńca przemknął lekki rumieniec.

Niewidzialne i niepojęte dla ogółu, ale pełne znaczenia dla spostrzegaczy, są owe zewnętrzne znaki, które ognistemi zgłoskami wypisują na licach ludzkich tajemniczą serc ich mowę. Z nich, jak przejrzystą krepą pokrytych alfabetycznych liter, wyczytać można wnętrze człowieka: co w nim jest, a nawet co będzie.

Jeżeli w rozmowie dwojga ludzi młodych rumieniec krasi lice dziewczyny, rzecz to powszednia. Ale jeżeli pod spojrzeniem mężczyzny twarz jej obleka się nagłą bladością, znak to wrażliwej natury i zapowiedź potężnego, które w pierś jej wstępować zaczyna, nagłego uczucia.

Dziewczę rumieni się co chwila niekiedy, bez wyraźnego powodu, jak pączek róży, który, rozkwitając, ponsowieje z natury swojej. Lecz jeżeli zblednie nagle świeże i żarem życia nie dotknięte lice, znać, że w pierś przenika głęboko i do duszy się wdziera wzruszenie silne, które tam stopniowo zmieni się w płomień namiętności.

Wincunia zbladła pod tryskającym iskrami spojrzeniem Aleksandra.

— Pora nam wracać do domu — rzekła pani Niemeńska, po zamienieniu kilku jeszcze grzecznych słów z młodym Snopińskim, a zwracając się raz jeszcze do niego, dodała:

— Spodziewam się, że pan nas odwiedzisz. Bardzo prosimy! bardzo prosimy!

— Jest to oddawna najmilszem mojem marzeniem — odpowiedział Aleksander i pomógł paniom wsiadać do bryczki.

Bryczka była już daleko, a młodzieniec stał ciągle na jednym miejscu i w zamyśleniu grzebał laseczką w trawie.

— Cóż tak rozmyślasz? — ozwał się za nim gruby głos młodego Siankowskiego — pójdź-no na salę, pogramy w bilard.

Aleksander jakby się ze snu ocknął.

— Nie pójdę — odrzekł krótko.

— Dlaczego? — spytał Siankowski.

— Pojadę do domu.

— Czy ci tak zasmakowały morały twojego krewnego, że się tak śpieszysz do domu? — zaśmiał się półgłosem Siankowski.

— Bredzisz, Franusiu! — odparł z niechęcią Aleksander — wracam do domu, bo mam na dziś świetne projekty.

— Jakież to?

— Nie powiem.

W tej chwili do rozmawiających zbliżył się pan Jerzy Snopiński.

— Cóż, Olesiu, zostajesz pewno? — zapytał syna.

— Nie, papo, jadę do domu.

— Fenomen! — zawołał pan Jerzy — toć każdej niedzieli zostajesz w X. do późnej nocy! Cóż to się stało?

— Mam na dziś inne projekty.

— I na salę nie pójdziesz? — spytał niedowierzająco ojciec.

— Nie pójdę, papo.

— Węgłem na kominie zapisać! — rzekł pan Jerzy — no, ale kiedy tak, to jedźmy już, bo dyabelniem głodny.

Po chwili plac pod kościołem był prawie pusty, tylko, krzycząc i szwargocąc, biegło po nim kilkoro obdartych żydowskich dzieci, zdala dochodził turkot odjeżdżających szlacheckich bryczek, a z oberży Szlomy wybuchał gwar pijących włościan i dawały się słyszeć uderzenia kul bilardowych na facytce.

VI.

Niewczesne żale.

W bawialnym pokoju adampolskiego domu pan Andrzej siedział obok pani Snopińskiej i opowiadał jej o wycieczce do puszczy Białowieskiej, którą odbyć zamierzał, a Aleksander chodził po pokoju, uśmiechał się i, przeciwko swemu zwyczajowi, nie odzywał się ani słowa, tak był zatopiony w myślach.

Po chwili wszedł do pokoju pan Jerzy; oczy jego były mocno zafraszowane, spojrzał na syna i rzekł porywczo:

— Olesiu, widziałem, że twoje konie zakładają pod staj-

nią; dokądże to znowu pojedziesz? Czy nie do X. na salę? Trzeba było odrazu tam zostać, przynajmniej-byś koni darmo nie pędził!

— Nie pojedę do X, papo — odpowiedział Aleksander z uśmiechem.

— Więc dokąd polecisz?

— Nie mogę powiedzieć, papo.

— Cóż to znowu za sekret? Jeszcze tego przynajmniej nie było dotąd, abyś pod sekretem przed rodzicami gdzie jeździł!

— Kochany papo — rzekł rezolutnie Aleksander — jestem dorosłym człowiekiem i mogę mieć moje sekrety; jak wrócę, powiem papie, gdzie byłem, a teraz nie mogę.

To rzekłszy, wyszedł, uśmiechając się ciągle do siebie; pani Snopińska wysunęła się za nim z pokoju, a pan Jerzy wzruszył ramionami i markotny usiadł obok swego gościa.

Po chwili ładna najtyczanka, zaprzężona czterema końmi w leje, zajechała przed ganek, i furman, młody chłopak, parę razy palnął z bata zamasyście.

Aleksander w eleganckim warszawskim paletocie siadł na bryczkę i konie ruszyły przez dziedziniec. Mijając otwarte okno, przy którym siedzieli ojciec jego i pan Andrzej, młody człowiek pokłonił im się z uśmiechem czapeczką i zawołał na furmana:

— Ruszaj żywo!

Pan Jerzy patrzył za odjeżdżającym, dopóki bryczka nie zniknęła za bramą, potem westchnął i rzekł, jakby do siebie:

— Ani jednego całego dnia ten chłopiec nie posiedzi w domu!

Machnął ręką, spuścił głowę i zamyślił się. Na czole jego, zda się, przybyszało zmarszczek pod wpływem ciężkich myśli, a w oczach zwykły im frasunek zamienił się w smutek prawdziwy.

Pan Andrzej patrzył na niego ze współczuciem, położył rękę na jego ramieniu i rzekł łagodnie:

— No, mój stary przyjacielu, powierz mi swoje troski, a lżej ci będzie. Bądź otwartym ze mną: nie rad jesteś ze swego syna, czy prawda?

Pan Jerzy pokiwał głową.

— At — rzekł — alboż można cieszyć się z tego wiecznego

próżniactwa, z tego życia z dnia na dzień, bez żadnej pocziwej myśli w głowie, jakie on prowadzi!

W słowach tych był żal i drżała obawa ojcowskiego serca.

— Wybacz mi, kochany przyjacielu — mówił dalej pan Andrzej — że powiem ci prawdę... leży mi ona na sercu, odkąd tu przybyłem. Sam winien jesteś, że syn twój tak smutnie marnuje swoją młodość. Dlaczegoż nie dałeś mu staranniejszego wychowania? Czemu od dzieciństwa nie zaprawiłeś, nie przyzwyczaiłeś go do jakiegokolwiek pracy?

— Ha! — zawołał pan Jerzy, zrywając się z krzesła — masz słuszność, Andrzeju, wielką słuszność! popełniłem omyłkę, straszną omyłkę w wychowaniu tego dziecka, i obawiam się teraz, aby mię Bóg surowo za ten błąd nie ukarał!

— Uspokój się, Jerzy — rzekł pan Andrzej — ale ponieważ weszliśmy już na ten smutny temat rozmowy, powiedz mi: jak mogłeś, obdarzony tak zdrowym, naturalnym rozsądkiem, ty tak zamięłowany w pracy i tak gorliwie pracujący całe życie, w podobny sposób wychować syna?

Pan Jerzy długo milczał, jakby zbierał myśli dla dania odpowiedzi przyjacielowi, potem otarł nieznacznie łzę z oka i rzekł:

— Słabość ojcowskiego serca, Andrzeju, przywiązanie zbyt uczucie do jedynaka, były tego powodem. Bóg widzi, że nie chciałem źle zrobić, bo i któż może źle życzyć własnemu dziecku? Ale nie wiedziałem sam, co robiłem; jestem prosty człowiek i, zapewne przez brak oświaty, nie umiałem zmierzyć całej ważności następstw mego postępowania z dzieckiem; może zresztą i zbyt uległem wpływowi żony, która w nim zawsze widziała i widzi ósmy cud świata. Wszystko, słowem, złożyło się na to, aby jak najgorzej pokierować jego wychowaniem, a teraz widzę, że źle się stało... bardzo źle...

Westchnął znowu i mówił dalej:

— Wiesz, Andrzeju, że oprócz niego miałem jeszcze troje dzieci i wszystkie mi poumierały w małych latach, on jeden został. Miłość nasza dla niego we czworo się zwiększyła. Póki był mały, pieścił się go z matką na wyścigi. Mając dwanaście lat, czytać jeszcze nie umiał, bo ile razy zapłakał, gdy go zaczynano uczyć, matka książkę w piec rzucała, a ja, chodząc za gospodarstwem od rana do wieczora, nie miałem czasu zająć się nauką chłopca.

Zresztą mówiłem sobie zawsze, że w naszym stanie wiel-

kiej nauki nie potrzeba, że będzie jeszcze na nią dość czasu. W dwunastym roku oddałem go do szkół. Zdolności miał ogromne i uczył się doskonale, kiedy chciał, ale rzadko chciał, bo przywykł w domu do próżniactwa i same głupstwa kręciły mu się po głowie.

Skończył jednak cztery klasy, a tak był zdolny, że, choć mało się uczył, jak przyjechał do domu na wakacje i zaczął rezonować o wszystkim, co słyszał i widział, zdawało się, że bardzo wiele umie, i że skończony z niego człowiek. Po wakacjach za nic już nie chciał wracać do szkół. Nie chcę i nie chcę. Matka także kładła mi ciągle w uszy: »a dość tych nauk! a na co to nam te nauki! a Oleś już i tak rozumniejszy od całej okolicznej młodzieży!«

Z początku nie zdawało mi się, aby tak było, ale jak zaczęli mnie oboje prosić, i on, i matka, tak i pomyślałem sobie, że może i dobrze będzie, jeżeli chłopiec zostanie w domu i będzie mi pomagał w gospodarstwie. A trzymałem wtedy wielką dzierżawę w Kowieńskim, potrzebowałem pomocy. Myślę sobie: będę go kierował na gospodarza, a gospodarzowi niewiele nauki potrzeba!

Otóż widzę jasno, że się grubo myliłem, bo nauka już przez to samo dobra, że przyzwyczają do pracy, a potem już teraz taki świat, że bez nauki ani rusz, nawet w gospodarstwie, a i mnie, choć staremu, brak jej często poczuć się daje.

Koniec końców, pozwoliłem Olesiuwi zostać w domu. Otóż-to wtedy zaczęło się zupełne hultajstwo, tracenie pieniędzy, hulanki z młodzieżą, słowem wszystko, co go i teraz zajmuje.

Nie wziąłem go odrazu w karby, nie zwracałem na niego uwagi, bo pracowałem od rana do nocy; dawałem mu czasem robotę przy gospodarstwie, ale spełniał ją raz dobrze, a dziesięć razy źle, i tak poszło już coraz dalej i coraz gorzej... a teraz już niema rady!...

— Dlaczego niema rady? — rzekł pan Andrzej — staraj się teraz skłonić go do pracy, wzbudź w nim ambicję, przedstaw mu piękną przyszłość, jakaby niezawodnie czekała tak uzdolnionego z natury człowieka, gdyby poszedł dobrą drogą; zrób tak, aby wstąpił do jakiego naukowego zakładu, wszak jeszcze dość młody na to!

— Otóż to właśnie bieda, że wszystko już za późno: miałem tego dowód niedawno — smutnie odpowiedział pan Jerzy. — W zeszłym roku zjechało się tu w sąsiedztwie kilku studentów

uniwersytetu na wakacje: młodszy syn Siankowskich, krewni pani Karliczowej i inni. Przyjeżdżali parę razy do nas, Oleś spotykał się z nimi często w sąsiedztwie.

Widać zawstydził się niższości wobec nich, tknęła go jakaś ambicja, bo przyszedł raz do mnie i mówi: »pojadę na uniwersytet!« Serca zaskakało we mnie z radości. Uściskałem go, powiedziałem, że zgadzam się, błogosławię i wszelkich wydatków na to nie pożałuję!

Przez jakiś czas bardzo był tym projektem zajęty, wziął od Siankowskiego spis nauk, które posiadać trzeba, aby być przyjętym do uniwersytetu. Ale nagle przestał o tem mówić, wakacje skończyły się, młodzież się rozjechała, a on ani myślał o wyjeździe z domu.

Zapytałem go raz: »Cóż Olesiu, kiedy pojedziesz?« — »Nie pojadę wcale« — odpowiedział. — »Dlaczego?« — »Bo, aby zostać przyjętym do uniwersytetu, trzeba zdać egzamina, a ja nic nie umiem, na nowo zaś iść do szkół za późno i nie chcę!...«

Cóż miałem robić? zasmuciłem się i ostatnia moja nadzieja spełzła na niczem.

Ale widać, że i jemu to przykro było, bo przez jakiś czas chodził jak zabity, a ja sobie tylko myślałem, że jeden nierozsądny i fałszywy krok może wszystko zgubić, bo gdybym mu był nie pozwolił zostać w domu po skończeniu czterech klas, a wysłał dalej do szkół, chłopiec byłby teraz uczył się w uniwersytecie. Ale tu i moja żona wiele temu winna... oj matki, matki!...

Machnął znowu ręką i westchnął głęboko; pan Andrzej był zamyślony i smutny.

— Mówiłeś mi — ozwał się po chwili — że Aleksander ma także wielkie zdolności do robót mechanicznych. Możeby mógł i chciał wyuczyć się specjalnie jakiego rzemiosła i założyć sklep albo warsztat w jakim większym mieście. Na to już nie trzeba skończenia siedmiu klas i zdawania egzaminów.

Pan Jerzy podniósł na mówiącego zdziwione i rozgniewane niemal oczy.

— Jakto, Andrzej — rzekł — mój syn miałby zostać rzemieślnikiem? Przecież my, choć nie posiadamy własnej ziemi, jesteśmy dobrą i starą szlachtą!

Smutnie uśmiechnął się pan Andrzej.

— I cóż to szkodzi? — rzekł. — Alboż jakakolwiek praca ubliża człowiekowi i ściera z jego tarczy herbowej znamię zaszczytne, które przodkowie jego zdobyli także nie inaczej tylko

pracą, a często nawet i krwią swoją? Alboż rzemieślnicy nie są użytecznymi światu? Alboż niema rzemieślników, którzy dorobili się niezależnego bytu, a nawet sławy i bogactwa?

— A wiem, wiem — rzekł porywco pan Jerzy — że teraz u was mądrych ludzi wszystkie stany i wszystkie rodzaje pracy są sobie równe; możeby nawet Oleś chętniejszy był do rzemiosła, niż do nauki, ale ja staroświecki człowiek i za nic-bym nie chciał, żeby mój syn był rzemieślnikiem!

— A więc — zawołał z żalem pan Andrzej — wolisz, aby został pasorzytem, daremnie zjadającym chleb na świecie? Aby przez beczyność wpadł w złe nałogi, stał się pijakiem albo karciarzem? Aby, wśród próżniactwa i hulanki, przemarnował fundusz, z takim trudem przez ciebie zebrany, a potem umarł w nędzy i występku!...

Pan Jerzy milczał, oczy jego były bardzo zafrasowane, czoło zmarszczone.

— A, że zmarnuje, to zmarnuje on ten grosz, zebrany przeze mnie w pocie czoła — ozwał się, jakby odpowiadając najważniejszej trosce swojej — już i dotąd strwonił niemało. Zachciało się paniczowi jechać do Warszawy; pojechał i stracił grube pieniądze, ale za to nawiózł z sobą marynarek, krawatów, paletotów, cukierków dla panienek i lichy tam wie czego jeszcze, a w dodatku większe jeszcze fupy i pustactwa w głowie. Trzy miesiące temu, posłałem go do powiatowego miasta z podatkami, bo obowiązałem się kontraktem opłacać podatki za Adampol.

Myślisz, że zapłacił? Gdzie tam! przehulał pieniądze, a były nie małe, i potem napisał do mnie, abym mu przysłał inne, bo tamtych użył na swoje potrzeby. Musiałem drugi raz zapłacić. Trzyma sobie na stajni cztery konie, których nikomu poruszyć nie wolno; na rękę nie włoży innej rękawiczki, tylko warszawską, przegrywa w bilard na tej przekłetej sali, którą dyabeł, w postaci Żyda, wymyślił na pokuszenie ludzkie, i lata po sąsiedztwach, gdzie tylko znajdzie jaką nieszpętną mordeczkę. At!... Ot powiem ci, Andrzej, że najbardziej psują mi go kobiety, począwszy od matki, a skończywszy na tej pani Karliczowej, co to sama nie wie, co z nudów na wsi robić.

Łapała go sobie na zabawkę, zaprasza, trzyma po kilka dni u siebie, prezentuje całemu światu, chwali i bałamuci, a jemu zdaje się, że on wielki bohater i ósmy cud świata.

Ładny z niego chłopiec, a kobiety lgną do jego kędzierzawej czupryny i białych zębów, a tem i jemu głowę za-

wracają, i same durzą się, jak głupie stworzenia, z błaznem, u którego niedawno mleko było pod nosem. Już-bym wołał sto tysięcy razy, żeby się ożenił, możeby przynajmniej statek przyszedł do głowy.

Ale gdzie tam! ot i teraz poleciał gdzieś pewnie do jakiegoś ładnego buziaczka, co się do niego uśmiechnął, a czy to właśnie pojechał on tam z pocziwą myślą, że stateczną miłością? At!

— Hm — rzekł pan Andrzej z zamyśleniem — wszystko to złe jest, Jerzy, bardzo złe.

— Oj złe! złe! — powtórzył z uniesieniem pan Jerzy — ot, czy wiesz, Andrzej, że jak patrzę na Aleksandra i myślę sobie o tem, jaka to będzie przyszłość jego, a moja na starość zgryzota, mam ochotę wleźć na najwyższą wieżę, jaka jest na świecie, i zawołać z niej do wszystkich ojców: »hodujcie synów od najmniejszych lat w miłości cnoty i pracy, nie uważajcie nauki za niepotrzebną dla nich, starajcie się, aby każdy z nich miał cel życia, któryby umiłował serdecznie, bo inaczej zrobicie z nich hultajów i łotrów, i sami na starość będziecie mieli, zamiast pociechy, zgryzotę sumienia i krwawe łzy do oplakiwania skutków swojej nierozwagi«.

Mówiąc to z silnem wzruszeniem, pan Jerzy przyłożył chustkę do swych zafrasowanych oczu i zapłakał.

VII.

Pierwsza wizyta.

W tym samym czasie, gdy pan Jerzy opowiadał przed przyjacielem obawy i żale, jakimi go napełniało postępowanie syna, Aleksander prędko przebył rącznymi kołmi trzywiorstową przestrzeń, dzielącą Adampol od Niemenki, i w bawialnym pokoju małego dworku ożywioną prowadził rozmowę z miejscowymi paniami.

Pani Niemeńska, ustrojona od święta w czepek z liliowemi wstążkami, z widocznem upodobaniem patrzyła na młodego gościa.

Wincunia siedziała obok ciotki, zmieszana nieco, mniej

mówna, niż zwykle, zamyślona i jakby poważna. Z tem pomieszaniem dziewiczem i nieco rzewnym wyrazem twarzy, jaki rzucały na nią długie rzęsy spuszczaających się co chwila oczu, Wincunia ładniejszą była jeszcze, niż zwykle.

To też Aleksander ogarniał ją raz po raz ognistem spojrzeniem, a niekiedy tak się w nią wpatrywał, że aż zapominał o odpowiadaniu na wielomówne i uprzejme pytania pani Niemeńskiej.

Był on ubrany wedle ostatniej mody, wszystko na nim było cienkie, świeże, wytworne; misternie zawiązany węzeł szafirowego krawata pięknie odbijał przy ciemnym stroju i białej twarzy.

Mówił wiele i z ożywieniem, a co moment mowę swą zwracał do Wincuni; ona odpowiadała mu uprzejmie, z uśmiechem, ale głosem nieco cichszym, niż zwykle; podnosiła na niego spojrzenie i wnet spuszczała oczy; on spojrzenie to chwycił wzrokiem w przelocie, zaglądał w nie głęboko, a potem milkł na chwilę i tylko patrzył na nią.

Pod gankiem zaturkotały koła i do pokoju wszedł Bolesław.

— Czemu tak późno przybywasz pan? — spytała gospodyni domu — czekałyśmy na pana z obiadem.

Bolesław powitał panie, a ujrawszy Aleksandra, zdawał się trochę zdziwionym jego obecnością w Niemence.

— Czy panowie znają się? — spytała pani Niemeńska, gotując się już do dopełnienia ceremonii przedstawień.

— O, miałem przyjemność spotykać się z panem Topolskim w sąsiedztwach — zawołał Aleksander i z najbardziej światową, jak mógł, grzecznością, podał rękę przybyłemu.

Bolesław usiadł i rzekł:

— Przyjeżdżam prosto z X., gdzie byłem na obiedzie u proboszcza. Zebrało się tam nas kilku hreczkosiejów i zarazem trochę literatów, więc gwarzyliśmy sobie to o tem, to o owem...

— Przepraszam pana, że wypowiem moją myśl — z grzeczным, ale nieco ironicznym uśmiechem przerwał Aleksander — nie mogę pojąć, jak pan mogłeś przełożyć gawędę u proboszcza nad towarzystwo pań, które go tu oczekiwały.

Uśmiechnął się Bolesław i odpowiedział:

— Moja znajomość, a nawet ośmielę się powiedzieć, moja

przyjaźń z paniami, jest tak starą i nie potrzebującą dowodów, że panie doskonale wiedzą, jak mi jest drogiem ich towarzystwo. Ale zarazem wiemy też o tem wszyscy, że mężczyzna nie może żyć dla swego tylko, choćby najulubieńszego, kąta. Jego obchodzą i obchodzić powinny sprawy ogólne, a o nich jakże wiedzieć może, jak w nich weźmie udział, jeżeli nie będzie przebywał niekiedy w szerszym kole ludzi, choćby nawet ich towarzystwo nie najlepiej lubił?

Aleksander zdawał się przez chwilę nieco zmieszany tą poważną, lubo pełnym prostoty tonem wygłoszoną, odpowiedzią. Spuścił oczy i po twarzy jego przemknęło niezadowolenie, połączone z ironią. W gnieniu oka jednak odzyskał zwykłą sobie śmiałość i rzekł:

— Masz pan zupełną słuszość i bardzo pięknie mówisz. Ja jednak przyznaję się otwarcie, że jestem egoistą i za nic w świecie nie zamieniłbym przyjemności, jakiej doświadczyłem, przepędzając tutaj tę chwilę, którą pan u proboszcza przeżyłeś.

Na ten komplement, któremu towarzyszyło przelotne spojrzenie, rzucone na Wincunię, pani Niemeńska mile się uśmiechnęła, a czoło Wincuni zabarwiło się lekkim rumieńcem.

— Co do szerszego towarzystwa koła, nie jest ono wcale obcem panu Snopińskiemu — ozwała się gospodyni domu, zwracając mowę do Bolesława. — I owszem, właśnie przed chwilą opowiadał nam wiele zajmujących rzeczy o Warszawie, w której przepędził czas jakiś.

— Pan długo byłeś w Warszawie? — spytał Bolesław.

— Bawiłem tam przeszłego lata dwa miesiące — odparł młodzieniec, muskając wąsika.

— Słyszałem o tem od pana Siankowskiego — rzekł Topolski — i dziwiło mię trochę, że pan opuściłeś dom na tak długo, właśnie w czasie żniw.

Uwaga ta, wypowiedziana tonem, który nie miał w sobie nic złośliwego, musiała wydać się eleganckiemu młodzieńcowi do najwyższego stopnia naiwną i tchnącą stodołą, bo roześmiał się głośno i zawołał z szyderstwem, którego pokryć nie chciał, czy nie umiał:

— A! łaskawy panie dobrodzieju! cóż to ma jedno do drugiego, podróż moja do żniw?

— Jest to pora najtrudniejsza dla gospodarzy, i sądziłem, że ojciec pana, jako zawołany gospodarz, potrzebował wówczas pomocy pańskiej — odrzekł spokojnie Bolesław.

Aleksander sponsował.

— Mój ojciec ma ekonomów, którzy mu pomagają — odparł z fantazją, wstrząsając złocistymi lokami — a pan dobrodziej, czy byłeś kiedy w Warszawie?

— Nie, panie, jestem taki wieśniak prawdziwy, że, oprócz naszego powiatowego miasta, żadnego innego nie widziałem, i lubo nieraz pragnąłem wychylić się w świat szerszy, zajęcia, obowiązki miejscowe, nie dozwalały mi czynić dalekich wycieczek.

— Żałuj pan, żałuj! kto Warszawy nie widział, ten nic nie widział! — zawołał patetycznie młodzieniec, a powstając z krzesła i przybierając również patetyczną postawę, mówił dalej:

— Tam dopiero człowiek poznaje prawdziwie, co to jest życie! Ruch, tłum, gwar, ogromne pałace, piękne powozy na ulicach, bogate magazyny, a wszystko błyszczy i huczy, aż człowiekowi w oczach ćmi się i w uszach dzwonić zaczyna.

— O ile wiem, blask ten i huk, to tylko zewnętrzna strona tego miłego i drogiego sercom naszym miasta — rzekł Bolesław — pod blaskiem kryje się mnóstwo nędzy, a mimo huku tkwi tam myśl poważna...

— O, tak, tak, panie dobrodzieju, ale tego tam nie widać i nie słychać! I pocóż zresztą dopatrywać i dosłuchiwać się tych smutnych rzeczy? kiedy człowiekowi wesoło, to i dobrze; a wesoło bo tam, wesoło!

I, zapaliwszy się do swego opowiadania, począł dalej opisywać ulice, place, ogrody i spacerów warszawskie.

W czasie tej rozmowy dwóch mężczyzn Wincunia nie odezwała się ani słowa, tylko oczy jej przechodziły kolejną z twarzy narzeczonego na twarz Aleksandra.

Dwaj ci ludzie stanowili między sobą zupełną sprzeczność. Spokojna i poważna postać Bolesława, skromnie i czarno ubrana, twarz jego ogorzała o nieregularnych rysach, ozdobionych tylko piękną spojrzenia i uśmiechu, wydawała się pospolitą, niemal prostaczą przy smukłej postaci, wytwornym stroju i białej, ogniem życia i wesołości tryskającej twarzy dwudziestoletniego młodzieńca.

Oczy jednak tych dwóch tak różnych ludzi zbiegały się wciąż na jednym punkcie, a tym punktem była Wincunia. Ale nawet w spojrzeniach ich, na nią rzucanych, była wielka różnica.

Bolesław, patrząc na Wincunię, nie tracił zwykłego sobie

spokoju, a tylko z głębi, z samej głębi jego szarych oczu wypływała cicha rzewność i płonęła w źrenicy łagodnym blaskiem.

Oczy Aleksandra paliły się, migotały błyskawicami, jasny błękit ich ściemniał, i miał barwę nieba, otaczającego tarczę słoneczną w południe.

Gdyby przed tych dwóch mężczyzn przyprowadzono dwie kobiety młode: jedną z dojrzałą myślą i sercem, w ogniu cierpienia wypróbowanem, drugą, młodzieńczą dziewczkę, która naiwne i ciekawe oczy ledwie otworzyła na świat boży, i gdyby tym dwom kobietom powiedziano: »Przyjrzyjcie się tym ludziom i niech każda z was jednego z nich wybierze sobie na szczęście i miłość, na dolę i niedolę życia!« — pierwsza wyciągnęłaby dłoń do Bolesława i rzekła: »tego wybieram, bo ma piękność ducha«, druga zachwyconem okiem utonęłaby w pięknym licu Aleksandra i z rumieńcem wstydu, łzami wzruszenia i śmiechem radości, zawołałaby: »tego kocham, bo w oczach jego przegląda się niebo!«

Kocham! o, niewinne, nieświadome siebie i świata dziewczę młode! Nim wyraz ten wymówisz, złóż pierwszej ręce do modlitwy i módl się długo, długo, i proś Boga, aby ci dał myśl tak przenikliwą, serce takie mężne, iżbyś poprzez ogniste oczy i białą twarz młodzieńca przedrzeć się mogła do duszy jego!

W nią patrz, bo z niej, tylko z niej, stosownie do jej wartości, wypłynie dla ciebie szczęście lub niedola; bo jeśli ona jasna, to i ciebie na zawsze opromieni światłość, pomimo nawet przyszyłych cierpień życia; bo jeśli ona ciemna, i ty, prędzej lub później, zapadniesz w ciemności żalu, rozczerwienia, rozpacz, a kto wie, może grzechu i buntu przeciw swemu losowi!

Wincunia patrzyła na Aleksandra i stawała się coraz bledszą; w miarę, jak mówił, wzrok jej coraz śmielej tkwił w jego twarzy, mgił się wilgocią i promieniał połyskliwym blaskiem.

Aleksander czuł spoczywający na sobie ten wzrok dziewczyny, lubo z mową swą najczęściej zwracał się do gospodyni domu.

Głos jego stawał się coraz dźwięczniejszym, mowa coraz płynniejszą, o tem, co widział, opowiadał z łatwością i dowcipem, który nieraz szczerze rozśmieszał słuchających.

— Jakież to piękne, na przykład, te Łazienki! — mówił między innymi rzeczami — byłem tam właśnie w czasie kwitnienia

drzew pomarańczowych; przecudny zapach rozlewał się wkoło stawów, po których pływają łabędzie...

— Łabędzie! — zawołała Wincunia, porwana opowiadaniem i swem amatorstwem ptaków — jakżebym chciała widzieć kiedy łabędzie! Znam tego ptaka tylko z opisu, prześliczny być musi!

— Prześliczny! — powtórzył Aleksander — ale przecie możnaby i tu zaprowadzić łabędzie. Klimat nasz niewiele się różni od warszawskiego, a niedaleko od Niemenki widziałem staw dość duży. Idzie tylko o sprowadzenie jednej pary.

— Ależ to musi być kosztowne i trudne do hodowania! — przerwała pani Niemeńska z przezornością gospodyni.

— O! nie — odpowiedział Aleksander — hoduje się je na wodzie, jak gęsi.

— Jeżeli pani pozwoli — dodał, zwracając się z ukłonem do Wincuni — będę bardzo szczęśliwy, mogąc przysłużyć się jej parą łabędzi. Pojadę po nie do Warszawy, tam wszystkiego dostać można...

— Jakto, pan pojedziesz do Warszawy umyślnie po łabędzie? — z uśmiechem spytał Bolesław.

— Cóż to znaczy? — odparł młodzieniec — dla spełnienia życzeń »damy« można na koniec świata pojechać!

— Chciałbym na ten raz być damą — zaśmiał się Bolesław — kazałbym panu jechać do Nilu po krokodyla!

— Gdybyś pan był pewną damą, którą ja znam, pojechałbym chętnie nawet po krokodyla — odparł swobodnie Aleksander, rzucając spojrzenie na Wincunię, która właśnie w tej chwili patrzyła na niego i zrozumiała widać aluzję, bo wnet spuściła oczy.

Bolesław nie dojrzał tego spojrzenia i nie dosłyszał aluzji, bo patrzył także na Wincunię.

— Bywałem w Łazienkach właśnie w porach, gdy cały piękny świat warszawski tam się przechadzał. Widziałem mnóstwo ślicznych dam, ale ani jednej tak pięknej, jakie w tych stronach widzieć można.

Spojrzał wymownie na Wincunię i dodał, skłaniając głowę:

— Niema jak Litwinki! uchylam przed niemi czoła! Nie darmo Mickiewicz napisał o Wilii i naszych kobietach: »Piękna Litwinka, co jej czerpie wody, czystsze ma serce, piękniejsze jagody«.

Musiał wyrachować zręczny młodzieniec, że tą cytata za-

trze niekorzystne dla siebie wrażenie, jakie wyrzucić mogło na Wincunię niefortunne jego odezwanie się o Karpińskim i obiadach czwartkowych.

Gdyby zaś kto w owych stronach pisał kronikę miejscową, wiedziałby niezawodnie, że wiersz ten znany mu był i powstał w jego pamięci dlatego, że powabna pani Karliczowa śpiewała go często przy fortepianie, a Aleksander słuchał zawsze jej śpiewu, romantycznie wsparty o fortepian i powtarzając: »Jaka to prawda!...«

Pewnego zaś razu, podobno kiedy pani Karliczowa wstała od instrumentu, zapytał ją: »Proszę pani, kto też to ułożył tę ładną piosenkę?« — »Naturalnie, że Mickiewicz — odpowiedziała ze śmiechem piękna wdówka — jaki też z pana nieuk! Możnaż o tak prostej nie wiedzieć rzeczy!« — i uderzyła go wachlarzem po rękę. »Zgadza się na tę nazwę, byleby ona nie pozbawiła mnie łaski pani!« — odpowiedział z galanterią lew parafialny.

Bądź co bądź, cytata wiersza Mickiewicza młodzieniec dopiął swego celu, Wincunia musiała odzyskać dobre mniemanie o jego literackiem wykształceniu.

— Byłeś pan zapewne na wystawie obrazów? — spytał po chwili Bolesław.

— Byłem, byłem — odparł Aleksander — jakżebym mógł nie widzieć tak pięknej rzeczy? ja, panie dobrodzieju, szczególnie ją kocham się w malarstwie.

— Więc musiałeś pan widzieć świeżo wystawiony w zeszłym roku obraz Suchodolskiego? ma być bardzo piękny.

— A, obraz Suchodolskiego! widziałem, widziałem; ale nie w nim niema tak bardzo szczególnego!

I znowu nie wiedział, o czym mówi.

— Utrzymują, że Suchodolski celuje w malowaniu koni. Czy pan także jesteś tego zdania?

— O tak, panie dobrodzieju, celuje w malowaniu koni, prześliczne konie! Ale, »a propos« koni, byłem w teatrze na »Tułacz«, i wystawcie sobie państwo, że tam na scenę wprowadzają konia!

— Na scenę konia! — zawołała pani Niemeńska.

— Konia — potwierdził Aleksander — wielkiego, białego, a na nim wjeżdżają Róża i Blanka, te, co to państwo... w »Żydzie tułacz«...

— Tego to szczerze zazdroszczę panu, że widziałeś teatr warszawski — ozwał się Bolesław — pewno byłeś pan na sław-

nym dramacie Z., który z takim powodzeniem był dawany ze-
szłego lata?

— Byłem, panie; ale co tam dramat! wierz mi pan, że niema
przyjemniejszego widowiska, jak balet. Jest prawdziwie co wi-
dzieć, prześliczne dekoracje jedne wyobrażają lasy, inne góry,
inne jeszcze pałace i ogrody z bijącymi fontannami, a wśród
tego wszystkiego baletnice, jak roje motylów, latają w powietrzu,
w powiewnych różnokolorowych sukniach, zbiegają się, rozbie-
gają, splatają się w wieńce, a potem jedna z nich wybiega na
środek, cała w kwiaty ubrana, i tańczy, zda się, że nie dotyka
ziemi, a cały teatr drży od oklasków. Jabym zgodził się połowę
życia przesiedzieć na balecie!

— A z drugą połową cobyś pan zrobił? — spytał Bolesław,
uśmiechając się z zapału młodzieńca do baletu.

— Przepędziłbym ją w Niemence — odparł śmiało Aleksan-
der, skłaniając nisko głowę przed damami.

Pani Niemeńska i Bolesław zaśmiali się, ale Wincunia spon-
sowała.

— Bądź co bądź — odezwał się Topolski — choć pan tak
chwalisz balet, a ja na nim nigdy nie byłem, wyobrażam sobie
jednak, że najulubieńszem dla mnie widowiskiem teatralnem
byłby dramat, albo dobra komedia taka np. jak są Fredry.

— A, komedia Fredry! byłem, byłem na niej! właśnie da-
wano »Żydów«...

— Panie łaskawy — przerwał żartobliwie Bolesław — nie
odbieraj też pan Korzeniowskiemu jednego z najpiękniejszych
listków jego autorskiej korony, boć on to napisał »Żydów«.

— Prawda! omyliłem się! to była komedia Korzeniow-
skiego! — zawołał Aleksander, uderzając się w czoło, spoj-
rzenie jednak jego z wyrazem lekkiej urazy upadło na twarz
Bolesława.

— Powiedz mi pan dobrodziej — rzekł z ironią — czy nie
posiadasz wypadkiem tego bajecznego kobierca, który ludzi nosił
w mgnieniu oka po różnych stronach świata i równie prędko
odnosił ich na miejsce stałego pobytu, a także tej czapki »nie-
widki«, w której człowiek mógł wszędzie bywać niewi-
działnym?

— Daję panu słowo, że ich nie posiadam, inaczej przysłu-
żyłbym się panu kobiercem, abyś mógł codzień bywać na balecie
w Warszawie i wracać na wieczerzę do Adampola! — ze śmie-
chem odpowiedział Bolesław. — Ale skąd panu przyszło mieć mię
za czarnoksiężnika?

— Bo nie pojmuję, jak pan możesz, nigdy nie będąc
w Warszawie, tak dokładnie wiedzieć o wszystkim, co się tam
dzieje.

— Więc sądziłeś pan, że potajemnie odbywam podróż na
cudownym kobiercu i w czapce niewidce! — zawołał Bole-
sław, śmiejąc się jeszcze mocniej. — Nie, kochany panie! ko-
biercem owym jest dla mnie gazeta, a czapką niewidką mój
pokój sypialny, w którym co wieczór, po skończeniu zajęć, za-
mykam się i czytam.

— Widzisz pan — dodał poważnie — odkąd wynaleziono
druk i urządzono w kraju poczty, i my wieśniacy możemy, nie
podróżując, wiedzieć, co się na dalekim świecie dzieje, ku przy-
jemności serca i pożytkowi umysłów naszych.

Podano herbatę i rozmowa przybrała inny obrót, zwracając
się ku sprawom i wiadomościom miejscowym.

Bolesław upatrzył chwilę, w której pani Niemeńska opo-
wiadała Aleksandrowi o swoich sąsiedzkich stosunkach, a on
zdawał się słuchać jej z uwagą, i zbliżył się do Wincuni:

— Co pani jest dzisiaj? — spytał półgłosem — jesteś blada
i jakby smutna!

Dziewczę podniosło na niego spojrzenie w istocie smutne
i zamglone.

— Nic mi nie jest — szepnęła zaledwie dosłyszalnym gło-
sem, a oczy jej spoczęły na twarzy Bolesława z taką dobrocią
serdeczną, z takim nieokreślonym żalem, że aż pobladł trochę.
Patrzył w jej twarz przez chwilę z miłością, z którą złączyła się
ojcowska nieledwie troskliwość.

— Spodziewam się — wyrzekł cicho — że, gdybyś była
cierpiącą, albo miała jaki powód do smutku, powiedziałabyś mi
o tem, nie prawdaż?

Wincunia spuściła oczy i nie odpowiedziała; Bolesław rzekł
znowu:

— Wszak pani wiesz o tem, że twój uśmiech to moje
słońce; gdy jego braknie na twojej twarzy, mnie światła brak-
nie. Nic więc dziwnego, że smutek pani przeraża mię i do py-
tań skłania.

— Ja nie jestem smutna — odrzekła Wincunia nieco z przy-
musem — panu się tylko tak zdaje! — i, jakby dla potwierdzenia
słów swych, zaśmiała się głośno, ale w śmiechu jej zadrgała
fałszywa nuta.

Aleksander, słuchając opowiadań pani Niemeńskiej, z ukosa
spoglądał na cicho rozmawiającą z sobą parę narzeczonych,

rumienił się chwilami i brwi mu lekko drgały. Gdy tylko pani Niemeńska mówić przestała, zwrócił do Wincuni i rzekł:

— Widziałem tu w przyległym pokoju fortepian; zapewne pani grywa; czy można prosić?...

— O, ja tak niewiele gram! — tłumaczyła się Wincunia.

Pani Niemeńska głos zabrała:

— Ale ja od pani Siankowskiej słyszałam, że pan bardzo ładnie śpiewasz. Niechże pan będzie łaskaw i sprawi nam tę przyjemność...

— Prawdziwie pani — wymawiał się Aleksander — nie jestem dziś przy głosie, i choć brałem lekcye śpiewu w Warszawie, nie wiem, czy uda mi się dziś cokolwiek dobrze zaśpiewać!

— Pan brałeś lekcye w Warszawie! więc tem bardziej prosimy pana...

— Doprawdy nie wiem... — protestował jeszcze młodzieniec i patrzył na Wincunię.

— Niech pan zaśpiewa cokolwiek — ozwała się Wincunia z nieśmiałością i nie podnosząc oczu.

— Niech się stanie wola pań! — rzekł, powstając natychmiast, Aleksander.

— »Ce que femme veut, Dieu le veut« — dodał przesadną francuszczyzną.

Ostatnie słowa były także korzyścią, odniesioną ze znajomości z panią Karliczową. Wypowiadając je, nie troszczył się, czy będzie zrozumiany przez kogokolwiek z obecnych.

Przeszli wszyscy do przyległego pokoju, dobrze oświetconego palącą się na stole lampą.

Aleksander usiadł przy fortepianie, odrzucił włosy i uderzył kilka akordów, potem pięknym i czystym w istocie, choć wcale nie uczonym głosem zaśpiewał powszechnie znaną piosenkę: »Serce, serce, skąd to bicie?«

Z początku śpiewał z przesadą i wzniosł w górę oczy, ale potem zwrócił je na Wincunię, stojącą nieopodal i, nie spuszczaając z niej wzroku, odśpiewał ostatnią zwrotkę:

»I na tej to pajęczynie,
Która się tak wątlą zda,
Ach, udało się dziewczynie,
Że mię w swojej mocy ma!«

Przesada, z jaką był zaczął śpiewać, zniknęła, i słowa te odśpiewał z mocą, uczuciem i nawet rodzajem pewnego porywu i zapału, którym odpowiadał wyraz oczu, utkwionych w twarzy Wincuni.

Nic tak silnie i głęboko nie wnika w serce młodej, niedoświadczonej, a wrażliwej dziewczyny, jak piękny śpiew mężczyzny, choćby nie ozdobiony umiejętnością i wyrobieniem, byleby dźwięczny, czysty i gorący.

Każdy ton tego śpiewu wpływa do jej piersi z iskierką uczucia, która się w nim zawiera. Iskra łączy się z iskrą i wszystkie razem tworzą żar; mężczyzna przestaje śpiewać, a w piersi dziewczyny pieśń brzmi jeszcze, brzmi ciągle, a dźwięki te wewnętrzne wypływają przez oczy blaskami, przez lica rumieńcem.

Stoi wzruszona, choć wzruszenie to skryć usiłuje, i gotowa zaśpiewać duet, jeśli nie z dwóch głosów, to z dwóch serc złożony.

Nazajutrz rano, ocknąwszy się ze swych snów dziewczyczych, pójdzie ona obejrzeć swoje kwiaty, stanie między nimi zadumana, a usta jej, zwilżone kroplą rosy, która na nie upadła, mimowoli zanućą wczoraj słyszana piosenkę, wraz z tonami rozbudzą się w jej piersi iskry wczorajsze, a żal, z pieśnią zmieszany, wybuchnie płomieniem miłości, którą poczuje, a o której długo może jeszcze nie będzie wiedziała.

Kiedy Aleksander skończył śpiewać, Wincunia stała, oparta ręką o poręcz krzesła, z pochyloną głową i bladą twarzą. Pani Niemeńska, po wielu podziękowaniach i pochwałach, które jedna wygłaszała, poczęła dopytywać się Bolesława o proboszcza i znajomych, których u niego widziała.

Aleksander zbliżył się do Wincuni:

— Pora mi jechać — rzekł, dobywając piękny złoty zegarek, brzęczący mnóstwem breloków — a Bóg widzi, że mi się nie chce stąd odjeżdżać! Zdaje mi się, że zostałem nagle przeniesiony do raj!

— Bardzo jestem rada, że się panu podobało w Niemence — odrzekła dziewczę, podnosząc oczy.

— Wierz mi pani — rzekł młodzieniec cicho i wzruszonym głosem — wierz mi pani, że chwile, które tu przeżyłem, uważam za najszczęśliwsze w moim życiu. Ale czuję, że po nich nastąpi dla mnie wielki smutek i wielka tęsknota...

To rzekłszy, szybko odwrócił się, jakby chcąc ukryć przed Wincunią zbyt wzruszenia.

Po chwili zaczął żegnać panią Niemeńską, która niezmiernie serdecznie i uprzejmie zapraszała go, aby jak najczęściej bywał w Niemence.

Po oddaleniu się Aleksandra, pani Niemeńska wyszła wnet z pokoju dla jakiejś gospodarskiej sprawy, a Bolesław, jako prawie domowy, przez grzeczność towarzyszył gościowi aż na ganek.

Gdy bryczka odjeżdżającego zaturkotała już w bramie, Bolesław wrócił do pokoju i znalazł Wincunię, stojącą na tem samem miejscu, na którem ją, wychodząc, zostawił. Stała, jak skamieniała, z rękoma obwisłemi, z oczyma utkwionemi w ziemię; tak była zamyślona, czy zamarzona, że nawet nie słyszała, jak Bolesław zbliżył się do niej.

Wziął jej obie ręce.

— Wincuniu — rzekł, patrząc w jej twarz — powiedz mi teraz, co tobie jest? Już nikt obcy nie posłyszysz.

— Nic mi nie jest — odpowiedziała, uwalniając z wolna ręce z uścisku narzeczonego — głowa mię trochę boli — dodała — pójdę do siebie. Dobranoc panu.

— Jakto? idziesz już do swego pokoju? tak wcześnie. Sądziłem, że dziś jeszcze poczytamy razem trochę, bo przywiozłem ciekawą książkę od proboszcza.

— Nie mogę dziś czytać... pójdę już — odrzekła cicho Wincunia i odchodziła z wolna, a Bolesław patrzył na nią zdziwiony, zasmucony.

Nagle zwróciła się i podeszła prędko do narzeczonego, podała mu rękę i szepnęła:

— Panie Bolesławie, pan nie gniewasz się na mnie, nie prawdaż?

— Ja? gniewać się na ciebie? — zawołał Bolesław, obejmując ją i przyciskając do piersi — mój ty aniele drogi, za cóż ja miałbym gniewać się na ciebie!

Wincunia podniosła głowę i patrzyła na niego łagodnie i z dziwnym jakimś żalem. Dwie łzy błysnęły na jej rzęsach.

— Jesteś taki dobry... dobry — szepnęła — ja tobie tyle jestem winna! ty byłeś mi ojcem, bratem, opiekunem... Wszystko, co mam, mam przez ciebie, wszystko, co umiem, przez ciebie umiem... Och, jaka ja niewdzięczna!

Łzy spadały z rzęs i spływały po twarzy.

— Wincuniu, co ci jest? — zawołał Bolesław, tuląc ją mocniej do siebie — skąd ci te przypomnienia? te wyrzuty sobie czynione? Ty słaba być musisz? jesteś blada, ręce masz gorące,

drżysz cała! Boże mój! gdybym też już prędzej mógł być mężem twoim, czuwać na tobie w każdej chwili i taką cię otoczyć opieką i miłością, aby żadna chmurka nie zasmuciła ci czoła, żadna smutna myśl nie tknęła serca.

Przy ostatnich wyrazach Bolesława Wincunia zadrżała całym ciałem.

— Ty jesteś słaba, moja jedyna — rzekł, patrząc na nią Bolesław — idź, połóż się; jutro pewno ci lepiej będzie!

Poszła powoli, milcząc; on szedł obok niej, aż do drzwi jej pokoju, potem pocałował obie jej ręce i rzekł z powagą:

— Niech cię smutne myśli nie dręczą, jeśli je masz jakie. Pamiętaj o tem, że blisko ciebie jest człowiek, który kocha cię prawdziwie i po męsku, więcej niż samego siebie..., który strzeże cię i gotów bronić każdej chwili. Idź i śpij spokojnie, moje dziecko, a niech cię jutro zobaczę zdrową i wesolątką.

Wyrazy: »moje dziecko« Bolesław wymówił z takim prawdziwie ojcowskim uczuciem, iż zdawało się, że w istocie do tego młodego dziewczęcia, co przed nim stało, miał jakieś prawa ojcostwa. Tak, on czuł się, i słusznie, ojcem jej duszy!

Drzwi zamknęły się za Wincunią, Bolesław odszedł. W bawialnym pokoju spotkał się z panią Niemeńską.

— Czy pani nie wiesz, co się dziś stało Wincuni? — spytał z niepokojem — blada, milcząca i parę razy łzy miała w oczach.

— Ja sama uważałam, że ona dziś była nie swoja — odparła ciotka — zaraz po powrocie zaczęła się skarżyć na ból głowy, a cały wieczór siedziała, jak niema, co jej się przecie nigdy nie zdarza! Żeby to tylko nie był początek choroby jakiej, broń Boże!

— Gorączki panują w okolicy... — szepnął Bolesław, przesuwając dłoń po nagle zbladłym czole.

— Jeżeliby Wincuni było gorzej w nocy lub jutro zrana — rzekł do pani Niemeńskiej — nie tracąc ani chwili czasu, przysyłaj pani do mnie, a pojedę natychmiast sam po doktora. Dam w domu rozporządzenie, aby konie przez całą noc stały w stajni ubrane i gotowe do drogi.

Pożegnał panią Niemeńską i wyszedł, po kilka razy powtórzywszy prośbę, aby, w razie zasłabnięcia jego narzeczonej, natychmiast mu o tem oznajmiła.

W pół godziny potem cisza zupełna panowała w Nie-

mence, wszyscy spali we dworku i wszystkie światła pogasły, tylko w oknie pokoiku Wincuni długo w noc błyszczało światelko.

VIII.

Szych i złoto.

Nazajutrz po bytności Aleksandra w Niemence, Wincunia spotkała narzeczonego z pogodną twarzą. Była jeszcze trochę blada, ale szczebiotała już i nuciła, jak zwykle karmiła swoje ptaki i, wyręczając ciotkę, biegała z kluczykami po domu. Boleślaw uspokoił się zupełnie i wczorajsze jej usposobienie przypisał chwilowej słabości.

Aleksander zaś wszedł zrana do pokoju rodziców, i, znalazłszy ich siedzących we dwoje przy kawie, powiedział im, gdzie był wczoraj, i oświadczył wpół ze śmiechem, wpół seryo, że szalenie zakochał się w Wincuni Niemeńskiej.

— Oj ty bałamucie! — rzekł na to, kiwając głową, pan Jerzy — dzieciuch jeszcze jesteś, a w ilu to już pannach kochałeś się!

— W żadnej naprawdę, papo! — zawołał Aleksander.

— A teraz to niby już będzie naprawdę — z niedowierzaniem rzekł ojciec.

— Bardzo być może — powiedział Aleksander — nie darowałbym sobie nigdy, gdybym przynajmniej tego gburą Topolskiego od niej nie odsadził.

— Topolski jest poczciwy i rozsądny człowiek, nie słusznie więc w ten sposób wyrażasz się o nim — zarzucił pan Jerzy.

— Może sobie być najpoczciwszy — zawołał Aleksander — ale Wincunia pasuje do niego, jak kwiatek do kożucha. Jemu tylko za pługiem chodzić, takie to grube i zaściankowe! Oprócz swego Topolina nic na świecie nie widział, nigdzie nie był, a rozprawia o wszystkim z taką powagą, jak rabin żydowski! Nie lubię go! Ona, to cacko dziewczyna! drobniutka, zgrabniutka, delikatna, oczki szafirowe, a włosy takie jasne, aż srebrzyste. I w głowie ma wcale nieźle, jak na szlachciankę; nie wiem tylko, czy po francusku umie!

— A ty umiesz? — z drwiącą miną zapytał ojciec. Aleksander zarumienił się.

— To co, że nie umiem, papo, ale będę umiał! już i teraz biorę lekcye języka francuskiego i wiele rozumiem.

— Lekcye? — zawołał pan Jerzy — ciekawym, gdzie je bierzesz? czy nie u Szlomy na sali?

— Wcale nie — odrzekł z urazą młodzieniec — daje mi je pani Karliczowa.

Pan Jerzy parsknął śmiechem.

— Oj lekcye! — zawołał — wolałbym, żebyś ich nie brał!

— Bo papo niesłusznie uprzedzony jest do pani Karliczowej. Zdaje mi się, że stosunki z taką bogatą obywatelką i światową damą honor mi przynoszą.

— Większyby ci honor przyniosło, gdybyś czemkolwiek porządnie a pracowicie zajął się — odparł pan Jerzy i, machnąwszy ręką, opuścił pokój.

— Moja mamó — rzekł po wyjściu ojca Aleksander — jaki też papo dziwny jest czasem. Chciałby, żebym siedział w domu, jak zaklęty, i pracował, jak jaki parobek. To dobre dla takiego szaraczkowego szlachcica, jak Topolski, któremu trzydziestka już minęła i który świata nie widział, ale nie dla mnie.

— Niema co uważać na gderanie ojca, Olutku! zwyczajnie stary a skłopotany, pogderze trochę i przestanie — odpowiedziała Snopińska, głaszcząc syna po złocistych kędziorach. — Czy tobie naprawdę tak podoba się ta panna Niemeńska?

— Naprawdę, kochana mamciu, jeszcze mi żadna panna nigdy tak się nie podobala. I wie mama co? postanowiłem sobie koniecznie tego Topolskiego od niej odsadzić. Wyswatam jej potem kogoś stosowniejszego dla niej — dodał z uśmiechem.

— Ja myślę, że to trudno będzie, oni już z sobą podobno od roku zaręczeni.

— Oho! moja mamó! czego to zrobić nie można? trzeba tylko użyć strategii!

— Strategii? co to takiego, moje dziecko? może to wiele kosztuje, to ojciec znowu będzie gderał!

Aleksander zaśmiał się głośno i pocałował matkę w rękę z figlarną miną.

— Nie, moja mamó — odpowiedział — na to nie trzeba pieniędzy, tylko sprytu, a ja go mam — dodał, przykładając palec do czoła.

— Oj, ty zuchu, zuchu! — pieszczotliwie rzekła matka i pocałowała jedynaka w białe czoło.

W tydzień po tej rozmowie, Aleksander, przyjechawszy do X. na nabożeństwo, po zwykłym zobaczeniu się z kolegami na sali, zajął swe stanowisko przed bramą kościoła. Wszystkie panie z sąsiedztwa przybyły, bo dzień był pogodny, a niedziela uroczysta.

Aleksander stał ciągle i patrzył na plac, czekając jeszcze czyjeś przybycia.

Uderzono w dzwony, plac i cmentarz opróżniły się, a nappełnił się kościół, msza doszła do połowy, a młodzieniec przechadzał się ciągle przed furtką cmentarza, stawał niekiedy i z zamyśleniem grzebał laseczką w trawie.

Nabożeństwo skończyło się.

Aleksander odjechał zły i zamyślony: Wincunia wcale nie przyjechała do kościoła. Wiedział przecie o tem, że nie była chora, bo spotkał Topolskiego, który po nabożeństwie wesoło rozmawiał z proboszczem i sąsiadami. Byłoby tak, gdyby jego narzeczoną źle się miało? Nie, a więc czemuż nie przybyła?

Przy obiedzie nie miał zwykłego apetytu, wstawszy od stołu, kazał założyć do najtyczanki swoje cztery karosze, ubrał się najstaranniej, jak mógł, zamiast szafirowego wziął dla rozmaitości liliowy krawat, spiął go koralową szpilką, naciągnął na ręce świeżutkie rękawiczki i pojechał do Niemenki.

Ale powrócił prędko, bo w parę godzin i zły bardzo. Przed gankiem wyłajał furmana za to, że jeden z koni okrył się pianą od prędkiej jazdy, a potem zamknął się w swoim pokoju, nie widząc się wcale z rodzicami, choć pora była wczesna.

Wincunia nie ukazała się wcale w bawialnym pokoju w czasie jego odwiedzin w Niemence; ciotka jej tylko wyszła naprzeciw gościu, przyjęła go bardzo uprzejmie, a o synowicy powiedziała, iż jest cierpiącą i od rana nie opuszcza swego pokoju.

Aleksander wiedział, że to nieprawda, bo, zbliżając się do Niemenki, widział poprzez płot i drzewa, jak Wincunia szła aleją ogrodu z bukietem polnych kwiatów w ręku, a za nią leciało, jak zwykle, kilka gołębi.

Widział także, jak na odgłos turkotu kół nagle stanęła, spojrzała przez szparę w ostrokołe i pomknęła ku domowi, jak błyskawica, tak, że tylko różowa sukienka mignęła parę razy między drzewami i zniknęła za ścianą domu.

Aleksander pomyślał wtedy, że Wincunia, widząc albo przeczuwając, iż to on jedzie, pobiegła przyglądać włosy, albo poprawić suknię, i uśmiechnął się z zadowoleniem, muskając wąsika.

Ale gdy nie wyszła wcale do bawialnego pokoju, aby go wspólnie z ciotką przyjąć, przekonał się, że ładna dziewczyna schowała się przed nim. Zły był wtedy, zawiedziony, rozdrażniony i dałby Bóg wie co, żeby ją choć na chwilę ujrzeć. Zdało mu się, że ją kocha szalenie, że za nią przepada, odkąd jej widzieć nie może.

Wróciwszy do domu, chodził po swoim pokoju ze zmarszczonemi brwiami i rumieńcem rozdrażnienia na twarzy. Nagle uderzył się dłonią w czoło i zawołał:

— Mój Boże! jakiż ja jestem nierozsądny! Martwię się tem, czem cieszyć się powinienem! Schowała się przede mną? a więc to wyśmienite! Snadź nie jestem jej obojętnym, i albo musi mnie bardzo nie lubić, albo lubić więcej, niżby chciała. Nie lubić nie ma powodu... no... i nie może (musnął wąsika), a więc znak niezawodny, że się jej podobałem, a ponieważ jest zaręczoną, walczy z sobą i chce o mnie zapomnieć. To jasne jak na dłoni!

Rozpogodził twarz i chodził po pokoju, uśmiechając się do siebie.

— Tak, tak — rzekł — dlatego to i do kościoła nie przyjechała, żeby mnie nie zobaczyć! No, ale teraz na mnie kolej! cały miesiąc nie pojadę, ani do kościoła, ani do Niemenki. Jak bardzo zatęskni, wtedy nie schowa się już przede mną. Będzie to strategia, jak mówi pani Karliczowa!

Wśród takich rozmyślań chodził długo po pokoju, uśmiechał się i motał coś sobie na jasny wąsik.

Nazajutrz pojechał do X. i dwa dni nie wrócił do domu; famaniosła, że w tym czasie zgrał się strasznie w bilard na sali. Ale zato potem trzy tygodnie ani krokiem z domu nie ruszył, nie chodził nawet polować na wrony, ale siedział w swoim pokoju i ciągle koło czegoś majstrował.

Ojciec nadziwił się nie mógł tej zmianie i coraz weselej poglądał na syna.

Pani Snopińska, wszedłszy raz do jego pokoju, zobaczyła na stole śliczny koszyczek do kwiatów, świeżutko upleciony z farbowanej łoży, a bardzo zręcznie i misternie zrobiony. Na tokarni stał również inny, ładnie utoczony, z orzechowego drzewa.

— Dla kogo to wszystko zrobiłeś, Olesiu? — spytała Snopińska.

— To sekret, moja mamó — odpowiedział Aleksander.

— Ależ koszyczek to prawdziwie bardzo ładny! jak ty to wszystko umiesz zrobić, Olutku!

— Ja, moja mamó, wszystko umiem, kiedy chcę — odpowiedział syn, kończąc oplatą koszyczek różową łożą — to też pan Andrzej mówił mi parę razy, że dobrzeby było, gdybym został rzemieślnikiem.

Roześmiał się na całe gardło. Snopińska klasnęła w dłonie z przerażeniem:

— Rzemieślnikiem? — zawołała — Jezus Marya! tyś przecie szlachcic, na co to tobie?

— Ażebym pracował — z udaną powagą rzekł młodzieniec.

— Pracował nad rzemiosłem? albo ty chłop jaki, czy mieszczańskie dziecko? Panie odpuść! ten pan Andrzej, to godny człowiek i wielki nasz dobrodziej, ale też dziwak czasem! Oleś rzemieślnikiem! z takim wychowaniem i ułożeniem! Boże zmiłuj się, jakież to głupstwo!

Wyszła rozdąsana, brzękając kluczami, a Oleś, skończywszy oplatanie koszyczka, nalał sobie kielich wina z butelki, która stała zawsze na jego stoliku, pociągnął haust potężny, upadł na łóżko twarzą do góry i po chwili chrapał, aż się rozległo.

Wszystko zresztą szło w Adampolu zwykłym trybem. Pan Andrzej pojechał na swoją ekskursję w puszcę Białowieską i miał wrócić aż w końcu lipca, pan Jerzy gospodarował i był w dobrym humorze, bo i syn w domu siedział, i sianożęcie dobrze poszło, pani Jerzowa gospodarowała także i także była w dobrym humorze, bo indyczęta w wielkiej mnogości i bardzo pomyślnie się wylęły.

Ale w X., młodzież, stacjonując każdej niedzieli przed sztachetami kościoła, szeptała między sobą: »w tem coś jest!« bo przez dwie niedziele, ani Aleksander, ani Wincunia, nie ukazali się wcale.

Na trzecią dopiero niedzielę zajechała przed cmentarz bryczka pani Niemieńskiej, a z niej wyskoczyła żwawo Wincunia i wesoło coś zagadała do Bolesława, który jej wysiadać pomagał.

Zmierzając za ciotką ku furtce cmentarza, rzuciła przełotne spojrzenie na miejsce, na którym zwykle stawał Aleksan-

der, a gdy go tam nie zobaczyła, zarumieniła się i przyspieszyła kroku.

Z kościoła wyszła już nieco bledsza, niż była, i przynaglała ciotkę do odjazdu.

Kiedy usiadła na bryczkę, ktoś z młodzieży szepnął:

— Coraz ładniejsza!

— Ale posmutniała — odpowiedział inny. W istocie wyglądała smutno.

Na następną niedzielę przyjechała znów, lecz Aleksandra jeszcze nie było. Tym razem uważano, że młoda dziewczyna, przechodząc przez cmentarz po nabożeństwie, była jeszcze smutniejszą, niż przed tygodniem. Ktoś znajomy przemówił do niej, odpowiedziała z uśmiechem, ale z widoczną trudnością.

Tej samej niedzieli po obiedzie na dziedzińcu w Niemence rozległ się turkot kół.

Pani Niemeńska chodziła po alei, odmawiając nie dokończony w kościele różaniec, a Wincunia stała między klombami, trzymając w ręku kilka zerwanych do bukietu kwiatów. Para jej nieodstępnych gołębi krążyła nad jej głową. Gdy posłyszała turkot pod gankiem, purpurowy rumieniec wytrysnął na jej twarz i kwiaty z rąk wypadły.

Przybyły Aleksander przebiegł puste pokoje, domyślając się, że panie domu muszą być w ogrodzie. Stał w drzwiach otwartych i ujrzał o kilkanaście kroków od ganku stojącą Wincunię z kwiatami u stóp, z rękoma obwisłymi na suknię i szkarłatem na twarzy.

Rumieniec i zmieszanie dziewczyny musiały mu wiele powiedzieć, a objawienie to wstrząsnęło snadź zarazem i jego wrażliwym sercem, bo on, tak śmiały zawsze, zmieszał się także i przez chwilę nie mógł kroku naprzód postąpić. Tak stali oboje kilka sekund, patrząc na siebie z przyspieszonym sercem.

Młodzieniec pierwszy postąpił naprzód.

— Dobry wieczór pani! — rzekł zniżonym nieco od wzruszenia głosem — przyjeżdżam niespodzianie; może to pani przykrość sprawia?

I spojrzał głęboko w oczy Wincuni.

— Przykrość? o nie, pan »tak dawno« nie byłeś u nas — odrzekła cicho, spuszczaając spojrzenie.

Smętne i radosne uczucia, zapewne mimo woli dziewczyny, zabrzmiały w tym wyrazie: »tak dawno!« Można w nim

było usłyszeć smutne: »tęskniłam!« i radosne: »dobrze mi w tej chwili!«

Aleksander posłyszał to wszystko, bo oczy miał wpatrzone w jej twarz, a uszy w jej głos wsłuchane. Pochwycił jej rękę i poniosł ją do ust, które drżały.

Lekki wykrzyk wydarł się z ust Wincuni; był w nim przestraszenie, zdziwienie, radość i boleść.

Wyrwała rękę, cała drżąca, i zawołała:

— Pójdę po ciocię!

Z temi słowami poskoczyła przez klomby, różowa sukienka mignęła za krzewami i zniknęła w alei.

Tym razem młody człowiek bawił w Niemence do późnego wieczora. Towarzystwo składało się tylko z trzech osób, gdyż Bolesław był nieobecny.

Dnia tego ktoś z sąsiednich obywateli zawezwał do siebie najbieglejszych w okolicy gospodarzy, dla wspólnego obejrzenia nowo sprowadzonej żniwiarki i narady, jak jej używać należy. Bolesław, znany ze swych agronomicznych wiadomości, najpierwej został zaproszony i chętnie pojechał na tą sesję, tak żywo obchodząc rolnictwo miejscowe.

Aleksander tedy był dnia tego jedynym gościem w Niemence. Młodzieńcza, błyszcząca, wykwinna osobistość jego jaśniała w całym blasku, wśród skromnego mieszkania i przed oczyma dwóch kobiet, przyzwyczajonych do widywania ludzi prostych, cichych wieśniaków, którzy umieli im prawie tylko o gospodarstwie.

— Kompletnie salonowy kawaler! — mówiła do siebie pani Niemeńska, wychodząc z bawialnego pokoju dla zarządzenia herbatą, a Aleksander, zostawszy sam na sam z Wincunią, ozwał się po chwili wymownego milczenia:

— Pani lubisz kwiaty i masz ich mnóstwo, a jednak w Niemence jest kwiat jeden... kwiat cudowny, przy którym wszystkie gasną...

Naczenie słów tych tłómaczył wyraz oczu młodzieńca.

Wincunia twarz odwróciła i spojrzała przez otwarte okno.

— Czy widzisz pan, jak pięknie słońce zachodzi? — rzekła, pokazując ognisty pas obłoków, za który zataczała się zwolna tarcza słoneczna.

— Jakże to piękny widok! — z uniesieniem zawołał Aleksander — nigdy obraz zachodzącego słońca nie wydawał mi

się tak pięknym, jak dziś... jak tutaj... Bo też tu wszystko piękne, to raj istny! Nie dziw, że mieszkają w nim aniołowie!

Pani Niemeńska wróciła, a młodzieniec skierował rozmowę na tor wielce pochlebiający gospodyni, bo zaczął wychwalać całe urządzenie Niemenki, dom, ogród, położenie dworku, i skończył na zapewnieniu, że lubo wiele miejsc zwiedzał i mnóstwo pięknych rzeczy widział na świecie, nie nigdy równie pięknego, uroczystego i poetycznego, jak w Niemence, nie natykał.

Potem śpiewał trochę przy fortepianie, potem znowu opowiadał o Warszawie i stronach kowieńskich, w których urodził się i wzrósł.

Wrażenie, jakie nań wywierała obecność Wincuni, dodawało mu wymowy, wrodzony zaś spryt i pewna poezja, wiążąca się koniecznie z najpierwszą młodością, czyniły rozmowę jego niezmiernie miłą i zajmującą dla dwóch kobiet, które pędziły życie bardzo ciche i nie widziały nic, oprócz bardzo ograniczonego i ciasnego rodzinnego kąta.

Wincunia coraz bardziej ożywiała się, oczy jej błyskały, gwarzyła z Aleksandrem i śmiała się wesoło.

Kiedy w połowie wieczoru pani Niemeńska wyszła znowu z bawialnego pokoju dla dania rozporządzeń względem wieczerzy, mówiła do siebie:

— Śliczna z nich para! jakby stworzeni dla siebie. — Westchnęła po cichu i dodała:

— Szkoda!

A Aleksander, w chwili nowego sam na sam z Wincunią, wyjął z bukietu, stojącego na stole, kwiat jakiś i rzekł:

— Panno Wincento! co pani życzy temu kwiatkowi?

Wincunia pomyślała chwilkę i odrzekła:

— Aby był bardzo i zupełnie szczęśliwym!

— Nie będzie nim! — rzekł porywczo młodzieniec i kwiat z gięstem żalu odrzucił.

— Dlaczego? — nieśmiało spytała dziewczyna.

— Alboż kwiat może być szczęśliwym bez słońca? — wymówił zwolna Aleksander, patrząc jej w oczy.

— A dlaczegoż miałby żyć bez słońca? — spytało dziewczę, wzrok spuszczając.

— Bo słońce jego nie dla niego świeci — odpowiedział młodzieniec i westchnął głęboko.

Wincunia milczała przez chwilę, potem rzekła z lekkim wahaniem:

— Może go jaka piękna gwiazda pocieszy!

— O, nie! — zawołał Aleksander, zrywając się z krzesła — jego nic nie pocieszy! on bez słońca swego zwiędnie i skona!

Rozmowa ta wydałaby się obojętnym słuchaczom prostą igraszką słów, ale miała ona widać głębokie znaczenie dla dwojga młodych ludzi, bo umilkli nagle i obojga ich twarze powlokły się wyrazem wzruszenia.

Po odjeździe Aleksandra Wincunia nie była już tak smutna i blada, jak po pierwszej jego bytności, owszem, ogarnęła ją jakaś gorączkowa wesołość.

Biegała po pokoju, upędzając się za kotkiem faworytem, porwała przechodzącą służę i wykręciła się z nią walca, odebrała kluczyki z rąk ciotki, pobiegła do spiżarni, aby wydać jutrzejszą prowizję dla czeladzi, i wróciła do pokoju, śpiewając i w podskokach.

Ale nagle usiadła przy otwartym oknie, umilkła, oparła czoło na dłoni i tak zamyśliła się, że pani Niemeńska, po odmówieniu długich pacierzy, musiała jej przypominać, że pora już do snu się położyć.

Zbudzona głosem ciotki, powstała z wolna, poszła automatycznym krokiem do swojej sypialni, i znowu długo, długo w noc światelko, błyskające w jej oknie, było jedyną oznaką życia w głęboko uśpionym dworku.

Przed obrazem Najświętszej Panny Ostrobramskiej, zawieszonym nad jej łóżkiem, Wincunia modliła się przez całą prawie krótką noc letnią, a gorące i smutne musiały być jej modły, bo kiedyniekiedy łza spływała z jej oczu po zrumienionej i pochylonej pokornie twarzy.

Aleksander zaś, nazajutrz po swej bytności w Niemence, następującą prowadził rozmowę ze swym służącym, Pawełkiem, pełniącym u niego obowiązki furmana i zarazem lokaja:

— Pawełku, czy wiesz o tem, że w X. jest oranżerya hrabiny?

— Wiem, paniczku — odpowiedział chłopak, ustrojony w parodę liberyi, za którą serdecznie gniewał się pan Jerzy, ale w którą Aleksander ubierał swego służę.

— Oto więc masz pieniądze, siadaj na konia i leć co żywo do X. Pójdź tam do ogrodnika hrabiny i kup u niego bukiet z najpiękniejszych, jakie tylko są, kwiatów. Powinieneś być z powrotem przed dwunastą, a jak się dobrze sprawisz, to dostaniesz na piwo

Po chwili Pawełek, na pstrokatym fornalskim koniu, jak strzała pomknął ze dworu. Ujrzał go tak pędzącego wracający z sianożęci pan Jerzy.

— Gdzie go lichy tak pędzi? — rzekł do siebie, a przystanawszy, zawołał głośno:

— Hej! nie galopuj tak! zepsujesz konia!

— Panicz posyła! — odkrzyknął Pawełek, nie zwalniając biegu, i popędził dalej.

Pan Jerzy wzruszył ramionami i zafrasowany wrócił do domu.

Tego samego dnia nad wieczór Pawełek na tym samym pstrokatym koniu pędził ku Niemence. W ręku trzymał zdaleka od siebie coś starannie owiniętego w papier. Wjechał na dziedziniec dworku, zsiadł z konia i zbliżył się do ganku, na którym stała Wincunia.

— Panicz z Adampola przysyła to panience — rzekł, kłaniając się i oddając przedmiot, owinięty w papier.

Wincunia zarumieniała się i zawahała. Chciała coś wyrzec, cofnęła się nawet o parę kroków, ale ciekawość, wzruszenie, radość, odbiły się na jej wyrazistej, ruchliwej twarzy i wyciągnęła po posyłkę drżącą trochę rękę. Rozwinęła papier i ujrzała śliczny koszyczek, upleciony z farbowanej łozy, a w nim bukiet pięknych oranżeryjnych kwiatów.

— Ach, mój Boże! jakież precudne kwiaty! — zawołała i wbiegła do pokoju, wołając ciotki.

Ale pani Niemeńska wyszła była z domu dla obejrzenia gospodarstwa, i Wincunia, nie znalazłszy jej w pokojach, wbiegła do swojej sypialni, postawiła kosz z kwiatami na stole i, cała pogrążona w swem lubownictwie, przejęta rozkoszą widzenia rzadkich a pięknych roślin, poczęła wyjmować je z koszyczka i rozkładać na stole.

Wspaniałe kamelie ponsowe i białe wzrok jej zachwycaly, heliotrop rozlewał delikatną woń po całym pokoju, drobne aksomitne bratki wypadały z jej drżących palców, osypywały piersi i czepiały się do rękawów.

Nagle z pomiędzy dwóch kamelii wysunęła się i upadła na stół białutka kartka białego papieru. Wincunia machinalnie prawie rzuciła na nią spojrzenie i wyczytała drobnymi literami wypisane wyrazy: »Je vous aime«.

Młoda dziewczyna nie umiała po francusku, ale ten wyraz tak pospolity, tak często powtarzany wśród polskiej nawet mowy, zrozumiała.

Odskokczyła od stołu, a w oczach jej zaćmić się musiało, bo oparła się plecami o ścianę i rękę przesunęła po czole. Po chwili pochwyciła kartkę i wpatrzyła się w wyrazy czarowne, a jakby w nich zawierał się jakiś tajemniczy, niewidzialny płomień, twarz jej nabierała coraz gorętszej, szkarłatnej barwy, oczy mgliły się, promieniły i nagle wytrysnął z nich potok łez rzesistych.

Niejedna zapewne panna, wykwintnie wychowana i starannie nauczona wszelkich towarzyskich prawideł i konwenansów, poczułaby urazę na widok wsuniętej między kwiaty kartki młodzieńca, i krok jego poczytałaby za zuchwałą, nierozważny, nieledwie ironiczny.

Ala Wincunia była dzieckiem wioski, prostem, naiwnem, czułem i żywym. Nigdy dotąd nie obrażała się na nikogo, i nie przychodziło jej nawet na myśl, aby za dobre lub czułe słowo można się było rozniewać.

Wyrazy, nakreślone przez Aleksandra, wstrząsnęły silnie wrażliwą jej naturą, rozbudziły i rozplątały wszystkie poczucia, które w niej dotąd tęły, tały się i walczyły, a łzy, płynące po jej twarzy, nie były oznaką obrazy lub żalu, ale wybuchem wezbranego serca, które biło tak mocno, że aż się zlekka podnosiła różowa sukienka.

Czy kartka papieru umyślnie włożona była pomiędzy kwiaty, czy też znalazła się tam wypadkiem? i dlaczego Aleksander dla napisania wyrazów, wprawiających w zachwyt serca, użył obcego języka?

Na te pytania mógłby odpowiedzieć ten, ktoby widział młodego Snopińskiego przed kilku miesiącami w domu pani Karliczowej. Światowa i wśród wiejskich nudów szukająca rozrywek kobieta siedziała wówczas przy stole, otoczonym kilku poufnymi jej osobami, między którymi był Aleksander. Na stole, przeznaczone do jakiejś gry towarzyskiej, leżały ołówek i ćwiartki papieru.

Zalotna wdówka ujęła niedbale ołówek i nakreśliła nim od niechcenia: »je vous aime«. Oczy jej utkwione były w owej chwili w twarzy Aleksandra. Młodzieniec zobaczył to, pochwycił kartkę, przeczytał, zrozumiał i nieznacznie dla wszystkich, ale widzialnie dla pani domu, wsunął do kieszeni ćwiartkę papieru.

Kiedy posyłał kwiaty Wincuni i napełniony nimi koszyzek własnej jego roboty stał już przed nim na stole, wyjął z archiwum różnych pamiątek kartkę pani Karliczowej i, wiernie

skopiowawszy wyrazy, napisane przez nią na kawałku papieru, wsunął go pomiędzy dwie kamelie. Pisząc, mówił do siebie:

— Topolski nie umie po francusku, otóż Wincunia będzie myślała, że ja umiem. A jest to przecie wyższość nie-lada!

— A może i ona nie zrozumie? — spytał siebie po chwili.

— Taki prosty wyraz! musi go zrozumieć, a jeśli nie zrozumie, przeczuje, co on znaczy!

Tak się też stało.

Wincunia wpół zrozumiała, wpół przeczuła znaczenie czarnego wyrazu i, ochłoniawszy nieco ze wzruszenia, włożyła kartkę do jedwabnego woreczka, w którym nosiła na szyi szkalperz i święcony medalik.

Chciała zrazu ją podrzeć, ale gdy palce jej dotykały się w tym celu do papieru, usta szeptały: »nie mogę!« i, powiedziawszy sobie wkońcu: »jutro ją spalę«, schowała kartkę razem ze świętościami.

Tego samego dnia Bolesław, przyszedłszy do Niemenki, zobaczył stojący w bawialnym pokoju na stole kosz z kwiatami.

— Jakież ładne kwiaty! — rzekł — skąd pani je ma, panno Wincento?

Wincunia patrzyła przez okno i nie słyszała, czy udała, że nie słyszy zapytania. Pani Niemeńska odrzekła za nią:

— To pan Snopiński przysłał dziś dla Wincuni; ale wystaw pan sobie, posłaniec mówił, że ten koszyczek jest własnej roboty pana Aleksandra.

Bolesław uśmiechnął się. W uśmiechu tym nie było ani podejrzenia, ani zazdrości. Sam prawy i prostych obyczajów, nie przypuszczał snadź w nikim wstecznych myśli i podstępnych zamiarów, a uważał za bardzo naturalne, że każdy, kto poznał jego narzeczoną, lubił ją i przysłużyć się jej pragnął. On sam gotów był oddać życie w jej obronie i dla jej dobra najcięższą spełnić pracę, jakżeby więc mógł się dziwić, że ktoś ofiarował jej kwiaty?

— Jaki to jednak zdolny chłopak z tego Snopińskiego! — rzekł, oglądając arcydzieło sztuki koszykarskiej. — Wrodzony spryt i pojętność malują się na jego twarzy, a i do mechanicznych robót wyraźne ma zdolności. Szkoda, że to wszystko marnuje się w próżniaczem i bezcelowem życiu!

Wincunia nie słyszała ostatnich słów narzeczonego, bo gdy

tylko zaczął mówić o Aleksandrze, prędko wyszła z pokoju; ale pani Niemeńska zaczęła bronić pięknego, »światowego«, jak mówiła, młodzieńca z takim zapalem, że aż Bolesław zaśmiał się i rzekł:

— Uważam, że pan Aleksander zyskał sobie wielką łaskę u pani.

— Bo też trudno widzieć podobnie ślicznego i miłego kawalera! — odrzekła żywo staruszka.

— Zgoda więc — rzekł z uśmiechem Bolesław — już nigdy nie będę mówił źle o pani faworycie, chociaż, Bogiem a prawdą, wiele mu zarzucić można, a więcej jeszcze rodzicom, którzy nim tak błędnie pokierowali!

Upłynęło znowu trzy tygodnie, a Aleksander nie przyjechał ni razu do Niemenki. Tak mu widać kazała wzięta ku pomocy strategia.

Wincunia smutniała i mizerniała widocznie, niekiedy odzyskiwała jeszcze dawniejszą wesołość, ale były to krótkie chwile, ciągle zaś albo siadywała w swoim pokoiku milcząca i blada, z robótką w ręku, więcej dumając, niż szyjąc, albo wynajdywała sobie jakie ruchliwe gospodarskie zajęcie i pogrążała się w niem z gorączkową pilnością, niby chcąc zapomnieć o myśli, nurtującej jej głowę i trującej spokojność.

Tymczasem po wsiach pełnem życiem wrzały gospodarskie prace. Czerwiec miał się ku końcowi, śpiew słowików cichł po gajach.

Za to na łąkach wesoło dźwięczały żelaza kosarzy, ścinające bujnie porośłą trawę, po zagonach rozsiadały się gwarne gromady kobiet, pielących len i pszenicę, pługi gęsto przesuwwały się po łąkach, orząc ziemię pod zasiew jesienny, bo żyto wpływało już w kłosa i rolnik tuż, tuż przed sobą widział chwilę, w której po zdjęciu zboża nową siejbę rozpocząć będzie pora.

Bolesław był bardzo zajęty. Gospodarował w Topolinie i Niemence, a oba folwarki, lubo niewielkie, były tak dostatnio i postępowo zagospodarowane, że, w letniej mianowicie porze, wymagały tyle niemal trudu i zachodów, ile ich wymagają obszerne, ale opieszale i wedle starej rutyny urządzone dobra.

Od wczesnego ranka na koniu Bolesław przebiegał pola i łąki, witał pracujących ludzi starem pozdrowieniem: pomagaj Boże! a oni odpowiadali mu wesołym chórem: dziękujemy, panoczku! a gdy, wydawszy rozporządzenia i przejrzawszy roboty, odjeżdżał, oglądali się za nim życzliwie i pilnie brali się do

pracy, bo lubili łagodnego choć sprawiedliwego gospodarza i wiedzieli, że odbiorą od niego rzetelną i rychłą zapłatę.

Każdego wieczora około zachodu słońca dziedziniec topoliński roił się ludźmi, brzmiał gwarem, turkotem i ruchem.

Parokonne wozy, naładowane sianem, wjeżdżały przez bramę w podwórze, gromady kosarzy stawały przed gankiem domu, a nad ich głowami brzęczały ostre kosy; wieśniaczki, w czerwonych chustach na głowach lub z polnymi makami we włosach, nadchodziły tuż za kosarzami, gwarem rozmów i donośnych śmiechów głuszac rozhovor mężczyzn; przy studni piło wodę z koryta niewielkie stado rasowego bydła, żóraw z wielkiem wiadrem pochylał się co chwila i podnosił się znowu wysoko z przeciągiem skrzypieniem; za dworem na blizkiem pastwisku rżały pasące się konie, a ryk bydła odpowiadał im z dziedzińca.

Wszystko to ogarnięte było świeżą i silną wonią siana, a wysoko na wyniosłej lipie, wyglądającej nad stodołę, stał na jednej nodze bocian i klekotał co siły ku bocianicy, która, u stóp jego siedząc w gnieździe, kładła pokarm w dzióbki piskląt, wysuwających się z pomiędzy zębów brony, podtrzymującej gniazdo.

Wtedy i Bolesław wracał z pola, oddawał wierzchowca służącemu i siadał na ganku, a wkoło niego zbierali się robotnicy i robotnice.

Do dźwięku kos dołączył się po chwili dźwięk drobnej monety, rzetelny gospodarz wypłacał każdemu należny mu za pracę pieniądz, rozprawiał z kosarzami o pogodzie i zbiorach, wypytywał kobiety o dzieci ich i gospodarstwo, dawał jednym rady, innym napomnienia, umawiał się o cenę jutrzejszej pracy, naznaczał każdemu miejsce i robotę, a gdy już wszystko było skończone, mówił uprzejmie: »teraz, dzieci, idźcie z Bogiem, dobranoc wam!«

Wtedy dziedziniec rozbrzmiewał gwarem pozdrowieniem: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!« i chłopci, pokłoniwszy się przed gospodarzem, rozchodzili się powoli; wkrótce z oddali tylko dochodziły odgłosy ich rozmów, albo w cichem powietrzu zabrzmiała przeciągła pieśń ludowa, jękiem niby unosiła się przez chwilę nad ziemią i umilkła, stłumiona z innej kędyś strony odzywającym się rozgłośnym chichotem.

Echa polne porywały, i żalosną nutę pieśni, i wesołą gamę śmiechu, wiązały je w odgłos z radości i smutku spleciony, niosły

go po polach, aż odbiły się o ścianę gaju i konały nad strzechą topolińskiego dworku.

Bolesław siedział na ganku, znużony całodzienną pracą, ale z twarzą pogodną i okiem spokojnie spoglądającym na ten świat Boży, którego uciechy i zadania tak dobrze zrozumiał i spełniał.

Coraz uroczystsza cisza obejmowała dworek: za bramą po polach rozkładały się mgły, przejrzyste i białe jak jeziora, w głębi gaju odzywał się niewyraźny szelest, niby pierwsze senne marzenie usypiających w łonie jego istot, a gwiazdy jedna po drugiej występowały na coraz ciemniejszym sklepieniu nieba, niby złociste duchy, wyzywające siebie z innych światów, dla przyświecania ogarniętej nocną pomroką ziemi.

I cicho było w wiejskiej ustroni, jak gdyby ją anioł otulił skrzydłami i oddzielił od gwarów i zamętów świata, jak gdyby sam Bóg położył na niej błogosławiący palec i spokojem, ozdobionym pięknnością, powłókł schronienie pracowitego człowieka.

Im głębsze cienie zsuwały się na ziemię, tem większa jasność spływała na oblicze Bolesława.

Pogoda ducha, znającego siebie i drogi swoje, spoczywała na jego czole, a w oczach, przebiegających po szeroko bielejącej mgłami przestrzeni pól, była spokojna, przezroczysta myśl sprawiedliwego.

Po długiej chwili cichego rozmyślenia i modlitewnego niemal skupienia ducha, powstawał Bolesław, i, boczną furtką dziedzińca wszedłszy w gęstwinę gaju, dążył do Niemenki. Znajdował najczęściej Wincunię i panią Niemeńską, siedzące na ganku i oczekujące jego przybycia.

Twarz dziewczyny, jak biała róża, jaśniała wśród zmroku, otoczona splotem jasnych warkoczy. Bolesław siadał przy narzeczonej i gwarzyli we troje o różnych codziennych sprawach i zająciach.

Minął już jednak czas, w którym Wincunia była duszą, dowcipem, śmiechem i weselem takich pogadanek. Teraz odzywała się rzadko, a jeśli zaśmiała się kiedy, śmiech jej drżał zawsze fałszywą jakąś nutą i nagle urywał się, jakby stłumiony przykrą jakąś myślą lub uczuciem.

Najczęściej, po kilku minutach rozmowy z narzeczoną, opuszczała ganek i wkrótce z głębi domu odzywały się tony fortepianu, śpiewające pod jej palcami proste, ale dziwnie smutne pieśni.

Wtedy Bolesław opuszczał też panią Niemeńską i szedł do narzeczonej, jakby go do niej nieprzeparta jakaś ciągnęła siła. W słabo oświetlonym małą lampą pokoju stawał naprzeciw niej grającej i wpatrywał się w twarz dziewczyny, która codziennie bledszą była i zaczynała nabierać wyrazu przejmującej boleści. Niekiedy zbliżał się do niej i, biorąc jej ręce, pytał z niepokojem:

— Wincuniu, czego ty taka smutna i grasz tak smutno? Czego ty taka blada i zadumana?

Dziewczyna nie odpowiadała i siliła się na uśmiech, ale patrzyła na niego takimi dobrymi i smętnymi zarazem oczyma, że porywał ją w ramiona, całował jej lniane włosy i zapominał o wszystkim na świecie. Ona wyrывała się niekiedy z jego objęcia, i ze śmiechem, w którym łzy drżały, uciekała do ciotki.

Czasem jednak, niby z przyzwyczajenia, powziętego od dzieciństwa, opierała czoło na jego piersi i stała nieporuszona, jak gdyby szukała u niego siły i obrony, jak gdyby na jego męskiej szlachetnej piersi utulić i uspokoić chciała głowę swą, męczoną jakąś palącą, niespokojną myślą.

W dzień widywali się rzadko. Czasem tylko Bolesław, przebiegając konno około dworku Niemenki, zobaczył Wincunię, chodzącą z kluczami po dziedzińcu, lub karmiącą swoje ptaki. Zatrzymywał wtedy konia przy ostrokołe i zdaleka przysyłał jej »dzień dobry«.

Dawniej, w podobnych razach, dziewczyna podbiegała zawsze pod płót dziedzińca i rozmawiała kilka chwil z narzeczoną; teraz czyniła to bardzo rzadko, a najczęściej odpowiadała mu tylko skinieniem głowy i zniknęła między zielenią ogrodu.

Bolesław ściagał wzrokiem różową sukienkę, dopóki mu całkiem nie zniknęła z oczu, i odjeżdżał, ale już wolniej, niż wprzód, i smutek jakiś nieokreślony przesunął się po jego twarzy.

Smutek ten zaczął wreszcie coraz częściej na niej gościć, chwilami po czole jego przebiegały chmury niepokoju, jak posępne zwiastuny nieszczęścia.

Zdawało się, że bladeść, która pokrywała tak świeże niedawno lice jego narzeczonej, boleśnie raziła mu oczy, bo zachodziły one niekiedy mgłą wilgotną; często, po powrocie z Niemenki, całymi godzinami chodził po pokoju i mówił do siebie:

— Co jej jest! co jej jest! czy chora? czy jej czego braknie!

Ani razu nie zapytał siebie:

— Może ona mię nie kocha?

Myśl ta daleką była od niego. Jak groźne widmo stała ona ukryta w kątku jego ustroni, ale dotknąć go nie śmiała jeszcze, powstrzymywana głęboką wiarą, jaką długie lata spędzone z Wincunią wyrobiły w jego sercu.

On siebie i ją uważał za coś tak nierozłącznego, za coś tak ściśle spojonego mocą przyzwyczajęń, ofiar, wspomnień i nadziei, że nie powstało mu w myśli, aby ktoś trzeci, ktoś obcy mógł stanąć między nimi i rozłączyć ich serca.

Mógłże ktokolwiek ukochać ją tak, jak on ją ukochał? Mógłże ktokolwiek otoczyć ją tak ojcowską, troskliwą, energiczną opieką, jaką on ją przez lat tyle otaczał? Czyliż nie on otworzył na świat oczy jej ducha? czyliż nie on skapał jej piękne czoło w światłości wiedzy?

Kapłan ją ochrzcił potokiem poświęconej wody, a on zdrojem oświaty; on ją jak kwiat wypiełgnował, wypieścił, ciepłem i światłem otoczył, i wzrastającą, rozkwitającą, pijącą poezję życia, widział obok siebie.

Ona była echem, które mu przynosiło wspomnienia lat młodości, gdy do Niemenki prowadził chwiejne kroki swego starego ojca, a ona, drobna wówczas dziewczyna, wybiegała naprzeciw niemu i zawisała u jego szyi.

Patrząc na nią, witał pamięcią owe długie zimowe wieczory, w których, przy świetle lampy, młodziuchna dziewczeczka, z rozpuszczonym srebrzystym warkoczem, siedziała obok niego, a on przelewał w nią uczucia wiary i miłości, które w jego własnej gorzały piersi, i myśl jej zdumioną a zachwyconą prowadził od drobnego kwiatka i robaczka aż do tych wielkich mężów olbrzymów, którzy, wśród długiego ciągu dziejów oczystych, jaśnieją niby gwiazdy nieśmiertelne.

A potem, jak z niego na nią przelała się oświata, tak z niej na niego trysnął źródło miłości, męskiej, silnej, przenikającej wszystkie zakątki jego ducha i wszystkie fibry ciała.

I stała się mu ona tęczą nadziei, która niby most kwiecisty usłać się miała między dotychczasowem jego istnieniem samotnika a ową krainą rodzinnego życia, którą uważał za szczyt obywatelskiego szczęścia i obywatelskiej cnoty, z której wychylały się ku niemu i uśmiechały różane główki drobnych istot, co go zwać będą słodkimi imieniem ojca i które on powiedzie na sze-

rokcie „drogi rozumu i cnoty i nauczy składać życie i serce na ołtarzu prawych czynów i wielkich miłości.

I te wszystkie węzły, nadzieje, uczucie głębokie, jak dno morskie, co opłoty i spoity go z tą białą, jasnowłosą dziewczyną, miałyby pęknąć, rozwiać się i zostawić go wśród ruiny najdroższych marzeń życia, z piersią rozdartą i sercem w łzach zawodu skapanem?

I to dziecię, z piękną twarzą i takim przejrzystym łagodnym okiem, miałożby nie pojąć go, nie zważyć na szali przeczuć miłości jego z miłością, jaką mógł jej dać kto inny?

I miałożby ono odwrócić od niego swoje słodkie lice i wyciągnąć ręce do drugiego, do obcego, nieznanego, który upodoba ją może jako igraszkę chwili, jako piękne cacko, a nie jak jedynę szczęście i najwyższą nadzieję życia?

Nie, to być nie mogło! nie mogło być wedle praw boskich i ludzkich przypuszczeń, to się nawet myśli jego nigdy nie nasuwało! Długie i pełne niepokoju rozmyślanie jego o narzeczonej kończyły się zawsze przypuszczeniem, że musi ona być chora.

Nie mylił się; Wincunia była chora na straszną, śmiertelną nieraz chorobę bezmyślnego, instynktowego pociągu, który graniczy blisko z namiętnością, a tem gwałtowniejszy bywa, im w młodszym i bardziej dziewiczym zamieszka sercu.

Była ona chora na tę halucynację kobiecego serca, która w pięknej twarzy mężczyzny każe widzieć piękną duszę, precudne obrazy ukazują tam, gdzie są zwodne tylko miraż, szych pokrywa złocistym połyskiem i błyszczy nim jak złotem prawdziwem.

Dziewice młode, czyste a nieświadome życia i strasznych jego tajemnic! jeśli poczujecie na sobie palec tej strasznej choroby serca, wzywajcie co prędzej Boga na pomoc i zbrojcie się w cały zasób siły, woli i rozumu, aby odeprzeć potwora nieśczęścia.

Bo to, co zwiecie miłością, a co instynktem jest tylko i ślepą siłą natury... to nieśczęście, stokroć większe niekiedy, niż śmierć, bo nieśczęście całego życia, długie konanie w męczarniach zawodu i rozczarowania.

Dopóki w pięknych oczach mężczyzny, z całą świadomością i uznaniem rozumu, pięknej nie wycytacie duszy, nie mówcie: »kocham!« bo prędko bardzo, prędko potem zbladłe usta wasze wyszepcą: »cierpię!«

Powabna postać i twarz młodzieńcza nie dadzą wam spo-

koju, ani szczęścia, ani siły na życie, jeśli serce mężczyzny, z którym złączycie przyszłość, będzie zimne, głowa pusta i ramie słabe.

Kiedyś, kiedyś poznacie błąd swój i łzami wielkiego żalu opłaciecie zmarnowane swe istnienie, ale już będzie za późno.

Wejście na jakąkolwiek drogę życia łatwe, ale odwrót trudny... niepodobny czasem, a ciężko, bardzo ciężko... za jedną chwilę szalu... za krótką porę rozkosznych uniesień, długie lata przepędzać w żalu, samotności serca i myśli, w beznadziejnej rozpacz.

Myślcie o tem, dziewice młode, i strzeżcie się choroby bezmyślnego instynktu, strzeżcie się uledek halucynacyi serca!

Bolesław mało znał kobiet w swem życiu, nie wczytał się we wrażliwą ich serc naturę, nie wiedział, jakie tajemnice płomieni kryją się nieraz w piersi dziewczęcej, tak spokojnie oddychającej na pozór.

Narzeczoną swoją uważał za anioła czystości uczuć i myśli, i takim była ona w istocie, ale nie wiedział także o tem, że najniebezpieczniejszy jest każdy zły popęd wtedy, gdy zjawi się u bardzo młodej i czystej istoty, bo nie znajduje punktu oparcia ani w rozumie, ani w doświadczeniu, i tłumiony czystością myśli, roznieca się i wzmaga młodością serca.

Bolesław ani wiedział o istnieniu chorób takich, a zmianę, dojrzaną w narzeczonej, przypisując słabości fizycznej, przemysłował nad tem, dokąd się udać po lekarzy dla niej. Wszyscy, których znał w okolicy, byli, w jego rozumieniu, za mało biegłymi, aby im mógł powierzyć swój skarb najdroższy.

Gdybyż przynajmniej wiedział, co jej było: czy bolała ją głowa, tak pysznie zdobna w srebrzyste włosy? czy ból gnieździł się w tej piersi, w którą on pragnął przelać wszystkie rozkosze ziemi?

Daremnie pytał; ona milczała, a tylko patrzyła na niego czasem tak łagodnie i smutnie razem, że serce drżało mu z obawy i żalu.

Nie zawsze jednak Wincunia była taką. Niekiedy odzyskiwała dawniejszą wesołość, nuciła, biegała i szczebiotała, jak dawniej, i świeże rumieńce znowu na jej twarz występowały; a chociaż były to krótkie tylko błyski, po których bladła znowu i zapadała w dziwne jakieś zadumy, Bolesław jednak pocieszał

się niemi, ilekroć je ujrzał, i uspokojony odchodził, mówiąc do siebie:

— Miłość moja dla niej przesadza pozory złego! To zapewne lekka słabość, albo dziecinna zmiana humoru! To przejdzie prędko! O, gdyby już prędzej była ciągle przy mnie, wyleczyłbym ją szczęściem i miłością!

Po takiej myśli oddawał się pracy i znowu na czas jakiś stawał się spokojnym.

W pierwszych dniach lipca, po długiej niebytności, Aleksander znowu zawitał do Niemenki. I tym razem Bolesław był nieobecny, bo wyjechał do powiatowego miasta, dla załatwienia jakichś spraw majątkowych.

Aleksander dowiedział się o tem jego wydaleniu się z okolicy od swego Pawełka, i może umyślnie wybrał dzień ten dla widzenia się z Wincunią. Zapewne sądził, że w nieobecności narzeczonego serce dziewczyny bardziej jest bezbronne i łatwiej przyjmie w siebie wrażenia doznane.

Może też szaraczkowy szlachcic, jak nazywał Topolskiego, imponował mu swoją powagą i rozumem, a tem sprawiał przykrość jemu, przywykłemu do królowania mocą swej pięknej twarzy i zgrabnej postaci, wspomaganej wielką dozą śmiałości. Bądź co bądź, Aleksander przybył do Niemenki wtedy, gdy był pewien, że Topolskiego tam nie spotka.

Tym razem jednak nie był tak wesoły, jak wprzód, owszem, oblókł się cały w wymowną melancholię, mówił o cierpieniach życia, o tęsknocie, o śmierci, westchnął kilka razy, siedząc obok Wincuni, wkońcu powiedział, że zamierza wkrótce na zawsze opuścić okolicę. Gdy to mówił, Wincunia stała naprzeciw niego, a usłyszawszy jego słowa, zbladła i oparła się ręką o poręcz krzesła.

Dojrzał bolesne wzruszenie jej młodzieniec i, przy sposobności, rzekł do niej zcicha:

— Muszę odjechać, aby zapomnieć... pojedę w świat, bo czuję, że jeśli dłużej zostanie tu... blisko Niemenki... zgine i zlamie sobie życie na zawsze!

Wincunia podniosła na niego wzrok zamglony wzruszeniem i — dziwna rzecz! na twarzy jego dojrzała prawdę. Młodzieniec zapalił się sam przy fajerwerku, który urządził na zapalenie serca dziewczyny.

Czy zagorzał w nim ogień prawdziwej miłości, czy tylko błędny płomyk wrażenia? ani wiedział, ani pytał siebie o to, ani chciał pomyśleć przez chwilę, co jedno, a co drugie znaczy.

Opuścił Niemenkę silnie wzruszony; po powrocie do domu, długo chodził po swoim pokoju, a przed oczyma wciąż mu migotała twarz Wincuni. Stał i trzy razy powtórzył prawie głośno:

— Kocham! kocham! kocham! śliczna, czarująca, zachwycająca dziewczyna!

Potem podniósł rękę z tryumfującym gięstem i zawołał:

— O, ale i ona mną zajęta! jeszcze trochę, a Topolskiemu da harbuza!... cha, cha, cha!

Chodził znowu i znowu stał.

— Ba! — rzekł — ale co będzie potem? i co z tego wszystkiego będzie?

Kręcił jasny wąsik i zamyślonemi oczyma patrzył w przestrzeń.

— Bałamucić jej tak długo przecież nie mogę, a porzucić... szkoda, słowo daję! najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedy widziałem! Zresztą, nie jestem zupełnie pewny, czy mię kocha, a jakbym się usunął, Topolski wzięłby ją, jak swoją. O, co na to, to za nic nie pozwolę! Ale jakże zrobić? At, ożenie się i ko-niec, »vogue la galère!«

Ostatnie słowa były znowu korzyścią, odniesioną z częstego przedstawiania z panią Karliczową. Powabna wdówka miała zwyczaj wymawiać je w chwili puszczenia się na płytkie wody swoich motylkowych miłości.

Aleksander pochwycił te francuskie wyrazy i spytał, co by znaczyły. »Niech co chce będzie, a dogodzę mojej fantazy!«, wytłumaczyła czarnooka pani.

— Ożenić się? — powtarzał Aleksander — a złota swoboda? miłe kawalerskie życie? Takim jeszcze młody!... no, ale jakże inaczej zrobić? Wincunia śliczna i Topolskiemu jej nie dam! słowo daję, nie dam!

Po długim jeszcze rozmyślaniu i chodzeniu po pokoju, Aleksander zbliżył się do stolika, na którym nieustannie stała butelka z ulubionym mu rodzajem wina, podniósł rękę w górę, klasnął palcami i rzekł z determinacją:

— Ożenie się!

Następnie jednym haustem wychylił kielich, zgasił świecę i usnął, jak zabity.

IX.

Bal u dzierzawcy.

Południe zbliżało się, we dworze adampolskim i na otaczających go polach ruch był od kilku godzin wielki; oboje państwo Jerzostwo oddawna krzątali się koło gospodarstwa, a Aleksander siedział jeszcze w swoim pokoiku przed lustrem, głęboko pogrążony w wykończaniu szczegółów swej toalety.

Po wczorajszej bytności w Niemence spał długo, i w snach musiał snadź ciągle widzieć Wincunię, bo, podkręcając przed zwierciadłem jasnego wąsika, przyglądając włosy, cichutko wymówił jej imię z pół figlarnym, pół radosnym uśmiechem.

Był bardzo zamyślony, chwilami zdawał się zupełnie zapominać o niedokończonej toalecie, machinalnie patrzył na twarz swą odbitą w lusterku i, to uśmiechając się, to jakby w wewnętrznym namyśle pokręcając głową, motał sobie coś ciągle i motał na pieszczony wąsik.

Nagle brzęknęły w pokoju klucze i młody człowiek ujrzał stojącą za sobą panią Snopińską. Odwrócił się i pocałował czule ją w rękę.

— Dobrze, że mama przyszła — rzekł — mam z mamą do pomówienia.

— Cóż takiego, Olutku? — spytała Snopińska, siadając na przeciw syna.

— Myślę żenić się — odpowiedział krótko bez wszelkich preliminariów.

Snopińska klasnęła rękoma, pół z przestachem, pół z radością.

— Z kimże, moje dziecko? — zawołała.

— Z Wincunią Niemeńską.

— Ależ ona już zaręczona, Olutku.

— W tem i sęk, moja mamó. Że ona mną trochę już zajęta, jestem tego pewny; no, naturalnie, że i ja ją kocham, bo bez miłości pewniebym się nie żenił; ale ponieważ jest zaręczona, ma skrupuły, i o to idzie, aby o nich zapomniała. Bo też, Bogiem a prawdą, nie warto, żeby takie śliczne stworzenie robiło z siebie ofiarę dla takiego szlachciury, jak ten Topolski.

— Już to pewno, mój Olutku — rzekła po chwili namysłu Snopińska — że ty do niej daleko lepiej pasujesz, niż Topolski. Patrzałam na was, jak przeszłej niedzieli szliście razem z kosić przez cmentarz, i myślałam sobie właśnie, że śliczna i dobrana z was para, i nie tylko ja tak myślałam, ale i inni to mówili.

Aleksander z zadowoleniem pokręcił wąsika; Snopińska mówiła dalej:

— Przytem panna Niemeńska to wcale niezła partya, ma swój folwark i, jak mówią, pięknie zagospodarzony. Tę część, która należy do jej ciotki, ojciec odkupiłby dla ciebie i jestem pewna, że nicby przeciw temu małżeństwu nie miał. Ale jakże zrobisz, żeby zrekurowała narzeczonego?

— O tem właśnie chciałem pomówić z mamą, trzeba, abyśmy wydali bal.

— Bal? — zawołała Snopińska, składając ręce. — Jezus, Marya! a to na co?

— Trzeba, abyśmy wydali bal — powtórzył Aleksander z powagą — ale to bal, co się zowie. Zrobi to na niej wrażenie. Ja szepnę jej do uszka, że zabawa ta na jej cześć urządzona, blask i gwar odurzą ją i olśnią, w tańcu rozmarzy się, jak to zwykle z panienkami bywa, ja tymczasem oświadczę się i ręczę mamie, że wyjedzie stąd tak rozkochana, iż jak na drugi dzień pojedzie do Niemenki, przyrzecze mi, a Topolskiego zrekurowuje.

— Jakie to w tej twojej głowie pomysły! — rzekła, zachwycona synem, Snopińska. — Może i masz rację, ale jakże to będzie? Ja nigdy balu nie wydawałam; i prawdę rzekłszy, nigdy nawet na żadnym nie byłam; nie mam więc ani wyobrażenia, jak to tam na balu być powinno.

— Niech już mama o nic się nie turbuje, ja sam wszystko biorę na siebie. Kucharzy i lokajów najmę tych, którzy mieszkają w rezydencji hrabiny na wypadek jej przyjazdu; oświetleniem domu i przyjęciem gości sam zarządzę. Przecież znam się na tem, bo nie na jednym balu byłem, i u pani Karliczowej, i gdzieindziej.

Snopińska zamyśliła się i machinalnie brząkała kluczami.

— Ależ moje dziecko — rzekła po chwili — to będzie strasznie wiele kosztować!

— Czyż mamcia żałuje pieniędzy dla mego szczęścia? — rzekł Aleksander pół żałośnie, pół pieszczotliwie.

— Już to wiadomo, że ja dla twego szczęścia tobym i sama w ogień wskoczyła, ale widzisz, Olutku, co ojciec...

— Ojciec! — podchwycił Aleksander — z nim będzie trochę trudna sprawa. No, ale jak my z mamą uweźmiemy się oboje, to wszystko dobrze pójdzie. Ja wiem, że ojciec chce, abym ożenił się; otóż powiem mu, że jeżeli nie z Wincunią, to nigdy z nikim nie ożenię się, a co nawet i nie zupełnie skłamię, bo ta dziewczyna tak mi wlaźła w głowę, że ją tylko widzę we śnie i na jawie. Nakoniec i to nasunę ojcu na uwagę, że przecież wezmę niezły posag.

— A niezły, niezły — powtórzyła matka — słyhać, że ten Topolski tak pięknie urządził Niemenkę, że daje ona tyle dochodu, co Adampol, choć pięć razy większy...

— Ot, widzi mama! a jak ja wezmę Niemenkę, to pewno daleko lepiej jeszcze potrafię ją urządzić, niż Topolski, bo ożeniwszy się i do gospodarstwa wezmę się nie na żarty.

— Dobrze, dobrze, mój Olutku, trzeba dziś będzie o tem wszystkim pomówić z ojcem. Ale kiedyż to ten bal być powinien?

— Naturalnie, że najstosowniej będzie na św. Annę, bo, to imieniny mamy, będzie zatem pretekst wyborny do zabawy. Trzeba, żeby mama przedtem pojechała z wizytami w sąsiedztwo: naprzód do Niemenki, potem do pani Karliczowej, potem...

— Ja mam oddawać tyle wizyt! — krzyknęła przestraszona Snopińska — moje dziecko, a toż na co?

— Bo inaczej nikt z dam nie przyjedzie do nas...

— Ależ ja chyba do tej pani Karliczowej nie pojedę, to taka pani...

— Niepodobna, moja mamo, ja tam bywam tak często! Zresztą, to najbogatsza obywatelka w okolicy i przyniesie nam honor swoją bytnością.

— Ależ mój Olutku, to będzie straszna dla mnie fatyga i subiekcyja... ja nie przyzwyczajona...

— Moja mamciu! moja droga mamulku! czyż mamcia nie zrobi tego dla mnie, dla mego szczęścia? — mówił Aleksander, całując matkę po rękach i przymilając się do niej.

— Ależ zrobię, zrobię, mój koteczku! pojedę wszędzie, gdzie zechcesz, byleby to było dla twego dobra; tylko z ojcem spraw się jakkolwiek — odrzekła Snopińska, całując syna.

W parę godzin po tej rozmowie między matką i synem,

pan Jerzy, zaatakowany przez obojga, wykrzykiwał ze zdziwieniem i przestraszaniem:

— Bal! bal! a co wam do głowy przyszło? w same żniwa bal wydawać? czyście powaryowali oboje! Słuchaj, Anulku, ty sama nie wiesz, co gadasz, a ten błazen to niedługo cały dom do góry nogami zechce przewrócić!

— Jeżeli papa nie zgodzi się spełnić mojej prośby, będę bardzo nieszczęśliwy! — pokornie i ze smutną miną rzekł Aleksander.

— Nieszczęśliwy! nieszczęśliwy! — powtórzył pan Jerzy, a oczy jego, strasznie zafrasowane, biegały po wszystkich kątach pokoju. — Czemże ciebie u licha ten przeklęty bal uszczęśliwi?

— Da mi za żonę kobietę, bez której żyć nie mogę — smutniej jeszcze odparł młodzieniec.

Wiedział, że trafi w słabą stronę ojca, pan Jerzy zmiękł trochę, lubo bronił się jeszcze energicznie.

Aleksander ukląkł przed nim i zaczął całować go w rękę i kolana.

— Mój ojculku — mówił — mój papunieczku najdroższy, najlepszy! czy papa tego jedyne, tego ostatniego dobrodziejstwa dla mnie uczynić nie zechce? Ja wiem, że papa już bardzo wiele na mnie wydał, że lepszego ojca na całym świecie niema, ale niech papa jeszcze ten raz zlituje się nade mną...

Snopińska, stojąc za krzesłem męża, szlochała mu nad uchem.

— Jerzy — mówiła chlipiąc — zgódź się na to, o co ciebie jedyne dziecko prosi! czy ty jesteś tyran jaki, albo co? Czy to moje prośby nic już u ciebie nie warte? A pamiętasz, jak to było dawniej, kiedy to tylko cośmy się pobrali, toś mówił: »o co ty mnie, Anulku, poprosisz, wszystko zrobię!« Tak to dotrzymujesz obietnicy! może to tak dlatego, że ja teraz stara i brzydka, a żeby jaka młoda i ładna kobietka o co cię poprosiła, tobyś zaraz uczynił. O, ja nieszczęśliwa! taka to nagroda dla mnie za dwudziestopięcioletnie z tobą dobre pożycie! Patrz, oto dziecko ledwie nie płacze, tak ciebie prosi... wszak to jednak, a ty z sobą do grobu pieniędzy nie poniesiesz; zresztą, jak ożeni się i weźmie posag, to wróci tobie ten wydatek...

Pan Jerzy krzywił się, marszczył, zatykał uszy palcami, mruczał pod wąsem: — W same żniwa! powaryowali, w same żniwa! — ale w końcu rzekł do syna, klęczącego ciągle przed nim:

— No, dość już tego! wstań, Olesiu, masz tą jedną dobrą zaletę, że, jak czego chcesz, to prosisz pokornie. A ty, Anulku, czegoż płaczesz? wiesz przecie, że ja na twoje łzy patrzeć nie mogę! Niech już tam będzie po waszemu; tylko słuchaj, Olesiu, jak ty mi po tym balu nie ożenisz się z panną Niemeńską, to...

— Ożenię się, papunieczku, ożenię się! — zawołał, podskakując, Aleksander i po kilkadziesiąt razy pocałował rękę ojca. — Taka cudna dziewczyna! Słowo daję! że jak ją papa zobaczy, to sam w niej rozkocha się, choć pewnie mamie o tem nie powie — dodał figlarnie.

— Oj, ty sowizdrzale! — rzekł pan Jerzy, mimowoli rozśmieszony. — A wieleż tam pieniędzy na ten bal trzeba będzie?

Tu był najdrażliwszy punkt całej sprawy.

Aleksander zażądał bardzo wiele. Oprócz wydatków na wiktuały, oświetlenie, najęcie służby, trzeba jeszcze było powozu dla oddawania wizyt, bo nikt przecie nie jeździ bryczką gości na bal spraszać; trzeba było nowych mebli, przynajmniej do bawialnego pokoju, muzyki z powiatowego miasta etc.

Dzierżawca brał się za głowę, ale wnet Aleksander przypadał mu do kolan, ukochana Anulka zaczynała szlochać i nazywać go tyranem, a pan Jerzy, zatykając uszy palcami, wołał: — No cicho już, Anulku, cicho! niech już będzie muzyka, ale na powóz nie zgodzę się za nic! — Nowe prośby syna, nowe wyrzuty żony. — Niechże już będzie powóz, ale mebli za nic w świecie nie kupię! — protestował obłączony.

Targ w targ, dzierżawca przystał na wszystko, z wyjątkiem mebli i, z niesłuchaniem zafrasowanemi oczyma, nasunawszy czapkę na uszy, poszedł w pole, mrucząc pod wąsem:

— W same żniwa! w same żniwa!

Po odejściu ojca Aleksander klasnął w dłonie i rzekł do siebie:

— Wszystko dobrze! Na meble pożyczę pieniędzy od Szlomy, bo mam u niego kredyt, a ojcu powiem, że je tylko najałem. Bal będzie pyszny i Wincunia moja, a Topolski zje harbuza!...

Od owego dnia wszczął się w Adampolu ruch nadzwyczajny.

Aleksander codziennie gdzieś wyjeżdżał i zwoził do domu meble, prowizye, rośliny wazonowe i t. d. Jednej rzeczy nie mógł nabyć w całej okolicy: kinkietów i żyrandoli. Wielce go to bo-

łało i dręczyło. Któż kiedy widział, aby na balu paliły się świece w prostych tylko świecznikach?

Już to o żyrandolach nie było co i myśleć, bo te z nazwy zaledwie znane były w sąsiedztwie, a naocznie widzieli je tylko ci nieliczni szczęśliwcy, którzy wnikali niekiedy do wnętrza pałacu niezamieszkanego rezydencji hrabiny.

Kinkiety znajdowały się w wielkiej liczbie na ścianach salonów pani Karliczowej. Aleksandrowi wpadło na myśl, aby poprosić uprzejmą dla niego wdówkę o pożyczenie mu tego balowego aparatu.

Ale rozmyślił się; czy ambicyja wstrzymała go od pożyczenia czegokolwiek u bogatej sąsiadki, czy nie czuł się w usposobieniu jechania do niej, będąc tak żywo zajęty Wincunią; dosyć, że zamknął się pewnego dnia w swoim pokoju i z rozpaczliwą energią wziął się do własnoręcznego wyrabiania kinkietów.

Dwa dni toczył i heblował, od rana do późnej nocy, aż mu pot kroplami z czoła spływał, ale na trzeci dzień kinkiety były gotowe.

Szły one z kilkunastu półkuli, pięknie wyrobionych z orzechowego drzewa, zaopatrzonych w dziurki do wsadzania świec i w osobne kółka, służące do zawieszania całości na gwoździach. W dzień balu półkole te miały być pozawieszane na ścianach i ozdobione wieńcami.

Był to pomysł oryginalny, prawdziwie sielski, ale zręcznością wykonania przynosił zaszczyt dobremu smakowi młodzieńca i świadczył raz jeszcze o jego wielkich zdolnościach do robót mechanicznych.

Na dwa tygodnie przed balem rozpoczęło się oddawanie wizyt sąsiedztwu przez obojga państwa Snopińskich.

Ku temu celowi kupiona została karetą hrabiny, która od niepamiętnych już lat stała nieużywana w wozowni i niewiadomo jakim sposobem dostała się na własność komisarzowi hrabiny, Kotowiczowi.

Zaprzyjaźniony z Kotowiczem Aleksander wiedział o jej istnieniu i, choć to była odwieczna landara na stojących resorach i z okropnym murzynem drewnianym w czerwonej czapce, sterczącym w tyle pudła, kupił ją za małą sumę, co wprowadziło w dobry humor pana Jerzego.

Aleksander kazał zrabować murzyna, który wielkim strachem nabawiał spotykanych na drodze Żydków, obić wewnętrzne materace nową wełnianą materyą, jako tako oczyścić szerniało

bronzy; a gdy wszystko już było skończone, odstąpił parę kroków od tak odnowionej landary i, przypatrując się jej z głębokim namysłem, rzekł:

— »Jeśli cię kto o imię zapyta, powiedz, żeś karetą!« Oto antyk, kiedy antyk! szczególnie kiedy ten murzyn w czerwonej czapce stał z tyłu! No, murzyna już chwala Bogu niema, ale zawsze to Bóg wie, do czego podobne!

Zmarkotniał i znać było po kierunku wejrzenia, że pocieszała go tylko mitra hrabiowska, która, odczyszczona, odświeżona żółtą barwą, jaśniała na drzwiczkach ze splwiałym lakierem.

— Ha! — rzekł wkońcu młodzieniec — cóż robić? kiedy papa na lepszy powóz za nic pieniędzy dać nie chciał. Pani Karliczowa, zresztą, mówiła niedawno, że antyki wchodzi w modę. Powiem wszystkim, że to karetą, którą moja matka do ślubu jechała; będzie to znak, że karety dawno już egzystują w naszym rodzie!

Parsknął głośnym śmiechem, i dodał:

— Cóż robić? zawsze to jednak karetą! jak ożenię się, kupię sobie lepszą! naturalnie!

Pewnego pięknego dnia pani Snopińska w jedwabnej kracastej sukni, którą wydobyła z głębi jakiegoś kufra, w starożytniej atlasowej kardynalce, oszytej szeroką torsadą, w czepku o fioletowych wstążkach, wsiadła do owej karety, naciągając na ręce żółte rękawiczki, sprowadzone dla niej przez syna.

Za połowicą wtłoczył się do landary pan Jerzy, w białej kamizelce i ślubnym granatowym fraku, ze strasznie zafrasowanymi oczyma i z białymi rękawiczkami, które mu syn wetknął w ręce na ganku.

Aleksander pomagał tylko rodzicom wsiadać do karety, a sam zostawał w domu, bo jechali oni do Niemenki, a on umyślił tam im nie towarzyszyć. Należało to snadź także do jego strategicznych planów.

Może zbyt często bywaniem w Niemence nie chciał obudzić podejrzeń i uwagi Topolskiego, albo może przydłuższą nieobecnością spodziewał się wzniecić w Wincuni tem żywszą chęć zobaczenia go na balu. Pragnął on niezmiernie widzieć dziewczynę, bo w ostatnich dniach aż pobladł trochę od tęsknoty, ale powstrzymał się i nie pojechał.

Furman krzyknął na konie, które, po kilku wysileniach, zdołały zaledwie ruszyć z miejsca landarę; cały ekwipaż ciężko

i z wolna potoczył się od ganku, a pani Snopińska wychyliła się przez okno i zawołała do stojącej na ganku sieroty, Antosi:

— Pilnuj-że tylko dobrze kluczy!

Pan Jerzy wysadził też głowę, chciał snadź coś polecić Aleksandrowi, ale machnął tylko ręką, nie nie powiedział i schował się w głąb' powozu, szepcąc pod wąsem:

— W same żniwa! w same żniwa!

Ta sama scena powtórzyła się nazajutrz.

Państwo Snopińscy pojechali z wizytą do pani Karliczowej. Pani Jerzowa, na samą myśl spotkania się z bogatą i światową damą, bladła i nie wiedziała co począć ze swemi rękoma, odzianemi w żółte rękawiczki.

Tym razem Aleksander nie został w domu. Gdy rodzice wsiedli do karety, on wskoczył na swoją leciuchną najtyczankę i, minawszy ciężką landarę, popędził w awangardzie, aby znakomitej swej w okolicy przyjaciółce oznajmić wizytę rodziców.

Wyjazdy te powtarzały się przez dwa tygodnie prawie codzień. Pan Jerzy był zły i bardzo zafrasowany. Po powrocie z każdej wizyty chodził po pokoju, z rękoma w tył założonemi, i szeptał pod wąsem:

— I jaż to wszystko muszę robić dla tego błazna, w same żniwa!

Albo powtarzał sobie z wyrzutem:

— Dalibóg zbłąźniłem się! w same żniwa! — Ale zawsze dodawał:

— Może też ożeni się i da Bóg usatkuje! w same żniwa!

Pani Snopińska, wróciwszy do domu, zrzuciła z siebie co prędzej kraciastą suknię i atłasową kardynalkę, układała je starannie w kufrze i, odziewszy się w płócienny tułubek, biegła z kluczami od spiżarni do spiżarni, aby przekonać się, czy w czasie jej nieobecności nie zaszła jaka malwersacya. A Aleksander chodził po swoim pokoju, klaskał tryumfalnie w palce i przyśpiewywał:

— Wincunia będzie moja! będzie moja! a Topolski dostanie odkoszał!

Jeździł i on z wizytami do młodzieży, zapraszając wszystkich na imieniny matki. Był także w Topolinie. Bolesław zdziwił się trochę niespodziewanemi odwiedzinami, ale gdy dowiedział się, o co idzie, uprzejmie przyjął zaprosiny i przyrzekł, że będzie na zabawie.

A kiedy mu jeszcze Aleksander powiedział, że zabawa ta

ma być urządzona głównie dla sprawienia przyjemności jego matce, i parę razy z czułością odezwał się o niej, Bolesław pomyślał: »ma i on swoją dobrą stronę, kiedy kocha i szanuje rodziców!« i przy pożegnaniu serdecznie uściśnął rękę młodzieńca, którego, zwyczajem prawdziwie dobrych ludzi, więcej żałował, niż potępiał.

W Niemeńce ruszono się także bardzo. Pani Niemeńska chciała ukochaną swą synowicę pokazać sąsiedztwu w całym blasku jej piękności, a Wincunia z gorączkowym zajęciem gotowała się do przyszłej zabawy.

Bolesław rad był, że ujrzał ją znowu ożywioną i wesołą, i mówił do pani Niemeńskiej:

— Dobrze, że Wincunia rozerwie się, może też jej tego trzeba było!

A w duchu dodawał:

— Siedmnasty rok ma swoje prawa! Niech mię Bóg broni, abym się im sprzeciwił!

I sam przywiózł jej z powiatowego miasta białą krepową sukienkę, różową szarfę i różany wianek na głowę.

Nadszedł nareszcie dzień św. Anny, dzień z niecierpliwością oczekiwany przez całe sąsiedztwo. Wnętrze domu adampolskiego zmieniło się, jakby za dotknięciem różdżki czarnoksiężskiej.

A był to dom wcale nie ciasny, bo służył niegdyś za rezydencję rodzicom hrabiny: pokoje w nim były obszerne; posadzki, niegdyś piękne, dochowały jeszcze resztek gładkości i połysku; na ścianach, pomalowanych w jaskrawe barwy, ale trwałym staroświeckim sposobem, gdzieniegdzie tylko znaczne były uszkodzenia, ręką czasu dokonane.

W bawialnym więc pokoju, na miejscu prostych jesionowych sprzętów, stały wcale zgrabne mahoniowe mebelki, kupione sekretnie za pożyczone od Szlomy pieniądze.

Pana Jerzego wyrzucono z sypialni i gabinetu, wraz z łóżkiem, parawanem i z staroświeckim biurkiem, pełnem ksiąg rachunkowych, a w obu pokojach ustawiono natomiast stoliki do kart i przekąsek; toż samo stało się z sypialnią pani Jerzowej, z której sztuki szarego płótna, naprzedzone motki i podobno koszy z kurą, wysiadującą na jajach, poszły na tymczasowe wygnanie do pokoju Antosi w oficynie.

Z najobszerniejszego pokoju wyniesiono magiel, kufr z bielizną i deskę do prasowania, a urządzono z niego salę do tańca.

Tam, na świeżo wybielonych ścianach, pozawieszano kinikiety roboty Aleksandra i owito je wieńcami z nieśmiertelników i chabru; pod ścianami ustawiono wszystkie krzesła, jakie się dały zebrać w całym domu; u okien urządzono klomby z przesadzonych w wazonach kwitnących róż i innych roślin.

Inny znów pokój, zwykle pusty, a obszerny, obrócono na salę jadalną; zresztą na posadzkach leżały gdzieś świeżo kupione dywany, w złym wprowadzie gatunku, ale nowe i kwieciste; po stołach stały lampy, a po całym domu kręciło się kilku najętych lokajów w białych bawełnianych rękawiczkach. Dwóch kucharzy hrabiny sporządzało w kuchni pasztety, torty, lody, limonady i t. d.

Aleksander zaś, od rana ubrany, ufryzowany, uperfumowany, biegł z kuchni do kredensu, z kredensu do pokoiów, dysponował, poprawiał, ustawiał, czuł się widocznie w swojej sferze, a żadnej nie opuścił sposobności, aby nie pocałować w rękę ojca lub matkę i nie przymilić się do nich, czem rozmarszczał czoła i rozpogadzał zakłopotane oczy rodziców, odurzonych i zmartwionych tym, tak niezwykłym dla nich, a tak kosztownym gwarem i zamętem w domu.

Gdy nareszcie, o zmroku, na dziedzińcu adampolskim zapaliły się kolorowe latarnie, w pokojach zapłonęło mnóstwo świateł, wszystko tam wyglądało dość ładnie i gustownie. Znać było wprowadzie w całem urządzeniu pośpiech, dorywczosć, łataninę i oszczędność, nie było tam owej łatwej i bez zarzutu elegancji domów zdawna przywykłych do podobnych przyjęć; ale też, dzięki gustowi i sprytowi Aleksandra, nic nie wydawało się śmiesznym, a nawet oczom mieszkańców prowincyi, którzy nic wspanialszego nie widzieli, wszystko mogło się wydać pięknem i wykwiśniętem.

Muzyka, sprowadzona z powiatowego miasta i złożona z czterech skrzypiec, basetli i klarynetu, umieszczona była w małym pokoiku, przylegającym do sali, w której miano tańczyć, przy drzwiach, osłoniętych ponsową firanką i ozdobionych szerokimi gałęziami bluszczu, pożyczonego z oranżeryi hrabiny.

Zabawa u dzierżawcy była dla całego sąsiedztwa gratką nielada.

Poważni ludzie pośpieszyli na preferansę i pogadankę o wiadomościach gospodarskich i gazetowych; matki rade były, że w licznych zebraniach pokażą swe córki; panny drżały na samą myśl o stroju, muzyce i tańcach, a przytem serduszka ich były,

jednej do tego, drugiej do owego z młodych sąsiadów; młodzież pośpieszyła też chętnie, bo i ich serca były, jednego do tej, drugiego do owej z młodych sąsiadek.

To też zaledwie zmrok zapadł, przeszło sześćdziesiąt osób napelniło zaimprowizowane salony adampolskiego domu.

Przy stolikach kartowych zasiedli Niemłodzi dzierżawcy z sąsiedztwa, kilku właściciele niewielkich folwarków, dwóch czy trzech urzędników z X., a nawet ze trzech komisarzy z administracyi dóbr hrabiny.

W bawialnym pokoju gwarzyły matrony, które przyjechały same, bez córek i kuzynek, a w sali do tańca najrzęśściej oświetlonej i najobficiej ubranej w zielone rośliny, migotały powiewne i różnobarwne suknie panien, a za niemi, niby rój motylów za kwiatami, uganiało się kilkunastu młodych ludzi. Matki i ciotki zasiadły pod ścianami, ścigając wzrokiem panny, gwarząc, śmiejąc się i obmawiając, jak to zwykle bywa między wiejskimi sąsiadkami.

Pod grupą zieleni, utworzoną z mirtów i róż kwitnących, siedziała Wincunia pośród kilku towarzyszek. Skromne, lecz gustowne ubranie, blask sztucznego światła i wrażenie, jakie sprawił na nią gwar i tłum ludzi, niezmiernie podnosiły wrodzone jej wdzięki.

Policzki jej kwitły delikatnym rumieńcem, oczy powlokły się połyskliwym, wilgotnym blaskiem, z za przezroczystej sukni, lubo uszytej pod szyję, ukazywały się śnieżne i kształtne ramiona. Jedynym kosztownym klejnotem jej toalety był sznur drobnych pereł, pamiątka po matce, który po kilka razy otaczał jej szyję i zsuwał się za krepę sukni.

Za krzesłem Wincuni stał Aleksander z rozpromienioną twarzą i, ze znaczącym uśmiechem, przemawiał do niej co chwila półgłosem.

Lokaje roznosili herbatę, muzyka nie odezwała się jeszcze, bo z rozpoczęciem tańców oczekiwano na panią Karliczową, która jeszcze nie przybyła.

Nareszcie pod oknami zaturkotały koła karety, jedynej karety, jaka dnia tego, mimo licznych zebrania, zajężdżała przed ganek adampolski, i po pokojach rozszedł się głuchy szmer podawanych z ust do ust wyrazów: »pani Karliczowa przyjechała!«

Jako jedynej bogatej obywatelki i światowej kobiety, jaka miała się znaleźć w obecnym zebraniu, przybycie jej było uważane prawie ogólnie za największy honor dla domu i najwspanialszy splendor zabawy.

Aleksander ruszył się ze swego stanowiska, lubo, jak się zdawało, niechętnie, i spotkał świetną panią u drzwi sali.

Ubrana była bogato, w czarny aksamit i koronki, suknia jej wlokła się za nią wspaniale i szeleściła miękkim dotknięciem aksamitu do posadzki, czarne włosy ustroiła koralami, a czoło przysłoniła drobnymi loczkami, niby mgłą ruchomych chmurek lub wężyków. Za nią postępowaly dwie pyszne też ustrojone młode panny, bawiące nieustannie przy niej dla towarzysztwa.

Światowa pani, powitana naprzód głuchym szmerem, poprzedzającym jej kroki, a potem ogólnem milczeniem, wyrażającym ciekawość i admirację, stanęła na progu sali, ognistemi swemi oczyma szybko obrzuciła całe zebranie, a szyderski, bardzo prędko powściągnięty uśmieszek przebiegł jej ponsowe i kształtne, ale kapryśnie zagięte usta.

Aleksander podawał jej rękę na powitanie i z pełnym galanteryi ukłonem wymawiał późne przybycie.

Pani Karliczowa zaśmiała się głośno i odpowiedziała pół żartem, pół seryo:

— »Vous savez, monsieur Oleś, que les grands seigneurs sont toujours tardifs«. Rozumiesz pan to przysłowie, nie prawdaż? bom ci je kiedyś tłómaczyła.

— Wszystko, co wychodzi z ust pani, pozostaje na wieki wyrzeźbione w mojej pamięci! — wyrzekł półgłosem młodzieniec, prowadząc panią Karliczową do krzesła, ale wzrok jego co chwila biegał ku Wincuni i spotykał się z jej wzrokiem.

Piękna wdowa zabrała miejsce między żonami dzierżawców i drobnymi właścicielami, które przypatrywały się jej z ciekawością, złączoną ze zmieszaniem.

Zabrzmiała muzyka i tańce zaczęły się od poloneza, który trwał krótko, a po nim rozbrzmiał po całym domu huczny, dziarski i zamaszysty mazur.

Kilkanaście par utworzyło wielkie koło, które, kilka razy obiegwszy salę, rozprzegło się i rozwiało, a z pomiędzy niego wyskoczyła jedna tylko, piękna i dobrana para i pomknęła po sali wśród zwróconej na nią uwagi ogólnej.

Aleksander rozpoczął mazura z Wincunią, ku wielkiemu zdziwieniu towarzystwa, spodziewającego się ujrzeć w pierwszej parze największy splendor zabawy, panią Karliczową, ku wielkiemu też zdziwieniu samej tancerki, która przez to ujrzała siebie wystawioną na powszechną uwagę, obdarzoną pierwszeń-

stwem przed tylu innymi kobietami, pasowaną niejako na królowę balu.

A ślicznież im tak było obojgu, lejącym niby w powietrzu, wśród rześkiego światła, z twarzami zwróconemi ku sobie i oblaniem rumieńcem!

Przezroczysta suknia dziewczeczki unosiła się na niej, jak śnieżysta chmurka, wianek z drobnych róż drżał na warkocz, oczy spuszczały się ku ziemi, a z za wiśniowych ust ukazywały się białe ząbki, niby rodzone siostry pereł, które drgały na szyi.

Aleksander był młody, zgrabny, pełen życia, pięknie więc tańczył mazura; Wincunia była także młoda, zgrabna, pełna życia, pięknie więc też tańczyła.

W tej samej chwili, gdy piękna i pięknie tańcząca para pomknęła na salę, we drzwiach stanął Bolesław, wywołany z dalszych pokoiów mazurową nutą, a może nawet chęcią ujrzenia Wincuni. Spojrzał na salę i ścigał wzrokiem snującą się po niej białą suknię dziewczyny.

Ta wesół tancerka, płynąca w potoku światła, to dziewczęce rozbawione, ręka w rękę biegnące w podskokach z obcym mężczyzną, byłaby to jego Wincunia, to ciche dziecię słomianej strzechy, z białego fartuszka karmiące gołębie, jak fijołek pędzące życie w ustroni?

Bolesław ścigał ją oczyma i twarz jego bladła. Zdało mu się, że to nie ona, że jego ukochane dziewczę rozwiało się i umknęło gdzieś daleko, a na jej miejscu zjawił się ktoś inny, z jej tylko twarzą i postacią.

On tak przywykł widzieć ją wśród ciszy domowej, latem między zielenią murawy i drzew, zimą przy blaskach kominkowego ognia lub bładem świetle lampy, że teraz, gdy ujrzał ją w gwarze, w podskokach, wśród spływających na nią spojrzeń mnóstwa, pod płonącym wzrokiem obcego mężczyzny, serce ścisnęło mu się niewytłómaczonym bólem, tęsknotą za tamtą, za inną Wincunią, za jego czystą, cichą, słodką narzeczoną.

Patrzył jeszcze, patrzył ciągle i zdawało mu się, że mglista zasłona, utkana z gwaru, muzyki, twarzy ludzkich i łez, spuszcza się między nim a tańczącą parą: pomiędzy kłębami tej mgły, która mu wzrok zasłaniała, szukał jeszcze Wincuni i nie mógł jej dojrzeć... widział tylko białą suknię, jasny warkocz, a na nim różowy wianek, ale jej samej... nie było...

Po chwili wydało mu się, że ta opona mglista wstępuje

w niego samego i czucie jego, myśli, całe życie jego rozdziela na dwie połowy: przeszłość i przyszłość...

Przez jedną sekundę miał objawienie, przeczucia zastukały do jego serca, widmo nieszczęścia zajrzało w oczy... poczuł taki ból, jakby ta opona, która miała rozdzielić życie jego na dwie połowy, zimną i ostrą sztabą żelaza wsuwała się w jego piersi.

Stał we drzwiach z pochylonem czołem i zamglonemi oczyma, i nagle ujrzał naprzeciw siebie Wincunię, stojącą obok Aleksandra.

Z drugiej strony młodzieńca stała czarnooka i wspaniała pani Karliczowa. Tańczono w mazurze figurę krakowską.

Po skończeniu figury Aleksander taktem mazurowym podbiegł do Bolesława z dwiema kobietami, i wyrzekł:

— Płomień i zefir!

Były to nazwania, wybrane wedle prawideł tańca przez dwie kobiety.

— Nie tańczę — odrzekł Bolesław.

— Pan nie tańczy! — zawołał Aleksander z ironicznym podziwieniem i politowaniem w głosie; zwrócił się do tuż obok stojącego mężczyzny:

— Płomień i zefir — powtórzył.

— Płomień — wyrzekł młody człowiek — a Aleksander, z ukłonem oddawszy mu rękę pani Karliczowej, puścił się w dalszy taniec z Wincunią.

Ona to więc wybrała sobie nazwę zefira.

Bolesław zamyślił się smutnie. Tak, w istocie, ona była przez lat tyle wiośnianym powiewem, który ochładzał jego zmordowane czoło, gdy, strudzony pracą, przychodził pod jej cichą strzechę; ona była mu tym łagodnym szelestem wiosennego ranka, zwiastującym pogodny wschód słońca, a po nim rozkoszne, pełne żaru i życia, południe.

A teraz ten powiew wiośniany, ten zefir słodki, ulatuje od niego i owiewa rozkosznie czoło innego mężczyzny, który ścisną dłoń jej w swej ręce i w oczach jej tonie spojrzeniem...

Po raz drugi, ale silniej i groźniej, przeczucie zastukało do jego serca i poznał ból nieopisany, tem silniejszy, że powodów jego dobrze nie rozumiał.

Zdawało mu się tylko, że widział, jasno widział, jak mglista opona roztaczała się między przeszłością jego i przyszłością coraz szerzej... coraz głębiej...

Wtem uczuł czyjaś rękę na swoim ramieniu, i usłyszał mówiący za sobą głos:

— Panie Topolski dobrodzieju! a co tam słyhać w gazetach? Pan je czytasz, to i mnie powiedz, bo ja za gospodarstwem o Bożym świecie nie wiem.

Obejrzał się i zobaczył rumianego i przysadzistego dziedzica sąsiedniej wioszczyny, który stał przed nim, gładząc dłonią potężną łysinę.

Opuścił salę tańca, rozmawiając z sąsiadem o polityce. Wkoło nich zebrało się po chwili kilku poważnych ludzi, popodeszło nawet parę niemłodych kobiet, zasiedli wszyscy w bawialnym pokoju i gawędzili długo przy odgłosach muzyki i gwaru, dochodzących z sali tańca.

Kiedy Bolesław, upatrzyszy chwilę stosowną do opuszczenia towarzystwa, które się około niego ugrupowało, stanął znowu na progu sali, wrzał w niej jeszcze w całej sile dwugodzinny mazur.

Wincunia stała na środku sali otoczona młodymi ludźmi, którzy wszyscy trzymali oczy utkwione w nią, jak w tęczę. Wspięła się na palce, z figlarnym uśmiechem spojrzała wkoło, podniosła rękę, a potrymawszy ją tak parę sekund, podrzuciła chusteczkę.

Zabrzmiał okrzyk kilkunastu głosów i cała młodzież rzuciła się ku szmatce białego batystu, ale Aleksander poskoczył najpierwej i najzgrabniej pochwycił chusteczkę, a gdy wszyscy rozstąpili się, z uśmiechem radości ujął podaną sobie rękę Wincuni i znów z nią pomknął po sali. Wkrótce jednak stanęli oboje pośrodku, trzymając się za ręce. Wincunia mu coś powiedziała, a on zawołał:

— Wszystkie pary!

Miało to oznaczać zbliżanie się mazura ku końcowi. W mgnieniu oka sformowało się wielkie koło.

— »Chaine des dames!« — zawołał donośnie Aleksander, który przez cały czas dyrygował mazurem.

Pomknęły różnobarwne suknie, i przez chwilę widać było tylko białe ramiona kobiet, wyciągające się ku coraz innemu mężczyźnie.

— »Contre-chaine!« — zabrzmiał znowu dźwięczny a donośny głos Aleksandra.

Ktoś pomylił się, zrobiło się komiczne zamieszanie, nikt już nie wiedział, gdzie ma iść i co robić, tancerze szukali swoich tancerek, tancerki tancerzy.

Wincunia zaśmiała się głośno z tej płataniny, która jej bynajmniej nie kłopotowała, bo Aleksander w mgnieniu oka odnalazł ją i był już przy niej, trzymając ją za rękę.

Śmiech dziewczyny, jak odgłos srebrnego dzwoneczka, wyróżnił się wśród gwaru innych śmiechów i przypłynął do ucha Bolesława wraz z głosem Aleksandra, który, z dziarskim hołupcem puszczając się w taniec, wołał na inne pary:

— Mazur!

Jak ona się bawi! — myślał Bolesław, gdy przed nim kilkanaście par szalało w podskokach i hołupcach — czemuż i ja nie jestem tak wesoły, jak ona? — I pierwszy raz poczuł głęboki rozdźwięk między jej duchem a swoim, pierwszy raz ujrzał się wobec niej za poważnym, i niewyraźny głos jakiś szepnął mu do ucha: »tyś człowiek, a ona dziecko!« — Ale dziecko ukochane, dziecko, na którym budowałem tak długo światy mojej przyszłości! — wykrzyknął w sobie z boleścią, i usłyszał głos Aleksandra, wołający:

— »Promenade!«

Podniósł głowę i spojrzał: wszystkie pary sunęły po sali poważnie, jedna za drugą, z szelestem sukien kobiecych i szmerem rozmów, prowadzonych półgłosem.

Wincunia szła zawieszona na ramieniu Aleksandra, suknia jej musnęła Bolesława w przechodzie, ale jej twarz zwrócona była ku młodzieńcowi, który ją prowadził, mówił do niej z cicha i patrzył w jej oczy tak głęboko... tak płomieniście...

— Na kolana! każdy z panów przed swoją damą! — zadyrygował po raz ostatni Aleksander; wszystkie pary stanęły, i wszyscy mężczyźni zgięli kolana.

A naprzeciw drzwi, w których stał Bolesław, Aleksander przykląkł przed Wincunią; usta jego długim pocałunkiem przylgnęły do jej ręki, a ze spuszczonej na jego schyloną głowę oczu dziewczyny trysnęły dwie błyskawice i zniknęły wnet za wilgotną mgłą wzruszenia.

Wszystka krew Bolesława zawrzała na ten widok, twarz jego zapłakała rumieńcem, potem zbladła bardzo. Uczynił taki ruch, jakby chciał poskoczyć ku narzeczonej, ale powstrzymał się i oparł plecami o ścianę, jakby trudno mu było ustać o własnej sile. W tej chwili coś go zlekka trąciło.

Obejrzał się i zobaczył lokaja, roznoszącego na tacy limonadę. Pochwycił szklanke z zimnym napojem, wychylił ją do dna i, przebiegłszy parę pokoi, znalazł się w pustej prawie sali jadalnej, w której właśnie nakrywano do wieczery.

Po kilku minutach samotność i chłodniejsza temperatura pokoju ochłodziły nieco wewnętrzne wzburzenie, jakiego doświadczał, uśmiechnął się nawet i spytał siebie: jaką doń miał przyczynę?

Już też Wincunia, raz przyjechawszy na zabawę, musiała tańczyć; a cóż było dziwnego w tem, że siedemnastoletnie dziewczę ochotnie oddało się tańcowi i z przyjemnością tańczyło z najzręczniejszym młodzieńcem, jaki był w zebraniu.

Bolesław zawstydził się własnych uczuć.

— Miałbym być zazdrosnym i podejrzeniami męczyć ją i siebie? — pomyślał.

— Nie, byłoby to niezgodne z wielką i poważną miłością moją dla niej, z wiarą w jej przywiązanie do mnie, ze spokojem, jaki każdy człowiek myślący powinien zachowywać w uczuciach i postępkach swoich!

Tak rozmyślał i coraz spokojniejszym się stawał, a jednak czuł, że nie było mu dobrze. Natura jego, głęboka i marząca, nie mogła pogodzić się z takim hulaszczym, rozgłosnym tłumem, w jakim znajdował się obecnie. Nie lubiła ona wprowadzić zapaść się w samolubnym spokoju i otaczać zupełną samotnością, oddzielającą człowieka od reszty świata.

Przeciwnie, Bolesław czuł się związanym z ludźmi wielką miłością, którą miał dla kraju i ludzkości, radby więc był zapewne gwarowi i tłumom, ale jakim? Z dumą i radością stanąłby on może w kole, radzącem o sprawach ogólnych, i podniósłby śmiały głos w obronie tego, co za dobro lub prawdę uważał.

Możeby nawet nie raził go dźwięk broni i huk kopyt konskich; ale tańce, szmer słów, pustych jak bańki, a lekkich jak motyle, ale cały ten chaos rozmarzenia, próżności, miłostek i obmów nie był dla niego.

On od dzieciństwa skapał się w głębokiej ciszy pól, owiał go i nawskroś przenikał uroczysty szmer gaju, który w długie zimowe noce szumiał nad jego słomianą strzechą i jęczał po załomach domu; surowa i mozolna praca zahartowała mu serce, a myśli szerokie i miłość szeroka, jakimi okrywał piękny świat Boży i drogi kraj rodzinny, wlały w jego ducha powagę i tę spokojną tęsknicę, co dziwnym wyrazem przeglądała w jego spojrzeniu.

Wszelkie radości jego życia były tak głębokie, jak dno morza, i tak ciche, jak ono.

Wznosiły się one w jego duchu kryształowymi pałacami

marzeń, płonęły purpurą koralu, ale nie lubiły wychodzić na jaw i nie umiały wybuchać rozhukanemi falami głośnego wesela.

Żle więc mu było i duszno na adampolskiej zabawie, a niewyraźne przecucia kołatały mu wciąż do serca. Daremnie je odpędzał; przed wzrokiem jego, jak zakłeta, stała wciąż Wincunia z błyskawicami w oczach, z ręką miłośnie opuszczoną ku młodzieńcowi, który ją namiętnie do ust przyciskał.

Po skończonym mazurze muzyka milczała kilka minut, a po domu rozlewał się tylko to stłumiony, to głośniejszy wybuchający szmer rozmawiających głosów. Szmer ten dochodził do uszu Bolesława, niby szum kilku wodospadów, to łagodnie spływających na miękką murawę, to z hukiem rozbijających się o skały.

Strojenie instrumentów przeszywało ten odgłos ostrymi dźwiękami, jakby żałośliwie odzywającym się niekiedy jękiem wśród wesela.

Nagle po całym domu rozbrzmiał wpół wesoły, wpół tęskny, szybki, szalony walc. Dźwięk klarnetu panował nad innymi instrumentami, donośny a smętny, przeciągał tęskne nuty i zdawał się śpiewać o miłości, jej rozkoszach, szatach jej i cierpieniach.

Dziwnie to namiętny taniec ten walc! Trudno pojąć, jak zimna Germania mogła być ojczyzną jego. Wsłuchaj się dobrze w jego tony, a usłyszysz w nich całą historię ziemskich, ale tylko ziemskich rozkoszy.

Innego śpiewu w nim nie szukaj. Walc — to przeciwstawienie mazura. W ostatnim tkwi uczucie hulaszczce, szerokie, ale tak otwarte, jak pól rozłogi... tak naiwne, jak serce dziewicze, tak tęskne, jak dusza śniąca wciąż o utraconym raj...

W walcu szaleje bezzamiętny, ale ciasny popęd zmysłów, namiętność cielesna z dziką swoją harmonią; w mazurze — młoda para, z podniesionemi czołami, dłoń w dłoni lecąca powietrznym krokiem, zda się tuż, tuż, uleci z nad ziemi w niebiosy: w walcu dwoje ludzi, spojonych ścisłym objęciem, z głowami pochylonemi ku sobie, kręcących się w szalonym wirze, zda się, że za mgnienie oka ze zmęczenia padnie na ziemię... w pył ziemski.

Mazur idealizuje kobietę, czyniąc z niej napowietrznego anioła, muskającego ludzi w przelocie przezroczą szatą, niby miękkim skrzydłem, rozpościerającego ramiona, niby anielskie skrzydła do lotu.

Walc uziemszcza najczystsza, przerzuca ją z objęć w objęcia ludzi różnych, nieznanych, rzuca w jej pierś tony namiętne, jak ziarna burz, które z nich zrodzić się mają.

Bolesław, przechadzając się po osamotnionej sali jadalnej, słuchał dolatujących doń rozgłosnie taktów walcowych. Jakkolwiek wysilał się na spokój i wzywał na pomoc trzeźwą rozważę, przykre, dotkliwie wrażenie ogarniało go coraz bardziej. Stał się i rzekł do siebie:

— Co to jest? czuję, że tracę samego siebie i nie wiem, co się ze mną dzieje! Jakies przecucia stukają do serca, jakieś mary płaczą się po głowie, jakbym leżał w gorączce. To źle; poddawać się stanowi takiemu nie należy; ucieknę z tego gwaru, a odzyskam wnet spokój!

W kwadrans potem bryczka odjeżdżającego Bolesława turkotała na dziedzińcu adampolskim, a w tej samej chwili Wincunia, wsparta na ramieniu Aleksandra, rozmarzona, obiegała z nim salę w szybkim walcu.

Młodzieniec drżącym ramieniem silnie obejmował jej kibić i z upojeniem w twarz jej patrzył, ona spuściła zrumienione czoło, a wkoło nich szeptało:

— Piękna para! dobrana para! jakby dla siebie stworzeni!

W istocie było to połączenie młodości z młodością, wesela z weselem, marzenia z marzeniem. A wśród tańca na sali balowej łącznia taka zawsze czarowną, zachwycającą bywa.

Czy w życiu codziennem, ta młodość, to wesele i to marzenie wystarczą za wszystko inne i zastąpią to, czego, mimo nich, w głowach i sercach ludzkich brakuje?

Na pytanie to odpowiadają istnienia, w których młodość zbyt prędko mija, wesele w łzach tonie, a marzenia ulatują bez śladu, zostawiając za sobą twardą, nieubłaganą rzeczywistość.

Niestety, arena, wśród której roztacza się życie człowieka, to nie sala balowa; nie ten w niej odniesie zwycięstwo, kto najzgrabniej tańczy, ale ten, kto, najmężniejszy, zdoła pochwycić za barki potwory przeciwności, które mu w oczy zajrzą.

Drogi życia to nie woskowane do tańca posadzki; nie ten po nich zajdzie najdalej, kto z wdziękiem stapać umie, ale ten, czyj krok śmiały i kto wie, dokąd dąży. Lecz któż o tem wszystkim myśli wśród wiru walca?

Ani Aleksander, ani Wincunia nie myśleli o tem; byli mło-

dzi, weseli, rozmarzeni i po walcu usiedli obok siebie, upojeni tańcem i sobą.

Aleksander spojrział w twarz dziewczyny i rzekł zeicha:

— O, jakże byłbym szczęśliwy, gdyby mi wolno było mówić do pani zawsze, jak pan Topolski mówił, żegnając panią przed chwilą: do jutra!

Wincunia machinalnie podniosła rękę do silnie bijącego serca, ale wysiliła się na żart i uśmiech.

— Cóż panu przeszkadza — rzekła żartobliwie — przyjechać jutro do Niemenki? W takim razie mógłbyś pan dziś powiedzieć: do jutra!

— Pani żartujesz! — stłumionym głosem wyrzekł Aleksander i dodał po chwili milczenia: — Mój Boże! a ja panią kocham...

Wincunia siłła się ukryć wzruszenie, które nią całą wstrząsało.

Aleksander mówił dalej:

— Nie powinienem zapewne mówić pani o tem, bo wiem, żeś już zaręczoną... ale milczeć jest nad moje siły. Wyjadę stąd... ucieknę... zostanę żołnierzem i będę szukał śmierci na pierwszej wojnie... ale chcę, abyś pani wiedziała...

— Nie jedź pan, ja nie chcę tego, jabym tego nie przeżyła! — zawołała Wincunia prawie nieprzytomnie i łza zawisła na jej rzesach.

Aleksander zadrżał, widocznie z radości, i twarz jego zapalała.

— A więc... — rzekł i nie dokończył; muzyka zdwoiła zapal w tej chwili, brzmiała, szalała, huczała głębokimi tonami basetli, a dźwięki klarynetu tęskno a namiętnie unosiły się w powietrzu.

Aleksander zerwał się z krzesła i rzekł do Wincuni:

— Tańczmy!

— Prędeż! jak najprędeż! — krzyknął na muzykę, a walc tak szybko rozszał, że wszystkie pary, nie mogące wydołać przyspieszonemu tempu, rozprzęgły się i ustąpiły, a wśród nich wypłynęła jedna tylko i okoliła salę z takim pędem i taką lekkością, że zdawała się być unoszona jakąś czarodziejską mocą.

Czarem tym i tą mocą, która ją unosiła, było namiętne upojenie.

— Jak oni mogą tak prędko tańczyć? — z podziwieniem wołano z kilku stron.

— Prześlicznie tańczą!

— Oto para, jakby para!

Pani Karliczowa lornetowała tańczących, a na twarzy jej malował się wyraz kapryśnego niezadowolenia.

Wincunia i Aleksander usiedli znowu obok siebie, odurzeni zawrotem głowy. Młodzieniec pochylił się nad dziewczyną i szeptał jej prawie do ucha:

— Panno Wincento, jam wieśniak i nie poeta, długo i pięknie mówić nie umiem, powiem ci tylko jedno słowo: bez ciebie żyć mi nie sposób, albo będziesz moją, albo umrę...

W głosie jego dźwięczała prawda, był upojony, rozkochany, wierzył w to, co mówił.

— Czy pani sądzisz, że jestem rzeczywiście taki wesoły, jakim się być zdaje? Nie, pani! byłem takim niedawno jeszcze, to prawda, ale od czasu, gdy cię pokochałem, ciągnęła mnie dręczą tęsknota za tobą.

Jedyną pociechą moją bywa myśl, że cię mogę widywać choć rzadko, ale gdy... gdy zostaniesz pani żoną innego, wtedy... coż mi będzie po życiu? Nie zadam sobie zapewne śmierci z własnej ręki, bo żał mi rodziców, ale powiedziałem już pani... zostanę żołnierzem i zginę na pierwszej wojnie...

Na twarzy Wincuni była gra najrozmaitszych uczuć: szczęścia i boleści, zachwycenia i trwogi, dziewiczego wstydu i namiętnego rozmarzenia.

— Boże mój! — szepnęła, pochylając głowę, aby ukryć dwie łzy, które jej drgały na rzesach — Boże mój! coż mam uczynić?

Schylony nad nią Aleksander, posłyszał szept ten i rzekł z zapalem, pełnym gorącej prośby:

— Powiedz pani jedno słowo, to jedno czarowne słowo, które uniesie mię w niebo szczęścia i zachwyty, powiedz mi pani: będę twoją!

Wincunia zadrżała, spojrziała na młodzieńca, którego oczy ćmiły się łzą błagania, i wzniosła spojrzenie w górę, jakby szukała tam swego anioła stróża i błagała go o natchnienie. Po chwili spuściła głowę i rzekła cichutko:

— Pani! ja mam narzeczonego!

— Narzeczonego! — zawołał Aleksander z goryczą. — Coż stąd? dlaczegoż ten właśnie człowiek ma być szczęśliwym? Alboż on więcej kocha panią ode mnie? O, nie! przysięgam pani, że to niepodobna! On, taki zimny, poważny, cały zatopiony w prozie życia...

Wincunia energicznie podniosła głowę.

— O, alem ja jemu tyle winna! on taki zacny, szlachetny, taki dobry!

Mówiła to z uczuciem i oczy jej znowu zasłzy łzami.

— Cóżem ja winien, że nie znam pani od tak dawna, jak on? — z żalem rzekł Aleksander. — Cóżem winien, że nie mogłem dotąd złożyć u stóp twych, pani, dowodów mojej miłości? Nie przeczę bynajmniej, że pan Topolski jest bardzo zacnym człowiekiem, ale cóż za zasługa z jego strony, że poświęcał się dla takiego, jak pani, anioła? Poświęcenie! to śmieszne doprawdy, że ludzie nazywają poświęceniem to, co jest najwyższem szczęściem!

Ja, pani, jestem bardzo młody, świat i życie uśmiechają się do mnie, a jednak składam u stóp twych całą przyszłość moją, i niema ofiary, którejbym dla ciebie nie poniósł. Dlaczegoż ktoś inny ma być szczęśliwym, a ja ofiarą? Jest-że to sprawiedliwym? Jest-że to słusznem? Nie, pani! snadź serce twe odrąca mię i zostaje mi tylko umrzeć...

Gdy mówił ostatnie słowa, spostrzegł, że na drugim końcu sali pani Karliczowa powstała ze swemi towarzyszkami i gotowała się do odjazdu.

— Muszę panią opuścić, aby pożegnać i odprowadzić do powozu panią Karliczową, która snadź chce odjeżdżać — rzekł Aleksander do Wincuni.

— Ciężkie są nieraz obowiązki gospodarza domu, nawet tylko syna gospodarza — dodał z uśmiechem i, powstawszy, patrzył na Wincunię, jakby żał mu było na krótki moment choćby z nią się rozstawać.

Nagle myśl jakaś błysnęła mu w oczach, wyciągnął rękę i zerwał białą różę, kwitnącą w wazonie nad samą prawie głową Wincuni. Podał kwiat zmieszanej i wzruszonej uprzednią z nim rozmową dziewczynie i rzekł:

— Weź pani tę różę i zawieź ją do Niemenki. Jutro powie mi ona za panią, tak albo nie...

Milczał przez chwilę, potem pochylił się niżej i dokończył cichym, gorącym szeptem:

— Jutro przyjadę do Niemenki; jeśli zobaczę tę różę we włosach pani, znaczyć to będzie, że mówisz mi pani: tak! a jeśli serce twoje powie: nie! rzuć biedny kwiat pod swoje stopy, a gdy zwiędnie, zdeптany przez ciebie, będziesz w nim miała mój obraz...

Rzekłszy to, odszedł, a Wincunia przypięła różę do piersi.

Pani Karliczowa, naciągając białą rękawiczkę i owijając się w koronkowe »entrée au bal«, mówiła do swej kompanionki:

— Il paraît que le jeune homme est amoureux fou de cette petite fille.

— Est-ce que ça vous dérange? — spytała kompanionka, rzucając skrycie złośliwe spojrzenie na swą pryncypalkę.

— Quelle idée! — zawołała czarnooka pani i zaśmiała się kapryśnym nerwowym śmiechem.

— Pani chce już odjeżdżać?! — ozwał się za nią głos Aleksandra, w który chciał on wlać ton wyrzutu.

Ale nie udało mu się to: głos jego był zimny i ton ściśle tylko grzeczny.

— Mam migrenę i odjeżdżam — odparła pani Karliczowa, nie patrząc na niego, i odeszła.

Aleksander poszedł za nią, ale w milczeniu, ze schyloną głową, myślą widocznie będąc gdzieindziej.

Wincunia posmutniała i dziwnie się zamyśliła; błada i zadumana usiadła przy ciotce, a zapraszającym ją do tańca odpowiedziała, że zmęczona jest bardzo, głowa ją boli i tańczyć więcej nie może. Co chwila wzrok jej spuszczał się na białą różę, przypiętą u piersi, i walka sprzecznych uczuć i myśli widoczną była na jej twarzy.

Zresztą zabawa szła bardzo ochoczo i wesoło. Sam nawet pan Jerzy, który tak rozpaczliwie opierał się był myśli wydania balu i tak gorzko żałował straconych nań pieniędzy i czasu, gdy zobaczył, że całe sąsiedztwo ochotnie i przyjacielsko zjechało się do jego domu, uczuł się wysoko zaszczyconym i uczczonym, wpadł w wyborny humor, a frasunek zniknął całkiem z jego oczu.

Kiedy dziarski mazur zawrzał na sali, we wszystkich pokojach zrobiło się huczno, ludno i wesoło, stary dzierżawca chodził od gościa do gościa, całował, ścisnął, poił, częstował, przysiadając się do kobiet i nawet pani Karliczowej, której serdecznie nie lubił, powiedział w rozechoceniu parę komplementów.

A gdy jeszcze przy końcu wieczery wszyscy mężczyźni powstali z miejsc z kielichami szampana w rękach, hurmem obścąpili jego ukochaną Anulkę i zawołali: »zdrowie solenizantki!«, pan Jerzy przypomniał sobie dzień swego wesela i ze łzami roz-

rzewnienia i radości w oczach wyściskał z kolei wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety pocałował w rękę.

Gdy wstawano od wieczerzy, wszystkie usta śmiały się, we wszystkich głowach szumiał szampan i węgryz, z sali tańca dochodził odgłos hucznych taktów mazurowych.

Pan Jerzy podniósł głowę, jedną ręką wsparł się pod bok i zawołał:

— No, panowie! teraz my starzy do mazura!

Posunął ku Wincuni i z pocziwym uśmiechem wyciągnął ku niej otwartą i ogorzałą rękę.

Na tę oznakę widocznej życzliwości i pierwszeństwa, jakie oddawał jej ojciec Aleksandra, dziewczyna rozjaśniła uśmiechem posmutniałe lice, położyła drobną rękę na grubej dłoni dzierżawcy i pan Jerzy, tupiąc, podskakując i zdobywając się na ciężkie hołupce, wpadł z nią do sali tańca.

Za nimi ruszyło się parami wszystko, co żyło. Dzierżawcy, właściciele, komisarze, urzędnicy, żony ich, siostry, córki i synowie, wszystko to razem puściło się w tany.

Zrobił się gwar, tłok, huk nie do opisania. Podpojeni w czasie wieczerzy muzycanci rznęli z całej mocy po strunach, basetla w zdwojonej gorliwości huczała, gdzie potrzeba i gdzie nie potrzeba, klarynet, tak pięknie popisujący się dotąd, zaczął zlekka fałszować, ale, nic sobie z tego nie robiąc, krzyczał co siły stało, chłopiec kredensowy porwał wielki kociel blaszany i, stanawszy za muzyką, począł z całej mocy uderzać po nim w takt pałką.

Z janczarskimi odgłosami zaimprovizowanego bębna mieszało się tupanie nóg, śmiechy starych głosów, chichot niewiast, hołupce i ochoce wykrzyki młodzieży. Starzy w płasach prowadzili młodzieżne dziewczęta, młodzieńcy wiedli matrony w czepcach ze zwiedłemi, ale w tej chwili rozpromienionemi twarzami.

Hulaj dusza! serdeczny taniec objął wszystkich bez wyjątku swoim hulaszczco-tęsknem technieniem i nie było już tam ani starości, ani troski, ani serc zmęczonych, ani serc złamanych, było tylko wesele porywające, pełne śmiechu i łez rozrzewnienia.

Pomiędzy tłumem hulaszczym przecisnęli się lokaje, niosąc po tanach kielichy z węgryzmem. Pan Jerzy podniósł kielich do góry i krzyknął:

— Panowie, kochajmy się!

Wszyscy rzucili się ku sobie, dźwięknęły kielichy, za-

brzmiały pocałunki, wszystkie ramiona otwierały się, wszystkie twarze, zbliżone do siebie, pół śmiały się, pół płakały, lica dziewczewi kwitły rumieńcami, jak róże ponsowe, a młodzieńcy zbliżali się do swych bohdanek i szeptali im do ucha ciche, gorące:

— Kochajmy się!

Aleksander podszedł do Wincuni i, uderzając kieliszkiem o jej kieliszek, rzekł z głębokim wyrazem:

— Pamiętaj pani o mojej biednej róży!

Słońce wschodziło, a w domu adampolskim tańczono jeszcze przy zamkniętych okiennicach.

X.

Rozmyślania Wincuni.

Nazajutrz po zabawie adampolskiej światło poranku, tak dobroczynnie wpływające na ludzi, którzy głęboko żyli się z naturą, uspokoiło wzburzony nocnymi wrażeniami umysł Bolesława.

Lajał on siebie nawet wewnątrz za wczorajsze swe niepokoje, a piękny świat Boży uśmiechnął się doń po dawnemu, wołając do pracy, miłości i nadziei.

Bledszy trochę, niż zwykle, i ze śladami zmęczenia moralnego na twarzy, ale spokojny, a nawet wesoły, pojechał do Niemenki. W drodze mówił do siebie:

— Nocne to były mary i widziadła wyobraźni. Odurzył mnie ten gwar, do którego nie przywykłem, rozdrażniło ujrzenie Wincuni w innej postaci, niż ją dotąd widywać zwykłem. Nadzedł dzień i wszystko jest po dawnemu!

Znalazł panią Niemeńską już przy gospodarstwie i dowiedział się od niej, że Wincunia bawiła się wybornie, wróciła zdrowa i teraz śpi jeszcze spokojnie.

— Niechże sobie śpi jak najdłużej — rzekł Bolesław — potrzebne to po zmęczeniu. Powiedz jej pani, gdy się obudzi, że byłem tu, przesyłam jej «dzień dobry» i bardzo rad jestem, że się dobrze bawiła. Odjeżdżam natychmiast i dziś nie będę już w Niemencie, bo wprost stąd jadę do K. na jarmark. Słyszałem,

że przywieziono tam w tym roku nasiona sandomierskiej pszenicy, a chcę spróbować, jak się też ona uda na naszej glebie. Zresztą mam jeszcze inne gospodarskie potrzeby, a że drugiego jarmarku nie będzie już w naszych stronach w tym roku, nie odkładam więc i dziś jadę. Wrócę późno, a panie po bezsennej nocy pewnie wcześniej spać się położycie. Zobaczymy się aż jutro...

Rzekłszy to, pocałował rękę pani Niemeńskiej z synowską czułością, raz jeszcze poprosił ją, aby oddała od niego »dzień dobry« Wincuni, gdy się obudzi, i odjechał.

Odjechał, minął dworek niemenkowski i obejrzał się: okno pokoju Wincuni różowało między zielenią, oświetlone ukośnie padającym promieniem słońca; Bolesław patrzył na nie, a niewyraźny jakiś głos przeczucia wołał mu w sercu:

— Wróć! wróć!

Otworzył usta jakby do wydania rozkazu furmanowi, ale powstrzymał się, uśmiechnął, wzruszył ramionami i rzekł do siebie:

— Prawdziwie zaczynam głowę tracić!

Minął gaj i znowu obejrzał się. Już nie widział dworku, tylko popielaty, ozłocony słońcem dym kominów niemenkowskich wypływał ponad drzewa gaju, pochylany łagodnym wiatrem.

— Wróć! wróć! strzeż swego skarbu! — coraz głośniej wołało przeczucie w sercu Bolesława i wydało mu się, jakby niebezpieczeństwo jakieś groziło jego narzeczonej.

— Stój! — zawołał Bolesław na furmana, ale po chwili uśmiechnął się znowu i dodał:

— Jedź dalej, a prędzej!

Bryczka potoczyła się, Bolesław odjechał, śmiał się w duchu z siebie, ze swych obaw i przeczuć, zwał siebie marzycielem; a jednak ciężar jakiś zalegał mu na piersi i był smutny.

W Niemence, po spóźnionym dnia tego obiedzie, cisza zupełna panowała we dworku, bo była to niedziela, nie odbywały się żadne gospodarskie roboty. Pani Niemeńska odmawiała pacierze w ogrodzie.

Wincunia siedziała w swoim pokoiku przy otwartym oknie, wychodzącym na dziedziniec.

Żadnej żywej istoty nie było wkoło domu, żaden listek nie ruszał się na drzewie; ludzie spoczywali po tygodniowej pracy, natura, ochłoniwszy z dziennego upału, zaczęła drzemać

w przedchwili nocnego snu. Za gęstwiną gaju słońce zstępowało za krwiste obłoki i kilka czerwonych promieni ślizgało się po murawie podwórza.

Wincunia oparła skroń na dłoni i... nie myślała o niczem. Chaos, zamęt, wir, dziwne dziwy i marzenia plątały się po jej głowie, a rozwikłać ich nie mogła; w uszach jej brzmiały oddalone akordy wczorajszej muzyki, klarynet śpiewał tęsknego walca, przed oczyma stawała wciąż twarz młodzieńca, niby nimbem otoczona złocistymi włosami, z oczyma błękitnymi, jak niebo w południe, a wpatrzonemi w nią tak ogniście... tak marząco.

Wincunia przymknęła oczy, aby tej twarzy nie widzieć, ale wdarła się ona pod jej powieki, klarynet ozwał się tęskniej, wyraźniej posłyszala głuchy szmer balowy i uczuła na ręce swojej dłoń młodzieńca, porywając ją w bezpamiętny, rozkoszny wir tańca.

Otworzyła oczy i westchnęła.

W tej chwili zdało się jej, że coś ją miękko muska po włosach. Spojrzała i zobaczyła jednego ze swych ulubionych gołębi, który, bijąc skrzydłami, usiadł na krawędzi okna tuż przy jej ręce...

Ujęła ptaszka w obie dłonie, gładziła jego białe pióra i lzy puściły się z jej oczu.

Pomyślała o tem, jak była daleko już od owej pory, w której te słodkie, niewinne ptaki starczyły jej za zabawę w wolnych chwilach, były celem jej pieśczęt i starań!

Gdzież się podział spokój jej serca? gdzie dziecięca pogoda i przezroczystość myśli? Dlaczego teraz siedzi tęskna, rozmarzona, smutna, w piersi czuje bolesną burzę, a w głowie ma zawrót, co chwila tryskający łzami?

Dlatego nie idzie na murawę dziedzińca karmić gołębie swoje, nucić piosenki wesołe i w ogrodzie przypatrywać się z rozkoszą, jak pod wieczór otwierają się zmęczone dziennym skwarem kielichy kwiatów i piją krople brylantowej rosy?

Dlatego głowa jej, tęsknych i nieokreślonych dum pełna, cięży i boli, dłonie palają, a w piersi tak boleśnie, tak pełno jakoś, że zda się serce wnet pęknie i popłynie zeń fala łez i płomieni? Cóż się z nią stało?

Jaka moc dziwna spletała spokojny wątek jej życia? Czy przeszłość była snem tylko?

Co się z nią działo, co dzieje, co dziać się będzie w tej

przyszłości, która tak widną była niedawno, a teraz oblokła się przed nią mgłą zagadek i tajemnic?

Wypuściła z rąk gołąbka, który wesoło frunął w powietrze, a sama oparła znowu skroń na dłoni i myślała.

W myślach jej stawało się coraz widniej i wyraźniej, splątane ich pasma rozwijały się stopniowo, aż z pośród nich wysnuła się i błysnęła promienna niteczka światłości. Wincunia na nic tę opuściła swego ducha, a ona powiodła go w przeszłość!

Ujrzała siebie dzieckiem, biednym dzieckiem, osieroconem po ojcu i matce, biegającym samopas po polach i łąkach bez innej opieki, jak dobrej wprowadzie, ale starej, stroskanej, niedolnej kobiety.

Stara strzecha ojcowskiego jej domu otwierała się i potoki wód niebieskich, wnikając przez nią, oblewały walące się ściany. Na podwórku cicho było i odludnie: ludzie nie pracowali na niem, bydełko nie ryczało; w ogrodzie usychały owocowe drzewa, stercząc nagiemi gałęziami, niby zbliżające się widma szarej, nagiej nędzy. Pustka i ruina rozkładały się wkoło coraz szerzej, a codzień rano i wieczór stroskana ciotka mówiła do niej: »Dziecko, złóż ręce do paciorka i błagaj Boga, aby cię od nędzy, która się zbliża, uchronił«. Pomiędzy tą ruiną i temi groźbami złej przyszłości ukazała się postać Bolesława, z uczciwie a poprostu wyciągniętą dłonią męskiej pomocy i opieki...

Tu pomknęła dalej nić, wiodąca ducha Wincuni, i przed oczyma jej inny stanął obraz.

Niemenka wesoła, zamożna, nowy domek błyszczy jasnemi oknami i złocistą strzechą, na dziedzińcu pracują ludzie ochotni, w oborze ryczy bydło, w stajni rżą dzielne koniki.

W ogrodzie zielono, kwiecisto, owoce ciężarem swym pochylają gałęzie drzew, pola uprawne złocą się bujną pszenicą, bławatki kwitną w gęstym życiu, żniwiarze żną i śpiewają, a bocian wtóruje im klekotem, stojąc na dachu napełnionej stodoły.

Pomiędzy tem wszystkiem, na koniu, z ogorzałą pogodną twarzą, z wesołem i uprzejmem słowem, przesuwają się postacie Bolesława, a codzień rano i wieczór ciotka mówi do sieroty, której mienie uratowane: »Wincuniu, złóż ręce do paciorka i módl się za niego, bo on mnie i ciebie uchroni od nędzy!«

Pomknęła znów dalej przewodnia nić ducha i Wincunia inny ujrzała obraz.

Oto długi wieczór jesienny, w pokoju pali się lampa i ogień

na kominku płonie i huczy. Wkoło ścian szumi wichler, stuka okiennicami i wstrząsa krzewami gaju, deszcz rzesistemi kroplami obija się o szyby okien. W pokoju cicho, ciotka z pończoszką w ręku siedzi u kominka, z drugiego końca domu dochodzą niekiedy rozmowy i chichoty dziewczuch, kądział przędących.

Przy lampie siedzi też sama spokojna, prosta, serdeczna postać Bolesława i przemawia do niej. Przemawiał ale jakim językiem? takim, jakiego ona nie słyszała dotąd nigdy: językiem wiedzy i światłości, który Bóg rozlał po ziemi ku zachwyceniu serc, wstępujących dopiero w życie, a ochłodzeniu i wsparciu tych, co już zmęczone ciężką wędrówką.

Ona dotąd umiała tylko pacierz, znała zakątki gaju i kępiny łąki rodzinnej, widziała tylko las, czerniejący u skraju widnokręgu, i w dziecięcej nieświadomości myślała, że tym czarnym pasem kończą się światy wszelkie.

Aż oto słowami Bolesława wywołane stanęły przed nią światy inne, dalsze, wielkie, i myśl jej ukłękła przed nimi w zdumieniu.

Objawił się jej naprzód Twórca wszystkiego, Bóg. Dotąd wyobrażała go sobie starcem siwobrodym, z gniewnem czołem i różdżką, karzącą niegrzeczne dzieci, w prawicy; lękała się Go. Objawiony słowami Bolesława ukazał się jej duchem niepojętym i nieskończonym, napełniającym sobą przestrzeń, wszechmądrym, wszechmocnym, wszechtworzącym a dobrym, kochającym, litościwym, jak najrzewniejsze miłosierdzie.

Wpatrzyła się w takiego Boga; zamiast groźby ujrzała w Nim przebaczenie, zamiast różdżki karzącej — berło sprawiedliwości; przestała się lękać, a zaczęła kochać Boga, modlić się goręcej i upatrywać Go w każdej gwiazdce na niebie i każdym kwiatku na ziemi.

Po Bogu odkryły się przed nią różne kraje i narody świata, zobaczyła ich przeszłość, ujrzała świetny szereg wielkich mężów, z sercami gorejącymi duchem ofiary, posłyszala wrzawy wojenne, jęki uciśnionych, wzdychania wyzwolenia pragnących. Łzami z pod serca zrosiła te widzenia swoje, a gdy lzy z oczu otarła, kochała ludzi.

Potem znowu i zawsze przez usta Bolesława zabrzmiały w jej uszach dźwięki cudnej rodzinnej poezji, brzmiące harmonią drogiej mowy ojczystej.

Myśli Mistrzów-Geniuszów porywały jej ducha pod gwiazdy, słuchała ich zachwycona, a gdy już wiele słyszała, kochała te

ojczyste pola, o których śpiewali poeci, to blade, rodzinne niebo, pod którym oni pieśni swe snuli, i miliony tych drogich, smutnych braci, których cierpienia brzmiały w ich czarodziejskich wyrazach.

Jeszcze raz pomknęła nić świetlana, a za nią pomknął duch Wincuni.

Zobaczyła siebie narzeczoną człowieka, który oddalił od niej podwójną nędzę głodu i ciemnoty. Kiedy pierwszy raz powiedział jej, że kocha ją, nie już jak ojciec lub brat, ale jak kochanek, serce jej nie uderzyło wprawdzie przyspieszonym tętnem, ale poczuła dziwną błogość, ufność, niezmierne przywiązanie do tego zacnego człowieka, który do niej wyciągał ramiona, miała chwilę objawienia: ukazała się jej przyszłość pogodna, spokojna, bez trosk i burz, spędzona przy boku tego, który tak dzielnie bronić, tak troskliwie strzedz, tak gorąco kochać ją umiał.

Powiedziała: tak! i była szczęśliwa spokojnym szczęściem przezroczystej duszy, którą nic nie wstrząsa, ale która ufna, świeża, pogodna, śmieje się do Bożego świata, na którym jej tak dobrze, i tuli się do szerokiej, zanej piersi czyjejs, w której przeczuwa wielką dla siebie miłość i wielką cnotę.

Lekka jak wietrzyk wiosenny, wesola jak skowronek, codziennie wybiegała przed dom z piosenką na ustach i witała narzeczonego serdecznem, wyuczonym od dzieciństwa pozdrowieniem.

Potem ręka w ręce szli razem przez pola, przez łąki, przez gaj; nad głową jej leciały i trzepotały skrzydłami gołąbki ulubione; ona szczebiotała radośnie, jak wylatująca z gniazda ptaszyna, a on rozmawiał z nią tak rozumnie, tak słodko, a kochał ją tak bardzo... tak bardzo!...

Tu stanęła niteczka, wiodąca ducha Wincuni, a obraz spokoju i czystej, spokojnej miłości migotał u jej końca przezroczystym blaskiem kryształu.

Wincunia uśmiechnęła się do niedawnej swej przeszłości, wyciągnęła ramiona i usta jej cichutko wyszeptaly imię Bolesława.

Ale nagle ognista błyskawica przeszła mózg jej i piersi, a przed oczyma stanęła smukła postać młodzieńca; twarz jego, okolona złocistymi kędziory, oczy, to zamglone marzeniem, to skrzępe blaskami...

— Któż on? — pytała siebie dziewczyna — kto on, ten

przybysz, który zmacił pogodę moich dni, a w serce wlał mi trwogi, walki i pragnienia, jakich pierwszej nie znałam?

Zamiast promiennej nici, która dotąd wiodła ducha Wincuni po krainie rozmyślania, zjawiała się nad nią chmurka ciemna, a na niej w mglistych, mętnych obrazach rysowała się historia znajomości jej z Aleksandrem.

Widываła go ona oddawna, każdej niedzieli, gdy przyjeżdżała modlić się do kościoła, ale wzrok jej nie zatrzymywał się nigdy na nim, zaledwie wiedziała, jak wygląda i jak się nazywa; piękny młodzieniec był dla niej obojętny, jak każdy nieznan, mimochodem spotykany niekiedy człowiek.

Aż dnia pewnego — było to o pierwszych brzaskach wiosennych — postępowała za ciotką, zmierzającą do furki cmentarza, myślą biegnąc już naprzód przed ołtarze, u stóp których wnet modlić się miała; gdy nagle książka modlitwy z rąk jej się wymknęła i upadła na zroszoną ziemię. Młodzieniec poskoczył, podjął ją i podał właścicielce.

Biorąc książkę z rąk jego, podniosła oczy i spotkała się z jego wzrokiem, po raz pierwszy ujrzała go zblizka i patrzyła na niego kilka sekund.

Wypadek to był zwyczajny, pospolity, ale w jej wnętrzu stało się coś niezwykłego: serce uderzyło śpieszniej, ręka zadrzęła, poczuła zmieszanie, nieokreśloną trwogę jakąś, odeszła śpiesznie; ale, choć się odwróciła, długo czuła na sobie ścigający ją wzrok młodzieńca...

Dnia tego po raz pierwszy, od czasu jak ją Bolesław nauczył znać i kochać Boga, źle się modliła; obca, nieznana i zaledwie dojrzana twarz młodzieńca stanęła między nią a ołtarzem, zasłoniła przed nią kapłana, wznoszącego ręce do nieba, i uniosła się w dymie kościelnych kadzideł.

Gdy opuszczała kościół, spojrzeniem szukała już twarzy tej, pragnąc i lękając się ją zobaczyć, i odtąd zawsze już, każdej niedzieli szukała jej wzrokiem i każdej niedzieli źle się modliła.

Spowiadała się Bogu z tego, co za grzech miała, pytała siebie i nie umiała odpowiedzieć, zaczęła marzyć, a marzenia jej niezrozumiałemi dla niej samej były. Czyliż kochała już wtedy nieznanego młodzieńca?

O! nie; nie była to miłość, był to niewyraźny mglisty instykt, jedna z tych tajemniczych mocy wewnętrznych, które ogarniają człowieka nagle, a potem wyzywają do walki najszlachetniejsze władze jego ducha.

Młodzieniec przyjechał do jej domu, serce jej napełniało się jakimiś dziwnymi żałami i tęsknotami. Straciło spokój, przestawała być wesołą; w głębi sumienia poczuwała się do jakiejś ciężkiej winy... ale jakaby вина ta była... nie rozumiała.

Walczyła z nieznanym widmem, które ją obejmowało, nie chciała widzieć młodzieńca, nie wyszła, aby powitać go, gdy przyjechał, nie pojechała do kościoła, ujrzała go jednak w domu swym raz drugi i trzeci. Nieznane uczucie wzmagало się w niej, rosło, miewała chwilami wir, zawrót w głowie, przestała całkiem być wesołą, zbladła, unikała narzeczonego.

Nareszcie przyszła owa noc tłumy, gwaru, tańca i dokoła reszty.

W wirze walca ramię jego objęło jej kibić, oczy zatoneły w oczach, a słowa, posilkując się tonami muzyki, oblały ją tchnieniem marzenia i namiętności... i oto teraz...

Cóż teraz?

Kocham — odpowiedziało serce.

Na tę odpowiedź swego serca dziewczyna zadrżała i pełnemi trwogą oczyma patrzyła przed siebie.

Kocham go? — myślała — a tamten... tamten... dobry, serdeczny, tamten przyjaciel mego dzieciństwa, który był mi ojcem, bratem, który pragnie być moim mężem? Czyliż dla niego w sercu mem niema miłości? Jestem-że potworem, istotą niewdzięczną, nieczułą, bezmyślną?

Położyła na sercu rękę i pytała...

O, nie! dla niej i tamten człowiek jest drogi, i tamtego ona kocha, ale jakże inaczej, niżeli pięknego młodzieńca o smukłej postaci i złocistych kędziorach! Przed jednym z tych ludzi gotowa uklęknąć ze czcią i wdzięcznością; wobec drugiego drży cała ze wzruszenia i rozkoszy!

Z jednym rozstać się trudno, żal, grzech: z drugim, ach! niepodobna... boleść, rozpacz...

Więc coż uczyni? którego wybierze?

Dłonią cisnęła serce i pytała... pytała...

W tej chwili zamyśloną dziewczynę otoczyły dziwne postacie, które wyroły się z głębin jej ducha i poczęły staczać z sobą walkę straszną, zaciętą... Walka ta rozdzierała jej pierś niewypowiedzianym bólem i zalewała bladą twarz wyrazem cierpienia.

Jedna z postaci tych, okryta białą powiewną szatą, lice miała łagodne i na miękkich złocistych włosach wieniec, spleciony z oliwnych gałązek. Była to dobroć.

Obok niej, trzymając ją za rękę, stało poważne sumienie, z obliczem surowym, ale promienistym, z ręką podniesioną ku niebu, niby przypomnieniem Boga, »w koronie Sędziego nad czołem«.

Na powiewną szatę dobroci i spokojne lica sumienia spływała luna ognista: płynęła ona od postaci cudownej piękności, ubranej w purpurę, trzymającej w ręku pęk różanego kwiecia, z wieńcem płomieni na kruczych, rozwianych w nieładzie włosach. Tą trzecią postacią była namiętność.

Nad temi trzema zjawiskami unosiły się jeszcze dwa chóry drobnych napowietrznych istot: były to roje wspomnień i marzeń. Wspomnienia krążyły nad głowami dobroci i sumienia, marzenia otaczały namiętności.

Wspomnienia były blade, owinięte mgłą, niewyraźne; marzenia śmiały się cichym, ale rozkosznym śmiechem, śpiewały jak słowiki i skowronki, co chwila kapały się w ognistym wieńcu namiętności, a wylatując z płomieni, każde z nich wynosiło z nich wonną różę albo gałązkę rozkwitłej pomarańczy.

Najpierwsza dobroć głos zabrała.

— Młoda dziewczyno! — wyrzekła — czyliż zechcesz zadać boleść człowiekowi, który dla ciebie tyle uczynił, który cię tak ukochał? Czyliż na to uczył cię on poznawać dobroć Boga, abyś sama własną dobroć wyrzuciła z serca?

— A tamten?! — krzyknęła namiętność — tamten, taki młody, pełen życia i uczuć, czyliż mniej cierpieć będzie, jeśli go odrzucisz?

— Ale tamten obcym ci jest, znasz go zaledwie, a temu przyrzekaś towarzyszyć do grobu i on na tem przyrzeczeniu oparł wszystkie nadzieje swego szlachetnego serca! — ozwało się poważnie sumienie.

— Ty wiesz, jak on cię kocha, słyszysz to w jego słowach, widzisz w czynach — szeptała dobroć — on będzie bardzo cierpiał, gdy go odrzucisz!

— O tak! ja tego nie uczynię! — zawołała Wincunia i odwróciła twarz od namiętności.

Ale namiętność wionęła ognistym wieńcem, a z płomieni wypłynęła przed oczy dziewczyny twarz Aleksandra.

-- Patrz, jaki on piękny! — wołała namiętność — jak on na ciebie patrzy! Czyliż nie widzisz w tem spojrzeniu gorącego serca, poetycznej, młodzieńczej duszy? Jakiem marzeniem i jakim ogniem tchną jego słowa... wzniosła i rozwinięta myśl dykto-

wać je musi! A te złociste kędziory! dotknij ich, to jedwab! Posłuchaj! mówi, że cię kocha, niebo w jego głosie...

Wincunia z zachwytem wpatrzyła się w twarz młodzieńca, w oczach jego dojrzała serce gorące, w słowach dosłyszała myśl wyniosłą i, składając ręce jak do modlitwy, drżącymi usty wyrzekła:

— Kocham!

Ale dobroć oliwną gałązką z wieńca wyjętą zamknęła usta dziewczyny.

— A tamtegoż nie kochasz? — spytała — rozstaniesz-że się z nim bez bólu i zostawisz-że go tęskniącym za tobą przez całe życie może?

Na głos dobroci z za mglistych chmur, jakimi były owiane, wyroily się wspomnienia... i otoczyły głowę Wincuni.

— Wspomnij! wspomnij! — wołały — jaki on zawsze był dla ciebie dobry, jak cię uczył, bronił od złych ludzi, pracował dla ciebie, a potem powtarzał ci tyle razy, że jesteś jego szczęściem, słońcem, radością!

Tu z nad głowy namiętności ruszył się rój marzeń i szalonym pędem uderzył we wspomnień chór.

— Rzuć okiem w przyszłość — śpiewały głosy słowicze — pomyśl, jak ci błogo, radośnie będzie przy boku młodzieńca, dla którego tak żywo uderzyło twoje serce! W niego to wcieliła się dobroć prawdziwa i gorąca miłość, ale w połączeniu z pięknoscią i młodzieńczym weselem!

Tamten, taki poważny, powie cię drogą spokojną wprowadzie... ale jednostajną... bez blasku, ni tęczy... ten po tęczowym moście wprowadzi cię w krainę promieni, gdzie życie upłynie ci szybko a rozkosznie, jak ta noc balowa...

— Wspomnij! wspomnij! — przerwały wspomnienia — alboż źle ci z nim było kiedy? alboż doświadczyłaś z nim choć jednej chwili znudzenia lub żalu za czem innym, niż to, coś u jego znajdowała boku?

Wspomnij te chwile, w których, razem wpatrując się w gwiazdzisty strop nieba, tonęliście w rozkosznym wielbieniu piękności natury, a on wzrok twój wiódł od gwiazdy do gwiazdy, ucząc cię ich imion, jak mian siostr twych rodzonych.

Wspomnij te długie godziny, w których przez usta jego dochodziły do twojego serca i wnikały w nie czarowne dźwięki ojczyściej poezji i te inne, w których rozkładał on przed tobą karty dziejów rodzinnych, abyś, nauczona przez niego wielbić bohaterstwo i odczuwać boleści braci, klękała duchem przed

wielką przeszłością i modliła się Bogu, aby przyszłość podobną jej była!

Czy te wysokie uciechy, jakich doświadczałaś wtedy z nim i przez niego, mogą porównać się z temi, jakie ci sprawił tamten wśród tej nocy tańca i płochej zabawy?

Spójrz wkoło siebie i wspomnij, kto stworzył dla ciebie ten śliczny, cichy świat, w którym dotąd, jak ptaszyna w swym gniazdku, żyłaś śpiewem, słońcem i poezją? Kto zbudował ten miły, cichy domek? on; kto ozdobił bluszczem i różami ściany twego pokoju? on także, bo wiedział, że kochasz kwiaty.

Kto zawiesił nad twem dziewczem łóżeckiem promienne oblicze Matki Boga?... on, bo pragnął, aby ona cię strzegła i aby z ust twoich rano i wieczór płynęła do niej czysta i podniosła modlitwa.

Spójrz na te pola, nad którymi teraz zachodzi słońce pogodne — on je żyznemi uczynił; spójrz w swoją duszę — on ją wywiódł z krain ciemności...

— O tak! to prawda! — szepnęła Wincunia i dwie łzy rozrzewnienia spłynęły z jej oczu.

Ale namiętność spuściła znowu przed wzrok jej skapaną w płomienistym wieńcu twarz młodzieńca i zawołała:

— Patrz!

Wincunia patrzyła długo, ogień osuszył łzy w jej oczach, poniosła dłonie do serca i rzekła cicho:

— Kocham!

— Nie prawda! — odpowiedziało sumienie — to, co czujesz, nie jest miłością, to tylko szal, obłęd, zgubny wir, który cię porwał i w którym utoniesz, jeśli nie rzucisz się w moje objęcia. Miłością prawdziwą jest tylko to uczucie głębokie, spokojne, ufne, które masz dla narzeczonego. Ocknij się, zrozumiej głos prawdy i posłuchaj sumienia!

— Posłuchaj nas — szepnęły wspomnienia — my tobie powiemy o jego wielkiej miłości dla ciebie, o twoim spokoju i szczęściu, jakie posiadałaś, póki serce twoje nie odbiegało od niego!

— Tak — mówiło sumienie — wtedy tylko byłaś prawdziwie szczęśliwą i prawdziwie czystą!

Dziś, spójrz, co się z tobą stało! Błada, zmęczona, rozmarzona i znękana, słuchasz walki naszych głosów i mocujesz się z sobą boleśnie.

Usłuchaj sumienia, a walka wnet się skończy; wróć do niego, a znowu spokój wstąpi w twoją duszę!

— O, wróć do niego! — powtórzyła dobroć. — Gdy wpleciesz we włosy ten biały kwiat, weźmiesz rozbrat z dobrocią i sumieniem; weź go i przystroj nim oblicze Matki Bożej, które tam z nad łóżka twego tak smutnie teraz spogląda na ciebie!

— Wspomnij! wspomnij! i ofiaruj różę czystej Maryi! — wołały wspomnienia.

— A razem z kwiatem tym ofiaruj Bogu uczucie, które tobą miota w tej chwili; gdy się go raz wyrzeczysz, zapomnisz o nim i będziesz szczęśliwa.

— Wspomnij! wspomnij! i ofiaruj różę czystej Maryi! — powtarzał chór mglistych aniołów przeszłości.

I rozstąpiwszy się, dobroć i sumienie ukazały Wincuni białą różę, pochyloną w wodzie.

Dziewczyna rzuciła się ku róży, a oczy jej utkwily w obrazie Matki Bożej, wiszącej nad łóżkiem.

— Wspomnij! wspomnij! i oddaj różę czystej Maryi! — śpiewał nad nią radosny chór.

Palce Wincuni dotykały już kwiatu, na czole jej jaśniał blask postanowienia; ale nagle namiętność pochwyliła wyciągnięte jej ręce i gwałtownie przycisnęła je do serca. I powstało wielkie zamieszanie między walczącymi władzami ducha Wincuni.

Marzenia rzuciły się na chóry wspomnień i głuzyły ich głosy swymi słowiczymi śpiewy; namiętność porwała za barki sumienie i, po długim szamotaniu się, rozproszyła je w mgłę bardzo daleką; dobroć walczyła dłużej, ale po chwili wionęła także w ognisty wieniec i zniknęła wśród płomieni. Wtedy marzenia rzuciły na rój wspomnień pęki kwiatów, które niosły w rękę, a mgliste anioły otrząsły z nich swoje szaty i, płacząc, odleciały za znikającym w oddali sumieniem.

Wincunia została sam na sam z namiętnością.

Wtedy purpurowa pani ujęła ją w ramiona, zbliżyła twarz swą do jej twarzy i przez usta jej wstępowała do piersi. Wsuwała się w nie, jak żmija ślizka i paląca, a coraz głębiej zapuszczając się we wnętrze dziewczyny, szeptała jej słowa pieszczoty i miłości.

Wkońcu Wincunia poczuła, jak płomienisty wieniec rozpaloną obręczą ścisnął jej serce, zadrżała i, jakby ze snu zbudzona, obejrzała się wkoło.

Cicho było i zmrok zapadał. Biała róża Aleksandra stała

przed nią i, dotykana wieczornym powiewem, przenikającym przez okno, poruszała listkami, niby błagając młodą dziewczynę, aby ją wplotła we włosy.

— Zmrok zapada — szepnęła Wincunia — a jego niema jeszcze! Może nie przyjedzie?

Na tę myśl trwoga ją ogarnęła i serce ścisnęło się bólem.

— Może go czem zraziłam do siebie? — myślała — może źle tańczyłam? może mu co niemilego powiedziałam?

Pod gankiem rozległ się turkot kół.

— Przyjechał! — zawołała dziewczyna, porwała się z miejsca i ręce przycisnęła do gwałtowną radością bijącego serca.

Ale zarazem spojrzała na różę i myśl przemknęła przez głowę, że to już chwila ostatnia, stanowcza... zaraz, natychmiast trzeba kwiat ten wpleść we włosy, albo odrzucić go i powiedzieć: nie!

I było jeszcze kilka sekund ostatniej walki... zakryła oczy dłońmi, nieruchoma, poblądła, drżąca...

Nagle w przyległym pokoju ozwał się głos Aleksandra, pytającego sługi, która go spotkała, gdzie są jej panie.

Na dźwięk tego świeżego młodzieńczego głosu Wincunia poskoczyła, porwała różę i ręce jej podniosły się ku warkoczom.

W mgnieniu oka była już przy drzwiach, otworzyła je i stanęła w progu.

Aleksander stał o kilka kroków od niej, obrzucił ją spojrzeniem, a przed oczyma jego błysnął wśród zmroku śnieżny kwiat nad czołem dziewczyny.

— Z różą! — zawołał i rzucił się ku niej. — Więc kochasz mię i będziesz moją! — dodał, ujmując jej ręce.

— Kocham i będę twoją! — szepnęła Wincunia, a młodzieniec klęczał przed nią i tysiącem pocałunków okrywał jej ręce.

XI.

Rozmyślania Aleksandra.

Aleksander wrócił z Niemenki upojony, szczęśliwy. Rodzice, pomimo wielkiego zmęczenia, czekali jego powrotu niecierpliwie i z ciekawością.

— I cóż? — spytał pan Jerzy, gdy Aleksander ze zdwojoną, jakby gorączkową czułością, całował go w rękę.

— Jestem przyjęty, papo! — odpowiedział młodzieniec z radością i pewną dumą w głosie.

Oboje Snopińscy radośnie klasnęli w ręce.

— A cóż na to ciotka? — spytał pan Jerzy.

— Z początku była bardzo zakłopotana, gdy ją pokornie a usilnie zaczął prosić o rękę synowicy, wspomniła o Topolskim, o jakiejś tam dla niego wdzięczności i nawet lzy miała w oczach. Ale Wincunia całowała jej rękę i mówiła: moja ciociu, inaczej być nie może, jam panu Aleksandrowi już przyrzekała! Wtedy uklękli oboje przed nią i pobłogosławiła.

— To chwała Bogu! — zawołał pan Jerzy — gracko spisałeś się, chłopcze, i choć mi żal trochę Topolskiego, jednak pewny jestem, że nic mu się bardzo złego nie stanie. Znadto jest on rozsądny, aby miał desperować po dziewczynie, a zresztą, jeśli ona jego nie kocha, to i niewielką miałby z niej pociechę, bo małżeństwo bez miłości i torby plew nie warte.

Podoba mi się szczerze ta twoja Wincunia; ładne to, dobre widać i potulne dziecko, a przytem posażek panna ma wcale niezły i musi cię bardzo kochać, kiedy dla ciebie takiemu porządnemu człowiekowi, jak Topolski, odmówiła. No, niech Pan Bóg błogosławi, niech Pan Bóg sekunduje.

Aleksander klęczał przed rodzicami i ścisnął ich kolana. Pani Snopińska pocałunkami i pieszczotliwymi słowy okrywała jedynaka, a pan Jerzy kręcił siwego wása, milczał parę minut, potem podniósł syna i rzekł, patrząc nań z powagą i przywiązaniem:

— Słuchaj, Olesiu! Matka cię całuje w tej ważnej chwili twego życia i płacze: nie dziwota to, bo u kobiet całe serce pokazuje się zawsze w łzach i pocałunkach. Ja zaś, mężczyzna i stary, zgrubiał w pracy, niezdatny jestem do niewieścich

pieszczot i kwileń, niemniej jednak kocham cię także. Bóg widzi, że kochałem cię może z nadto, gdyś był dzieckiem, a przez to i pobłądziłem w wychowaniu twojem. Ale co się stało, nie odstanie, i daremnieby teraz było rozwodzić przed tobą żale nad przeszłością. Niechże miłość moja dziś przynajmniej okaże się tobie w słowach ojcowskiej przestrogi i nauki...

Otarł nieznacznie łzę, która cisnęła mu się do oka i mówił dalej:

— Żenisz się i dobrze robisz; chciałem tego, bo sam ożeniłem się bardzo młodo z kobietą, którą szczerze miłowałem i do dziś dnia jeszcze miłuję, mimo lat podeszłych. Wiem, co to jest familia, jakie pocziwe uczucia wkłada ona do serca i jak wypędma z głowy niestatek i głupie nałogi. Ty, mój chłopcze, masz dobre serce, spryt niepomierny, pojęcie, jakim nie każdego Pan Bóg obdarzył, ręce zdadne do wszystkiego, do czego się szczerze wezmą. To są twoje zalety, których ci nikt odmówić nie może.

Ale zarazem jesteś wietrzny, bałamut, nie lubisz pracy, a lubisz hulanki, masz pańskie fumi i zachcianki, które biednego szlachcica do torby i kija żebraczego prowadzą. Otóż, dopóki byłeś przy nas, wolny, sam jeden, było to złe, ale mniejsze; teraz, gdy się ożenisz, będzie to złe kapitalne, jeśli, uchowaj Boże, nie przełamiesz go w sobie.

Bo uważasz, moje dziecko, ojciec rodziny to nie puste słowo, owszem, łączy się z niem pojęcie licznych obowiązków, wyrzeczeń się, prac, które człowiek ponosić musi wtedy, gdy już nietylko sam o własnych siłach żyje na świecie, ale, gdy i inni o jego siłach żyją. Jeżeli zrozumiesz i spełnisz te obowiązki, będziesz miał wielkie uciechy, ani słowa. Ale uciechy te nie będą takimi, jak te, które dotąd lubiłeś.

Nie znajdziesz ich i nie powinieneś ich szukać ani na sali u Szlomy, ani w domu tej wietrznicy, pani Karliczowej, ani w umizganiu się do panien i wiejskich dziewcząt.

Uciechy te, jeżeli na nie zasłużysz, znajdziesz przy boku dobrej i ładnej żony, którą sam sobie wybrałeś bez żadnego przymusu, na widok dzieci, które ci pewnie Pan Bóg obdarzy, w gospodarstwie, z którego ty i familia twoja chleb będziesz jedli, a nadewszystko w spokojności i zadowoleniu własnego sumienia, które mówić ci będzie, że żyjesz, jak uczciwemu człowiekowi żyć przystoi.

Takie tylko uciechy ja miałem w życiu swoim, mój chłopcze.

W bilard, ani w karty nie grałem, zbytecznego użycia truneków i hulankę wszelkich strzegłem się, jak ognia, odkąd pobrałem się z Anulką, do żadnej innej kobiety nie umizgałem się. To też przebyłem życie uczciwie, nie bez przeciwności, nie bez kłopotów, nie bez potu czoła — o tem wszystkiem jeden Bóg tylko wiedział — ale także nie bez dni szczęśliwych i wesołych, a bez grzechu krzywdy ludzkiej i zgryzoty sumienia.

Tak i ty zrób, Olesiu: porzuć pańskie fuchy i gusty, które dla niebogatego szlachcica wcale są niepotrzebne, porzuć hulankę z młodzieżą pustą, bałamuctwa, a zajmij się szczerze pracą, gospodarstwem, kochaj żonę całym sercem, siedź więcej w domu, niż za domem, i staraj się, aby na twoje sumienie nie upadła żadna łza kobiety, która przez miłość dla ciebie wyrzekła się człowieka ze wszech miar zacnego i, tak mało cię znając, powierzyła ci przyszłość.

Oto, moje dziecko, ojcowska przestroga, którą ci daję u wstępu twego do nowego życia.

Powiedziałem ją nie po salonowemu, nie uczenie, poprostu, ale serdecznie. Przyjm ją od ojca razem z błogosławieństwem, które niech zawsze, w złej i dobrej doli, ci towarzyszy...

Lzy zatamowały głos starego dzierżawcy; Aleksander, rozrzucony, znowu rzucił się do nóg jego.

— A teraz — rzekł po chwili pan Jerzy — muszę ci też powiedzieć, Olesiu, jaki fundusz możesz spodziewać się otrzymać ode mnie. Ludzie okrzyknęli mnie za bogacza i ty może podzielasz ich zdanie. Otóż mylicie się wszyscy. Bogactwo dzierżawcy zwykle jest tak małe, jak życie jego trudne i praca ciężka.

Trzymam w dzierżawie majątek spory, wypłaciłem hrabinię za niego za dwa lata z góry, mam porządne inwentarze, to wszyscy widząc, krzyczą: kapitalista! Tymczasem, moje dziecko, całego majątku posiadam 10.000 rubli i to z mozolną zebranych pracą.

Mógłbym być wprawdzie zebrać więcej, ale z krzywdą ludzką i złą sławą u ludzi; nie chciałem tego i posiadam tylko tyle, ile sumiennie zarobiłem.

Otóż, gdy ożenisz się, odkupię dla ciebie od pani Niemeńskiej połowę Niemenki, która do niej należy, dodam ci jeszcze tysiąc rubli gotówką na nowe gospodarstwo i to już będzie większa połowa całego mego funduszu.

Resztę zostawię u siebie, aby nam z Anulką starczyło do końca życia; może coś jeszcze dorobię w obrotach, a co zosta-

nie po naszej śmierci, rozumie się, ty weźmiesz także, boś nasz jednak. Tymczasem, licząc z posagiem żony, będziesz miał wcale niezły majątek.

Niemenka to ładny folwark, choć niewielki, i tak wybornie zagospodarowany, że, w stosunku do rozległości, dochód daje bajeczny prawie. Gdy więc będziesz miał statek, będziesz miał i dostatek i o to jestem spokojny.

Umilkł pan Jerzy, a na twarzy Aleksandra malował się zawód i zdziwienie. Wyrażnem było, że cyfry, które wyszły z ust ojca, strąciły go z obłoków; sądził dotąd, że rodzice posiadają przynajmniej trzy razy większy kapitał. Tak był jednak przejęty różnemi wrażeniami dnia tego, że na razie nie zatrzymał się długo na przykrych myślach, które w nim powstały, i w milczeniu ucałował rękę ojca.

— O dalszych szczegółach twojej żeniaczki pomówimy potem — rzekł pan Jerzy — a teraz idźmy spać, bo okrutnie zmęczony jestem wczorajszemi hecami i, czekając na ciebie z Anulką, drzemaliśmy już po trochu.

W kilka minut po tej rozmowie, Aleksander był już sam w swoim pokoju.

Jak bywa ze spienionymi potokami wody, spadającej z pod młyńskiego koła, tak było z jego myślami. Jak w tej wodzie, lecącej z pędem i hukiem, są perły czystych kropel, piany mętne, kamyki błyszczące, bryzgi błota, przeglądające się w falach, lilie wodne i szare płazy, podnoszące się z dna ruchomego, tak w myślach młodzieńca pieniało się, burzyło, kwieciło, błyskało, szumiało, a z ruchomego dna serca bryzgał muł brunatny i powstawały mętne poczwarki, utworzone ze złych naleciałości życia.

Z takiego zamętu przyplął do ust jego wyraz:

— Żenię się!

Wyrzekł to głośno i stanął przełknięty.

Dziwna rzecz! — tak długo o tem myślał, tak się o to gorączkowo starał, a teraz zdjęła go obawa.

W tej chwili odległe jakieś wspomnienie przyniosło mu do ucha echo komicznej, chórem śpiewanej przez jego towarzyszy zabaw piosenki:

— »Wilczyśko się ożeniło, uszy opuściło!«

Jał rozmyślać nad treścią tej piosenki.

Dlaczego ożeniwszy się wilczyśko opuszcza uszy, no, a człowiek naturalnie nos na kwintę spuszcza, bo organizm jego uszu nie skłonny jest do tej manipulacji?

— Dlatego zapewne — myślał Aleksander — że póki jest nie żonatym, robi sobie, co chce, bawi się, jak chce, kocha się i bałamuci, z kim chce, a gdy ożeni się, klamka zapada i zamiast: »tak chcę«, musi mówić sobie: »tak powinienem«, zamiast własnej i nieprzymuszonej woli ma obowiązki.

Obowiązki? ależ to niewola, przymus, wyrzeczenie się wielu przyjemnych rzeczy!

Obowiązki? gwałtu!

Porwał się z krzesła, schwycił się obu rękoma za głowę i począł biegać po pokoju.

Ale gdy tak biegał, pomyślał sobie znowu:

— Ba! ale nie żeniąc się, jakże mieć Wincunię? a ona taka śliczna, cudna! jakie oczy, jakie włosy, jaka dobra, a jak mnie kocha! A i ja ją kocham, dalibóg kocham szalenie!... Ech! czemu to ona nie jest lepiej jakąś młodszą dziewczyną, moglibyśmy się kochać, a jabym został sobie jednak »liber baron«, jak mówi pani Karliczowa! ale z nią... gdzie tam!... trzeba żenić się i basta! a przytem wzięłby ją ten Topolski, co nawet tańczyć nie umie! Cha, cha, cha! nie umie tańczyć w dziewiętnastym wieku! szkoda- by jej było, uratuję ją od niego!

A jak to dobrze będzie, gdy się ożeni! Będziemy sobie mieszkali w Niemence, postawię tam piękny nowy dom, bo naturalnie w takim małym życiu nie sposób, no i do gospodarstwa się wezmę.

Powiadają, że Topolski cudo jakieś zrobił z tej Niemenki: jeżeli on potrafił zrobić jedno cudo, to ja zrobię dwa i będę sobie bogaty...

Bogaty? oj!

Stanął i zaczął kręcić wąsik.

Ojciec daje tylko kilka tysięcy! Nie spodziewałem się tego, myślałem, że ma daleko większy kapitał. Gdybym był wiedział, że posiada tak niewielki fundusz, byłbym pomyślał o bogatym ożenieniu się, a mógłbym, mógłbym bogato ożenić się!

Już i Józia Siankowska trzy razy większy ma posag od Wincuni, tylko, że strasznie czerwona i ma wielkie ręce! A pani Karliczowa? i ta poszłaby za mnie, choć z dziesięć lat starsza ode mnie.

Wprawdzie to już za bogata dla mnie pani, ale czego to na świecie nie bywa! Przytem ma ona do mnie taką słabość, że gdybym tylko... Ależ trzydzieści lat, fi! nie, jednak dobrze to, że się ożenię z Wincunią. Siedmnaście latek, serduszeko takie świe-

żutkie, jak i twarzyczka! taka śliczna buziulka! ach, serce ty moje! aniołku!

Uśmiechnął się i machinalnie wyciągnął ramiona, jak gdyby widział przed sobą Wincunię. I piękne wtedy blaski przecho- dziły po jego ruchomej twarzy, w oczach zajaśniała poezja mło- dzieńcza, zamigłała się rzewność...

— Kocham ją — mówił do siebie — i będę zawsze kochał za jej miłość dla mnie. O, bo i ona mnie kocha, o, kocha! Jak jej dziś pięknie było z tą białą różą w warkoczach! Boże mój! jakże się obawiałem zobaczyć ją bez tego kwiatka! o jak mnie żegnała, jakie rączki miała gorące, i jak jej oczki błysnęły, gdy mówiła mi: »do jutra!« O droga moja! śliczna!

Upadł na krzesło i zatonął w marzeniach: wszystko, co w duszy jego było pierwotnie pięknem i dobrem i co zbrukane zostało naleciałościami życia, jakie prowadził, wypływało mu na twarz oczyszczone i opromieniało czoło nimbem uczuć mło- dzieńczych.

Nagle zerwał się i zawołał prawie głośno:

— Ależ moja złota swoboda! stracę ją! aj, aj, aj!

I zaczął znowu biegać po pokoju.

— Piękna rzecz — myślał — siedzieć ciągle w domu, jak oj- ciec mówił, wyrzec się wszystkiego, co wesołe, co robi przy- jemność! Gdybym przynajmniej był starszy! Ale w tym miesiącu zacząłem dopiero dwudziesty drugi rok! Tak młodo stracić moją miłą, złotą swobodę! straszne rzeczy! oto wlażłem! Jak będę żo- naty, żadna panna już nawet patrzeć na mnie nie będzie!

Czemuż nie jestem przynajmniej o jakie ośm lat starszy, nie tak bym tego żałował! Żeby to można było dodać sobie wieku! jakby to było dobrze! Ożeniłbym się z Wincunią i nie żałowałbym już swobody.

Ech, ta nieznośna młodość!

Znowu odległe echo przyniosło mu do ucha piosenkę o oże- nionym wilku i opuszczonych uszach.

Zmarkotniał bardzo.

— Et — rzekł po długim myśleniu — daremnie tylko gryzę się! nie taki dyabeł straszny, jak go malują, i żonaty człowiek nie taki niewolnik, jak to niektórzy powiadają. Alboż mało znam żonatych ludzi, którzy prowadzą życie zupełnie takie, jak gdyby kawalerami byli!

Przeciwnie, teraz dopiero wyjdę na zupełną swobodę, bo będę miał swój dom, swój majątek, swoje stanowisko w towa- rzystwie.

Do tego czasu musiałem o wszystko pytać się i prosić ojca, a choć naprawdę rzadko mi odmawiał, ale za to gderał, gderał, ile wlażło. Prawił, że robił to z dobrego serca. Wiem o tem, pocziwy ojciec! Ale zawsze to była zależność, a jak ożenie się, będę już zupełnym panem mego domu, majątku i postępowania.

Wincunia to aniołek! ona nie będzie taka, jak niektóre żony bywają, co to dokuczają mężowi kaprysami i gderaniem. Gdzie tam! to sama dobroć i łagodność! Et, wszystko dobrze będzie! Wincunia będzie moją, Topolski weźmie harbuza, będę miał własny dom i majątek, a jednak swobody mojej nie stracę! No, już też trochę jej stracę... ma się rozumieć... ale nie zupełnie...

Zaczął nucić piosenkę, w której powtarzało się często imię Wincuni i spać się położył.

Ostatnim obrazem, który ujrzał przed zamknięciem oczu, było dziewczę w różowej sukni, wśród zmroku stojące w progu drzwi i, z rękoma złożonemi w jego dłoniach, mówiące po cichu:

— Kocham i będę twoją!

Wpatrując się w to uroczne widziadło, usnął z rozkosznym na ustach uśmiechem.

XII.

Odrzucony.

O dość wczesnej przedpołudniowej godzinie Wincunia stała w swoim pokoju przy tem samem otwartem oknie, przy którym wczoraj długo rozmyślała i walczyła. W twarzy jej i postawie malowało się silne postanowienie. Milczała i wzrokiem prowadziła za ciotką, która żywo i nierównym krokiem chodziła po pokoju.

Okulary pani Niemeńskiej podniesione były na czoło, w rękę trzymała rozpostartą chustkę do nosa, którą machała, giestykulując. Suknia jej była źle zapięta, czepek przekrzywiony na bok, cała słowem osoba wyrażała niezmierny niepokój i zaniepokojenie.

— O Matko Boska Ostrobramska! — wołała, nie przestając chodzić — co ja jemu powiem? Jak ja jemu to powiem? Oto nawarzyłaś piwa, Wincuniu! Kto to mógł tego spodziewać się? Tyle lat znajomości, przyjaźni i jak tu teraz tego człowieka raptem obuchem uderzyć w głowę? Słuchaj, Wincuniu — zawołała, stając nagle przed synowicą — a może ty się jeszcze rozmyślisz? Co?

Wincunia z wolna poruszyła głowę i odpowiedziała stanowczo:

— Nie, moja ciociu, gdybym się mogła rozmyślić, stałoby się to wczoraj.

— A więc sama mu powiedz wszystko, gdy przyjdzie — zawołała pani Niemeńska, machając chustką. — Wyjdź do niego i powiedz: »nie pójdę za pana, bo kocham innego!« ot i będzie koniec.

— Nie, ja jemu tego nigdy sama nie powiem, nie mogę, nie mam siły! — zawołała Wincunia, składając ręce.

— Widzisz, a chcesz, żebym ja mówiła. I mnie także trudno! Zdawało się, że będzie łatwo tak sobie powiedzieć jemu: bądź zdrow! i po wszystkim! Ale gdy już ten moment nadchodzi, to i sama nie wiem co robić, od czego zacząć, w jaki sposób powiedzieć. O Chryste Ukrzyżowany, ratuj mnie! ja chyba zwaryuję!

Chodziła po pokoju w wielkiem poruszeniu. Nagle stanęła przed synowicą i znowu spytała:

— A może ty się jeszcze rozmyślisz, koteczko?

Cierpienie odmalowało się na twarzy Wincuni.

— Ciociu najdroższa! — zawołała — nie zadawaj mi więcej tego pytania, bo mi od niego serce boli! Ty, ciociu, nie wiesz, ile cierpiałam, ile walczyłam... Czyż sądzisz, że nie cenię Bolesława wysoko? Że nie czuję, iż źle czynię, zawodząc go i sprawiając mu boleść? Ależ, mój Boże, nie mogę inaczej... nie mogę...

Łzy głos jej zatamowały. Pani Niemeńska podeszła do swej pieśczoszki i, głaszcząc jej policzki, rzekła:

— Wiem, wiem koteczko, że i tobie musi to być bardzo przykro i sama także poczuwam się do winy, że dopomogłam do urządzenia tego bigosu. Ślepota! ślepota! trzebaż mi było zapraszać Snopińskiego do Niemenki! Ale czyż mogłam się spodziwać?

Byłam pewna, że kochasz Topolskiego, i prędzej przypuściłabym, że w nocy słońce zaświeci, niż, że ty z nim kiedykolwiek rozstać się zechcesz. Co bo też to za człowiek ten Topolski! Dru-

giego takiego z latarnią na świecie poszukać. Znam ja jego, znam, to brylantowe serce!

Zamyśliła się smutnie staruszka i nieznacznie łzę otarła.

— Ha! — rzekła po chwili — poprawiając okulary, może dlatego, aby przed synowicą ukryć łzy, które gwałtem cisnęły się do oczu — ha, cóż robić? stało się! młode twoje serce pociągnęło cię do młodszego. I nie dziwota! Snopiński to chłopak, co się zowie, grzeczny, ładny, salonowy, a zdaje się, że przytem i pocziwa dusza. I z nim pewno będziesz szczęśliwa, ja zaś przeciwko niemu nic nie mam, ani słowa, tylko mi pocziwego Bolesława szkoda. Jak ja mu to powiem, mój Boże, jak ja mu to powiem?...

I znowu chodziła po pokoju w wielkiem zakłopotaniu i zgryzocie.

Nagle Wincunia odskoczyła od okna na środek pokoju i zakryła oczy rękoma.

— Jezus, Marya, a toż co? — zawołała z przestrachem pani Niemeńska.

Wincunia cała drżąc pochwyciła ciotkę za rękę i szepnęła:

— Bolesław idzie! Gdyby zobaczył mię w oknie, zaczęłyby ze mną rozmawiać. Idź, już idź, moja ciotuleczko.

W istocie Bolesław wszedł na dziedziniec od strony pola: snadź wracał już od gospodarstwa. Dwóch chłopaków kręciło się koło studni.

— Hej, Adasiu! — zawołał na jednego z nich Bolesław — załóż konia do wozu i zawieź beczkę wody żniwiarzom, bo będzie w dzień siarczysty upał.

Skierował się ku gankowi, mimochodem rzucił spojrzenie na okno Wincuni i przyspieszył kroku.

Pani Niemeńska za głowę się schwyliła.

— Jezus, Marya, co ja nieszczęśliwa pocznę? Jak ja jemu to powiem? — powtarzała.

Kroki Bolesława dały się słyszeć w przyległym pokoju.

— Pod Twoją obronę uciekamy się... — zaszeptła pani Niemeńska, stojąc u drzwi — w imię Ojca, i Syna, i Ducha św. — dokończyła, żegnając się i z wyrazem »Amen« na ustach naciśnęła klamkę, wyszła i prędko drzwi za sobą zamknęła.

Wincunia została na środku pokoju niema, skamieniała z opuszczonemi rękoma i z cierpieniem na twarzy. Parę razy podnosiła wzrok na święty obraz, wiszący nad łóżkiem, ale

dziwna rzecz, powieki jej wnet opuszczały się, przyciskane ciężarem wstydu i żalu.

— Dzień dobry pani — ozwał się do gospodyni domu pogodny i serdeczny głos Bolesława — oglądałem gospodarstwo w Niemence i zaszedłem do pań. Takem się już za paniami stęsknił...

Nagle urwał i zawołał:

— Co to pani? czyś pani nie chora?

Zwiedle policzki pani Niemeńskiej zabarwiły się rumieńcem gorączkowego niepokoju, oczy jej, pełne łez, z za okularów wpatrywały się w twarz Bolesława.

— Co to jest? — pytał Topolski z wzrastającym zaniepokojeniem — gdzie Wincunia? może to ona chora? — Bładość przemknęła mu po czole.

— Nie to, nie, kochany panie Bolesławie — rzekła pani Niemeńska niepewnym głosem — Wincunia nie jest chora, ale źle z nią jest, bardzo źle!

— A! — krzyknął Bolesław — cóż się z nią dzieje? gdzież ona? niechże ją zobaczę!

I zrobił krok ku drzwiom Wincuni, ale pani Niemeńska zastąpiła mu drogę.

— Nie idź tam, nie idź, kochany panie Bolesławie — zawołała — oto pójdźmy lepiej do ogrodu, tam ci wszystko powiem!

Straszne jakieś myśli przesunęły się zapewne po głowie Bolesława, bo twarz jego nabrała posępnego wyrazu.

— Czemuż mi pani tu, zaraz mówić nie chcesz? — spytał stłumionym głosem, ale pani Niemeńska żywo postąpiła ku drzwiom od ogrodu. Bolesław poszedł za nią.

Przeszli połowę alei, milcząc. Pani Niemeńska mięła w rękę chusteczkę.

— Cóż się stało Wincuni? — ozwał się nareszcie Bolesław, a w głosie jego czuć było tortury zaniepokojonego serca

— Kochany panie Bolesławie — zaczęła pani Niemeńska, patrząc w ziemię — sama nie wiem doprawdy, jak mam ci powiedzieć o tem, co się stało. Nie gniewaj się na nas... nie bierz nam tego za złe... my wiemy i pamiętamy, ile dla nas uczyniłeś... my szanujemy cię, kochamy, ale widzisz, któż mógł przewidzieć?... Wincunia taka młoda, a to taki ładny i miły chłopiec...

Straciła wątek i nie wiedziała już, co mówić dalej. Bolesław stanął nagle i oparł się plecami o drzewo.

— Na miłość Boga, mów pani wyraźniej! — rzekł zeicha.

— Ha! — zawołała pani Niemeńska, zdobywając się na energię — w imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen, niech się dzieje wola Boża, to już i trzeba raz wszystko powiedzieć! Wincunia zakochała się w młodym Snopińskim i wczoraj przyrzekła mu, że za niego pójdzie!

Krótki, głęboki jęk ozwał się w piersi Bolesława, jakby mu tam coś nagle pękło. Podniósł strasznie bladą twarz i nieprzytomnymi oczyma wpatrzył się w panią Niemeńską.

— Co pani mówi? — zapytał — zdaje mi się, że źle usłyszałam!

Pani Niemeńska zlekła się bladości jego i spojrzenia i pochwyciła go za obie ręce.

— Mój dobry, mój złoty, mój kochany panie Bolesławie — mówiła, a łzy biegły z jej oczu po rozpalonych policzkach — nie martw się, nie desperuj, znajdziesz sobie inną! Wincunia widać za młoda dla ciebie i serce pociągnęło ją do młodszego. Bóg widzi, jakie mi to sprawia zmartwienie, a i ona biedaczka cierpi nad tem bardzo, bo kocha cię jak brata, jak przyjaciela, ale w tamtym rozkochała się i powiada, że żyć bez niego nie może. Cóż robić? Serce nie służy! Pójdź, kochany panie Bolesławie, do altany, pogadamy o wszystkim!

Bolesław słuchał z pochyloną na piersi głową, z oczyma szklano utkwionymi w ziemię. Wyglądał na człowieka, który zupełnie nie rozumie, co się z nim dzieje, i nie może odszukać wątku myśli. Automatycznie poszedł za panią Niemeńską do altany i usiedli oboje na ławce.

Ciotka Wincuni, po przełamaniu pierwszych lodów, ośmieliła się i nabrała wymowy. Opowiedziała Bolesławowi cały przebieg znajomości Wincuni z Aleksandrem, jak ona nie wiedziała wcale o tem, że dziewczyna była już nim zajęta, jak Wincunia nikomu się nie zwierzała, bo walczyła z sobą, jak właśnie z tego powodu mizerniała, bladła i t. d.

Skończyła na opowiedzeniu o wczorajszym wieczorze, jak młody Snopiński przyjechał, oświadczył się, Wincunia mu przyrzekła, a ona nie mogła sprzeciwiać się, widząc wzajemną miłość dwojga młodych ludzi, tembardziej, że Wincunia ma swoją wolę i swój fundusz, a ona nie jest jej matką, ale tylko ciotką, która wprawdzie kocha ją jak matka, ale władzy rodzicielskiej nad nią nie posiada.

Bolesław nie przerywał jej ani jednym słowem: ręce skrzy-

żował na piersi, oczy utkwiał w ziemię a z twarzy jego nie ustępowała wielka bladość.

Gdy pani Niemeńska umilkła, zaczął mówić zniżonym i trochę przerywanym głosem, nie odrywając wzroku od ziemi:

— Wiadomość, którą otrzymuję od pani w tej chwili, nie znajduje mię całkiem nieprzygotowanego. Miałem przeczucie... ale brałem je za urojenie... związek mój z Wincunią zdawał się tak ścisły... tak pewny...

— Cóż jest pewnego na tym świecie, kochany panie! — przerwała z westchnieniem pani Niemeńska.

— Cóż jest pewnego na świecie? — powtórzył z wolna Bolesław — ja przecież myślałem, że »to« było pewne, jeżeli jednak Wincunia mię nie kocha... jeżeli to potrzebne do jej szczęścia...

Zatrzymał się, jakby mu tchu zabrakło.

— Ustępuję z drogi jej życia! — dokończył, powstając z ławki; zdwojona bladość twarzy mu pokryła i znowu plecami oparł się o drzewo.

Pani Niemeńska powstała także i sama już nie wiedziała, co ma mówić.

Bolesław ozwał się pierwszy:

— Chciałbym tylko, jako dawny przyjaciel, zapytać panią, czy w istocie znajdujesz wybór panny Wincenty trafny? Czy związek z panem Snopińskim zapewnia jej przyszłość szczęśliwą?... Jeżeli nie kocha mię... może nie zostać moją żoną, ale dlaczegoż ma wychodzić za człowieka, który...

Zatrzymał się i po chwili milczenia dokończył:

— W istocie, pani mię posadzić możesz o chęć obmawiania człowieka, który odebrał mi serce Wincuni... ale... wierz mi pani, że w tej chwili mniej czuję stratę osobistych moich nadziei, niż trwogę o jej przyszłość...

— O, bądź pan pewny, że i ja także... — zaczęła pani Niemeńska.

— Że i pani także dbasz o przyszłość panny Wincenty — przerwał Bolesław — a ponieważ potwierdziłaś wybór, musisz w nim widzieć jej szczęście... Ja, doprawdy, miałbym wiele do powiedzenia o tem, ale w tej chwili nie mam siły... Chciałbym widzieć Wincunię i pożegnać się z nią...

— Pójdę, powiem jej o tem — rzekła pani Niemeńska i śpiesznie poszła ku domowi.

Bolesław został w altanie, na jednym miejscu, oparty

o drzewo. Twarz jego przybrała całkiem niezwykły wyraz. Po ustach błdził uśmiech gorzkiego szyderstwa, oczy, utkwione w ziemię, płonęły posępnym blaskiem, z którego łatwo można było wyczytać stopniowe konanie w sercu wielu wiar i nadziei.

Bardzo powolnym krokiem opuścił altanę. Gdy stanął na progu pokoju, pierwszy raz oderwał oczy od ziemi, powieki jego podniosły się z trudnością, jakby je tłoczyła niewidzialna jakaś siła.

Spojrzał i zobaczył na środku pokoju stojącą Wincunię, z obwisłymi rękoma i bladą twarzą. Na ten widok stanął jak wryty i długo wpatrywał się w twarz i postać dziewczyny. Im dłużej patrzył, tem więcej z ust jego znikał wyraz goryczy i szyderstwa, a okrywał je głęboki żal, w oczach, zamiast rozpacz, zajaśniał smutek cichy, po całej twarzy rozlała się wielka, bolesna litość.

Wincunia ze zdumieniem patrzyła na niego.

Spodziewała się zapewne, że zastanie go rozżalonym, pełnym goryczy i wyrzutów, a ujrzała tak samo łagodnym i rzewnie patrzącym na nią, jak zwykle, tylko bladym, tak bardzo bladym, iż, zdawało się, ani jednej kropli krwi w twarzy jego nie było.

Nie spuszczaając z niej wzroku, przystąpił do niej i wziął ją za rękę. Poczuła wtedy, że mimo dnia upalnego ręce jego jak lód były zimne.

— Panno Wincento — ozwał się głosem zniżonym, ale spokojnym — czy ciotka pani prawdę mi powiedziała, że...

Usta mu zadrżały, zasunął rękę za klapę surduta i przycisnął nią piersi.

— Że mię pani nie kochasz — dokończył, usiłując zapanować nad drżeniem głosu.

— Panie Bolesławie — zcichła rzekła Wincunia — ja kocham pana, jak brata, jak przyjaciela...

— A jak narzeczonego, jak kochanka kochasz pani tamtego — wyrzekł Bolesław, mocując się z boleścią, aby nie wybuchnęła na zewnątrz.

— Tak — szepnęła Wincunia.

Bolesław wypuścił jej rękę ze swej dłoni, pochylił głowę, w oczach jego błysnęło znowu posępny wyraz, po ustach przebiegło szyderstwo i na całej twarzy odbiła się walka światła i cieniów, które w głębi jego piersi musiały walczyć z sobą. Krótco to jednak trwało: podniósł czoło, bledsze jeszcze, niż

było wprzód, wziął obie ręce Wincuni i, patrząc głęboko w jej oczy, rzekł z dziwną słodyczą i uroczystością w głosie:

— Nigdy pragnienie własnego szczęścia nie miało pierwszeństwa w myślach mych i nadziejach przed pragnieniem szczęścia dla ciebie. Kochałem cię nie tylko dlatego, że byłbym sam szczęśliwy, posiadając cię, ale i dlatego, że zdawało mi się, iż ze mną spędzone twoje życie będzie pogodne i szczęśliwe... Powinnaś była wiedzieć o tem... pojąć mię, boć otwierałem przed tobą całą duszę moją... dlaczegoż nie miała ufności we mnie?... dlaczego nie powiedziałaś mi odrazu, że serce twoje biegło w inną stronę? Czemu walczyłaś, cierpiałaś, milczałaś przede mną?

Byłbym już wprzód ustąpił z drogi twojej... bez skargi, bez żadnego do ciebie żalu... a tylko możeby rada moja, przyjaźń, doświadczenie zdołały ci otworzyć oczy na niejedną rzecz, której nie widzisz... Może przed wiekuistem rozstaniem zdołałbym uchronić cię od wielu bólów w tej długiej przyszłości, w której obcymi już sobie będziemy...

Zatrzymał się; zdawało się, że był bardzo zmęczony mówieniem i że na dalsze sił mu i głosu zabrakło. Uczynił jednak szybki wysiłek i rzekł jeszcze:

— Wincuniu, daruj mi pytanie, jakie ci uczynię; może nie delikatnem ci się wyda... ale przecie jam twój przyjaciel od lat dawnych, a chwila to dla mnie tak uroczysta i wielka, że z pamięci mi schodzą formy i zwyczaje... Powiedz mi: czyś do brze poznała człowieka, któremu powierzasz swą przyszłość? Czy pewna jesteś, że będziesz z nim zupełnie szczęśliwą?

Najwyższe zdumienie odmalowało się na twarzy Wincuni. Jakto? ten człowiek, odrzucony przez nią tak nagle, ten człowiek tak głęboko przez nią w serce zraniony, nie ma dla niej ani jednego wyrzutu, ani jednej skargi, lecz przeciwnie, choć myślą swą zatopiony w bólu, troszczy się jeszcze o jej szczęście, o niem mówi, o nie pyta?

Przypomniała sobie słowa ciotki: »to brylantowe serce!« i głębokie przywiązanie, rzewna, wdzięczności pełna cześć, zdjęły ją dla tego, z kim rozstawała się na zawsze...

Sama nie wiedząc, co czyni, obie ręce położyła na jego ramionach, jak dawniej bywało, i patrzyła mu w twarz pełnemi łez oczyma.

— Jakiś ty dobry! jakiś ty zacny! — wyszeptały jej usta.

Błyskawiczny promień radości oświecił zbladłą twarz Bolesława.

— Wincuniu! jedyna moja! — zawołał i, zapominając o wszystkim, porwał ją w objęcia i przycisnął do piersi.

Ale trwało to kilka zaledwie sekund; ramiona jego rozplotły się i opadły, na twarz wystąpił wyraz powrotu do strasznej rzeczywistości.

— Panno Wincento — rzekł po chwili milczenia — wejdź w samą siebie i odpowiedz na moje pytanie. Pytam cię, jako przyjaciel, drżący o przyszłość twoją: czy znasz dobrze, gruntownie, czy znasz duszę człowieka, z którym chcesz się połączyć? Czy nie ludzą cię pozory? Czy uczucie, jakie cię ku niemu wiedzie, jest prawdziwe i trwałe? czyś dobrze zbadała samą siebie?

Wincunia długo milczała pod wpływem zmieszanych uczuć i myśli, potem wyrzekła z wolna i stanowczo:

— Kocham go!

Drżenie przebiegło po całym ciele Bolesława.

— Kochasz go, pani — rzekł zniżonym głosem — tak, to słowo wiele mówi! Czy wszystko? nie zawsze... ale nie pora dla mnie i nie miejsce tu moje, abym pani dłużej robił przedstawienia i pytania zadawał. Żegnam panią! przestaniemy widywać się, ale ja nie przestanę być twoim przyjacielem... nigdy... Niech Bóg cię strzeże i da ci taką przyszłość, o jakiej ja śniłem z tobą i dla ciebie...

To rzekłszy, wypuścił rękę Wincuni, którą trzymał w swej dłoni i powoli skierował się ku drzwiom.

Wincunia patrzyła na niego z takim rozrzwinięciem, że aż graniczyło to z boleścią. Gdy ujął za klamkę drzwi, wyciągnęła ręce i zawołała z żalem:

— Bolesławie!

Zwrócił ku niej twarz, ale wykrzyk młodej dziewczyny nie rozjaśnił jego duszy najmniejszym błyskiem nadziei i radości. Wszystkie siły jego moralne wyczerpały się w niezmiernych walce, którą musiał staczać z sobą, rozmawiając z Wincunią. Popatrzył na nią jeszcze przez chwilę i wyszedł.

Wincunia upadła na najbliższe stojące krzesło i w głos zapłakała.

Bolesław szedł ścieżką, przez gaj do Topolina wiodącą, tą samą ścieżką, którą przebywał tyle razy z myślą pogodną i sercem pełnym nadziei.

Dobrze wyrzekła pani Niemeńska: »cóż jest pewnego na tym świecie«.

Nad głową Bolesława ptaki świergotały na wyścigi, roje

motyli zrywały się z gęstwiny leśnej ku słońcu, kawałki błękitnych obłoków ciekawie zaglądały w głąb gaju — wszystko było piękne, kwiciste, śpiewające, słoneczne, jak przed tygodniem, miesiącem, rokiem, kilku laty, i tylko w sercu człowieka zmieniło się: burze w niem grały szalone, obalające wszystko, co w samej głębi jego zakorzeniło się i rozrosło, zrywając struny, które dotąd śpiewały pieśni miłości, zdmuchując puchy nadziei, a na ich miejsce rozściełając lodową oponę zawodu, zwątpień, goryczy, bezbronnych żalów.

Trudnoby odgadnąć, o czym myślał Bolesław, idąc przez gaj, i czy nawet myślał o czemkolwiek, bo oczy jego i twarz powlekaly się coraz bardziej wyrazem martwej bierności, w którą na czas jakiś zapada człowiek, dotknięty niespodzianym ciosem.

Wyglądał, jak ktoś uderzony w głowę nagle i ogłuszony ciosem. Szedł powoli z głową zwieszoną na piersi, a stopy jego z taką trudnością odrywały się od ziemi, jakby do każdej z nich przywiązana była ciężka kula żelazna.

Tak wszedł na ganek swego domu; nie spostrzegł Krzysztofa, który wyszedł na jego spotkanie; drzwi od ganku i sieni zostawił, idąc, na oścież otwarte, jakby mu brakło sił do ich zamknięcia, i dopiero wszedłszy do swego pokoju, zamknął drzwi za sobą.

Po chwili, zdziwiony niezwykłym wyrazem twarzy swego pana, Krzysztof widział, jak nagle spuściły się rolety w obu oknach sypialni Bolesława. Okna te wychodziły na północ, słońce więc nie wnikało przez nie, ale musiał go razić sam blask dzienny.

Ubiegło kilka godzin. Cisza zupełna panowała w domu. Pora obiadowa minęła dawno. Stara kucharka dreptała niecierpliwie po kuchni, gderząc na Krzysztofa, że obiadu nie podaje panu, a u niej wszystko przestoi się i zepsuje. Krzysztof kręcił siwego wasa i mrucał ze zdziwieniem:

— Co się jemu stało?

Podszedł do drzwi sypialni i posłuchał. Cicho tam było zupełnie.

— Śpi, czy co? — szepnęła i wzruszył ramionami, bo bardzo się zadziwił.

Jako żywo, nikt nie widział, aby Bolesław kładł się spać we dnie.

Krzysztof zaczął chodzić po przyległym pokoju, stukać i przesuwając z hałasem sprzęty. Nic nie pomagało. Pokręcił wasa

z niecierpliwością i jął chodzić pod oknami. Rolety spuszczone nie pozwalały dojrzeć, co się działo w pokoju. Chodzenie i chrząkanie Krzysztofa nie pomagało.

— Jakies лихо w tem jest! — szepnął stary sługa — może zachorował?

Przestrach odmalował się na twarzy pocziwca; podszedł znowu do drzwi sypialni; położył rękę na klamce, ale zawałał się.

— Może czem tak bardzo zajęty? może to sekret jaki?... jak wejść, to przeszkodę i podpatrzę... to będzie nie pięknie!

Schylił się więc do dziurki od klucza i, przyłożywszy do niej usta, rzekł dość głośno:

— Proszę pana do stołu.

Nie było odpowiedzi. Cicho i cicho.

Krzysztof donośniej jeszcze powtórzył wezwanie na obiad, ale i tym razem żaden odgłos nie odpowiedział mu z głębi zamkniętego pokoju. Pociągnął wąs tak silnie, że aż mu parę siwych włosów w palcach zostało, odszedł parę kroków i znowu wrócił do drzwi. Spojrzał przez otwarte okno: słońce miało się już ku zachodowi.

Staremu na płacz się zbierało, sam nie wiedział, co mu wypadało uczynić.

Nagle pod gankiem zaturkotały koła i do pokoju wszedł pan Andrzej.

Krzysztof rzucił się ku niemu.

— A, chwała Bogu, że pan przyjechałeś! u nas jakaś bieda!

Czoło pana Andrzeja więcej, niż zwykle, było sfałdowane, w oczach jego malowało się zmartwienie.

— Gdzie twój pan, Krzysztofie? — spytał półgłosem z wyraźnym niepokojem.

— Przyszedł z Niemenki około południa, zamknął się w swoim pokoju, spuścił rolety w oknach i ani się odzywa, choć stukalem i prosiłem na obiad. Czy tylko nie chory?

Silniejsza jeszcze obawa ukazała się na twarzy pana Andrzeja. Postąpił żywo i nagle otworzył drzwi sypialni Bolesława. Spojrzał i zbladł trochę, zwrócił się do Krzysztofa, rzekł dość cicho, aby odszedł, sam zaś postąpił naprzód.

W głębi pokoju, napelnionego półzmrokiem, stał Bolesław, plecami oparty o ścianę, profilem zwrócony do drzwi, przez które wchodził pan Andrzej. W ręce trzymał pistolet, z lufą podniesioną w górę. Otwór broni zdawał się patrzeć na niego

czarnem, przepaścistym okiem, a on zatapiał w nim wzrok, powleczone mętnym wyrazem wpół nieprzytomnej rozpacz. Nie słyszał otworzenia się drzwi i kroków wchodzącego.

Pan Andrzej położył rękę na jego ramieniu.

Bolesław nie podniósł głowy; zdawało się, że nie mógł oderwać wzroku od tego przepaścistego oka zabójczej broni, które w samą twarz mu patrzyło.

— Co to robisz? — ozwał się pan Andrzej głosem, który drżał trochę.

Bolesław nie odpowiedział jeszcze i nie odwrócił oczu od lufy pistoletu.

— Co to robisz? — powtórzył pan Andrzej pewniejszym i surowym głosem — kogo to chcesz zabić tą bronią?

Usta Bolesława zadrżały.

— Naprzód jego, potem siebie — rzekł zwolna, nie zmieniając postawy ni kierunku spojrzenia.

Pan Andrzej stał się tak samo prawie bladym, jak Bolesław. Silniej oparł dłoń na jego ramieniu i wyrzekł uroczyście a surowo:

— Bolesławie! a sumienie twoje?

Bolesław zadrżał i pierwszy raz podniósł spojrzenie, powleczone mgłą nieprzytomnego bólu.

— Co? — wyrzekł z cicha — co mówiłeś?

— Przypomniałem ci sumienie — jeszcze surowiej rzekł pan Andrzej.

Bolesław patrzył na niego kilka sekund, mgła we wzroku jego rozstępowała się, a myśl przytomna przedzierała się przez nią z trudnością.

— Sumienie — powtórzył zwolna — sumienie! ależ ja nie chcę, aby ona była nieszczęśliwą... niech lepiej on nie żyje...

— Kto ci dał prawo wydawać wyrok śmierci na bliźniego? — spytał pan Andrzej, surowy i przenikliwy wzrok topiąc w jego twarzy.

Milczenie trwało kilka sekund; Bolesław opuścił rękę, broń trzymającą.

— Ale własnem życiem mam prawo rozporządzić — ozwał się i silnie zacisnął palce około rękojeści pistoletu.

— Jest-żeś pewny, że nic już użytecznego nie zdziałasz na świecie? Możesz-że przewidzieć, że ta kobieta, przez którą cierpisz, nigdy już tej przyjaznej ręki potrzebować nie będzie? Czy

zadanie życia kończy się tam, gdzie kończy się szczęście? — pytał pan Andrzej.

Bolesław spuścił oczy pod surowem jego wejrzeniem.

— Czy zadanie życia kończy się tam, gdzie się kończy szczęście? — powtórzył i przesunął rękę po czole, jakby chcąc zebrać rozpierzchłe myśli.

— Rzuć to! — ozwał się raz jeszcze pan Andrzej, wskazując pistolet.

Była chwila milczenia, a potem dał się słyszeć stuk wypadającej z ręki Bolesława broni.

Pan Andrzej wyciągnął do niego dłoń otwartą, Bolesław przyjął ją, uściśnął i w milczeniu upadł na najbliższej stojące krzesło.

— Wiem o wszystkim, co cię spotkało — rzekł pan Andrzej — przyjechałem dziś do Adampola i opowiedziano mi o tem, co zaszło w czasie mej nieobecności. Wiedziałem, że będziesz cierpieć, i przybyłem, aby pomódz ci nieść ciężar boleści.

— Zdaje mi się, że umrę — rzekł Bolesław i opuścił czoło na dłonie.

Pan Andrzej położył rękę na jego pochylonej głowie i rzekł z powagą:

— Nie umrzesz. Tacy ludzie, jak ty, nie mogą i nie powinni umierać z miłości dla kobiety, ani z żalu po niej.

Mówiąc to, podniósł roletę i otworzył okno. Potok światła i powietrza wpłynął do pokoju.

Milczeli kilka minut i patrzyli na siebie, potem Bolesław wyciągnął rękę do pana Andrzeja i rzekł głosem pełnym wdzięczności:

— Zbawiłeś mnie!

XIII.

Cichy żal.

Pan Andrzej na kilka tygodni został u Bolesława. W pierwszych dniach nie spuszczał z niego uważnych oczu; zdawało się, że był nawskroś przejęty obawą, aby człowiek, w którym tyle

dobrego widział, nie ugiął się i nie złamał pod spadłą nań boleścią, i położył sobie za zadanie podtrzymać, wzmocnić w nim siły moralne w czasie najboleśniejszej walki, jaką staczać z sobą musiało to serce, tak głęboko zranione i zawiedzione.

— Jest to chwila przesilenia w życiu twem — mówił do Bolesława — możesz z niej wyjść na zawsze rozbolalym, osłabłym i upadłym na duchu, albo olbrzymem męstwa i panowania nad sobą. Wybieraj!

Koniec lata obłókł się chmurami. Sierpień był chłodny, dżdżysty i posępny; zeschłe liście opadały z drzew i albo żółtym kobiercem stały się do stóp gaju, albo, gnane wiatrem, rozprasały się po polach, niby symbole ludzkich nadziei i radości, ręką losu niszczonych i rozpraszanych.

Pewnego chmurnego ranka, siedzieli obadwaj u okna; Bolesław zamyślonym wzrokiem ścigał szare kłęby dymu, które, wilgocią parte z nad dachu, włóczyły się po ziemi w fantastycznych kształtach i rozpościerały w powietrzu mglistą oponę. Pan Andrzej patrzył na niego badawczo i uważnie, a po chwili położył rękę na jego ramieniu i rzekł:

— Rad jestem z ciebie, Bolesławie! spokojnie cierpisz, to znak, że cierpienie nie złamie twych sił moralnych.

— Alboż może i powinno być inaczej? — odrzekł Bolesław.

— Bywa jednak inaczej — rzekł pan Andrzej — a bywa z ludźmi, którzy widnokrąg swój biorą za koniec świata, nie pojmują, nie mają dość mocy serca i umysłu, aby pojąć, że ośbiste bóle i szczęście, to wyjątkowe, przelotne chwile w życiu człowieka, a całe życie jest nieprzerwanym ciągiem prac i powinności, którego ani radości, ani cierpienia przerywać nie powinny. Ciasno, ciasno ci ludzie patrzą na ten świat bardzo szeroki; nie widzą, nie kochają, i nie czczą nic oprócz siebie; gdy więc ich serce zaboli, krzyczą: świat się wali! i padają bez siły, w konwulsjach, które byłyby śmiesznymi, gdyby nie wzbudzały litości.

Bolesław milczał, ale smutnemi swemi i rozumnemi oczyma uważnie patrzył w twarz mówiącego.

— Wewnętrzne uczucia każdego człowieka warstwami układają się w sercu jego — mówił dalej pan Andrzej. — Jedne z tych warstw są wielkie i nieśmiertelne, jako duch ludzki; inne ruchome, utworzone przez naleciałości życia. Zamiłowanie w nauce, pracy, działaniu jakimkolwiek, litość nad cierpieniami biednych i pragnienie przyniesienia im pożytku — oto są warstwy

uczucia trwałe, nigdy nie zdradzające, które, jak tarcza nieprzenikliwa, odpierają od piersi człowieka rozpacz, wątpienia, złamania się duchowe.

Miłości osobiste, pragnienie rozkoszy życia, przywiązanie do jednostek, to warstwy uczuć niższe, ruchome, które wprowadzić mogą w danym razie zamienić się w opokę o tryskających ożywczych źródłach, ale które najczęściej rozpadają się pod ciosami losu, rozwiewają wichrami przeciwności, ulegają zmianom, mocą samej nawet ruchomej natury ludzkiej. Nie na nich więc budować gmach życia! ale na tamtych, na wielkich.

Jeśli ostoją się, tem lepiej, jeśli rozpadną się w zgłiszczu, to już nie padać razem z niemi, ale iść dalej po tamtym gruncie, utworzonym z dyamentów wielkich miłości i pojęć, ręka w rękę z cierpieniem, ale i z okiem utkwionem dalej, dalej niż ciasny, najbliższy, osobisty widnokrąg.

Bolesław słuchał i nic nie mówił, ale znać było, że całą duszą wsiąkał w siebie słowa pana Andrzeja.

Na bladej twarzy jego rozlewała się powaga skupionej myśli, w oczach osiadł smutek spokojny, taki, który nie rozrywa piersi ludzkiej konwulsjami rozpacz, nie rozplywa się w łzach i skargach, tylko osiada w duszy, jak dno dyamentowe, mające służyć piedestałem wielkich myśli i energicznych czynów.

I płynęły w Topolinie dni spokojne, poważne, uroczyste niemal. Prace rolnicze nie ustawały w nim ani na chwilę, cichy i porządny dworek pogodnie wyglądał nawet z pośród mgły domowej.

Bolesław nie ustawał pracować, uważano tylko, że mówił, o ile mógł, jak najmniej; dźwięk jego głosu stał się niższym o jedną nutę i między brwiami zaczynała rysować się zmarszczka, której wprzód nie było.

W mgliste i chłodne wieczory siadywali obaj z Andrzejem przy ogniu kominkowym i rozmawiali z sobą półgłosem długo, bo aż za północ niekiedy.

Tchnienie rzewnej poezji i poważnych myśli rozlewało się wkoło tych dwóch ludzi, z których jeden przeszedł już ciężkie próby życia, drugi przebywał dopiero ciemne wrota cierpień, mające go wprowadzić w świetlaną krainę męstwa i czynu. Tchnienie to owiewało i przenikało nawskroś Bolesława; w piersi jego, nad krwawą warstwą świeżego bólu, rozkładała się i wznosiła coraz szerzej warstwa tych miłości i pragnień, o których mówił mu pan Andrzej.

— I czemuż są bóle człowieka wobec ogromu boleści dziejowych? — rzekł raz Bolesław, zamykając książkę i wzrokiem zamyślonym patrzył w przestrzeń.

Stopniowo oczy jego zaczynały przybierać tę samą szczególną cechę, jaką posiadał wzrok pana Andrzeja. Gdy zamyślał się, spojrzenie jego biegło w dal, zdawało się przebiegać ściany domu, mijać otaczające pola i patrzeć gdzieś daleko, daleko, w przestrzeń jakąś, która odkrywała się przed jego duchem smutna a piękna.

O czym myślał, co czuł Bolesław, gdy tak patrzył? Odgadnie i zrozumie ten tylko, czyje oczy tak samo patrzeć umieją...

Był spokojny, zupełnie spokojny na zewnątrz. Cichy, serdeczny żal, który przenikał go nawskroś, odkąd rozstał się z głęboko ukochaną kobietą, objawiał się niekiedy wielką bladością twarzy, drżeniem ust, zmarszczką między brwiami wyciśniętą tłumionym bólem, ale nigdy jękiem lub skargą.

Raz tylko coś niby skarga wyszło z ust jego. Siedział przed kominkiem zamyślony, a pan Andrzej przy świetle lampy czytał list, otrzymany przed chwilą. Skończył czytanie i rzekł:

— Muszę wracać do domu; synowie mię wzywają.

Bolesław podniósł głowę.

— Synowie? — powtórzył — a prawda! masz synów! właśnie w tej chwili myślałem, że ja ich nigdy mieć nie będę.

Powiedział to spokojnie, ale sama spokojność ta była tak smutną, że panu Andrzejowi łza w oku stanęła.

— Niech czyny twe będą twymi synami — odpowiedział po chwili.

Kiedy pan Andrzej opuszczał Topolin, Bolesław rzekł do niego:

— Odegrałeś w mem życiu rolę sumienia, podałeś mi rękę, gdy stałem nad przepaścią, i zaciągnąłem względem ciebie wieczny dług wdzięczności.

Pan Andrzej długo nań patrzył z rozrzewnieniem i odpowiedział:

— Spłacisz dług ten z lichwą, jeśli zostaniesz na zawsze człowiekiem... takim, jakich nam trzeba!

Pożegnali się długim, milczącym uściskiem ręki i słowem: do zobaczenia!

Gdy w oddaleniu umilkł turkot bryczki, uwożące pana

Andrzeja, Bolesław usiadł w cichym pokoju swoim i zadumał się tęskno... smętnie.

Smutnym pozostał i takim miał już pozostać na zawsze; wiejska ustronń jego zmieniła się w pustelnię, do której nigdy nie miały zawitać uśmiechy szczęścia, ni gwary wesela. Spojrzał na swoje książki, które, rozstawione po półkach, zdawały się patrzeć na niego w poważnym milczeniu, i pomyślał, że miały mu być one jedynymi towarzyszami życia, z których czerpać będzie odtąd pociechę w tęsknotach serca i wsparcie na żywot pracy.

Rzucił okiem przez okno i zobaczył ciche blade obłoki, a u skraju widnokręgu iskrzył się złotem i purpurą szeroki pas zachodzącego słońca.

Puścił wzrok po wysokości sklepienia i myślał, że przyszłość jego cała będzie jako te obłoki bez burz i mgły, ale bez słońca też i bez błękitu, a dopiero u końca jej, na wzór świetnego dnia zachodu, przyjdzie chwila, ozłocona spokojem sumienia i rwaniem się ducha ku lepszym światom, chwila śmierci.

A jako ta fioletowa obsłona chmur zapada za lasy ciemne, tak duch jego zsunie się z ziemskiej powierzchni kędyś... kędyś w nieznane przestrzenie wieczności, gdzie pracownikowi wolno będzie wytchnąć po trudach, a przeniesione cierpienia otrzymają w nagrodzie wieniec spokoju.

Twarde życie pracy i obowiązków i skonanie uświetnione spokojnem w przeszłość spojrzeniem, oto wszystko, co mu przeznaczone na tej ziemi było. Gdzież są jego o ziemskim szczęściu marzenia?

Rozwiała się jako mgła.

Gdzież ta uroczą postać kobiety, o którą oparł on tyle gorących a szlachetnych nadziei?

W objęciu innego.

Niższą warstwę jego wewnętrznych uczuć zburzył i rozproszył los; pozostała mu wyższa, szeroka, wielkich miłości i pojęć, jakie nosił w piersi.

Z nią więc i dla niej tylko żyć mu odtąd przyjdzie, ale gdy nadejdzie chwila skonania, komuż ją w spadku zostawi? Kto po nim przejmie miłość jego dla kraju i ludzi, i wytrwałość w pracy, w imię ich prowadzonej?

Nikt.

Żyć on będzie samotnym i umrze bezdzietnym.

Marzenia jego dawne, drogie marzenia o ojcostwie, stanęły

przed nim w całym blasku, w oczach zadrżały ognie żalości, ale wnet w sercu ozwały się słowa pana Andrzeja: — Niech czyny twe będą twymi synami!

A jednak — myślał — tamten, wybrany przez nią, młody a już zepsuty, kochający tylko siebie, jak szych błyszczący zewnętrzna tylko pozłotą, posiadał tę kobietę, którą on tak bardzo kochał; świat przyklasnął mu pewnie, zowiąc go zręcznym i mądrym, i dni jego radośnie popłyną wśród rodzinnego ciepła i gorących rozkoszy życia!

Dlaczego tak było?

Czemu los lepszą dolę rzucił temu, który jej nie wart, ani jej uszanować potrafi, a wydziedziczył tego, który gotował się do niej z taką siłą serdeczną, z takim podniesieniem ducha?

I zapytał Bolesław słowami Hioba:

— »Czemu grzeszny zemrze w swej obfitości, nie znając trosk; prawy umrze smutny i obu zaniosą do ciemnego grobu?«

Zwiesił głowę i umysł jego począł błąkać się po rozdrożu zwątpień, graniczących z rozpaczą; w uchu brzmiało nieustannie drżące bólem bez granic pytanie Hiobowe:

— »Kto mi powróci dawne moje czasy?«

Nagle od krwawego pasa zachodu strzeliły uwolnione z pod chmur promienie słoneczne, milionem isker zapełniły powietrze i potok ogniściego światła rzuciły w zmęczone cierpieniem oczy Bolesława.

W tej chwili zdało mu się, że ma objawienie, że przysłoniona świetną tarczą słońca, owinięta szatą płomieni, stanęła na krańcu widnokręgu niepojęta, niezmierna, tajemnicza postać Jehowy, i z głębi chmur purpurowych grzmiała ku niemu słowami, wyrzeczonymi niegdyś do sarkającego na dolę swą Hioba:

— »Kto śmie moje przesądzać wyroki? Kto im słowy uwłacza pustemi? Był-żeś wtedy, gdym stawiał żrąb ziemi? Wiesz, kto mierzył, jak ma być szeroki? Wiesz, kto trzymał wtedy sznur mierniczy? Jak postawił węgiel budowniczy? Był-żeś w kraju, gdzie gaśnie blask słońca? Obejmał-żeś ty świata kończyny? Wiedział-żeś, kiedy przyjdiesz w gości na tę ziemię? Kiedy weźmie błada śmierć? Jaką drogą piorun mój uderza? Kto wyroki me wstrząsać się waży?«

Bolesław zakrył oczy dłonią i w pokorze uchylił głowę przed niezbadanymi wyrokami przeznaczeń.

— Tak — myślał — któż zbada wyroki światem rządzące i ludźmi?

Któż mi powie, dlaczego odebrana mi została częśćka ziemskiego szczęścia, a oddana innemu?

Wszak losy ludzkie płynąć muszą na ziemi w tak logicznie związanym łańcuchu, jak płyną w przestrzeni światów milionów. Wszystko, co się dzieje, musi mieć przyczynę swoją i cel: nic się bez nich nie dzieje, nic ślepym trafem nie jest.

Może grzeszny otrzymuje w udziale szczęście dlatego, aby go ono podniosło i uleczyło z grzechu, a sprawiedliwemu dostaje się w udziale cierpienie, aby wzmógł się i rozszerzył duch jego?

Jakie posiadam prawo żądania, abym ja właśnie był szczęśliwym, a nie kto inny?

Alboż wiem, że szczęście moje jest koniecznem ogniwem do utworzenia tego łańcucha, który się losami społecznymi nazywa?

Nie jest-że przeciwnie?

Nie byłoby koniecznem i zbawiennem, abym cierpiał, a kto inny cieszył się?

Gorycz i skargi na los nie są-ż pychą i zarozumiałością człowieka, który myśli, że świat dla niego, nie on dla świata istnieje?

Starać się osiągnąć szczęście, szukać go, zdobywać, każdy ma prawo; ale gdy ono umknie i zniknie z oczu, jest-że rozumnie i sumiennie kogokolwiek lub cokolwiek o to oskarżać?

* * *

Długo w ten sposób Bolesław pytał myśli swej i sumienia, a gdy podniósł głowę, zmrok już nappełniał pokój, za oknem cicho szumiał gaj, pochylany wiatrem jesiennym, po bładem sklepieniu włóczyły się ciemne obłoki, łamiąc się i rozdzierając w tysiące fantastycznych kształtów, a w dali... nad pasem odległych lasów, tam, kędy przed godziną Bolesław w złotym zachodzie słońca widział symbol pogodnej śmierci sprawiedliwego, jaśniała jedna wielka gwiazda.

Szmaty chmur ciemnych płynęły do gwiazdy tej, niby okręty z rozwiniętymi żaglami ku jasnej latarni, port zwistujacej.

Oczom Bolesława poszarpane chmury wydawały się mnóstwem serc rozdartych i pokaleczonych w żegludze życia, a na złotem licu gwiazdy wyczytał on wyraz:

— Wieczność!

Z bladej i zmęczonej twarzy jego zniknął wszelki ślad go-rzycz i zwątpienia, a rzewna jego dusza spoczęła na twardem, ale podnoszącem wezglowiu mężnej rezygnacyi.

CZEŚĆ II.

I.

W zamieć zimową.

Wieczór był zimowy i ciemny. Mróz tęgi, śnieg szerokim białym rozłogiem przykrywał ziemię i drobną mgłą sypał z góry, wicher gwałtowny szalał po polach.

Drogą, do miasteczka X. wiodącą, jechały zgrabne sanie, zapreżone czterema końmi w lejce, mimo przeszkód ze śniegu i wichru posuwały się dość szybko, bo konie były rosłe i dzikie; do dyszla przywiązany dzwoneczek smętnym dźwiękiem odzywał się niekiedy, ale najczęściej nie słychać go było wśród odgłosów zimowej burzy.

Na saniach siedziało dwoje ludzi: — mężczyzna, otulony niedźwiedzią szubą, i kobieta, otulona lisią salopą w chustce i kapturze. Nic nie mówili do siebie, bo też i trudno było mówić, podróżując w taką porę; usta zziębnięte z trudnością-by się otwierały, a wśród huku wichrów głos ludzki musiałby prawie niedosłyszalnym zostać.

Raz tylko, gdy sanie, wjechawszy jedną stroną płozów na zaspę śniegową, przechyliły się i groziły wywrotem, kobieta krzyknęła z przestachu, mężczyzna zwrócił się ku niej, o ile mu na to pozwalał ogromny kołnierz futrzany, i wyrzekł:

— Czegoż się obawiasz?

W głosie jego nie było bynajmniej czułości ani troskliwości, owszem, pewna niecierpliwość.

Kobieta nie odpowiedziała.

Sanie przechyliły się jeszcze kilka razy, grożąc wywrotem, konie zaczęły ploszyć się i zbaczać z drogi.

Kobieta milczała.

Nagle konie lejcowe stanęły dęba, dyszlowe rzuciły się w bok i pociągnęły za sobą sanie, które omal się nie wyróciły.

— Pawełek! po jakimu to wiesz? — krzyknął mężczyzna.

Furman wstrząsnął się, jak obudzony z drzemki, poskrobił konie lejcami i sanie posunęły się równiej. Ujechali z wiorstę. Kobieta pochyliła się ku mężczyźnie, o ile jej na to pozwalała kaptur i chustka, i rzekła:

— Olesiu! zdaje mi się, że Pawełek nie jest trzeźwy.

— Przywidzenie! — odpowiedział krótko mężczyzna i otulił się lepiej futrem.

— Czy zimno ci, Olesiu? — zapytała troskliwie kobieta.

Mężczyzna nic nie odpowiedział.

Jechali znowu w milczeniu z pół wiorsty, aż z pomiędzy mgły śniegowej poczęły błyskać zrazu oddalone, potem coraz bliższe światelka.

— Chwała Bogu! — zawołała kobieta. — Widać już X., już tylko milę będziemy mieli do domu!

— Ruszaj żywiej a staniesz przed oberżą Szlomy, aby konie wytchnęły — rzekł do furmana mężczyzna.

Sanie wjechały w ostawioną małymi domkami ulicę miasteczka i po chwili stanęły przed wrotami oberży. Tu zaciszniej było trochę: obszerna budowa zasłaniała z jednej strony od wiatru, z przodu jednak szalał on swobodnie po pustym placu i, lecąc nad dachami małych domków, sypał z góry gęstą i ostrą kurzawą śniegu.

Mężczyzna odezwał się do furmana:

— Zejdź z kozła i obejrzyj konie lejcowe; zdaje mi się, że coś się zepsuło w upręży.

Furman usłuchał rozkazu i, opuściwszy swe miejsce, niepewnymi krokami zaszedł przed konie.

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na okna facytki. Oświetlone one były i chwilami, gdy wiatr przycichał, wychodził z nich nie na zewnątrz niewyraźny gwar głosów. Mężczyzna wysiadł z sani i rzekł do swej towarzyszki:

— Mam interes do Szlomy i muszę zobaczyć się z nim przy sposobności. Poczekaj tu na mnie chwilę. Najdalej za dziesięć minut wrócę, a tymczasem konie wytchną.

Rzekłszy to, zniknął we wrotach oberży.

Kobieta została na saniach.

Wiatr dał ciągle od pustego placu i zasypywał ją śniegiem: furman stał przed końmi i odzywał się do nich ochryplym głosem, a niekiedy uderzał się z całej siły rękoma o piersi dla rozgrzania zziębniętych członków.

Minęło dziesięć minut, minął kwadrans, a mężczyzna nie wracał z oberży. Chwilami ucichał wiatr, rozstępował się przed oczyma siedzącej na saniach kobiety tuman śniegowy i zdala, z drugiego końca placu, występowała na tle białego powietrza szara wieża kościoła: w tych samych chwilach widniej jaśniały oświetlone okna facytki i z za szyb, zaproszonych śniegiem, widać było cienie wielu poruszających się tam postaci.

We wrotach oberży skrzypnęły po śniegu stąpania.

Kobieta z widocznym zadowoleniem zwróciła ku nim głowę, ale, zamiast mężczyzny w szubie niedźwiedziej, ukażała się kobieta, z chustką narzuconą na głowę, i do sań podeszła.

— Dobry wieczór pani! — ozwała się z żydowskim akcentem.

— Dobry wieczór pani Szlomowej! — odparła kobieta.

— Ny, czego pani tu siedzi na takim wietrze i zimnie? czemu pani do oberży nie wejdzie?

— Dziękuję, pani Szlomowo! mój mąż poszedł tylko na chwilę dla załatwienia interesu ze Szłomą, zaraz wróci i pojedziemy do domu.

— Ny! — zawołała Żydówka — Szlomy w domu niema, niedawno pojechał do Wilna woły sprzedawać. Pani mąż poszedł na salę; tam obchodzą urodziny pana Franusia Siankowskiego.

— To wszystko jedno, moja Szlomowo, w każdym razie mąż mój zaraz wróci i pojedziemy; nie chcę więc na kilka minut schodzić z sań i rozbierać się.

— A jak on tam długo zabawi? — ozwała się jeszcze Żydówka.

— To być nie może; przecie zostawił mnie tutaj i nie zechce, abym długo czekała.

Gdyby nie tuman śniegowy i zmrok nocny, możnaby dostrzedz na ustach Żydówki dziwny uśmiech, wywołany temi słowami kobiety, a w którym łączyło się szyderstwo z rodzajem politowania.

— Ny, jak pani chce — rzekła. — Dobranoc pani, nie mogę dłużej zostać, tu tak zimno.

— Dobranoc, pani Szlomowo.

Stapania Żydówki poskrzypiały po śniegu, łącząc się z pośtekiwaniem na zimno i, skulona od chłodu, postać jej zniknęła we wrotach.

I znowu wkoło sań, na których siedziała kobieta, szalały wichry, szumiąc i jęcząc u węglów oberży; śnieg ostrym pyłem w twarz ją uderzał, a gdy, zawirowawszy kilka razy w powietrzu, opadał na ziemię, ukazywała się w dali szara wieża kościoła i kilka zamglonych światełek błyskało z oddalonych domostw.

Znowu minął kwadrans, a towarzysz kobiety, siedzącej na saniach, nie wracał.

Nagle za saniami, daleko, zabrzmiał dzwoneczek, z jakim po śniegiem pokrytych obszarach litewskich zwykle zimą jeżdżą podróżni.

Konie lejcowe poruszyły głowami a zarazem dzwonkiem, który jęklivem echem odpowiedział tamtemu, dalekiemu, lecącemu od pól, otaczających miasteczko.

Daleki dzwonek stawał się coraz bliższym, wiatr dźwięki jego coraz wyraźniej przynosił pod oberżę, wkońcu słyhać już było i skrzypienie płozów po śniegu, aż za saniami, na których siedziała kobieta, stanęły sanie założone dwoma dzielnymi końmi. Z nich rażno wyskoczył mężczyzna w zgrabnym, obcisłym futrze, w barankowej czapce i rzekł do swego furmana:

— Trzeba nam trochę rozgrzać się w oberży, Adasiu. Objedź te sanie, które tu stoją, i wjedź we wrota. Postoim tu z pół godziny, a potem ruszmy do domu.

Zmierzał ku oberży, ale zwrócił się raz jeszcze do furmana i zawołał:

— Ostrożnie tylko okrażaj te sanie, abyś nie nastraszył koni lejcowych, albo nie zaczepił ich płozami.

Potem spojrzawszy mimochodem na siedzącą na saniach kobietę i, skinawszy głową, jakby w znak podziwienia, wszedł do oberży. Za nim wjechały we wrota jego sanie.

Kobieta, na dźwięk głosu przybyłego, żywo podniosła głowę, ale żywiej jeszcze ją spuściła i ukryła twarz w futrzanym zarękawku.

Tymczasem przybyły, przebywszy sień, usłaną śmieciem i słabo oświetloną palącą się w latarni łojówką, wszedł do pierw-

szej izby w oberży. Ławy i stoły otaczały ją pod ścianami, wielki ogień palił się na równie wielkim kominie, osłoniętym u góry ceglany daszkiem, wspartym na trzech drewnianych słupkach.

Przed ogniem stała Szlomowa, otyła i przysadzista Żydówka w ryżej peruce, nad którą sterczał czepiec z brudną żółtą kokardą, w wyszarzanej jedwabnej spódnicy, mającej u dołu szeroki szlak z błota, i w brudnej wełnianej chustce, z pod której wysuwało się kilka sznurków pereł, spiętych na przedzie złotym, staroświecko wyrabianym w ażur fermuarem.

Płonące łuczywo, zatknięte u belki sufitu, czerwoną łuną oświetlało schodki, prowadzące na facyatkę; przez półotwarte drzwi do sąsiedniej izby widać było łojówkę, dopalającą się na stole w mosiężnym lichtarzu, i odzywał się szwargot miszurysa, rozmawiającego z kilku wrzaskliwymi bachorami. Gdy skrzypnęły drzwi od sieni, Szlomowa odwróciła twarz od ognia i wielce uprzejmy uśmiech rozjaśnił jej rumiane i zaokrąglone oblicze.

— Oto gość! — zawołała do wchodzącego mężczyzny — ny gość! Już my kopę lat nie widzieli pana Topolskiego dobrodzieja w naszej oberży.

— Dobry wieczór pani Szlomowej — odpowiedział Topolski, zdejmując futro. — Zziąblem potężnie! bądź łaskawa i przyrządź co prędzej herbaty, a tymczasem daj mi kieliszek starej wódki dla rozgrzania się, i memu furmanowi także!

Zbliżył się do ognia, a Szlomowa wołała na miszurysa, aby co prędzej nastawiał samowar. Sama zaś przysunęła gościowi krzesło przed ogień, postawiła przed nim mały stoliczek i zaczęła szukać w szafce starej wódki.

— A skąd to pan dobrodziej wraca? — spytała, brzęcząc szkłem w szafie.

— Z powiatowego miasta, pani Szlomowo; opłacałem tam podatki i załatwiałem inne majątkowe sprawy.

— Aj! aj! to pan aż sześć mil ujechał w taki mróz!

— A w gorszą jeszcze zamieć! — dodał Bolesław.

Szlomowa postawiła przed nim butelkę i kieliszek.

— Powiedz mi, pani Szlomowo — mówił Bolesław, nalewając trunek do kieliszka — co to za kobieta w taką okrutną niepogodę siedzi tam na saniach przed waszą oberżą?

Szlomowa dziwnie się uśmiechnęła.

— To młoda pani Snopińska! — odrzekła.

Ręka Bolesława, niosąca do ust kieliszek, zadrżała.

— Pani Snopińska? z Niemenki? — zapytał, jakby nie wierząc własnym uszom.

— Aha! — odparła twierdząco Żydówka.

Bolesław postawił na stole nietknięty kieliszek. Milczał i spuścił oczy.

Szłomowa patrzyła na niego z wyrazem, w którym łączyła się życzliwość i ciekawość.

— Et — ozwała się po chwili — on sam siedzi u nas na sali już z pół godziny, a ona tam marznie na saniach biedaczka!

I pokiwała głową z politowaniem.

— Jakto! — zawołał Bolesław — mąż jej jest tutaj i pozwała na to, aby ona tak długo wystawiona była na taki chłód, wicher i zamieć!

Twarz jego, blada przed chwilą, zapalała.

— Ny! — ozwała się Szłomowa — co pan chce? już on taki! Jak zobaczył światło w oknach naszej sali, to i zaszedł, a jak zaszedł, to i wyjść trudno!

Bolesław zaczął chodzić po izbie. W tej chwili nie wyglądał już na zziębniętego człowieka.

— Ależ to okropne! — mówił do siebie — tak obchodzić się z żoną w półtora roku po ślubie! Cóż to będzie dalej!

Szłomowa prowadziła za nim wzrokiem, w którym wyrażało się pocziwe współczucie, i dosłyszała ostatnie wyrazy Bolesława.

— Ny — rzekła — co będzie dalej? ja panu powiem: źle będzie. Ten pan Oleś to strasznie pusty człowiek! Z początku niby to dobrze było: wziął się do gospodarstwa i zdawało się, że usatkuje się, ale krótko było tego dobrego; już z pół roku, jak znów zaczął bywać u nas na sali, po dawnemu grać w bilard, a nawet już i w karty zaczyna. My ze Szłomą nie kontenci z tego, bo choć to dla nas zarobek, jak panowie bawią się na sali, ale dość jest na to kawalerów i bogatszych panów, niż ten pan Oleś. A żonatemu to już i wstyd, i grzech żonę porzucać i dom przytem. Panią Snopińską my znali od dziecka i złego jej nie życzym, ny, ale co my na to poradzimy... oberża dla wszystkich stoi... A czy on tylko tutaj bawi się... my choć Żydzi, a wiemy o wszystkim, No, już i u pani Karliczowej znów zaczął bywać, a dziś to i żonkę do niej powiozł...

— Jakto? on znowu u pani Karliczowej bywa? — zawołał Bolesław, stając nagle na środku izby.

— Coś więcej jak rok po ożenieniu się nie bywał — cią-

gnęła Żydówka — ale w przeszłym miesiącu pierwszy raz pojechał, a wkrótce potem drugi raz...

Oczy Bolesława zaiskrzyły się, zacisnął zęby i znowu szerokimi krokami chodził po izbie.

— Biedna! biedna! — mówił zcicha do siebie.

Zbliżył się do okna, chciał spojrzeć przez nie na stojące u wrót sanie, ale szyby zamarznięte były.

— Ona zaziębi się i zachoruje! — rzekł znowu do siebie i, nie odwracając twarzy, dodał głośno:

— Czemuż pani Szłomowa nie poprosi pani Snopińskiej, aby weszła tymczasem do karczmy?

— Prosiłam, ale nie chce; mówi, że mąż zaraz wróci i pojada! On tam do północy będzie siedział i nie przypomni sobie o żonie.

Bolesław nie odwracał twarzy od szyb zamarzniętych. Upłynęło parę minut, a wiatr na dworze zdawał się wzmaczać, uderzał o ściany karczmy i ciskał o okna ostrym śniegiem, który dźwięczał po szybach.

Szłomowa patrzyła na odwróconego od niej Bolesława i kiwała głową z politowaniem. Nagle wiatr zadał z hukiem podobnym do grzmotu i piskliwie a przeciągle zajęczał pod oknami.

Bolesław podniósł rękę do czoła.

— Nie, to nad siły moje! ja nie przeniosę, aby ona tam dłużej była! — zawołał, zapominając o obecności Szłomowej i, pochwyciwszy czapkę, bez futra wybiegł z izby.

Przed wrotami oberży sanie stały ciągle na jednym miejscu. Konie parskały od wiatru, dmuchającego im prosto w oczy, furman tupał nogami, stojąc na przodzie, kobieta siedziała na saniach z twarzą ukrytą w zarękawku. Bardzo snadź zatopiona była w myślach, bo nie słyszała kroków zbliżającego się Bolesława.

— Pani Wincento! — rzekł on, stając tuż przy saniach. Wincunia drgnęła i twarz podniosła, z piersi jej wyrwał się słaby wykrzyk.

— Dobry wieczór pani! — rzekł Topolski, a głos jego, wielkim może wysiłkiem woli, brzmiał całkiem spokojnie.

— Dobry wieczór panu — odpowiedziała Wincenta tak cicho, że zaledwie ją dosłyszeć można było.

— Wsiądź pani z sań i wejdź do ciepłej izby — rzekł Bolesław bez żadnych wstępów, łagodnie, ale prawie nakazująco.

Wincenta milczała parę sekund, potem odpowiedziała z widocznym wysiłkiem:

— Mąż mój zaraz wróci.

— To dobrze, ale tymczasem wejdź pani do oberży, inaczej przeziębiesz i zachorujesz — tym samym głosem rzekł Bolesław.

Wincenta nie odpowiedziała tym razem, zdjęła chustkę, która okrywała jej głowę, rzuciła ją na sanie i z widoczną ciężkością, jak każdy, czyje członki mocno są zziębnięte, zstąpiła z sań na ziemię.

Bolesław podał jej ramię, milcząc, wprowadził ją do izby, pomógł zdjąć futro i kaptur i wskazał krzesło, przed ogniem stojące, potem zwrócił się do Szłomowej.

— Herbaty! co prędzej! — rzekł.

Wincunia usiadła, Bolesław stanął naprzeciw niej, oparty o wysoki mur komina.

Milczeli kilka minut i patrzyli na siebie. Może dopatrywali w sobie zmian, jakie zająć w nich mogły przez kilkanaście krótkich, ale tak ważnych w ich życiu miesięcy.

Od chwili rozstania nie widzieli się ni razu. Bolesław nie bywał nigdzie. Mogli się byli spotkać i zobaczyć u wejścia lub wyjścia z kościoła, ale Bolesław przyjeżdżał tam od onej pory zwykle późno, wtedy, gdy wszyscy już byli zebrani na nabożeństwie, modlił się u progu i odjeżdżał przed końcem nabożeństwa.

Wincenta zmieniała się bardzo: nie było to już dziewczę, ale kobieta, nie Wincunia, ale Wincenta.

Zdawało się, że urosła trochę, a zarazem wyszczupiała; cera jej nabrała przezroczystej delikatności, właściwej kobietom uczuciowym i słabym fizycznie; oczy były mniej błyszczące, a powłokły się wilgotnym, przyćmionym połyskiem; zamiast warkoczów nad czołem, włosy jej tworzyły z tyłu głowy miśsterne zwoje.

Wyraz jej twarzy stracił całkiem dawną naiwność i swobodną wesołość, ale jaśniał teraz w oczach całą rozbudzoną a pojętną myślą i zawisał nieokreślonym smętkiem na ustach. Znać było, że przez czas ubiegły dojrzała stopniowo: z jedwabnych pieluch gąsienicy stawała się motylem o rozwiniętych skrzydłach ducha; była i mniej piękną, i piękniejszą, niż dawniej; ludziom bardzo wesołym nie mogłaby się podobać, smutnym nieco — przypadłaby odrazu do serca.

Chociaż nie wydawała się nieszczęśliwą, nieokreślony smę-

tek oblekał całą jej osobę, objawiał się w powolnych ruchach przeciągłym spojrzeniu i przezroczyście bladej twarzy; ubiór jej był piękny, nieledwie wytworny, składał się z czarnej jedwabnej, bardzo długiej sukni i leciuchnej białej koronki, przypiętej na włosach szpilkami o złotych gałkach.

Bolesław zmienił się też nieco, ale mniej od Wincuni. Cera jego pobladła też trochę; między brwiami powstała jedna podłużna zmarszczka, której dawniej nie było; w spojrzeniu uprzednią rzewność, która się w niem przebijała niekiedy, zastąpiło poważne, smute nieco zamyślenie.

Znać było, że duch jego skapał się w długim tajemnym cierpieniu i w cichych samotnych rozmyślaniach, ale zarazem cała jego postać nacechowana była spokojem człowieka, będącego w zgodzie z sobą samym, logicznie i wytrwale dążącego do raz obranych i umiłowanych celów. Węgierska czamarka, ozdobami przypominająca strój rycerski, uwydatniała męską siłę jego postaci, tak samo pełnej ładu i dbałości, ale i ściślej prostoty, jak dawniej.

Oboje patrzyli na siebie długo i milczeli: zdawało się, że w twarzach i postaciach swoich wzajem czytają historię dni, przeżytych w rozłączeniu.

Szłomowa postawiła na stole dwie szklanki herbaty i dyskretnie usunęła się do przyległej stancyi.

Bolesław pierwszy przerwał milczenie.

— Dawno nie widzieliśmy się z panią — rzekł z uśmiechem, w którym znać było trochę wysilenia.

— Półtora roku — odrzekła Wincunia — teraz mamy koniec lutego, a ostatni raz widzieliśmy się...

— Dwudziestego ósmego lipca — dokończył Bolesław.

To jakby umyślne przywołanie na usta daty, pamiętnej w życiu ich obojga, wyraźnie wypłynęło z serc ściśniętych. Wincunia spuściła oczy, Bolesław spojrzał machinalnie w płomień i brwi jego ściągnęły się na chwilę, jakby poczuł ból nagły. W mgnieniu oka rozpogodził twarz znowu i ozwał się, usiłując nadać głosowi ton potocznej rozmowy:

— Szłomowa mówiła mi, że państwo wracają od pani Karliczowej.

— Tak — odpowiedziała Wincunia.

— Jakże się pani podobała pani Karliczowa przy bliższym poznaniu?

Tym razem brwi Wincuni ściągnęły się, lekki rumieniec przebił się przez bladą jej cerę.

Milczała chwilę, wahając się z odpowiedzią, wkońcu wyrzekła zwolna:

— Niesympatyczna!

Z głosu jej, który zadrżał, i z wyrazu twarzy Bolesław musiał wiele rzeczy wyczytać i odgadnąć. Błyskawicznym mgnieniem stanął mu przed oczyma jeden z obrazków przeszłości, owa chwila, w której, na adampolskiej zabawie, ujrzał Wincentę i panią Karliczową, stojące z obu stron Aleksandra, jak dwa sprzeczne, porywające go duchy.

Przypomniął sobie także, iż jedna nazwała siebie płomieniem a druga zefirem, i pomyślał, że teraz obie te kobiety stanęły zapewne naprzeciw siebie do walki, niby te fatalistyczne, wybrane wówczas przez nie, sprzeczne żywioły natury.

Myśl ta bolesną strzałą mózg mu przeszła; jego Wincunia, jego idealna i czysta narzeczona, dziecię jego ducha, kobieta, z którą, lubo rozłączony na wieki, czuł się na wieki zaręczony, w walce z taką istotą, jak pani Karliczowa, zbrukana w bezmyślnem, pełnem kapryśnych miłostek i poniżającej bezczynności życiu?!

Ta jasnowłosa, przezrocza, wiotka i słaba kobieta, jaką miał przed sobą, w walce z tamtą, namiętną, czarnooką, płomienną, i w walce o człowieka, w którego ręku leżała cała jej przyszłość, szczęście lub zaguba!

Wszystkie wspomnienia i marzenia dawne, cała dobroć jego serca, litość, gniew głuchy, zawrzały w nim razem, ale nie objawiły się na twarzy żadnym widocznym znakiem. Przeciwnie, Bolesław uśmiechnął się i rzekł tonem zwyczajnej rozmowy:

— Państwo macie podobno mnóstwo znajomości w sąsiedztwie? Możecie więc pani do bliższych stosunków wybrać te tylko, które jej są sympatyczne.

— Niewiele mam czasu i chęci oddawać się towarzyskiemu życiu — odparła Wincunia i dodała z głębokim wyrazem:

— Mam córkę!...

— A! — rzekł przeciągle Bolesław i w głosie jego zadrżał po raz pierwszy ton ostry i gorzki, a zarazem oczy sposepniały, usta okrzyły się bolesnym wyrazem.

Ale krótko to trwało; przywołał zwykłą spokojność na twarz i rzekł:

— Tak, wiem, słyszałem, że pani masz córkę.

— Śliczna dziecina! — z zapalem matki zawołała Wincunia.

Wzrok Bolesława, wpatrzony machinalnie w ogień, zamglął się wyrazem niezmierniej żalości. Powściągnął ją bardzo prędko i, przenosząc spojrzenie na Wincentę, rzekł:

— Z całego serca życzę pani, abyś była szczęśliwą matką i żoną.

I wyciągnął do niej rękę.

Wincenta podała mu swoją i poczuła uścisk jego dłoni, ten uścisk ciepły, drgający tętnem serca, jakim różnił się on od innych ludzi, i stanęła przed nią przeszłość cała, ze wszystkimi wspomnieniami i węzłami, które ją niegdyś łączyły z tym człowiekiem, odrąconym przez nią, a tak serdecznie życzącym jej szczęścia... czy zaszyły lżą...

W tej chwili skrzypnęły drzwi do sieni i ukazał się na progu człowiek, odziany w pretensjonalną liberyę, osypaną teraz śniegiem.

— Czego chcesz, Pawełku? — spytała go Wincenta.

— Proszę pani — odpowiedział furman z odcieniem zuchwałości w głosie, który znamionował nie zupełną trzeźwość — człowiek nie pies i dłużej nie ustoi na takim chłodzie, a do tego i konie rwą się i nie chcą...

Wincenta wydawała się przez chwilę zakłopotaną, a we drzwiach przyległej izby zjawiała się Szlomowa i rzekła:

— Jeżeli pani pozwoli, pójdę, przypomnę mężowi pani, że pani czeka tutaj i konie stoją na zimnie.

— Dobrze, moja pani Szlomowo — odrzekła, a zwróciwszy się do furmana, powiedziała mu, aby wrócił pilnować koni, a wnet pan ukończy swe interesa ze Szłomą i pojedą.

Szlomowa wstąpiła na schody prowadzące na facyatkę; im dalej szła, tem głośniejszy gwar rozmów, śmiechów i śpiewów bił w jej uszy. Otworzyła drzwi do sali i zatrzymała się przez chwilę na progu, uderzona widokiem, który przedstawił się jej oczom.

Na środku bilardu stał barczysty i wysoki Franciszek Siankowski, głową dotykając prawie sufitu, z kieliszkiem napełnionym w dłoni.

Wkoło niego stało w różnych pozach z dziesięciu mężczyzn młodych i średniego wieku, między którymi był Aleksander Snopiński, także z kielichami podniesionymi w górę; wyraźnie była to owacya, czyniona solenizantowi.

— Niech żyje Franuś! — ozwał się rozgłośny okrzyk w chwili, gdy Żydówka drzwi otwierała; po nim nastąpiła wrzawa, śmiech, koncepty, wykrzykniki, nad którymi panował

gruby głos Franusia, prawiącego jakąś przemowę, w kształcie podziękowania.

Szłomowa, której wejścia nikt nie słyszał, zbliżyła się do Aleksandra i pociągnęła go za połę surduta.

— Czego chcesz, utrapiona Szłomowo? — zawołał, oglądając się, Snopiński.

— Przepraszam pana — rzekła Żydówka — ale żona pańska czeka na dole w izbie i konie stoją...

Wszyscy umilkli na chwilę. Aleksander pochwycił się za głowę.

— O, dla Boga! — zawołał — zapomniałem!

Postawił kieliszek na bilardzie i rzekł do towarzyszy:

— No, bywajcie zdrowi! muszę jechać!

— Jakto! porzucasz nas! — zawołało kilka głosów — tak prędko? Za nic nie zgodzimy się na to!

Kilka rąk ujęło go za ramiona.

— Bójcie się Boga!... żona!... — zaczął z zakłopotaną miną Aleksander.

Homeryczny śmiech wybuchnął.

Franuś, stojący ciągle na bilardzie, zaczął złośliwie kiwać głową i zaintonował basem piosenkę:

»Wilczyśko się ożeniło,

Uszy opuściło!«

Śmiech zdwoił się, a przytem coraz więcej rąk trzymało Aleksandra za poły i ramiona.

— Nie puścim! nie puścim! — wołano ze wszech stron.

— Jabyś dalibóg chciał z wami pozostać, ale cóż z żoną zrobić? — tłumaczył się Aleksander.

— Ny, może państwo zanocują w oberży? — ozwała się Szłomowa.

— Bój się Boga, Szłomowo! o milę od domu nocować...

— Mnie spytaj się! — krzyknął Franuś, zeskakując z bilardu — dam ci radę: odpraw żonę do domu, a sam zostań z nami!

— Złoty Franuś! kochany Franuś! jedyny do rady! — zawołało kilka głosów.

— A cóż? może i zrobię tak? — rzekł Aleksander, namyślając się.

— Zrób tak, zrób, Snopiński! — wołano. — Cóż się stanie

twojej żonie, gdy sama odjedzie? Przecie konie masz spokojne i furmana dobrego! zresztą tak blisko...

— Spróbuj — rzekł Aleksander i wybiegł z sali, a za nim w pogoń zabrzmiała wśród śmiechów hulaszczą pieśń towarzyszy:

»Wilczyśko się ożeniło,

Uszy opuściło!«

— Nie opuściło! zobaczycie, że nie opuściło! — odkrzyknął im ze schodów już Aleksander, i pędem wbiegł do izby na dole.

Tak był zajęty i zakłopotany, że zrazu nie spostrzegł Topolskiego, który stał pod oknem o kilka kroków od Wincuni; podbiegł do żony i, biorąc ją za rękę, rzekł śpiesznie:

— Przepraszam cię, moja duszko, że tak długo czekałaś na mnie, ale prawdziwie nie mogłem wrócić prędej, i teraz, gdybyś sama odjechała do domu, byłoby bardzo dobrze, bo mnie tu...

— Ależ ja obawiam się jechać w taką noc sama — łagodnie przerwała Wincenta, ze zdziwieniem patrząc na męża.

— Czegoż się masz obawiać, moja droga? Pawełek doskonale wozi.

— Ale nie zupełnie dziś trzeźwy... — dorzuciła Wincenta.

— Imaginacya! — zawołał Aleksander i w tej samej chwili wzrok jego upadł na twarz Topolskiego.

— Pan Topolski tutaj! jak się pan ma! — wyrzekł z lekkim zakłopotaniem i nagle myśl błysnęła mu w oczach.

— Co za szczęśliwy traf! — zawołał. — Wszak państwo jadą w jedną stronę! Pan zechce towarzyszyć mojej żonie do Niemenki? nie prawdaż? Bo widzisz pan, ja mam tu tyle interesów...

Bolesław wystąpił z cienia.

— Jeżeli pani życzy sobie tego, z chęcią ofiaruję się jej na towarzysza podróży — rzekł do Wincenty z poważną grzecznością. Ale Wincenta powstała z krzesła, iskra energii i żalu błysnęła w jej oku.

— Dziękuję panu — odrzekła — jeżeli mąż mój nie może mi towarzyszyć, pojedę sama. W istocie cóż mi się stać może! — I zmierzała ku swemu futru.

— Przepraszam panią — z powagą ozwał się Bolesław —

ale na to, aby pani jechała sama w noc tak burzliwą i z nie zupełnie trzeźwym furmanem, ja znowu nie pozwolę. Jest tu nas obok pani dwóch mężczyzn, i skoro jeden nie może, drugi »powinien« strzedz pani od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Szczególny nacisk położył na wyraz »powinien« i zarazem surowy wzrok utkwiał w twarzy Aleksandra.

Snopiński spuścił oczy i zdawał się przez chwilę zakłopotany, ale wnet, odzyskując zwykłą śmiałość i przytomność umysłu, zawołał:

— Nieoceniony pan jesteś, panie Topolski! bardzo panu będę obowiązany za przysługę, jaką nam obojgu wyświadczasz...

I wyciągnął dłoń do Bolesława. Ale Topolski udał tak zajętego podawaniem futra Wincuni, że gość Aleksandra został bez odpowiedzi.

Po chwili wszyscy troje wyszli przed wrota oberży, a za nimi wysunęła się też z latarnią osłoniętą chustką Szłomowa. Bolesław rzekł z cicha do Aleksandra:

— Rozkaż pan swemu furmanowi usiąść na moje sanie, a żonę pańską ja sam powiozę.

Snopiński odezwał się do furmana, pocałował żonę w rękę i wbiegł do oberży, a za nim wróciła Szłomowa, postępując na zimno.

Aleksander jednym susem był już na schodach do facytki, i kiedy na nie wstąpił, razem z hukiem wiatru doleciał go z jednej strony śmiech i śpiew hulających towarzyszy, z drugiej dzwonek sań, uwożących jego żonę.

Przystanął i zamyślił się na chwilę; lekki wyrzut i niezadowolenie z siebie samego odbiło się na jego ruchliwej twarzy, ale w mgnieniu oka rozpogodził ją, poskoczył i z piosnką na ustach wszedł na salę.

Na świecie nocna burza huczała ciągle; wicher leciał z północy, szalał po polach, szumiał, huczał, przycichał chwilami i zrywał się znowu ze zdwojoną gwałtownością, a nie znajdując żadnej opory na gładkiej równinie, porywał mgłę śniegową, tworzył z niej bryły, tumany i gwałt je wściekle, to rozsypując w proch drobny, koleczasty, to zbijając w masy chmurzyste i lecąc z nimi daleko, szeroko, aż pod odległe ściany lasów, o które rozbijał się, grzmiąc, jęcząc, wzdychając, jakby zjednoczonymi piersiami mnóstwa olbrzymów.

W górze sklepienie całe oblokło się szarą oponą, niby jednolitym, na jakimś olbrzymim warsztacie utkanym obrusem; ani

jednej gwiazdy nie było, dziwne jakieś szelesty płynęły nisko po ziemi, z pod nieba huk zdawał się spadać potężną gamą, przerażliwe jęki przeszywały powietrze i w dali kończyły się westchnieniami, zdającymi się wychodzić z łona zmęczonej i szamotanej ziemi.

Wśród tego zamętu wzburzonych żywiołów, wśród tej dzikiej muzyki rozszalałej natury, Bolesław wioził Wincunię. Traf oddał ją raz jeszcze w opiekę jemu.

Milczeli oboje, konie postępowały z trudnością wśród coraz wzrastającego nawału śniegu, dość prędko jednak pociągały za sobą sanie, zachęcane niekiedy głosem Bolesława.

Jakie były wówczas myśli tego człowieka, który, po długim rozłączeniu, znalazł się znowu z tak bardzo ukochaną przez się kobietą sam na sam, pośród przestrzeni, pełnej przerażających odgłosów, pod chmurnym niebem, na którym nie było nawet ani jednej gwiazdy, coby na nich patrzeć mogła?

Czy w piersi jego wrzała taka sama burza, jaka wstrząsała przyrodą?

Czy dawne uczucia ostygły w niej i teraz już nie dotykały strun jego serca?

Czy człowiek ten udawał spokój, czy był spokojnym w istocie?

Trudno było odgadnąć, ale ile razy wicher rozpędził chmury na kawałku nieba i tuman śniegowy, rozpadłszy się po ziemi, przezroczyście zostawił powietrze, Wincunia widziała wyraźnie postać jego, silnie trzymającą lejce i, zda się, samą jedną spokojną wśród burzy ogólnej.

Niekiedy spostrzegała profil jego twarzy: była ona blada i surową; parę razy zwrócił się ku niej, poprawiał futro, pokrywające jej nogi, i pytał, czy jej nie zimno. Głos jego był całkiem spokojny; Wincuni wydało się, że obok spokoju dźwięczała w nim pewna niezwykła mu surowość; przytem Bolesław mówił cicho i z trudnością.

Czy głos jego głuszony był wrzawą wichrów? Czy tłumila go wrzawa wewnętrznej jego burzy?

A jakież były myśli Wincuni, która ujrzała siebie znowu z tym samym człowiekiem, co wypielegnował jej dzieciństwo, ukszttał jej ducha, ukochał ją i w ręce jej złożył swoje szczęście, a którego ona odrzuciła, oddaliła od siebie i tak długo nie widziała?

Smutne musiały być te myśli, bo młoda kobieta pochyliła głowę i znowu ukryła twarz w futrzany zarękawek, a Bolesław

wowi wydało się, że, razem z szelestem lecącej po ziemi śniegowej kurzawy, dosłyszał za sobą odgłos westchnienia. Nie obejrzał się jednak, tylko, gdy rozstąpiła się chmura, pędząca z przodu, twarz jego ukazała się bardziej jeszcze bladą, bardziej surową, niż była.

Niekiedy tracili drogę wśród zamieci. Bolesław powstrzymał konie, zsiadał z kozła i, odnalazłszy ślady sań, które utorowały drogę, wracał na swoje miejsce. Wincunia zwróciła się raz ku niemu i rzekła:

— Mój Boże, jak się też pan dla mnie utrudza!

Bolesław nic nie odpowiedział: Wincuni zdało się, że po ustach jego przemknął dziwny jakiś uśmiech.

Raz, po odnalezieniu straconej drogi, Bolesław nie usiadł odrazu na swoje miejsce, stanął przy saniach i zaczął wsłuchiwać się w burzę.

— Nie prawdaż, pani — ozwał się po chwili — że te huki i grzmoty wiatrów, to jakby odgłosy olbrzymich walk, przekleństw i szamotań się milionów ludzi, dochodzące ze wszystkich stron świata.

— A te dalekie jęki i westchnienia podobne są do narzekania ludzi, płaczących po swem utraconem szczęściu — odrzekła cichym głosem Wincunia.

Bolesław żywo zwrócił ku niej głowę; zdawało się, że jakieś słowo, jakiś wykrzyk miał wyrwać się z ust jego; nie jednak nie rzekł, prędko usiadł na swoim miejscu i zawołał na konie.

Pod gajem błysnęły światelka. Dojeżdżali już do Niemienki.

— Jesteśmy u kresu naszej podróży — rzekł Bolesław i w kilka chwil potem oboje stanęli na ganku domu niemenkowskiego; sanie Bolesława tuż za nimi wyjechały na dziedziniec.

— Spodziewam się — rzekła Wincunia — że pan wstąpisz do mnie choć na chwilę i rozgrzejesz się ciepłą herbatą.

— Nie, pani — odpowiedział Bolesław — nie jestem bynajmniej zziębnięty i muszę śpieszyć do domu...

Ton jego był stanowczy.

Wyciągnął rękę do Wincuni na pożegnanie, ona mu swoją podała i zdziwienie odmalowało się na jej twarzy. Mimo wielkiego chłodu, dłoni Bolesława była rozpalona; spojrzała na twarz jego, na którą padało światło świecy, stojącej w oknie — wydawała się ona zupełnie spokojna.

W kwadrans potem stary Krzysztof, który dnia tego spodziewał się już powrotu swego pana, otwierał przed nim drzwi domu topolińskiego i, śmiejąc się głośno z radości, pomagał mu zdejmować futro.

Nagle urwał się śmiech na ustach pocziwego sługi, w oczach jego odmalował się przestach.

— Chryste Panie! — zawołał — a co to panu takiego? Czy nie chory pan, broń Boże!

Bolesław był niezmiernie blady, oczy mu pałały gorąco i drżenia nerwowe co moment przebiegały po ciele.

— Nic mi nie jest, kochany Krzysztofie — rzekł stłumionym głosem — przeziębłem trochę.

— Ot, tak! ja mówię, że te podróże zimą to zawsze na złe wychodzą. Siadź-że pan przy ogniu, zaraz herbaty przyniosę.

I stary zaczął krzątać się po pokoju, gderząc i mrucząc.

— Niczego mi nie potrzeba, mój pocziwy Krzysztofie — rzekł Bolesław — herbaty pić nie będę, zostaw mnie samego.

Krzysztof, pokręciwszy się jeszcze po pokoju i pogderawszy, wyszedł, wprzód jednak położył na stole przed krzesłem, na którym zwykle siadał Bolesław, list zapieczętowany.

Po wyjściu sługi, Bolesław rzucił się na krzesło, ukrył twarz w obu dłoniach i ciężko westchnął. Okropny przymus, jaki zadawał sobie przez dwie godziny, wyczerpał na chwilę jego siły.

Maska obojętności, jaką z ogromnym wysiłkiem woli włożył był, opadła, i gdy ujrzał się sam, wrażliwa jego natura dopominała się o swe prawa. Dzisiejsze spotkanie wstrząsnęło całą jego istotą. Wszystkie wspomnienia odżyły w wyobraźni, wszystkie przebolełe uczucia zawrzały w sercu, odnowiły się, wzmożyły.

Wincunia ukazała się jemu stokroć piękniejsza, niż dawniej, opromieniona dojrzałością ducha, który przeglądał w jej spojrzeniu, jaśniejszy, wyraźniejszy, niż wprzód, uroczą smętkiem i słabością fizyczną, uwytatniającą się w jej przezroczyściej cerze i wiotkiej postaci.

On w sercu swem nie zachował do niej najmniejszego żalu, ale gdyby nawet została w niem była jaka kropla goryczy, dziś wszystko jej przebaczył, o wszystkim zapomniał, widział tylko, że na drodze jej życia stało widmo nieszczęścia, i czuł, że kocha

ją, kocha ją więcej jeszcze, niż dawniej, z siłą zdwojoną rozłączeniem i trwogą o jej przyszłość, kocha ją do ostatnich granic możebności.

Duch jego ugiął się na chwilę, zbuntowany przeciwko losowi. Podniósł głowę i ukazał twarz, zalaną wyrazem boleści, graniczącej z rozpaczą.

Machinalnie wpatrzył się w pismo, leżące przed nim na stole, a im dłużej patrzył, tem jaśniejszy promień rozpraszał posępne chmury, nagromadzone na jego twarzy. Wkońcu rzekł zcichą, z niewysłowionym wyrazem moralnej pociechy:

— Od Andrzeja!...

Otworzył list i przebiegł go oczyma przy żywym świetle kominkowego ognia. Im dalej czytał, tem większe uspokojenie rozlewało się po jego twarzy: rozpacz uprzednia znikła z oczu, a zastępował ją zwykły mu łagodny smutek. Oparł głowę na rękę, położył papier przed sobą i wpatrzył się w pismo przyjaciela.

Usta jego poruszały się powoli cichym szeptem, niby powtarzając zmęczonemu sercu słowa zachęty i pociechy, czerpane z kartki, leżącej przed oczyma.

Długi list pana Andrzeja kończył się słowami:

»Pamiętaj o tem, że nie jesteś u kresu cierpień życiowych. Jakichkolwiek doświadczyłeś już boleści i jakiegokolwiek spotkają cię dalej, zawsze przyjdą po nich inne jeszcze i inne, i do nich masz gotować duszę swoją. A choćby one niezmierne były, choćby się wydawały większemi, niż siły twoje, nie rozłączaj się nigdy z myślą, że »nie wolno« ci ugiąć się pod niemi. Głęboko zapisz w twej pamięci wyraz »nie wolno«. Pospolity on i twardy na pozór, ale tkwi w nim prawda i powinność, które mają stać na straży twego życia. Cierpienia twoje do ciebie należą, praca twoja, myśl i działalność są własnością ogółu. Zrywając je dla jakichkolwiek osobistych przyczyn, rozmiągając się z niemi lub zwalnając je choć na chwilę, popełnisz kradzież, bo odbierzesz ogółowi wyniki twojej siły duchowej, do których on ma prawo. Będziesz wiele cierpiał, ale nie przestawaj być mężnym; stopy twe pokrwawia się na kamienistej drodze życia, ale stawiaj je niemniej śmiało i ciągle naprzód, a idąc tak z ciężkością lecz wytrwale, nie patrz na ciasny kraniec własnego widnokręgu, ale okiem myśli wybiegaj w świat szeroki i obejmuj

go taką miłością, która zagoi rany twego serca i tłumem wysokich uciech napelni twoją samotnię, z której znikły marzone przez cię uciechy«.

Noc była głęboka, gdy Bolesław pisał do pana Andrzeja odpowiedź na list otrzymany przed chwilą:

»Tak, zacny przyjacielu, nie jestem u kresu moich cierpień i bodaj, że nigdy kresu one mieć nie będą. Byłem smutny ale spokojny, dziś spotkałem Wincunię i znowu burza zawrzała we mnie. Przestawałem być panem siebie, rozpacz wparła się do mych piersi przemocą, i kto wie? może długo, może nigdy, nie odnalazłbym siły mego ducha, gdyby nie słowa twoje, które znowu powitały mię w chwili boleści. Przyszedłeś z niemi w samą porę, dzięki ci za to! Spotkałem cię po raz pierwszy w porze szczęścia i pogody, a dalej postępuję z bratnim twym duchem po drodze niespodziewanych cierpień.

»Wśród niej idziesz obok mnie w roli sumienia i rozumu, wspierając mię, ile razy się ugnę, przypomnieniem powinności i serdecznie umiłowanych celów mego życia. Przed dwiema godzinami byłem zgębiony, zrozpaczony, pełen strasznych skarg wewnętrznych i zwątpień; po odczytaniu listu twego i długiem rozmyślaniu nad jego treścią, stałem się do tyła przytomnym i władającym sobą, że mogę ci, zacny i mądry przyjacielu, choć pobieżnie opowiedzieć o sprawach, które zajmowały mię najmocniej w ostatnich czasach.

»Dziś powróciłem z powiatowego miasta, gdzie uzyskałem nareszcie pozwolenie na wzniesienie w X. szpitala dla chorych chłopów i Żydów i umieszczenie przy nim stałego lekarza. Szpital ten, zbudowany i urządzony z jednorazowych składek, zebranych w całej okolicy od ludzi bogatych i oświeconych, będzie utrzymywany dalej kosztem klas, które będą z niego korzystały.

»Inicyatywę do tego zakładu dał nasz zacny proboszcz, ja poparłem u sąsiadów myśl jego i utworzyliśmy w tym celu rodzaj komitetu, złożonego z kilku ludzi najoświeceńszych w okolicy i najbardziej dbałych o dobro powszechne, w celu jak najlepszego ułożenia planu całego przedsięwzięcia, obrachowania jego kosztów i t. d. Muszę też dodać, że do małego tego obradującego zebrania, za

moją przyczyną i namową, został wezwany młody Aleksander Snopiński. Sądziłem, że szlachetna myśl obudzi w nim szlachetne popędy, i ten pierwszy krok na drodze publicznego działania wprowadzi go na dalszą drogę poważnych dążeń.

»Zrazu wydało mi się, że się nie omylił. Zajął się był żywo naszymi projektami i obradami, złączył się z nimi gorliwie i muszę przyznać, że rzucił nam nawet parę światłych i trafnych myśli. Z niewypowiedzianą przyjemnością patrzyłem na to, ciesząc się w duchu nad wyraz, że jeden z członków towarzystwa, do którego należę, i to mąż kobiety, o której przyszłość dbam więcej, niż o własną, zaczyna nabierać zacnych i poważnych zamiłowań. Niestety! radość ta krótko trwała.

»Pan Snopiński, gorliwy i ochotny na pierwszych posiedzeniach naszego małego komitetu, na trzecim był roztargniony, na czwartym znudzony zupełnie; na piątę już nie przybył wcale i wkońcu uchylił się całkiem od zajęć naszych.

»W człowieku tym są dobre popędy, ale niema dostatecznie wyrobionej siły do zmienienia ich w stałe dążenia zasady. Podaną mu dobrą myśl chwyta zrazu gorączkowo, ale prędko ostyga i umysł jego, nawykły do próżnowania, nuży się wkrótce i zwraca ku lekkim przedmiotom, do których przywykł, lub całkiem usypia.

»Zdolności nawet bardzo żywych i energicznych mu nie brak; to nawet, czego nie umie i o czym pojęcia nie ma, zdaje się odgadywać siłą intuicji i wrodzonego sprytu; ale te niepospolite zdolności przytłumione są grubą warstwą zaniedbania.

»Myśl jego porównać można do niezmiernie urodzajnego, ale opuszczonego pola: im więcej w niem soków żywotnych, tem bujniej i gęściej porastają na niem chwasty; niekiedy rozkwita wśród nich kwiat piękny, świadczący o sile gruntu, ale wnet usycha i opada, zagłuszony chwastami.

»Studowałem tego człowieka z całą mocą mojej przenikliwości, ilem razy go spotkał. Zaprawdę! nikt mi nie odmówi prawa do tych studyów, bo oprócz tego, że jest on moim rodakiem, a zatem, wedle mnie, jednym z braci moich, w ręku jego jeszcze leży przyszłość istoty, którą ze wszystkich ludzi najgoręcej ukochałem!

»Otóż przyszedłem do wniosku, że gdyby człowiek ten był inaczej wychowany, miał szerszą wiedzę i poważniejsze przyzwyczajenia, mógłby posiadać niepospolity umysł i energię działania w moc wrodzonych zdolności i wielkiej siły żywotnej, która w nim leży. Dziś zdolności te zwróciły się ku fraszkom i dogadaniu samemu sobie, siła wewnętrzna stworzyła gorączkowe rwanie się ku hulaszczym rozrywkom i zmysłowemu uciechom. Dziś głównymi wadami jego są: samolubstwo i rozpasane w próżniactwie, bezładne obyczaje. Chyba cud jaki zbawić go i na dobrą drogę wprowadzić zdoła.

»Jeżeli cud się nie stanie, jest on zgubionym człowiekiem... a ona? Przejrzałem ją dziś do głębi i wiem z pewnością, że już cierpieć zaczyna i mieć objawienia swej smutnej przyszłości. Groźna ta dola jej stanowi największą część żalu mego i cierpienia.

»Daj Boże, abym się mylił, ale widzę przed nią stanowcze i nieuniknione nieszczęście: on jej już nie kocha... jeśli to uczucie, które miał dla niej — szal zmysłów i fantazję młodzieńczą — można było kiedy zwać miłością... Zdaje mi się jednak, że i te cienie miłości już zniknęły i wkrótce żona stanie się mu ciężarem — kulą u nogi... Oprócz tego zrujnuje się on majątkowo niechybnie; zamierza podobno stawiać dom nowy, który w zmniejszeniu ma być wystawiony na podobieństwo pałacyku pani Karliczowej w Piasecznej.

»Niemenka runie pod ciężarem tej miniatury mieszkania bogatej pani; zresztą powozy, goście, meble z Warszawy, a gospodarstwo zaniedbane... w przeszłym roku nie prawie z pól nie zebrano...

»Wincunia po raz drugi zagrożona jest nędzą... Ha! ja tu jestem i po raz drugi oddalić od niej potrafię to ciemne widmo; ale jakże uchronię ją od cierpień moralnych, niepokojów domowych i od zawodów rozczarowania, których posępny wschód widziałem dziś w jej chorobliwie przeczystej cerze i smętnem spojrzeniu? To już nie jest w mej mocy, a gdy o tem myślę... braknie mi na chwilę sił do skreślenia tych wyrazów spowiedzi przed tobą, jedyny mój przyjacielu...

»Trzeba jednak, abym ci opowiadał dalej o losach naszego przedsięwzięcia; znasz serca ludzkie, więc nie zdziwisz się, że do opowiadania tego wmieszał się wy-

krzyk bolesny serca i gorące wspomnienie kobiety... Choć rozłączony z nią na zawsze, z nią jestem ciągle i widzę ją nieustannie przed sobą, a widzenie to nie szkodzi mi, bo postać jej umieściłem w najpromienniejszej sferze moich myśli i celów. Idąc więc ku niej, dążę ku nim; zresztą niech osobiste bóle i miłości mieszają się co chwila z ową warstwą szerokich pojęć i uczuć, o których mówiliśmy z sobą kiedyś, niech tylko nie rozmiękczają jej gruntu.

»Tak tedy, po kilku posiedzeniach, stanowczo obmyśliśmy i ułożyli plan szpitala, a następnie przedstawiliśmy go wszystkim sąsiadom i wezwaliśmy ich do składki. Ta część dzieła poszła z niespodziewaną łatwością. Tym razem przedstawienie dobroczynnego planu odbyło się w licznej zebraniu, w domu Siankowskich.

»Komitecik nasz wybrał mnie na mówcę i tłumacza swych myśli. Opowiedziałem, jak mogłem, o korzyściach i potrzebie zakładu, a gdy skończyłem, z wielkim zdziwieniem ujrzałem łzy w oczach starych, a zapal we wzroku młodych sąsiadów. Zaczęli mię ścisnąć i całować, wyprawili mi małą owacę, a następnie wszyscy sięgnęli do kieszeni.

»Ogólna suma składki przeszła wszelkie oczekiwanie: nie było między nami wcale bogatych ludzi, ale było nas wielu, a jak mówi przysłowie »gromada to wielki człowiek!« W czasie, gdy każdy składał swój dar na tacy, postawionej w tym celu na stole przez córki gospodarza domu, pilnie obserwowałem fizyonomię dających, aby zbadać wewnętrzne pobudki, skłaniające ich do dawania. Największa liczba była tych, którzy kładli pieniądze z chwilowego popędu, zapалу, rozczerwienia: ci dawali średnią sumę.

»Po nich było jeszcze wielu dających przez próżność i chęć pokazania jawnego dostatków swych lub filantropii: ci dawali więcej od pierwszych.

»Najmniejsza liczba była tych, którzy składali ofiary z gruntownego przekonania o ich użyteczności, ale ci dawali najwięcej, więcej nawet, niżby w istocie wymagały ich środki.

»Aleksander Snopiński położył na tacy najznaczniejszą sumę i spojrzał przelotnie na wszystkich, czy widzą wielkość jego daru. Miałem ochotę powiedzieć mu, aby lepiej dał mniej, ale położył pieniądz swój tak, iżby tego

nikt nie widział. I komu innemu powiedziałbym to może z powodu starszego wieku i dobrych chęci, ale względem Aleksandra słowa moje mogłyby ująć za osobistą urazę, a więc chybić celu. Wincuni nie było na tem zebraniu; podobno od czasu, jak została matką, rzadko wyjeżdża z domu, i w istocie dziś to po raz pierwszy ją spotkałem...

»Koniec końców, plan był ułożony, pieniądze zebrane i pozwolenie władzy gotowe. Na wiosnę, to jest za miesiąc, dom szpitalny zacznie budować się w X. Muszę dodać, że hrabina X., zawiadomiona przez swego plenipotentą, przysłała rozporządzenie, aby drzewo na tę budowę wzięte było z jej lasów, a pani Karliczowa, podobno za wstawieniem się Aleksandra, w porze, gdy projektem naszym gorączkowo był zajęty, ofiarowała swoich domowych płatnych przez nią rocznie rzemieślników.

»Tak więc, za jakie pół roku, zakład rozpocznie swoje czynności. Niezmierne dobro spłynie stąd na okolicę. Dotąd biedni ludzie chorują i umierają prawie zawsze bez pomocy lekarskiej, co więcej, wzywają ratunku u czarowników i czarownic, którzy popychają ich ku śmierci i zaciemniają ich umysł mnostwem guseł i wiarą w czary. Teraz każdy chory Żyd lub włościanin będzie mógł udać się do szpitala, gdzie znajdzie obszerne izby, zdrowe powietrze, pokarm odpowiedni, lekarstwo i doktora.

»Doktor ten, oprócz tego, będzie obowiązany, z pomocą dwóch felczerów, objeżdżać okolicę i przestrzegać zachowywania przepisów higieny. Jeżeli trafimy na człowieka pracy i przekonania, mam nadzieję, że potrafi on może wlać w niskie warstwy ludowe zamięłowanie czystości i porządku, które stanowią główną rękojmnię publicznego zdrowia.

»Dwory szlacheckie odniosą też niemałą korzyść ze stałego pobytu w X. lekarza, gdyż dziś zmuszeni jesteśmy, w razie choroby, posyłać po niego o mil kilka. Ułożyliśmy jednak, że pierwsze tylko wzniesienie zakładu ma być kosztem dobrowolnych ofiar spełnione, a następnie chorzy płacić będą za pobyt swój w szpitalu.

»Postanowienie to wynikło z przekonania, że jałmużny na nic się nie przydały, chyba w razie zupełnego i stwierdzonego ubóstwa, a zbawienniejsze jest, jeśli każdy zapracuje sobie, tak na życie w zdrowiu, jak na otrzymanie

ratunku w chorobie. Z tem właśnie będzie najtrudniejsza sprawa! Jak tu wmówić chłopom, aby nie wierzyli znachorom i płacili za lekarstwa? Żydom, aby się powierzyli chrześcijańskiej opiece?

»Na szczęście kapłan nasz ma wielką wziętość u pierwszych, a ja, nie wiem jakim sposobem, natchnąłem szczególniejszą ufnością ku sobie drugich, do tego stopnia, że nieraz, zamiast do rabina, przychodzą do mnie, abym ich sądził w ich sprawach, co mię niekiedy serdecznie rozśmiesza.

»Mam więc nadzieję, że gdy do nas dwóch dołączy się jeszcze kilku ludzi dobrej woli i wiary, propaganda nasza pójdzie żwawo i dobrze i zdołamy przekonać tych biedaków, że lekarstwa, przygotowane w aptece, są tysiąc-kroć skuteczniejsze, niż czary i zamawiania bab, że doktor więcej umie, niż znachor, i że w porządnej, czystej izbie szpitalnej człowiek łatwiej wyleczony być może, niż w dymnej chacie.

»Dla powodzenia naszych w tej mierze przedstawień, liczę bardzo na doktora, który na wiosnę ma już przybyć do X. dla stałego tu zamieszkania. W klasie specjalistów łatwiej o ludzi przekonania, bo sama nauka już je w nich wlewa; a gdy doktor do przekonań głębokich dołączy jeszcze gorące serce i miłość dla ludzi, to już pewno będzie to mocna i wielka dusza, która wiele dokazać zdoła.

»Ta walka z ciemnotą, którą nam stoczyć przyjdzie, więcej mię smuci, niż przestrasza. Że dokażemy swego, rękojmnią nam jest szczerą chęć nasza i silna wola, ale sam fakt jest niezmiernie smutny. W naszym to więc, oświeconym niby, wieku, są jeszcze miliony ludzi, którym z największym trudem przychodzi wmawiać pożytek najelementarniejszych prawideł, prawideł higieny i ekonomii społecznej; ludzi, którzy nie mają najmniejszych pojęć o dobrodziejstwach nauki, przeciwnie, lękają się jej i wolą opłacać oszustów, których zwą czarodziejami, niż lekarzy, mogących im przyjść z rzetelną pomocą!

»Te myśli nasuwają mi marzenia o szkółce ludowej, któraby obok szpitala stała, i o nauczycielu wiejskim, któryby rozjaśniał umysły młodego pokolenia, w czasie, gdy doktor zajmowałby się leczeniem ich fizycznych cierpień...

»Świetne to marzenie, za niem postępują inne i inne

jeszcze i końca niema tym pragnieniom, jakie się tworzą w sercu dla dobra tych, którzy na wspólnej ze mną ziemi mieszkają...

»Ale nie czas jeszcze, trzeba wprzód jedno dzieło przyprowadzić do końca, a potem dopiero brać się do drugiego; gdy wiele rzeczy razem się rozpoczyna, żadna nie będzie spełnioną, jak należy: rozwagi, wytrwałości i cierpliwości...«

II.

Młode małżeństwo.

Idziesz sobie drogą życia powoli, z trudnością — jak wiadomo, idzie się zwykle po grudzie i ślocie — a w podróży, dla rozrywki lub korzyści, przypatrujesz się postaciom i fizjonomiom tłumu współtowarzyszy, którzy wędrują razem z tobą, mniej lub więcej podobni do ciebie, ale niezawodnie dążą do tego samego celu, który u kresu stoi blady i niemy, a nazywa się — śmierć.

Patrzysz więc na jednych, którzy postępują jęcząc i stękając za każdym krokiem, na innych, którzy każdą piędź przebytej ziemi oblewają łzami z pod serca wytoczonemi, na innych, co ciągną za sobą nieustannie ciężki pług pracy, a oczyma pełnemi miłości patrzą wkoło lub z nadzieją podnoszą je ku niebu, i na takich, co pełzają po ziemi, niby brudne płazy, tarzając się w błocie i kurzu, i na innych jeszcze, którzy, skacząc, jak pliszki, i podlatując, jak motyle, z pustym śmiechem i hulaszczą pieśnią przechodzą połowę drogi, a potem padają znużeni w bólach i z uśmiechem niewiary na ustach dopelzają do wszystkimi wspólnego celu.

Patrzysz na to wszystko i myślisz sobie: mój Boże! jakże oni wszyscy biedni, smutni lub wstrętni.

Ci skrwawione serce niosą na twarzach; ci uginają się pod ciężarem pracy, dla której nagrodą daleka; tamci ot skaczą i śpiewają, lecz tuż, tuż upadną i będą najnieszczęśliwsi, bo w sercach nie zostanie im ani jedna iskra pocziwej miłości, a natomiast napełnione one będą bezmiernem szyderstwem.

I cóż więc prawiono mi o cudach tej ziemi, gdym w dzieciństwie oczy dopiero na świat otwierał? Gdzież to wesele, te blaski, te szczęścia chwile rozliczne, o których śniłem, gdy mi po raz pierwszy dusza młodym ogniem zawrzała? Co pocieszy wzrok mój? na czym spocznie oko? czem się zachwyci serce?

Gdy tak idziesz i dumasz, przelatuje obok ciebie cudowne zjawisko.

To dwoje ludzi: mężczyzna i kobieta.

Zdaje się, że idą po ziemi, a jednak nie dotykają jej; lecą, lecą, owiani różanemi chmurami, które zakrywają przed nimi świat cały, tak, że on już ją tylko, a ona jego widzieć może. Oczy ani ku ziemi spuszczaają, ani ich wznoszą do nieba, ale tylko ciągle, z zachwytem wpatrują się wzajem w swe twarze. On kibić jej ujmując ramieniem, ona rękę na jego czole złożyła, a usta złączone pocałunkiem...

Mówisz do nich, nie słyszą... zachodzisz im drogę, mijają cię, jakbyś był nędznym robakiem w obliczu ich promiennej światłości... i do tego stopnia są zatopieni w sobie, że gdybyś nawet do kobiety zawołał: piękna! nie zwróci się ku tobie, gdybyś przed mężczyzną postawił najczarowniejszą z kobiet na ziemi, ani spojrzy na nią...

Na czołach ich gloria szczęścia, u ramion skrzydła, splecione z miłości i zachwyty, z ust połączonych pocałunkiem tryskają płomienie...

Patrzysz zdziwiony, zachwycony i pytasz współtowarzyszy: co to za świetne zjawisko? kto są ci półbogowie, co śmia blaskiem szczęścia zaćmiewać oczy cierpiących, zmęczonych, smutnych?

Słyszysz odpowiedź: to młode małżeństwo!

I wszystkie otaczające piersi łączą się westchnieniem, wydając okrzyk: szczęśliwi!

Chcesz znać dzieje tych dwojga wniebobranych? Oto są one: On był młody i ona była młoda, posiadali wdzięki młodości i serca młode, spotkali się, uczuli do siebie pociąg wzajemny, zrazu silny, potem silniejszy, potem najsilniejszy, powiedzieli sobie wzajemnie: kocham! poszli do stopni Ołtarza. Ksiądz związał ręce, rzucili się sobie w objęcia i odtąd lecą przez świat rozkochani, bezpamiętnie...

Pytasz, czy przejrzeni się wzajem do głębi? czy dusze ich takim samym pocałunkiem złączone, jak usta? Nie, bo gdyby tak było, nie widzieliby ich zachwyty, skryłyby się one przed

wszelkim wzrokiem głęboko, jak kryje się zwykle każde głębokie uczucie...

Pytasz, czy dawno lecą tak?

— Tydzień, miesiąc może.

— Czy długo tak lecieć będą?

— Rok jeszcze najdłużej.

— A potem co?

— Potem rozplotą się ramiona, odwróca od siebie usta i serca i, zamiast lecieć, będą wlec się po ziemi, kulejąc i stęskając...

— Czemże więc jest to uczucie, które dziś tak spaja ich i unosi?

— Szałem ciał, w którym dusze nie mają żadnego udziału...

— Czemże ich szczęście na tym szale oparte?

— Bańką mydlaną, która błyszczy barwami tęczy, ale nim godzina upłynie na zegarze wieków, pęknie, stopnieje bez śladu.

Przyjm to sobie za zasadę, badawczy wędrowcze, że jeżeli ujrzyś młode małżeństwo, zwracające na siebie wszystkie oczy gorączkową siłą swego rozkochania, jeśli ujrzyś częste pocałunki i ciągle a widoczne zachwyty, jeśli wśród tych zachwyty zobaczysz powagę na czole mężczyzny, a zamyślenie w oczach kobiety; nie mów o ludziach tych: szczęśliwi! ale mów: biedni! bo im słodszy sen, tem srozsze będzie przebudzenie; im wyżej wleczą, tem niżej upadną.

Publiczne demonstracye miłości, to rzecz podejrzana. Jeżeli już nie fałsz, to szal w nich leży. A gdzie jest szal, tam niema rozumu, a gdzie niema rozumu, tam szczęście... kruche. Niejeden znużony smutnymi widokami tej ziemi wędrowiec z rozkoszą zatrzymał wzrok swój na młodej parze państwa Snopińskich.

Kiedy pobrali się, jeden tylko o nich rozległ się okrzyk:

— Szczęśliwi!

Byli w sobie tak rozkochani, że nie widzieli wkół siebie nic i nikogo; Aleksander wobec mnóstwa świadków porywał młodą żonę w objęcia, ona rumieniła się, ale z lichwą oddawała mu pocałunki.

Nie można było dość napatrzeć się na nich, tak byli zgodni w zdaniach, chęciach, gustach. Co ona chciała, on chciał, co on chciał, ona chciała. Dziewice zazdrościły jej, młodzieńcy jemu; powiadano, że oboje urodzili się w wieńcach. Przepowiadano, że istnienia ich popłyną, jak rzeki biblijne, mlekiem i miodem...

Ktoś raz odważył się zaprzeczyć temu, powiedział, że obawia się o przyszłość tego młodego małżeństwa.

— Dlaczego? — zapytano chórem.

Mizantrop odpowiedział znaną ludową piosenką:

Ożenił się młodyj
I wziął wesnowatu,
Nie umieli szczo robyty,
Podpałyły chatu!

— To znaczy, że są za młodzi? — spytano.

— Tak — była odpowiedź.

Oburzenie powszechne! więc starzy tylko mają się żenić?

— Nie, ale też i nie dzieci.

Ktoś drugi z innej jeszcze strony rzecz tę uważał.

— Teraz to dobre — rzekł — ale będzie źle z nimi.

— Dlaczego? — spytano z uśmiechem niedowierzania.

— Bo on ma pańskie gusty i zwyczaje, a ona sobie zwyczajnie szlacheckie dziecko.

Ale najśmielszym w złych przepowiedniach dla młodej pary był pewien pan Tomasz, starzec czerstwy jeszcze, o włosach i wąsach jak śnieg białych i uchodzący w okolicy za wielkiego oryginała.

Miano to dostało mu się za to, że bardzo często sprzeciwiał się ogólnemu zdaniu, a wypowiadał wręcz przeciwne, z którym rzadko cała parafia zgodzić się mogła.

Stał tedy sobie raz pan Tomasz w swoim mieszkaniu przy kominie i, wygrzewając plecy przed ogniem, rozmawiał z przybyłym w odwiedziny sąsiadem.

— Waspan z Niemenki jedziesz?

— Tak, panie dobrodzieju.

— A cóż tam z młodymi Snopińskimi?

— A cóż, szczęśliwi ludzie!

— He? — spytał pan Tomasz.

— Szczęśliwi ludzie! — powtórzył głośniejszym głosem sąsiad.

— Przepraszam! myślałem, że nie dosłyszał; sądziłem, że sąsiad powiesz: nieszczęśliwi!

— A toż znów skąd? w miesiąc po ślubie! rozkochani w sobie na zabój!

— Czy takimi się wydają, mospanie?

— I jak jeszcze!

Pan Tomasz pokiwał głową znacząco.

— To kiepsko, mospanie — rzekł po chwili.

— A toż czemu, panie dobrodzieju? daj Boże każdemu takie nieszczęście! Na krok odstąpić siebie nie mogą i żeby pięćdziesiąt osób było koło nich, on zawsze siedzi przy niej!

— Żeby pięćdziesiąt osób było, to on ciągle przy niej siedzi? To kiepsko, mospanie! — powtórzył pan Tomasz.

— Na przenosinach w Niemence było huk gości, a oni ciągle siedzieli przy sobie, trzymając się za ręce, a co moment patrzeć tylko było, jak całują się gdzie w kątku!

— Był huk gości, a oni całowali się? To bardzo kiepsko, mospanie! — raz jeszcze rzekł z zamyśleniem pan Tomasz.

— Co bo sąsiad dobrodziej wszystko mówi: kiepsko! a cóż może być lepszego, jak kiedy młode małżeństwo kocha się wzajemnie?

— To bo i bieda, że oni nie kochają się! — seryo wyrzekł starzec.

— Jakto! — zawołał z oburzeniem sąsiad — pan dobrodziej myślisz, że udają?

— Broń Boże! ale im tylko zdaje się, że kochają.

Sąsiad wzruszył ramionami.

— Byle im dobrze z tem było — rzekł.

— Otóż to, że długo dobrze nie będzie! Słuchaj waszmość, znałeś Maryanka S. i jego żonę i widziałeś, jak byli rozkochani w sobie po ślubie, tak, że nie mogli na jeden dzień rozstać się, a całowali się sześćdziesiąt razy na godzinę, co wypada po jednym razie na każdą minutę, a teraz wiesz waszmość, co się z nimi stało?

Trzy lata zaledwie minęło od ślubu, a już do rozvodu podobno idą. A dlaczego? bo on głupi i flegmatyk, a ona wykształcona i żywa, co znaczy, że u niego dusza inna, a u niej inna. Kiedy szli do ślubu, to nie patrzyli na swoje dusze, tylko na swoje oczy, a że jemu podobały się jej oczy, a jej jego, to i zdało się im, że już kochają się, a jak się dość na swoje oczy napatrzyli, to i miłość poszła na suche lasy!

A Józia M. znasz? widziałeś, jak był po ślubie ze swoją żoną? Strach, jak kochali się! a teraz co? Jegomość do lasa, a jejmość do Sasal! dlaczego? Bo on z nią żenił się dlatego, że ona ładna i familiantka, a ona wyszła za niego, bo miał piękny folwark.

Potem pokazało się, że Józio porządny chłopiec i rozsądny, a jego żona lalka malowana, co tylko rada przed lustrem siedzieć i zalecanki do młodzieży stroić.

Ona nie kontenta z tego, że on oddaje się gospodarstwu i nie lubi ciągle szastać się po świecie, on nie pozwala jej tracić funduszków na gałganki, a kiedy widzi, że żonka piękne oczki robi do tego lub owego, zazdrości, unosi się i w domu ciągle kłótnia i obraza boska! Ot i znów dusze nie dobrały się, choć oczy dalibóg dobrane, bo i u jednego i u drugiego bardzo nie-spetne.

Tak samo będzie i ze Snopińskimi.

Znam ja ich dobrze obojga! Ona dobra kobieta i Topolski nauczył ją wielur zeczy, o których ten młodzik nawet wyobrażenia nie ma: on zdolny chłopak i sprytny, ani słowa! ale wietrznik, samolub, próżniak, hulaka.

Dlaczego oni pobrali się? czy znali siebie dobrze wzajemnie? czy mieli dla siebie szacunek? czy pewni byli, że charaktery ich pogodzą się przez całe życie? Gdzie tam! ona, młoda i żywa, zapragnęła nowych wrażeń, dała się odurzyć jego słodkim słówkom, rozkochała się w jego gładkiej twarzy; on zapalił się do gładkiej dziewczyny, chciał zwyciężyć Topolskiego, może i Niemenka uśmiechnęła się trochę, paf! pobrali się! I kiepsko będzie, mospanie! Pierwszy rok pójdzie jak po maśle, w drugim zacznie się już gruda, a w trzecim będzie już strasznie zła droga, i im dalej, tem gorsza.

Ona stanie się jemu prędko ciężarem i kulą u nogi, on jej zgryzotą codzienną i ciągłym obrazem rozczarowania. Bo widzisz, mospanie, mnie się zdaje, że ona, jak szła za niego, to była chora na tę chorobę, co to nazywa się halucynacya, a w halucynacyi człowiek widzi różne dziwolagi, których w istocie niema.

Otóż on ją prędko z tej choroby wyleczy, a ona jak wyzdrowieje, to i zobaczy, że nie jest już Wincunią Niemeńską, hożą, świeżą i wesołą narzeczoną pocziwego Topolskiego, ale Wincentą Snopińską, zmęczoną, smutną, rozczarowaną żoną młokosa, który będzie o nią dbał, jak o piąte koło u wozu, i będzie ją porzucał, aby grać w bilard u Szlomy, albo zalecanki stroić do panien w salonach i nie w salonach... at!...

Machnął ręką pan Tomasz i mówił dalej do sąsiada, który go słuchał pół zdziwiony, pół przekonany.

— Miej to sobie waszmość za zasadę: kiedy chcesz wiedzieć, czy ludzie długo będą z sobą szczęśliwi, patrzaj na nich nie wtedy, gdy całują się, ale wtedy, gdy się nie całują. Jeżeli on po ślubie zaraz bierze się do swojej pracy, jak gdyby nic nie zaszło, i ona tak samo zajmuje się czemkolwiek, a dopiero gdy

zrobiją, co do nich należy, pocałują się i to tak, żeby nikt nie widział, dobrze! będą szczęśliwi!... Jeżeli, siedząc przy sobie, tak czasem zagadają się, że i zapomną pocałować się przez kilka godzin, dobrze! będą szczęśliwi!

Ala jeżeli oboje nic nie robią, niczem się nie zajmują, tylko patrzą sobie w oczy od rana do wieczora, i to nie zważając, czy kto na nich patrzy, czy nie patrzy, kiepsko będzie, mospanie! I jeżeli, siedząc przy sobie, nic do siebie nie mówią, tylko całują się, a jak nie całują się, to poziewają, oj! będzie bardzo kiepsko!

A dlaczego, mospanie? dlatego, że oni, łącząc się, nie rozumieli widać, co to jest małżeństwo, familia. Oni myśleli, że to ot sobie, zabawka, przyjemność, dogodzenie zachciance, a nie powstało im w głowach, że to połączenie dwojga ludzi, dlatego, aby jedno drugiemu pomagało w pracy i jedno drugiemu doskonaliło duszę.

Jak oni będą sobie pomagać, kiedy oboje próżnują? Jak udoskonalać wzajemnie swoje dusze, kiedy nie mają o czem mówić z sobą? Pocałunki prędko spowszednieją i sprzykrzą się; potem zaczną oni poziewać, siedząc przy sobie, potem sprzeczać się, potem kłócić, potem przestaną zupełnie do siebie mówić, a potem i patrzeć już na siebie nie zechcą, i albo rozstaną się, albo będą żyć w jednym domu, jak, nie przymierzając, kot z psem w jednym worku!

Bo to widzisz waszmość cała sztuka w tem, żeby człowiek, biorąc się do czego, rozumiał, dlaczego to robi i, wchodząc na jaką drogę, wiedział do jakiego celu idzie; a jak młodzi ludzie łączą się w małżeństwo, nie znając siebie i nie rozumiejąc, co to jest familia, to nie rozumieją, co robią, i nie wiedzą, do czego mają dążyć.

A gdzie niema rozumienia roboty, tam robota kiepska, i gdzie cel niewyraźny, tam drogi błędne...

Sąsiad słuchał uważnie i niewiadomo było, czy zrozumiał, czy nie zrozumiał mowy pana Tomasza, ale odtąd zaczął przy sposobności pilnie obserwować młodych Snopińskich. Zajęła go szczególnie uwaga starego oryginała o poziewaniu młodego małżeństwa i takim zagadaniu się serdecznem, żeby aż dało ono zapomnieć o pocałunku.

Patrzył tedy raz sąsiad na Snopińskich i myślał sobie: czy zagadają się, czy ziewną? A siedzieli obok siebie i, nie zważając na liczne otaczające grono, trzymali się za ręce. Z początku zaczęli z sobą coś rozmawiać, on ją o coś zapytał i pocałował ją

w rączkę, ona mu odpowiedziała i pocałowali się w usta, potem umilkli.

Sąsiad patrzył ciągle i myślał sobie: ciekawym, czy też zagadają się tak, od serca? Patrzył i patrzył, a młoda para nie mówiła nic do siebie. Chciał już odejść, bo go sfatygowało długie obserwowanie, gdy nagle spostrzegł, że Aleksander odwrócił nieco twarz od żony i skrycie ziewnął; pobudzona tem Wincunia odwróciła się także i ziewnęła.

Sąsiad zrobił wielkie oczy. — A! — pomyślał — ten stary oryginał, to czarownik chyba! jak on odgadł, że oni muszą albo zagadać się, albo poziewać!

Spojrzał na Snopińskich, znowu całowali się, ale w oczach ich było coś, co zakrawało na poziewanie, i sąsiad, odwracając się, mimowoli powtórzył słowa pana Tomasza:

— Kiepsko, mospanie!

Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że państwo Snopińscy przez pierwsze półrocze swego pożycia byli zachwyceni sobą, życiem i całym światem.

Nic nie robili, tylko bawili się i kochali, jeździli po sąsiedztwie, spraszali do siebie gości; Aleksander sprowadzał dla żony z miasta suknie, kwiaty i różne cacka, Wincunia cieszyła się nowymi sprzętami w domu, ustawiała je, zdobiła pokoje kwiatami, sama codziennie inaczej zaplatała włosy, pytając się lusterka: czy w takim uczesaniu podobam się więcej Oleśowi?

Oleś jej powtarzał ciągle, że ona jemu zawsze, w każdym stroju i w każdej chwili, podoba się i podobać się będzie wiecznie; ale ona chciała więcej, jeszcze więcej i nie wiedziała już, jakich barw dobrać do ubrania, w jakieby najmisterniejsze zwoje upleść włosy, żeby wydać się piękną, najpiękniejszą oczom Olesia.

Różowa perkalowa sukienka poszła gdzieś na dno jakiejś szuflady, jako niezdatny antyk, który się chowa na pamiątkę, a Wincunia nosiła niekiedy czarne suknie, bo przy nich najlepiej odbijała białosć jej twarzy, albo błękitne, bo barwa ta godziła się ślicznie z lśniącem kolorem jej włosów, albo białe, bo Oleś po raz pierwszy wyraźnie powiedział jej, że ją kocha, gdy była w białej sukni.

Aleksander uwielbiał żonę, gdy, skończywszy toaletę, wychodziła ze swego pokoju, świeża, strojna, nieledwie świetna. Padał przed nią na kolana i, całując jej ręce, wołał:

— Moje bóstwo!

Porywał ją czasem na ręce i nosił po pokojach, jak dziecko, okrywając pocałunkami; chciałby ją całemu światu pokazać, woził ją nieustannie po sąsiedztwie i gości spraszał do siebie bez miary; w Niemence ciągle był huk, szum, turkot, okna rzeświście oświetlone po całych nocach, niekiedy muzyka, a często tańce. Te ostatnie bywały czasem i wtedy, gdy nikogo z obcych nie było.

Aleksander prowadził ciotkę żony do fortepianu i prosił, żeby zagrała jakiegoś staroświeckiego walca, a sam porywał Wincunię i kręcił się z nią po wszystkich pokojach, aż póki oboje, śmiejąc się głośno i ledwie oddychając ze zmęczenia, nie upadli na krzesło.

Raz pochwycił jakiegoś starego urzędnika z sąsiedztwa i prośbami zmusił go, aby mu pokazał, jak się tańczył niegdyś menuet; odtąd tańczył często z Wincunią menueta, a pani Niemeńska grała, kładąc się od śmiechu. Ale gorzej było, gdy raz, mając rodziców u siebie, przyczepił się do ojca i do ciotki, aby oni menueta tańczyli.

Napróżno wzbraniłi się, śmieli się i oburzali starzy; kiedy Aleksander zaczął przymilać się i po swojemu prosić, nie było sposobu oparcia się.

Wincunia siadała do fortepianu i grała menueta, którego się była wyuczyła od ciotki, a pan Jerzy z panią Niemeńską tańczyli; Aleksander stał między nimi i wołał co chwila. Na prawo, papunieczku! na lewo, ciotucho! głębszy ukłon, ciociu dobrodziejko! wyżej podskoczyć należało, papuniu dobrodzieju!

Pan Jerzy i pani Niemeńska, skończywszy menueta, bez tchu padali na kanapę, ale śmieli się i byli w najlepszych humorach, bo Aleksander i Wincunia, klęcząc przed nimi, śmieli się także, tulili się do nich i całowali ich ręce.

Choć pierwsze miesiące po ich pobraniu się były jesienne i zimowe, w domu ich była wiosna i lato. Kanarki śpiewały u okien w klatkach, otoczonych gęstą zielenią, jaskrawe dywany na posadzkach przypominały klomby z kwiatami, dwa duże zwierciadła z ramami, oplecionymi bluszczem, odbijały postać Wincuni, gdzie się tylko obróciła.

Gdziekolwiek błyskał złocisty bronz, ponsowe obicia mebli nadawały życie i barwy pokojom.

Młoda para budziła się ze snu o jedenastej; o południu walcowym lub mazurowym taktem wbiegała do jadalnego pokoju, gdzie ją z przygotowanym śniadaniem czekała pani Niemeńska, a potem rozpoczynały się biegania, śpiewy, tańce, cał-

wania, goście i ciągnęło się to daleko za północ, i najczęściej Niemenka usypiała wtedy, gdy pracownicy ludzie wstawali do dziennej roboty.

I było tak pół roku.

W tej epoce Aleksander i Wincunia wyglądali jak student i pensyonarka na wakacjach. Ani myślą o tem, co było, ani chcą patrzeć w przyszłość: co będzie, to będzie, tymczasem kochajmy się i hulajmy!

Przez cały ten czas Wincunia ani razu nie wspominała o Topolskim: ile razy przejeżdżała mimo Topolina, odwracała głowę, jakby obawiała się, aby wspomnienie przeszłości nie zmąciło choć jednej chwili w jej radosnych wakacjach.

I było tak pół roku — ach, to znaczy, że potem zaczęło być inaczej. Niestety! zaczęło być inaczej, ale nie było jeszcze źle. Tylko trzeba było koniecznie obudzić się, przetrzeć oczy i spojrzeć na rzeczywistość, bo ciągle żyć we śnie nie podobna.

Pani Niemeńska widokiem pierwszego półrocza upewniła się o szczęściu synowicy i odjechała, gdzie ją inne obowiązki, które miała do spełnienia, wołały.

Wincunia wzięła w ręce gospodarstwo domowe. Chociaż przez to proza wtrąciła się do tej czarownej poezji, w której pływała od kilku miesięcy, nie było to jej wcale przykre, owszem rada była nawet zajęciom, które na nią spadły, bo, jak to widział sąsiad po rozmowie z panem Tomaszem, zaczynała już była zlekka poziewać i złapała raz samą siebie na pewnem niespodzianem a tajemniczem zeznaniu:

— Zmęczona jestem!

W istocie, nogi ją bolały od tańców, gardło od śmiechu, głowa od wrzawy, a w sercu zaczynało być dziwnie jakoś pusto, a nie tak jeszcze w sercu, jak w głowie. Brakło jej czegoś, nie pojmowała czego, ale wytłómaczyła to sobie tak:

— Zanadto bawiłam się, trzeba wziąć się do pracy!

I przypięła do paska pęk kluczyków, i zaczęła gospodarować: odnowiła znajomość ze spiżarnią, śpichrzem, kuchnią, izbą czeladną, powitała znowu swoje kaczory zielono-głowe i różnobarwne gołąbki, gospodarowała zawzięcie, a potem czytywała. Czytywała zaś sama. Dlaczego sama? Bo Aleksander także zawzięcie gospodarzył.

Na wiosnę ojciec rzekł do niego:

— Olesiu, czas, abyś wziął się do gospodarstwa.

— Dobrze, papo — odpowiedział.

I wziął się. A zaczął od tego, że odrazu przerobił wszystko, co było urządzone przez Topolskiego, i całą już uporządkowaną gospodarkę do góry nogami przewrócił.

Z czterech poletków zrobił trzy, łąki zapuścił na pastwiska, pastwiska na łąki, starą czeladź całą odprawił, przyjął nową, rasę bydła, która była wyborna, odmienił, a nad tem wszystkim namiestnikiem, ministrem i pierwszą po sobie figurą ustanowił swego faworytą, Pawełka, który pasowany został z furmańczuka i lokajczuka na godność kamerdynera, ekonoma, pisarza, alias totumfackiego.

Te reformy i przeistoczenia niezmiernie zajmowały Aleksandra, po pierwsze: ponieważ, czyniąc je, poczuwał pierwszy raz całą słodycz władzy i panowania; powtóre: że działał w najgłębszem przekonaniu, iż czyni dobrze, bo w rozum Topolskiego ani w jego umiejętność nie wierzył.

— Co tam ten szlachciura mógł porządnego uczynić? — mawiał.

Napróżno pan Jerzy ostrzegał go, że psuje folwark, który był świetnie urządzony; Aleksander uśmiechał się tylko i odpowiadał:

— Zobaczysz papa!

Pan Jerzy wzruszał ramionami i mówił do swej Anulki:

— Mniejsza zresztą o to! jak oparzy się raz, to potem będzie ostrożniejszy. Chwała Bogu, że przecie nabrał zamiłowania w gospodarce i ochoty do pracy.

Oprócz tego Aleksander postanowił zbudować nowy dom w Niemence.

Miał to być dom, co się zowie, drewniany wprawdzie, ale dwupiętrowy, a nawet o jakiejś quasi pałacowej wieżyczce i o jakiejś oranżeryjce, mającej być przylepionej gdzieś tam z boku, Aleksander marzył; marzeń tych nie powierzał rodzicom, bo przeczuwał z tej strony silną protestację, ale powierzył je żonie i stąd wyniknęła pierwsza sprzeczka między młodem małżeństwem.

Wincunia przeleżała się myśli opuszczenia tego miluchnego małego domku, w którym się wychowała, a zamieszkania w innym, obszernym, nowym, który jej wyobraźni odrazu przedstawiał się dziwnie zimnym, pustym i smutnym. Tu każdy kącik był dla niej towarzyszem lat dziecięcych, każde miejsce było takie przytulne i powabne wspomnieniem jakimś, pamiątką: tam trzeba będzie przywykać dopiero do wszystkiego, niby w inny świat się przenieść.

— Mój Olesiu — rzekła — na co nam ten nowy dom? w tym tak miło!

— Ależ to chata nie dom, moja duszko! — odparł Aleksander.

Wincuni ścisnęło się serce.

— A jednak — rzekła smutnie — tu przecież mieszkaliśmy z ciotką lat tyle, a dobrze i wygodnie nam było.

— Ty i ciotka co innego, a ja co innego — odpowiedział Aleksander — wyście przywykły do małych mieszkań, a ja nie, bo rodzice moi zawsze w obszernych domach mieszkali. Przytem trzeba, abyśmy mieli gdzie gości przyjmować!...

— Mój drogi — wtrąciła nieśmiało Wincunia — zdaje mi się, że nie będziemy zawsze tyle gości przyjmować, jak teraz...

— A toż dlaczego? — zawołał Aleksander.

— Bo może to będzie zbyt kosztowne dla naszego funduszu i przytem wyznam ci otwarcie, że mię to zaczyna fatygować.

Aleksander sponsował.

— Moja Wincuniu — rzekł porywczo — mówisz, jak prawdziwa parafranka i kobieta, która nic więcej nie widziała, oprócz czterech ścian swego domu. Gdybyś tak odezwała się przy kim, narobiłabyś mi wstydu. Powinnaś co do towarzyskiego życia zupełnie zdać się na mnie, bo więcej znam świat od ciebie, a teraz powiem ci tylko, że ludzie dobrego tonu i chcący wyrobić sobie piękne stanowisko towarzyskie powinni mieć wiele stosunków i nigdy nie uskarżać się na zbytek gości.

Powiedziawszy to, odszedł, a Wincunia długo siedziała na miejscu zamyślona. Pierwszy raz od ślubu mówiła z mężem o jednej z praktyczniejszych stron życia i wnet zaszło między nimi nieporozumienie. Wyrzucała to sobie i na siebie składała całą winę.

Nie mogła jednak obronić się od pewnego smutku i nie mogła także pojąć, aby dobry ton zasadzał się, jak mówił Aleksander, na posiadaniu obszernego mieszkania i aby stanowisko towarzyskie zdobywać trzeba było przyjmowaniem mnóstwa gości. Myśl jej zaczęła pracować.

— Ależ — mówiła sobie w duchu — przecież kto przyjmuje więcej gości, niż mu na to środki pozwalają, traci fundusz, a jak go straci, toć trudniej potem będzie o jakiekolwiek stanowisko towarzyskie.

I niewiadomo jakim procesem myślowym, przy końcu tych

rozmyślań, przypomniawszy sobie słowa Bolesława, które słyszała była od niego kilka razy, że niezłomna prawość, prostota i wytrwała działalność na jakimkolwiek polu musi prędzej czy później zyskać powszechny szacunek.

— Zdaje mi się — myślała dalej — że właśnie ten powszechny szacunek jest najpiękniejszym stanowiskiem towarzyskiem, a możnaż go zdobyć posiadaniem obszernego mieszkania i wydawaniem obiadów i wieczorów sąsiadom?

Po długim takim rozmyślaniu wstała z przekonaniem, że, zdobyty takimi środkami, szacunek publiczny musi być fałszywy i powierzchowny tylko, a zatem i stanowisko, wyrobione tym sposobem, nie trwałe jest i bynajmniej nie zaszczytne.

I pierwszy raz od ślubu pomyślała sobie:

— Oleś myli się!

I pierwszy też raz od wielu miesięcy zaczęła przywodzić sobie zdanie Bolesława o stanowisku, jakie człowiek powinien starać się zająć na świecie, i pomyślała sobie:

— On miał słuszość!

Tego wieczora pierwszy raz od dnia ślubu była smutną, i tylko trzy razy przez cały wieczór pocałowała męża.

Odtąd nie było już wzmianki między małżonkami o budowaniu nowego domu, Aleksander jednak nie przestał o nim marzyć. Pozawierał nawet już w tym celu pewne umowy o materiał i robotników, nie wiedział tylko, skąd weźmie pieniędzy na znaczne koszty budowy.

Przyszedł wreszcie do przekonania, że trzeba będzie na to użyć przyszłorocznych dochodów Niemenki. Ale wnet przyszło mu na myśl, że w takim razie nie zostawi nic na przeżycie i załatwienie opłat rządowych. Długo łamał sobie głowę nad tą kwestyą, a wkońcu rozwiązał ją słowami:

— Ile zabraknie, tyle dokończę.

Marząc więc o nowym domu, krzątał się zarazem około gospodarstwa z gorączkowym zapałem, z jakim brał się zrazu do wszystkiego. I w istocie udało mu się porobić z wiosną dość piękne zasiewy, a pan Jerzy, widząc to, nie posiadał się z radości. Nawet niektórzy sąsiedzi dowodzili, że z tego młodego Słopińskiego bardzo tęgi i porządny gospodarz.

Wincunia gospodarowała także, czytała i dni bardzo prędko jej przechodziły. Niemniej jednak czuła ciągle, że jej czegoś braknie, ale nie umiała sobie zdać sprawy, czego...

Harmonia ciągle panowała między nią a mężem, ale była

to harmonia nie grająca, nie śpiewająca, nie mówiąca, ale tylko milcząca, albo śmiejąca się, tańcząca.

Wincunia chciała niekiedy porozmawiać z mężem tak, jak to bywało niegdyś rozmawiała z pierwszym swym narzeczonym, o tych wszystkich pięknych a miłych rzeczach, do których wówczas już uśmiechało się jej serce: o poezji, ludziach, kraju rodzinnym, jego dziejach, świetnościach i niedolach.

Brała wtedy rękę męża i, patrząc mu w oczy, zadawała jakie pytanie, albo czyniła jakąś nad czemś uwagę; wtedy Aleksander — jeżeli był w dobrym humorze — wołał ze śmiechem:

— Jakżeś ty dziś poważna, moja Wincuniu! — i albo zamykał jej usta całusem, który łączył się ze śmiechem, albo porywał ją i wykręcał się z nią walca po pokoju.

Ale, jeśli był zmęczony, albo trochę na co nadąsany, mówił:

— No, dajże już temu wszystkiemu pokój! — i odchodził. Parę razy nawet spostrzegła, że ziewnął przy niej.

Mimo to wszystko, miewała jeszcze często chwile zachwytów i szczęścia, w jakich nieprzerwanie spłynęło jej pierwsze półrocze. Nie czuła się tak zupełnie i bez chmurki szczęśliwą, jak wówczas, ale jeszcze było jej dobrze. Skrzydła jej uniesień osłabły już trochę i opuściły się nieco niżej ku ziemi, nie mniej jednak nie dotknęła jej jeszcze stopami.

Liczba pocałunków, którą obdarzali siebie małżonkowie, z sześćdziesięciu na godzinę, jaką była w pierwszym półroczu, zredukowała się w drugim do sześćdziesięciu na dzień, a i z tych większa połowa dostawała się Aleksandrowi od Wincuni.

Przy tej uczcie miłości, jaką sobie sami zaimprovizowali na prędcie, ona była u środkowego dania, on miał już tylko do spożycia wety.

Lubo nie zdawał sobie sprawy ze swych przeczuć, przeczuwał niekiedy bezwiednie, że tuż, tuż, nastąpi przesyt.

Wincunia dojrzała parę razy to przeczucie męża na jego lekko znudzonej twarzy, ale zamykała oczy, aby nie widzieć, a potem otwierała je i patrzyła na niego najpiękniejszym, jakie miała, spojrzeniem, aby w jego oku wywołać znowu te ognie i promienie, co ją do niego pociągnęły, a potem unosiły ją przez kilka miesięcy w niebo.

I jeszcze udawało się jej często wywoływać te ognie i pro-

mienie... ale biada kobiecie, która już wywoływać je musi w oku ukochanego mężczyzny!

Zresztą, im dalej szedł czas, tem mniej sama czuła chęci ich wywoływania.

Tak przeszło drugie półrocze.

Wstępnego trzeciego zaznaczył się w życiu małżonków trzema ważnymi dla nich wypadkami.

Pierwszym z nich była sprzeczka tak żywa, że po niej Aleksander dwa dni nie mówił do żony, a dwa tygodnie jej nie pocałował ni razu; drugim wyjazd starych Snopińskich z Adam-pola w odległą stronę; trzecim urodzenie się dziecka, córki, którą ochrzczono imieniem Anny.

W chronologicznym porządku sprzeczka zaszła najpierwej, a powodem jej była — kareta.

Aleksander dowiedział się, że o kilka mil od Niemenki jakaś pani, wyjeżdżająca na długo do miasta, za małą stosunkowo sumę sprzedawała dość nową i ładną karetę. Pojechał, nabył ją i sprowadził do domu. Kiedy Wincunia pierwszy raz zobaczyła kosztowny powóz i dowiedziała się, że mąż go nabył, klasnęła w ręce ze zdziwieniem i zawołała:

— Mój Boże! a toż na co?

— Będziesz jeździła karetą! — odpowiedział Aleksander z tryumfem.

Wincunia zarumieniła się, popatrzyła na powóz i rzekła stanowczo:

— Nie, mój Olesiu, ja karetą za nic nigdzie nie pojadę!

— A toż czemu? — zawołał mąż.

— Bo czuję, że, jeżdżąc nią, byłabym śmieszną.

Aleksander nie mógł ochłonąć ze zdziwienia.

— Nie pojmuję ciebie, moja droga! — rzekł z gniewem.

Wincunia odpowiedziała:

— Bogate panie jeżdżą karetą i to im bardzo przystoi; ale gdy my zaczniemy nią jeździć, wszyscy powiedzą, że nadymamy się, żyjemy nad stan, i będą z nas śmiać się.

— Moja Wincuniu, widzę, że jesteś prawdziwą gąską. Nigdy nie spodziewałem się, abyś taką była.

— Przykro mi bardzo, mój Olesiu, że muszę ci sprawić przykrość, ale za nic w świecie nie wsiądę do tej karety, przebac mi to...

Chciała wziąć męża za rękę, aby przeprosić go i wypowiedzieć mu całe swoje zdanie, kto powinien a kto nie powinien

używać kosztownych powozów, ale on odwrócił się od niej zagniewany i odszedł, nie powiedziawszy więcej ni słowa.

Wincunia rozplakała się, a otarłszy łzy, rozmyślała, czy nie należało, dla dogodzenia Olesiowi, zgodzić się już nareszcie na jeżdżenie tą nieszczęśliwą kareta? ale jakoś zbuntowała się na dobre jej wola i rozum za nic ustąpić nie chciał.

Rzekła do siebie:

— Oleś namyślił się i sam zrozumie, że byłaby to niedorzeczność! Jej już i ten kocz, którym od ślubu jeździć zaczęła, dziwnym wydawał się zrazu i ledwie do niego przywykła; ale wtedy, w owym pierwszym półroczu, ona sama nie wiedziała, jak, czem i gdzie jedzie, byleby on był przy niej; teraz co innego: za nic nie mogła pogodzić się z myślą uczynienia tego, co uważała za śmieszne, a nawet mogące zgubne skutki prowadzić za sobą.

Powtórzyła więc nazajutrz mężowi, że może sobie kareta oddać komu lub sprzedać, bo ona za nic nie odważy się wsiąść do niej, i znowu chciała go przeprosić za sprzeciwienie się jego woli, ale on gniewnie usunął ją od siebie i dwa dni nie przemawiał do niej i nie odpowiadał, gdy co do niego mówiła.

Dwa dni Wincunia płakała ciągle...

Była więc chmura na ich niebie, ale wkrótce pierchnęła, rozwiana zjawieniem się małego aniołka. Po urodzinach, które o mało nie pozbawiły życia Wincunię, Aleksander milionem pocałunków okrywał jej ręce, zdawało się, że wróciła mu cała czułość dla żony.

Potem nastąpiły bardzo huczne chrzciny, tem huczniejsze, że były zarazem fetą pożegnalną, wyprawianą dla państwa Snopińskich, którzy opuszczali Adampol.

Opuszczali oni Adampol z żalem, bo i oddalali się od dzieci, i przenoszenie się z gospodarstwa było ciężkie, ale inaczej uczynić nie mogli.

Dzierżawa Adampola była bardzo korzystną, ktoś pozazdrościł jej panu Jerzemu, narobiono intryg, napisano do hrabiny, w najgorszym świetle przedstawiając gospodarstwo Snopińskiego, przekupiono jej pełnomocnika i, koniec końców, kontrakt został zerwany, a pan Jerzy, ze zdwojonym frasunkiem w oczach i ze skargą na ciężką dolę dzierżawcy, przeniósł się na posesję o trzydzieści mil odległą od dotychczasowego miejsca pobytu. Wyjeżdżając jednak, był już trochę pocieszony, bo nowa dzierżawa zdawała mu się jeszcze korzystniejszą od adampolskiej,

a dzieci przyrzekły często pisywać i co rok odwiedzać rodziców.

Pani Anna, żegnając się z synem, zanosila się od płaczu, a pan Jerzy zalecał mu po kilkadziesiąt razy, aby pilnował żony i domu, a rzadnie i pracowicie gospodarzył.

Aleksander zmarł z powodu bardzo zrazu odjazdem rodziców, ale zarazem nie mógł ochronić się od pewnego wewnętrznego zadowolenia. Uwolniony z pod ojcowskiego oka, uczuł się bardziej swobodnym, niby zupełnie już panem siebie i swego postępowania.

I zaczęło się dla młodych małżonków trzecie półrocze wspólnego pożycia, a z niem razem zaczęła się całkiem nowa era w życiu Wincuni.

Z długiej i ciężkiej choroby powstała bardzo zmieniona fizycznie i moralnie. Kibić jej wyszczuplała, ruchy stały się powolniejsze i nacechowane pewną słabością fizyczną, rumieńce znikły z twarzy a cera jej nabrała delikatnej, przezroczystej bladości.

Ale bardziej jeszcze, niż postać i cera, zmienił się wyraz jej twarzy. Czoło jej zdawało się promienić wyższą, niż ją kiedy dotąd miała, myślą; oczy utraciły dawny ognisty blask, a zamglili się wilgotnym połyskiem, przez który coraz częściej prześladało zamyślenie.

Ciało jej przetworzyło się pod dotknięciem ciężkich fizycznych cierpień, poczucie macierzyństwa i myśl o niem podniosły jej ducha i szybkimi krokami prowadziły go do dojrzałości. Wszystko, co było szlachetne w jej sercu i światłem w umyśle, i co uspięne drzemało dotąd, ocknęło się w niej na widok dziecięcia, którego była matką, na myśl, że mały aniołek ten złożony był w jej objęciu na to, aby w niego tchnęła cnotę, miłość i rozum.

Teraz dopiero grunt serca jej i umysłu, uprawiony przez Bolesława, począł wydawać owoce. Z dobrej i żywej jak iskra dziewczyny, z latającej na skrzydłach uniesień młodej małżonki, powstała poważna i czuła matka. Macierzyństwo stało się dla niej wysokim piedestałem, na którym stanawszy, poczęła szerzej rozglądać się po świecie i rozmyślać.

Takie silne i wzmacniające wpływy macierzyństwo często wywiera na kobiety: mężczyźni rzadziej ulegają im z powodu ojcostwa, chyba by wprzód gotowali się do niego z wielką czułością serca i z głębokiem skupieniem ducha. Aleksander nie gotował się bynajmniej w ten sposób do ojcostwa, nie było ono

wcale ulubionem jego marzeniem i pragnieniem, to też i nie zmieniło go ani trochę.

Oprócz wpółdziecinnej chwilowej radości, nie doświadczył on żadnego uczucia na widok nowo narodzonej córki; były chwile, w których z trudnością mógł wyobrazić sobie i uwierzyć w to, że już był ojcem. On! taki młody! tak swobodny przed rokiem, już ojcem! Obawa jakaś przejmowała go na tę myśl, trochę gniewu, a bardzo rzadko radość.

Stanowczo zaś niemiłe wrażenie uczyniły na nim powinshawania sąsiadów, do których dołączały się upewnienia, że teraz śmiało może liczyć się do grona poważnych ludzi, jako ojciec dziecka, a przypuszczalnie wkrótce ojciec dzieci. Słowa te budziły w nim myśl o nowych zaciągniętych obowiązkach, ciężarach, o stanowczem utraceniu złotej swobody; a pewnego dnia, gdy bardzo długo nad tem myślał, pochwycił się za głowę i krzyknął:

— Gwałtu!

Zmiany, jakie zaszły w Wincuni od czasu, gdy została matką, nie podobały mu się też stanowczo. Ciągłe zajęta dzieckiem, trochę osłabiona jeszcze, często zamyślona, przestała całkiem być ową wesołą, ciągle śmiejącą się i skora do tańca towarzyszką, jaką była mu w pierwszych miesiącach po ślubie. Im więcej zaś ona poważniała, tem więcej on pragnął tej dawnej pustej, dziecinnej wesołości.

Przymuszała się do niej niekiedy, ale przymus był widoczny i dziecinne zabawy nie szły dobrze.

Im bardziej ona stawiała się przywiązaną do domu, codziennych zajęć i cichego życia, tem bardziej on pragnął rozmaitości, towarzystwa, wrażeń.

Im żywiej i częściej pragnęła tych poufanych, serdecznych rozmów, za którymi i wprzód już tęsknić zaczynała, tem mniej on czuł się do nich usposobiony.

Ona zwinęła skrzydła, któremi dotąd wlatywała nad ziemią, aby w uroczystym spokoju stać nieprzerwanie nad kolebką dziecięcia i przy ognisku domowem, on teraz dopiero rozwinął je całkiem i stał się motylem, rwącym się w przestrzenie, w pogoń za błędnymi ognikami, ulatującymi z łona wrzawy światowej.

Głęboki rozdźwięk duchowy stanął pomiędzy małżonkami; poczuli, że ich coś dzieli, ale nie mogli jeszcze zrozumieć, co by to było?

Coraz mniej przedstawali z sobą, coraz radsze i słabsze

ognie pojawiały się w oczach Aleksandra, gdy patrzył na Wincunię, coraz mniej ona doznawała szczęścia, widząc je. Liczba ich pocałunków z sześćdziesięciu dziennie, jaką była w drugim półroczu, zredukowała się do trzech.

Spad nagły, ale zupełnie usprawiedliwiony w naturze podobnych stosunków: gdy miłość i szczęście małżonków wznosić się nagle zbyt wysoko zaczyna, i zniża się później w pierwszym roku pożycia, to potem opada z szybkością matematycznego kwadratu i bardzo już prędko dosięga poziomu wzajemnego zo-bojętnienia.

Na tym poziomie nieszczęście rozkłada się smętnym rozlogiem, porośłym chwastem zgryzot i żalu...

Miedzy tymi chwastami coraz bardziej płatały się stopy młodych małżonków, ale dla Wincuni wzrastał wśród nich przedudny kwiat macierzyńskiej miłości i przykuwał do siebie jej oczy tak, że jeszcze niezupełnie dobrze widziała, co działo się i powstawało koło niej.

Aleksander nudził się i trudził pochodem po jednostajnej równinie ciszy i zajęć domowych, coraz mocniej poczuwał żal za utraconą swobodą i coraz częściej opuszczał dom, szukając nowej karmi dla rozigranego, niezdolnego do skupienia się i stałego działania ducha.

Jak mówiła Szłomowa Topolskiemu, w rok po ślubie, zaczął znowu zaglądać na salę i odnowił stosunek swój z panią Karliczową.

To ostatnie możeby samo przez się nie przyszło, ale dopomogła temu sama powabna pani.

Pewnej niedzieli, wychodząc z kościoła ze znudzoną twarzą i kapryśnem niezadowoleniem w wyrazie ust, spostrzegła na cmentarzu Aleksandra, który uklonił się jej zdaleka. Skinęła na niego, aby się zbliżył do niej, i rzekła z uśmiechem:

— Widzę, panie Snopiński, że przysłowie nie kłamie, mówiąc: kto się ożeni, ten się odmieni! Od czasu jak ożeniłeś się pan, ani razu nie byłeś w Piasecznej. Czy zrobiłeś pan wotum zostania pustelnikiem? Czy żona pańska zazdrosna, czy też... przestaliśmy być z panem dobrymi przyjaciółmi?

Ostatni frazes był powiedziany po francusku, może dlatego, aby go otaczająca szlachta najmniej mogła zrozumieć.

— Ani jedno, ani drugie, ani trzecie — odpowiedział Aleksander, kłaniając się z galanterią — a poprostu zajęcie... brak czasu... pozbawiły mnie największej przyjemności...

— Bez wymówek i bez komplementów — z miłym uśmie-

chem rzekła pani — ot lepiej przyjeżdż pan dziś do nas; będziemy miały »réunion« i zabawimy się wybornie, nie prawdaż?

Z ostatnim wyrazem zwróciła się do swych nieodstępnych dwóch strojnych panien; kompanionki potwierdziły nadzieję miłej zabawy i zapraszały Aleksandra, na którego twarzy malowało się wyraźnie głębokie zadowolenie miłości własnej.

— Będę dziś służył paniom — powiedział wkońcu, gdy pani Karliczowa podawała mu rękę, ustrojoną w różaniec z agatowych paciorków.

I pojechał do Piasecznej, a potem zaczął coraz częściej tam jeździć, a że droga prowadziła przez miasteczko tuż koło oberży Szlomy, każdym razem zaglądał na salę, a gdy przegrał kilka partii w bilard, albo został ucztowany przez towarzyszków, czuł się w obowiązku jechać tam znowu wkrótce, aby odegrać się lub odwzajemnić traktamentem.

Niekiedy po parę dni w domu nie był; wróciwszy z tych długich wycieczek, czasem stawał się bardzo czułym i serdecznym dla Wincuni, ale czasem też wpadał w najgorszy humor, szorstko przemawiał do niej i prędko znowu dom opuszczał.

Faworyt Pawełek w coraz większe wchodził łaski, zarządzał całem gospodarstwem, sprzedawał, opłacał robotników i panu swemu rzetelnie oddawał dziesięciny z dochodu. Aleksander zaufał mu zupełnie, wychwalał go pod niebiosa, dowodząc, że to brylant pocziwości i sprytu.

W istocie zaś nie wierzył sam w pocziwość Pawełka, ale rad był niezmiernie, że ktoś przecie wyręcza go w zajęciach, do których, jak gorączkowo wziął się zrazu, tak nagle wszelką chęć utracił.

Wincunia całkiem prawie przestała wyjeżdżać z domu: gospodarzyła, czytała i pielęgnowała dziecko. Z tem ostatniem nie umiała sobie czasem dać rady. Niedoświadczona, musiała często zasięgać rady obcych kobiet, w których sądzie nie pokładała zupełnej ufności, i przykro to jej było.

Pewnego dnia pomyślała sobie: — Dobrzeby było mieć jaką dobrą książkę o hodowaniu dzieci, możeby ona więcej mię nauczyła od rad i uwag nieumiejętnych kobiet. — I przyszło jej na myśl, że książki takie muszą zapewne znajdować się w ładnym zbioru Topolskiego.

— Możeby napisać do niego i poprosić, aby ich pożyczył? Rumieniec wytrysnął na jej twarzy:

— Nie! — zawołała w sobie — jakbym ja mogła ośmielić się o cokolwiek go prosić?

Zamyśliła się głęboko a smutnie.

— Mój Boże — snuło się po jej myśli — czemu ja jego widywać nie mogę? On pewnie potrafiłby powiedzieć wiele, wiele rzeczy, które potrzebuję wiedzieć dla wychowania mego dziecka.

I zaczęły przesuwac się po jej pamięci odległe wspomnienia chwil, z Bolesławem spędzonych; różne słowa jego, zdania, uwagi zapomniane, zatarte upływem czasu, zaczęły powstawać w jej umyśle niby gwiazdy, które oświecały niegdyś jej przeszłość. Zaczęła czytać w nich i zastanawiać się nad niemi.

Przypomniła sobie wszystko, co on niegdyś jej mawiał o powołaniu kobiety, a szczególniej matki; o wielkiem społecznem znaczeniu familii; o niezmiernej wadze dobrego wychowania młodych pokoleń i udziale, jaki w niem przyjmować winny kobiety.

Przypomniła sobie, że gdy, będąc już narzeczonymi, zgadali się raz o podobnych rzeczach, Bolesław powiedział jej: — Teraz w części tylko mogę dzielić się z tobą memi myślami o tem wszystkim, ale, gdy będziesz już moją żoną, powiem ci więcej, daleko więcej!..

Razem z temi słowami przed wyobraźnią Wincuni stanęła twarz Bolesława i rzewny, rozumny, pełen nieskończonej miłości i nadziei wyraz oczu jego, z jakim je wymawiał.

— Boże mój! — pomyślała — czemu teraz, teraz właśnie, gdym już matką została, gdy serce moje poznało wielkość i świętość macierzyńskiego uczucia, a umysł pojął w całej pełni wielkość zadania, jakie mam spełniać, niema przy mnie nikogo, ktoby oświecał mię, pomagał mi, poradził, ktoby przynajmniej pomówić chciał ze mną o tem, co mię tak żywo zajmuje?

Myśląc to, obejrzała się, zobaczyła pusty pokój i śpiące w kołysce dziecko.

Aleksandra nie było w domu.

Stanęła u okna i długo patrzyła w stronę, w której był dworek Topolina.

W tej chwili nie tylko już nie wlatywała na skrzydłach zachwyty i stanęła na ziemi, ale zaczynała już zdala dostrzegać brzeg przepaści o czarnem dnie...

W tydzień potem służąca wniosła do pokoju, w którym Wincunia znowu sama jedna siedziała przy kołysce dziecka, sporą paczkę, owiniętą w papier.

— Co to? — spytała.

— Z Topolina — odpowiedziała sługa.

Wincunia z wielkiem zdziwieniem otworzyła paczkę, a ręce jej trochę drżały, z ciekawości czy pośpiechu? Zdumiała się niezmiernie, gdy zobaczyła kilka książek i wyczytała na tytułach, że treścią ich była nauka fizycznego i umysłowego wychowania dzieci.

Z książkami był mały, niezapieczętowany bilecik, a w nim słowa nakreślone dobrze jej znanym pismem Bolesława:

»Wiem, że pani masz dziecko, i lubo nie wątpię, że w sercu swem i umyśle znajdziesz dostateczny zasób miłości i wiedzy, aby je jak najlepiej wychować, sądzę jednak, że rady uczonych i kompetentnych ludzi nie będą pani może zbyt potrzebne, a pewnie ułatwią rozwiązanie niejednej kwestyi, jakie pani przedstawią się w macierzyńskim zawodzie.

»Dlatego ośmielam się przesłać pani kilka książek, znajdujących się w moim zbioru, a zupełnie mi niepotrzebnych, z nadzieją, że pani zechcesz przyjąć tę małą przysługę od dawnego przyjaciela«.

Wincunia przeczytała, opuściła ręce na kolana i schyliła głowę na piersi.

Jakim cudem człowiek ten odgadł życzenia jej, aby je spełnić tak prędko?

Są-ż pewne jasnowidzenia duszy, które, poprzez prześrzeń, ukazują kochającym ludziom głębie dusz tych, których kochają?

Mogłoby to być, aby on kochał ją jeszcze, pomimo wszystkiego, co zaszło między nimi, pomimo czasu, który upłynął i rozstania, mającego już trwać zawsze?

A kiedy pisze, »że książki te nie są mi już potrzebne«, ma-ż to znaczyć, że się nigdy nie ożeni, że nigdy nie będzie posiadał kobiety, któraby je czytać mogła dla pożytku jego własnych dzieci?

A jeżeli tak jest, ileż nieskończonej boleści w tak spokojnych i prostych wyrazach?

Jakże więc bezdenną była miłość, która tyle przebaczyła i taką siłę trwania posiada?

Jakże wysokim jest duch tego człowieka, gdy miewa przeżucia do objawień podobne i wznosi się nad formuły świata,

aby mimo nich ramię opieki i wsparcia wyciągnąć nad głową kobiety, z którą go wszystko dzieli?

Wincunia zadawała sobie te pytania i wielka, gorąca łza spływała po jej policzku.

Tego samego dnia Aleksander bawił się bardzo wesoło u pani Karliczowej. Gdy miał już wyjeżdżać, gospodyni domu rzekła:

— Czemu pan nie przywieziesz nam nigdy swojej żony?

Aleksander bardzo czule podziękował za zaproszenie, które, jak powiadał, im obojgu przynosiło wielki zaszczyt, i przyrzekł, jak najprędszą wizytę żony.

Dlaczego dotąd nie był z Wincunią u swej świetnej i światowej przyjaciółki?

Dwa ku temu były powody.

Naprzód, czuł się daleko swobodniejszym w nieobecności żony, powtórę obawiał się trochę, aby Wincuni, nie znającej innych towarzystw, jak prostych i prostodusznych sąsiadów i sąsiadek, nie zbrakło umiejętności znalezienia się w towarzystwie pani Karliczowej i jej kompanionek.

Gdy wyjechał z Piasecznej, pani Karliczowa rzekła do swoich panien:

— Ubawimy się parafianką, jak przyjedzie!

Jedna z kompanionek zaśmiała się już na zadatek przyszłej zabawy i ozwała się, patrząc z ukosa na pryncypalkę:

— Trzeba przyznać, że ten Snopiński coraz przystojniejszy.

— To prawda, i jak na szlachcica wcale jest roztropny — odpowiedziała niedbale pani Karliczowa.

— I dowcipny — dorzuciła druga kompanionka.

— Braknie mu tylko trzech rzeczy: aby miał piękniejsze nazwisko, posiadał znaczny fundusz i nie był ożeniony z tą gaską, a byłby...

— A byłby?

— Bardzo interesującym młodzieńcem, a w potrzebie i dobrą partią — dokończyła ze śmiechem wdowa.

— A tak, jak jest, czemże jest? — spytała kompanionka.

Pani Karliczowa zrobiła minę kapryśno-żartobliwą i, przeczucując niedbale kartki albumu, rzekła:

— »Un joli garçon« i sposobem jakiej takiej rozrywki wśród nudów na wsi...

Aleksander, ani przeczuwając, że trzy panie w ten sposób rozmawiają o nim i decydują, wrócił do domu głęboko przejęty

ważnością roli, jaką odegrywał u najbogatszej w okolicy obywatelki, i pełen miłych spostrzeżeń o zaszczytnym stanowisku towarzyskiem, jakie zajmuje.

Zaraz po powitaniu powiedział Wincuni, że za trzy dni pojadą oboje z wizytą do pani Karliczowej.

Wincuni przykrą była myśl wejścia w bliższe stosunki ze światową panią.

Dawniej, gdy nie znała jeszcze Aleksandra, a potem, gdy go zaledwie znała, dochodziły jej uszu niepoehlebne zdania różnych ludzi o pani Karliczowej, z którymi mieszały się niekiedy żartobliwe napomknienia o jej sympatyj, czy słabości, do młodego Snopińskiego, i o jego częstem bywaniu w jej domu. Ani wtedy jednak, ani tembardziej potem, w pierwszych miesiącach po ślubie, nie zastanawiała się nad znaczeniem tych żarcików, w których imię jej męża mieszało się z nazwiskiem zalotnej wdowy.

Ale odkąd Aleksander począł znowu bywać często w Piasecznej, a oczy Wincuni poczęły szerzej patrzeć na świat i lepiej pojmować różne jego sprawy, poczuła rodzaj instynktownego wstrętu do pani Karliczowej; jakieś niewyraźne przypuszczenia, podejrzenia, przesuwaly się po jej umyśle, a parę razy miała przebłysk jasnego pojęcia, że próżna kobieta bawi się jej mężem i wciąga go w świat próżności i rozrywek, które go coraz bardziej odrywają od niej i od domu. Wszakże zwyciężyła siebie i pomyślała:

— Żle byłoby z mojej strony, żebym się zbyt często sprzeciwiała Olesiowi, uczynię lepiej ofiarę z siebie i dogodzę jemu.

Powiedziała więc z uśmiechem, że zgadza się na oddanie wizyty pani Karliczowej, jeśli tem uczyni mężowi przyjemność.

Aleksander, któremu, niewiadomo dlaczego, zdawało się, że Wincunia silnie sprzeciwiać się będzie odwiedzeniu światowej pani, znajdując ją tak uległą i łagodną, uściśnął ją z zapałem i całe trzy dni następne nie wyjeżdżał wcale z domu. Wesoły był, śpiewał wiele przy fortepianie, bawił się małą córeczką i nawet liczba pocałunków, którą obdarzał żonę, wzniosła się znowu w dniach tych z trzech do kilkunastu. Był to jeden błysk dawnych jego dla niej zapałów, niby chwilowe buchające żywego światła w dogorywającej lampie.

Błyski te miały jeszcze powtórzyć się nieraz, ale nie mogły utrwalić się w stały, jednostajny i spokojny płomień, bo

do takiego w duszy Aleksandra nie było stosownego materiału.

I Wincunia odczuła ten odbłysk, tak silnych niedawno, a tak prędko osłabłych uczuć, jakie ją wiązały z mężem; ożywiła się i poweselała, nie uniosła się już wprawdzie nad ziemię, ale straciła na chwilę z oczu widniejący w dali brzeg ciemnej przepaści.

Daremnie jednak w tych trzech dniach, jakby nowego połączenia z ukochanym, wyzywała go znowu do serdecznej a poważnej pogadanki, w której serce jej i myśl rozbudzona wywnętrzyć się pragnęły.

Aleksander nigdy nie był do niej usposobiony: śmiech, śpiew i pieszczota były jedynymi żywiołami, którymi mógł ją karmić w najlepszych nawet chwilach.

Gdy przyszedł dzień, przeznaczony na wizytę, Wincunia sprzecznym doświadczała uczuć. Instynktowa antypatya odpychała ją od kobiety, do której jechać miała, ale zarazem przychodziło jej na myśl, że pierwszy raz zobaczy dom, należący do wielkiego świata.

Myśl ta nie budziła w niej żadnej obawy, owszem, pewne zadowolenie i ciekawość. Szybko dojrzewający jej umysł zaczął znajdować przyjemność w czynieniu spostrzeżeń i uczuwać potrzebę poznawania coraz szerszych widnokręgów.

— Ciekawam też — myślała, ubierając się na wizytę — jak wygląda ten, tak zwany, świat wielki? co w nim jest dobrego, a co złego?

I ani razu nie pomyślała o tem, jak się sama w tym nowym dla niej świecie wyda? czy spodoba się, lub nie, osobom, które poznać miała? Chęć błysnięcia, świetnego pokazania się, nie powstała w jej głowie, broniła ją od niej prostota, będąca wynikiem skromnego wychowania i ziarnem przesadzonem z duszy Bolesława na grunt jej ducha.

Kierowana wrodzonym dobrym smakiem, ubrała się bardzo stosownie do okoliczności, tak stosownie, że pani Karliczowa zdziwiła się, obrzuciwszy wzrokiem jej ubiór. Spodziewała się, że ujrzy parafricanę, ustrojona w żywe i sprzeczne barwy, z jaką niekształtną kokardą na głowie; a zobaczyła ją w czarnej bez zarzutu uszytej sukni, z leciuchną koronką, przykrywającą prześliczne, gustownie ułożone włosy.

Tegoż samego zdziwienia doświadczała piękna wdowa przez cały ciąg wizyty.

Wincunia weszła do pięknego, pysznie przybranego pała-

cyku, spokojna, bynajmniej nie onieśmielona zbytkiem, jaki się jej przedstawił, i przez cały czas odwiedzin nie traciła skromnej, ale pełnej godności, pewności siebie. Więcej słuchała, niż mówiła; widocznem było, że czyniła spostrzeżenia nad wszystkim, co ją otaczało.

Po herbacie pani Karliczowa usiadła do fortepianu i grać zaczęła, a Aleksander stanął naprzeciw i rozmawiał z nią półgłosem.

Dźwięki instrumentu głużyły rozmowę, ale wyrazy twarzy gospodyni domu i młodego Snopińskiego były takie, że nagły rumieniec oblał czoło Wincuni i w oczach błysnęła iskra obrazu. Doświadczyła bolesnego olśnienia, po którym rozwidniło się nagle w jej myśli. Pani Karliczowa ukazała się jej w postaci złego ducha, ciągnącego w przepaść jej męża.

— Czyżby ona go kochała? — pomyślała Wincunia, patrząc na czarne, ogniste oczy wdowy, utkwione w twarzy Aleksandra.

— Nie! — odpowiedziała sobie — ona nie zdolna kochać; to próżna, niedobra kobieta.

W tej chwili zaskowyczał leżący na dywanie szpic boński, faworyt pani Karliczowej; Wincunia spojrzała na niego i pomyślała, że piękna pani bawi się zapewne jej mężem tak, jak tem kudłatem zwierzątkiem. Ależ on? czyż nie czuje swej poniżającej roli? Dlaczego tak chętnie ją odgrywa? Czy przez istotny pociąg do tej kobiety?

— Nie, bo nieraz przecie słyszała, jak wymawiał o niej żartobliwe i niezbyt pochlebne słowa.

Więc przez próżność, płochotę, może szła chwilowy? Szał chwilowy! więc może i to, czego dla niej samej doświadczał, niczem więcej nie było? Jakież więc jest rozum, jakie serce człowieka, dającego się tak powodować wrażeniem chwili lub próżnością, i nie czującego, że przez to poświęca godność osobistą?

Tak rozważała i z głębokiem upokorzeniem odczuła za człowieka, którego była żoną; pochyliła zarumienione czoło, a brzeg przepaści zbliżył się i oczy jej ducha z przestrachem utonęły w ciemnym otworze otchłani.

Para przy fortepianie prowadziła ciągle urywaną rozmowę, głośniejszą dźwiękami muzyki, które kapryśnie i beładnie wychodziły z pod palców pani Karliczowej. Dwie kompanionki szepotały z sobą po francusku. Mówiono potem o modach, nudach na

wsi, o jakimś projektowanym kuligu, o Warszawie nareszcie i zagranicy.

Wincunia rzadko się odzywała; zato Aleksander był bardzo mowny, dowcipny, ożywiony, co chwila znajdował sposobność powiedzenia komplementu której z kompanionek, a na panią Karliczową rzucał niekiedy przelotne, ale znaczące spojrzenia.

Jedno z tych spojrzeń spostrzegła Wincunia, dojrzała także wzrok, jakim odpowiadały na nie czarne ogniste oczy wdowy i uchylił się przed nią rożek zasłony, zakrywającej nieznane jej dotąd ciemne jakieś, grzeszne, przepaściste światy.

Zbladła.

Kiedy młodzi Snopińscy opuścili Piaseczną, pani Karliczowa i dwie jej kompanionki spojrzały na siebie w milczeniu. Dziwiły się, bo otrzymały już ową wywołaną dla rozrywki wizytę parafranki i — nie miały z czego śmiać się.

Aleksander w drodze rzekł do żony:

— Trzeba koniecznie, moja droga, abyś uczyła się mówić po francusku.

— Dlaczego, Olesiu? — spytała.

— Bo spodziewam się, że teraz często będziesz bywała u pani Karliczowej, a tam, gdy zbierze się liczniejsze towarzystwo, zawsze prawie mówią po francusku.

Wincunia milczała przez chwilę, potem rzekła:

— Jeśliby ci to nie sprawiło wielkiej przykrości, kochany Olesiu, radabym już nigdy nie być w Piasecznej.

— Dziwna z ciebie kobieta! — zawołał Aleksander — nie podoba ci się wszystko, co piękne i gustowne, i nie masz żadnej ambicji pokazania się w towarzystwie nie gorzej od innych!

— Że w domu pani Karliczowej wszystko jest urządzone z wielkim gustem, temu nie przeczę; ale żeby ten wielki świat, na który dziś po raz pierwszy spojrzałam, był tak piękny i miły, jak mi mówiłeś, nie sędzę — łagodnie odpowiedziała Wincunia.

— I cóż ci się w nim tak nie podobało? — zapytał z przekąsem mąż.

— Wiele rzeczy, a przedewszystkiem brak prostoty.

— Ach, cóż za sielankowe gusty i pojęcia! prawdziwie stworzona jesteś tylko do otwierania spiżarni i karmienia gąsek! — zawołał Aleksander. — Dziwnie niedobra z nas para, moja Wincuniu! — dodał i, owinąwszy się w futro, umilkł.

I milczeli oboje; czy dlatego, że wkoło nich powstał szum wiatru głośniejszy? Czy, że w piersi ich zapanował niesmak i niechęć, a nie przyszła jeszcze chwila, w której wypowiadać je sobie mieli wzajemnie?

Wtedy to Aleksander, w przejeździe koło oberży Szlomy, zajrzał na salę i ugrzązł między hulającymi tam towarzyszami; wtedy to Wincunia po raz pierwszy od rozstania się z Bolesławem spotkała go, a oddana znowu na parę godzin jego męskiej troskliwej opiece, w odgłosach burzy zimowej dosłyszała jęki tych, którzy oplakują utratę ziemskiego szczęścia.

III.

Portret.

Kim była pani Karliczowa?

Przez urodzenie, znaczny majątek i powaby zewnętrzne zajmowała ona w społeczności miejsce widzialne, a zatem wpływowe.

Nie można było powiedzieć o niej, aby była złą w pospolitem znaczeniu tego wyrazu, bo bezpośrednio i wyraźnie nie szkodziła nikomu, a często miewała dobre, nawet szlachetne popędy.

Ci, którzy zblizka ją znali, mogli wymienić wiele dobrych uczynków, jakie spełniła w swem życiu: niejedną rodzinę podźwignęła z nędzy, niejedną sierotę wychowała swym kosztem, niejednemu żebrakowi rzuciła garść pieniędzy. Domownicy jej nie uskarżali się też na nią, była dla nich hojną i delikatną w obejściu się; a choć kapryśna i samowolna, gdy kto potrafił dogodzić jej, umiała odwdziżyć się i datkiem, i przychylnem słowem.

Lubo pochodziła ze znakomitej rodziny, nie posiadała wcale dumy rodowej. Nie zmusiłaby siebie do uprzejmego uśmiechu choćby dla jakiego monarchy, jeśliby się jej nie podobał; a gdy w kim zasmakowała, dla jakichbądź przyczyn, to już nie zważała nigdy na to, z jakiej klasy społecznej pochodził.

Nie była więc złą.

A była także pobożną, bardzo pobożną.

W pokoju jej stał klęcznik bogato rzeźbiony, a nad nim wisiał obraz święty, znakomitego pędzla, ustrojony w krepy, kwiaty i srebrne ozdoby. Na rękę często nosiła różaniec agatowy, z wielkim, złotym krzyżem, święcone szkaplerze nie opuszczały nigdy jej szyi — nawet gdy na bal jechała, wkładała je za stanik wygorosowanej sukni.

Gdy mieszkała w mieście, wybierała sobie spowiednika z pomiędzy pokornej a płomienistej braci zakonnej i co tydzień klękała przed trybunałem pokuty; na wsi miała kapelana, który codziennie Mszę odprawiał w ogrodowej kaplicy. To nabożeństwo jej było zupełnie szczere, nawet gorące; ale miało w sobie coś pierwotnego, coś właściwego tylko południowym ludom.

Wierzyła w piekło ze wszystkimi jego męczarniami, szatanami i kotłami wrzącej smoły, a niebo przedstawiało się jej wyobraźni bardzo podobne do tego, jakie wyśnił i wyznawcom swym przepowiedział Mahomet.

Ekstacycznie wielbiła Matkę Bożą i niektórych świętych, ale, modląc się do nich, potrzebowała koniecznie widzieć malowane ich twarze; gdy nie miała przed sobą obrazu, modlić się nie mogła.

Zasadniczej treści nauki Chrystusowej nie znała i nie zastanawiała się nad nią nigdy; ale unosiły ją w zachwyt formy, obrzędy, blaski lamp, palących się u ołtarzy, dymy kadzideł, błyszczące baldachimy i stroje celebrantów.

Gdy na wielkich uroczystościach kościelnych znajdowała się wśród tego wszystkiego, zazdrościła chińskim kobietom, które mają prawo własnoręcznie palić złożone papierki przed swymi bożyszczami, nie mogąc zaś uczynić tego, kupowała girlandy z róż i oferty ze złota i srebra i zawieszała nimi ołtarze. Rzym był dla niej ideałem i świętem miastem, księgą ulubioną płomieniste i ekstacyczne pismo św. Teresy, kaznodziejami uwielbionymi kapłani włoscy.

Z nabożeństwa podobna do kobiet południowych, i inne cechy posiadała raczej hiszpańskie lub włoskie, niż rodzinne. To też namiętnie kochała trzy punkta świata: Rzym, Paryż i Hiszpanię.

Kochała Rzym, bo tam dusza jej zapalała się u ognia, płonących w Bazylice w chwilach wielkich obchodów, i rozpyływała się w kłębach wonnych kadzideł; Paryż, bo tam był szal światowy, szmer uwielbień, wir zabaw odurzający; Hiszpanię, bo tam było gorąco, gorąco... namiętność wiała od gajów pomarań-

czowych, paliła się w płomienistym szafirze nieba i w śniadych twarzach czarnookich hidalgów...

Najulubieńszą dla niej epoką dziejową, nad którą najczęściej rozmyślała, o której najlepiej lubiła czytać, były Wieki Średnie. Wcale nie pojmowała ich filozoficzno-dziejowego znaczenia, znała tylko fakta i awantury średniowieczne, a te ją zachwycaly.

Wpół dzicy baronowie, odziani w stal od stóp do głowy, żyjący w zamkach, sterczących wysoko po skałach, wypadający na publiczne drogi dla porwania podróżujących piękności, w oczach jej byli bohaterami pełnymi uroku.

Miała też pociąg do błędnych rycerzy, którzy przebywali Europie wszcz i wzdłuż z plastrem na oku albo z łańcuchem, skuwającym lewą rękę z prawą nogą, aby tym sposobem dać dowód miłości damom serc swoich.

Za największego w dziejach człowieka uważała papieża Hildebranda, a w gabinecie jej wisiał wielkich rozmiarów obraz, przedstawiający go, trzymającego stopę na karku pochylonego przed nim w pokucie i upokorzeniu cesarza Niemiec.

W podręcznej bibliotece pani Karliczowej pisma św. Teresy leżały obok »Tajemnic Paryża«, Historya papieżów i epizody z dziejów inkwizycji znajdowały się tuż obok ubranych w formę powieści sprawozdań kryminalnej procedury i posępnych pamiętników trucielek.

Oprócz zapasu wiedzy, jaki piękna kobieta zebrała z podobnej literatury, mówiła ona jeszcze płynnie czterema obcymi językami, tylko zamiast po angielsku, w podróżach swych nauczyła się mówić po hiszpańsku, bo, o ile kochała namiętnych i fanatycznych Hiszpanów, o tyle antypatyczni jej byli zimni i racjonalni Anglicy.

Grała na fortepianie umiejętnie i oryginalnie; oryginalnie zaś przedewszystkiem, bo gra jej była dziwnie ruchoma, kapryśna.

Każdy utwór muzyczny zmieniał pod jej palcami pierwotny swój charakter, a nabierał jej właściwego: smutna tęsknota Chopina stawała się burzliwą i rozpłakaną namiętnością; słodkie barkarole Mendelssohna wrzały spienionemi falami jeżdżących, palących, rozhukanych tonów.

Te same cechy miał śpiew pani Karliczowej, te same też miał jej rysunek, bo rysowała z wprawą i znajomością sztuki, ale z pod ołówka jej wychodziły dziwne jakieś postacie i twarze, to piękne, jak anioły i najwznioślejsze ideały, to poczarne,

straszne, wykrzywione, a zawsze fantastyczne, rozigrane, w kapryśnych narysowane liniach.

W całej więc wiedzy jej, jak i w nabożeństwie, czuć było rozhukaną, bez hamulca wyobraźnię, gorącą fantazję, która pragnęła i szukała ideału, ale, znalazłszy, wnet go ścigała na ziemię, uzmysławiała, owiewała ziemskimi płomieniami i z bóstwa tworzyła bożyszcze, z idei namiętność.

To były strony pani Karliczowej widzialne, otwarte, z którymi nie kryła się bynajmniej, które, przeciwnie, okazywała otwarcie, bez obłudy, ze szczerem i nieposkromionym popędem objawienia tego, co czuła i jak myślała.

Ale poza tem zaczynały się tajemnicze głębie jej istoty, cienie, wśród których trudno byłoby oku śmiertelnika rozejrzeć się wyrażnie.

Raz w życiu kochała; była zakochana tysiąc razy.

Pierwsza miłość jej była prawdziwa i szlachetna, ale nie-szczęśliwa i zdradzona; po niej nastąpiły już tylko miłości. Było ich także mnóstwo, jak latem motylów na łące.

Przychodziły pojedynczo, ale czasem też przychodziły po dwie, trzy i kilka razem; jedne z nich były silniejsze, inne słabsze, a wszystkie miały trwałość motylowego życia, i cała różnica, jaka zachodziła między niemi, była taka, jaka zachodzi między motylem podzwrotnikowym o skrzydłach z purpury i lazuru, a północnym bratem jego blado-żółtym lub niebieskim.

Bardzo młodo wydana zamąż, młodo owdowiała, niezależna, bogata pani Karliczowa miała w życiu swem parę bardzo groźnych romantycznych awantur, w których dobra sława jej znaczny szwank poniosła i zachwiała się społeczna pozycja. Ludzie mówili, że piękna wdowa uniesiona wtedy była miłością, a w istocie uczucia jej w owych porach były niczem więcej, jak owymi podzwrotnikowymi motylami o purpurowych skrzydłach.

Jak daleko w tych licznych miłościach zachodziła piękna kobieta? Czy wśród nich były dla niej inne granice, niż chwilo-wej zachcianki, szału, popędu?

Nikt nie wiedział z pewnością i wszystko, co ludzie o tem mówili, było tylko domniemaniem, w którym mogła być tak prawda, jak i obmowa.

Było to już samo najgłębsze dno jej istoty, świat tajemniczych cieniów, któremu nie przyświecała żadna lampa jasności Bożej, ale po którego przepaścistych głębiach bezwiednie błąkały

się instynkty, nie kierowane rozumem, szalały porywy, nie hamowane wolą, kapryśne uniesienia zapalały się, jak ogniki cmentarza, latały, syczały, uderzały się o siebie, gasiły się wzajemnie i znowu powstawały.

Ona ogników tych nie rachowała nigdy, nie zapalała ich dobrowolnie i nie gasiła ich wolą. Zapalały się? dobrze! gasły? znowu dobrze! gdy znikwały, nie miała ani jednej łzy do oplakania ich śmierci, tylko na ich miejscu, po głębinach ducha poczynano włóczyć się widmo nudy. Rada więc była, gdy ze świeżego grobu spędził ją nowy ognek, a wtedy odbłysek jego pałał w jej czarnych źrenicach sinawym migocącym płomykiem.

Oprócz tego pani Karliczowa lubiła blask, gwar, uwielbienie.

Dla otaczających mężczyzn była ona rodzajem opium, zmienionego w westchnienia i spojrzenia; jak wschodnie ziele, odurzała sobą wszystkich, co się do niej zbliżali, odbierając samowiedzę i zdolność do rozwagi i zapełniając umysł uśpionych gorącymi marzeniami.

Suknie zajmowały ją niewiele, o tyle tylko, o ile podnosiły jej powaby i pomagały w dziele podawania ludziom rozmarzającego opium. Ubierała się fantastycznie i oryginalnie, często w ciemne barwy, najczęściej czarno. Włosy miała olbrzymie, krucze i lubiła wplatać w nie perły lub korale, niekiedy zarzucała na głowę hiszpańskie mantyle z delikatnych koronek, które opływały jej postać falami jedwabnej pajęczyny.

Taką była pani Karliczowa, taką uczyniło ją wychowanie, ludzie, otaczający ją od dzieciństwa, zawód pierwszej miłości, blask świata, niezależność, bogactwo i z tem wszystkim łącząca się płomienistość fantazyi.

Na dnie jej istoty leżało pierwotnie wiele bogatych skarbów, złożonych tam ręką natury. Bogactwa te częścią rozproszyły się po krętych drogach, któremi postępowała piękna kobieta, częścią leżały jeszcze w jej duszy, czekając, aż czar i okoliczności rozbudzą je i powołają do życia.

Miałoby to nastąpić kiedy?

Ci, którzy zbliżka znali panią Karliczową i całe jej położenie, przewidywali, że wkrótce ważne zmiany wstrząsną jej egzystencją, a zarazem całym może ustrojem moralnym. Bogactwo jej bardziej było pozorne, niż rzeczywiste i tuż, tuż prysnąć mogło, jak bańka mydlana, a pozostawić za sobą straszne, zupełne ubóstwo.

Piasieczna z przyległościami była tak obdłużona, że nie

starczyła już od lat kilku na pobyt swej dziedziczki w mieście, mianowicie na pobyt tam pełen zbytku i blasku. Mieszkała więc na wsi, bo wołała, jak Cezar, pierwszą być między ostatnimi, niż ostatnią między pierwszemi.

Na bilans dochodów swych i rozchodów nigdy nie zwracała baczного spojrzenia, tak była pewną od dzieciństwa, że jest bogatą, i że nigdy nią być nie przestanie, iż wszelkie inne przypuszczenie i na myśl jej nie przychodziło.

Osiadła na wsi i wywierała wkóło najgorszy, a dość szeroki wpływ.

Spokrewniona i zestosunkowana z mnóstwem znacznych rodzin krajowych, przyjmowała w Piasiecznej gości, przybywających z daleka, a na całej przestrzeni, na której rozciągały się jej znajomości, atmosfera została przepełniona atomami opium, rozchodzącymi się od jej osoby.

Opium to odurzało i zaćmiewało umysły, a zbytek, jaki panował w jej duszy, przelewał w nie próżność i zamiłowanie w blasku.

Odkąd zamieszkała w Piasiecznej, opowiadano o kilku młodych ludziach, wprzód czynnych i rządných, którzy porzucili pracę i zrujnowali się na zbytki i elegancję; o dwóch czy trzech studentach uniwersytetu, którzy, przybywszy na wakacje do domów i zapoznawszy się z panią Karliczową, nie wrócili już do nauk, aby mózż widywać ją i składać jej hołdy; o wielu młodych kobietach, które, skromne i umiarkowane w życiu dawniej, poczęły ją naśladować w strojach, zbytku i układzie.

Aleksandra Snopińskiego zobaczyła pani Karliczowa po raz pierwszy, gdy miał lat dziewiętnaście.

Uderzona zapewne sympatyczną powierzchownością młodzieńca, zaprosiła go do siebie. Odtąd dom jej stał się dla niego szkołą. Szkołą, w której się uczył — czego? elegancyi, zwyczajów i obejścia się wielkiego świata, dowcipu, pańskich gustów, zamiłowania w blasku, próżniactwa, wzajemnego odurzenia się mężczyzny i kobiety, niby za pomocą opium.

Pani Karliczowa bawiła się nim, jak dzieckiem, uczyła go chodzić, siedzieć, kłaniać się, śpiewać, mówić po francusku, mustrowała go, gderała i na przeprosiny podawała do pocałunku białą rękę, błyszczącą brylantowym pieścionkiem.

Czasem zdejmowała z siebie i zarzucała mu na głowę swoją koronkową mantylę, czasem zawiązywała oczy wonną batystową chusteczką i kazała z sobą i z dwiema bawiacami u niej panami grać w ślepią babkę.

Był on przez czas jakiś najczęstszym i najpoufalszym jej gościem; piękna wdowa bawiła się nim, jak ładnym i roztropnym dzieciakiem, bawiły się nim i jej kompanionki, a żadnej z nich nie przyszło ani do myśli, jak ta zabawa szkodliwą być mogła temu, kto był jej przedmiotem.

Aleksander zaś rozpytywał się w zaszczytach, jakimi być mienił łaski bogatej i pięknej sąsiadki, i coraz bardziej chłonał w duszę zamiłowanie blasku i próżniactwa, panującego w jej domu.

Gdy tak na lśniących posadzkach Piasecznej Aleksander został już dostatecznie wyedukowany i wytresowany, gdy umiał już zgrabnie chodzić, siadać i kłaniać się, gustownie ubierać się, gdy cała osoba jego manierami i ubiorem wybitnym odróżniła się od szlacheckiego tłą, którem był otoczony, a zbliżyła się do kolorytu wielkoświatowego, gdy jeszcze oprócz tego przepędził był parę miesięcy w Warszawie i przybył do Piasecznej, aby opowiadać wrażenia podróży i stolicy, pani Karliczowa, patrząc na niego, pomyślała: jaki z niego śliczny mężczyzna! błędny ognek rozpałił się w jej wyobraźni, z wyobraźni przeszedł do serca i przejrzał przez oczy.

Ale właśnie wtedy, gdy ognek ten zapalił się w sercu pani Karliczowej na intencję Aleksandra, on poznał Wincunię i ożenił się z nią.

Po ożenieniu się rok cały nie był w Piasecznej.

Przez ten czas u pani Karliczowej paliły się i gasły inne ogniki, ale przyszła chwila, w której żaden nie płonął i po grobach gospodarowała nuda.

Wtedy to, pewnego wiosennego poranku, pani Karliczowa spotkała Aleksandra na cmentarzu kościelnym, zaczęła z nim rozmowę, wpatrzyła się w jego twarz swemi wielkimi, czarnymi oczyma i zaprosiła go do siebie.

Aleksander pojechał do Piasecznej i... od dnia tego coraz częściej tam bywał.

IV.

Przepowiednie oryginała sprawdzają się.

Stary pan Tomasz dowodził, że dla małżonków, którzy po pobraniu się zbyt wiele i jawnie całują się, pierwszy rok pójdzie jak po maśle, a w drugim zacznie się już gruda.

Młodzi Snopińscy mieli dowieść, że oryginał miewał niekiedy trafne zdanie: im więcej czasu upływało od połączenia się Wincuni z Aleksandrem, tem częściej cierpiała ona, tem więcej myślała i coraz większej nabierała powagi. A im bardziej młoda kobieta traciła dawną swą dziecięcą wesołość, tem mniej wystarczyć mogła swemu wesołemu mężowi.

Ona przechodziła zwolna do przekonania, że życie nie może być, jak o tem dawniej marzyła, podobne do nocy balowej, wypełnionej tańcem, muzyką i miłosnem marzeniem; on inaczej pojąć go nie mógł.

Każdy dzień zwiększał rozdział między małżonkami i oddalał od nich czas, w którym było im miło z sobą i dobrze...

Przebudzenie Wincuni nie przyszło nagle, ale stopniowo; oczy jej ducha otwierały się zwolna; każda niemal godzina przynosiła jej myśl nową, nowe spostrzeżenia nad sobą i człowiekiem, z którym się połączyła; z każdą godziną przybywało jej samowiedzy i smutku.

Nie mówiła jeszcze sobie, że jest nieszczęśliwą, ale wiedziała dobrze, że szczęśliwą nie jest.

Nie nazywała się nieszczęśliwą, bo miała dziecię, dziecię, które kochała wszystkimi siłami swej ognistej, kochającej natury; nie czuła się szczęśliwą, bo nie miała z kim dzielić myśli swych, których było coraz więcej w jej głowie, odkąd została matką, bo nie czuła się już kochaną i... przedstawiała kochać!

Tak, zobojętnienie dla Aleksandra wpływało w nią także stopniowo i zwolna jednocześnie, jak duch jej budził się ze snu czarownego, w który wprawiły ją nagle i bezwiedne uczucia dla pięknego młodzieńca i pierwsze chwile poślubne.

Nadeszła wiosna i w Niemence rozpoczęło się budowanie nowego domu. Aleksander gorączkowo był niem zajęty.

W dworku powstał ruch wielki, zwożono materiały, ra-

bano, pilowano, zakładano pierwsze fundamenty przyszłego mieszkania.

Wincuni smutno było, że nie mogła dzielić radości męża, z jaką patrzył na te roboty, i jego zainteresowania się niemi. Serce ją bolało, że miły domek, w którym się wychowała, będzie opuszczony i rozwalony, a rozsądek mówił jej, że wielki i kosztowny dom w Niemence będzie śmiesznością i pociąganie za sobą ruinę majątkową.

Nie sprzeciwiała się w niczem mężowi, ale też nie dzieliła jego marzeń i architektonicznych zapałów.

Aleksander, widząc to, pochmurniał, milczał przed nią o tem, co go najmocniej zajmowało i... i coraz bardziej nudził się przy niej.

Mimo jednak wielkiej gorliwości i zapału, z jakim prowadził rozpoczęte dzieło, roboty około domu niewiele postąpiły w ciągu wiosny.

Wstrzymane one zostały nieprzełamaną zaporą... brakiem pieniędzy. Wprawdzie na zakupno materiałów Aleksander użył całego jednorocznego dochodu z Niemenki, który, przefiltrowany przez palce ulubionego Pawełka, w połowie tylko doszedł rąk właściciela; wprawdzie zaciągnął już nawet dość znaczny dług na majątek; ale to wszystko nie starczyło na jego plany i potrzeby.

Sposób życia nad stan, jaki zaprowadził w swym domu, pochłaniał wiele, a oprócz tego pieniądze rozchodziły się mu, Bóg wie jak, ale bardzo szybko.

Sam nieraz dziwił się nad prędkim roztopieniem się sumy, jaką niedawno był posiadał, brał się do rachunku; ale postawiwszy na papierze kilka cyfr, poziewał naprzód lekko, potem mocniej, potem spazmatycznie i ogarniały go takie straszne nudy, że rzucał pióro i wołał na ratunek Pawełka.

Rozmowy z wiernym sługą ograniczały się w podobnych razach do krótkich pytań i odpowiedzi, przypominających ulubiony dyalog świętej pamięci króla Sasa, Augusta III, z poufnym ministrem, Brühlem. »Hab ich Geld?« miał zwyczaj pytać wiecznie skłopotany finansami monarcha. »Ja, Majestät!« odpowiadał minister.

— Pawełku, czy nie masz pieniędzy? — pytał Aleksander.

— Będa, panie — odpowiadał ekonom i najczęściej dostarczał żądanej sumy, ale za jaką cenę!

Posiadał on ku tym celom obszerne stosunki z Żydami w X. i okolicy, i na żądanie swego pana szperał po ich kiesze-

niach, aby z nich dobywać pożyczki na lichwę. Ile w tych pożyczonych sumach należało do owych bankierów w chałatach, a ile do niego, było to już jego najściślejszą tajemnicą.

Aleksander brał pieniądze, wydawał na nie dokumentów, ile kto żądał, zobowiązywał się do procentów, jakich kto wymagał, i za każdym razem tłómaczył się przed samym sobą, że już ostatni raz pożyczka, i to niezawodnie na cele wielce pożyteczne, jako: budowanie nowego domu, ulepszenie gospodarstwa, podniesienie dochodów majątku, które w dwójnasób opłaca poniesione straty.

Ale skoro tylko raz wziął do ręki prześliczne zielone i różowe papierki, rozpełzły się one dziwnym sposobem na drobnotki, elegancje, powiększenia komfortu w domu, na przysługi, czynione damom za domem, i wkrótce rozpoczynał się znowu dyalog króla Sasa:

— Hab ich Geld?

Im częściej powtarzały się te dyalogi, tem więcej wzrastała powaga Pawełka w Niemence, jego omnipotencja w rządach i wpływ nad umysłem Aleksandra. A powtarzać się one mogły długo jeszcze, bo Aleksander wziął Niemenkę bez grosza długu i, jak wiadomo było całej okolicy, w bardzo pięknym stanie. Towarzystwo więc kredytowe, złożone z Pawełka i jego przyjaciół Żydków, długie jeszcze mogą składać rejestry na plecach niemenkowskiej hipoteki, dopóki one jej całej nie pokryją.

Wincunia wcale nie wiedziała o finansowych operacjach męża, mało znała praktyczną stronę życia i ani jej na myśl przychodziło wypytować męża, a tem bardziej wywiadywać się z innych stron o interesach majątkowych.

Niekiedy wprawdzie zastanawiała się, skąd Aleksander bierze pieniądze na zbytkowe przedmioty, którymi coraz więcej dom napełniał, na opłatę zbyt licznych sług, masę niepotrzebnych drobnostek i budowanie nowego domu.

Pytania te wszakże przelotnie tylko zjawiały się w jej umyśle i żadną nie napełniały jej obawą. Przychodziła zawsze do przekonania, że dochody z Niemenki muszą starczyć na wszystko, zresztą nie była pewną, czy mąż jej nie posiada kapitału, bo ani pytała go o to nigdy, ani dbała o to.

A jeżeli kiedy nasuwało się jej wspomnienie ruiny majątkowej, jaką widziała w dzieciństwie swoim, i od której uratował ją Bolesław, i zdejmowała ją mimowolna trwoga, aby nie popaść w nią znowu, to teraz właśnie, gdy miała dziecię, dla

którego chciałaby zebrać wszystkie moralne i materyalne skarby świata, były to raczej instynktowe przeczucia, niż skutek na czemkolwiek opartych wyrachowań. Ona liczyła się dopiero z bogactwem domowego szczęścia i coraz jaśniej widziała w niem bankructwo; o inne nie troszczyła się jeszcze — miało to przyjść z czasem.

Powoli zmieniła sposób życia, do jakiego przywykła była w pierwszym roku małżeństwa, i wracała do dawnego. Coraz więcej nabierała zamiłowania w zajęciach gospodarskich, a w pracy znajdowała przyjemność i prawdziwą pociechę.

Najżywszej radości, od chwili gdy zwinęły się skrzydła uniesień, któremi czas jakiś ulatywała nad ziemię, doświadczyła, gdy dziecię jej po raz pierwszy różanemi usteczkami uśmiechnęło się do niej i wymówiło spieszczone imię matki. Dnia tego czuła się niewymownie szczęśliwą, cały świat wydał się jej piękniejszym, świeższym, niewypowiedziane i nieokreślone dobrze nadzieje ogarnęły jej serce.

Gdy dziecię, uśmiechając się i drobnymi rączkami bawiąc się z jej warkoczem, usnęło w kolebce, wybiegła do ogrodu, z uśmiechem powitała kwiaty, rosnące na klombach, i donośnie zaśpiewała swoją dawną, wesołą, dziewiczą piosenkę.

Nad wieczór jednak stała się smutną.

Przypomniła sobie, że nikt nie podzielił z nią dzisiejszej radości. Aleksandra cały dzień nie było w domu. O zmroku usiadła nad kołyską uspięnego dziecka i pogrążyła się w dumania.

I Bóg wie jak, myśl jej zabłądziła do dworku topolińskiego, w którym niegdyś często z ciotką bywała, i przedstawiła jej postać Bolesława.

— Cemu on nie słyszał pierwszego słowa mego dziecka? — pomyślała — on podzieliłby moją radość! A Oleś, Oleś nie wiem nawet, kiedy wróci do domu, a gdy wróci, pewna jestem, że wcale nie zajmie go i nie ucieszy ten pierwszy objaw budzącej się myśli naszego dziecka!...

Gdy wniesiono do pokoju lampę, światło jej przejrzało się w łzie, drżącej na rzęsach Wincuni. Łza ta cicho spadła na główkę śpiącego dziecka, a młoda matka samotnie myślała dalej.

Myślała o tem, że ponieważ dziecię jej przemówiło, wkrótce coraz więcej i więcej mówić będzie, zacznie rozmawiać z matką i pytać.

Na pytania budzącego się umysłu trzeba będzie odpowia-

dać, a zatem rozwijać, prowadzić go stopniowo po drodze myśli do światła i wiedzy. Ale, ażeby uczyć i kształcić, trzeba samej wiele umieć.

I Wincunia pierwszy raz zaczęła rachować się z tem, co umie; domyślała się, jakie będą pytania, które jej zada córka, i myślała, w jaki też sposób odpowie na nie.

Z tych rozmyślań stworzyło się w niej silne postanowienie kształcenia własnego umysłu, nabywania takiego zasobu światła, aby mogła być w przyszłości jedyną mistrzynią i przewodniczką córki.

— O! bo ja jej nigdy nie powierzę nikomu obcemu a ojciec... ojciec jej mi nie pomoże...

I znowu myśl jej zabłądziła do Topolina: on-by mi pomógł, a raczej jabym tylko mu pomagała — rzekła do siebie, oczyma ducha wpatrując się w rozumną twarz Bolesława.

Od tego dnia zaczęła pilnie czytywać się w książki, przysłane jej przez Bolesława, i te, które otrzymała od niego dawniej, a nawet gdy nie czytała, w każdej chwili towarzyszyła jej myśl oświecania się, nabywania coraz szerszej wiedzy. Uważnie zaczęła patrzeć na ludzi i naturę; każda twarz spotkanego człowieka, każda roślina, ptak, gwiazda, miały jej coś do powiedzenia.

Z jednych czerpała naukę, z innych poezję, a wszystko starannie składała w sercu i zapisywała w umyśle, tworząc niby skarbnicę, z której w przyszłości dziecię jej czerpać miało.

Wszystkie te wzrastające w niej zamiłowania i cechy, jałkiemi one piętnowały stopniowo jej osobę, coraz bardziej oddalały od niej Aleksandra. Gdy przechodziła obok niego z kluczami w ręku, żartował z niej wesoło, gdy był w dobrym humorze; ale daleko częściej uśmiechał się z utajoną ironią, uciekał od niej, gdy ujrzał ją z książką.

— Dziwnie prędko postarzałaś się, moja Wincuniu — rzekł raz do niej.

Młoda kobieta żartobliwie spojrzała w lustro i odpowiedziała z uśmiechem:

— Nie zdaje mi się, aby tak było: jeszcze nie mam ani jednej zmarszczki na twarzy i ani jednego siwego włosa!

— Nie o tem mówię — odrzekł Aleksander — jesteś owszem ładniejszą, niż kiedy, ale masz gusty i zwyczaje starej kobiety.

— Co przez to rozumiesz? — spytała żona.

— Nie lubisz towarzystwa, nie bawią cię wcale piękne rzeczy, które sprowadzam do domu, i ubranie, jakie dla ciebie kupuję, i dziwnie jesteś poważna. Gdybym jeszcze i ja miał podobne usposobienie, żylibyśmy jak pustelnicy i poziewalibyśmy całe życie, patrząc na siebie.

Wincunia zbliżyła się do męża, z łagodną pieszczotą położyła dłoń na jego czole.

— Nie miej mi tego za złe, mój drogi Olesiu — rzekła — cóżem ja winna, że mnie najlepiej w domu, z tobą, z dzieckiem naszym, z książką i z kluczami? Ja innego życia nie pojmuję.

Aleksander z tłumionym gniewem wzruszył ramionami.

— Alboż ja ci bronie żyć, jak ci się podoba? — odpowiadał — zdaje mi się, że nie możesz uważać mię za despotycznego męża. To tylko, że gdym się z tobą żenił, nigdy nie przypuszczałem, abyś miała podobne usposobienie.

Starał się powiedzieć to niedbale i grzecznie, ale w głosie jego przebiła się gorycz i wyrzut.

Odszedł.

Wincunia pozostała smutna; pytała siebie długo, czy niema jej winy w tym rozstroju, jaki zapanował między nią a jej mężem? Ale sumienie odpowiedziało jej, że nie powinna zmieniać postępowania swego i przekonań, jakie nią rządziły; że przede wszystkim była matką, a szczęście jej dziecka wymagało, aby nie psuła i nie rozpraszała swego ducha, ale, przeciwnie, podnosiła go i wzbogacała.

Nagle wspomnienie przyniosło jej na pamięć ową chwilę rozmyślenia po nocy balowej, w której ważyły się jej losy i postanowienia.

Ujrzała znowu te same postacie, które, wyrojone z jej ducha, stały wówczas ponad nią, brakło tylko między nimi namiętności i marzeń: pierwsza skołała, drugie pierzchył dawno, za to sumienie ujrzała jaśniej i wyraźniej niż kiedy, i przypomniała sobie to, co ono jej wtedy mówiło: że miłość jej dla Aleksandra była chwilowym tylko szaleństwem, omamieniem, a nie prawdziwym, znaczącym uczuciem.

Zakryła oczy z przestachem, bo brzeg czarnej przepaści, który spostrzegła niekiedy, ukazał się jej blisko... bardzo blisko. Stłumiła w sobie myśl o ostatecznym rozczarowaniu i zobojętnieniu.

Rozkazała sobie uznać się za winną niezgody, jaka panyowała między nią a mężem, a uniewinnić Aleksandra. Broniła się

od własnych pytań i zwątpień, niemniej jednak serce jej ścisnęło się boleśniej.

I znowu, nie wiedząc sama jakim sposobem, myślą ujrzała dworek topoliński a w nim Bolesława i na obrazie tym zatrzymała wzrok długi, łzawy.

Obraz ten zresztą nasuwał się coraz częściej jej wyobraźni: gdy była w zwyczajnem usposobieniu, nie widywała go, ale w chwilach radości lub smutku zjawiał się zawsze przed nią, jakby czarnoksięską różdżką wywołany.

Przed obrazem tym skarżyła się w cierpieniu cichą skargą rozplakanej myśli, jemu pokazywała chwilowe swoje pociechy, jego pytała w wątpliwościach. Twarz Bolesława ukazywała się jej, to pogodna i wesoła, to rzewnie zadumana, to błada i napiętnowana boleścią wielką, jak ją w chwili rozstania widziała. Czasem żał ją ogarniał, czasem wstyd niewytłomaczony, czasem tęsknota, a sumienie odzywało się cicho:

— Ostrzegałem cię!

Dobroć, także wyzwolona z płomienistego wieńca zgasłej namiętności, stawała przed nią rozplakana i bez oliwnego wieńca na głowie, bo utraciła spokój, i wspomnienia otaczały głowę jej mglistym chórem, pięknie śpiewając pieśni o dzieciństwie jej i najpierwszych latach młodości.

Wtedy młoda kobieta, łzami serdecznie zalana, padała na klęczki przed świętym obrazem i modliła się długo, boleśniej. Raz wśród modlitwy zawołała:

— Boże mój! zgrzeszyłam!

Ale gorzej bywało, gdy przed oczyma samotnej kobiety stawały obok siebie dwie postacie: dawnego przyjaciela jej lat dziecięcych i dziewiczych i tego, czyją była małżonką. Wtedy Wincunia odwracała oczy, starała się myśleć o czem innem, patrzeć na co innego; ale dwie postacie, jedna silna duchem, myślicąca, szlachetna, druga piękniejsza wprawdzie zewnątrz, ale płocha, niedołężna, rozbawiona, upornie przedstawiała się oczom jej ducha, a głos wewnętrzny, natarczywy, bolesny, wołał do niej:

— Porównaj! porównaj!...

I coraz prędzej, coraz wyraźniej sprawdzały się przepowiednie starego oryginała, pana Tomasza; Wincunia budziła się z halucynacyi, miraż pierzchały, okazywała się rzeczywistość, wyrosła z kryształowych pałaców marzeń, ziejąca czarnym dnem przepaści.

Około jesieni Aleksander wyjechał do rodziców na kilka

tygodni. Wincunia, pozostawiona sama, więcej jeszcze miała czasu do kształcenia się i rozmyślań.

Od wyjazdu pana domu cisza zapanowała w Niemence, kiedy niekiedy tylko zajrzał tam z odwiedzinami jaki sąsiad lub sąsiadka. Wystarczyło jednak tych odwiedzin, aby do ucha Wincuni dochodziły słowa i wieści, rzucające cień na jej męża i drażniące jej serce i miłość własną kobiecą.

Pewnego dnia, na przykład, jeden z dawno znajomych, prostoduszny i otwarty wieśniak, odwiedzający Niemenkę, rzekł do Wincuni:

— Prawdziwie nie pojmuję, jak mąż pani mógł na tak długo dom opuścić, w porze tak ważnej dla gospodarza.

— Pozostawił ekonoma, który go zastępuje — odrzekła młoda kobieta.

— A naprzód powiem pani dobrodziejce — rzekł sąsiad — że ten ekonom, Pawelek, to wielki łotr i strasznie państwa okrada, to już wiadomo całej okolicy; a potem, czy to nam biednej szlachcie należy trzymać ekonomów i spuszczać się na nich? Co innego, kto ma wielkie majątki, ale na małym folwarku, to, pani dobrodziejko, pańskie oko konia tuczy.

Wincunia nic nie odpowiedziała, czuła słuszność słów sąsiada.

Innym razem przybyła znowu sąsiadka, daleka krewna Wincuni, niemłoda jejmość z rumianą twarzą, otyłą figurą, oczyma łatwemi do wylewania łez i językiem, obracającym się z szybkością skrzydeł wiatraka. U samego wstępu pochwyciła młodą krewniaczkę w objęcia, przycisnęła ją do piersi, ubranej w kwiecistą suknię, i zawołała:

— Oj, biedaczko ty moja, biedaczko!

Wincunia zaśmiała się głośno.

— Skąd spada na mnie ta nazwa? — spytała żartobliwie.

Sąsiadka patrzyła na nią łzawemi oczyma.

— Ej, nie udawaj, nie udawaj! — wołała, trzymając jej rękę w swych pulchnych dłoniach — wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Czy to nie wiadomo, że mąż twój ferta się po świecie i koperczaki stroi, to do tej kokietki Karliczowej, to do Józki Siankowskiej, a ciebie biedaczkę zostawia w domu, jak pustelnicę. Już ja dawno zbieram się prawdę jemu powiedzieć i ująć się za tobą, bo co brzydko to brzydko, mając taką piękną i młodziutką żonę, romansować z tą panią Karliczową, co to... Boże odpuść...

Długo w ten sposób mówiła sąsiadka, a Wincunia zdawała się nie mieć siły odpowiedzieć jej choćby jednym słowem. Bolesć, zdziwienie, upokorzenie i gniew zalewały twarz jej, to bladeścią, to rumieńcem, a tymczasem sąsiadka prawiała ciągle i z długiego jej monologu Wincunia dowiedziała się o wszystkich plotkach, jakie krążyły po sąsiedztwie o niej i o jej mężu.

Było ich wiele, ale dwie z nich stanowiły tło do reszty innych i z mnóstwem waryacyi powtarzały się wciąż na jeden temat: że Aleksander Snopiński jest próżniakiem i utracyszkiem, który marnuje fundusz i wkrótce całkiem go zmarnuje.

Gdy sąsiadeczce zabrakło już nareszcie sił do mówienia i gdy zakończyła swój monolog ciężkiem westchnieniem na terazniejsze zepsucie świata, Wincunia podjęła schyloną dotąd głowę i odpowiedziała bardzo spokojnie, a nawet z uśmiechem:

— Moja kochana pani Ignacowo! niezmiernie mię dziwi, skąd ludziom te wszystkie rzeczy, o których mi opowiadałaś, przychodzą do głowy. Mało nas zresztą obchodzi, co o nas ludzie mówią, bo zawsze jednakowo kochamy się i jesteśmy z sobą zupełnie szczęśliwi.

Sąsiadka spojrzała na Wincunię wielkimi oczyma i pomyślała:

— Albo ona taka głupia, że nic nie widzi i niczego się nie domyśla, albo udaje.

Wincunia po wyjeździe sąsiadki wyszła przed zmrokiem do gaju. Schyłek dnia był jesienny, mglisty ale ciepły, niebo było szare ale spokojne, po ziemi rozścielały się żółte liście.

Wincunia szła powoli udeptaną przez gaj ścieżką, wkoło niej wiatr zcicha szumiał między gałęzmi bezlistnych drzew, niekiedy w oddali zakrakała wrona, albo jaka sucha gałąź oderwała się z wierzchołka brzozy i z szelestem spadała na ziemię.

Młoda kobieta wydawała się smutna i zgnębiona, głowę przechyliła na piersi i splecione ręce opuszczała na suknię. Myślała porównywała własne swe spostrzeżenia i zdania ze słowami, które jej o Aleksandrze mówiła sąsiadka, i zapytywała myślą: byłoby one prawdą? Aleksander kochankiem pani Karliczowej? we dwa lata po ślubie?

A więc nie kocha jej i nigdy nie kochał, a jeżeli i kochał, czemuż było to uczucie? A tę panią Karliczową czyliż kocha on? wszakże znał ją pierwej i snadź nic go nie ciągnęło do niej,

kiedy związał się małżeństwem z inną kobietą? A więc i tamtej nie kocha! a jednak jasne było jak dzień, że obojga ich wiąże stosunki inne, ściślejsze, niż powszedniej światowej znajomości. Jakiegoż więc rodzaju stosunki te być mogą?

Zadając sobie to ostatnie pytanie, Wincunia przypominała sobie owo spojrzenie pani Karliczowej na jej męża rzucone, w którym wydało się jej, że na jedną sekundę ujrzała — nieznane, przepaściste, ciemne światy wewnętrzne pięknej kobiety.

Zaczęła sobie przypominać wszystko: ową rozmowę męża swego i pani domu, prowadzoną półgłosem w Piasecznej przy fortepianie, pewne półsłówka, mimowoli wymykające się niekiedy z ust Aleksandra, jego drażliwe usposobienie, w jakie wpadał znowu po powrocie z Piasecznej, opinię ogółu o pani Karliczowej, wrażliwość i lekkość charakteru męża; a z tego wszystkiego wywiązało się w jej umyśle przekonanie, że to, co mówiono, było prawdą...

Aleksander nie kochał jej nigdy; to, co czuł dla niej, gdy się z nią żenił, było wrażeniem chwili, kaprysem, fantazją...

Nie kochał on także i pani Karliczowej, bo gdyby ją kochał prawdziwie, nie żeniłby się z inną; to, co czuł dla pięknej wdowy, nie musiało być także niczem więcej, jak szaleństwem i wyobraźnią, z domieszczeniem próżności i zamiłowania w blasku, jakim otoczona była bogata i światowa pani.

Myśl Wincuni przerażona zaczęła błąkać się po rozdrożach dziwnych, nieznanych jej dotąd, niepojętych dla niej światów występku...

Po raz pierwszy ludzie okazali się dziwnie źli, fałszywi, zbrukani...

Kim jest ta kobieta, która dla dogodzenia fantazyi, dla igraszki, odbiera innej szczęście i spokój domowy? Kimże jest ten człowiek, który z takim zapalem przysięgał jej wieczną miłość i opiekę, a tak prędko... tak prędko zdradza ją i opuszcza? Jakimże jest ten stosunek dwojga ludzi, tak różnych sferą towarzyską, wiekiem, położeniem?

Jakiego rodzaju jest to szczęście czy zadowolenie, jakie oni ze stanowiska tego odnoszą? Jakież są te dusze, tak lubujące się w cieniach i tajemnicy?

Ciemny, ciemny obraz zarysował się przed oczyma ducha kobiety, która, lubo sama uległa szatawii i rozmarzeniu, lubo unosiła się przez czas jakiś na skrzydłach ognistej, namiętnej

miłości, pozostała czystą w myślach, dziewiczą w poczuciach, a nie znała, nie rozumiała dotąd pewnych przepaścistych grzechów świata...

Szła smutna, pełna zwątpień i goryczy i pytała siebie: czem będzie przyszłość jej i jej dziecka z tym człowiekiem, który ją zawiódł tak srodoze...

Nagle, wśród głębokiej ciszy gaju, obił się o jej uszy gwar kilku głosów, złączony ze skrzypieniem żurawia u studni, rykiem bydła i uderzeniem siekiery. Podniosła oczy i zobaczyła przed sobą ostrokół, oddzielający od gaju ogród i dziedziniec Topolina. Poprzez bezlistne gałęzie drzew widziała nawet ścianę domku Bolesława.

Nie spostrzegła, jak w zamyśleniu oddaliła się znacznie od Niemenki, a zaszła na drugi koniec gaju. Stała jak wryta i długo stała, patrząc na ten pogodny dworek, przysłuchując się różnym odgłosom, które w nim odzywały się, niby brzęczenie pracujących pszczołek.

Ten spokojny, pełen prostoty i pocziwej pracy obrazek dziwną sprzecznością stanął naprzeciw tego ciemnego, grzesznego, tajemniczego obrazu, który myśl jej zaćmiewał przed chwilą...

Zmrok zaczął zapadać, a razem z nim ucichały wszystkie odgłosy we dworku.

Naprzód umilkło skrzypienie studni, potem ryk bydła słabł i oddalił się, potem rozmowy i nawoływania ludzkie ustały; ostatnia jeszcze odzywała się siekiera, z głuchym hukiem uderzająca o drzewo, ale po chwili i ten odgłos stawał się coraz słabszy, krótszy, po długim przestanku ozwał się raz i jeszcze raz, ostatni huk rozpląnął się przeciągle w powietrzu, gdzieś daleko w głębi gaju odpowiedziało mu echo i wszystko umilkło, zupełna cichość ogarnęła dworek, który po pracy dziennej zdawał się marzyć lub modlić.

W jednym oknie domu błysnęło światło i nad ostrokołem migotało na tle szarych drzew.

Wincunia stała, słuchała, patrzyła...

Miedzy głosami rozmawiających na dziedzińcu ludzi poznała głos Bolesława, spokojnie wydającego rozporządzenia gospodarskie. Teraz, gdy wszystko umilkło i światło błysnęło w oknie, ujrzała wyobraźnią dawnego przyjaciela swego, siedzącego samotnie przy świetle lampy nad książką w zamyśleniu, którego wyraz tak pięknie zdobił proste i pospolite rysy.

— Tu spokój, uczciwość, praca, tu światło ducha i szczęście!... — szepnęło jej serce.

Westchnęła całą piersią i z wolna odeszła ku Niemence.

Po wyjeździe Aleksandra do rodziców Wincunia otrzymała pierwszy list, bardzo śpiesznie i czule napisany. Pisał, że tęskni za nią i malutką Andzię, że postara się jak najprędzej wrócić, a tymczasem całuje ją po tysiąc razy. W ciągu pisma nazwał ją nawet parę razy »śliczną perelką«, a była to nazwa, której używał najczęściej, mówiąc z nią w owym cudownym półroczu poślubnym....

Drugi list przyszedł znacznie później i był o wiele chłodniejszy; trzeci zawierał już tylko parę wierszy, napisanych na prędce, donoszących o dobrym zdrowiu i rychłym powrocie i zakończonych pretensjonalnym podpisem »ton affectueux mari«.

Potem Wincunia żadnego nie otrzymała listu, choć upływały tygodnie, a mąż jej nie wracał.

— Musi codziennie wybierać się w drogę i dlatego nie pisze — mawiała do siebie — zresztą, cóż dziwnego?... — dodawała i bolesny uśmiech okręzał jej usta.

Uśmiech ten mógł się wyrazić tak: może tam znalazł drugą panią Karliczową! Zupełne, gorzkie rozczarowanie obejmowało ją; wątplenia wkradały się w umysł, a z niemi razem zobojętnienie do Aleksandra coraz bardziej wnikało do serca.

Nie zabrakło też jej i pewnego wyjaśnienia powodu długiej nieobecności i długiego milczenia męża. Jeden z sąsiadów przyjechał raz do niej i zapytał:

— A w jakich stronach mąż pani dobrodziejki obecnie bawi przy rodzicach?

— Na Polesiu — odpowiedziała Wincunia.

— Ba, ba! — zawołał sąsiad — to już i rozumiem, dlaczego tak długo tam bawi! wesoło tam, wesoło!

— Czy pan znasz tamte strony? — spytała młoda kobieta, tłumiąc przykre wrażenie.

— Doskonale! Stryj mój trzymał tam dzierżawę przed trzema laty, w powiecie K...

— Tam też i rodzice Olesia...

— Ot, widzi pani dobrodziejka! Ja bywałem często u stryja, a że byłem jeszcze nieżonaty, to bywało, jak pojedę, i wracać się nie chce stamtąd. Śliczne towarzystwo! Dworów jak nasiał, a wszystko gościnne, kordyalne, zamożne a i oświecone, pani

dobrodziejko, bardzo oświecone! Powiat K... słynie ze swych miłych dworów i towarzystw.

Jeden tylko tam brak... młodych mężczyzn, nie żeby ich wcale nie było, ale że, w stosunku do pań, bardzo mała liczba. To też, jak zjawi się jaki nowo przybyły młody człowiek, to już może wybierać między pannami, jak mu się żywnie spodoba.

Przytem lubią tam bardzo wesołych ludzi, dobrych tancerzy i takich, coby w salonie znaleźć się potrafili. Bo tam, pani dobrodziejko, salony w każdym dworze co się nazywa... Ej, ej, mążulek pani ugrzął tam, ugrzął w tych salonach i między panienkami.

Trudno było odgadnąć, czy młody sąsiad, który przed trzema laty aspirował do ręki Wincuni, mówił w ten sposób przez dobroduszość, czy przez złośliwość? Ale Wincunia wydało się, że na twarz jego wybił się lekki odcień ostatniej.

Podniosła głowę ze spokojem i pewną dumą i odpowiedziała z uśmiechem:

— Bardzo cieszę się tem, że mój mąż dobrze czas przepędza; pisał nawet do mnie o tem w ostatnim liście. Co zaś do długiej niebytności, wcale mię ona nie dziwi i nie niepokoi. Rodzice mają też swoje prawa...

— Pani dobrodziejka jesteś aniołem dobroci, że tak eksplikujesz wszystko — zawołał sąsiad — o! bo ja wyznam otwarcie, że nie porzuciłbym żony i domu na tak długo, nawet na żądanie rodziców.

— A ja, na miejscu żony pana, zmusiłabym go, abyś był dobrym synem — rzekła z uśmiechem.

Długo rozmawiali w żartobliwy sposób o tym samym przedmiocie, a sąsiad, wyjeżdżając, mówił do siebie:

— Ślepa kobieta, słowo daję!...

Po odjeździe swego dawnego aspiranta, Wincunia poczuła się mocno zmęczoną walką i ukrywaniem uczuć, jakimi ją napępiała jego rozmowa. Odetchnęła dopiero swobodniej przy kołysce dziecka, gdy ono, obudzwszy się z uśmiechem, wymówiło imię matki; wzięła je w ramiona, przytuliła do piersi i zapomniała o wszystkim.

Jednego z dni głębokiej jesieni Wincunia otrzymała zaproszenie do proboszcza z X., na uroczystość utworzenia nowo zbudowanego szpitala. Szpital ten budował się wiosną i latem pod dyrekcją Topolskiego, dwóch innych mieszkańców okolicy, proboszcza i zawezwanego na stałe mieszkanie do X. lekarza.

Przez cały czas wznoszenia i urządzania zakładu rozszerzano między niższymi warstwami pojęcie o pożyteczności jego i korzyściach, jakie zeń wypłyną dla publicznego zdrowia.

Właściciel oberży z bilardem, Szłoma, roztropny i oświecony trochę przez ciągłą styczność ze szlachtą Żyd, przytem obdarzony snadź z natury duchem nowatorstwa, bardzo wziął do serca pomysł szpitala i gorliwie dopomagał wszystkim, czem mógł, jego założycielom. A ponieważ posiadał ogólny szacunek swych współwyznawców, słowa jego wywierały na nich wpływ zbawienny.

Na zarzut żydowskich familii, że w chrześcijańskim szpitalu będą udzielane lekarstwa i pożywienia trefne, upewniał, że szpital będzie miał dwa oddziały: jeden dla chrześcijan, drugi dla starozakonnych.

— No, jeżeli tak, to dlaczego nie mamy tam leczyć się? — odpowiedzieli Żydzi.

Szłoma miał następnie o tym przedmiocie długą rozprawę z Topolskim, a gdy po niej wrócił do domu, rzekł do żony:

— Nu, ten Topolski to... to...

Szukał długo wyrazu, któryby dorównał wysokości pochwały, jaką miał w myśli.

— To cymes! — dokończył, gładząc z przyjemnością pejsy.

— Prawda — odpowiedziała Szłomowa — to bardzo fein człowiek.

— On nie uważa — ciągnął Szłoma — jakiej kto religii i jakiego stanu: czy Żyd, czy chrześcijanin, czy szlachcic, czy chłop; a powiada, że kto tylko cierpi, temu trzeba dać pomoc.

Po rozprawie ze Szłomą, Topolski miał z kolei długą naradę z doktorem i współdziałaczami w przedsięwzięciu, a skutkiem jej było urządzenie dwóch sal w szpitalu: jednej dla chrześcijan, drugiej dla starozakonnych.

W dniu naznaczonym na otwarcie zakładu mnóstwo ludzi zebrało się do kościoła, proboszcz odprawił solenne nabożeństwo, przemówił do zgromadzonych kilku ciepłymi słowami, zastosowanymi do okoliczności, komentującymi tekst ewangeliczny: »co dacie jednemu z maluczkich braci moich, mnie dacie«, potem zaprosił całe zebranie do siebie i na plebanię; rozstawione były ławy i stoły z przekąską i napitkiem.

Wkrótce małe pokoiki księdza zapełniły się takim tłumem

gości, że miejsca zabrakło do siedzenia, i kto później przybył, ten z trudnością mógł przecisnąć się do gospodarza domu. Zebranie to składało się z najróżniejszych żywołów: byli w niem mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi i średniego wieku.

Na głowach żon dzierżawców i drobnych właścicieli piętrzyły się czepce z różnobarwnymi wstążkami, twarze młodych kobiet i panienek jaśniały ciekawością i zadowoleniem ze znalezienia się w tak licznej gronie.

Miedzy mężczyznami były okrągłe i rumiane oblicza starych gospodarzy, z pocziwami, ale mało obiecującymi inteligencyi oczyma; kręciły się między kobietami z pańska po szlachecku przybrane postacie młodzieży, bywającej na sali u Szłomy; nie brakło też rozumnych i myślących fizyonomii, jak proboszcza, doktora, Topolskiego, filuternie oryginalnego pana Tomasza i kilku innych.

Gwar zrazu był wielki, panienki rozmawiały z młodzieżą i chichotały między sobą; gospodarze rozprawiali o polityce i urodzajach; pan Tomasz wypowiadał po swojemu jakieś oryginalne zdania, na które otaczająca go część parafii zgodzić się nie mogła i protestowała bardzo żywo.

Franuś Siankowski tubalnym głosem prawił komplementy panienkom, a zająkliwy Rybiński starał się mu dorównać w wymowie; ale sprzeciwiała się temu wada jego organiczna, co wzbudzało ciche śmieszki i uśmieszki panienek.

Na najpokaźniejszym i najwygodniejszym miejscu siedziała hrabina X., przybyła na kilka tygodni do swojej rezydencji, dla załatwienia osobiście pewnych spraw swego wielkiego majątku. Szacowała ona niezmiernie miejscowego proboszcza, i na jego zaproszenie chętnie zgodziła się uczestniczyć w zebraniu.

Wielka pani, młoda jeszcze i pełna zewnętrznego wdzięku, znalazłszy się między szlachecko-demokratycznym tłumem, zdawała się całkiem zapominać o swym tytule i bogactwie; była uprzejmą, wesołą, pełną prostoty, czem od razu ujęła sobie wszystkie serca.

Niedaleko hrabiny między młodem kobietami siedziała Wincunia, skromnie ale bardzo gustownie ubrana. Zupełnie była spokojna na pozór, nawet rozmawiała z ożywieniem, ale wszyscy jej znajomi od razu uczynili uwagę, że od pewnego czasu zbłądła i zmierzniała widocznie.

Kiedy uwaga ta doszła do jej uszu, młoda kobieta stała się jeszcze weselszą i rozmowniejszą, a tylko kiedy niekiedy zamy-

ślała się i zatrzymywała na chwilę wzrok na twarzy Bolesława, który w drugim końcu pokoju rozmawiał z kilku sąsiadami.

Harmonia, wesołość i kordyalność panowały w całym zebraniu; częste wybuchy śmiechu gospodarzy i młodzieży unosiły się nad całym gwarem i mieszały się ze słowami poważniejszych rozmów, jakie się toczyły wokoło hrabiny, proboszcza, pana Tomasza i Topolskiego.

Wszyscy nastrojeni byli na ton serdeczny i wesoły i nikt nie spostrzegł, że były w zebraniu dwie twarze, po których przebiegał chwilami wyraz silnego, a szybko powściąganego wzruszenia, twarze, których spojrzenia często spotykały się, jakby wiedzione ku sobie niewidzialnym magnetycznym prądem...

Od czasu rozstania Wincunia i Bolesław spotykali się po raz pierwszy w towarzystwie; w zebraniu zaś były osoby zdjęte wielką ciekawością: jak też Topolski powita swą dawną narzeczoną, a ona jego?

Ku wielkiemu zdziwieniu tych, którzy spodziewali się ujrzeć małą scenkę lub skandalik, Bolesław, wchodząc i witając znajomych, spokojnie a serdecznie podał rękę Wincuni, zamiepił z sobą kilka słów zwyczajnych, poczem on odszedł do grona mężczyzn.

Parę osób, patrzących na to, szepnęło między sobą:

— On snadź już przestał ją kochać, a ona jego nigdy nie kochała.

Uniknęła wszystkich oczu nagła bledość, która załała twarz Bolesława w chwili, gdy dotknął ręki Wincuni; nie zrozumiano też uśmiechu, z jakim ona odpowiedziała mu na jakieś powszednie zapytanie... a jednak w uśmiechu tym było całe serce cierpiące, żałujące, stęsknione...

Po obfitem i smacznym, choć nie wytwornym śniadaniu, proboszcz prezentował obecnym nowo przybyłego do X. lekarza, który, serdecznie powitany, serdecznie też witał przyszlą swą klientelę.

Następnie wszyscy poważniejsi ludzie zebrali się do pokoju, w którym znajdowała się hrabina, i Bolesław Topolski został wezwany przez proboszcza, aby zdał sprawę sąsiadom z urządzenia szpitala, którego dokonaniem głównie się zajmował.

Bolesław, otoczony gronem mężczyzn, przystąpił do stołu, na którym leżały papiery i rachunki, dotyczące się dobroczynnego przedsięwzięcia, i zabrał głos z pełną prostoty powagą.

Wykrzykniki, pochwały i potwierdzenia co chwila przery-

wały mu mowę; gdy skończył, doktor przemówił kilka słów o potrzebie zaprowadzenia w okolicy pewnych niezbędnych prawideł i urządzeń higienicznych; potem nowi znajomi uściskali go z kolei serdecznie i przyrzekli przyjęcie podanych przez niego projektów.

Gdy gwar umilkł znowu nieco, proboszcz odezwał się:

— Z pomocą Boga i współdziałaniem pocziwych ludzi, doprowadziliśmy do szczęśliwego końca użyteczne przedsięwzięcie posiadania w okolicy stałego lekarza i urządzenia dla biednych klas szpitala. Ale nie koniec na tem, panowie, a przynajmniej nie powinien być na tem koniec. Działajmy dalej równie użytecznie dla siebie; ogólny początek już zrobiony, a wiele jeszcze uczynić trzeba, aby okolicę naszą doprowadzić do kwitnącego stanu społecznego i rolniczego. Przygotowaliśmy, kochani sąsiedzi, parę projektów, które wam podamy; może uznacie w ich spełnieniu korzyść własną i ludzi, na których czele stoicie, jako oświeceni i bogatsi...

— Jakież to projekty? jakie? — zawołało kilka głosów.

— Jam nie tęgi w wymowie — zażartował proboszcz — i lubo pojmuję plany i podzielam je całą duszą, nie potrafiłbym jednak dokładnie wam ich objaśnić; ot, poprośmy naszego pana Topolskiego.

Bolesław zaśmiał się:

— Chcecie, proboszczu, jak widzę, wykierować mię na Cicerona! — rzekł.

Kilka głosów zaśmiało się, a kilka ozwało z prośbą, aby Bolesław objawił te plany, ułożone z proboszczem ku publicznemu użytkowi.

— Czemużby nie — prosto odpowiedział Topolski — z chęcią powiem państwu, co myślę. Oto potrzebujemy, bardzo potrzebujemy dwóch rzeczy: wzmożenia się oświaty i podniesienia w dość smutnym stanie zostającego rolnictwa.

— A jakimiz środkami pan sądzisz, że nabyć się dadzą te dwie rzeczy? — z lekkim przekąsem spytał plenipotent hrabiny, wygolony i wyfrakowany jegomość, stojący za krzesłem swej pryncypalki.

— Tego, co powiem, nie podaję za pewniki, są to tylko propozycje — odparł spokojnie Bolesław — dla oświaty potrzebujemy założenia biblioteki wspólnej i składkowej dla nas oświeceńszych, a szkoły dla włościan; w celu podniesienia rolnictwa, przemysłu, handlu i kredytu, co wszystko razem łączy się z sobą, powinniśmy zaprowadzić po majątkach udoskonalone maszyny

rolnicze, ulepszyć stan dróg komunikacyjnych i w stosownych miejscowościach pozakładać fabryki, odpowiednie stanowi i położeniu ekonomicznemu okolicy.

— Ho, ho! zbyt daleko pan sięgasz! — zawołał plenipotent.

— Zupełnie podzielam zdanie pana Topolskiego — ozwała się wnet hrabina.

Plenipotent skłonił się nisko i umilkł.

Kilku mężczyzn, którzy mieli już na ustach zarzuty przeciw słowom, wyrzeczonym przez Bolesława, na głos hrabiny umilkło. Kilku innych poczęło gwarzyć i komentować podane plany.

Stary oryginał, pan Tomasz, odezwał się:

— Mospanie Topolski, słyszym głos, ale go nie rozumiemy; słyszym, że dzwonią, ale nie wiemy, w którym kościele; wytłómacz nam to prosto i wyraźnie: jak i co należy zrobić, bo nam wszystko łopata trzeba kłaść w głowę.

Mówiąc to, oryginał uśmiechał się filuternie i spoglądał na kupkę gwarzących sąsiadów. Było wyraźne, że pił do nich.

— I owszem — odpowiedział Bolesław, który w miarę, jak się ożywała rozprawa, zaczął zapalać się do podawanych przez siebie planów. — A naprzód wydaje mi się koniecznością wspólna biblioteka...

— Za pozwoleniem! co to? na co i za co będzie ta biblioteka? przerwał jeden z dzierzawców.

— Zaraz powiem panom — odrzekł Bolesław, i w zwiększonych a jasnych wyrazach wytłómaczył główne zasady swego projektu.

Gdy Bolesław skończył mówić, znowu gwar wielki powstał wokoło niego. Jedni zapalili się do projektu i przyklaskiwali mu gorąco; inni zeicha powiadali, że szkoda pieniędzy i ciężkie czasy; inni jeszcze poważnie naradzali się z sobą półgłosem.

Hrabina znowu głos zabrała:

— Bardzo użyteczny i do spełnienia łatwy ten projekt. Znam podobne urządzenia w niektórych okolicach, i widziałam, że znacznie dopomagają rozwojowi oświaty. Potwierdzam też serdecznie plan pana Topolskiego, i radzę, abyście państwo wszyscy to samo uczynili. Spodziewam się, że nie wyłączycie mnie państwo od współuczestnictwa, a ponieważ biblioteka ma stać się w przyszłości zbiorem publicznym, pozwólcie, abym

ofiarowała do składki dwa razy większą corocznie sumę, niż wszyscy.

— Pani hrabina jest dziwnie wspaniałomyślną! — zawołał plenipotent z udanym zapałem.

— Pani hrabina działa, jak zacna obywatelka, posiadająca znaczne majątkowe środki — rzekł Bolesław, z szacunkiem składając się przed wielką panią.

Taka jest moc wpływu, jaki wywierać może kobieta rozumna i bogata, że na głos hrabiny oponenci umilkli, w zupełnem przekonaniu, że jeżeli »taka pani« uznaje co za słuszne, takim być ono musi z pewnością.

Czemu kobiety bogate tak rzadko pożytkują ten wpływ wielmożny, złożony w ich ręku przez Opatrzność? Czemu tak rzadko biją w ich piersi serca obywatelskie? Czemu uchylają się od szczytnych zadań, jakieby im tak łatwo spełnić przyszło?

Mężczyzna, ze szczupłymi nawet materyalnymi środkami, może wyrzucić potężne wpływy, mocą rozumu, nauki, prawości i siłą charakteru; kobieta niebogata, szczególnie w pewnych zaściankowych i mało oświeconych sferach, gdyby posiadała rozum mędrców greckich i serce anielskie, nie stanie się nigdy osobą wpływową w swem kółku.

Pewne uprzedzenia, wiążące się z jej kobiecością, będą jej zawsze stawały na drodze; gdyby najrozumniej mówiła, parafia będzie słuchała z uśmiechem i przyjdzie wkońcu do rezultatu, że niema po co słuchać — bo kobieta to tylko i kwita!

Ale z kobietą bogatą rzecz ma się inaczej.

Bogata, a więc światowa, światowa, a więc rozumna, w prostocie ducha rozumują prostaczkowie, a gdy się raz przekonają dowodnie, że ta światowa i rozumna jest także prawdziwie dobrą i nie dumną ze swego bogactwa, to już potem będzie ona mogła zawieść ich, kędy zechce, słowami swemi, przykładem, uprzejmym uśmiechem, kordylnem podaniem ręki.

I nie potrzeba wcale, aby kobiety bogate, dla osiągnięcia zbawiennych w społeczności wpływów, wydawały wiele pieniędzy, wyrzekały się całkiem przyjemności życia, do których przywykły od dzieciństwa, podróży, stroju, zabaw; trzeba tylko, aby, wśród tych wszystkich uciech i zamięłowań, posiadały one miłość dla jakiej pięknej idei i aby pragnęły wysokiej uciechy dopomagania czynem do wcielenia się tej idei.

Gdyby kobiety bogate pojęły całą ważność i piękność na-

zwy: obywatelka, i gdyby bogactwa swego chciały użyć za piedestał, na którym stanąwszy, miałyby prawo uwieńczyć swe skronie niezmierną glorią tej nazwy... byłoby nam wszystkim łatwiej dojść do upragnionego celu.

Myśl wspólnej składkowej biblioteki, po kilku chwilach debatów z tymi, którzy raz jeszcze ozwalali się o ciężkich czasach, została ogólnie przyjętą, pochwaloną i uznaną za bardzo rozsądną i korzystną.

Stary Siankowski odezwał się:

— Ot, za tydzień, w dzień św. Elżbiety, królowej węgierskiej, imieniny mojej żony; proszę wszystkich państwa do siebie, a tam wszyscy złożymy grosiwo i oddamy je do rąk naszego kochanego kasyera, pana Topolskiego, który niech tam sobie z ks. proboszczem i panem konsyliarzem książki dla nas powybiera i sprowadzi.

— Dobrze, dobrze, będziemy służyli! — ozwało się wiele głosów.

Proboszcz mrugnął na Siankowskiego, aby zaprosił hrabinę.

Szlachcic stracił rezon, pogładził łysinę i przestępował z nogi na nogę, zakłopotanym okiem patrząc na wielką panią. Po chwili jednak przystąpił do niej rezolutnie i rzekł:

— Pani hrabina może także nie pogardzi moją niską chatą. Wszakże to ja pani dobrodziejki dzierżawcą i sługą od lat dzieiesięciu...

— Z całego serca — odrzekła hrabina uprzejmie — przyjadę do państwa, aby powinszować imienin pani Siankowskiej i uczestniczyć w zebraniu kochanych sąsiadów.

Podala rękę staremu dzierżawcy, którą on ujął końcami palców i wycisnął na niej głośny pocałunek.

— Kochana ta nasza hrabina! — szepnęli między sobą sąsiedzi.

Następnie proboszcz wspomniął o szkółce ludowej i, ze stanowiska kapłana, powiedział kilka słów o powinności chrześcijańskiej nauczania słowa Bożego biednych braci.

Bolesław, całkiem już przejęty ważnością rozmowy, podniósł słowa proboszcza i mówił ze stanowiska obywatelskiego, dowodząc, jakie niezmiernie korzyści przynosi krajowi oświata ludu, jakie wielkie znaczenie w narodzie ma ta, za najniższą uważana, warstwa społeczna.

Mówiąc, nie rozstawał się ze zwykłą sobie prostotą, wyrażenia jego były proste, zwarte, bez najmniejszej przesady i de-

klamacy, ale oczy płonęły mu zapałem i głębokim przekonaniem. Zdawało się, że postać jego wyprostowała się, urosła. Przerzywano mu często wykrzykami to pochwały i potwierdzenia, to niedowierzania i zarzutów; on przekonywał, dowodził faktami, a znać było, że całą duszę swoją wkładał w swoje słowa.

Raz tylko, w chwili najwyższej rozprawy, przerwał nagle mówienie, spuścił oczy i usta mu trochę zadrżały. Było to wtedy, kiedy mimowoli rzucił okiem na Wincunię i spotkał się z jej oczyma, utkwionymi w jego twarzy z dziwnym wyrazem uwielbienia i przejmującego smutku...

Niczem łatwiej nie można zaprowadzić ludzi tam, dokąd się ich zaprowadzić pragnie, jak siłą własnego przekonania. Bolesław posiadał tę siłę i przekonał tych, którzy zrazu z niedowierzaniem lub niechęcią myśl jego przyjęli.

Potrzeba założenia szkoły wiejskiej została także powszechnie uznaną. Rozprawiano potem o różnych kwestjach rolniczych, poprawie dróg, sprowadzeniu machin, zakładaniu fabryk.

Gdy przyszło do ostatniego punktu, Bolesław powiedział, że zdaje mu się, iż w majątkach hrabiny możnaby z korzyścią dla właścicielki i ogółu wznieść kilka zakładów przemysłowych.

Plenipotent zaśmiał się ironicznie i począł odpierać dowodzenia Topolskiego.

Bolesław bronił swego zdania z całą energią silnego przekonania i z kompetencją człowieka, który wiele myślał i uczył się. Dowodził cyframi i faktami, cytował ekonomistów, wskazywał na przykłady fabryki, istniejące w podobnych warunkach.

Ukrytą zasadą dowodzeń plenipotenta była myśl: skoro powstaną fabryki w dobrach hrabiny, przybędzie mnóstwo nowych interesów, a zatem mnie przysporzy się pracy i kłopotów.

Zasadą słów Bolesława było przekonanie, że założenie fabryk wzmoże ruch handlowy w prowincyi, rzuci w obieg kapitały, podniesie rolnictwo, da pracę i dobrobyt mnóstwu ludzi, a samej właścicielce przysporzy znacznie dochodów, których ona, jako zacna kobieta, pewnie na dobre użyje.

Plenipotent cyframi i najprostszyi zasadami ekonomii społecznej został przez Bolesława przyparty do muru, i kapitulował.

Sąsiedzi nie posiadali się z radości, bo nie lubili przekupnego i pysznego prawnika, a przeciwnie wszyscy prawie lubili

i poważali Topolskiego. Mrugali więc do siebie, uśmiechali się i dopomagali w rozprawie Topolskiemu, jak mogli i umieli.

Ale wrażenie wzrosło już do najwyższego stopnia, gdy hrabina ozwała się, zwracając się od plenipotenty do Topolskiego:

— Z największą uwagą słuchałam rozmowy panów obu i pan Topolski najzupełniej mię przekonał.

Uśmiechnęła się i dodała:

— Gdybym była królową, uczyniłabym pana ministrem robót publicznych.

— W naszej okolicy — odrzekł z uśmiechem także Topolski — pani hrabina może posiadać wpływ prawie królewski, z powodu wielkich środków majątkowych, jakie Opatrzność złożyła w jej ręce.

— Bądź-że mi więc pan odtąd poradą i dobrym znajomym — wymówiła hrabina ze szczerą serdecznością i obie ręce podała Topolskiemu.

Iskra elektryczna przebiegła całe towarzystwo.

— Dzielny nasz Topolski! — wołano z różnych stron.

— To ozdoba naszej okolicy!

— Skąd on u licha takiego rozumu nabrał?

— Słuchaj, Bolku! niech cię uścisnę!

Znalazł się jednak ktoś niedowierzający, który szepnął do ucha panu Tomaszowi:

— Wszystko bardzo pięknie, ani słowa; ale dla ogółu jakż korzystać wyniknie, że nasza okolica będzie miała wszystko, co trzeba? Toć nas garstka mała, panie dobrodzieju; gdyby tak w całym kraju urządzono, to co innego.

Pan Tomasz popatrzył filuternie na mówiącego sąsiada i, kręcąc siwego wąsa, spytał:

— Czy widziałeś waszmość kiedy, jak mrówki usypują sobie mrowisko?...

— Cóż sąsiad dobrodzieju pytasz mię o takie rzeczy! — odparł oponent — ja do Sasa, a jegomość do Lasa.

I chciał odejść obrażony. Ale pan Tomasz przytrzymał go za rękaw.

— No, tylko mi waszmość powiedz, widziałeś kiedy mrówki przy robocie, czy nie?

— No, widziałem, i cóż z tego? Z jegomości, panie Tomaszu, wieczny oryginał...

— Ot, widzisz, mospanie, ja jegomości chciałem powiedzieć, że każda okolica w kraju powinna być jak mrówka: ścia-

gać gałęzie, ruszać się, pracować, budować, nie zważając, jak tam inne robią. A te inne, zapatrzwszy się na nią, zaczną to samo robić, co i ona, a z tego wszystkiego, mospanie, wyniknie to, że cały naród mrowi zbuduje sobie wygodne mieszkanie.

Sąsiad słuchał, a potem milczał długo i myślał; a w końcu rzekł:

— Mądry z wasana człek, panie Tomaszu, choć oryginal.

Wniesiono opleśniałe butelki ze starym miodem. Proboszcz częstował sąsiadów ulubionym szlacheckim napitkiem. Szlachcie miód zaszumił w głowach, serca otworzyły się i języki rozwiązały.

Jeden prawil o szkółce wiejskiej, inny o szpitalu, inny jeszcze marzył o natychmiastowym sprowadzeniu młocarni z Warszawy, albo żniwiarki systemu amerykańskiego, albo żelaznego pługa.

— Czy nie postawić mi tylko młyna wodnego? toć u mnie rzeka płynie, a jak na wiosnę rozleje, to woda szeroka stoi, jak jezioro! — wołał właściciel sporego folwarku.

— Jak sąsiad myślisz? czy na mojem polu nie urodzą rzepak i pastewne trawy? Siana, dalibóg, u mnie, jak szafranu! — mówił inny.

— Słuchajcie, proboszczu! a sprowadźcie mi tam jaką książkę o hodowaniu pszczół! Pasyami lubię pszczelnictwo, a Bogiem a prawdą nie wiele co znam się na niem!

— Księżu proboszczu! dla nas poezye Syrokomli.

— Pola!

— I Odyńca! — wołały panienki, obstępując księdza.

— A nie zapomnijcie tam sprowadzić parę powieści naszego kochanego Kraszewskiego! człowiek jak je czyta, to aż serce rozplywa się. »Kordecki« naprzykład albo »Dziwadła«, to cuda, panie, nie powieści! — ozwał się młody komisarz z dóbr hrabiny.

— No, a dla jegomości, panie Tomaszu, co sprowadzić do gustu? — spytał proboszcz.

— Ot, chyba Pismo Święte w tłumaczeniu Wujka — odpowiedział po krótkim namyśle oryginał.

Proste i zaściankowe, niemniej jednak skapane w cywilizacji, datującej od wieków, umysły zostały w ruch wprowadzone. W sercach ozwała się dawna sejmikowa żyłka i całe zebranie gwarzyło o rzeczach ogólnych z przejęciem się i zapalem.

Wieczór był już niedaleki, gdy w mieszkaniu księdza ucichł gwar gości.

W miasteczku długo jeszcze roily się po ulicach bryczki, najtyczanki, szlacheckie staroświeckie powozy, postacie szlachty, owinięte w szuby i płaszcze od jesiennego wiatru, który dął i świstał na placu.

Sąsiedzi zachodzili jeszcze na chwilę to do doktora, to do Szłomy, to za interesami do rzemieślników. Wkońcu rozjechali się już o zmroku.

Wincunia o zmroku też wróciła do Niemenki.

Weszła do pokoju, w którym stała kołyska jej dziecka i, znalazłszy je uśpionem, stanęła nad niem blada, zamyślona.

Deszcz drobny dźwięczał na szybach; cicho było, samotnie, tęskno około młodej kobiety.

Dziś on objawił się jej, otoczony poważaniem ogólnem, prostem swem a rozumnem słowem wiodący ludzi na drogę czynu.

W porze, w której myśl jej najszybszymi krokami dążyła do rozwoju, stanął przed nią w postaci takiej, jaka najżywiej zachwyca każdą myślącą kobietę, w postaci prawdziwego obywatela.

Stała nad kołyską dziecięcia swego ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, oczy leż pełne utkwiała w przestrzeń, a usta jej drżały wezbraniem żalu.

Dziecię obudziło się i wyciągnęło ręce do matki, ona pochwyciła je w objęcia i, przyciskając silnie do piersi, zawołała głosem pełnym łkań tłumionych:

— O, dziecko moje! czemuż on nie jest twym ojcem!...

V.

Mętna woda.

Któż kiedykolwiek powie sobie, że serca ludzkie dostatecznie poznać zdoła? Kto w tę głęb' przepaścistą, która się naturą ludzką nazywa, wniósł kiedykolwiek tak jasną pochodnię, aby płomień światłości wniknął we wszystkie jej zakątki?

Najlepszy człowiek miewa chwile, w których fałszywe

tony instynktów i grzechów odzywają się w piersi jego śpiwem Syreny, najgorszemu przychodzą jasnowidzenia dobra, a wtedy przed samym sobą zakrywa oczy ze wstydem i żalem. I w tem-to właśnie tkwi kulminacyjny punkt dramatu ludzkiego życia.

Niema straszniejszej chwili, jak obudzenie się sumienia, które spało; niema zjadliwszego żalu, jak żal po zmarnowanych skarbach i skalanej czystości ducha.

Cienie przeszłości śpią pochowane w grobie niepamięci; czas płynący szybko był im grabarzem, nucącym nad mogiłami pieśń hulaszczą lub płochą; ale oto, niby widma, grzechy życia powstają z martwych, a człowiek, stanawszy naprzeciw siebie samego, z rozpaczą woła:

— Mogłem być inny!

Dlaczegoż więc innym się nie staje, skoro tego żąda?

To znowu tajemnica, o którą pytacie głębin ludzkiej natury.

Alboż siła moralna rodzi się i dojrzewa w jednym dniu pragnienia? Nie jest-że ona władzą, która, jeśli nie wzrasta z człowiekiem, to gaśnie stopniowo, aż opuści go całkiem? Czy każdy zdoła przemienić się, kto tego dziś zapragnie?

Nie! albowiem w takim razie wszyscy źli byłiby przemienieni w dobrych, bo niema między nimi ani jednego, któryby nie miał chwil jasnowidzenia.

Aleksander Snopiński miewał często chwile, w których światłość zaglądała do jego ducha, a sumienie przemawiało doń z wyrzutem. Wtedy bywał on bardzo nieszczęśliwy. Pragnął stać się dobrym, a ze zła podźwignąć się nie miał mocy.

Siła jego moralna nie wzrastała z nim razem i zgasła w próżniactwie; naleciałości błędnego życia zatamowały w nim źródła myśli i uczuć czystych, mimo to czuł, że istniały one kiedyś w jego wnętrzu i poczucie to sprawiało mu boleść.

Należał on do gatunku ludzi, którzy zowią się w świecie przyzwoitymi grzesznikami.

Jeśli cię kto zapyta, co ten, lub ów człowiek złego zrobił na świecie, zostaniesz zakłopotany i nie będziesz wiedział zrazu, jaką dać odpowiedź.

Nie zabił, nie okradł, może nawet nie upija się. Jest przyzwoity i nie ubliża nikomu. Bywa nawet bardzo miły i grzeczny. Mimo to, jesteś przekonany w gruncie, że to jest człowiek zły, ale zły przyzwoicie.

Złość jego cała leży w słabości; zbrodni on popełnić nie

zdola, bo i ona także wymaga siły, lubo ujemnej; ale codziennie obrudza się mnóstwem drobnych grzeszków i nałogów, a wyjść z nich brak mu mocy.

Cała istota przyzwoitego grzesznika podobna jest do mętnej wody; powierzchnia jej spokojna, ale na spodzie pełzają płazy, — niekiedy wyrośnie tam na dnie jaka lilia biała, ale wnet uwiędnie. Niekiedy promyk niebieski złotawo przejrzy się w jego toniach, ale wnet zamącą go brzozy fali szarych. Burz w tej wodzie niema, ale męty.

Kto z niej napije się, nie padnie zaraz otruty, ale będzie mu ckliwo i niezdrowo. Krótko widzący przechodzą około mętnej kałuży i mówią:

— Jaka spokojna, nieszkodliwa woda!...

Nie dojrżeli w niej mętu i płazów.

Taką duszę, podobną do mętnego jeziora, miał Aleksander Snopiński.

Był on w ciągłej niezgodzie z samym sobą: to porywał się ku dobremu, to wpadał znowu w dawne nałogi i zwyczaje, a im silniejsze było porwanie się ku powstaniu, tem głębszy upadek: niepowodzenie usiłowań drażniło go, a nie miał siły odeprzeć pokusy.

Całe życie jego stało się jednym ciągiem żalów, a raczej drobnych, bezsilnych żałostek.

Kiedy był z żoną, tęsknił do innych kobiet. Kiedy był z niemi, żałował żony; kiedy widział bliską ruinę majątku, rzucał się do pracy, a popracowawszy nieco, tęsknił do hulanek z kolegami.

Na sali u Szlomy porywały go wyrzuty sumienia, a gdy wrócił do domu, żałował, że zbyt prędko opuścił salę. Żałował, że w młodości nie nabył więcej nauki, a gdy wziął książkę do ręki, nudził się i odrzucał ją co prędzej od siebie. Obwinił w myśli rodziców, że nie dali życiu jego lepszego kierunku, a gdy od ojca otrzymał ustną lub listowną przestrożę, zżymał się i obrażał.

Żałował, że nie urodził się hrabią lub księciem i że nie był bardzo bogatym; żałował, że się ożenił, że pokochał Wincunię i że ją przestał kochać.

Były chwile, w których sarkał na swoją zbytnią młodość, i inne, w których żał go obejmował za ubiegłymi laty. Zdejmowała go obawa, gdy patrzył w przyszłość, grożącą mu niezawodnym ubóstwem, i żałował wydanych pieniędzy, a gdy je miał, wydawał znowu i znowu żałował, że wydał.

Te wszystkie rzucania się słabego ducha, te tysiączne sprzeczności, które nim w głębi miotaly, te cochwilowe kaprysy duszy bez hartu i steru, odbiły się w domowym jego życiu. Stał się drażliwym, zmiennym, szyderskim, często chmurnym aż do pośepności, często wesołym aż do szaleństwa.

Hulał z kolegami po całych nocach, a gdy wracał do domu, wpatrywał się w pogodny wschód słońca i łzy zawstydenia płynęły mu z oczu. Nieraz rzucał się do nóg żony, błagał ją o przebaczenie, przysięgał miłość, obsypywał ją najczulszemi pieśczołkami; ale tego samego dnia nudził się już z nią śmiertelnie, wyjeżdżał, a wróciwszy, obchodził się z nią zimno, niekiedy ironicznie i twardo.

Wincunia patrzyła na to wszystko, a myśl jej, rozbudzona i dojrzała w cierpieniu, wniknęła w głębiny ducha Aleksandra. Czytała w jego duszy, jak w otwartej księdze, a czytając, zakryła nieraz oczy z przerażeniem. Dowiadywała się o rzeczach, o których nie miała wprzód pojęcia; na istocie, najbliżej z nią związanej, uczyła się ciemnych tajemnic natury ludzkiej.

Tak upłynęło kilkanaście miesięcy od owego zjazdu sąsiadów u proboszcza i powrotu Aleksandra z domu rodziców.

Na smętnem i jednostajnem tle tego przeciągu czasu kilka scen dobitnie zarysowało się w życiu młodej kobiety i czarnemi plamami wyrzyło się w jej pamięci.

Raz, w pewien dzień zimowy, Aleksander wyjechał z domu według zwyczaju swego, nie mówiąc Wincuni o celu swej wybieczki. Ale ona wiedziała, że dnia tego u Szlomy na sali obchodzono imieniny jednego z jego przyjaciół.

Nadszedł długi zimowy wieczór dla samotnej kobiety; dziecię, które cały dzień szczebiotało i bawiło się obok młodej matki, usnęło, i zupełna cisza zapanowała we dworku. Wincunia długo siedziała przy lampie, pracując myślą i rękoma, i wśród zadumy wsłuchując się w jednostajny szmer gaju.

Po północy, zmęczona myślami i czuwaniem, wsparta głową na poduszce kanapy, lekko usnęła. Spała, a lampa rzucała przyćmione światło na błądą i przezroczystą twarz jej, po której przesuwaly się wśród snu smętne cienie tęsknoty i tajonych cierpień.

Na dworze zaczęło już świtać, gdy pod gankiem rozległ się głośny po zmarzniętej ziemi turkot kół, i drzwi od pokoju z trzaskiem się otworzyły.

Wincunia, nagle zbudzona, porwała się z miejsca i zoba-

czyła wchodzącego męża; postąpiła ku niemu, chcąc go powitać. Aleksander spojrzał na nią zamglonemi oczyma i zawołał prawie ostrym głosem:

— Cóż to, Wincuniu? jeszcze nie śpisz?

Dźwięk głosu jego donośny i gniewny otrzeźwił całkiem półsen. Spojrzała na niego uważnie i z niepokojem. Policzki Snopińskiego były nienaturalnie zarumienione, oczy mętne i mgliste, włosy w nieładzie. Obawa jakaś ją zdjęła, dziwna a instynktowa.

— Olesiu! — zawołała — czyś ty nie chory? co ci jest?

Aleksander chciał coś odpowiedzieć, ale język zaplątał się mu w ustach, zabełkotał coś niewyraźnie, drżącą ręką usunął żonę od siebie i niepewnym krokiem zmierzał ku swemu pokojowi. Nim doszedł do drzwi, potrafił parę sprzętów i byłby upadł, gdyby dłonią nie oparł się o ścianę.

Wincunia wiodła za nim wzrokiem, zdziwiona, przerażona; gdy drzwi zamknęły się za nim, pozostała nieruchoma na środku pokoju.

— Co mu jest? — szepnęła do siebie i zamyśliła się.

Milczała kilka minut i stopniowo zdziwienie ustępowało z jej twarzy, a występował na nią wyraz świadomości, połączony z trwogą i wstrętem. Machinalnie wpatrzona w ziemię, złożyła ręce z gięstem bólesci i zawołała półgłosem:

— Boże mój! on nie był trzeźwy! — i dodała także: — tak nisko już upadł! ach!

Okropne westchnienie pierś jej rozdarło, podniosła oczy i przez okno ujrzała dzień już jasny i słońce wschodzące. Wydało się jej, że dzień wschodzi brudny i mętny, a na słońcu, wysuwającym się z pod różowego rąbka, dojrzała plamy czerwone, takie, jakie szpeciły przed chwilą piękną twarz jej męża.

W kilka miesięcy potem, w piękny dzień letni, Wincunia siedziała w ogrodzie, a naprzeciw niej siedział Aleksander, chmurniejszy i bardziej zamyślony, niż zwykle. Długo milczeli oboje, oddawna nie mieli sobie nic do powiedzenia. Aleksander pierwszy przerwał milczenie:

— Moja Wincuniu, chciałbym, abys raz przecie złamała klauzulę, w której się zamknęłaś, i zaczęła bywać w świecie.

Wincunia nie podniosła wzroku od płótna, które zszywała, i zapytała łagodnie:

— Gdzież chcesz, abym bywała, Olesiu?

— Wszędzie — porywczo odpowiedział Aleksander — teraz zrobiłaś z domu istny klasztor, w którym usiedzieć trudno; nie umiesz nadać memu domowi takiej pozycyi towarzyskiej, jaką on mieć powinien. Zamknęłaś się u siebie, jak zakonnica, i stałaś się poważna, jak stuletnia matrona.

Wincunia zbładła trochę i kilka sekund nic nie odpowiadała.

— Olesiu — ozwała się — ty wiesz, że zajmuję się gospodarstwem i dzieckiem naszym; od pewnego zresztą czasu jestem ciągle nie zupełnie zdrową i częste bywanie w towarzystwach męczyłoby mię bardzo.

Brwi Aleksandra zsunęły się, twarz jego zadrgała gniewem i zniecierpliwieniem; powściągnął się widocznie i, nie odpowiadając na słowa żony, mówił dalej:

— Ot i teraz na przykład. Hrabina X. od roku mieszka już w swej rezydencji, o milę tylko od Niemenki; czyż nie mogła-bys złożyć jej wizyty i zawiązać z nią stosunków? Gdyby ona bywała u nas, przyniosłoby to zaszczyt memu domowi i zrównałoby nas w znaczeniu z najbogatszymi obywatelami naszej okolicy.

Smutny uśmiech przebiegł przez usta Wincuni; pochyliła się bardziej nad robotą, aby ukryć przed mężem bolesny wyraz twarzy, nad którym zapanować nie mogła, i z wolna odpowiedziała:

— Zdaje mi się, Olesiu, że stan naszego majątku nie pozwala nam zawierać stosunków takich, które koniecznie pociągać muszą za sobą znaczne koszty, tembardziej, że, według twego mniemania, urządzenie naszego domu powinno dorównywać tym, z którymi zabieramy znajomość. Co zaś do zaszczytu, jakiby nam przyniósł stosunek z hrabiną, to sądziłabym...

Nie skończyła, bo Aleksander porwał się nagle z miejsca i z twarzą pełną gniewu stanął przed nią.

— Tak! — zawołał z uniesieniem — widzę teraz skutki nierozważnego kroku, jaki uczyniłem, żeniąc się z tobą. Dla mnie zupełnie innej trzeba żony! Urodziłaś się i wychowywałaś w szlacheckim zakątku, nie widziałaś świata, a teraz nie umiesz znaleźć się w wyższym towarzystwie, i dlatego nigdzie nie chcesz bywać. Nie wiem nawet, dlaczego cię namawiam, abys jechała do hrabiny; jest to nierozwaga z mojej strony, bo wiem z pewnością, że mi tam wstyd-byś zrobiła... po francusku nawet mówić nie umiesz. Wiedziałem wprowadzić, żeniąc się z tobą, że jesteś prosta szlachcianka, ale myślałem, że cię wykształcę... mógł-

bym był przecież ożenić się ze światową kobietą i dziesięć razy majątniejszą od ciebie...

Nie skończył, bo z kolan Wincuni spadła robota, a policzki jej zapłonęły nagle, łagodne zwykle oczy cisnęły iskrami. Powstała wyprostowana i dumna.

— Czy tak? — zawołała głosem stłumionym od wzburzenia — czy do tego już przyszło? ach!

Nie mogła nic więcej powiedzieć, zbladła śmiertelnie i plecami oparła się o drzewo.

Aleksander przeląkł się jej bladości i płonących oczu i rzucił się ku niej. Mętna woda zaszumiała w jego duszy, żałował już, że tak boleśnie obraził żonę.

Chciał wziąć jej rękę, ale ona usunęła go z wolna i, patrząc mu w oczy wzrokiem, z którego gniew już zniknął, rzekła głosem niezmierniej żalości:

— Aleksandrze! widzę oddawna, że mię nie kochasz; wątpię nawet, czyś kiedykolwiek kochał mnie prawdziwie... Powiedziałeś mi w tej chwili słowa, które sercu kobiety zadają ranę bolesną, niezgojoną... przed chwilą gniew wzbudziłeś we mnie i obraziłeś dumę moją, ale to przeszło... nie gniewam się... tylko jestem bardzo, bardzo smutna! bo czyliż może być szczęście, gdzie niema miłości? Czyliż między nami miłość jest możebna? Ale jest jeden węzeł, który mię łączy z tobą... dziecko nasze, dla niego przebaczam ci wszystko... wszystko przyjmuję z pokorą, smutną przyszłość, która mię czeka, i nigdy słowa wyrzutu nie usłyszysz z ust moich.

To rzekłszy, odeszła z wolna i skierowała się ku gajowi, skąd dochodziły wesołe okrzyki i szczebiotanie małej Andzi.

Trzyletnia dziecina biegła naprzeciw matki, czepiając się jedną ręką sukni piastunki, w drugiej trzymając pęk konwali. Wincunia usiadła przed nią na murawie i ustami, drżącemi jeszcze od przedchwilowego wrażenia, pocałowała złociste włosy córki.

— Skąd masz te kwiatki? — spytała ją z pieszczotą.

— Jakiś pan dał mi je w gaju — odpowiedziało dziecko.

Na twarz Wincuni silny wytrysnął rumieniec.

— Kto jej dał te kwiaty? — spytała piastunkę.

— Pan Topolski — była odpowiedź — spotykamy go często w gaju i za każdym razem bawi się z Andzią i zrywa dla niej kwiaty.

— Mamol! — zaszchebiotało dziecko — ten pan tak mnie

zawsze całuje i patrzy na mnie, patrzy i mówi, że jestem bardzo do mamy podobna.

Wincunia żywo powstała i odeszła.

Poszła do swego pokoju, otworzyła szufladkę biurka i wyjęła złoty pierścionek, ozdobiony niewielkim brylantem: był to dar Bolesława, ofiarowany jej w dniu jej z nim zaręczyn, który zdjęła z palca, zostając żoną innego.

Pierwszy to raz od owego czasu spojrzała na tę pamiątkę wczesnych lat młodości swojej.

I dziwna rzecz! wydało się jej, że od dnia, w którym zdemowowała z ręki pierścionek Bolesława, upłynęło lat wiele, wiele! że wtedy była jakąś inną i wszystko wkoło niej było inaczej; na sercu zawisł ciężar niezmierny, łyzy wzrok zamglily, powoli w zamyśleniu włożyła na palec pierścionek.

Może w tej chwili duchem zaręczała się po raz drugi z człowiekiem, między którym a sobą położyła sama zaporę nieprzebytą?

Aleksander po rozmowie z żoną wyjechał z domu.

Wincunia o zachodzie słońca stała wśród gaju sama jedna, ramionami otoczyła smutną brzozę, a przyciskając pierś podnoszoną westchnieniami do białej kory drzewa, twarz bladą i ciacho rozplakaną, z wyrazem niewysłowionej tęsknoty, zwracała w stronę, w której pełen odgłosów spokojnej pracy stał dworek topoliński.

VI.

Wierne serce.

I znowu była zima.

Na drodze między Topolinem a miasteczkiem X., ciągnięte parą niewielkich, ale dziarskich koni, szybko sunęły się sanie z dzwonkiem, a na nich siedział mężczyzna, otulony futrem. Od pola, w czystym mroźnym powietrzu, ozwał się głos drugiego dzwonka, i drugie sanie, wyjeżdżając z bocznej drogi, zrównały się z pierwszymi. I na drugich saniach jechał także mężczyzna w lisiurze. Obaj jadący spojrzeli na siebie i kordyalnym ruchem zdjęli z głów czapki barankowe.

— A skąd to, konsyliarzu? — zawołał podróżny z pierwszych snów.

— Z Niemenki! — odkrzyknął doktor głośno, bo dzwonki głos tłumili.

Pytający żywo się poruszył.

— Z Niemenki! — zawołał — czy tam kto chory?

— Dziecko Snopińskich zasłabło — była odpowiedź.

— Czy bardzo?

— Teraz ma silną gorączkę i prawdopodobnie wywiąże się z niej szkarlatyna. A że dziecko słabe i delikatne, może być z niem złe...

Sanie jechały tuż obok siebie, ale na ostatnie słowa doktor nie otrzymał odpowiedzi, bo spotkany jego towarzysz pochylił głowę na pierś z zachmurzonym nagle czołem.

— A pan dokąd jedziesz, panie Topolski? — spytał po kilku sekundach doktor.

— Do X. — odparł Bolesław, budząc się z zamyślenia — mam pewną sprawę do załatwienia u jednego z urzędników; ale powiedz mi, doktorze, co się dzieje z panią Snopińską?

— Desperuje! — krótko odparł doktor.

— Biedna! — szepnął Bolesław i jechał dalej w milczeniu.

Przy wjeździe do miasteczka zwrócił się raz jeszcze do doktora:

— Jak myślisz — rzekł — czy będzie żyła?

— Kto? córka Snopińskich? — odparł doktor z zamyśleniem — rzecz to dosyć wątpliwa; ale zrobimy wszystko, co będzie możebne, aby ją uratować. Ojciec sam pojechał do X. po lekarstwa, kiedyś był jeszcze w Niemence.

Rozstali się.

Bolesław kazał wieźć siebie przed dom urzędnika, z którym miał do pomówienia, a wszedłszy znalazł go ubranego, jak do podróży.

— Widzę, że pan wyjeżdżasz, i nie przeszkadzam — rzekł, zabierając się do wyjścia, po krótkiej rozmowie o interesie.

— A muszę jechać, choć dyabelnie mi się nie chce w taki mróz puszczać się w drogę; ale cóż począć z tymi młokosami, którzy hulają i hulają całe życie, długi robią i podatków nawet nie płacą! Trzeba tylko jeździć i majątki im opisywać.

— Kogoż dziś miły ten los ma spotkać? — spytał Bolesław.

— A tego błazna Snopińskiego. Piąty to rok dopiero, jak wziął w zarząd swój Niemenkę, a tak się już zadłużył, że zmuszony jestem opisywać ją dla wystawienia potem na publiczną sprzedaż.

— Więc do Niemenki pan jedziesz! — zawołał Bolesław z żalem w głosie. — Ależ im teraz dziecko śmiertelnie zasłabło... zmiłuj się pan, odłóż swą dotkliwą czynność do innej pory!

— Nie mogę! uczyniłbym to chętnie na prośbę pana, ale słowo daję, że nie mogę! — upewniał urzędnik — sam żałuję tej biednej pani Snopińskiej, ale cóż robić? obowiązek przedewszystkiem. Snopiński nie opłacił dwóch rat należności rządowej, a oprócz tego arendarz Szloma podał prośbę urzędową o egzekwowanie należnej mu sumy.

Bolesław zamyślił się.

— Słuchaj pan — rzekł po chwili — nie godzi się ludzi tak ciężko stroskanych bardziej jeszcze udręczać. Ja panu należność rządową za Snopińskiego zapłacę, a on mi potem odda te pieniądze.

Urzędnik zaśmiał się.

— Zobaczysz się pan ze swymi pieniędzmi chyba na tamtym świecie; bo pod względem rzetelności pan Snopiński posiada opinię wcale nie dwuznaczną, ale bardzo smutnie uwyrażoną. Wszakże, jeśli pan sobie tego życzysz, mogę przyjąć wypłatę, byle skarb odzyskał, co mu należy. Wszystko mi jedno, z czyich rąk spłyną doń pieniądze. Ofiara jednak pańska na niewiele się przyda, bo Niemenkę muszę zawsze opłacać za dług Szlomy.

Na czołe Bolesława zawisła chmura.

— A jeżeli Szloma dziś cofnie swoją prośbę o egzekucję sumy? — spytał po chwili namysłu.

— W takim razie pojedę do Niemenki tylko z wizytą kondolencyjną, albo i wcale nie pojedę.

— Zostaje mi więc tylko prosić pana, aby wstrzymał się z wyjazdem jedną godzinę — rzekł Bolesław, dobywając pieniądze z pugilaresu.

— Bardzo chętnie uczynię to dla pana — odpowiedział urzędnik, a przerachowawszy asygnaty i wręczywszy Topolskiemu kwit z wypłaconej za Niemenkę należności rządowej, dodał z uśmiechem:

— Jak widzę, panu jeszcze nie wyszła z głowy stara historia, kiedy tak bardzo troszczysz się o spokojność pani Snopińskiej.

Bolesław spojrział na niego z chłodem, który nie dopuszczał dalszych uwag.

— Przez cztery lata dwa razy tylko widziałem panią Snopińską — rzekł powoli i spokojnie.

Urzędnik skłonił się w milczeniu.

Po kilku chwilach Topolski wchodził do oberży Szlomy i w pierwszej izbie znalazł gospodarza, siedzącego nad wielką księgą i mruczącego półgłosem przedświątą modlitwę.

Na widok Bolesława Szloma porwał się z miejsca z wielkim zadowoleniem.

— Nu, gość! — zawołał — rzadki gość! już kilka miesięcy, jak pan do nas nie zajrzał.

— Czasu nie miałem — odpowiedział Topolski — a i dziś przyszedłem do pana Szlomy dla pomówienia o pewnym interesie.

— O jakim interesie? — spytał Żyd, nadstawiając ucha — ja gotów służyć panu do każdego interesu.

Bolesław położył rękę na ramieniu Izraelity.

— Słuchaj, panie Szloma — rzekł — powiedz mi prawdę: ile ci Snopiński winien?

— A co to trudnego powiedzieć prawdę?

I wymienił dość znaczną sumę.

Bolesław spochmurniał.

— Czy ci te pieniądze natychmiast są potrzebne?

— Natychmiast nie natychmiast, chwała Bogu człowiek ostatkiem grosza nie goni, i gdyby one były w innych rękach, mógłbym jeszcze trochę poczekać. Ale Snopiński coraz więcej długów robi, a co z tego będzie? Jak będzie miał więcej długów, niż majątku, to moje pieniądze będą niepewne!

— Panie Szloma — rzekł Topolski — cofnij swoją urzędową prośbę, choć na jakiś czas przynajmniej; u nich dziecko zachorowało, oni i tak bardzo zmartwieni.

Jakby w odpowiedzi na te słowa Bolesława, z facyatki dał się słyszeć wybuch kilku głosów żywo rozmawiających w połączeniu ze stukiem kul bilardowych. Szloma uśmiechnął się i pogładził brodę:

— Kiedy pan mówi o ich zmartwieniu — rzekł nieco ironicznie — niech pan mówi: »ona« zmartwiona, nie »oni«... bo »on« tam...

I wskazał ręką na schody, wiodące do sali.

Oczy Bolesława błysnęły gniewem, utkwily w drzwiach od sali i stały się groźne. W piersi ozwał się stłumiony jęk oburzenia, przez chwilę stał ze spuszczoną głową, oddychając ciężko. Ale wkrótce powiodł ręką po czole i zwrócił do Szlomy twarz znowu spokojną, z głębokim tylko smutkiem w spojrzeniu.

— Panie Szloma — rzekł — gdybym posiadał potrzebną sumę, wypłaciłbym ci natychmiast dług Snopińskiego; ale w tej chwili nie mam jej i mieć nie mogę, aż po kilku tygodniach. Czy przyjmiesz moje zaręczenie, że jeśli Snopiński nie odda ci długu za kilka tygodni, to ja ci go oddam?

Szloma myślał przez chwilę.

— Ja pańskie zaręczenie z ochotą przyjmę — rzekł — pańskie słowo więcej warte, niż innych dokumenty; ale... jeżeli pan zapłacisz mi za Snopińskiego, to i nie zobaczysz się już nigdy ze swymi pieniędzmi...

Bolesław dziwnie się uśmiechnął.

— Wiesz dobrze, panie Szlomo — odpowiedział — że jestem sam jeden, nie mam famili i mieć jej nie będę, bo się nigdy nie ożenię, a majątek mój nie umniejsza się, tylko się wciąż przysparza. Dzierżawa, którą przed dwoma laty wziąłem od hrabiny, przynosi mi znaczne korzyści, przytem, jak wiesz, i w Topolinie wszystko mi idzie jak z płatka. Jeślibym więc nawet stracił pieniądze, które ci wypłacę za Snopińskiego, nie przyprawi mnie to o ruinę. Zgadzasz się więc, abym ci dał za niego formalne, urzędowe poręczenie?

— A na co formalne poręczenie? — rzekł Żyd — ja pańskiemu słowu wierzę; kiedy pan dasz mi słowo honoru, że odbiorę moje pieniądze, to ja dziś prośbę cofnę.

— Daję ci słowo honoru! — odparł Bolesław, podając rękę Szlomie.

— Nu, to i niema o czym gadać! Kiedy pan dajesz słowo honoru, to ja idę do urzędnika i cofam moją prośbę, bo u pana honor nie na języku siedzi, jak u innych, ale w sumieniu, to jeszcze można wierzyć...

Mówiąc to, Żyd brał za czapkę i zmierzał ku drzwiom, a Bolesław gotował się też do wyjścia, gdy do izby wszedł z dworską przybrany chłopak. Bolesław poznał w nim służącego z Niemenki.

— Co ty tu robisz, Michasiu? — spytał go, gdy chłopak uprzejmie się z nim witał.

— Pani przysłała mię po lekarstwa dla chorego dziecka. Jeszcze z samego rana pan po nie pojechał i dotąd nie wraca, a dziecku coraz gorzej...

Smutno-ironiczny uśmiech przebiegł przy tych słowach po pocziwej i roztropnej twarzy Michasia. Takież sam uśmiech pojawił się na twarzy Szlomy, który z czapką w ręku stał już przy drzwiach.

— Pan zajmujesz się jego interesami — rzekł do Bolesława — a on bawi się na sali... Widziałem, jak dwie godziny już temu przyniesiono z apteki gotowe lekarstwo; miał zaraz jechać, konie stoją założone, ale tam pan Franuś Siankowski gra z nim w bilard... Aj! dla nas im więcej panów na sali, tem większa korzyść, ale sumienie przedewszystkiem i pod cherymem przysięgam, iż wolałbym, żeby on tam nie siedział... bo to brzydko z jego strony... bardzo brzydko...

Gdy Żyd tak mówił, Bolesław był bardzo blady, oczy jego ciskały iskrami gniewu i żalu. Milczącym gościem ukazał służącemu drzwi od sali i śpiesznym krokiem, milcząc, wybiegł z oberży.

Od tego dnia powstała między Topolinem a Niemenką komunikacya ciągła a tajemna, tak tajemna, że nie wiedziała o niej nawet ta, która była jej przedmiotem i powodem — Wincunia. Nie wiedziała o niej, ale ją czuła; niewidzialna jakaś opieka rozciągnęła się nad nią i nad jej chorem dzieckiem.

Pomimo nieładu, w jakim pograżona była Niemenka przez bezrząd Aleksandra, mimo niedostatku, który wzmagał się coraz, z powodu strat jego i zaciągniętych długów, niby różdżką magiczną wszystko spełniało się szybko, zjawiało się w samą chwilę potrzeby, nic się nigdy nie spóźniło, niczego nie zabrakło.

Gdyby Wincunia mniej była pograżona w boleści i obawie o życie namiętnie ukochaney córki, spostrzegłaby niezawodnie tę niewidzialnie czuwającą nad nią Opatrzność; ale ona wtedy o nic nie pytała i nie myślała o niczem, a cała dusza jej skupiła się nad złotowłosą główką dziecięcą, nad którą groźba śmierci zawisała.

Dni i noce, we łzach i modlitwie, zdjęta gorączką śmiertelnej trwogi, przepędzała około tego dzieciniego łóżeczka, nad którem tyle wprzód macierzyńskich przeroiła marzeń, tyle czerpała pociechy i siły dla swego zranionego, zawiedzionego serca.

Tajemniczą tę i czujną pomoc spostrzegłby i Aleksander,

gdyby troskliwszym był mężem, ojcem i panem domu. Ale w męt-nym duchu jego nawet niebezpieczeństwo, grożące jednemu dziecku, nie ustaliło żadnego wyraźnego uczucia.

Były chwile, w których rozpaczał, błagał doktora o ratunek, łamał ręce z boleści i szlochał, jak kobieta; były inne, w których rozpacz żony wydawała się mu egzaltacyą chorobliwej wyobraźni i kaprysem.

Wtedy sarkał na jej łzy, zżymał się niecierpliwie i wyjeżdżał z domu, mówiąc sobie, że nie może znieść widoku ciągłego smutku i słuchać jęków, które dom napełniały, że go to denerwuje, męczy i samego o chorobę przyprowadza.

Wyjeżdżał i powracał, wróciwszy rozpaczał znowu i znowu się niecierpliwił, narzekał na ciężkie frasunki, jakie ponosić musi ojciec rodziny, i znowu wyjeżdżał z domu, mówiąc do swego ulubieńca:

— Pawełku! jakiś ty mądry, żeś się dotąd nie ożenił.

A gdy chmurny i blady wchodził na salę, towarzysze ze śmiechem śpiewali mu piosenkę o ożenionym wilku. Aleksander zżymał się i grał w bilard z ostatkiem grosza, gdy go miał, a gdy go nie miał, wypijał kieliszek po kieliszku na rachunek przyjaciół.

Niekiedy przesiadywał w kącie sali całemi godzinami, milcząc, z głową opartą na dłoni; potem wychodził z wolna na miasteczko i widywano go po całych dniach chodzącego z ulicy w ulicę. Niekiedy miał minę człowieka, który zaraz w łeb sobie palnie.

Tymczasem między Topolinem a miasteczkiem stały na usługę Niemenki rozstawione konie Bolesława.

Z doktorem Bolesław widywał się codziennie, a najpoufniejsza służąca Wincuni dwa razy dziennie spotykała się w gaju ze starym Krzysztofem, którego była wnuczką, i rozmawiała z nim pociechu; a gdy odchodziła, sługa i powiernik Bolesława mówił jej za każdym razem:

— Pamiętaj, że o tem wszystkiem nikt wiedzieć nie powinien, a twoja pani mniej, niż ktokolwiek.

Tak minęło dwa tygodnie, gdy pewnego wieczoru do pokoju, w którym siedział Bolesław, wszedł Krzysztof, stanął przed swoim panem i rzekł głosem głęboko zasmuconym:

— Panie! dziecko pani Snopińskiej umarło.

Bolesław porwał się z miejsca.

— Umarło! wielki Boże! — zawołał.

Stał się tak bladym, jakby słowa sługi ugodziły go w samo serce. Pochwycił ramię Krzysztofa.

— Kto ci to mówił? cóż się z nią dzieje? czy mąż jej w domu? — szybko zadawał pytania.

— W tej chwili była tu Katarzyna, przybiegła co tchu, prosząc o radę. Dziecko umarło dwie godziny temu, pani Snopińska strasznie desperuje, a cały dwór nie wie co począć, bo pan Snopiński zrana jeszcze wyjechał i dotąd nie wrócił.

Bolesław ręką czoło przycisnął.

— Co czynić? — mówił do siebie — w takim nieszczęściu... w takiej rozpacz... sama jedna... jego nawet tam niema! ha! więc ja przy niej być powinienem!

Zwrócił się do Krzysztofa.

— Jedź co prędzej po doktora; niepotrzebny on już dziecku, ale może być potrzebny matce. Przywieź go do Niemenki, jak możesz najprędzej; mnie tam znajdziesz!

To mówiąc, pochwycił czapkę i, nie zważając na mróz, panujący na dworze, wybiegł pieszo z domu.

W dworku niemenkowskim panował ruch niezwykle, ale cichy, złożony z szelestu tłumionych głosów, smutny, tajemniczy ruch nieszczęścia.

Po dziedzińcu przy świetle księżyca przesuwali się postacie sług, schodzące się, rozchodzące; ciche szepty wtórzyły skrzypowi śniegu pod stopami; w oknach domu przemykały światelka, gasły i zapalały się znowu; tu i owdzie odzywały się westchnienia.

Bolesław przebył dziedziniec niepostrzeżenie i wszedł do domu.

Drzwi pootwierane były wszędzie na oścież, tak, że z przedpokoju można już było widzieć, co się działo w słabo oświetlonej sypialni Wincuni.

Pod ścianą, na której wisiał ciemny krucyfiks i obraz Najświętszej Panny w złożonych ramach, stało małe łóżeczko, a u wezgłowia umieszczona płonąca gromnica bladawe rzuciła światło na leżącą wśród śnieżnej pościeli umarłą dziecinę. Rączki złożone miała na piersi, jak do modlitwy, gęste kędziory złociste opływały bledziuchną twarzyczkę, z której śmierć spędziła wyraz bólesci i która uśmiechała się łagodnie, niby wzywając ostatniego pocałunku matki. Ale ta nie schylała się z pieszczotą nad trupem dzieciny.

Wyprostowana i jakby zeszywniała w strasznym bólu,

Wincunia stała nad łóżeczkiem, bez ruchu, martwa. Oczy jej, pełne rozpacz, graniczącej z nieprzytomnem przerażeniem, wpłyły się w martwą twarzyczkę umarłej, usta zsiniały i zwarły się, na policzki wystąpiły krwawe rumieńce gorączki, a czoło blade było śmiertelnie.

Ubrana była w długą białą bluzę; ramiona jej, wysuwając się z szerokich rękawów, podniosły się ku skroniom i drżącymi palcami bezwiednie targały jasne warkocze.

Naprzeciw tej grupy, złożonej z nieżywego dziecka i zeszywniałej w bólu matki, oświetlonej chwiejnym płomykiem gromnicy, pod drugą ścianą stały w cieniu trzy kobiety służebne, przytłone do siebie i od chwili do chwili wydające stłumiony jęk, lub łkanie.

W przyległym pokoju, zupełnie ciemnym, ślizgały się po posadzce posępne blaski księżyca, wnikające przez okno.

Nagle wśród cisy dały się słyszeć męskie stapania i na progu pokoju śmierci stanął Bolesław. Pierwszy raz od lat kilku, od dnia, w którym się rozstał z Wincunią, wchodził on do tego domu, w którym niegdyś widział ją tak promienną, szczęśliwą.

Jedna ze służących zbliżyła się ku niemu.

— Panie — szepnęła bardzo cicho — radź pan tu cokolwiek i ratuj panią. Już od dwóch godzin stoi ona taka martwa i nieporuszona, nic nie słyszy, nic nie widzi i nie daje się odprowadzić od umarłego dziecka.

Bolesław zwolna postąpił i stanął naprzeciw Wincuni; wzrok jej szklany, nieprzytomny, padł na twarz jego. Przez parę sekund wpatrywała się w niego upornie, jakby pragnęła rozpoznać rysy, na które patrzyła, a zmacony umysł zasłaniał je i rozpoznać nie dawał. Nagle cofnęła się o krok jeden i zawołała dziwnym głosem:

— Bolesław!

Oczy jej oprzytomniały, zsiniałe usta rozwarły się i drżały.

— Boże! — szepnęła cicho, a ręce jej składały się jak do modlitwy — w tej strasnej chwili, nad zwłokami mego dziecka, on znowu tu... przy mnie...?

Wyciągnęła ku niemu drżące ręce i, ze strasznym łkaniem, upadła na jego piersi. Całe jej ciało ugięło się w okropnym płaczu, ramiona opłotły się wkoło szyi Bolesława.

Bolesław ujął ją w objęcia, uniósł jak dziecko i złożył na stojącej w cieniu kanapie. Potem ukląkł przy niej w milczeniu,

obie jej ręce utulił w swoich dłoniach i zaczął mówić do niej cicho, bardzo cicho.

Sługi usunęły się do przyległego pokoju, Bolesław i Wincunia zostali we dwoje, świadkiem był im tylko blady trupek dziecinki, leżący pod cieniem krzyża, z gromnicą nad czołem. Błada twarz Wincuni smutno jaśniała wśród cienia na ciemnym tle poduszki; roztargane warkocze złociste wiły się wkoło głowy i ramion.

Milczała; z oczu jej, wpatrzonych w oczy dawnego przyjaciela, płynęły dwa strumienie cichych obfitych łez. Widok Bolesława wyrwał ją z martwej skamieniałości, z serca jej wytrysnęły źródła łez dobroczynnych i z posągu boleści stała się słabą, cicho rozplakaną w nieograniczonym żalu kobietą.

Bolesław ręce jej przycisnął do ust gorących.

— Pani! — rzekł cicho i łagodnie — czyliż nie wiesz, że boleść jest koniecznym życia warunkiem, że cierpieć na ziemi trzeba? Czyliż życie nie powiedziało ci jeszcze o tem?

— Powiedziało oddawna! — szepnęła Wincunia i pierś jej podniosła się z głębokiem westchnieniem.

— Dziecię twoje śpi w objęciu cichej śmierci; nie przerywaj mu snu rozpaczą twoją — mówił schylony nad nią Bolesław. — Pożegnaj je z męstwem i patrz w przyszłość; czyliż ona złamana już na zawsze?

— Na zawsze! — jak echo, powtórzyła Wincunia.

Bolesław jeszcze silniej ucisnął jej ręce i ciszej jeszcze mówić do niej zaczął. Na twarzy jego był wyraz miłości niezmiernej, ale czystej, w wielkim bólu ochrzczonej, oderwanej od siebie. Mówił długo, a głos jego cichym szmerem rozchodził się po pokoju i, niby tchnienie ożywce, rozlewał się nad płonącą głową nieszczęśliwej.

Może w tej chwili przelewał on w duszę Wincuni te same słowa i myśli, któremi niegdyś z ciężkiej boleści podźwignął go i do życia pobudził pan Andrzej?

Może, jak ten względem niego, tak on względem narzeczonej swego serca stanął w postaci sumienia, przypominającego powinność życia i męstwa, mimo wszelkie spadające ciosy?

Wszak sam przez długie już lata dźwigał ciężar samotności i tęsknoty, łamał się z boleścią wspomnień, a z walk wychodził zwycięzcą samego siebie.

Teraz więc nadeszła chwila, w której trzeba mu było uczy-

anielskiej sztuki cierpienia tę, przez którą przyszedł ku niemu cierpienia wszelkie.

Wincunia słuchała jego tak cicho, jak ciche były łyzy, które nie przestawały płynąć po jej licu; niekiedy usta jej poruszały się zwolna i, jak niewyraźne echo, powtarzały słowa Bolesława; pierś jej oddychała coraz łagodniej, aż na zmęczone oczy zwolna opadły powieki, coraz rzadsze łyzy sączące z pod długich rzęs.

Bolesław umilkł, sam zmęczony wysileniem; blady, oparł gorącą skroń na złożonych w jego dłoni rękach Wincuni, a wolny jej oddech owiewał mu czoło.

Przed domkiem rozległy się dzwonki, Bolesław powstał i zwrócił się ku drzwiom, w których stanął doktor.

Wincunia zdawała się nic nie słyszeć, powieki jej podniosły się, tylko, gdy Bolesław odstał od niej, oddech jej stał się znowu ciężkim i pełnym łkań stłumionych, a łyzy obfitym strumieniem popłynęły po twarzy.

Doktor poważny był i zamyślony.

— Nauka zawiodła mnie na ten raz — rzekł cicho — dziś zrana, odjeżdżając stąd, miałem nadzieję, że dziecię żyć będzie, inaczej nie opuściłbym biednej matki, tembardziej...

Zatrzymał się przez chwilę, pełnem litości spojrzeniem obrzucił nieruchomą jak posąg kobietę i ze smutną ironią dokończył:

— Tembardziej, że ojciec zmarłego dziecka jest nieobecny...

Jakby w odpowiedzi na te wyrazy, Wincunia załkała głośniejsze i szepnęła, nie podnosząc powiek:

— Biedna dziecina moja! umarła sierotą, bez ojca!

Twą jej przybrała wyraz strasznej rozpacz, ręce spłotły się wkoło głowy i znowu zaczęły bezprytomnie targać warkocze.

Bolesław zadrżał cały z niezmierną boleścią, ścisnął rękę doktora i szepnął:

— Zostań tu! ja pojedę po »niego!« Dla mnie tu niema miejsca na długo, a ona przecie sam na sam z trupem swego dziecka zostać nie może!

Raz jeszcze obrzucił Wincunię spojrzeniem głębokiego smutku i wybiegł z pokoju. Po chwili zwrócił się z zapytaniem do towarzyszącej mu ze światłem służki:

— Dokąd pojechał pan Snopiński?

— Słyszałam — odpowiedziała — jak, odjeżdżając, mówił Pawełkowi, aby przysłano po niego do Piasecznej, jeśli coś złego stało się w domu.

— W Piasecznej! — zawołał Bolesław, a ciszej dodał: — Nikczemny!

W parę minut potem, wśród rozłogu pokrytego śniegiem, sanie posuwały się z całą szybkością pełnym galopem pędzących koni. Bolesław co chwila wstawał na saniach, patrzył w dal, jakby najprędzej chciał ujrzeć cel swej podróży, i wołał do furmana:

— Prędzej! prędzej!

Pod niebem czołgały się w tysiąc fantastycznych kształtów podarte chmury, to odsłaniając, to kryjąc srebrzystą mgłą prześlony księżyc, z północy leciały wichry, z grzmiotem spotykając się i uderzając o siebie, kurzawa śnieżysta podnosiła się od ziemi, zwiłała się w kłęby, rozpraszała chwilami, otaczając sanie przezroczystym tumanem.

Z za tumanu tego, po całogodzinnej szybkiej bardzo jeździe, Bolesław dojrzał między bezlistnymi drzewami ogrodów liczne błyskające światła; potem, oblane promieniami księżyca, ukazały się białe ściany pałacyku z wieżyczką, strzelającą w górę; sanie wjechały na obszerny, pięknie ogrodzony a śniegiem pokryty dziedziniec i zatrzymały się przed znacznie wzniesionym nad poziom i żelazną balustradą otoczonym balkonem.

Z obu stron balkonu długie rzędy okien gorzały jarzącym światłem, a z wnętrza mieszkania wychodził zmieszany gwar rozmów, śmiechu i muzyki.

Bolesław w kilku skokach przebiegł schody i balkon, wyłożony imitacją marmuru, i wszedł do przedpokoju. Tam pod ścianami, okrytymi kosztownym choć ciemnym obiciem, wisiały liczne rzędy męskich i kobiecych futer; wielka, u sufitu zawieszona lampa rzęście rzucała światło na cały pokój, a wokoło stolika kilku liberyowanych lokai grało w karty z głośną rozmową i śmiechami.

Na widok wchodzącego Bolesława jeden z lokai porwał się z miejsca i, sądząc, że nowy gość przybywa, poskoczył dla zdjecia zeń futra. Zaledwie jednak poznał Topolskiego, powstrzymał giest, bo wiedział, że nigdy on u pani Karliczowej nie bywa.

— Czy mam jasnej pani oznajmić o pańskim przybyciu? — zapytał — zapewne pan z jakim interesem?

— Tak — odrzekł Bolesław — mam tu w istocie do roz-

mówienia się o interesie, ale tylko z panem Snopińskim. Czy jest on tutaj?

— Od rana — odpowiedział lokaj.

— A więc proszę cię, abys mu oznajmił, że jest tu ktoś, komu bardzo pilno go zobaczyć.

— Czy pan nie wejdzie do salonu?

— Nie.

Lokaj rzucił spojrzenie na ubranie Topolskiego i uśmiechnął się nieznacznie.

Bolesław był w codziennym swym ubiorze, a w takim nikt nie zjawiał się na salonach pani Karliczowej nigdy, a tembardziej w dniu jej imienin. Bo był to właśnie dzień imienin pięknej pani, którego Aleksander nie opuścił ani razu od lat już wielu, bez złożenia jej życzeń i wzięcia udziału w zabawie. Teraz mniej, niż kiedy, mógł dopuścić się podobnego zaniedbania, bo od pewnego czasu obejście się pani Karliczowej zaczęło drażnić go chłodem i mało nawet ukrywanem szyderstwem.

Był on wprawdzie przyzwyczajony do zmienności humoru i upodobań kapryśnej wdowy, w czasie lat ubiegłych nieraz tracił jej łaskę i odzyskiwał ją z powrotem; ale teraz przewidywał, przeczuwał raczej, że groził mu zupełny ostracyzm z tego domu, pełnego zbytku i blasku, który stał się mu nałogiem i koniecznością, z którym stosunek uważał za piedestał swej chwały, bez którego nie pojmował życia.

Lokaj odszedł z poleceniem Bolesława i, wychodząc z przedpokoju, zostawił za sobą drzwi otwarte.

Drzwi te wychodziły do pysznie ozdobnej sali jadalnej, w której właśnie służba kryształami i srebrem zastawiała stół do wieczery, a za salą ciągnęła się długa amfilada salonów większych i mniejszych, pełnych światła i przesuwających się strojnych postaci.

W niewielkim przylegającym do jadalnej sali salonie, którego drzwi nie przysłonięte portyera na oścież były otwarte, towarzystwo dzieliło się na kilka grup oddzielnych. Pomiedzy oknami, około obszernego stołu, zasiadło kilkanaście osób, kobiet i mężczyzn z kartami w ręku.

Grano snadź w powszechnie naówczas używaną w salonach grę, zwaną »komersem«, bo co chwila ktokolwiek podnosił w górę trzy karty i z tryumfem wołał: »sekwens!« albo: »brylant!«

Wtedy wybuchały śmiechy, żartobliwe sprzeczki, mieszano

karty, rozdawano znowu i znowu po chwili wołał ktoś z radością: »brylant!« »brylant!« a z rąk grających karty z szelestem padały na marmurową płytę stołu, ozdobioną w środku wielkim ptakiem rajskim z mozaiki.

Naprzeciw tej gwarnej i wesołej grupy siedziała przy fortepianie strojna i piękna panna ze złocistymi lokami, opływającymi ramiona i suknię z liliowej materii. Jedną ręką uderzając oderwane akordy, ustrojona głowę zwracała do kilku młodych ludzi, którzy ją otaczali, prowadzili z nią salonową, dowcipną rozmowę, tak urywaną, jak były tony, wychodzące z pod jej kapryśnie przebiegającej po klawiszach ręki.

— Schubert! Schubert! c'est divin! — zawołał głośniejsz od innych stojący za jej krzesłem jakiś przystojny młody blondyn, ze szkiełkiem w oku — chantez quelque chose de Schubert, M-lle Amelie!

Piękna panna zwróciła ku niemu wielkie szafirowe oczy, uśmiechnęła się i, obu rękoma przebiegłszy klawisze, dzwicznym sopranem rozpoczęła śpiewać jedną ze smętnych arii Schuberta.

Tęskne, tajoną namiętnością drżące tony łączyły się z wesoło-pustymi śmiechami kompanii, grającej w »komersa«; przystojny blondyn, stojąc za krzesłem śpiewaczki, wpijał się wzrokiem w jej gęste weneckiego koloru włosy i w białą, zdobioną je z pyszną prostotą, kamelię.

W rogu salonu, na małej, błękitnym aksamitem obitej kozetce, siedziała sama pani Karliczowa. Ubrana była w powłóczystą suknię z białego kaszmiru, po której niedbale ciągnęły się gałęzie koralu; głowę, ustrojona w krucze włosy i grube koralowe sznury, zwracała z wdziękiem ku dwóm młodym ludziom, opartym o poręcz kozetki, a nóżkę, wysuniętą z pod sukni, niedbale opierała na leżącej u jej stóp aksamitnej poduszce.

Obok niej z dwóch stron przeciwnych stały dwie osoby: jedną z nich była młoda, wyniosłej postaci panna, z wysoko zaczesanymi jasnymi włosami i klasycznym profilem, drugą Aleksander Snopiński.

Stał on obok pani Karliczowej, ale jak w tęczę patrzył w twarz wyniosłej panny, która nie patrzyła na niego, lecz od niechcenia bawiła się delikatnymi listkami trzymanej w ręku róży i od chwili do chwili tylko dorzucała słówko do żywej rozmowy, prowadzonej przez panią domu z dwoma stojącymi za nią mężczyznami wytwornej i pańskiej powierzchowności.

Postawa Aleksandra wydawała się zakłopotaną; z całej grupy, do której należał, nikt do niego nie mówił i nikt na niego nie patrzył; na twarzy jego znać było widoczne usiłowanie okazania się swobodnym, wtrącenia się do rozmowy, toczącej się obok, i zwrócenia na siebie uwagi pięknej panny, i właśnie najbardziej wskutek tych usiłowań, które się nie powodziły, rażąco wyglądał obok otaczających go, pełnych wytwornej swobody i elegancji, postaci.

Wyrażnem było, że znajdował się w niewłaściwej sobie sferze, lubo całą siłą pragnął zlać się z nią i spoić w harmonijną całość.

Za tym błękitnym o trzech oddzielnych grupach salonikiem, w długiej amfiladzie salonów widać było przez wpół rozsunięte portyery młode kobiety, przechadzające się pod rękę z wachlarzami w dłoniach, matrony siedzące na aksamitnych kanapach, młodych ludzi przesuwających się pomiędzy kobietami, poważnych mężczyzn rozprawiających między sobą z zajęciem, a z góry na głowy bawiących się spływały białe, szafirowe i różowe światła lamp i pajaków, a pod ich stopami barwiły się puszyste kobierce i woskowana posadzka błyszczała niby liczne zwierciadła, które, rozwieszone po ścianach, wzmaczały blask światła i z salonu do salonu posyłały sobie oblicze różnych grup, twarzy, strojów, obrazów, daleko, daleko, zda się do nieskończoności.

Cały ten obraz różnorodnej zabawy przedstawił się oczom Bolesława przez roztwarte drzwi od przedpokoju i sali jadalnej.

Wiała zeń atmosfera wesołości i rozmarzenia, dźwięków muzyki, połączonej ze szmerem uwielbień, śmiechu, z westchnieniami rozdrażnionych piersi, światła, kwiatów, woni, szeleszczących szat kobiecych, budzących się i znikających jak meteory namiętności, zapomnienie o jutrze a utonięcie w rozkosznym, odurzającym dzisiaj.

Patrzył Bolesław na obraz ten i zamyślił się boleśnie: porównywał go może z tym pół ciemnym pokojem, pełnym śmierci i rozpacz, który opuścił przed godziną i w którym zostawił Wincunię. Odwrócił oczy i bezwiednie rękę przycisnął do serca, które biło mocno boleścią wielką — wielką. Z zamyślenia obudziły go szybkie zbliżające się ku niemu kroki. Aleksander stał przed nim ze zdziwieniem i próżno ukrywanem zaniepokojeniem na twarzy.

Bolesław obrzucił go w milczeniu zimnem wejrzeniem.

— Pan chciałeś widzieć się ze mną? służę panu! — z pewnem zakłopotaniem wyrzekł Aleksander i podał mu rękę. Bolesław nie wyciągnął doń swojej i wyrzekł półgłosem, przenikliwy wzrok topiąc w jego twarzy:

— Panie Snopiński! córka pańska umarła.

Aleksander zbladł i z nieudaną rozpaczą pochwycił się za głowę.

— Umarła! — krzyknął — wielki Boże! dziś zrana doktor mi mówił, że żyć będzie!

— To pana tłómaczy, że tu jesteś — z goryczą, nad którą zapanować nie mógł, rzekł Bolesław i dodał: — Żona pańska pozostała w domu sama i w rozpacz.

— Jadę, jadę! — zawołał Aleksander i zwrócił się do lokajów: — Każcie tam moje konie zaprzęgać. Co za nieszczęście! — mówił dalej, a oczy jego napełniły się łzami — takie śliczne dziecko! Dziś jeszcze byłem pewny, że żyć będzie! — Podniósł do oczu chustkę i zasłochał.

W tej samej chwili na progu drzwi od przedpokoju stanęła owa wyniosła panna z różą w ręku, na którą przed chwilą Aleksander patrzył był z tak nietajonem uwielbieniem. Powabnym i majestatycznym krokiem przeszła ona przez salę jadalną i z dumnie podniesioną głową rozejrzała się po przedpokoju.

Kiedy nawpół zmrużone wielkie i piękne jej oczy upadły na Aleksandra, rozmawiającego z Bolesławem, poczęła znowu od niechcenia oskubywać swą różę i wyrzekła głosem bardzo obojętnym, w którym dosłyszeć można było pewne nawet lekceważenie:

— Monsieur Snopiński! Posłano mię, abym panu powiedziała, że potrzebny pan jesteś do »komersu«, ktoś tam wstał od gry i pan masz go zastąpić.

Na dźwięk głosu wyniosłej panny, Aleksander żywo odjął chustkę od oczu, rozjaśnił twarz najpiękniejszym uśmiechem i zwrócił się do mówiącej z eleganckim ukłonem. Ale ona nie patrzyła już na niego, odwróciła się z wolna, oskubując ciągle śnieżną centyfolię, i jednostajnym, dumnym krokiem powoli odeszła w głąb salonów.

Snopiński zwrócił się do Bolesława, który patrzył na niego ze zdziwieniem i ironią.

— Natychmiast będę panu służył, pojedziemy razem, nieprawdaż? ale wprzód muszę pójść pożegnać kompanię.

Rumieniec oburzenia pokrył twarz Topolskiego, nie mógł dłużej panować nad sobą i silną ręką ujął ramię Aleksandra.

— Nie pójdziesz pan żegnać kompanii — rzekł zniżonym od wzburzenia głosem — tam żona pańska umiera z żalu, a niema komu wyrzec do niej słowa pociechy...

Tym razem nie żal, ale gniew ukazał się na ruchliwej fizyonomii Snopińskiego, połączył się wnet z szyderstwem, i młody człowiek, zuchwale patrząc w twarz Bolesława, wyrzekł pełnym złośliwości tonem:

— A dlaczegoż pan nie chciałeś przyjąć na siebie roli pocieszyciela mojej żony?

Bolesław odstąpił nagle parę kroków, brwi mu się zsunęły i zadrżały usta; zdawało się, że na głowę człowieka, który, stał przed nim z szyderstwem na ustach, wnet ciśnie wyrazem pogardy.

Ale gwałtowne to poruszenie trwało przez jedno mgnienie oka; przesunął rękę po czole i rzekł z zimnym spokojem:

— To, coś pan wyrzekł, jest niezasłużoną obelgą, tak dla mnie, jak dla tej nieszczęśliwej kobiety, która jest pańską żoną. Ale widzę w panu w tej chwili nie zwyczajnego człowieka, któremu-bym mógł obelgą za obelgę płacić, ale jej męża, który jakkolwiek bądź, jest jedynym człowiekiem, mogącym w ciężkiej chwili przynieść jej pociechę i wsparcie. Przebaczam więc panu słowa, któreś wyrzekł przed chwilą: ubieraj się i jedź!

Zimny spokój, z jakim Bolesław słowa te wymawiał, gościł jego poważny a nakazujący, zmieszały Aleksandra. Lękliwa i chwiejna, jak trzcina, jego natura, z gniewu i szyderstwa przeszła nagle do żalu i pokory.

— Ależ przebacz pan, przebacz! — mówił pośpiesznie — uniosłem się na chwilę, ale nie chciałem pana obrazić... wiem, że pan jesteś najlepszym, nieocenionym przyjacielem naszym...

I pochwycił rękę Bolesława, chcąc ją ucisnąć, ale Topolski zlekka usunął się od tego giestu i zimno wyrzekł:

— Nie jestem pańskim przyjacielem.

Na twarzy Aleksandra zadrżała znowu złość i obrażona miłość własna.

— A więc przyjacielem mojej żony — zawołał ze zjadliwym śmiechem.

— Tak — spokojnie odpowiedział Topolski — jestem przyjacielem żony pańskiej i, jako taki, mówię panu raz jeszcze: ubieraj się i jedź, bo każda chwila samotnej jej rozpaczny mnie,

który nie jestem jej mężem, ale tylko przyjacielem lat dawnych, cięży na sercu i sumieniu.

— Ależ konie moje nie założone jeszcze — rzekł Aleksander, mieszanym znowu zimną krwią Bolesława, i przelotne spojrzenie rzucił na drzwi do salonów.

— Nie bédziesz pan czekał, aż ci konie założą, ale pojedziesz mymi końmi ze mną — stanowczo powiedział Bolesław i zwrócił się ku wyjściu.

Aleksander spojrział raz jeszcze na drzwi od salonów i, całkiem opanowany chłodną energią Topolskiego, postąpił za nim.

W chwili, gdy obaj siadali na sanie, z okien pałacu buchnęła muzyka i zagłuszyła resztę gwaru. Było to przepyszne trio, złożone z fortepianu, skrzypiec i fletu, wykonywające uwerturę z Wilhelma Tella.

Snopiński trzymał wzrok utkwiony w oświetlone okna pałacyku, aż póki świetny ich rząd nie zniknął mu z oczu poza grupami drzew ogrodowych.

Konie Bolesława biegły znowu z wielką szybkością po białym rozłogu; sanie, kopiąc się płozami w zaspach śniegu, skrzypiały i jęczały, dzwonek srebrzyste tony posyłał w przestrzeń, z oddali wicher przynosił odgłosy innych jeszcze dzwonek, — były to może odgłosy jakiego szalonego wiejskiego kuligu o maskach i dziwacznych kostyumach, albo weselnej drużyny, śpięszącej od ołtarza ślubnego do sali tanecznej.

Dwaj mężczyźni jechali długo w milczeniu. W ręku Aleksandra kilka razy zabielała batystowa chusteczka, podnosił ją do oczu i lży ocierał. Wkońcu ozwał się głosem przerywanym szlochaniem:

— Jestem najnieszczęśliwszy z ludzi! Straciłem dziecko, w którym pokładałem mnóstwo nadziei. Nie wiem, czy pan widziałeś kiedy naszą Andzię; obiecywała być bardzo piękną. Wyglądała nie na szlacheckie, ale na prawdziwie pańskie dziecko, taka była szczupła i delikatna. To też często myślałem sobie, że dam jej świetną edukację, a gdy dorośnie, zrobi pewnie znakomitą partję. Nigdybym jej nisko za mąż nie wydał. Marzyłem dla niej o którymśkolwiek z dwóch synów hrabiny; wszak to w sąsiedztwie; a choć oni będą mieli miliony i tytuł, ależ i my przecie z dobrego pochodzimy rodu, i cóż to się zresztą na świecie nie dzieje!

Teraz wszystko przepadło!

Przycisnął chustkę do oczu i płakał.

Bolesław nic nie odpowiedział; promień księżycowy, uwolniony w tej chwili z pod chmur, oświecił twarz jego surową i smutną.

Po chwili Aleksander ozwał się znowu:

— Wiem, że pan możesz mi mieć za złe, iż w dniu tak wielkiego nieszczęścia, jakie mię spotkało, ja bawiłem się w domu pani Karliczowej. Ale naprzód doktor uczynił mi dziś nadzieję, że Andzia żyć będzie; potem są pewne obowiązki towarzyskie, z którymi człowiekowi, co, jak ja, bywa w świecie i zna światowe zwyczaje, rozmijać się niepodobna. Dziś właśnie wypadły imieniny pani Karliczowej; bywam u niej często i wiem, że jestem dla niej miłym gościem; zgodzisz się więc pan na to, że trudno było nie pojechać. Zresztą to dom taki miły, jedyny w całym sąsiedztwie, w którym mogę znaleźć dla siebie odpowiednie towarzystwo.

Bo to widzisz pan, jak człowiek przywyknie tak, jak ja, do towarzystwa dobrego tonu, to się już bez niego obejść nie może.

Dziś, na przykład, w Piasecznej śliczna była kompania: ta panna, która-to wychodziła do przedpokoju i zapraszała mię do »komersa«, to hrabianka W., krewna pani Karliczowej; poznałem ją dziś po raz pierwszy i była na mnie dziwnie łaskawa. Kiedyśmy siadali do obiadu, odezwała się do mnie po francusku, abym usiadł przy niej, i przez cały czas, lubo niewiele, mówiła do mnie, ale uśmiechała się ciągle. Potem widziałem, jak rozmawiała ze swoją siostrą i śmiały się obie; chociaż mówiły z sobą po cichu, dosłyszałem, że nazwała mię bardzo dowcipnym.

Takie rzeczy, widzisz pan, są zbyt pochlebne, aby mogły nie pociągnąć tak młodego, jak ja, człowieka; wprawdzie jestem żonaty i dlatego niektórym ludziom wydaje się, jakoby powinien był więcej przebywać w domu, niż za domem; wierz mi pan jednak, że ludzie, którzy tak sądzą, nie znają uroku, jaki towarzystwo dobrego tonu wywiera na tych, którzy, jak ja, mają zaszczyt doń należeć, a oprócz tego nie wchodzą wcale w moje położenie.

Ożeniłem się zbyt wcześnie... sam pan to przyznasz; nie użyłem jeszcze świata, w którym, mówiąc otwarcie, mam nie-małe powodzenie...

Żona moja to anioł dobroci, ale za poważna jest na swój wiek; przytem nie lubi bawić się... słabe ma zdrowie... cóż więc dziwnego, że ja, będąc tak młodym i mając gusty wykształcone

wśród towarzystw dobrego tonu, szukam sobie rozrywki za domem, tembardziej, że to przecież nikomu nie szkodzi...

Umilkł Aleksander, westchnął ciężko, po chwili szepnął: — Biedna moja Andzia! — i znowu poniósł do oczu chusteczkę, przez co w powietrzu rozwił się zapach perfum »Violette de Parme«.

Bolesław długo nie odpowiadał na przeciągłą tyradę towarzysza; księżyc kilka razy oświecił twarz jego, a na niej bolesny i surowy wyraz, aż wreszcie przerwał milczenie i ozwał się głosem, w którym pod pozorem spokojem drgało przykre wzruszenie:

— Wiem dobrze, iż nie mam prawa mieszać się w niczyje domowe lub zadomowe sprawy. Przecież rad jestem sposobności powiedzenia panu tego, com już oddawna powiedzieć mu pragnął.

Wiesz pan o stosunku, jaki zachodził między mną a pańską żoną; wtedy, gdyś ją poznał, byłem jej narzeczoną, znałem ją i kochałem od lat dziecięcych, a jak kochałem, o tem nie będę panu mówił, bo nasze charaktery i sposoby widzenia rzeczy tak się różnią, że nie potrafiłbyś pan stworzyć sobie wyobrażenia o mojej miłości, choćbym ci o niej najdłużej opowiadał. Kiedym ją stracił, jedynym już mojem pragnieniem było, aby ona została szczęśliwą; że do niej nie miałem żadnego żalu, o tem niema co i mówić, ale nawet i do pana nie czułem żadnej niechęci póty, póki sądziłem, żeś ją prawdziwie kochał. Myślałem, że są pewne nieprzeparte popędy serca, o które obwiniać kogoś, które mieć komuś za złe, byłoby niesprawiedliwością i szaleństwem.

Tych moich przekonań i uczuć miałeś pan dowody w tem, że nie unikałem go, ale owszem, starałem się przyjacielski utrzymać z panem stosunek.

Ale od chwili, w której przekonałem się, że uczucia pana dla kobiety, która była niegdyś moją narzeczoną i w której złżyłem był wszystkie nadzieje mego serca, były nie miłością prawdziwą, ale tylko chwilową fantazją i niestałym pociąganiem, że dla zadowolenia tego pociągu uczyniłeś pan lekkomyślnie ofiarę z całego jej życia, że ją opuszczasz i unieszczęśliwiasz bez żadnej z jej strony winy, od tej chwili, panie Snopiński, zmieniłem moje usposobienie względem pana.

Niedawno powiedziałem, że nie jestem pańskim przyjacielem; wytłómaczę się przed panem, dlaczego to powiedziałem: oto dlatego, że przyjaźń czuć mogę tylko dla ludzi, któ-

rych szanuję, a pana szanować nie mogłem, lubo szczerze chciałem...

Aleksander poruszył się żywo i znowu gniewnie.

— Przed chwilą — przerwał — powiedziłeś pan także, że nie masz prawa mieszać się w niczyje domowe lub zadomowe sprawy.

— Tak — odpowiedział Bolesław z wielkim spokojem — ale mówimy z sobą w wyjątkowych okolicznościach, które uprawniają zupełnie słowa moje. Pani Wincenta, przekładając pana nade mnie i stając się pańską żoną, nie straciła we mnie przyjaciela, jak to powiedziałem panu przed chwilą: jestem jej przyjacielem i nigdy być nim nie przestanę, a u człowieka honoru i serca przyjaźń nie jest pustem słowem, lecz mieszczą się w niem pojęcia przywiązania, opieki i takiej dbałości o dobro drugiej osoby, że wobec niej znikają wszelkie konwenanse światowe, znika prawie myśl o sobie samym.

Pan jesteś mężem kobiety, dla której przyjaźń taką noszę w sercu głęboko, i człowiekiem, który lekkomyślnie złamał jej życie. Wszystko zatem, co bym panu powiedział, uprawnione będzie boleścią moją i jej i zatwierdzone sumieniem, które mi do pana otwarcie mówić nakazuje.

Jako więc przyjaciel pani Wincenty, w najwyższym znaczeniu tego wyrazu, i jako człowiek tej samej co pan społeczności, nie waham się panu powiedzieć, że jesteś pan złym członkiem rodziny i złym obywatelem kraju.

Unieszczęśliwiasz pan młodą swą i śliczną żonę przez oddawanie się różnym złym nałogom, a szkodzisz społeczności, dając otaczającym cię niezdrowy przykład i marnując bogate materiały, leżące w twej naturze. Przytem dla siebie i dla żony gotujesz pan, oprócz moralnej, i materialną nędzę, bo majątek pana i jej upada pod długami, które lekkomyślnie zaciągasz...

— Skąd pan wiesz o moich długach? — zawołał Aleksander głosem, którym usiłował udać obrazę, ale w którym było zmieszanie i zawstydenie.

— Wiem o nich — z równym zawsze spokojem odpowiedział Bolesław — bo w dniu, w którym spadło na was bolesne nieszczęście choroby jedynego dziecka, miano już wam odbierać majątek, a ja go uratowałem, wypłacając za pana pewną sumę, a za innej wypłacenie ręczę.

Mówię panu o tem nie dlatego, aby się okazać przed panem w roli dobroczyńcy, bo bynajmniej nie dla pana to czyni-

łem; ale chcę mu pokazać, że wiem o pańskim złem postępowaniu, że cały świat otaczający wie o niem; chcę pana zawstydzić i, jeśli to podobna, zwrócić pańską uwagę na niebezpieczeństwo, w jakim zostajesz, i uchronić was obojga od niego... Jesteś pan jeszcze zbyt młody, abyś na lepszą drogę wejść nie mógł, tembardziej, że natura obdarzyła cię bogato i że zdolności twe, które tak nędźnie marnujesz, mogłyby z ciebie uczynić pożytecznego członka rodziny i społeczności.

Śmiesznieby było, abym w tej chwili przybrał rolę kaznodziei lub moralisty i chciał pisać panu programat życia: znajdziesz go pan we własnem sumieniu, jeśli zechcesz w nie pilnie zajrzeć.

Ja powiem ci jedno słowo: pracuj! praca to chrzest najświętszy, który obmywa najbardziej zbrukanych; praca to źródło siły, które wzmacnia najsłabszych, praca to niewyczerpany źródło pociech na wszystkie bolesti, na wszystkie zawody i tęsknoty.

Pracuj, a uleczysz się od złych nałogów, umiłujesz dom własny i społeczność, w której życiu oczyścisz myśl od mętów, jakie je zalewają, i ustrzeżesz się od ruiny majątkowej, nad którą stoisz i do której pociągasz kobietę, dzielącą twe losy. Mówię ci to, jako człowiek, który wiele przeboleł i przemyślał, i jako przyjaciel kobiety, droższej mi nad życie; jako wreszcie obywatel kraju, któremu sumienie nakazuje ostrzedz zbłąkanego i ginącego, choćby nawet tę przestrożę wiatry roznieść miały po świecie bez śladu, jak oto roznoszą tę mgłę śniegowa...

Umilkł Bolesław i w tej samej chwili sanie wjechały na dziedziniec niemenkowski. Księżyc znów z za chmur się wysunął i oświecił dwie męskie twarze, jedną surową i głęboko smutną, drugą pochyloną w milczeniu i zarumienioną wielkiem zawstydzeniem.

VII.

Poczty parafialne.

W końcu zimy po okolicy rozeszła się wieść niespodziana, dziwna, a zajmująca wielce całą parafię: piękna i kapryśna dziewczeczka Piasecznej, pani Karliczowa, szła zamaż.

Wieść ta wzbudzała powszechne zdziwienie, a na wiele ust wywoływała złośliwe uśmiechy. Ze zdziwienia i uśmiechów powszechnych wywiązała się powszechna ciekawość, ciekawość zrodziła dopytywanie się, śledzenia.

Pytania: kto? jak? dlaczego? jakim sposobem? przebiegały wszystkie usta, a z odpowiedzi na nie złożonych, z opowiadań gości, domowych i sług pani Karliczowej utworzyła się następna, zupełnie prawdziwa, historia.

Pewnego jesiennego ranka, ranka, który zwykle dla pani Karliczowej zaczynał się o dwunastej południowej godzinie, piękna wdowa klęczała w sypialni swej na aksamitnej poduszce klęcznika i, utkwivszy oczy w twarzy Madonny, włoskim malowanej pędzlem, przesuwiała w palcach agatowe paciorki różańca i koralowemi ustami szeptała kilkadziesiąt razy powtarzane po zdrowieniu anielskie.

Nagle zapukano do drzwi.

Była to najulubieńsza kamerystka, oznajmująca przybycie prawnika, któremu powierzony był zarząd finansów Piasecznej z przyległościami.

Pani Karliczowa powstała z klęczek i, jak westalka, owiana cała przezroczystą bielą muślinów, z różańcem, okręconym wkoło koronkowego rękawka, wyszła naprzeciw gości. Po wymienieniu powitań i grzeczności z pewnym niepokojem, którego ukryć nie mogła, spytała swego pełnomocnika, z jakąby przybywał sprawą.

Prawnik, usiłując nie tracić dalszego kontenansu, ale wyraźnie zakłopotany, odpowiedział:

— Czułem się w obowiązku zdać pani sprawę ze stanu jej finansów: oto bilans dochodów i rozchodów, wykaz wartości majątku pani i ciążących na nim długów.

Pani Karliczowa wzięła z rąk prawnika wielki arkusz papieru, zapisany cyframi, przebiegła go wzrokiem i zbladła. Pod rubryką »dochodu brutto« stała dość znaczna cyfra, zaraz po niej następował »dochód netto«, a pod nim z e r o. Pod wartością majątku »brutto« jaśniała cyfra ogromna, ale też przy niej napisano wartość rubli — drugie zero.

Pani Karliczowa, po długiej chwili milczenia, złożyła papier we czworo i, kładąc go przed sobą na stole, zwróciła się do prawnika:

— Jaką mi pan podajesz radę?

Prawnik powstał, zapiał dla kontenansu surduta po samą szyję i odpowiedział krótko:

— Nie mam żadnej.

Piękna wdowa skłoniła głową w sposób wcale nie dwuznaczny, prawnik zrozumiał i zostawił ją samą.

Tego dnia pani Karliczowa bardzo długo modliła się przed obrazem Madonny, potem wysłała listy do kilku miejsc sławnych cudami, prosząc o modlitwy, ale później zaszła w niej wielka zmiana. Posmutniała i spoważniała, zamyślała się często, a na twarz jej występował wyraz dziwnego smutku, złączonego z silnym jakimś postanowieniem.

Kiedy w tydzień potem prawnik zjawił się znowu, prosząc o dalsze wskazówki postępowania i wypłatę należnego mu honorarium, pani Karliczowa grzecznie, ale z wysoka prosiła go o trochę cierpliwości, mówiąc, że najdalej za kilka miesięcy będzie w możności oczyszczenia z długów dóbr swoich, a wtedy wypłaci mu należności i zobowiąże go do dalszych usług.

Prawniki wyszedł uśmiechając się nieznacznie, i jeszcze tego dnia u komisarza Piasecznej wyrzekł tonem zupełnej pewności:

— Za kilka miesięcy Piaseczna będzie miała pana.

— Co to jest pana? — pytano.

— Pani Karliczowa wyjdzie zamaż.

W parę tygodni potem przed pałacyk w Piasecznej zjechał piękny koczyc, założony pięknymi końmi, ze służbą ubraną w piękną liberyę. Paki za powozem świadczyły, że przybywa z daleka.

Ten piękny koczyc nie pierwszy już raz zajeżdżał pod pałacyk pani Karliczowej. Owszem, zjawiał się on już w Piasecznej od roku dość często, a przywoził zawsze pana Kalikstę, mieszkającego w przyległym powiecie, o dwadzieścia mil od Piasecznej.

Pan Kalikst K. miał lat czterdzieści, wyniosłą postawę, twarz bladą i znaczącą, włosy jasne, przerzedzone nad czołem, wielkie błękitne oczy, zwykle zgasłe i nic nie mówiące, ale chwilami buchające ogniem i wymowne, majątek wynoszący dwa miliony złotych i jedno z najpiękniejszych imion w kraju.

Pan Kalikst K. znał panią Karliczową oddawna, spotykał ją we Włoszech i w Paryżu, tu i tam oświadczał jej chęć pojęcia ją za małżonkę, tu i tam otrzymywał odmowę. Nie rozpaczając wcale, nie zrywał się do samobójstwa, ale i nie dawał za wygraną.

Dowiedziawszy się o przyjeździe pani Karliczowej do Piasecznej, oddał jej dwie wizyty, znowu się oświadczył i znowu został odrzucony, co nie przeszkadzało mu jednak bywać w jej domu coraz częściej i okazywać jej niezmienną swych zamiarów coraz widoczniej.

Był to objaw psychologiczny tak szczególny, że stałość afektów pana Kalikstę dla pani Karliczowej przeszła w przysłowie w sferze, w której przebywał; śmiano się zeń po trochu, dziwiono mu się, ale on nie zważał na śmiechy i podziwienia, a poufnym przyjaciółm mówił:

— Zobaczycie!

Kiedy w dwa tygodnie po złowróżbnej rozmowie z prawnikiem pani Karliczowa zobaczyła przez okno podjeżdżający pod jej pałacyk powóz pana Kalikstę, żywy rumieniec oblał jej twarz i rzuciła okiem w zwierciadło.

Strój jej był ciemny i, jak zwykle, powłóczysty a bogaty: warkocze nad czołem, ułożone w dyadem, ozdobiony tylko dwiema szpilkami z pereł; czarne koronki opływały stan i w malowniczych fałdach opuszczały się na suknię. Wyglądała zachwycająco; to też pan Kalikst, witając ją ze światową ceremonialnością, mocniej, niż wypadało, uściśnął jej rękę, a blado-błękitne jego oczy utkwily w jej twarzy dłużej, niżby na to pozwalała etykieta.

Do obiadu zasiadły dwie zwykłe kompanionki pani Karliczowej i rozmowa toczyła się ogólna, podsycana dowcipem pani domu, który jaśniał w całym swym świetle.

Po obiedzie piękna wdowa weszła do buduaru, co było znakiem dla kompanionek, że życzy sobie sam-na-sam pozostać z gościem.

Dwie panny usunęły się do swych oddalonych pokoi, pan Kalikst usiadł naprzeciw przedmiotowi długo trwających swych westchnień, a w postaci jego i twarzy nic nie zapowiadało, aby się gotował do jakiej uroczystej rozmowy. Niedbale siedział w fotelu, palił cygaro i patrzył na panią domu, która w zamyśleniu bawiła się koronkami sukni.

Po chwili podniosła głowę, wpół smutny, wpół żartobliwy uśmiech przebiegł jej usta i, topiąc spojrzenie w twarzy gościa, rzekła:

— Zmęczyłam się rozmową i mam ochotę milczeć. Czekam, abys pan mówił. Czy pan nie masz nic mi do powiedzenia?

Pan Kalikst wypuścił z ust niteczkę sinego dymu i, otrzą-

sając proch z cygara w srebrną popielniczkę, odpowiedział z wolna:

— Owszem, mam do powiedzenia, a raczej do powtórzenia pani to, com już nieraz miał honor jej mówić, zawsze, niestety, nadaremnie! Proszę panią o jej rękę, a wzamian ofiaruję swoje imię, swój majątek i miłość tak stałą, że stałszy się nie mógłby się pochlubić żaden średniowieczny nawet Aladyn.

Przy ostatnich słowach uklonił się lekko i poniósł do ust cygaro.

Pani Karliczowa zaśmiała się przeciągle.

— Odpowiedź moja dzielić się będzie na dwie części — odrzekła — część pierwsza: gdybym posiadała latarnię, o której mówił Dyogenes, uczyniłabym wotum chodzić z nią po świecie do końca dni moich, szukając podobnie oryginalnego człowieka, jak pan jesteś; powtóre: mam głębokie zamiłowanie do wszystkich cnót średniowiecznych i, chcąc zostać wierną temu uczuciu, nagradzam pana Aladynową wierność i oddaję mu moją rękę.

Mówiąc to, wysunęła sliczną rękę z pod czarnych koronek i wyciągnęła ją do pana Kaliksta.

Nowożytny Aladyn złożył naprzód na popielnicze cygaro z wielką ostrożnością, aby nie zapalić dzienników, rozrzuconych na stole, potem powstał, wziął rękę bohdanki, złożył na niej ceremonialny pocałunek i, usiadłszy na dawnym miejscu, ujął znowu w dwa palce wyborne hawana i pociągnął je z zamiłowaniem.

Po kilku chwilach, wypuściwszy z ust niteczkę dymu, prze-rwał milczenie:

— Widzisz pani we mnie najszczęśliwszego z ludzi: od sześciu lat dążyłem do celu, którego dziś dościsnąłem; czuję się wielce przez panią zaszczyconym i uszczęśliwionym; niemniej jednak ośmielam się wyjawić jej parę swoich zdań o pewnych rzeczach dlatego, abyś pani o nich wiedziała i podwoiła moje szczęście zastosowaniem się do nich.

Brwi pani Karliczowej zsunęły się nieco, w mgnieniu oka rozpoznała jednak twarz i odrzekła z uśmiechem:

— Słucham pana.

— Od dzisiejszego dnia — mówił pan Kalikst — uważam panią za moją narzeczoną, a zatem pragnę dla pani stosownego otoczenia. To, jakie widuję w Piasecznej, nie zadowala mnie. Pani, przez niezmierną dobroć swego serca, przyjmujesz takie pèle-mêle różnych ludzi, z którym ja, mimo najgorętszych chęci

przypodobania się pani, nie będę mógł się pogodzić. Tacy, na przykład, panowie Snopińscy i cały ten »genre« bardzoby przykro mi raził obok mojej narzeczonej, a tembardziej... żony. Składam więc u stóp pani najpoddanniejszą prośbę: aby na teraz i na przyszłość salony jej były zamknięte dla wszystkich egzemplarzy podobnego rodzaju.

Na twarz pani Karliczowej wystąpiły rumieńce; długo milczała, a w spuszczonej jej oczach migotało coś jakby wyraz upokorzenia; szybko jednak przywołała na usta uśmiech i, bawiąc się znowu koronkami, ozwała się zupełnie obojętnym głosem:

— Wprawdzie przywykłam bardzo do mej niezależności i nigdy nie spełniałam niczyjej woli, oprócz swojej; wszakże, ponieważ pana życzenie uważam za bardzo słuszne, gotowa jestem je spełnić.

— Pani jesteś nieograniczonej dobroci — wyrzekł pan Kalikst — ale dlatego, ażebyś nie posądziła, że z wiernością średniowiecznych rycerzy łączę pokusy do arbitralności nowożytnych despotów, czuję się w obowiązku wymotywować moje żądania.

Opierają się one na trzech powodach: naprzód zapełnianie salonów nieustannym tłumem rozmaitych ludzi musi na kobietę, tak zachwycającą, jak pani, ściągać mnóstwo obmów, a ja jestem zdania, że: »żona Cezara podejrzewaną być nie powinna«.

Powtóre: uważam, że rozbawianie w towarzystwie naszym ludzi, niższych od nas rodem i majątkiem, jest dla nich samych niezmiernie szkodliwe, bo wykształca ich na próżniaków, goniących za cudzym zbytkiem, i pieczeniarczy, trzymających się pańskich klamek. A nie chciałbym brać na moją duszę grzechu zaguby duszy niczyjej.

Nakoniec: przestawanie z podobnymi ludźmi do najwyższego stopnia razi poczucie estetyczne, bo nigdy nie są oni na swoim miejscu i najczęściej tylko śmiech obudzają.

Nie bierz pani jednak tego za pychę z mej strony; lubo wysoko cenię zaszczyty rodowe, jakie posiadam, strzegę się jednak tej matki grzechów śmiertelnych, jak ognia, dlatego głównie, że jest ona także matką wszystkich śmiertelnych głupstw; ale jestem przekonany, że ludzie niemający, a zasługujący na szacunek, nie napadają często progów naszych salonów, bo nie mają na to czasu; ci zaś, którzy to czynią bez innych powodów, jak chęci zabawy i popisania się stosunkiem z nami, nie sz-

cunku są warci, ale usunięcia od nich aksamitnego fotelu i srebrnego półmiska.

Oto więc są powody, dla których ośmieliłem się wynurzyć przed panią swoje życzenia; do nich przyłącza się jeszcze ten, że, jako zawołany gospodarz, trochę fabrykant i trochę literat, pragnąłbym prowadzić życie choć bynajmniej nie odłudne, ale spokojne, z czym i pani zgodzisz się zapewne.

Umilkł pan Kalikst i znowu, paląc cygaro, spokojnie zupełnie oczyma wodził machinalnie po tytułach leżących na stole dzienników.

Ale w twarzy pani Karliczowej zaszła wielka zmiana. Rozlała się po niej bardzo niezwykła jej powaga, połączona z pewnym rodzajem zadowolenia.

— Panie K., — rzekła po chwili milczącego przypatrywania się rozumnej i zupełnie zimnej na pozór twarzy gościa — postępujesz pan ze mną otwarcie i szlachetnie; rozumiem pana zupełnie, rozumiem nawet to, czegoś pan nie powiedział. Winnam odpłacić panu takim samym otwartym zeznaniem. Panie K., ja nie posiadam żadnego majątku.

Pan Kalikst nie zmienił postawy i, nie odrywając oczu od liter niemieckiego dziennika, odpowiedział obojętnie:

— Wiem o tym oddawna.

Pani Karliczowa żywo się poruszyła, większe jeszcze zadowolenie objawiło się na jej twarzy.

— Od roku — mówił dalej pan Kalikst — dowiedziałem się, że długi pani równoważą wartość jej majątku; było to dla mnie jedną przyczyną więcej do ponowienia przed panią mojej matrymonialnej propozycji, bynajmniej nie przez żadne sentymentalne współczucie, bo wiem dobrze, że zaradziłaś sobie pani i beze mnie, ale poprostu dlatego, że ofiarowanie pani mego majątku, wtedy, gdy go najbardziej potrzebujesz, sprawia mnie samemu wielką dozę zadowolenia.

Zresztą, w stosunku moim do pani, kwestya funduszowa była dla mnie zawsze zupełnie obojętną; naprzód, że sam mogę się liczyć do rzędu ludzi bardzo zamożnych, jeśli nie bogatych; powtóre, że jakkolwiek, po tylokrotnych odmowach pani, nie mówiłem jej nigdy, że się zabiję lub zostanę kamedulą, niemniej jednak uczucie moje dla niej jest zupełnie prawdziwe i bezinteresowne.

Mówiąc to, pan Kalikst dziwnie wyglądał, bo twarz jego i postawa cała były tak spokojne, nieledwie zimne, jakby, za-

miał o własnych uczuciach, mówił o jakiej kwestyi, bardzo zdala go obchodzącej.

Natomiast ogniste oczy pani Karliczowej zamglily się silnem wzruszeniem, rumieniec zwolna przebijał się z poza bladej, matowej jej cery. Powstała i wzruszonym głosem zaczęła mówić:

— Nawzajem nie sądź pan, aby dzisiejsze postanowienie moje za jedyną przyczynę miało utratę majątku. Gdyby nie ta katastrofa, nie zdecydowałabym się jeszcze zapewne do zrzeczenia się mej zależności i uczynienia zupełnego rozbratu z nawyknięciami całego życia, ale i dziś jeszcze, i w tem położeniu, w jakim jestem, miałam możność wyboru i wybrałam pana, możność spojrzenia w starających się o moją rękę, których jest kilku i spojrzenie moje zatrzymało się na panu. A to dlatego, że gdzieindziej widziałam chwilową tylko fantazyę lub interes, w panu jednym zobaczyłam prawdziwe i stałe uczucie, które ma prawo nazywać się miłością i jest zdolne miłość wywołać.

Gdzieindziej widziałam słabość, przyjemną wtedy, gdy przyczynia się do składania nam hołdów i palenia przed nami kadzideł, ale w panu ujrzałam siłę męską, na której kobieta, choćby taka jak ja, może oprzeć się i zaufać jej na całe życie...

Wybrałam pana dlatego, żeś mi nigdy nie pochlebiał, jak inni; że, oświadczając mi swe uczucia, nie układałeś wielkich frazesów; że, gdy ci odmawiała, nie groziłeś mi, że się zabijesz; że, słowem, byłeś niepodobny do innych, a ten brak podobieństwa wzbudził we mnie szacunek dla pana i sympatyę, o której mam prawo myśleć, że dłużej będzie trwała, niż inne; bo jakkolwiek kobieta słabą jest, a nawet grzeszną, to zawsze siła rozumu i szlachetności mężczyzny wyrzucić na nią musi wpływ atrakcyjny i przykuć ją do siebie.

Pani Karliczowa mówiła to z uniesieniem i zapalem, pan Kalikst powstał zwolna zupełnie spokojny.

— Coś pani powiedziała — rzekł — nie dziwi mię, bo spodziewałem się, że prędzej czy później usłyszę z ust jej te słowa. Stałość moja względem pani nie była wcale szaleństwem, ani marzycielstwem; dla jednego i drugiego jestem zbyt realistą i może za starym — miała ona zupełnie inne podstawy.

Gdy pania poznał, zajął się nią naprzód jak szczególną psychologiczną zagadką; wpatrzyłem się w panią i zdało mi się, że czytam jakąś dziwną książkę, której jedną kartę pisał

anioł, drugą szatan. Zaczytałem się w duszy pani i w twarzy pani i pokochałem.

Ale zarazem wzięło mię pragnienie, aby z prześlicznej księgi wydrzeć karty, pisane przez szatana, a anielskie tylko pozostawić pismo.

Ażeby tego dopełnić, potrzebowałem być mężem pani, być z panią ciągle i, wzamian kart wydartych, wkładać w księgę ducha pani inne, przeze mnie samego pisane. Tak stanie się, mogę nawet powiedzieć, że od dnia dzisiejszego tak stało się. Gdy zostanę mężem pani, nie będę leżał u jej stóp z kadzielnicą uwielbień w rękę, bo rola mężczyzny, leżącego u stóp choćby najpiękniejszej kobiety, wydawała mi się zawsze szczególniej zbliżoną do roli bonończyków i angielskich wyżełków; ale natomiast otoczę panią wszelkimi staraniami, na jakie zdobędą się: umysł mój, serce i majątek.

Wzamian ciągłych tłumów, złożonych z różnorodnych żywiołów, dam pani koło przyjaciół swoich, w którym ręczę, że nie będziesz się nudziła; zresztą, w domu moim jest piękny zbiór obrazów, znaczna biblioteka, fortepian Erarda, ogród z obszernym parkiem, a wkoło roją się wioski pełne ludu, huczą maszyny moich fabryk, zielenią się pola, urządzone we wzorowe płodozmiany, są wzgórza, gaje, strumienie po dolinach, słowiki latem, a zimą zaspy śniegowe, piętrzące się pod wzgórzami, i sosnowe bory, wysypane szronem o brylantowych polyskach...

Między tem wszystkiem rozpocznieś pani nowe życie; jestem dość zarozumiałym, aby sądzić, że obok mnie będzie jej dobrze, że wkrótce zostanie w pani to tylko, co natura stworzyła w niej pięknem i szlachetnem, a reszta, według słów poety, »utonie w zapomnienia fali«.

Wszystko to pan Kalikst mówił z zupełnym spokojem, bez najmniejszego uniesienia, niekiedy nawet z uśmiechem, a przy ostatnich wyrazach skłonił się lekko.

Pani Karliczowa stała przed nim zarumieniona, prześliczna wzruszeniem; po długich, czarnych jej rzęsach spływała łza.

Pan Kalikst patrzył na nią jeszcze kilka sekund, potem wziął jej rękę:

— Dotąd — rzekł — mówiłem z panią, jak etykietalny konkurent, układający się o warunki maryażu; teraz dopiero powiem ci jak kochanek, jak mąż twój przyszedł:

— Matyldo! kocham cię!

Przycisnął rękę jej do ust i w tej samej chwili zdawało się, że pękły niewidzialne okowy, skuwające jego ducha i nie pozwalające mu wydobyć się na zewnątrz: twarz jego zalała się wyrazem silnego wzruszenia, blade oczy pociemniały i strzeliły błyskawicą.

— Kalikście — rzekła pani Karliczowa zniżonym od wzruszenia głosem — tyle razy w życiu mojem bluźniłam słowu miłości, tyle razy wymawiałam je wtedy, gdy w sercu mem był zaledwie błędny ogień kaprysu lub uniesienia, że teraz, w tej chwili uroczystej, gdy życie moje przełamuje się na dwie połowy, nie użyję tego wyrazu. Powiem ci tylko, Kalikście, szanuję cię.

Milczeli oboje i patrzyli na siebie, ale po chwili na twarz pana Kaliksta wrócił wyraz zwykłej mu zimnej krwi, uściśnął końce palców narzeczonej, odstąpił od niej o parę kroków i zażył z ukłonem:

— Eh bien, madame! et quand la noche?

— Nie mam powodu zwlekać — odpowiedziała narzeczona.

— Ani ja także; więc za parę miesięcy...

— Dobrze.

Kamerdyner rozchylił portyere i, stanawszy w progu, zaprosił na herbatę.

Kiedy pani Karliczowa zasiadła przy herbatnym stole, pod światłem alabastrowej lampy, kompanionki długo przypatrywały się jej z niezmiernem zadziwieniem. Była bardzo zmieniona, po twarzy jej przechodziły dziwne blaski, oczy mgliły się rzewnym wyrazem, mówiła mało i stała się poważną i zamyśloną.

Pan Kalikst, przeciwnie, był zupełnie taki, jak wprzód, pił herbatę z wielką flegmą i obojętnym tonem prowadził rozmowę z dwiema pannami o teatrze i zabawach karnawałowych w jednym z wielkich miast krajowych, w którym był niedawno.

Czasem tylko, gdy nikt na niego nie patrzył, spoglądał na narzeczoną, a wtedy oczy jego ciemniały znowu i błyskały ogniami ducha, rozkuwanego na chwilę z oków woli.

Tego wieczoru pani Karliczowa, wszedłszy do swojej sypialni, nie ukłękła przed Madonną włoskiego pędzla i nie otworzyła książki do nabożeństwa, spiętej złocistą klamrą, ale upadła na kolana przed oknem, z poza którego widniał ciemny szafir

zimowego nieba, milionem gwiazd usiany, westchnęła z całej piersi i rzekła cicho:

— Boże! dziękuję ci!

W trzy dni potem cała okolica wiedziała o tem, że pan Kalikst K. raz jeszcze oświadczył się pani Karliczowej i że tym razem został przyjętym.

Jakiemi drogami to, co się stało w ciszy samotnego buduaru, doszło tak szybko do wiadomości całej parafii? któż odgadnie? któż przeniknąć zdoła tajemnice poczt i telegrafów parafialnych?

Są one tak szybkońskie, tak rozgałęzione, jak żadne w świecie; stacyami ich są ruchliwe wargi garderobianych, znaczące uśmiechy lokajów, chałaty żydowskie, bryczki jeżdżących tu i owdzie kumoszek, pewne siebie fizyonomie komisarzy i tajemnicze giesty rezydentów.

Ten systemat komunikacyjny pierwotny jest prosty, niemniej jednak wielce skomplikowany w swych szczegółach, a tak misterną siecią obejmujący parafię, że dosłuchuje się najcichszych rozmów, przenika niemal myśli ludzkie, umie odgadywać wnętrza domów ze sposobu, w jaki oświetlone są ich okna, a wnętrza serc z barwy ubrania i wyrazu oczu. Wchodzisz do czyjego mieszkania i spostrzegasz garderobianą, rozmawiającą z lokajem cicho i z palcem na ustach — stacya pocztowa.

Jedziesz drogą, widzisz stojącą wśród błota lub piasku bryczkę, a na niej kumoszkę w czarnej salopie, pochylającą rozpromienioną twarz ku Żydowi, który tylko co zlażł z woza i prawi jej o czemś zwolna — stacya pocztowa.

Siedzisz spokojnie u siebie i czytasz książkę, nagle otwierają się z traskiem drzwi twego pokoju i wpada jeszcze niepodstarzały jegomość, o tuszy, urosłej dzięki cudzym pieczęnom, a zapominając nawet o powitaniu, rzuca się na krzesło i woła:

— Dziwne rzeczy! dziwne rzeczy! — stacya pocztowa.

Ale oto znajdujesz się w towarzystwie kilku osób, rozmawiających o pogodzie, stanie dróg i t. d.; nagle spostrzegasz, że dwie panie w czepkach z wielkimi kokardami rzucają na siebie znaczące spojrzenia i podnoszą brwi, jakby powiedzieć chciały:

— Czy uważasz? — stacya telegraficzna.

Gdzieindziej znowu przejeżdżasz koło jakiego pięknego dworu i widzisz, że w bramie stoi Żyd, nieruchomy jak posąg, głodzi brodę i patrzy na okna domu wzrokiem, który mówi wyraźnie:

— Choć ja sobie Żyd, ale wiem wszystko! — stacya telegraficzna.

Innym jeszcze razem wchodzisz niespodzianie do saloniku jakiej młodej kobiety, wzrok twój pada na postać zgrabnej subretki, przycupniętej pod drzwiami buduaru lub sypialni, z okiem przyłożonem do dziurki od klucza — stacya telegraficzna.

Ale któż odgadnie, któż przeniknąć zdoła wszystkie tajemnice poczt i telegrafów parafialnych?

W Piasecznej dwór był liczny, mieszkający w nim kompanionki, garderobiane, lokaje, komisarz z żoną, pisarz prowentowy z matką; kompanionki zwierzały się subretkom, subretki lubiły gawędzić z lokajami, lokaje grywali w karty z panem komisarzem, pani komisarzowa uśmiechała się uprzejmie do pana pisarza prowentowego, pan X. pisarz, wszystko co tylko widział i słyszał, opowiadał matce, a matka pana pisarza była z domu panna Z., posiadała zatem liczną w parafii parantelę i połowę życia przepędziła na bryczce synowskiej, jeżdżąc po dzierzawcach i okolicznej szlachcie, a po drogach zatrzymując się przed każdym idącym lub jadącym i wołając uprzejmie:

— Niech będzie pochwalony... a co tam słychać?

W Piasecznej więc mieściły się stacye pocztowe i telegraficzne pierwszego rzędu i gdy, po dwudniowej bytności, pan Kalikst K. odjechał do siebie, wszystkie razem zatrafiły jednogłośnie na apel, a we wszystkich dworach i dworach całej parafii rozległ się wykrzyk:

— Pani Karliczowa zamaż idzie!

VIII.

Burza w mętnej wodzie.

Pewnego dnia Aleksander Snopiński jechał z wizytą w sąsiedztwo, swoją kawalerską najtyczanką i czterema końmi w lejce.

Najtyczanka była zawsze zgrabną i lekką, ale lakier spętał z niej nieco i pordzewiały brzozy; konie rosłe żyły, ale schudły i straciły fantazyę; karmazynowe i białe szale krakowskich cho-

mą zbrukały się, a na liberyjnym płaszczu furmana, obok srebrnego guzika z herbem, widniała dziura, zszywana grubemi nićmi. W całym ekwipażu, jak w schudłej a butnie podniesionej twarzy pana, znać było pretensjonalność i — ruinę.

Grobla była wązka i zepsuta topniejącym śniegiem, najtyczanka posuwała się z wolna, nagle stanęła całkiem, bo koniom zajechała drogę — stacya pocztowa, w postaci matki pana pisarza z Piasecznej. Z jednokonnego wózka rozległ się przed końmi głosik:

— Niech będzie pochwalony... a co tam słyhać?

Potem wózek skręcił się w stronę i, ciężko sunąc się po błocie, zatrzymał się tuż przy najtyczance.

— Niech będzie pochwalony — powtórzyła stacya pocztowa, zdejmując z twarzy kawał białego muślinu, służący za woalkę. — Moje uszanowanie panu Snopińskiemu! dawno nie miałam szczęścia widzieć pana dobrodzieja, a szkoda, że pan do nas nie przyjeżdżesz, u nas wielka nowina.

— Jakaż? — spytał obojętnie Aleksander.

— Nasza pani idzie zamaż!...

— Co? — zawołał Snopiński i blade jego policzki pokraśniały nagłym rumieńcem; ale zmiarkował się po chwili i rzekł z niedowierzającym uśmiechem: — To być nie może!...

Stacya zaśmiała się i jęła opowiadać szczegóły rozwożonej przez siebie depezy.

Aleksander słuchał, brwi jego ściągnęły się i zacisnęły usta; jak mógł najprędzej pożegnał gadatliwą kumoszkę, a gdy odjechał, zawołał na furmana:

— Do Piasecznej!

Spojrzał potem po swoim ubraniu i przekonał się, że było bardzo przyzwoite do zamierzonej wizyty; oddawna nawykł był na codzien nawet ubierać się wytwornie.

Jadąc, wołał często na furmana: — prędzej! — a do siebie powtarzał: — to być nie może! — Wkońcu, z pomiędzy grupy bezlistnych drzew, ukazał się piękny pałacyk.

Aleksander jednym skokiem przesadził balkon i wpadł do przedpokoju. Tam cicho było zupełnie; jeden tylko kamerdyner, siedząc przy kominku, czytał gazetę. Na widok wchodzącego powstał, uklonił się z grzecznością sług wielkich domów, ale nie pośpieszył zdjąć futra z przybyłego.

— Pani cierpiąca i nikogo nie przyjmuje — wyrzekł.

Aleksander ze zdziwieniem na niego spojrzał.

— Cóż znowu? — zawołał — powiedz pani, że to ja przyjechałem.

— Pani wyraźnie mi powiedziała, że nie przyjmuje nikogo — odpowiedział kamerdyner.

Aleksander pobladł i spuścił wzrok; stał tak przez chwilę, namysławiając się, wkońcu skinął głową lokajowi i wyszedł. W parę sekund najtyczanka wytoczyła się z bramy dziedzińca, a kamerdyner najspokojniej czytał znowu gazetę przy ogniu kominka.

W tydzień potem na drodze między Niemenką a Piaseczną znowu toczyła się najtyczanka Snopińskiego, ale tym razem twarz jadącego była silnie wzburzona, malował się na niej gniew, żal, upokorzenie. Przez upłynione kilka dni otrzymał on nie jedną już, ale mnóstwo komunikacyi pocztowych i telegraficznych, a wszystkie brzmiały jednogłośnie:

— Pani Karliczowa zamaż idzie!

Słowa te, wymawiane ustami kumoszek i rezydentów, brzmiały w jego uszach, jak zjadliwe syczenie żmii, kłuły mu piersi tysiącem drobniutkich kolców. I dziwna rzecz, wydało mu się, jakoby wówczas kochał panią Karliczową szalenie, namiętnie, jakoby, tracąc ją, tracił wszystko.

I wyszły mu z pamięci wszystkie inne a liczne kobiety, które w jej domu nawet zajmował się był, to tydzień, to dzień, to godzinę, a przed oczyma jego stała ona jedna, ona z ogniem w czarnych oczach, z uśmiechem na koralowych ustach, w błękitnym salonie, między sprzętami okrytymi aksamitem, oparta o marmurową konsolę, taka piękna, taka bogata!...

Gdy zostawał samotnym, wołał do siebie:

— Ależ ja ją kocham, kocham! i ona miałaby wyjść zamaż i wyjechać z tych stron! i miałbym nigdy już jej nie widzieć i nigdy nie być w tej cudownej Piasecznej, gdzie oddychałem takim powietrzem, jakiego nigdzie tu nie znajduję!

Uderzył się w czoło z rozpaczą i płakał.

Znowu jechał do Piasecznej i znowu biały gotycki pałacyk błyszczał przed jego oczyma, wśród rozłogu szarej równiny, pod szaremi obłokami, które wisały nisko nad ponsowym dachem wieżyczki. Gdy podjeżdżał, uderzyła go cisza panująca w tem tak ciągle gwarnem wprzód mieszkaniu. Z za jasnych gotyckich okien widać było ciężkie firanki, nieporuszane niczyją ręką; w jednym z nich stało, jakby zadumane, drzewo kamelii, pokryte białem kwieciami.

Aleksander wszedł do przedpokoju; u kominka, jak przed tygodniem, siedział kamerdyner i czytał gazetę. Zdawałoby się, że od onego czasu nie ruszył się z miejsca.

— Pani niema w domu — rzekł, z wolna powstając i kłaniając się ze zwykłą grzecznością.

— Dokąd wyjechała? — spytał Aleksander.

— Nie wiem — odparł sługa.

— Czy prędko wróci?

— Nie wiem.

Snopiński wybiegł z przedpokoju ze wzburzeniem na twarzy, rzucił się na najtyczankę i zawołał na furmana:

— Ruszaj!

Konie ruszyły z miejsca, Aleksander raz jeszcze podniósł oczy na okna pałacu i zbladł śmiertelnie. W jednym z okien, między białymi kwiatami kamelii, ujrzał piękny profil twarzy pani Karliczowej. A więc była w domu i nie chciała go widzieć, i pokazała się w oknie, aby wyraźnie dać mu to do zrozumienia. O wstydzie! o rozpacz!

Z bramy dziedzińca Piasecznej Aleksander wyjechał z twarzą pochyloną na dłonie, z palcami rozpacznie wpuszczonymi we włosy.

Ujechawszy z pół wiorsty, obejrzał się raz jeszcze: pałacyk widniał zdaleka biały, a piękny promień słońca, przeniknąwszy chmury, złotawo oświecał ponsowy dach wieżyczki i szczyty wyniosłych drzew rozległego ogrodu i parku. Piaseczna stała w tej chwili przed oczyma Aleksandra w postaci utraczonego raju...

Tego dnia, wróciwszy do domu, Snopiński zamknął się w swoim pokoju i słychać było, jak przez noc całą przechadzał się niespokojnym krokiem.

Nazajutrz usiadł do stołu z Wincunią; siedzieli oboje naprzeciw siebie bladzi i milczący, bardziej podobni do cieniów, niż do ludzi. Nie mówili do siebie, unikali się nawet wzrokiem, a jeśli wypadkiem oczy ich spotkały się z sobą, wnet odwracały się w inną stronę, i tkwił w nich dziwny wyraz. W oczach Wincuni była gorycz i boleść, w oczach Aleksandra tłumiony gniew, niesmak i rozdrażnienie.

Któżby wówczas, patrząc na nich, poznał w nich młodziuchną, rozkochaną parę, wiodącą rej na onej zabawie adamskiej?

Policzki Wincuni schudły, a z za wielkiej ich bladeści przebiły się plamy gorączkowego rumieńca; oczy jej zapadły,

często wpatrywały się uparcie w jeden punkt, jakby szukając wzrokiem czegoś, co zniknęło; kaszlała.

Z twarzy Aleksandra spelzła bez śladu młodzieńcza świeżość, która go tak powabnym czyniła, a zastąpiła ją smętna, ciemnawa cera, w której wprawne oko z łatwościąby wyczytało ślady niszczącego życia; oczy jego, tak ogniste dawniej, przygasyły i błakał się w nich cierpki wyraz ironii, moralnego znużenia.

Milcząc, wstali od stołu, podali sobie ręce, jakby ze zwyczajem, i dotknęli wzajemnie końców swoich palców, potem odwrócili się od siebie i każde z nich z wolna i w milczeniu udało się do swego pokoju.

Nad wieczorem Aleksander wyjechał z domu, całą noc przepędził w X... na sali i wrócił nad ranem, z wielkim trzaskiem drzwi otwierając, łajac z hałasem sługi, a w drodze do swej sypialni zataczając się i chwytając za sprzęty i ściany...

Na sali spotkał był dwóch czy trzech kolegów, przegrał do nich w karty ostatnie sto rubli, które wziął dniem przedtem za sprzedane zboże, i zafundował kilka butelek szampana... Pijąc, przysypiewał do towarzyszy:

— Na frasunek dobry trunek!

Minęło znowu parę tygodni. Pewnego ranka Aleksander wyszedł ze swego pokoju, bledszy jeszcze i chmurniejszy, niż zwykle, kazał zakładać konie i, siadając do najtyczanki, rzekł furmanowi:

— Do Piasecznej!

Raz jeszcze jechał do Piasecznej! W przeciągu upłynionych dwóch tygodni przekonał siebie, że jest ofiarą strasznej a zawiedzionej namiętności.

Drżał na myśl, że nigdy już nie ujrzy tych wielkich czarnych oczu pani Karliczowej, które mu, jak promieniste gwiazdy, przyświecały od lat kilku; że nigdy nie będzie wstępował na marmurowe schody jej balkonu, nigdy nie znajdzie się w salonych oświetlonych kryształowymi pajakami, napełnionych szelustem jedwabnych sukien i szmerem wpółcichych rozmów; nie będzie słuchał duetów i kwartetów z arii włoskich; nie poda ręki do stołu żadnej strojnej a wyniosłej hrabinie i t. d.

Będzie musiał odtąd ograniczać się na szlacheckich swych znajomościach, na mieszkaniach, zastawionych jesionowymi sprzętami, pamiętającymi króla Batorego, zapelnionych łysymi dzierzawcami i hreczkosiejami, prawiaczami o urodzajach i gospodarskich machinach, rumianemi szlachciankami w różowych

sukniach, które będą z nim zagajały rozmowę sentymentalnym frazesem:

— Budź pana... w kolorze różowym!

Zakrywał oczy przed tą straszną perspektywą, a furye złości porywały go na los za to, że nie uczynił go milionerem, hrabią lub księciem, ale, że przez ród i brak majątku zamknął go w sferze... w sferze, którą gardził, z której szydził w duchu, a na której miał poprzestać; bo jedyne drzwi, przez które dotąd wolno mu było wejść w świat zbytku i wytworności, zamykały się przed nim, bo jedyne okno, przez które patrzył na to, do czego rwały się beładne i rozmarzone władze jego ducha, zasunęło przed nim zasłonę, spuszczoną tą samą ręką, która ją przed nim otworzyła, otworzyła kiedyś, kiedyś w tych jasnych latach, w których pełną piersią połykał to wonne, upajające powietrze, jakie potem stało się potrzebą jego życia...

I znowu stawiała mu przed oczyma cudowna pięknością i bogactwem postać kobiety, w powłóczystej aksamitnej sukni, z koralami w kruczych włosach, uśmiechnięta do niego.

Tak, ona kiedyś uśmiechała się do niego... przypominał sobie ów wieczór, w którym o zmroku klęknął przed nią, złożoną na sofie buduaru... i przypominał sobie to mnóstwo złotych chwilek, które, jak roje ogników nocnych, krążyły nad ich zbliżonemi ku sobie głowami... znikaly i zapalały się znowu.

Przypominał sobie, jak, w pewnych epokach znajomości jego z piękną kobietą, pełne zazdrości spojrzenia mężczyzn spadały na jego twarz; podniósł się wtedy w oczach kobiet, idących za panią Piasecznej, jak za swą gwiazdą przewodnią... jak niedawno jeszcze wyniosła i prześliczna hrabianka prosiła go po francusku, aby obok niej usiadł przy stole; jak grał w »komersa«, siedząc pomiędzy hrabią z jednej strony, a młodą jakąś milionerką z drugiej...

Przypominał sobie to wszystko, porwał się z miejsca i pojechał znowu do Piasecznej.

Tym razem, wjeżdżając na dziedziniec pani Karliczowej, ujrzał pod stajnią obłożony snadź podróżą piękny kocyk, od którego służba odprowadzała cztery rosłe piękne konie.

— Są goście! — pomyślał — nie będzie mogła przecie powiedzieć, że nie jest w domu lub nie przyjmuje nikogo... a gdybym tylko ją zobaczył... gdybym mógł z nią pomówić...

Wszedł do pokoju i zobaczył kamerdynera, rozmawiają-

cego pod kominkiem z obcym jakimś lokajem, ubranym w ciemną i surową liberyę.

Ujrzawszy wchodzącego, kamerdyner zwrócił się z niezmiennym swym ukłonem i wyrzekł:

— Pani nie przyjmuje.

— Jakto! — zawołał Snopiński — przecie ma gości, widziałem czyjś powóz pod stajnią!

— To narzeczony pani, pan Kalikst N., przyjechał przed godziną — bardzo spokojnie odpowiedział kamerdyner i miał już odwrócić się do kominka, przy którym ogrzewał ręce, gdy nad samą jego głową zatętnił silnie pociągnięty z głębi mieszkania dzwonek.

— Pani mię wzywa — rzekł sługa i dodał: — Chciej pan zatrzymać się przez chwilę.

Snopińskiemu w oczach ćmiło się i w uszach szumiało; stał oparty ręką o żelazną krawędź kominka. Po chwili kamerdyner szeroko drzwi od jadalnej sali otworzył i, uchylając się z progu, wyrzekł z ukłonem:

— Pani prosi.

Snopiński wszedł w głąb mieszkania. Tu więcej jeszcze, niż na zewnątrz pałacu, uderzyła go cisza, panująca w całym domu.

Tam, gdzie dawniej brzmiała ciągła muzyka fortepianu, rozlegały się wesole rozmowy i śmiechy, gdzie sprzęty zdawały się razem z ludźmi żyć i ruszać, zmieniając wciąż miejsce i ustawiając się w ten elegancki nieład, jaki panuje w licznie uczęszczanych salonach, teraz panowało milczenie, przerywane tylko metalicznym tętnem wielkiego zegara.

Kryształowe ozdoby pajaków zwieszały się nieruchomo, odzwierciedlając w sobie błękitne i purpurowe barwy mebli, które wszystkie stały w porządku, objęte, zda się, tą samą ciszą, która cały pałac zaległa. Ani z przedpokoju, ani z dalszych mieszkań licznej wprzód służby, najmniejszy gwar nie dolatywał.

Snopiński przeszedł salę jadalną i dwa inne salony i zatrzymał się w niewielkim saloniku, dotykającym do buduaru pani Karliczowej. Drzwi od buduaru tego przysłonięte były całkiem szafirową portyerą, także firanki i obicia na meblach napełniały cały pokój bladawą barwą, pięknie harmonizującą z żywymi kolorami kobierca, zaścielającego posadzkę.

Aleksander stanął przy jednej ze zdobionych pokój konsoli i czekał.

Po chwili dał się słyszeć w buduarze szelest jedwabnej sukni, rozchyliła się szafirowa zasłona drzwi, i przed Aleksandrem, powłóczyście, jak zwykle, ubrana, stanęła pani Karliczowa.

Zebrał cały zapas śmiałości swej i przytomności umysłu, przywołał na usta uśmiech i chciał wstać. Ale zaledwie wzrok jego upadł na twarz pani domu, uśmiech zamarł mu na ustach i zatrzymał się o parę od niej kroków.

Twarz pani Karliczowej nosiła taki wyraz, jakiego dotąd u niej nie widział: był on dziwnie poważny a zarazem łagodny, tkwiła w nim дума, połączona z pewnym rodzajem smutku.

— Panie Snopiński — ozwała się piękna wdowa, stając na przeciw młodego człowieka i śliczną swą rękę opierając na stole — dwa razy nie przyjąłem pana, bo nie chciałem go widywać więcej; ale ponieważ pan trwasz w chęci odwiedzania mnie, uznałem za lepsze rozmówić się z panem.

W głosie jej nie było najmniejszej szorstkości ni ironii, był on bardzo poważny, ale zarazem łagodny i nieledwie uprzejmy.

— Pani... — zaczął Aleksander.

— Uznałem za słuszne rozmówić się z panem — przerwała pani Karliczowa — bo czuję się względem pana winną i pragnę, o ile zdołam, winę moją naprawić. Stosunek, jaki zachodził między nami, był sztuczny i niewłaściwy; jam go to zawiązała, jam pociągnęła pana do domu mego i do siebie, dlatego tylko, że mię to bawiło i rozrywało wtedy, gdy się nudziła.

Snopiński poruszył się żywo.

— Nie przerywaj mi pan — mówiła dalej pani Karliczowa — jakkolwiek ostrą będzie prawda, którą mam powiedzieć panu, niemniej jednak powiedzieć ją nakazuje mi sumienie, tembardziej, że w całej sprawie więcej jest winy mojej, niż pana, a więc przykrość, jaką panu sprawię, okupiona zostanie własnem mojem upokorzeniem.

Tak, panie Snopiński, bawiłam się panem, jakby czemś, co mi się podobało z powierzchowności, co dogadzało moim zachciankom. Bawienie się to wywierało bardzo szkodliwy wpływ na pański charakter, na pańskie życie; alem ja o tem nie myślała.

Teraz, gdy się zastanowiłam nad tem, postanowiłam przerwać tę zabawę, grzeszną z mej strony, lekkomyślną z pańskiej, i dlatego widywać się z sobą więcej nie możemy.

Aleksander podniósł twarz bladą i zmienioną i stłumionym głosem zawołał:

— Matyldo! przypomnij sobie...

Nie dokończył, pani Karliczowa wyprostowała się dumnie i cofnęła o parę kroków.

— Panie! — wyrzekła z wolna — minęła bezpowrotnie pora, w której miałeś prawo tak się do mnie odzywać. Posłuchaj pan: widzisz w tej chwili przed sobą, nie dawną znajomą swoją, ale całkiem inną kobietę. Życie moje przecięło się na dwie połowy. Byłam złą i lekkomyślną, odtąd mam być czystą i poważną.

Odmianę tę we mnie, cudu tego dokazała sama miłość szlachetnego człowieka, którą teraz dopiero oceniłam i przyjąłem. Niedawno zajaśniało mi w oczy widmo nędzy, tak straszne dla kobiety mego stanu i moich przyzwyczajęń; wobec niego spojrzałam w przyszłość mą i na siebie, osądziłam się według mojej wartości i wyszlachetniałam.

Oprócz tego jeszcze, pokochałam prawdziwie po raz drugi dopiero w mem życiu i po raz ostatni. Inne uczucia moje nie były godne tej nazwy, były to tylko kaprysy, fantazyje wyobraźni, chwyty dła zabawy, rozrywka, nie więcej.

Zmieniłam się tedy zupełnie, a opowiadam to panu dlatego, aby mieć prawo podać panu rękę, abyś się także odmienił. Wierz pan memu doświadczeniu, że życie lekkomyślne i grzeszne strasznymi skutkami musi koniecznie odbić się w przyszłości.

Jam uniknęła skutków tych, dzięki zacnemu człowiekowi, który mi podał dłoń wytrwałości, gdy powstać pragnęłam; pan nie unikniesz ich, skoro sam im nie zapobiegiesz. Podaję panu tę radę, pragnąc choć w części naprawić zło, jakie wyrządziłam; bo czuję, wiem, że atmosfera, którą pan znajdowałeś w moim domu, była dlań bardzo niezdrową.

Życzliwą pozostanę panu na zawsze, ale ponieważ postanowiłam otaczać się tylko takimi ludźmi, którychbym prawdziwie szanować mogła, widywać się będziemy wtedy chyba, gdy pan pracowitem i uczciwem życiem zasłużysz na szacunek i mój, i tego, który wkrótce zostanie moim mężem.

A teraz żegnam pana i życzę mu najszcześniejszej przyszłości.

To rzekłszy, życzliwie skinęła głową i odeszła.

Gdy rozchyliła portyerę buduaru, przed oczyma Aleksandra mignął w głębi pokoju profil pięknej męskiej twarzy, pochylonej

nad trzymaną w ręku książką. Poznał pana Kaliksta N., którego wprzód widział już parę razy.

W oczach Aleksandra pociemniało, nogi drżały pod nim; szelest jedwabnej sukni odchodzącej kobiety szumiał mu w uszach rażącym świstem, ciche tętna zegaru uderzały mu w mózgu, niby stukiem tysiąca młotów. Wszystkie demony gniewu, obrazy, żalu i upokorzenia zerwały się w jego piersi i poczęły nią targać. Sam nie wiedział, jak przebiegł salon, rzucił się na swą najtyczankę i wyjechał z Piasecznej.

Koła bryczki turkotały po ubitej drodze, drzewa przydrożne szumiały łagodnie, ale on w turkocie i szelestach słyszał nieustannie słowa, wymówione przez panią Karliczową:

— Bawiłam się panem!

Przed oczyma jego przemknęły dwa kudłate małe bonończyki, bawiące się zwykle u stóp pięknej pani. Zdało mu się, że z nimi razem widział trzeciego, który skakał i kulki po kołniercu przewracał — a tym trzecim pokojowym pieskiem był — on.

Stały mu jeszcze przed oczyma cztery figurki chińskie, zdobione kominek pani Karliczowej, dziwacznie pomalowane, z wykrzywionemi komicznie twarzami, a które piękna pani zdejmowała niekiedy z kominka, pociskała sprężynę i gdy manekiny wystawiały języki, rozszerzały usta i machały rękoma, śmiała się. Zdało mu się, że między owemi czterema chińskimi figurkami widział jeszcze piątą — a tym piątym manekinem był — on.

Drżał cały z upokorzenia i wstydu, a w myśli jego wioły nieustannie słowa pani Karliczowej:

— Kiedy byłam grzeszną i lekkomyślną, zawiązałam z panem stosunek — mówiła piękna kobieta — dziś stałam się poważną i szlachetną, a więc zrywam go.

— O rozpacz! — myślał — czemu więc jestem i za co mnie mają? Mogę stanąć przy grzesznych i lekkomyślnych, ale przy poważnych i szlachetnych dla mnie miejsca niema! Ta kobieta, póki miała ochotę bawić się, trzymała mnie w salonach swych jak bonończyka i chińską figurkę; gdy spoważniała, bonończyki, manekiny i ja staliśmy się jej zarówno niepożądanymi.

Więc bezpowrotnie już zostałem wyrzucony z tego pałacu, który był moim rajem!

Nagle, jak błyskawica, mózg mu przeszły myśl, że cała

okolica dowie się wkrótce o tem wyrzuceniu jego z miejsca, którem dotychczas tak się chlubił.

— Śmiać się ze mnie będą! — krzyknęło mu przeraźliwie w mózgu i piersi — zazdroszczono mi, a teraz śmiać się będą ze mnie!

W tej chwili furman jego odwrócił się twarzą do niego i poprawił coś około bryczki.

— Czego śmiesz się, głupcze? — krzyknął nań Aleksander.

Furman spojrzał nań wielkimi oczyma.

— Ja się wcale nie śmiałem, panie — odparł ze zdziwieniem.

W istocie nie śmiał się on, ale Aleksandrowi wydało się, że widzi na ustach jego ironiczny uśmiech.

Jednokonnny wózek rozminął się z najtyczanką; Snopiński pewnie był, że siedzący na nim, skulony wśród słomy Żyd, ironicznie patrząc nań, uśmiechał się, i nienawistny wzrok cisnął na niewinnego Żyda.

Dwie szlachcianki jakieś minęły go parokonną bryczką; obejrzały się za najtyczanką; Aleksander w oczach ich najwyraźniej zobaczył szyderstwo i gwałtownie odwrócił się od szlachcianek.

Przycisnął rękoma uszy, bo przydrożne drzewa chichotały mu nad głową, i wróble, kręcące się po drodze, parskały śmiechem, i wrony, zwieszając się na gałęziach wierzb, zagładały mu w oczy i szydersko krakały wyraźnie:

— Wypędzony, jak bonończyk! wyrzucony za okno, jak chińska figurka!

A gdy pod gajem ukazał się szary i niski dworek Niemienki, niby czarnoksiężską siłą wywołany, stanął też obok niego obszerny, bogaty, wyniosły dwór Piasecznej, i oba mieszkania migotały w jego oczach rażącą sprzecznością. Zdawały się klócić i porywać ku sobie, a mózg wierciła mu nieustannie myśl:

— Nędzna chałupa twoja, pałac nie dla ciebie!... W nędznej chałupie życie ci przejdzie, w pałacu noga twoja nie postanie już nigdy.

Wjechał w bramę swego dziedzińca; widmo bogatej Piasecznej zniknęło, ale natomiast zobaczył w oknie bladą i zamyśloną twarz Wincuni. Tuż przy niej zawisała postać wyniosłej hrabianki z klasycznym profilem i kamelią w ręku — hrabianki, obok której niedawno jeszcze siedział w Piasecznej u stołu.

Wzdrygnął się i z nienawiścią niemal odwrócił wzrok od bielejącej za szybą twarzy żony. W mózgu zaszumiło mu:

— Ta prosta, wybladła szlachcianka, to twoja żona, hrabianka nie dla ciebie! Z prostą szlachcianką skutu jesteś na zawsze, hrabianki żadnej nigdy już nie ujrzysz! Albo jeżeli i ujrysz — dodał głos jakiś syczący — zrobi ona z ciebie dla rozrywki swojej bonończyka lub chińską figurkę!

Wyskoczył z bryczki i, nie widząc się z żoną, wpadł do swego pokoju, zamknął się i, rzuciwszy się na łóżko, płakał jak dziecko.

Co działo się z Aleksandrem przez wieczór i noc całą, nikt widzieć nie mógł, bo nie otworzył oni ni razu drzwi swego pokoju, ale widziano, że do samego ranka światło nie gasło w jego oknie.

Nazajutrz o dość wczesnej porze zapukano do drzwi zamkniętych; Snopiński otworzył je i zobaczył na progu rudego Żyda, który z ulubieńcem jego, Pawłem, był w ścisłej przyjaźni.

— Czego chcesz, Lejbo! obudziłeś mnie!... — ofuknął go szorstko.

— Przepraszam pana — rzekł, wsuwając się do pokoju, Żyd — ale ja za interesem.

— Za jakim?

W odpowiedzi Żyd sięgnął za chałat, wydobyl z kieszeni brudny pugilares, a z niego kilka brudniejszych jeszcze a zapisanych kartek i rzekł:

— Przyszedłem przypomnieć panu o tem, co tu stoi.

I zabłoconym palcem pokazał kartki.

— Do dyabła, mój Lejbo! sam pamiętam o tem — zawołał, odwracając się, Aleksander.

— Nu, ja tego nie widzę, żebyś pan o tem pamiętał, bo tu stoi, że rok temu pan miałeś mi wypłacić tysiąc rubli, które panu pożyczyłem, a do tego czasu jeszcze ten geszeft nie skończony między nami.

Aleksander szerokimi krokami przeszedł się parę razy po pokoju.

— Nie mam teraz pieniędzy — rzekł, stając przed Żydem.

— Nu, a co mnie do tego? mnie pieniądze potrzebne, ja kupuję żyto u pani hrabiny i muszę zapłacić.

— Poczekaj jeszcze parę tygodni.

— A skąd pan za parę tygodni weźmiesz pieniędzy, kiedy

już wszystkie zboże u pana sprzedane? Pan tak prędko tych pieniędzy mieć nie możesz, a ja nie mogę czekać i pójdę z prośbą do sądu...

— To idź do stu dyabłów, a mnie daj pokój! — krzyknął Aleksander, pochwycił Żyda za kołnierz, wyrzucił go za próg i drzwi na klucz zatrzaskał.

Potem zaczął biegać po pokoju.

— To istne piekło! — mówił do siebie. — Wszystko mię prześladowuje! wszystko spiknęło się na mnie! Wczoraj zostałem jak pies wyrzucony za drzwi, dziś wierzyiele zaczynają się złościć... a będzie ich więcej wkrótce. Długów mam tyle, co włosów na głowie...

— O ja nieszczęśliwy!

Pochwycił się za głowę i biegał po pokoju.

— Uciekać! uciekać od pośmiewiska ludzkiego i od długów... Uciekać? ale gdzie? Do rodziców! tak, do rodziców! wezmę od ojca pieniędzy i wrócę, aby pospłacać długi! Wrócę? i pocóż mam wracać? Odkąd nie mogę bywać w Piasecznej, niema tu dla mnie żadnej przyjemności życia.

Zatrzymał się i rzekł po chwili:

— A żona?

Brwi mu się zsunęły, niesmak na twarz wystąpił.

— Żona? — powtórzył — a któż jej winien? poco wychodziła za mnie? poco mi świat zawiązała? dlaczego nie szła lepiej za swego Topolskiego, a przywiązała się do mnie, jak kula u nogi? Niech teraz sama sobie daje rady, jak może. Zresztą, zobaczę, jeśli ojciec da pieniądze, to może powrócę...

Rzucił się na kanapę i jął rozmyślać, a po chwili rzekł znów do siebie:

— Jednakże... porzucić ją... w takich interesach majątkowych — hm! co o tem ludzie powiedzą? Może lepiej do ojca napisać o pieniądze...

Wtem znowu zapukano do drzwi.

Aleksander wstał z niechęcią i otworzył, ale nikt nie wszedł, tylko przez rozchylone nieco drzwi wsunęła się usmolona ręka z listem i kobiecy głos wymówił za drzwiami:

— Niech pan weźmie ten list, bo ja muszę prędzej wracać do kuchni, to z Topolina...

Aleksander list pochwycił, ręka zniknęła.

— Czegoż ten człowiek chce ode mnie? — mówił do siebie Snopiński — czy nie kazanie moralne mi przesyła? Ha! ha! ha! w samą porę!

Wpół szydersko, pół gniewnie rozwinał list i przeczytał następne wyrazy, ręką Bolesława nakreślone:

»Przed niespełna dwoma miesiącami miałem przyjemność mówić panu, że wypłaciłem za niego w urzędzie X. sumę rubli x i poręczyłem Szłomie wypłatę za pana sumy x w kilkotygodniowym terminie. Ponieważ termin ten skończył się wczoraj, suma należna od pana została Szłomie zwrócona przeze mnie, a dokument pański jest w moich rękach. Dług więc pana względem mnie wynosi sumę x. Nie nalegam bynajmniej na pana, abyś mi ją rychło oddał, bo wiem, że tego uczynić nie możesz; ale zwracam pańską uwagę na dług ten dlatego, abyś go zapisał w bilansie swym majątkowym, a przez to bilans ten chciał wziąć pod rozwagę.

»Raz jeszcze przesyłam panu z serca idącą radę, abyś ratował z toni upadający majątek, coby mogło jeszcze stać się przy usilnem gospodarstwie i oszczędności. Jeżeli zaś pan tego uczynić nie zechcesz, ja, na mocy długu należnego mi od pana, postaram się o położenie urzędowego sekwestru na połowę Niemenki, abyś pan nie miał prawa nowych długów na nią zaciągać. Dlaczego zaś strzedz będę połowy, a nie całości majątku, zostawiam to pańskiej domyślności, a jeżeli pan będziesz tego żądał, ustnie mu to wytłómaczę«.

Aleksander gwałtownie zgniótł list w dłoni.

— Ha! — krzyknął, zrywając się — więc ten szaraczkowy szlachcic staje względem mnie w postaci dobroczyńcy i w postaci obrońcy mojej żony! Tak, bo rozumiem dobrze, dlaczego pisze o zaskwestrowaniu połowy, a nie całości majątku. Połowa należy do mnie, a połowa do niej! Więc między wierszami tego listu wyraźnie napisano: »ty ze swoim majątkiem jedź choć do stu tysięcy dyabłów, ale od dobra tej, która była moją narzeczoną — wara! Ha, ha, nie wie, że już i jej połowa porządnie zaszargana, toż podpisała ona nie jeden dokument!...

Rzucił się na krzesło i zarumieniony, wzburzony, pocierał ręką czoło.

— Cóż to? — zawołał znowu — mają mię, jak waryata lub małoletniego, sekwestrować i usunąć od dowolnego rozporządzenia funduszem swoim lub żony! Ha, co za wstyd! A jednak coż zrobić? oddać jemu tych pieniędzy nie mogę.

Trzeba jechać do ojca koniecznie, trzeba jechać. Musi mi dać czem opłacić przynajmniej część długów, a jeśli nie da, to i nie wróć tutaj. Niech sobie Niemenkę sekwestrują, licytują, sprzedają, i co chcą, robią. Ja będę u rodziców siedział, ojciec musi mieć sporo pieniędzy... a z żoną — z żoną rozstanę się... zdaje się, że i jej lepiej z tem będzie, bo ja dla niej wcale nie stworzony jestem na męża; niech znowu weźmie do siebie swoją ciotkę i siedzi z nią w Niemence, jak siedziała wprzód, póki mnie nie złapała... a z długów niech ją sobie Topolski ratuje... Tak, wyjadę i koniec...

Po ułożeniu stanowczego planu wyjazdu Aleksander rozjaśnił twarz. Zdawało się, że kamień jakiś spadł mu z serca. Zagwizdał nawet jakąś arytkę. Spojrzał przez okno: pierwsze tchnienie wiosenne łagodnymi blaskami zalewało widnokrąg; niebo było błękitne, po niem włożyły się białe obłoczki; na dachu wróble świegotały na wyścigi, a w dali pola zaczynały zielenić się i nad nimi ciągnęło stado wracających bocianów i żorawi. Aleksander długo patrzył na wesoły ten obraz, a twarz jego rozgadała się coraz bardziej.

— Ha! — rzekł — świat szeroki i piękny, znajdę ja sobie na nim miejsce, gdzie mi będzie lepiej, niż tutaj... młody jestem, wszystko jeszcze przede mną... żeby nie to ożenienie, żeby nie ta kula u nogi, dalekobym jeszcze zaszedł... ale w odległych stronach nikt wiedzieć nie będzie o tem, że jestem żonaty... jakie szczęście, że rodzice moi o kilkadziesiąt stąd mil mieszkają! Tak, wyjechać, wyjechać daleko, jak najdalej...

Podniósł głowę, wstrząsnął włosami i wyglądał jak motyl, zrywający się do lotu.

— Jutro, dziś, natychmiast wyjeżdżam — rzekł — ale po chwili zamyślił się i dodał: — Nie mam tylko pieniędzy na wyjazd!

Poskoczył i przez drzwi zawołał donośnie w głąb mieszkania:

— Zawołać do mnie Pawełka!

W pięć minut potem wszedł Pawełek.

Nie był to już ów wiejski prawie parobczak adampolski, który ongi posyłany przez Aleksandra cwałował do X., oklep na srokatym koniu, po kwiaty dla Wincuni. Był to teraz »pan ekonom«, a w sąsiedztwie każący nawet tytułować siebie »panem komisarzem«, w czarnym surducie, z rękoma w kieszeniach, miną bardzo pewną siebie, w której było trochę zuchwałości, trochę ironii a bardzo wiele sprytu i przebiegłości.

Gdy stanął u drzwi, Aleksander skinął mu głową, przeszedł się w milczeniu parę razy po pokoju, a potem, zatrzymując się przed nim, rzucił mu przetłómaczone na rodowity język pytanie króla Sasa:

— Brühl, hab ich Geld?

Pawełek przestąpił z nogi na nogę, uśmiechnął się z ukrytą ironią i odpowiedział tak, jak minister Brühl nigdy nie odpowiadał swemu królowi:

— Nein, Majestät.

To »nein«, przetłómaczone przez Pawełka na rodowity język, musiało przykro obić się o uszy Aleksandra, bo skrzywił się i odwrócił twarz od swego ministra:

— To postaraj się dostać — rzekł po chwili.

— Nie mogę, panie — rzekł Pawełek — już ja sam od dawna chciałem prosić pana o zwrot należnych mi pieniędzy... pan sam wiesz, że to ciężko zapracowany mój grosz!... zresztą nie wszystko, co panu dawałem, było moje... chcąc panu oddać przysługę, pożyczałem sam od innych i do tego czasu płacę procent, dalibóg płacę...

To mówiąc, ze złośliwą dobroduszością, wyjął z kieszeni zwój karteczek i, przystępując do stołu, rzekł z niskim ukłonem, z wielką pokorą:

— Może pan będzie łaskaw obliczyć moją należność...

— Ruszaj do dyabła ze swoją należnością! — krzyknął zniecierpliwiony Aleksander — albo to ja nie wiem, że tobie naprawdę nic się nie należy... że więcej nakradłeś u mnie, niż sam jesteś wart...

Pawełek wyprostował się, schował kartki napowrót do kieszeni i odpowiedział z wolna:

— Kiedy ja kradłem, to trzeba było mnie pilnować, abym nie kradł, a ponieważ nikt mię nie złapał za rękę przy kradzieży, nikt mi też jej nie dowiedzie. A ja mogę dowieść, że mi się od pana grube pieniądze należą, i jeżeli pan nie oddasz mi ich za dwa tygodnie, pójde na skargę do sądu, a jak się zawezmę, to kto wie, może i Niemenkę za mój dług kupię...

— Co? jak ty śmiesz... — zawołał Aleksander, ale z wielkiego wzburzenia głos mu zamarł w gardle.

Faworyt włożył ręce w kieszenie i podniósł głowę z zachwytym a szyderskim uśmiechem.

— Nie krzycz pan — rzekł — nie jestem wcale sługą pańskim, bo od dziś dziękuję panu za służbę, a od jutra skupuję

długi, które pan masz po Żydach, i staram się o wystawienie Niemenki na licytację, a potem o jej nabycie...

To mówiąc, uklonił się z ironią i wyszedł, zostawiając Aleksandra skamieniałego ze złości, oburzenia i zdziwienia; pochwycił się po chwili za głowę i krzyknął:

— Uciekać, gwałtu, uciekać!

Wzrok jego upadł na złoty zegarek kieszonkowy, leżący na stole, i błysnął radością. Pochwycił zegarek.

— Sprzedam to w X. i wyjadę — rzekł do siebie — pieniądze, jakie za to wezmę, wystarczą mi na drogę!...

IX.

Opuszczona.

Poruszyły się żwawo stacye pocztowe okolicy X., zabrzęczały wszystkie telegrafy parafialne i po dworach i dworach, ani jednego z nich nie wyłączając, rozeszła się jednakowo brzmiąca depesza:

— Snopiński opuścił okolicę, uciekł od ścigających go wierzycieli i zostawił żonę w okropnym położeniu.

Obok tej głównej treści depeszy, rozesłanej wkoło parafialnymi telegrafami, stało jeszcze mnóstwo komentarzy i amplifikacyi ogłaszanego faktu.

Łączyły się doń wiadomości, że młoda pani Snopińska od śmierci dziecka wciąż podupada na zdrowiu; że w domu u niej niedostatek, graniczący z nędzą; że po odjeździe Snopińskiego wierzyciele trzymają ją w zupełnem obłączeniu; że cała służba niemenkowska odprawiła się, nie mając nadziei otrzymania umówionej płacy, a w całym domu pozostała jedna tylko służąca; że ex-ekonom Snopińskiego, Pawełek, sprezentował przed urzędem dowody na znaczną swą należność i prowadzi Niemenkę pod sekwestr, a tymczasem nagłada majątku, niby swego już dobra, i mnóstwo przykrości wyrządza pani Snopińskiej.

Wieści te, rozchodząc się po okolicy, wzbudzały ogólną litość i współczucie dla opuszczonej kobiety, ale zarazem rozciekawiały powszechnie, tembardziej, że pani Snopińska od dawna wiodła życie bardzo ustronne, a od śmierci dziecka nikt

prawie nigdzie jej nie widywał. To też przez parę tygodni Wincunia była wyłącznym przedmiotem wszystkich rozmów w sąsiedztwach, już nawet parę stacyi pocztowych, w postaci sąsiadek, i kilka serc szlachetnych ze współczujących istotnie wybierało się do Niemenki z objawami sympatii, gdy pewnej niedzieli przed nabożeństwem zgromadzona w X., na cmentarzu kościelnym publiczność ujrzała zmierzającą ku kościołowi parokonną bryczkę niemenkowską.

W całym zebraniu zadrgały telefoniczne nici spojrzeń, giestów, westchnień, szeptano, oglądano się, kiwano głowami litościwie.

Tymczasem Wincunia, wysiadłszy z bryczki powoli, zbliżała się do bramy cmentarnej.

Byłażby to ta sama kobieta, która przed pięciu laty przyjeżdżała w to miejsce dziewczką hożą i świeżą, jak tylko co rozkwitły kwiatek, w różowej sukience, z czystymi naiwnymi oczyma, w których na tle szaflrowem migotały złote iskry młodości, nadziei, wiary w przyszłość i ludzi? Teraz w ciemnej wełnianej sukni, w kapeluszu obrzuconym czarną woalką, szła ona powoli z tą chwiejnością kroku i wątkością postaci, która oznajmia wielkie fizyczne i moralne zmęczenie.

Zdawało się, że oczy jej powiększyły się i rozszerzyły, a szklili się w nich suchy blask, wzmożony ciemną bladocią zapadłych a przejrzystych policzków; usta jej układały się w wyraz, jaki cechuje zwykle osoby cierpiące długo a tajemnie, i tylko jasne warkocze, wysuwające się z pod kapelusza i w bogatych splotach opływające szyję, przypominały dawną srebrnówłosą Wincunię.

Zbliżyła się do furtki cmentarza i podniosła spojrzenie, podniosła je na to miejsce, na którym niegdyś zwykł był stawać Aleksander, na którym niegdyś podniósł on dla niej ową upadłą z jej rąk książkę...

Ale teraz, zamiast wzroku tych błękitnych oczu młodzińca, które tak czarowały ją wówczas, spotkała się ona ze wzrokiem, wymierzonym do niej, kilkunastu osób, grupami stojących na cmentarzu. Szybko zarzuciła na twarz woalkę, silny rumieniec zaognił jej policzki. Znajomi ukłonili się jej wszyscy, ona oddała ukłon i, przyspieszwszy kroku, zniknęła w głębi kościoła.

Stojący na cmentarzu ludzie milczeli długo, zdjęci poszanowaniem na widok tej złamanej i zwiędłej wczesniej młodości. W oczach kilku kobiet błysnęły łzy, na twarzach mężczyzn

ukazał się wyraz żalu; jakiś podstarzały dzierżawca z łoskotem nos sobie utarł, aby czerwoną chustką zakryć silne wzruszenie, od którego zwilgotniały siwe jego rzęsy; nawet stacye telegraficzne umilkły i zamyśłone patrzyły tylko w siebie, bo widok cudzej niedoli przypominał im może niejedno własne przebyte cierpienie...

— Ot, mospanie! — ozwał się pierwszy stary oryginał, pan Tomasz — co to życie z ludźmi wyrabia!

— Powiedz pan raczej, co to niegodziwość ludzka wyrabia! — zawołał z oburzeniem podżyły jakiś jegomość.

— Oj, jabył tego młokosa Snopińskiego — mówił inny — po staroświecku, jako szlachcica, na kobiercu położył i...

Tu uczynił giest wyrazisty.

Pod kilku na uboczu rosnącymi drzewami stał Topolski obok doktora z X. Po przejściu przez cmentarz Wincuni obaj długo milczeli.

— Jak ona okropnie wygląda! — rzekł wkońcu Bolesław zcichła i jakby do siebie.

— Suchoty! — z wolna odpowiedział doktor.

— Co? — zawołał Topolski, nagle zwracając się do lekarza.

— Mówię, że pani Snopińska jest w suchotach. Teraz są to tylko początki choroby, z których mogłaby zostać wyleczoną przy wielkich staraniach i zupełnym spokoju moralnym, ale, naturalnie, w smutnej pozycji, w jakiej zostaje, jest to niepodobnem.

Bolesław pochwycił ramię doktora.

— Słuchaj pan — rzekł z gorączkowym pośpiechem — czy nie mylisz się? czy wiesz z pewnością, że to, co mówisz, jest prawdą?

Lekarz ze współczuciem spojrzał na niego.

— Niestety! — odpowiedział — objawy chorób piersiowych należą do najwyraźniejszych i najmniej mylić mogą oko lekarza. Pani Snopińska z natury posiada organizm skłonny do piersiowych cierpień: słaba, wrażliwa i uczuciowa, więcej, niż ktokolwiek, potrzebowała życia pogodnego i wolnego od burz, wstrząsających fizycznie i moralnie.

Stało się inaczej, wszystkie łzy zawodu, rozczarowania i osamotnienia, które przez dumę i godność kobiecą tańczyła, zaskrzepły w jej piersi i stworzyły zaród choroby. Wszystko, co teraz przebywać musi, do reszty rozstraja jej organizm,

Wszakże... śmiem sądzić, że, gdyby odtąd uchronioną była od wszelkich smutków i niepokojów, może...

Ze szczytu dzwonnicy rozległy się dzwony, wołające na nabożeństwo; publiczność wpłynęła powoli do kościoła.

W ostatniej ławce kościelnej, przy samych prawie drzwiach babinia, siedziała Wincunia. Książka do nabożeństwa leżała przed nią nieotwierana wcale, a oczy jej, szklisto błyszczące z za czarnej woalki, utkwione były w obraz bocznego ołtarza, przedstawiający bolesną Maryę z dziećciem na ręku.

Bolesław zaraz u wnijscia poznał ją po jasnych splotach warkoczy i stanął przy niej, jak gdyby nie miał siły postąpić dalej.

Oczy Wincuni, wiedzione nieprzepartą magnetyczną siłą, oderwały się od świętego obrazu i podniosły na twarz Bolesława.

Spojrzenia ich spotkały się, zamglily niewypowiedzianą boleścią i wnet odwróciły się od siebie.

W tej chwili pod sklepieniami kościoła rozbrzmiała muzyka organów.

Bolesław powiódł ręką po czole i zwrócił się do stojącego obok doktora i spytał go pocichu:

— Powiedz mi pan, dlaczego to grają »requiem« ?

Zapytany wielkimi oczyma nań spojrzał.

— Wyjdź pan stąd — rzekł po chwili, z niepokojem wpatrując się w zmienioną twarz Topolskiego — muzyka organów nie zdrową jest w tej chwili dla ciebie. To nie organy, ale moje słowa przedchwilowe śpiewają ci nad głową pieśni żałobne.

Po chwili Topolski wychodził z kościoła, a miał twarz tak bladą i dziwną, że kto nań spojrzał, oglądał się i wzruszał ramionami.

Kiedy publiczność rozjeżdżała się po nabożeństwie do domów, rozmowa toczyła się już nie o Wincuni, ale o Topolskim. Dziwiono się powszechnie temu, że wyglądał w kościele tak, jakby go jakieś wielkie spotkało nieszczęście, że wogóle od pewnego czasu zmizerniał bardzo i widocznie walczył z sobą, aby w towarzystwie nie okazać czegoś, co mu snadź mocno dolegało.

Dziwiono się temu wszystkiemu tem bardziej i tem ogólniej, że właśnie od lat kilku Topolskiemu dziwnie się szczęściło. Zamożność jego zwiększała się coraz i zarazem zwiększała znaczenie w okolicy.

Hrabina powierzyła mu przed dwoma laty ogólny zarząd znacznej części swoich majątków, a lubo nie miała przez to podejmował on pracę, dawała mu ona za to znaczne korzyści. Wziął też znaczny majątek w dzierżawę i wiadano, że, dzięki zwykłej sobie rządności i postępowemu gospodarowaniu, wybornie wychodził na tem przedsięwzięciu.

Oprócz tego, pierwszym on był zawsze w radzie i wykonaniu wszystkiego, co się tyczyło ogólnych spraw okolicy, i za jego to głównie wpływem lub staraniem drogi komunikacyjne około X. doprowadzone zostały do tak wybornego stanu, że wzbu-dzały podziw w podróźnych z innych okolic.

Szpital w miasteczku wzorowo się utrzymywał, ze składkowej biblioteki korzystała miejscowa publiczność, w dobrach hrabiny powstały dwie wielkie fabryki, przyczyniając się niezmiernie do dobrobytu całego powiatu.

Te wszystkie starania i wpływy, wzrost majątkowy, pracowitość i serdeczność w obojętności, wyrobiły dla Topolskiego ogólną sympatyę i poważanie. Wszystko mu się wiodło, wszystko mu sprzyjało, a jednak nie wyglądał na szczęśliwego.

Dlaczego był coraz bledszy i w oczach miał coraz głębszy smutek, lubo go kryć usiłował?

Czemu nie szukał wesołych towarzystw, ani myślał o żenieniu się, do żadnej kobiety nie zbliżał się inaczej, jak z zimną i poważną grzecznością?

Oto były pytania, które zadawała sobie cała parafia, a stacye pocztowe i telegraficzne nadstawiały pilnie ucha, słuchając, azali chmury, płynące w górze, albo wietrzyk wieczorny, albo roje owadów, igrające w promieniach słońca, nie przyniosą im na nie jakiej odpowiedzi.

Ale chmury, wietrzyk i owady milczały o Topolskim i milczeć o nim musiały nawet pocztę i telegrafy parafialne, bo życie człowieka tego było tak widoczne i czyste, tak jasny i otwarty każdy czyn jego, że znikąd, znikąd nie było treści do choćby najkrótszej depezy.

Tam, na dnie jego duszy, kryła się wielka boleść, rana, niezgojona ni wolą, ni pracą, ni czasem; ale takie rany i takie boleści nie każdy dojrzeć, jak nie każdy uczuć potrafi.

O takich ranach i boleściach pocztę i telegrafy parafialne najmniejszego nie mają pojęcia. One, co z muchy gotowe są zawsze stworzyć olbrzyma, olbrzymów mijają bez zwrócenia na nich uwagi, bo zrozumieć ich wielkości nie są zdolne.

Topolski po powrocie z kościoła pisał długi list jakiś, potem zawołał do siebie starego Krzysztofa.

— Krzysztofie — rzekł — oczekuje cię daleka podróż.

— Jeżeli pan tego potrzebujesz, pojadę wszędzie, choćby najdalej.

Bolesław oddał staremu słudze list, napisany przed chwilą, i rzekł:

— Jutro rano, Krzysztofie, każesz założyć cztery konie do najwygodniejszej, jaka jest u mnie, bryczki, i pojedziesz z tym listem do pani Niemeńskiej. Mieszka ona w powiecie N., o dwadzieścia kilka mil stąd. Trzeba, abyś przywiózł ją do Niemenki koniecznie i bezzwłocznie. Ty, mój pocciwy, wiesz o wszystkim i dopowiedz jej ustnie całą smutną historię jej siostrzenicy...

Rzekłszy to, szybko odwrócił się od Krzysztofa, aby ukryć wzruszenie.

Stary pokreślił siwego wąsa.

— Daję panu słowo — rzekł — że pani Niemeńska przyjedzie ze mną do Niemenki.

W kilka dni potem na dziedzińcu topolińskim turkotały koła i do pokoju wszedł Krzysztof, cały jeszcze pokryty kurzawą podróży.

Bolesław wybiegł śpiesznie naprzeciw niemu.

— Cóż? — zapytał z niepokojem — czy przyjechała?

— Przyjechała — odpowiedział sługa.

Twarz Bolesława wypogodziła się nieco, nazajutrz jednak dręczyła go widoczna niespokojność. Co moment wychodził z domu i, uszedłszy za bramę kilkadziesiąt kroków, powracał, przechadzał się niespokojnym krokiem po mieszkaniu, chwilami bladł bardzo, jakby na myśl o czemś cała krew jego zbiegała się do serca.

Dzień był kwietniowy, ciepły ale mglisty, drobny deszczyk wiosenny skrapiał młodziuchną i niską jeszcze trawę, to znowu wypogadzało się niebo i blade promyki słońca oświecały perlące się na gałęziach topoli krople deszczu. Ale nad wieczór chmury zaciągnęły całe sklepienie, deszcz zaczął padać coraz rześistszy, na świecie zrobiło się szaro i posępnie.

Pomimo tego, Bolesław stał u okna swego mieszkania, ubrany jak do wyjścia, w rękę trzymał czapkę, a przed gankiem stała bryczka z założonymi końmi. Dziwne myśli roily się mu snadź po głowie; patrzył na chmury, ciągnące pod niebem, i był bardzo smutny.

Nagle zamigotało coś w zmroku pod oknami; Bolesław mógł rozpoznać, że była to postać kobieca, okryta szarą salopką, z wielką chustą narzuconą na głowę. W parę sekund potem otworzyły się drzwi, do pokoju weszła kobieta z pochyloną postacią i zdjęła z głowy okrycie.

Bolesław spojrział, wykrzyk zdziwienia wyrwał się z ust jego i rzucił się do wchodzącej.

Była to pani Niemeńska. Przemokła od deszczu, drżąca cała, zatrzymała się u drzwi, jakby nie śmiała dalej postąpić.

— Pani! — zawołał Bolesław — pani tutaj! w taką porę! pieszo!

Ucisnął ręce, które stara kobieta podała mu z cichym płaczem; troskliwie zdjawszy z niej zmokniętą salopkę, poprowadził przed kominek, na którym tlił się żar ciepły, i posadził w wygodnym fotelu.

Parę minut milczeli oboje, pani Niemeńska nie była w stanie słowa przemówić, Bolesław patrzył na nią z przerażeniem nieledwie.

— Jakże pani znalazła swoją synowicę? — przerwał na koniec milczenie.

Na te słowa cichy płacz pani Niemeńskiej zamienił się w głośnie łkanie.

— O, panie mój! — zawołała — tegoż to ja doczekałam się na moje stare lata! Takiż to los spotkał to dziecko, które hodo- wałam i kochałam, jak moje własne! Nie wiedziałam o niczem, co się tu działo. Wincunia pisała do mnie zawsze takie spokojne, wesole listy, nie chciała mię widać martwić biedaczka, a przytem takie to dumne, że nigdy jednego słowa skargi przed nikim nie wypowie.

List twój, panie Bolesławie, jak piorun spadł na moją głowę; przyjeżdżam i myślę, że moja Wincunia, jak dawniej, wybiegnie na moje spotkanie zdrowa i hoża; wchodzę i spostrzegam tylko cień jej... Gdybym ją gdzieindziej spotkała, nie pozna- łabym jej wcale, a przecie... któżby powiedział, że ta kobieta ma dopiero dwadzieścia trzy lata? Patrzac na nią, zdaje się, że już jej do grobu blisko...

I stara ciotka głośnym zaniósł się płaczem.

— Pani — ozwał się po chwili Bolesław — tu nietylko płakać i boleć, ale przede wszystkim zapobiegać złemu należy. Pani Wincenta zagrożona jest śmiertelną chorobą; jeden spokój może ją zbawić, a spokój ten trzeba stworzyć wkoło niej. Dla-

tego wezwałem panią tutaj, abyś znów była dla niej matką, aby miała ona w tobie serce, ciągle nad nią czuwające, aby mogła przytulić się do czyjeś kochającej piersi i ulżyć swemu żalowi widokiem czyjegoś do niej przywiązania... Przytem trzeba usunąć ją od trosk codziennych, oddalić od niej przykrości i upokorzenia, wynikłe ze stanu majątkowego, w jakim ją zostawił Snopiński...

— Panie — przerwała pani Niemeńska — wszystko, co posiadam, oddam jej; fundusik mój niewielki jest wprawdzie, ale może choć w części wystarczy na zaspokojenie potrzeb jej i żądań wierzycieli; ale panie...

Tu złożyła ręce błagalnie i nieśmiało dodała:

— Jej czego innego jeszcze potrzeba...

Bolesław pytająco na nią patrzył.

Pani Niemeńska powstała nagle, pochwyciła rękę jego i poniosła ją do ust.

— Pani! — krzyknął Topolski — co robisz?

— Bywaj pan u nas! — zawołała zrozpaczona kobieta — bądź dla Wincuni przyjacielem i bratem, jak dawniej nim byłeś; przyjaźń twoja, rozumne twe towarzystwo łatwiej, niż wszystko, przywróci cię do spokoju i zdrowia!... Wiem, żeśmy cię obraziły, żeśmy cię po tysiącnych dobrodziejstwach twoich odsunęły lekkomyślnie; ale w tem wszystkim moja była wina! moja, nie jej! i siwe włosy moje powstają mi na głowie, gdy myślę, że mogłam uchylić od niej ten kielich goryczy, a nie uczyniłam tego, że sama prawie popchnęłam ją ku przepaści!

Ona była dzieckiem, ale ja, stara, nic nie przewidziałam, nie przeczułam człowieka, który miał ją zgubić i sama, sama zgubiłam ją... W tem wszystkim winnam ja, a ona jest tylko ofiarą złej doli i mojej głupoty... Ty masz złote serce... bądź dla niej przyjacielem w nieszczęściu... przebacz jej!...

Pani Niemeńska z błaganiem wyciągnęła ręce do Bolesława, siwe włosy jej wysuwały się z pod czepka i opływały twarz, zalaną łzami i oświetloną czerwonym odbłaskiem kominowego żaru.

— Przebaczyć! — ozwał się z wolna Bolesław i dziwny uśmiech przesunął mu się po ustach — alboż pani sądzisz, że w sercu mojem był kiedykolwiek choć cień urazy do niej? Jakież prawo miałem rozkazywać jej sercu, albo zakreślać przed nią drogę życia? Jakież miałem prawo uczuwać do niej niechęć za to, że na tę drogę wołała wejść z kim innym, niż ze mną? Nie; jakim był żal mój po niej, jaką tęsknota za nią, wie tylko

Bóg, — goryczy w uczuciach moich, urazy, nie było ani kropli. Cierpiałem wtedy, gdy ją utraciłam, ale milion razy więcej, gdy ją nieszczęśliwą ujrzę.

I nie było dnia żadnego, w którymbym nie rozmyślał nad tem, w jaki sposób ustrzedz ją od okropnej przyszłości; nie było żadnej nocy, w którejby zmora jej nieszczęścia nie nawiedzała mnie i nie budziła ze snu.

Czyniłem dla niej wszystko, co mogłem, ale mogłem niewiele, a i o tem ona nigdy nie powinna wiedzieć... Teraz, gdy pozycja jej określiła się o tyle, że została całkiem opuszczona przez męża, będę w możności czynić więcej...

Ale tę możność dało mi dopiero przybycie pani; póki pani Wincenta samotna była w Niemence, nie chciałem tam bywać, aby nie sprowadzić na nią mnóstwa obmów; bo chociaż czuję się sam i ją uważam za wyższą nad ludzkie niesprawiedliwe podejrzenia, jednak nie chciałem do wszystkich jej cierpień dołączać i tej jeszcze kropli goryczy.

Szanowałem dotąd dobrą jej sławę, ale teraz, kiedy pani jesteś w Niemence, pani Wincenta odzyska we mnie przyjaciela lat dawnych, który codziennie przyjdzie do niej z twarzą pogodną, dłonią otwartą, z radą i pomocą przyjazną.

Pani Niemeńska stała przed nim ze złożonemi jak do modlitwy rękoma.

— Jakis ty dobry! jakis ty szlachetny! — mówiła drżącymi ustami.

— Posłuchaj — rzekła, ochłoniwszy nieco ze wzruszenia — ona taka słaba i smutna, a cicha i łagodna, jak dziecko. Nie skarży się i nie płacze, ale w oczach jej jest coś, co mi serce przeszywa. Dziś zrana mówiła ze mną o tobie; nie wiem czemu, ale zdało mi się, że pragnie cię zobaczyć, choć tego nie powiedziała.

To też kiedy przed zmrokiem zobaczyłam ją, leżącą z zamkniętymi oczyma, wymknęłam się pieszo z domu, aby wyjścia mego nie spostrzegła, i przez gaj przyszedłam cię prosić, abyś zajął czasem do nieszczęśliwej, a ty już sam o tem myślałeś. Niech cię za to Bóg i Najświętsza Panna błogosławi!

— Od rana — rzekł Bolesław — wybierałem się do Niemienki, ale nie dziw, że nie mogłem prędko zdobyć się na moc dostateczną...

Umilkł na chwilę, potem znów mówił zniżonym nieco głosem:

— Pani Wincenta nigdy mię nie kochała, a raczej kochała

mię niegdyś jak przyjaciela, takim więc ujrzy mnie i teraz i, jako taki, mogę przynieść jej pociechę lub pomoc. Ale ze mną rzecz inna...

Zatrzymał się znowu i dokończył jeszcze ciszej:

— Ja... kocham ją dziś tak, jak kochałem owego dnia, gdyśmy zamieniali z sobą zaręczynowe pierścionki...

— Wielki Boże! — wyszeptała pani Niemeńska — kochasz ją dotąd jeszcze! kochasz ją, jak dawniej!

Bolesław uśmiechnął się właściwym sobie smutnym uśmiechem i długo, długo trzymał oczy nieruchomie utkwione w błękitnych płomykach, strzelających z pomiędzy żaru, jak gdyby pytał ich o rozwiązanie tej dziwnej zagadki jego serca, której inni pojąć nie mogli. Ale błękitne płomyki nic snadź nie odpowiadały na pytania smutnej jego myśli, bo rzekł po chwili cicho i jakby do siebie:

— Alboż ja wiem, skąd się bierze ta siła i trwałość przywiązania mego do niej? Dlaczego ona... ona właśnie stanęła na drodze mego życia, jako jedyna miłość, która nie przestała być miłością nawet po utracie nadziei? Są snadź serca, w które gdy raz zapadnie uczucie jakie, to już go nic wydrzeć nie zdoła...

Gdyby pani Niemeńska posiadała więcej filozofii życia i bogatszy dar wymowy, odpowiedziałaby na tę głośno wyrażoną myśl Bolesława, że serca takie wśród ludzi są cenną rzadkością, tak rzadko rozsianą po ziemi, jak rzadkiemi są owe o tęczowych blaskach dyamenty drogie, w których poszukiwaniu biedni górnicy życie całe pędzą; jak rzadkiemi są owe perły mlecznej białości, po które odważni nurkowie zstępują na dno morskich topieli.

Kto znajdzie dyament taki, taką perłę, i zgubi ją, niech płacze, bo mogą przeminąć lata długie i cały żywot człowieka przeminąć może, nim w innej piersi podobna odnajdzie się kosztowność.

Pani Niemeńska nie odpowiedziała tak na wynurzoną myśl Bolesława, albowiem była to kobieta o prostym sercu i słowie, patrzyła tylko nań z cichem uwielbieniem i wielkim żalem.

Bolesław otrząsnął się z zamyślenia, ujął rękę pani Niemeńskiej i rzekł:

— Nie mów pani o tem wszystkim pani Wincencie, dla jej własnego dobra. Wiadomość ta zaniepokoiłaby ją, utrudniłaby nasz stosunek. Niech myśli, że to, co zachodziło między nami

niegdyś, minęło na wieki; niech zapomni o tem, że kochałem ją kiedyś, jak kochanek, a niech widzi we mnie tylko przyjaciela. Polegam na rozsądku i szlachetności pani, że nie powiesz jej tego, o czem wiedzieć nie powinna. A teraz jedźmy do niej; konie moje stoją oddawna założone.

X.

„Falo, niewierna falo, a tak wierna“.

I znowu w Niemence było lato zielone, słoneczne, ciepłe. Jednocześnie z przyjazdem pani Niemeńskiej i nowem zbliżeniem się Bolesława do dwóch samotnych kobiet, ład, spokój i dostatek wrócił do dworku.

Wierzycciele częścią zostali zaspokojeni zupełnie, częścią na jakiś czas złagodzeni; sam nawet butny eks-ekonom i eks-faworyt Snopińskiego, Pawełek, po całogodzinnej rozmowie z Bolesławem w Topolinie wyszedł mocno zmieszany, zawstydzony i cofnął z sądu prośbę swą o egzekwowanie należnej mu sumy.

Powiadano, że Topolski dowiódł mu kradzieży i spółki z lichwiarzami, a rzeczywistą należność opłacił. Pawełek jednak nie mówił o tem przed nikim i wydalil się nawet całkiem z okolicy, przyjmując służbę gdzieś w odległej stronie.

Od Aleksandra Wincunia nie otrzymała żadnego listu — wyraźnie postanowił zerwać z nią na zawsze.

Zrazu tylko pan Jerzy pisywał do synowej długie i niezmiernie czułe listy, przyrzekł, że wkrótce syna do domu wyprawi, upewniał ją o współczuciu swem i lepszej przyszłości, a w słowach jego był żal głęboki ojcowskiego serca, bolejącego nad błędami syna i losem związanej z nim kobiety.

Ale po dwóch miesiącach i te odezwy stały się coraz rzadszemi, wkońcu całkiem ustały i wieść o młodym Snopińskim zaginęła.

Tylko raz Szłoma opowiadał Topolskiemu, że do oberży jego zajeżdżał jakiś, z dawna znajomy mu, podróżny pan, przybywający z okolic, w których mieszkali Snopińscy, i mówił mu o Aleksandrze dziwne rzeczy: jakoby poróżnił się z ojcem i wy-

jechał z jego domu, a osiadł przy jakimś bogatym panie, u którego młodzież hulala wciąż i grała w karty; jakoby stary Słomski począł chorzeć ze zgryzoty; jakoby Aleksander udawał w okolicy, że jest nieżonatym, i stawiał się przed pannami w roli konkurenta, posiadającego gdzieś daleko znaczne dobra; jakoby nawet dobrami temi uwodził panie, u którego mieszkał, pożyczając od niego pieniędzy, grał szalenie w karty, a i upijać się coraz częściej zaczynał i t. d. O tych wszystkich szczegółach dowiedział się Topolski od Słomy, ale nie powtórzył z nich ani jednego w Niemence.

Wincunia ani przed ciotką, ani przed Bolesławem nie wspomniała nigdy imienia Aleksandra; nie żaliła się nigdy, nie płakała; owszem, spokojna zawsze, jak cień przesuwająca się po cichym dworcu, z uśmiechem na bladych ustach.

Czy cierpiała i jak cierpiała, niepodobna było odgadnąć, tak była zawsze jednakową, łagodną, a chwilami nawet wesołą, tą smutną wesołością, jaką miewają osoby, które pogodziły się ze swym bólem i wiedzą, że dłużej, niż on, żyć nie będą.

Życie jej gasło stopniowo, a widocznie była coraz słabsza, a więcej lubiła słońce i światłoienne, jak gdyby niemi dosyć nacieszyć się chciała.

Całe dni przesiadywała w ogrodzie lub na dziedzińcu pod lipą, a gdy nadchodził wieczór, smutniała, kaszlała mocniej i mówiła z tęsknym uśmiechem:

— O, jakże pragnę jutra!

— Dlaczego? — pytała ciotka.

— Żeby znowu słońce zobaczyć — odpowiadała.

A za ledwie świt rozproszył nocne ciemności, wstawała, wychodziła przed dom i z rozkoszą przypatrywała się stopniowemu dnia wschodowi.

Pani Niemeńskiej zdawało się, że po całych nocach nie zasypiała, zato wśród dnia obejmował ją niekiedy sen osłabienia, głowa jej opadała na poduszkę kanapy i zamykały się oczy. Wtedy pani Niemeńska siadywała obok niej z pończoszką w rękę i oczy jej zasłane łzami spoczywały na zmęczonej cierpieniem twarzy synowicy.

Raz usta Wincuni poruszyły się przez sen: pani Niemeńska pochyliła się ku niej, sądziła, że wspomni o mężu, ale Wincunia wymówiła zeicha imię Bolesława i bolesne westchnienie wstrząsnęło jej ciałem.

Pani Niemeńska załamała rękę.

— Boże wielki! — szepnęła — dziwne są wyroki Twoje! miałażby ona pokochać go teraz!...

Topolski bywał w Niemence często... tak często, jak tylko mu pozwalały liczne, a obowiązkowe już teraz, jego zajęcia. Gdy kilka dni nie przychodził, Wincunia miała się znacznie gorzej; gdy przybywał, ożywiała się, weselała i chwilami wydawała się zdrową; ale gdy oddalił się, wpadała w większe jeszcze, niż wprzód, osłabienie.

Bolesław, z taktem i ostrożnością wielkiego serca, unikał wszystkiego, coby mogło jej przypomnieć dawny ich do siebie stosunek. Przychodził do Niemenki zawsze pogodny, niemal wesoły, i z powierzchowności jego niktby odgadnąć w nim nie mógł najmniejszego wewnętrznego cierpienia.

Raz tylko, gdy, po widzeniu się z doktorem w X. i długiej z nim rozmowie, przyjechał do Niemenki, witając go, rzekła z niepokojem:

— Mój Boże! co panu jest? takiś pan dziś blady i zmieniony!

Bolesław uśmiechnął się swobodnie i odparł:

— Miałem w tych dniach mnóstwo kłopotliwego zajęcia, to mię trochę zmęczyło...

Dnia tego doktor powiedział mu, że stan Wincuni pogarsza się znacznie i mało zostawia nadziei wyzdrowienia.

— Słuchaj pan — mówił lekarz — nadaremnie byśmy się ludzili; ona nie może być zdrową, póki nie posiędzie zupełnego moralnego spokoju...

— Ha! — rzekł Bolesław — wszystko, co można było uczynić dla niej w obecnym jej położeniu, zostało uczynionem. Czy sądzisz pan, że tęskni za tym człowiekiem, który ją opuścił?

— Nie — odpowiedział doktor — to być nie może; taka kobieta, jak ona, nie może kochać człowieka, którym musi pogardzać; przeciwnie, sądzę, że obecność jego musiała oddawać jej być bolesną... Niemniej jednak jest w niej jakiś żal głęboki a tajony, który wciąż rozgania i rozrania pierś jej.

— Może to żal po stracie dziecka? — spytał Topolski.

— I to nie; utrata córki wstrząsnęła nią silnie, a i teraz zapewne bolesnym echem odzywa się w jej sercu, ale takie rany muszą się goić... leży to w naturze ludzkiej... Zresztą, wiesz pan o tem, że my, doktorzy, z powołania naszego musimy być nieco spowiednikami duszy, i lubo nie mamy prawa pytać pa-

cyentów naszych o tajniki ich serc, niemniej jednak uczymy się przenikać je własnem okiem...

Otóż zdaje mi się, iż odgaduję w pani Snopińskiej, oprócz żalu po stracie dziecka, oprócz naturalnej goryczy, która wypływa z zawodu, jakiego doświadczyła, inny jeszcze jakiś żal, inną boleść dziwnie przejmującą, a przemienioną już w tę cichą, zrezygnowaną rozpacz, która nie żali się i nie walczy, ale jak gadzina zjadliwa wpija się w pierś ludzką i wysysa z pod serca siły żywotne, aż cały organizm doprowadzi do nieuchronnego upadku.

Bolesław ze skupioną uwagą słuchał słów doktora.

— Cóżbym dał za to — rzekł po chwili, jakby do siebie — gdybym mógł odgadnąć źródło tej boleści, która ją zabija...

— Tego pan nie dokażesz — rzekł z żalem doktor — pani Snopińska ma dziwnie zamknięty w sobie i skryty charakter, który snadź wyrobił się w niej wskutek doznanych smutków...

— O, tak! — rzekł Topolski — dawniej była przezroczystą, jak kryształ.

Doktor mówił dalej:

— Zdjęty niezmiernem współczuciem i prawdziwym szcunkiem dla niej, próbowałem nieraz głębiej zajrzeć w jej duszę. Ale podobna jest ona do tego kwiatu, który przy dotknięciu ludzkiej ręki zwija i zamyka swój kielich. Raz, pan byłeś wówczas nieobecny, siedziałem przy niej na ganku. Milczała, jak to bywa najczęściej, i zamyślona bardzo, wiodła oczyma za białym obłokiem, który zwolna posuwał się pod niebem. We wzroku jej był smutek, a przytem uśmiechała się; smutek ten i ten uśmiech tworzyły tak dziwny wyraz, iż przypatrywałem się jej, myśląc, że mam przed sobą szczególnie psychologiczne zjawisko. Ale zarazem sądziłem, że była to chwila, w której coś powiedzieć mogła.

Uważałem siebie tym razem za kapłana sztuki lekarskiej i spytałem ją, nadając słowom moim ton żartobliwy:

— Co tam pani widzisz na tym obłoku, że go tak ścigasza oczyma?

— Widzę — odpowiedziała, nie zmieniając kierunku wejrzenia — widzę tam to, co od wielu dni, miesięcy, lat prawie, stoi wciąż przed memi oczyma... w światłości i w zmroku... płynie przede mną na obłokach... wiesza się na zieleni drzew... świeci w ciemnościach nocy.

Mówiła to powoli i zcicha, bardziej do siebie, niż do mnie. Pomimo całej zimnej krwi, do której usposabia mię powołanie moje, byłem wzruszony.

— I cóż jest to, co panią tak prześladowa? — spytałem znowu nawpół żartem.

— To moje, moje straszne... — zaczęła mówić i nie dokończyła, drgnęła, jakby ze snu zbudzona, i spojrzawszy na mnie, usiłowała zaśmiać się:

— O, panie! — zawołała z tą wesołością, która w niej smutniejszą jest od smutku — ja coś niedorzecznego mówiłam... nie słuchaj mnie pan, gdy tak mówię... to jakby przez sen... ja często śnię na jawie!

I z gorączkowym pośpiechem zaczęła mówić o czemś innym. Cóż mogłem wysnuć z tych kilku słów urywanych, które wyrzekła? To tylko, że czegoś żałuje, że za czemś tęskni, że ciągle ma przed oczyma jakiś obraz, do którego przywiązała się jej dusza i z którym odlatuje ona od niej... aż na zawsze odleci...

Bolesław zamyślił się i długo milczał.

— Zdaje mi się — rzekł — że wszystko, o czem pan mi mówiłeś, jest koniecznym wpływem położenia pani Wincenty, i nie widzę w tem nic innego, jak poczucie złamanego życia. Zresztą zdaje mi się, że pan mylisz się, sądząc, iż miłość jej dla męża całkiem zniknęła. Wprawdzie nie może nie widzieć, że nie wart jej szacunku; ale bywają dziwne upory serc, które w uczuciach swych raz powziętych nie dają się zwyciężyć; jabym sądził, że ona boleje nad jego upadkiem, a kto wie? może i nad tem, że go straciła...

— Prawda — rzekł doktor — że serca, a szczególnie serca kobiece, posiadają nieraz dziwne tajemnice... samo już powzięcie uczucia takiej kobiety, jak ona, dla człowieka takiego, jak Snopiński, osobliwym było psychicznym objawem; jednak zdaje mi się, że dziś wspominać go musi w duchu z pogardą, a co najmniej z obojętnością, a żalu jej inna być musi przyczyna...

Na tem skończyła się rozmowa Topolskiego z doktorem; w kilka dni po niej Bolesław pisał do pana Andrzeja:

»Dwa miesiące nie pisałem do ciebie, drogi przyjacielu; nie miej mi tego za złe, bo nie miałem siły, dziś nawet nie wiem, czy w logiczny ład zdołam me myśli ułożyć, bo mącą się one

w mej głowie, jak wody morskiego dna, których burz nikt nie widzi...

»Ona umiera... chodzi jeszcze, rusza się, mówi i uśmiecha się nawet, ale nie jest to już istota, która idzie drogą życia... jest to płomyk gasnący... cień, postępujący zwolna po ścieżce do mogiły.

»Czy pamiętasz ją, jaką była wtedy, gdy raz pierwszy prowadził cię do niej, stojącą na kamiennym piedestale, uwieczoną kwiatami, karmiącą gołębie z fartuszka, młodziuchną i lekką, jak ptaszyna?

»A teraz przypomnij sobie dźwięk muzycznego akordu, który, brzmiąc przez chwilę pełnią tonów, rozplywa się stopniowo w powietrzu, traci po jednej nucie i zwolna ulatuje w niekończoność... taką ona jest teraz. Porównaj i zasłoń oczy... bo to taki widok, że gdy długo nań popatrzysz, będziesz bardzo smutny.

»A ja patrzę na nią codzień niemal, i codzień czuję, jak mi coś w piersi jęczy i rwie się, i przestaje być sobą samym, rozumnie odbiega i wola... nie upadam, ale łamię się...

»Przybывaj mi w pomoc, przyjacielu!

»Ty tam ze szczytów Karpat, o wieczornej porze, przypatrujesz się, jak wspaniale słońce płynie ku zachodowi i ściąga z ziemi promienie swoje, aby je na inne przenieść widnokreśli; przybывaj, i tu zobaczysz piękny twór Boży, co się ku zachodowi swemu chyli i wnet bladą swą twarz do innych przeniesie światów.

»A rankami, wśród poetycznych dolin karpackich, słuchasz odgłosów trąbki górala, żegnającego na dzień cały szczyt, z którego zstępuje; przybывaj, tu usłyszysz dźwięk tej archanielskiej trąby, która woła do gasnącej istoty, aby w poranku życia ziemię swą żegnała.

»Przybывaj z radą, bo może jest jeszcze rada.

»W sercu jej leży dziwna jakaś tajemnica, która wygryza z niej życie, a której odgadnąć ja nie mogę, może i nie umiem.

»Są w niej rzeczy, które mnie dziwią i myśl mą wtrącają w chaos przypuszczeń. A jednak, gdybym wiedział, może...

»Przed kilku dniami siedziałem z nią wieczorem przy lampie i czytałem głośno jakiś ustęp z poezji Słowackiego, wysnuty »w Szwajcaryi«. Czytając, nie mogłem wstrzymać się od myśli, że historia, którą wieszczę pisał łzami, dziwnie była do mojej podobna.

»Wszakże i ja kiedyś »spotkałem ją samą, pod jasną tęczą różno-farbnej bramą«; a potem i jam miał chwilę, w której »z ust zamkniętych skromnie, najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie. Przyleciał szybko i wrócił z podróży, do swego gniazda, do pereł i róży«; bo wszak i ona kiedyś była »jak białe labędzie, była jeziora błękitnego panią, miała powozy z delfinów, z gołębi, i kryształowe pałace na głębi, i księżycowe korony w noc ciemną, i mogła była wszystko robić ze mną«.

»Autor ten w poezji swej miewa takie tony, że gdy je człowiek wygłasza, razem z dźwiękiem głosu musi wyjść na jaw głębia duszy jego, choćby ją z całej mocy utaić pragnął. Wiem teraz z przekonania, że mężczyzna, który miłość swą chce ukryć przed ukochaną, nigdy z nią poezji tych czytać nie powinien.

»Im dalej czytałem poemat, wysnuty »w Szwajcaryi«, tem bardziej żałowałem, że go zaczął czytać. Każdy wiersz wydawał mi się tak, jak gdybym ja sam go napisał, traciłem samego siebie, nie mogłem opanować drżenia głosu, czułem sam, że stawałem się błądy.

»Czy pamiętasz ten cudowny ustęp, w którym tak wiernie malują się ułudy serc, oszukiwanych falami losu:

»A pod tym progiem fala tak się toczy — i tak swawolna i taka ruchoma, że wzięła w siebie dwa nasze obrazy, i przybliżyła je, łącząc rękoma, chociaż nas tylko łączyły wyrazy. Ach! fala taka szalona i pusta, że połączyła nawet nasze usta, choć sercem tylko byliśmy złączeni. Fala tak pełna ruchu i promieni, że jednym światła objawwszy nas kołem, zmieszała niby anioła z aniołem. Gdy myślę... boleść dręczy mnie niezmierna... falo! niewierna falo! a tak wierna!...«

»Nie mogłem czytać dalej, czułem zawrót głowy i w oczach mi się ćmiło. Złożyłem książkę i podniosłem wzrok na Wincunię...

»Leżała ona na kanapie.

»Od pewnego czasu leży najczęściej słaba; bladą jej twarz jaśniała pod promieniem lampy na tle ciemnej poduszki. Zciha, jak echo powtórzyła:

»— Niewierna falo! a tak wierna! — i utkwiała oczy w moją twarz z dziwnym wyrazem.

»Co wyraz ten znaczył? nie rozumiałem, może nie chciałem... nie śmiałem... lękałem się zrozumieć... widziałem w nim taką okropną... a zarazem tak niebieską głębię, że... chwila je-

szcze, a byłbym upadł przed nią na klęczki i porwał ją w objęcia.

»Ale resztą przytomności umysłu, jaka mi w owej chwili zostawała, poczułem, że, gdybym to uczynił, popełniłbym zbrodnię niedelikatności i zdrady zaufania; zraniłbym może duszę jej i czystość kobiecą; na zawsze może straciłbym możność podawania jej dłoni przyjaznej.

»Powstrzymałem się i tylko przestałem czytać, a zacząłem mówić jej o czemś, nie wiem o czem, zdaje mi się, żem porównywał Mickiewicza ze Słowackim, że nawet powiedziałem na pamięć jakiś wesoły, dowcipny wiersz jednego czy drugiego, myśląc, że na jej usta uśmiech wywołam.

»Ale ona patrzyła na mnie swemi wielkimi zapadłemi oczyma, z tym samym wyrazem przepaścistej jakiejś cudownej głębi, a gdy umilkł, znużony walką, powtórzyła raz jeszcze, jak oddalone echo:

»— Niewierna falo! a tak wierna!

»Dokazałem tego, że w ów wieczór pożegnałem ją zupełnie takim, jakim widuje mię zawsze; uściśnałem tylko jej rękę i powiedziałem przyjacielskie »do widzenia«.

»Gdy jednak wracał do domu i gdy już wrócił, przez całą noc i nazajutrz nic więcej nie widziałem przed sobą, jak tylko oczy jej, wpatrzone we mnie z tym dziwnym wyrazem, którego treść zrozumieć pragnę, a boję się...

»Ten wyraz jej oczu zasłania przede mną wszystko; czytam zeń wciąż, jak z księgi, na której kartkach z za niepojętych znaków tryskają płomienie i łzy. Czytam w tym wyrazie jej oczu i szalę mię ogarnia, szalę boleści i szczęścia, i sam zamykam oczy, bo głowa mi się zawraca, niby nad brzegiem przepaści, na której dnie jest niebo i piekło...

»Wszystko na ziemi powtarza się: od czasów Franczeski Rimini, czytanie poczyi, pisanych ogniem i łzami, zdradzało zawsze tajnie serc objętych miłością...

»Przyjacielu!... w tym wyrazie oczu jej... w echowym dźwięku jej głosu, powtarzającego smutny jęk poety, była to miłość, boję się zgadnąć i pragnę zgadnąć, że była to miłość dla mnie...

»Jeżeli tak jest — o rozpacz! Nie, o! szczęście! niech powie do mnie ten wyraz, jeden wyraz: »kocham!«, niech umiera, umrę z nią razem!...

»Och! nie, nie, nie! niech żyje, niech będzie dla mnie zimna, jak lód; niech mi nawet swą przyjaźń odbierze, niech mię

nienawidzi, a niech żyje, niech będzie szczęśliwą, spokojną przyjaźniem.

»Marzyłem, gdy ujrzał ją znowu samotną i opuszczoną, że otoczę ją spokojem, dostatkiem, przywiązaniem braterskim, że bóle przebyte zmiłkną i zamrą w jej piersi i że oboje, jak brat i siostra, będziemy żyć już zawsze blisko siebie, złączeni duchem...

»Marzyłem, że lubo życie rodzinne straciła już ona na zawsze, ja stworzę dla niej życie myśli i czynu, przez które pojedzie promienna a spokojna; że lubo jedna miłość ją zawiodła, a inna wzbroniona jej prawami ludzkimi, ja w sercu jej rozpalę tę wielką, szeroką miłość dla wszystkiego, co dobre i piękne, która jej tamtą zastąpi, i że wśród cichej pracy dusza jej razem z moją palić się będzie świętym i czystym płomieniem życia bez skazy... aż póki-by nie przyszła chwila zachodu, w której podalibyśmy sobie dłonie i razem zeszli tam, gdzie nie będzie już walk i boleści, za sobą zostawiając ślady zanie spełnionych zadań żywota.

»A i tych marzeń rzekłbym się z radością i odszedłbym daleko... na zawsze... gdyby tylko kiedy niekiedy głos jaki od niej doleciał do mnie i powiedział mi: »ona szczęśliwa!«

»Ale jeżeli... jeżeli to, co mi się zdało, żem wyczytał w wyrazie jej oczu, we mnie wpatrzonych, jest prawdą, niema dla niej zbawienia... bo wszakże kiedyś grały tam w kościele organy i ksiądz stał u ołtarza, i modlił się, i wiązał rękę jej z ręką człowieka, który ją oszukiwał, sam może nie wiedząc o tem, że oszukuje, a od owej chwili między nią a wszelką miłością rozpadła się przepaść nieprzebyta.

»Strasza zdejmuje mię trwoga.

»Miałaby smutna jej dola być zwierciadłem przeznaczeń tysiąca innych istot?

»Dziecię młode, rozmarzone, nie znające siebie, poszło w białej sukience do kościoła i ślubowało wieczną miłość i wierność człowiekowi nieznanemu; potem człowiek ten zwiódł ją, złamał, zgniół jej serce nielitościwymi szaleństwami, opuścił ją wkońcu samą jedną wśród życia, a prawa ludzkie mówią do niej biednej, oszukanej i złamanej: stój odtąd pod wichrami burz, sama jedna, nie wzywaj nikogo, bo jeśli pokochasz, niech ci ta miłość serce wygryzie i mogiłę otworzy, bo, co raz związane, związane na wieki!

»Tysiącem okropnych błyskawic mózg mi przeszywa myśl,

że mógłbym jeszcze pochwycić ją i unieść do mego cichego zakątka, miłością owiać gorącą i szczęściem uzdrowić... Mogłaby jeszcze żyć i być szczęśliwą, a ja? ach, gdyby przede mną otworzył się raj, obiecujący niewysłowione rozkosze przez wieki, wolałbym jeszcze, niż go otrzymać, posiadać ją choć krótko, choć rok, miesiąc, choć dzień jeden...

»Ale kiedyś tam w kościele grały organy, i przed ołtarzem ksiądz wiązał stulą i czytał modlitwy...

»Trwoga, rozpacz, szaleństwo mię zdejmuję, pióro wypada z ręki, przed oczyma ciemno... przyjacielu mój, przybywaj, abym w rozumnych oczach twoich wyczytał znowu kierunek drogi mojej, bom go zagubił, abym z ust twoich posłyszał o sprawiedliwości Bożej, bo straciłem o niej pojęcie...«

W parę tygodni po wysłaniu tego listu, Bolesław pisał znowu do pana Andrzeja:

»Wczoraj zjechało się do Niemenki pięciu doktorów, sprowadzonych przeze mnie z różnych miast, między nimi było parę imion sławnych w kraju całym. Długo bardzo badali chorą, potem zamknęli się na dłuższą jeszcze naradę, do której nie przypuścili nikogo z profanów, a tylko zawezwali miejscowego lekarza, śledzącego chorobę Wincuni od samego jej początku. Nakoniec wszyscy jednogłośnie zgodzili się na to, że młodą kobietę zabija cierpienie moralne i że nie cała jeszcze nadzieja wyratowania jej stracona, bo część płuc nie została dotąd zaatakowana. Niemniej jednak choroba rozwija się bardzo szybko.

»Jeden z lekarzy, najpoważniejszy i najuczeńszy, rzekł do mnie po skończonej naradzie:

— Gdyby teraz doświadczyła ona wielkiej jakiej radości, takiej, któraby mogła wstrząsnąć całym jej organizmem, a potem, gdyby mogła pozostać na długo spokojną i zupełnie zadowoloną, to, dołączyny energiczne środki lekarskie, wody mineralne, zmianę klimatu i t. d., moglibyśmy ją jeszcze uleczyć.

»Rozpacz!

»Jakże ja jej dam, jak ja sprowadzę ku niej tę radość serca i ten spokój, któreby ją zbawiły?

»Wyras jej oczu, ten wyraz jej dziwny, głęboki, cały zasnutu tajemnymi płomieniami, coraz częściej mówi mi, że wyczytałem w nim prawdę...

»Onegdaj przywiozłem jej bukiet pięknych bardzo kwiatów, ucieszyła się nim i, wyjąwszy kwiat jeden z wiązanki, mnie

go oddała. Nosilem go przez dzień cały, a wieczorem, czytając książkę, położyłem pół zwiędły na stole... Gdym wypadkiem podniósł wzrok od czytania, ujrzałem, że kwiat mój trzymała w ręku przy ustach.

»Kiedym spojrzał na nią, spłonęła się cała rumieńcem, jak blada lilia pod różowym promieniem wschodzącego słońca... Odwróciłem oczy i udałem, że nie widzę...

»Codziennie, gdy żegnam ją, ręka jej drży w mojej dłoni, a taka gorąca, rozpalona... Gdybym przycisnął ją do mojej zmęczonej bólem piersi, a usta moje z jej bladymi ustami spoił, możeby to była ta wielka radość, o której mówili lekarze?...

»Ale potem mógłże-by być ten spokój, o którym także mówili oni?

»Nie, bo kiedyś w kościele u ołtarza...

»Siły mię odbiegają na dłuższą walkę z sobą samym, z tym wzrokiem, którym ona biedna na mnie patrzy, ze śmiercią, która ją ściga... Gdy jestem z nią, muszę, powinienem być pogodnym, aby nie domyśliła się niczego, wesółym, aby ją rozweselić.

»Czy ty pojmujesz, przyjacielu mój, taką pogodę, i taką wesołość?

»Sądzę, że muszą być one podobne do tych krwawych błyskawic, które wiją się po czarnych chmurach, albo do tych żółtych promieni słońca, co zaglądają w świeżo wykopany grób, oczekujący na trumnę.

»A może myłę się; może źle czytam w jej oczach i nie rozumiem drżenia jej ręki i znaczenia tego kwiatu, przyciśniętego do ust?

»O nie! Boże mój! niech się nie myłę, niech raz w życiu posłyszę z jej ust wyraz: kocham! a potem już poniosę ją do mogiły i sam położę się obok niej, na sen z nią wieczny!...

»Andrzeju! myślę, że przybędziesz, pragnę cię widzieć, może przywieziesz mi z sobą jaki promień, który rozświecili ciemności, w jakie wpadłem!...«

Jeszcze w miesiąc później Bolesław pisał znowu do swego przyjaciela:

»Piszesz mi, że jedziesz do mnie, że jesteś już na polowie drogi, Bóg ci zapłać, ale jeżeli chcesz widzieć raz jeszcze biednego anioła duszy, którego połowa porwana już w niebo, pośpieszaj!

»Płomyk gaśnie, kilka już tylko sekund upłynie na zegarze

czasu, a zostanie po nim — garść popiołu. Od tygodnia Wincunia już nie wstaje.

»Po całych dniach, jak biały posąg leży naprzeciw otwartego okna i patrzy, to w blade słońce jesienne, to we mnie.

»Kilka dni temu nie mogłem się opanować, pochwyliłem jej ręce i okryłem je pocałunkami; krzyknęła i zarzuciła na twarz przezroczysty rąbek białej swojej sukni. Gdym nachylił się do niej i chciał powiedzieć jej słowo mego serca, z przerażeniem ujrzałem, że była zemdlona.

»Nie myliłem się, czytając w jej oczach...

»O! straszne, dziwne zrządzienia losów: »o falo! niewierna falo, a tak wierna!«

XI.

Ostatnie słowo życia.

Dzień był jesienny, suchy, z bladym słońcem i mgłą przezroczystą, szmatami błędzącą pod szarawym błękitem. W dworku niemenkowskim cicho było bardzo, lekki wiatr poruszał białą roletą, zawieszoną u jednego otwartego okna. Pokój, w którym okno to było otwarte, wewnątrz swem dość szczególny przedstawiał widok.

Widoczne było, że czyjaś troskliwa a pełna smaku ręka zrobiła wszystko, co można, aby pokój ten uczynić ślicznym, wesołym i barwnym gniazdeczkiem.

Po śnieżnych ścianach pięły się szerokie gałęzie bluszczu i w kilku miejscach tworzyły ramy wkoło obrazów, dobrym malowanych pędzlem, a przedstawiających wesołe sceny życia wiejskiego, albo piękne, uśmiechnięte twarze kobiece. Pod samymi ścianami stały niskie i wygodne, zieloną materią obite sprzęty, na stołach leżało mnóstwo ilustracji, albumów, litografii, mogących zająć i zabawić oko.

Przy oknie, ozdobionem białą haftowaną firanką, stały dwa rozłożyste drzewa oleandrowe, a wśród nich, w ślicznie wyrobionej z kolorowanej łoży klatce, szebiotła na wyścigi para kanarków.

W rogu pokoju naprzeciw otwartego okna stała niska

miękką sofą, tak otoczona zielenią bluszczu i wazonowych roślin, ustawionych na etażerkach, że zdawała się stać w altanie.

Nad nią wisiał wesoły obrazek, przedstawiający parę białych gołębi, trzepocących skrzydłami wśród kępy kwiecistej, a wkoło rozścielał się puszysty o żywych kolorach dywan.

Mimo te wszystkie ozdoby i wesołe barwy, któremi pokój był napełniony, miał on dziwne piętno smutku.

Oleandry pod oknami pokryte były kwiatem, który, napół zwiędły i żółtkły, opadał z cichym szelestem na posadzkę; gałęzie, oplatające ścianę, smutnie poruszały listkami, kołysanymi jesiennym powiewem, wnikałym przez okno; kilka miesięcznych róż okwitało w wazonach, i wielkie bukiety blade liliowej hortensyi żałośnie odbijały od ciemnego tła mirtu i rozmarynu.

Na sofie leżała Wincunia.

Była sama i twarz miała zwróconą do okna. Wzrok jej spotykał w ramie rozwartych firanek ciasny, lecz pełen różności, obrazek.

Z boku wysuwała się część gaju, pokryta bogactwem barw jesiennych; wysmukłe brzozy o złocistym liściu stały na tle oranżowych dębów, po których przemykały się gdzieniegdzie różowe smugi osiczyzny, albo ponsowiały obfite, zwieszające się po gałęziach grona jarzębin.

W górze było niebo blade i bez blasku, ale pogodne i tylko szarawą a przezroczystą mgłą zasnutę; u dołu trawnik dziedzińca, zarzucony opadłym z drzew liściem, otaczał wielki klomb astrów, z których białe pożyłki i pochyliły głowy, a różowe stały jeszcze wyprostowane i dumne, niby urągając wczesnej śmierci siostr słabszych.

Dalej, pod samą bramą dziedzińca, kilka sumaków, blisko siebie rosnących, powiewało zwolna szerokimi krwistego koloru liśćmi, a za bramą widać było kawałek białej drogi, wiodącej w pole, i jeszcze kawałek tego pola, o zagonach, pokrytych bujną żółtawą zielenią, i obrazek urywał się nagle, w ukośnej linii przerżnięty ramą okna.

Wzrok Wincuni to zawieszał się na szczytach dębów o palącej barwie, to opuszczał się na klomb astrów półmarłych, to znowu płynął w górę po różowych smugach osiczyzny, albo ścigał powoli złocisty listek brzozy, oderwany od gałęzi i lejący z wiatrem po żółtej trawie, nad krwistymi sumakami, w pole.

Niekiedy biała roleta, osunięta powiewem wiatru, pokryła część obrazka; wtedy Wincunia czyniła ręką słaby giest, jakby chciała usunąć tę przeszkodę, dzielącą ją od kawałeczka świata, na który patrzyła, ale wnet wiatr powiewał silniej, roleta w inną unosiła się stronę i odkrywała znowu na najdalszym planie obrazka ukośne linie zagonów, ze snującymi się nad nimi srebrnymi niemi pajęczyny.

Cicho było bardzo wokoło, tylko u okna szczebiotały żywe kanarki i kiedy niekiedy odpowiadał im szczebiot jakiejś osmuczonej jesieni, w głębi gaju zbłąkanej ptaszyny.

Cała postać młodej kobiety, leżącej na sofie, objawiała zupełne wycieńczenie i upadek sił fizycznych, ale oczy błyszczały szklistym połyskiem i na policzkach wybiły się karminowe rumieńce.

Czoło jej, bardzo blade i otoczone jasnymi splotami, smętnym zarysem odbijało od ciemnego tła poduszki, na której spoczywała głowa. Ręce miała alabastrowej białości i jak alabaster przezroczyste; splotła je i bezwładnie opuściła między fałdy sukni. Kaszlała często i oddychała prędko a z trudnością.

Z tą bezwładną postacią, z tem czołem śmiertelnie bladym, dziwną stanowił sprzeczność dziewczęcy, radosny ubiór Wincuni. Miała ona na sobie tę samą różową perkalową sukienkę, którą zwykła była nosić, będąc młodzieuchną dziewczeczką, a nad czołem w warkoczu kilka śnieżnych drobnych astrów.

Słońce zniżało się, już tylko jedną godzinę miało do zachodu; Wincunia coraz częściej, coraz tęskniej spoglądała na drzwi przyległego pokoju.

Pod oknem szybko idąca mignęła męska postać; po ustach Wincuni świetlany przebiegł uśmiech, do pokoju wszedł Bolesław.

Zbliżył się i ujął rękę młodej kobiety, ale zaledwie rzucił okiem na różową jej suknię i kwiaty, we włosy wplecione, zbłądł bardzo i, przyciskając rękę jej do ust, szepnął z boleścią:

— Wincuniu moja!

Radość zalała twarz Wincuni, podniosła na Bolesława wzrok pełen niewypowiedzianej wdzięczności i wymówiła cicho:

— O, dziękuję ci, żeś mię tak nazwał!

Usiadł obok niej milczący, wpatrzony w nią, z ręką jej w swych dłoniach.

Wincunia podniosła oczy na twarz jego i zaczęła mówić z nieopisanym wdziękiem:

— Tak dawno pragnęłam, czekałam, ażebyś mię nazwał Wincunią... myślałam sobie, że gdy mię tak nazwiesz, serce moje poczuje tę samą pogodę i radość, jaką czuło niegdyś... niegdyś... a od tej pory, gdyśmy się *wówczas* rozstali, nazywałeś mię zawsze panią... Patrz! dziś umyślnie ubrałam się tak, jak ubierałam się przed wielu laty, aby ci przypomnieć twoją dawną Wincunię... twoją dawną narzeczoną, która była czysta, jak krople rosy, zdrowa, jak rybka w zdroju, wesoła, jak ptak pod obłokiem...

Minęło... ależ na ziemi i kropla rosy, tak srebrna zrana, w południe miesza się z ziarnkiem kurzu i ciemnieje, różowa rybka wpada w sieć rybaka, a radosna wiosną ptaszyna po jesieni opuszcza zziębnięte skrzydełka i umiera wśród pożółkłych listków brzozy...

Patrz! biedna sukienka moja oddawna nie widziała już światła dziennego; schowałam ją była na pamiątkę i leżała sobie w ciemności... dziś przywitałam się z nią, jak z kochaną przyjaciółką... zbłądła trochę... obie zbłądłyśmy razem; w niej zaczynałam życie, w niej je skończyłam...

— Wincuniu! nie mów o tym strasznym końcu! — przerwał Bolesław z rozpaczą w głosie.

Wincunia uśmiechnęła się łagodnie, miękko położyła dłoń na jego ręce i zaczęła mówić znowu cichym, przerywanym głosem:

— Bolesławie! pocóż się ludzić? Ja wiem, że umrę za chwilę... i pocóż rozpaczać? Dla mnie śmierć lepsza, niż życie... Inne kobiety, dotknięte takim, jakim było moje, nieszczęściem, męczą się długie lata i psują się nieraz moralnie w swych mężczarniach. Ja nie będę tak długo miała ciężaru boleści i czysta zejść ze świata... a umrę przy tobie, najlepszy mój przyjacielu, i przed śmiercią będę mogła wypowiedać ci całą duszę moją...

Milczała przez kilka sekund i oddychała bardzo szybko, potem, zdobywając się na nowe siły, mówiła dalej:

— Dziś zrana poczułam się silniejszą, niż byłam oddawna; mogłam wstać i przejść się przez pokój o własnej mocy; zdawało mi się, że krew zaczęła szybciej krążyć mi w żyłach, a w oczach miewałam olśnienia, wśród których widziałam roje iskier na czarnem tle. Ciocia cieszyła się, widząc mię silniejszą i mówiła mi, że niezawodnie przyjdę do zdrowia.

Ale ja tak nie myślałam, bo dawno, dawno już czuję, jak życie ulatuje ze mnie zwolna, zwolna, po jednej iskieierce, i robi się w piersi mej próżnia, z którą długo oddychać nie można. Ta siła więc, dziś wzmożona, to pewno znak, że lada chwila umrę, bo Bóg tak dobry, że przed skonaniem daje najślabszym jedną choćby chwilę mocy, aby wdzięcznem spojrzeniem mogli pożegnać ten świat piękny i ukochanym swoim zostawić na pamiątkę opowiedzianą treść swego konającego serca...

Mówiła to z wielkim spokojem, po ustach jej błędził uśmiech pełen pogody i ufności. Umilkła na chwilę, bo gwałtowny kaszel przerwał jej mowę.

Bolesław milczał i patrzył na nią wzrokiem nieopisanej boleści.

— Biedna moja ciocia — mówiła dalej Wincunia — miała dziś jakieś sprawy do załatwienia w X., a widząc mnie silniejszą, wyjechała pocieszona. Sama ją namawiałem, aby wyjechała, bo pragnęłam w ostatniej chwili być z tobą sama, Bolesławie, bo czułam, że ta ostatnia chwila do ciebie jednego należeć powinna...

Ciocie pożegnałam w duchu i ucałowałam jej ręce z wdzięcznością... wszak ona zastępowała mi matkę, której nie znałam, a była dla mnie zawsze tak dobrą... Biedna! jak ona będzie smutna, gdy mnie już nie stanie!

Westchnęła cicho, a jakby w rażącej sprzeczności odpowiedzi, kanarki wesoło zaszczebotały z okna.

— Wincuniu! — rzekł Bolesław — ty tak spokojnie mówisz o tem, że masz umrzeć! Czyliż ci wcale nie żal życia? Czy nie zostawiasz na ziemi nikogo, ktoby ci był drogim?

Głos jego drżał żalością bez granic.

Wincunia uśmiechnęła się łagodnym smutkiem, jedna łza wypłynęła powoli z pod powieki i zawisła na długiej rzęsie. Z trudnością podniosła rękę i, ukazując nią różowy promień zachodzącego słońca, który za oknem przerywał powietrze i spływał na murawę, wyrzekła powoli:

— Patrz: na tym promieniu za chwilę zawiśnie dusza moja i po nim, jak po złotych schodach, wstąpi tam wysoko, gdzie dobry Bóg przyjmie mię może dlatego, że cierpiałam wiele i umierałam młodo... Tam uklękne przed św. Maryą i modlić się będę za ciebie, a gdy tu na ziemi i twoja ostatnia nadejdzie chwila, ja w niebie z dzieciną moją na ręku spotkam cię...

Łkanie głębokie, nieposkromione, jęknęło w piersi Bolesława. U okna kanarki znowu zaszczebotały wesoło.

Wincunia silniej oparła dłoń na ręce przyjaciela, oddech jej stawał się coraz pędniejszy i krótszy, oczy coraz silniej pałały, a czoło śmiertelniej bladło.

— Słuchaj mię, Bolesławie, słuchaj — wyrzekła — bo lękam się, że mię siły opuszczają i nie dopowiem ci tego, co powiedzieć pragnę. Oto naprzód, kiedy w przyszłości wspominać mię będziesz, niech w żalu po mnie ta myśl cię pociesza, że umieram bez kropli goryczy w sercu, bez jakiegokolwiek do kogo na ziemi urazy... W tej uroczystej ostatniej chwili mojej, zdaje mi się, że oczy moje szerzej otwierają się na świat i większe obejmują przestrzenie, a im więcej mgłą się przede mną zewnętrzne przedmioty, tem jaśniej i przezroczystiej umysł mój przenika te niewidzialne krainy ducha, nad których pojęciem myśl moja tyle razy pracowała mozolnie a daremnie, wtedy, gdy żyła... Oto w tej chwili nie mogę już dobrze rozróżnić koloru tej róży, która tam okwiła w wazonie, i nie wiem, czy ona jest różowa, biała lub żółta, i przypomnieć sobie nie mogę, jaką widziałam ją przed chwilą, bo wzrok mój mgli się, a pamięć się mąci... ale za to jasno, jasno widzę wszystkie światła i cienie ducha tych ludzi, z którymi żyłam... Dlatego przebaczam z całego serca Aleksandrowi i nie mam do niego najmniejszego żalu za wszystko, com przezeń cierpiała... Teraz dopiero spostrzegam, że w grzechach swych mniej on jest winien, niż ci, którzy za młodu kształcili jego myśl i serce, niż ci, którzy mu podawali truciznę pochlebstwa, i co go poili powietrzem próżności. W duszy jego były piękne światła, ale pogasły, a cienie, które zostały po nich, uczyniły go najnieszczęśliwszym z ludzi. Żal mi go, jam od niego stokroć szczęśliwsza, bo cierpiałam krótko i umieram czysta... On długie lata bezsilnie targać się będzie w żalu za światłością, którą utracił i już nie odnajdzie, a umrze skalany życiem pod palcem Boga, karzącym go za dopełniony na nim grzech jego rodziców. Bolesławie, jeśli go zobaczysz kiedy, powiedz mu, że umierałam, przebacząc mu i z modlitwą za niego w sercu...

Umilkła, głowa jej opadła na piersi, rumieńce zniknęły z twarzy, zalanej śmiertelną bladłością, westchnęła ciężko i szepnęła:

— Boże mój! siły mię opuszczają! nie dopowiem!

Parę sekund straszne było milczenie, wśród którego odgłos ciężkiego oddechu umierającej łączył się z wesołym szczerbiotem kanarków.

Nagle Wincunia podniosła się i wyprostowała, a jedną ręką

opierając się o poduszki, silniejszym, niż wprzód, głosem zawołała:

— Nie! powiem! Bóg pozwoli, abym powiedziała...

Wyciągnęła drżącą rękę do Bolesława i pewnym głosem wyrzekła:

— Bolesławie, ty szlachetny i najlepszy mój przyjacielu, kiedyś, odrzucając cię, raniąc twoje zacne serce, byłam szalona, ale szaleństwo moje trwało niedługo... szczęścia miałam krótką tylko chwilę... Aleksandra nie kocham oddawna... nie kochałam go, bom spojrzała mu w duszę i porównałam ją z twoją... Kiedy opuścił mię, mogłabym była żyć spokojnie, gdybym nie miała tu w sercu głęboko innej miłości... miłości, którą sama beznadziejną uczyniłam, a która mię tak bolała, że życie mi pękło...

Zatrzymała się nagle, wzrok jej wpił się w twarz Bolesława, splecione ręce wyciągnęła ku niemu i zawołała z wielkim wysileniem:

— Bolesławie! ja umieram z żalu, żem cię utraciła... ja kocham cię!...

Jęk najwyższej rozpacz i rozkoszy wydarł się z piersi Bolesława, upadł na kolana przed osuwającą się w objęcia jego kobietą i ogarnął ją ramionami...

W tej chwili ostatni promień słońca zniknął za dalekimi lasy, świergot kanarków umilkł, a poruszona silnym powiewem roleta opadła z szelestem i zasłoniła okno.

Pod gankiem zaturkotały koła, cicho rozwarły się drzwi pogrążonego w cieniu pokoju i na progu zarysowała się wyniosła i poważna postać mężczyzny.

Wchodzący zwolna postąpił do okna, podniósł roletę, a światłość ognistego pasa, złocącego niebo na zachodzie, słabo rozświetliła pokój. Mężczyzna rozejrzał się wkoło i wzrok jego zatrzymał się w rogu pokoju. Tam, w głębi utworzonej z zieleni altany, przed sofą nieruchomo klęczał Bolesław i trzymał silnie przyciśnięte do piersi martwe ciało kobiety. Rysy Wincuni, powleczone bladeścią śmierci, łagodnie rysowały się wśród zmroku, głowa jej bezwładnie leżała na ramieniu Bolesława, a długie warokcze, złocąc się i srebrząc, wiły się wkoło jego rąk i szyi.

Przybyły mężczyzna powoli i cicho zbliżył się do tej nieruchomej grupy i długo, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, patrzył na nią, pogrążony w smutnej zadumie. Po chwili wyciągnął rękę i, kładąc dłoń na ramieniu Bolesława, wyrzekł zniżonym a uroczystym głosem:

— Powstań!...

Na dźwięk jego głosu klęczący zadrżał, nie odwrócił się jednak ku niemu, ale pochylił głowę i usta swe przycisnął do ust umarłej.

Po kilku sekundach milczenia przybyły ozwał się znowu:

— Bolesławie! złóż ją w pokoju, a sam powstań!

— Powiedziała, że mię kocha i umarła! — wyrzekł cicho Bolesław i mocniej jeszcze do piersi przycisnął nieżywą.

— Ona umarła, a ty żyć powinienes — wymówił nad nim głos poważny.

Bolesław zwolna odwrócił głowę i, wpół z rozpaczą wpół z przerażeniem, zapytał:

— I któż ty jesteś, co mi żyć rozkazuje, gdy ja z nią razem umrzeć pragnę?

— Sumienie twoje! — odpowiedział przybyły, a wyniosła postać jego zdawała się wyrastać wśród cieniów.

Bolesław, cisnąc do piersi umarłą, długo na niego patrzył, aż usta jego cicho wymówiły:

— Andrzej.

— Tak — odpowiedział przybyły — ja to jestem znowu przy tobie, aby ci po raz drugi w życiu twem powiedzieć: powstań i idź dalej!

Rzekłszy to, pochylił się, łagodnie ujął w ramiona umarłą i złożył ją na sofie, a obie ręce Bolesława ująwszy w swe dłonie, podniósł go z klęczek. Bolesław milczał, z głową spuszczoną na piersi. Pan Andrzej, błyśnięty i wyniosły, wyciągnął rękę ku oknu i wymówił zwolna:

— Ty radość twą pochowasz w głębi serca i pracować będziesz!...

Bolesław nie odpowiadał długo, potem usta jego poruszyły się zwolna i wymówiły:

— Będę.

— Tam — mówił dalej pan Andrzej — miliony ludzi, z okiem utkwionem w gwiazdy wielkich idei, po tysiącnych bólach dążą ku nim, ty zostawisz bóle twe za sobą i z nimi razem pójdiesz!

Bolesław podniósł głowę, ciężkie westchnienie piersi mu rozdarło, i odpowiedział:

— Pójdę.

Wtedy pan Andrzej postąpił ku niemu i szeroko rozwarł przed nim ramiona.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

CZĘŚĆ I.

	<i>Str.</i>
I.	1
II. Szlachcic zagrodowy	17
III. Wincunia	33
IV. Miłość Bolesława	47
V. Lew parafialny	54
VI. Niewczesne żale	67
VII. Pierwsza wizyta	73
VIII. Szych i złoto	86
IX. Bal u dzierżawcy	107
X. Rozmyślania Wincuni	131
XI. Rozmyślania Aleksandra	144
XII. Odrzucony	150
XIII. Cichy żal	162

CZĘŚĆ II.

I. W zamieć zimową	171
II. Młode małżeństwo	195
III. Portret	222
IV. Przepowiednie oryginała sprawdzają się	229
V. Mętna woda	252
VI. Wierne serce	259
VII. Poczty parafialne	280
VIII. Burza w mętnej wodzie	291
IX. Opuszczona	307
X. »Falo, niewierna falo, a tak wierna«	317
XI. Ostatnie słowo życia	328

821.162.1

Orzeszkowa
Na prowincyi

33871